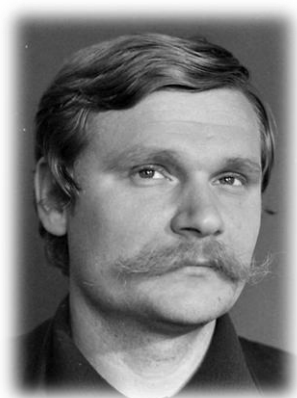


Piotr Muskała



Moja Solidarność

**Wspomnienia naocznego świadka i uczestnika wydarzeń
na Górnym Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim**



Moja Solidarność

**Wspomnienia naocznego świadka i uczestnika wydarzeń
na Górnym Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim**

Serdecznie dziękuję

– Panu Andrzejowi Plewie,
– Panu Józefowi Żakowi,
– Panu Jarosławowi Małkowskiemu z Agencji Fotograficznej BANKFOTO,
– Muzeum Miejskiemu „Sztęgarka” w Dąbrowie Górniczej,
– Międzyzakładowej Organizacji Związkowej NSZZ „Solidarność”
ArcelorMittal Poland S.A. Dąbrowa Górnicza
– Europejskiemu Centrum Solidarności w Gdańsku
za bezpłatne udostępnienie zdjęć wykorzystanych do zilustrowania niniejszej
książki

i szczególnie serdecznie
Panu Prezesowi Waldemarowi Mrozowi
i Universal Energy Spółce z o.o.
za sfinansowanie jej druku

Autor

Nic nie jest takie, jakim się wydaje
– napis na budynku CIA w Langley, Wirginia, USA

Jesteś pionkiem!
– wysyczał mi nad uchem
funkcjonariusz SB w czasie wielogodzinnego
nocnego przesłuchania 30 kwietnia 1983 r.

Piotr Muskała

Moja Solidarność

**Wspomnienia naocznego świadka i uczestnika wydarzeń
na Górnym Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim**

ISBN: 978-83-945276-1-7

© Gabriela Somerfeld

Wydawnictwo: PM_ZW
Druk: cyfrodruk.pl
Nakład 100 egz.

Tychy 2020

Zamiast wstępu

Głos młodszego pokolenia

Uchwałą Sejmu RP z 2013 r. ustanowione zostało święto 4 czerwca – Dzień Wolności i Praw Obywatelskich. Upamiętniać ma historyczne zwycięstwo polskiego narodu nad totalitaryzmem. To rocznica pierwszych częściowo wolnych wyborów parlamentarnych z 1989 r. – symboliczna data upadku systemu komunistycznego. Wynik bezprecedensowego porozumienia zwanego Okrągłym Stołem – echa i efektu karnawału Solidarności.

Jeżeli odnieśliśmy tak spektakularne zwycięstwo, to gdzie znajdują się jego owoce? Gdzie są pomniki, flagi, gdzie chwała zwycięzców? Co stało się z entuzjazmem tamtych sierpniowych dni? Co czujemy, gdy pamięcią sięgamy do zrywu lat 1980-1981, stanu wojennego, Okrągłego Stołu, reform rynkowych – radość czy rozgoryczenie, dumę czy smutek?

Dlaczego do dzisiaj nie potrafimy stworzyć sprawnego, silnego i solidarnego państwa, uwolnić energii społecznej, wykorzystać posiadanych zasobów, dyskontować naszego położenia geopolitycznego? Jako naród grzęzniemy w niemocy nieefektywnego aparatu administracyjnego, niewydolnego sądownictwa. Nie potrafimy przezwyciężyć postkolonialnej, niewolniczej mentalności, jak to dobitnie, choć rasistowsko określił Radosław Sikorski: „naszej murzyńskości”. Mozolnie skręcamy śrubki w niemieckich i włoskich autach, dokładnie łączymy moduły w koreańskich telewizorach, pracownicy zwiększamy stan posiadania obcych koncernów. Na liście najbardziej zapracowanych nacji w UE zajmujemy drugie miejsce (po Grekach), powoli rośnie produkcja, płace i PKB, ale nasz dystans do bogatych tego świata jakoś nie chce maleć. Nie prowadzimy dyskusji o modelu społecznym, roli państwa, racji stanu, sojuszach... Cały dyskurs polityczny przypomina dzieci okładające się łopatkami w piaskownicy i próbujące udowodnić, czyja prawda jest „prawdziwsza”, a obliczony jest jedynie na deprecjację i dehumanizację przeciwnika.

Czy narracja o „światłych, reformatorskich siłach z obu stron historycznego podziału” (słowa Adama Michnika), które w 1989 r. porozumiały się dla dobra narodu, to jest cała prawda? Czy potrafimy dziś, po latach, znaleźć tą łżykę dziegciu, zdefiniować, na czym polegał grzech pierworodny III RP?

Ta książka nie jest autobiografią Piotra Muskały, choć zawiera zdarzenia z jego życia. Nie jest to też praca naukowa, choć autor często cytuje źródła. To historia Solidarności widziana jego oczami, oczami Ślązaka, katolika, dziennikarza prasy niezależnej, działacza „S”, inżyniera, osoby zaangażowanej, choć pozostającej w cieniu wielkich nazwisk. Z cienia jednak często widać lepiej i więcej... Wielu w tym obrazie odnajdzie siebie z tamtych dni, przeżyje jeszcze raz entuzjazm i nadzieję, ale też strach, ból i żal. Dla młodszych czytelników niech będzie świadectwem czasu, który ukonstytuował naszą dzisiejszą mentalność a także społeczną, gospodarczą i polityczną rzeczywistość. Bez zrozumienia tamtej Polski, nie można zrozumieć Polski obecnej.

**mgr. inż. Maciej Górski, rocznik 1969,
współtwórca cyklu „Polskie Pazury” na youtube**

Spis treści

MOJA DROGA DO SOLIDARNOŚCI	13
Nie mieliśmy swoich elit	13
Poznałem Andrzeja Szyję	14
Zachód nie był dla mnie	14
DUSZPASTERSTWO AKADEMICKIE	15
Przemyt Biblii	16
Przemyt literatury emigracyjnej	17
Zaangażowanie w DA blokowało karierę	18
„POLITECHNIK” – TROCHĘ NIEZALEŻNY	19
Zostaję szefem	20
Poznaję ciekawych ludzi	21
Buduję zespół dziennikarski	20
Bezczelny kierownik DS Gwarek	21
Klub dyskusyjny storpedowali	21
Bp. Alfons Nossol mi nie zaufał	22
Michał Smolorz – publicysta	22
Michał Smolorz – menager	23
My, synowie żołnierzy Wehrmachtu	23
Nie było dla mnie miejsca	24
„W DRODZE”	24
Hermetyczny salon katolicki	25
Ojciec J. A. Kłoczowski i jego brat	26
Afera z agenturalnością o. Konrada	26
Esbecy – zdemoralizowana rasa	28
Perspektywa esbecka	30
Bronić o. Konrada – karkołomne zadanie	34
I. Kwestia szczerości i nadmiernego otwarcia się przed funkcjonariuszami	34
II. Kwestia stawiania Kościoła i zakonu w złym świetle	36
Wierzyć zawodowym kłamcom?	36
Pozostaje dla nich duchowym ojcem	37
Zakonnicy wysyłają mnie na bruk	38
Walczę z Urzędem Zatrudnienia	38
Maciej Parowski przechował moją odznakę	38
Pozytywny model kariery?	39
Ciekawostki z Poznania	39
SYSTEM	41
Marzyłem o dziennikarstwie	41
DWA CZORNE PSY...	41
Mała stabilizacja	45
Stan ducha	46
„Ludzie z kryjówek”	47
Wielkie hasła i proza życia	47
Załatw mi legitymację	48
EDWARD GIEREK O SYSTEMIE	48
Komunista musiał żyć dla partii	48

Pogarda wobec ludzi	48
Nieograniczoną władzę miał aparat ucisku	49
Władza oparta na szantażu	49
Nie było możliwości sprzeciwu	49
Mechanizmy władzy	49
 OPERACJA TAJNYCH SŁUŻB?	51
E. Gierek: to była operacja służb	51
Niełatwo zorganizować „spontaniczny” strajk	53
Relacja maszynisty lokomotywy	53
E. Gierek: zorganizowały służby	54
K. Wyszowski o B. Borusewiczu	55
Uczniowie czarnoksiężnika	57
 WALKA O KIEŁBASEĘ CZY O WOLNOŚĆ?	59
Ideologiczny grunt był przygotowany	59
Konflikt pokoleń	60
Taktyka wobec młodych radykałów	61
Byłem młody i ambitny	62
 BAŁEM SIĘ	63
Co wtedy mówił Adam Michnik	63
Słowa wyzwalały	63
Książd uczył mnie odwagi	65
 JASTRZĘBIE ZDRÓJ POWSTAJĄ GÓRNICY	67
Zaczął się w kopalni „Manifest Lipcowy”	67
Sprzedaj konia kup Ślązaka	71
Bunt „robotli”	71
Te nieszczęsne zachodnie pożyczki	72
Za wszelką cenę wyciszyć	72
Wkomponować w System	74
Działacz partyjny na czele protestów	75
Nowe wino do starych bukłaków	76
Biskup przysyła doradców	76
Eksperci z biskupiej łaski	77
 Co publikowała „Nasza Solidarność Jastrzębie”	78
* Żądamy podwyżek	78
* Rozliczyć Macieja Szczepańskiego	78
* Partyjni z katolikami wspólnym frontem	79
* Wśród robotników wrzało	79
* Mieczysław Moczar podsuwa kwity	79
* Katolicka nauka społeczna	80
* Koniec ze strajkami spontanicznymi	82
* Głodówka przeciw konkurencji	82
Koniec solidarności	83
Usunięcie Jarosława Sienkiewicza	84
* „NSJ” o usunięciu J. Sienkiewicza	86
Mimo wszystko, to był nasz strajk	88
Z propozycji Świrtuna nie skorzystałem	91
Reportaż z Komisji Zakładowej	92

BOLEK SOJKA JEST UPARTY	92
Co do garnka włożyć i gdzie mieszkać?	93
Śląski radykał	93
Nasza kopalnia, nasz samorząd	94
Obrona pracowników	94
Wojna ideologiczna	94
Ludzie patrz!	95
Przejmują władzę	95
Robotniczy przywódca	96
 HUTA KATOWICE – RELACJA JACKA JAGIEŁKI	97
Zdegradowany	97
Podajmy walke o swoje prawa	97
Po pomoc do Kazimierza Świtonia	98
Zaczęły się szykany	98
Wygrywam	99
Piszę do PZPR	100
Szykany w pracy	100
Świtoń: Zorganizuj strajk	101
Zaimponował mi Rozpłochowski	101
Czy to dyrekcja zainicjowała?	102
Ogłaszamy strajk	102
Walka o przywództwo	103
Białe kaski – naszymi wrogami	104
Komentarz do relacji J. Jagiełki	105
 PRZEŁAMUJĘ LĘK	107
Dziwne zebranie założycielskie	107
Redaguję audycje na kasetach	107
W szkole górniczej	107
Wicedyrektor B.	108
Nauczyciele reagowali stadnie	110
 W NURCIE NARODOWO-WYZWOLEŃCZYM	111
Tło wydarzeń w Bydgoszczy	111
W twierdzy Huta Baildon	111
Wywalczyć podmiotowość	112
Polska tradycja	113
„Tragedia romantyczna”	113
Ciągłość pokoleniowa	114
Ten hymn do dzisiaj słyszę	115
Gliwickie gry z esbecją	117
 WYBIOSTA DROGA DO JEDNOŚCI	119
Rozdęte ambicje przywódców	119
Głupota czy odwaga	120
Podziwiać czy bać się?	120
W jednym związku, ale osobno	122
Wyeliminowanie K. Świtonia	123
Czarne chmury nad A. Rozpłochowskim	125
 WALNE ZEBRANIE DELEGATÓW	125
I Tura WZD (6 – 7 lipca 1981 r.)	125

II Tura WZD (27 – 31 lipca 1981 r.)	126
III Tura WZD (5 sierpnia 1981 r.)	126
W ZARZĄDZIE REGIONU	127
Zespół redakcyjny – same tuzy	127
Wiesiek Asman – urodzony menager	129
Górnośląskie centrum boju	130
Zaplanowana rozróżba	130
Zjazd w Hali Olivii	132
O AUTONOMIĘ UCZELNI WYŻSZYCH	142
STRAJK STUDENCKI	143
DESTRUKCJA GOSPODARKI	146
E. Gierek: Główne kłopoty mieliśmy za sobą	146
Ocena liberalnego ekonomisty	146
Masa patologii	147
Reportaż z Huty Katowice	147
Nie warto było być uczciwym?	149
Bogactwo bierze się z pracy niewolników	150
Robotnicy mają swoją godność	151
Przebudzenie	151
Nie rozpoznali wyzwania czasu	152
Nie możemy wszystkiego rzucić na System	153
Zabrakło poczucia odpowiedzialności	153
Wykorzystywali gospodarkę do walki z Systemem	153
Śmierdzący gaz przed KWK „Sosnowiec”	154
W KWK „Szczygłowice” wywieźli na taczkach	155
Pozytywna rola Lecha Wałęsy	155
STAN WOJENNY	157
Urlop w klasztorze	157
Chwilowa popularność – byłem w telewizji	158
Wyprawa na strajkujący Ziemowit	159
PRZECHODZĘ DO PODZIEMIA	160
Jaką przyjąć strategię?	160
Odbudować struktury	161
Wspomnienia Pawła Berezowskiego	162
Jerzy Łoik i gliwiczcy „eksperci”	164
W szpitalu u Andrzeja Szyji	166
A. Szyja: dwie Solidarności	166
Mistyczna formacja inteligencji katolickiej	167
Zarys katolickiej doktryny społecznej	168
RUCH OPORU NA GÓRNYM ŚLĄSKU	169
Radykałowie z KPN-u	169
Czołgi wokół Huty	169
Przegrywamy	169
W podziemiu	171
Więzienie	171
Prawdziwa solidarność	171
Walczymy dalej	171

Solidarność Walcząca	171
W Gliwicach	172
Ośrodek wolnej myśli	172
W Tychach, Sosnowcu i gdzie indziej	174
Studenci	174
 JAK ZOSTAŁEM TERRORYSTĄ	175
Szok grudniowy	176
Fakty akcji terrorystycznej	177
Metody walki	177
Psychopata?	178
Prowokacja czy głupota?	179
Terroryzm można usprawiedliwić	181
Rozeszło się po kościach	181
 ARESZT I INTERNOWANIE	183
W Zabrze-Zaborzu	183
Pożegnanie z kolegami z „Tygodnika Katowickiego	185
Porządkujemy życie prywatne	185
Projektuję w Energoprojekcie	186
Noc jak na gestapo	186
Długo jeszcze płaciłem	187
Spotkania u Antka Baksika	188
Wycofuję się z działalności opozycyjnej	189
Wyprowadzamy się do Opola	189
Przereklamowane strajki 1988 r.	190
 POCZĄTKI KAPITALIZMU	191
Komisja Przekształceń Własnościowych	191
Kapitulacja Solidarności	194
Nadzieja w samorządności pracowniczej	194
Zawiedzione nadzieje w osobie B. Wilka	194
Opolski Komitet Obywatelski	195
Wzlot i upadek B. Wilka	196
Skąd się bierze bogactwo narodów	196
Nowoczesny zakład na stracenie	198
Początki prywatyzacji na przykładzie	198
Skazani na upadek	199
 T. KARWOWSKI WALCZY NADAL	201
Organizujemy podziemie	201
Szykany	201
Trzydziestu pięciu radykałów	202
Reaktywacja NSZZ „Solidarność”	202
Przejmujemy maszynę poligraficzną z Tychów	202
Janek Górny wpadł	202
Msza „Za Ojczyznę” u ks. J. Siemińskiego	203
Manipulacje przed rozmowami Okrągłego Stołu	203
Zjazd podziemnej „Solidarności”	203
Stawiamy na Alojzego Pietrzyka	203
Siła złego na jednego	204

MOJA DROGA DO SOLIDARNOŚCI

Początek solidarnościowej rewolucji obserwowałem z Austrii, gdzie przebywałem na kursie językowym, zorganizowanym przez Lonny Glaser w ramach pomocy Pax Christi – organizacji świeckich katolików – dla Kościoła w Polsce.

Frau Lonny Glaser, austriacka arystokratka, siostra prokuratora generalnego Republiki Austrii, pochodziła z Bielska. Jej dziadkowie mieli tam majątek. Po śmierci rodziców wychowywała ją babcia, a potem siostra zakonna Janina Wizer, córka powstańca śląskiego, przełożoną internatu w klasztornej szkole sióstr szkolnych w Bielsku-Białej. „Matka Janina”, jak ją nazywała Frau Glaser, wywarła ogromny wpływ na jej życie.

Jako wyraz wdzięczności Lonny Glaser założyła po latach w Wiedniu, w 1957 r., Instytut Katolicki, mający zajmować się statutowo pomocą katolikom w Polsce i nazwała go „Janineum”.



W roku 2008 Lonny Glaser otrzymała tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Na zdjęciu rektor UJ prof. Karol Musioł wręcza jej dyplom z tytułem. zdj.: [:/Lonny%20Glaser%20-%20doktorat%20hc..pdf](http://Lonny%20Glaser%20-%20doktorat%20hc..pdf),

Nie mieliśmy swoich elit

Myśl o założeniu Instytutu Katolickiego zrodziła się podczas pierwszego jej spotkania z prymasem Stefanem Wyszyńskim. Jak opowiadała, to Kardynał podsunął jej pomysł organizowania kursów językowych dla młodych katolików. Na pytanie, co katolicy austriaccy mogą zrobić dla Kościoła w Polsce, odpowiedział:

– Ubrań nie potrzebujemy – powiedział. – Myślę o przyszłości. Ten system niedługo się zawali. Komuniści kształcą swoje dzieci na najlepszych zachodnich uczelniach, za amerykańskie stypendia, katolicy nie mają takich możliwości. Może się okazać, że po upadku komunizmu zostaniemy bez swojej inteligencji, bez swoich elit, bez przywódców, bez kontaktów na Zachodzie. Pomóżcie nam wyrównywać szanse.

Instytut Katolicki „Janineum” fundował nie tylko stypendia językowe. Na okresowe naukowe i kulturowe stypendia zapraszał do Austrii również artystów, pisarzy, teologów, naukowców i dziennikarzy.

(Ciekawy przyczynek do spiskowej teorii dziejów. Na ile ta pomoc była bezinteresowna, a na ile świadomie wykorzystywana przez zachodnie kręgi polityczne do demontażu systemu sowieckiego?)

Nabór odbywał się na zasadzie znajomości. Jeździli tam ludzie z kręgów bliskich kurii krakowskiej, warszawskiej i innym oraz różne pociotki dobrze na Zachodzie umocowanych księży. Ja dostałem stypendium dzięki ks. dr. Richardowi Kijowskiemu, któremu organizowałem kiedyś w Duszpasterstwie Akademickim w Gliwicach spotkania filozoficzne. Jak to w Polsce.

Ks. dr R. Kijowski załatwił osobiście trzy miejsca dla wychowanków Duszpasterstwa Akademickiego w Gliwicach.

Razem ze mną pojechała Aniela Dylus, dziś profesor teologii na Uniwersytecie Stefana Kardynała Wyszyńskiego w Warszawie i Krzysztof Pawłowski, dziś profesor filozofii na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Krzysztof wtedy był jeszcze niewierzący, a ściśle biorąc nie był wierzącym katolikiem, nawet nie wiem, czy był ochrzczony. Pozostawał pod wpływem nauk wykładowcy Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Leona Cyborana, filozofa, historyka filozofii indyjskiej, głównie jogi klasycznej. Krzysztof uprawiał jakieś hinduistyczne medytacje. Po studiach w Politechnice im. W. Pstrowskiego w Gliwicach (dziś Politechnika Śląska) pojechał do Indii i tam przez chyba pięć lat medytował w jakimś hinduistycznym uniwersytecie.

Na kurs językowy do Wiednia skierował Krzysztofa nasz duszpasterz akademicki ks. Herbert Hlubek, zafascynowany jego bezwzględным poszukiwaniem prawdy. Nie pożałował, bo w Indiach Krzysztof nawrócił się na chrześcijaństwo, chyba nawet na katolicyzm. Na takie chrześcijaństwo i taki katolicyzm, jakie możliwe są u świeżo nawróconego hinduisty.

Siostra M. Pawlik ze Zgromadzenia Sióstr Dominikanek Misjonarek Jezusa i Maryi przed wstąpieniem do zgromadzenia, w latach 1967–1980, pracowała w Indiach jako pielęgniarka. W wywiadzie dla portalu Fronda.pl, opowiedziała o werbowaniu młodych ludzi, zafascynowanych religiami Dalekiego Wschodu, przez wywiad PRL:

(...) książki o Krisznie czy Buddzie w czasach PRL-u przedostawały się do Polski głównie „drugim obiegiem”, ponieważ oficjalnie system komunistyczny niby walczył z przejawami religijności, a jednocześnie „zaufani” we współpracy z MSW już w latach 70. XX w. wyjeżdżali do Indii, gdzie mieli hinduistyczne szkolenia w aśramach – tamtejszych ośrodkach kultu. Selekcję kandydatów na te szkolenia prowadził m.in. urzędnik ds. wyznań, rezydujący w Polskim Konsulacie w Bombaju. On też tam prowadził Bibliotekę Polsko-Indyjską i drukował w/w falsyfikaty Wandy Dynowskiej (i nie tylko jej), które wysyłał do Lichtensteinu, a stamtąd sprowadzało je Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Indyjskiej (TPPI) w Warszawie, do którego przed wyjazdem do Indii sama się zapisałam, nie podejrzewając, co się za tym kryje, gdyż kierownikiem TPPI był wówczas prezes warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej. Stąd książki z Lichtenstein wypożyczali również księża i inni katolicy. Tak szło wschodnie „pranie mózgu”

(...) Tak, było to w 1973 r. w Bombaju, kiedy starałam się w urzędzie konsularnym o przedłużenie paszportu na pięć lat. Maurycy Frydman, który pełnił wówczas funkcję urzędnika ds. wyznań w MSW, zaproponował mi dobrze opłacaną współpracę. Byłam wtedy młodą kobietą, miałam 35 lat, więc na początku rozmowy dokładnie mnie wypytał, dla jakiej to sprawy tak się poświęcam. Ja argumentowałam, że mój zawód mnie do tego skłania. A on wtedy zaczął mnie przekonywać, żebym się przyłączyła do działań na rzecz szerzenia w Polsce wschodnich religii, „aby Polacy nie byli skazani na chrześcijaństwo” – argumentował.

Bardzo mnie zaskoczyło to, co usłyszałam. Przecież z taką żarliwością komuniści wtłaczali nam pogląd, że każda religia to opium... A tu raptem urzędnik ds. wyznań, który aby należeć do partii i zajmować takie stanowisko, musiał się zadeklarować jako ateista, teraz chce szerzyć w Polsce różne religie! Odpowiedziałam mu, że Polacy nie są skazani na chrześcijaństwo, tylko na ateizm. A on na to: „Ateizm jest dobry dla ludzi, którym wystarczy miska i łóżko... A człowiek myślący zastanawia się, skąd się wziął, dokąd zmierza, jaki jest sens życia itp.... A na te tematy odpowiedź dają różne religie - nie muszą być chrześcijańskie, więc niech Polak ma możliwość wyboru!”.

s. Michaela (Zofia) Pawlik

za: <http://www.frona.pl/a/s-michaela-pawlik-miazdzili-mnie-roznymi-oszczerstwami,34612.html>

Poznałem Andrzeja Szyję

W Wiedniu poznałem Andrzeja Szyję z Duszpasterstwa Akademickiego w Katowicach, prowadzonego przez Halinę Bortnowską z krakowskiego miesięcznika „Znak”, publicystki też „Tygodnika Powszechnego”. Andrzej był rzadkim przypadkiem człowieka, co do którego po dwóch czy trzech spotkaniach ma się pełne zaufanie. Typowy Górnolazak, prostolinijny, na pozór chłodny, trzeźwo kalkulujący, w rzeczywistości wewnątrz aż kipiący z emocji. Wystarczyła niekiedy iskra, aby wybuchnął. W pewnym momencie sam, niechcący zdetonowałem taki wybuch, już nie pamiętam czym. Byliśmy sami, a on zaczął wygrażać nie wiadomo komu.

– Dlaczego u nas ludzie nie mogą żyć tak jak tutaj? Czym są gorsi? Gorzej pracują? Czym myśmy zawiniłi?–

Machał mi ręką przed oczami, wręcz krzyczał.

Był człowiekiem niezwyklej szlachetności, gorącej wiary, zaangażowanym w życie Kościoła. Pracował na stanowisku kierownika działu budownictwa mieszkaniowego w Hucie Ferrum w Katowicach. Fala solidarnościowa wyniosła go wysoko. Został członkiem prezydium wybranego w ostatnich dniach sierpnia 1981 r. Zarządu Regionu Śląsko-Dąbrowskiego NSZZ Solidarność. Podlegała mu prasa związkowa.

Zachód nie był dla mnie

Był rok 1980. O wydarzeniach sierpniowych pierwsza relacjonowała nam Frau Glaser. Mówiła niewiele, bo i sama niewiele wiedziała, ale emocje wśród nas poszybowały. Mieszkało nas tam, w Wiedniu, w willi przy Auhofstrasse 8, ponad setka Polaków. O strajkach rozlewających się na cały kraj wiedzieliśmy może więcej niż rodacy w kraju, gdyż na czołówkach gazet trąbiła o nich austriacka prasa, ale i tak niewiele, by zorientować się, co się naprawdę dzieje. Utkwił mi w pamięci jeden tytuł ze względu na zwrot językowy, którego nie potrafiłem przetłumaczyć na język polski, tzn. nie tyle utkwiał mi w pamięci sam zwrot, co jego sens. Coś takiego, jak „wymiatanie na szczytach” (Rollen an der Spitze).

Początkowo usiłowano ugasić bunt robotników obciążając winą za „chwilowe trudności gospodarcze” (szampowy zwrot w tych czasach) kogoś z rządu lub Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej (PZPR). Austriackie gazety zastanawiały się nad prawdopodobieństwem użycia wojska i milicji do stłumienia strajków, kiedy więc przyszło mam pod koniec sierpnia wracać do Polski, wielu uczestników kursu zaczęło

poważnie rozważać możliwość pozostania na Zachodzie. Ilu pozostało, nie wiem. Ja nie miałem wątpliwości, że warto wracać.

Okazało się, że za tymi działaniami stoi organizacja Ordo Templi Orientis (OTO) - Zakon Świątyni Wschodu. Stawiają sobie oni właśnie za cel rozpowszechnianie dawnych religii. Ordo Templi Orientis zobowiązało się finansować utrzymanie w aśramach dla tych, którzy podejmą się nauczać tych religii w Polsce. Na tych samych warunkach przechodzili szkolenia kandydaci z ZSRR.

(...) Moją rolą miało być zapraszanie wybranych przez nich kandydatów na placówkę misyjną, by dopiero na miejscu organizatorzy mogli omówić z ochotnikami warunki współpracy i skierować ich do odpowiedniego aśramu. Ich rodziny nie podejrzewałyby nawet, że ci ludzie nie pracują na placówce misyjnej. Frydman zapewniał mnie, że pieniądze będą mi przysyłać na konto w Lichtensteinie, by ani w Polsce ani w Indiach nikt się o mojej współpracy nie dowiedział. Powiedział, że chcą przeszkolić ok. 60 ludzi rocznie.

Zapytałam, dlaczego sam ich nie zaprosi, zamiast mnie płacić. Ten odparł tak: „My chcemy młodzież wierzącą, bo niewierzących nie będzie interesować żadna religia. A jeżeli w Polsce jest młodzież wierząca, to ma wierzących rodziców, więc jak ja zaproszę, to rodzice będą swoją młodzież pytać, po co ten komunista cię zaprasza? A jak pani zaprosi – to na misje!”

S. Michaela (Zofia) Pawlik

<http://www.frona.pl/a/s-michaela-pawlik-miazdzyli-mnie-roznymi-oszczerstwami,34612.html>

Nie widziałem na Zachodzie miejsca dla siebie. Dla mnie najważniejsze były więzi międzyludzkie, a te wtedy w kręgach katolickich w Polsce były – m.in. dzięki Duszpasterstwu Akademickiemu – na jakościowo wyższym poziomie niż na Zachodzie, o wiele głębsze. Tak mi się przynajmniej wtedy wydawało.

Nie potrafiłem sobie wyobrazić samo-tnego weekendu gdzieś we Frankfurcie nad Menem. Co? Siadę gdzieś w knajpie, zamówię piwo i będę przypatrywał się przechodniom na ulicy? Poszukam nowych znajomości? Gdzie?

Rozruchów w kraju nie bałem się, raczej witałem je z nadzieją na otwarcie też jakichś nowych szans dla siebie.

W pociągu zastanawialiśmy się czy w kraju na ulicach zastaniemy czołgi. Nie czułem lęku bo –

przekonywałem sam siebie – dlaczego by mnie mieli aresztować? Zdążyłem na podpisanie Umów sierpniowych. Lech Wałęsa z Matką Bożą w klapie i ogromnym długopisem w ręce.

DUSZPASTERSTWO AKADEMICKIE

W sierpniu 1980 r. już od pięciu lat pracowałem zawodowo, ale z Duszpasterstwem Akademickim (DA) w Gliwicach, prowadzonym przez ks. Herberta Hlubka, wciąż utrzymywałem bliskie kontakty. Byłem jeszcze stanu wolnego, koleżanki i koledzy z duszpasterstwa stanowili moje środowisko życiowe.

Do DA trafiłem na drugim albo trzecim roku studiów górniczych w Gliwicach. Przyciągnęły mnie wykłady z etyki ks. H. Hlubka, które głosił co tydzień w małym kościółku p.w. św. Michała Archaniola w samym środku dzielnicy akademickiej. Ściągały masę słuchaczy, wierzących i niewierzących, kościółek zawsze był wypełniony po brzegi.

Ich powodzenie brało się z tego, że prezentował w nich szersze i świeższe spojrzenie na relacje międzyludzkie, odnosząc się bardziej do relacji międzyosobowych niż społecznych, jak w nauczanej wtedy w szkołach doktrynie walki klas. W tej doktrynie zresztą nie było nic o bezpośrednich relacjach międzyosobowych.

Po wykładach przechodziliśmy do salki przykościelnej na dyskusje. Były one żywe, nie-kiedy wręcz gorące, a przede wszystkim autentyczne. To pociągało w tamtych czasach, kiedy publiczne dyskusje sprowadzały się do wygłaszania drętowych ideologicznych sloganów.

W duszpasterstwie spotykaliśmy się nie tylko na cotygodniowych wykładach ks. Hlubka, ale również na rozmaitych imprezach z najróżniejszych okazji – imienin, urodzin, oblewania dyplomów, również wesel koleżanek i kolegów.

Spędzaliśmy wspólnie wakacje i ferie zimowe na rozmaitych obozach, spotykaliśmy się w akademikach na wspólnym czytaniu Pisma św., wyjeżdżaliśmy wspólnie na prelekcje ciekawych ludzi do innych ośrodków akademickich, na wykłady ks. Józefa Tischnera do Krakowa itd.

Sądziliśmy, że tworzymy prawdziwą chrześcijańską wspólnotę, jak w początkach chrześcijaństwa. Przynajmniej tak siebie identyfikowaliśmy. Słowo „wspólnota” miało nas określać i wyjaśnić charakter naszych więzi. Z czasem miało się okazać, że na tym świecie nie ma idealnych bytów społecznych.

Ks. H. Hlubek, którego dla konspiracji przed agentami SB nazywaliśmy „Szefem”, robił wszyst-

ko, aby nas powstrzymać od angażowania się w działalność opozycyjną, ale nadaremnie. Jeszcze przed wybuchem strajków sierpniowych w 1980 r. „Bibuła”, czyli wydawnictwa publi-kowane bez zezwolenia cenzury (bez „debitu”), krążyły wśród nas jak w żadnym innym środowisku. Niektórzy zgromadzili całkiem spore biblioteki nielegalnej literatury.

Nie angażowaliśmy się wprawdzie w działalność opozycyjną jako wspólnota, zespołowo, ale każdy indywidualnie w swoim środowisku. Studenci – w powstałym we wrześniu 1980 r. Niezależnym Zrzeszeniu Studentów (NZS), absolwenci – w komitetach strajkowych albo samorządzie pracowniczym, a ja – w prasie związkowej.

Przemyt Biblii

Myśmy wtedy już mieli doświadczenie z działalnością opozycyjną. W 1975 r. dwóch naszych kolegów zostało uwięzionych za przemyt nielegalnej literatury. Zaczęło się to tak: Józek zaangażował się w działalność ekumeniczną. Uczęszczali z Włodkiem na spotkania modlitewne w parafii ewangelicko-augsburskiej, zarządzanej przez małżeństwo Królów (imion nie znam). Tam po raz pierwszy zetknęli się z charyzmatykami i tzw. wylaniem Ducha Świętego. Polegało to m.in. na tym, że uczestnicy spotkania modlitewnego głośno wyrażali swoje najbardziej osobiste, intymne pragnienia i w efekcie – „zstępował na nich Duch Święty”, uzdrawiając z lęków, urazów i nienawiści.

Nawiązywali w ten sposób do Ewangelii, do Dziejów Apostolskich, gdzie „zstąpienie Ducha Świętego” stanowiło znak przyjęcia do wspólnoty, jakby duchowy chrzest adeptów.

Nigdy nie mogłem się zdobyć na uczestnictwo w takim „wylaniu Ducha Świętego”, zbyt to dla mnie załatywało ekshibicjonizmem. Nie mogłem się przezwyciężyć. Nie umiałem publicznie, w obecności wielu, nawet życzliwych osób, mówić o swoich osobistych, wewnętrznych, intymnych problemach. Mam w duszy taką ścianę, za którą znajduje się pomieszczenie, do którego nikogo nie wpuszczam. Dodam – i wydaje mi się to ważne – że z natury jestem człowiekiem otwartym, lubiącym zwierzać się ze swoich problemów i oczekującym pomocy innych w ich rozwią-zywaniu. Są jednak granice.

Nasz duszpasterz również miał negatywny stosunek do takich emocjonalnych form pobożności. Z wykształcenia i zamiłowania był filozofem. Pozostawał pod wpływem suchego, racjonalnego myślenia, jakie zaszczerpił mu jego mistrz ks. prof. Kazimierz Kłósak.

Z tradycji protestanckiej „Szeף” wziął natomiast zwyczaj wspólnego, w małych kręgach, czytania i komentowania Biblii, i próbował to u nas zaszczerpić. Nazywało się to „kręgi biblijne”. Ja i w tym czułem się obco, choć w wielu takich spotkaniach uczestniczyłem.

Czytaliśmy jakiś fragment Pisma św. i potem dzielili własnymi prze-myśleniami, do jakich nas fragment zainspirował. To miało być coś w rodzaju „dawania świadectwa”, zwierzenia się, jak ten fragment wpłynął na własne życie, na postawę życiową. W praktyce sprowadzało się to zwykle do mądrzenia się na jego temat. Dyskusję zawłaszczwał uczestnik, który więcej wiedział lub więcej przeczytał. I zwykle nie mówił o swoich doświadczeniach ale o teologii, dotyczącej omawianego fragmentu.

Te „kręgi biblijne”, dla mnie mocno nieautentyczne, kontynuowano w naszym środowisku gliwickiego Duszpasterstwa jeszcze długie lata, ale beze mnie.

Tam, u luteranów, Józek zapoznał się z jakimiś baptystami, którzy organizowali przemyt Biblii do Związku Radzieckiego. Szukali na kurierów ludzi nowych, którzy jeszcze nie wyjeżdżali za granicę, gdyż na takich celnicy patrzyli mniej podejrzliwie.

Z tego, co wiem, a z pewnością nie wiem wszystkiego, Józek z torbą pełną Pisma św. pojechał tam pierwszy. Nie podaję jego nazwiska, gdyż nie spytałem go o zgodę. Dawno temu wstąpił do zakonu dominikanów i odtąd już sam nie może mi takiej zgody udzielić, musiałby spytać przełożonych. Nie wydaje mi się to istotne.

Józek namówił Włodka (obecnie benedyktyna, z tych samych powodów nie podaję nazwiska), a Włodek próbował namówić mnie. Nie odważyłem się. Nie bałem się więzienia ani bicia w śledztwie, paraliżowała mnie świadomość, że w razie wpadki wyleją mnie ze studiów. Nie potrafiłbym znieść komentarzy w rodzinnej wiosce.

Dzisiaj myślę, że może dobrze postąpiłem. Dostarczali Pisma Św. jakiemuś pastrowi baptystów na Ukrainie. Pastorem baptystów na Ukrainie jest Ołeksandr Turczynow, nadzwyczajna kanalia polityczna, były pułkownik KGB. Jeśli to on był adresatem tych transportów, to nie wierzę, że nie meldował o nich zwierzchnikom. Ale... może tylko usprawiedliwiam się?

W zamian za przemykanie Biblii baptysci załatwili Włodkowi pracę wakacyjną na Zachodzie. Pracował na stacji paliw. Przelicznik dewizowy wówczas był taki, że za dwa - trzy lata pracy tam można było w Polsce kupić mieszkanie.



Ks. Herbert Hlubek (w okularach z lewej) podczas dyskusji z wychowankami. Na pobyty wakacyjne wynajmowaliśmy proste wiejskie chaty. Bywało ciasno. Sypialiśmy pokodem na podłodze, rano zwiłaliśmy sienniki i większa izba przemieniała się w jadalnię, a potem w kaplicę i salę konferencyjną. Program pobytu podzielony był na trzy bloki: liturgiczny (Msza św. i wspólne modlitwy brewiarzowe), turystyczny (wędrowki i zwiedzanie zabytków) oraz samokształceniowy (czytanie dzieł filozoficznych lub teologicznych oraz dyskusje). W zależności od pogody poszerzeniu ulegał blok turystyczny kosztem samokształceniowego lub odwrotnie. Dyskusje filozoficzne i teologiczne prowadziliśmy prawie nieustannie – wieczorem przy ognisku, na trasie rajdu, w czasie przerw na spływie kajakowym, a najczęściej w ramach „programu” – po głośnej lekturze książki przywiezionej przez „Szefa”, jak go nazywaliśmy. zdj. Andrzej Plewa

Przemyt literatury emigracyjnej

Na Zachodzie, w Austrii, jeśli dobrze pamiętam, Włodek nawiązał kontakt z jakimś właścicielem księgarni, handlującym literaturą emigracyjną. Postanowił trochę tych książek, autorstwa Aleksandra Sołżenicyna, Czesława Miłosza i im podobnych, Sprowadzić do Polski. Wracał przez Węgry i Czechosłowację, na granicach austriacko-czechosłowackiej i węgiersko-czechosłowackiej nie sprawdzali mu bagażu, gdyż jechał tranzytem. Zostawił książki w Czechosłowacji u znajomego zielonoświątkowca w jakiejś miejscowości przygranicznej w okolicach Wisły.

Plan był taki, że znajomy przyniesie książki w plecaku na szlak graniczny w górach, tam się spotkają, wymienią plecaki i będzie po kłopotach. Włodek jednak coś skusiło. Wybrał się z kolegą, (też Józkiem, ale nie tym, który przemyczał Biblię do ZSRR) rozeznac trasę i tam, w górach, postanowili zejść do Czechosłowacji i zabrać książki. Wydawało się to pozbawione ryzyka, turyści wchodzili w góry i schodzili po obu

stronach granicy. Miejscowość jednak po czechkiej stronie, gdzie Włodek zostawił książki, nie była zbyt duża. Milicjant, pijący piwo w lokalnej knajpie zwrócił uwagę na dwóch młodych mężczyzn, którzy przyszli z gór i potem wracali tą samą trasą. Wsiadł na motor, dogonił ich i wylegitymował.

Siedzieli pół roku. W ich uwolnienie bezskutecznie angażowali się księża i sympatyzujący z Kościołem notable. Matka Włodek, kobieta o kruczoczarnych włosach, dokumentnie w tym czasie osiwała. Skazano ich na pół roku więzienia, zaliczając na poczet kary aresztu, i zwolniono warunkowo. Mieli przepracować rok na stanowiskach fizycznych w państwowym zakładzie pracy. Tak zrobili.

Potem obydwaj przenieśli się do Krakowa, Włodek, który studiował wcześniej fizykę na politechnice gliwickiej przeniósł się na fizykę na Uniwersytet Jagielloński, Józek (przeżywaliśmy go Azja, gdyż z wyglądu przypominał Tuchajbejowicza z filmu „Ogniem i Mieczem”), który studiował polonistykę na Uniwersytecie Śląskim został przyjęty na ten sam kierunek również na UJ-ocie.

W Krakowie panowała znacznie większa swoboda, pracownicy naukowcy uczelni nie drżeli tak o swoje stanowiska jak na Górnym Śląsku.

Z opowieści Józka-Azji wiele dowiedzieliśmy się, w jakim kraju żyjemy:

– *Przesłuchiwał mnie prokurator z Gliwic, zawsze w obecności esbeka. Kiedyś biegał się nad sformułowaniami do protokołu przesłuchań i esbek nie wytrzymał. – Pisz – krzyknął – i zaczął mu dyktować. I ten prokurator pisał, tak jak mu esbek dyktował!*

Pozycję i rolę prokuratury ujawniła rozprawa sądowa. Na zarzut, że przemycali zakazane dzieła, Józek-Azja odpowiedział, że przecież utwory Czesława Miłosza omawiali na zajęciach.



Jedno ze spotkań absolwentów gliwickiego DA pod koniec ubiegłego wieku. Obok o. Włodzimierza, benedyktyna z Tyńca, siedzi Janusz Kurek. Obydwaj zaangażowani byli w działalność opozycyjną. zdj. Andrzej Plewa

– *Na zajęciach to można* – usłyszał w odpowiedzi – *ale tak sobie czytać, to nie.*

Na pozór prokuratorzy w tamtych czasach to były figury, panowie życia i śmierci, w rzeczywistości – tylko gnojki, poszturchiwane przez ciemnych typów z SB.

Po latach, kiedy Czesław Miłosz wrócił do Polski, napisałem do niego z prośbą, by jakoś zrewanżował się chłopakom za to, co dla niego, dla jego dzieł wycierpeli. Wydawało mi się to jakoś nieadekwatne – jeden pisze utwory, niechby nawet bardzo dobre a ktoś inny dostaje po grzbiecie za to, że je czyta albo daje innym do czytania. Poeta – wydawało mi się – powinien czuć ciężar

odpowiedzialności za los kolporterów i czytelników.

Cz. Miłosz ograniczył się do krótkich listownych podziękowań. Tak dzisiaj zastanawiam się, czy nawet wielka literatura warta jest, by za nią siedzieć?

Zaangażowanie w DA blokowało karierę

W gliwickiej politechnice znalazło zatrudnienie kilkoro koleżanek i kolegów z Duszpasterstwa Akademickiego, nawet tych mocno zaangażowanych. Dzisiaj są profesorami. Innym zaangażowanie to załamało karierę.

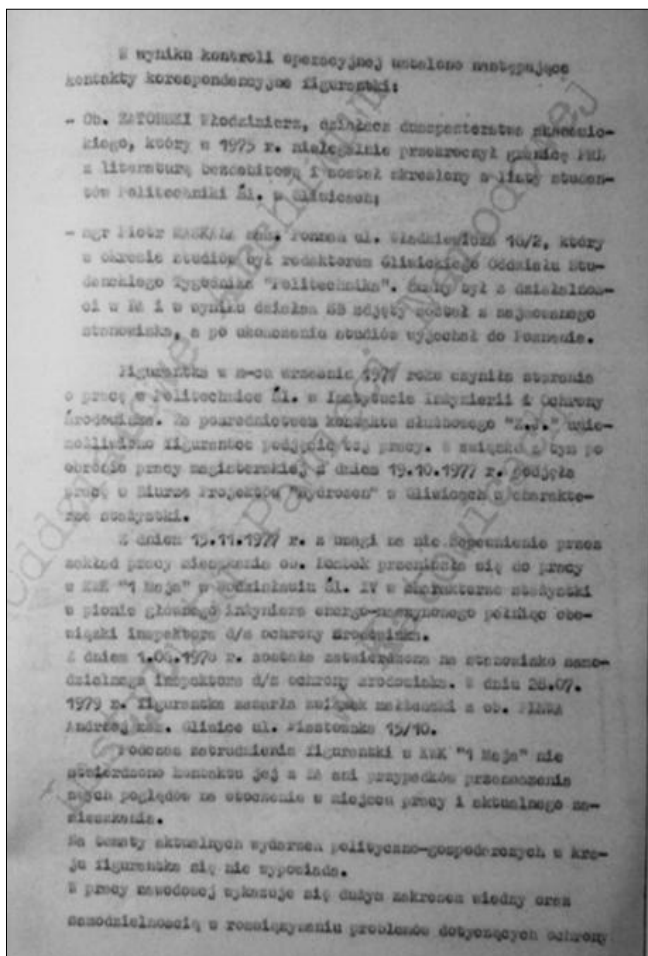
Teresa Dombek (dziś Plewa) z wydziału inżynierii sanitarnej na pewno nie była i nadal nie jest osobą, której można zarzucić jakieś ciągoty polityczne. Nie interesowała jej działalność podziemna, nawet nie lubiła, kiedy podczas naszych spotkań, obozów czy rajdów podejmowaliśmy tematy polityczne.

Wolała zaangażowanie czysto chrześcijańskie. Organizowała grupy modlitewne, występowała na jakichś katolickich sympozjach dotyczących życia chrześcijańskiego i przekazywania wiary. Brała, z koleżanką, dyżury w świetlicy dla dzieci

trudnych. Pilnowały ich tam, udzielały Korepetycji, zabawiały. Społecznie! Dziś powiezielibyśmy – charytatywnie.

O politykę mogło zahaczać co najwyżej zaangażowanie Teresy w obronę życia poczętego, a jednak właśnie ją SB wzięło na cel. Być może to tylko kwestia przypadku – obecności donosiciela w najbliższym otoczeniu. Esbecy nadali jej sprawie kryptonim „Szefowa”.

Dobrze się uczyła. Promotorka pracy magisterskiej, prof. Maria Zdybyszewska, zaproponowała jej pracę na uczelni. Wtedy wypłynęła sprawa zaangażowania w DA. Przypadkowo, przebywając w laboratorium, usłyszała przez niedomknięte drzwi rozmowę telefoniczną promotorki.



Fragment raportu z inwigilacji Teresy Dombek. Informacja o ojcu Włodzimierzu Zatorskim zgodna z prawdą, informacja na mój temat zagadkowa. Z kierowania Gliwickim Oddziałem Redakcji Tygodnika Studenckiego „Politechnik” zrezygnowałem dobrowolnie, a nie w „wyniku działań SB”. To był tygodnik studencki, redagowany przez studentów dla studentów, kierownik oddziału po ukończeniu studiów przekazywał pałeczkę swojemu następcy – koledze młodszemu studentowi. W tych czasach do SB (Służby Bezpieczeństwa) przyjmowali się ludzie zupełnie bezideowi, kierujący się wyłącznie pragnieniem wygodnego życia i łatwych a dużych zarobków. Pisali raporty tak, aby pokazać, że nie biorą pieniędzy za darmo. Mogli ubarwiać swoje działania, byle tylko nie ryzykować, że to się wyda. Jeżeli zrezygnowałem z kierowania oddziałem, to nic nie ryzykowali, przypisując to swoim „działaniom”. Niestety, informacja o uniemożliwieniu Teresie pracy w Instytucie Inżynierii i Ochrony Środowiska odpowiada prawdzie. Zagadkowa jest sprawa mojego adresu. Pracowałem wtedy w redakcji dominikańskiego miesięcznika „W drodze” w Poznaniu. Autor donosu znał mój adres w Poznaniu, a nie wiedział, gdzie pracuję?

– Co? Grupy modlitewne? Duszpasterstwo? No tak, to ją wyklucza.

Teresa miała potem duże problemy w ogóle z zatrudnieniem. Przyjęli ją do pracy w Dziale Ochrony Środowiska w kopalni „1 Maja” w Wodzisławiu Śląskim. Po kilku dniach wezwał ją do siebie przełożony, główny inżynier energetyczny, aby powiedzieć, że narobiła mu kłopotów.

– Gdybym wcześniej dostał te papiery na pani temat, to bym pani nie zatrudnił.

Nawet dzisiaj trudno wyjaśnić, dlaczego właśnie ją tępilli, a wielu innych z DA spokojnie robiło kariery. Może tylko tak, że SB była nastawiona na zapobiegawcze tępienie wszelkich osób z autorytetem, które mogłyby w przyszłości przejąć funkcję liderów katolickich. Księżom wszystkim zakładano teczkę i obejmowano obserwacją.

„POLITECHNIK” – TROCHĘ NIEZALEŻNY

Studia na wydziale górniczym Politechniki im. Wincentego Pszostowskiego w Gliwicach (dziś Politechnice Śląskiej) podjąłem w 1970 r. z przyczyn, nazwijmy to, bytowych – górnictwo zapewniało dobre zarobki oraz stosunkowo szybki przydział mieszkania – marzyłem jednak o dziennikarstwie. We wczesnym dzieciństwie, kiedy pytali mnie, kim chcę zostać, nie potrafiłem zdecydować się. Sąsiadka, kobieta o bardzo otwartym umyśle, odpowiedziała mi, że dziennikarstwo to ciekawa praca, bo pozwala być świadkiem ważnych wydarzeń. Tak sobie jej radę wziąłem do serca, że aż do wieku dorosłego byłem przekonany, że ta profesja daje szansę na najpełniejszy rozwój osobowości.

Nie miałem pojęcia, że dziennikarstwo to intelektualne i moralne kurestwo, że dziennikarz nie służy prawdzie, lecz mocodawcom, którzy płacą mu pensję.

Kiedy na pierwszym, albo drugim, roku studiów przeczytałem ogłoszenie o naborze dziennikarzy-studentów do gliwickiego oddziału Tygodnika Studenckiego „Politechnik”, zgłosiłem się natychmiast. Szefem oddziału był Piotr Król, bardzo wysoko już usytuowany w hierarchii partyjnej, chyba nawet członek Komitetu Centralnego. Najlepszym publicystą w oddziale był wtedy Marek Samotyja, publikujący już w czasopiśmie ogólnopolskich. Od nich uczyłem się dziennikarstwa.

„Politechnik” był pismem studentów uczelni technicznych. Studenci uczelni humanistycznych mieli swój tygodnik „Student”, a medycy – „Nowego Medyka”, jeśli dobrze pamiętam nazwę tego ostatniego.

Te pisma miały z założenia stanowić coś w rodzaju szkółek dziennikarskich dla studentów o szerszych aspiracjach niż tylko zawodowe, którzy chcieli, poprzez swoje teksty wpływać na sprawy społeczne (tacy studenci też wtedy byli!).

„Politechnik” nawiązywał do pisma studenckiego o tej samej nazwie, ukazującego się przed wojną w Warszawie. Przed wojną słowo „politechnik”

oznaczało po prostu studenta uczelni technicznej. Za moich czasów „Politechnik” był chyba jedynym pismem wydawanym poza partyjnym koncernem Prasa-Książka-Ruch. Legitymizował go – jako wydawca – rektor Politechniki Warszawskiej, a my, młodzi studenci redaktorzy, mieliśmy sobie za coś fakt, że funkcjonujemy poza partyjną strukturą wydawniczą. Wydawało nam się, że jesteśmy przez to trochę bardziej niezależni.

Zostaję szefem

Mieliśmy lokal redakcyjny w budynku politechniki nad Klubem Studenckim „Spirala”, w którym kilka lat wcześniej brylował Wojciech Pszoniak. Co rok ogłaszaliśmy nabór młodych dziennikarzy i organizowaliśmy w lokalu redakcyjnym szkolenia. Przychodziło na pierwsze spotkanie kilkunastu studentów, po krótkim czasie okazywało się, że jako tako formułować myśli na papierze potrafi jeden albo nawet żaden..

W gliwickim oddziale „Politechnika” przekazywanie kierownictwa odbywało się zwyczajnie: szef kończący studia przekazywał pałeczkę młodszemu koledze – też studentowi politechniki. Na mnie trafiło przypadkiem, bo partyjnym nie byłem, a na dodatek... Górnoślązak.

Nie pamiętam już, czy nominował mnie Leszek L. (nazwisko zapomniałem), czy Wojciech Błoński. Wojciech ukończył wydział mechaniczno-energetyczny i potem przez kilkadziesiąt lat redagował branżowy miesięcznik „Energetyk”. Chyba nie było wtedy w oddziale nikogo innego z doświadczeniem redakcyjnym. Myślę, że sądzili, iż kiedy z kolei ja odejdę, przekażę władzę ich przyjacielowi, Staszek mu było na imię, ale nazwiska też już nie pamiętam. Sprzeniewierzyłem się ich oczekiwaniom i czuję się z tego powodu trochę nie w porządku, ale nie żałuję.

Pałeczkę przekazałem Michałowi Smolorzowi, gdyż widziałem, że jest znacznie lepszym dziennikarzem, a poza tym – „swój”, Ślązak, czy Górnoślązak, jak kto woli, i górnik. Studiował na tym samym wydziale – maszyny górnicze, jeśli dobrze pamiętam. Był to strzał w dziesiątkę. Michał zaszedł potem wysoko jako publicysta, reżyser i redaktor telewizyjny, a w końcu założyciel studia filmowego.

Poznaję ciekawych ludzi

„Politechnik” miał oddziały redakcji przy chyba wszystkich uczelniach technicznych w Polsce. Co miesiąc spotykaliśmy się – kierownicy lokalnych oddziałów – w Warszawie na kolegiach redakcyjnych w Domu Studenckim Riwiera. Mnie one

bardzo dużo dawały, bo tam zjeżdżali się kierownicy oddziałów z całej Polski, ze wszystkich ośrodków akademickich, w których istniały uczelnie techniczne.

Na tych spotkaniach nie obowiązywały jakieś obostrzenia ideologiczne. W redagowanie tygodnika angażowali się zarówno aparaczczy partyjni, nie ukrywający, że chodzi im o karierę, jak również ideowi członkowie partii, a nawet otwarci wrogowie Systemu.

Przyjeżdżał Rysiek Naleszkiewicz, działacz partyjny, który stanowił obiekt kpin całego zespołu, ale on nie przejmował się tym – widocznie te dyskusje redakcyjne były mu potrzebne. Spotkałem go wiele lat później, gdy był doradcą premiera Leszka Millera. Niedługo po tym spotkaniu został dyrektorem Totalizatora Sportowego, bez wątpienia z kosmiczną pensją.

Józefina Hryniewicz, dzisiaj już pani profesor, bliska współpracownica Jarosława Kaczyńskiego, też była w partii, ale w zgodnej opinii zespołu redakcyjnego, wstąpiła do niej ze względów ideowych. Jest socjologiem, całe życie, jak ją znam, angażowała się po stronie najuboższych. Lubilem ją. Ciekawe, jaki wpływ miała na wprowadzenie 500+?

Marek Hołyński, syn zdaje się jakiegoś generała Ludowego Wojska Polskiego, był „komandosem”, z tych to „komandosów”, co przychodzili na zebrania partyjne i zadawali niewygodne pytania. Raz byłem świadkiem takiego zabójczego pytania na jakimś sympozjum, zorganizowanym przez redakcję w Warszawie. Postawił prelegenta pod ścianą – cokolwiek by ten nie odpowiedział, musiał się skompromitować. Był to, jeśli dobrze pamiętam, cenzor z warszawskiej cenzury.

– *Jeżeli Edward Gierek, I sekretarz partii – spytał Marek – mówi, że będą znoszone niektóre zapisy cenzury, a wy je nadal utrzymujecie, to I sekretarz partii kłamie czy wy sabotujecie jego polecenia?*

Najlepszym autorem był chyba Maciej Parowski, jeden z czołowych później pisarzy s-f. Wojciech Charkin z Gdańska, uosobienie dowcipu i wdzięku, który charakteryzuje pewną kategorię kresowian, zabawiał nas opowieściami o śląskich górnikach, odpoczywających nad Bałtykiem. Dorabiał jako przewodnik turystyczny i z tej racji często miał z nimi do czynienia.

Czuło się, że są dla niego egzotyczni, ale że ich polubił. Godzinami potrafił opowiadać historie o tych śląskich turystach, co to na plażę chodzili w wyprasowanych spodniach.

Witold Pawłowski prosto z „Politechnika” przeszedł do „Polityki”, redagowanej przez Mieczysława Rakowskiego, najbardziej opinio-

twórczego tygodnika w latach gierkowskich. Od kilkudziesięciu już lat zajmuje tam stanowisko zastępcy redaktora naczelnego. Redaktorzy naczelni zmieniają się, a on trwa na tym samym wysokim stanowisku.

Buduję zespół dziennikarski

Miałem ambicje zbudowania w Gliwicach mocnego zespołu redakcyjnego.

Ściągnąłem do oddziału Marka Oramusa, studenta wydziału mechaniczno-energetycznego, który publikował wtedy znakomite felietony w bardzo dobrze redagowanym Tygodniku Studenckim „ITD”.

Marek potem, po obronie pracy dyplomowej, podjął studia podyplomowe, zaoczne, na wydziale dziennikarskim Uniwersytetu Warszawskiego. Pracę dyplomową napisał pod kierunkiem Krzysztofa Kąkolewskiego. Wydał kilka powieści i zbiorów opowiadań science fiction. Osiągnął sukces pisarski, co spowodowało u niego zawyżenie samooceny. O „Politechniku” zaczął mówić z pogardą: Politechniczek.

Częściej wywieszałem ogłoszenia o naborze młodych dziennikarzy. Mieli przychodzić ze swoimi tekstami.

Romek Lewandowski przyniósł napisany odręcznie, na kartce formatu A5 felieton, którego tytuł i ostatnie zdanie pamiętam do dzisiaj. Tytuł: *Starsze panie, szczególnie nauczycielki*, a zakończenie brzmiało tak: *I wyszły na ulicę, która była smutna i szara jak one*. Dobry tekst przyniósł Witek Piotrowicz, już nie pamiętam jaki.

Michał Smolorz miał chyba najmocniejsze wejście. Przyniósł reportaż o lumpach, żyjących ze zbierania węgla na hałdach. Znakomity tekst, wysłałem go do Warszawy bez poprawek. Następne jego artykuły nie były już tak dobre, próbowałem je poprawiać, ale z Michałem się nie dało. Nigdy nie ustępował. Dzisiaj myślę, że ingerowanie w jego artykuły nie miało sensu.

Michał miał swój styl, oryginalny, a w takich wypadkach nie należy autora prostować. Po ukończeniu studiów przekazałem Michałowi kierowanie oddziałem.

Bezczelny kierownik DS Gwarek

W „Politechniku” zaczęły się moje pierwsze – mimowolne – starcia z systemem. Studenci skarżyli się na chamowatego kierownika Domu Studenckiego „Gwarek” przy gliwickim rynku. Wchodził bez pytania do pokoi, przeprowadzał kontrole, obrażał dziewczyny.

Wszyscy się go bali, krążyła opinia, że jest nie do ruszenia. Uznałem za swój dziennikarski obowiązek wystąpić w obronie mieszkańców akademika. Pamiętam do dzisiaj, jak pociał się w trakcie rozmowy.

Nie pamiętam, czy zdążyłem opublikować artykuł, czy nie, pamiętam tylko, że dostałem wezwanie do prorektora do spraw nauczania prof. Wiesława Gabzdyla na rozmowę.

Cały byłem w euforii. Oto, co znaczy czwarta władza! – myślałem. Jeden tekst i już problem rozwiązałem. Sądziłem, że prorektor chce ze mną porozmawiać o sytuacji w akademiku i zastanowić



Wojciech Charkin był ze strajkującymi robotnikami w Stoczni Gdańskiej im. Lenina w sierpniu 1980 r. Współredagował oświadczenie 36 dziennikarzy o zakłamaniu środowiska dziennikarskiego. Rękopis tego oświadczenia, wraz z kolejnymi poprawkami i podpisami sygnatariuszy, znany jest jako „Zeszyt Charkina”. W lutym 2013 roku przekazał go do kolekcji Europejskiego Centrum Solidarności, gdzie dzisiaj prezentowany jest na wystawie stałej, poświęconej historii Solidarności. zdj. Grzegorz Mehring / Archiwum ECS

się nad sposobami ułożenia relacji studentów z kierownikami akademików.

Byłem naiwny. Prorektora interesowało tylko, kto mnie napuścił na kierownika „Gwarka”. Z trudem uwierzył, że to była moja własna inicjatywa.

To wtedy też zetknąłem się z pierwszą – i jedyną w moim życiu – próbę werbunku. Tak mi się przynajmniej wydaje!

Niedaleko „Gwarka” zaczęli mnie niewysoki, niepozorny mężczyzna, z dość wyraźnym brzuchem, i zaczął ni stąd ni zowąd opowiadać, że pracuje w milicji, że boją ich się dyrektorzy zakładów, że kiedyś, gdy wkroczyli do biura, to urzędnicy ze strachu wyskakiwali przez okna. Cały się w sobie skurczyłem. Kim on jest? Po co mi to mówi? Chyba nic mu nie odpowiedziałem, tylko szybko ulotniłem się.

Klub dyskusyjny storpedowali

Nabory dziennikarzy robiliśmy co rok, niekiedy częściej. Pomyślałem, że akcje naboru można by połączyć ze zdobywaniem materiału do tekstów. Trzeba młodszych kolegów zapraszać na spotkania, rozmawiać z nimi, wypytywać, podpowiadać problemy, nadające się na tematy artykułów – i tak zrodził się pomysł zorganizowania klubu dyskusyjnego. Czułem atut, jaki daje pomijanie wielu tematów przez media oficjalne.

Byłem naiwny. Na pierwsze spotkanie przyszło kilkanaście osób i zaczęło się to rysować bardzo obiecująco. Na drugim pojawił się wiceszef uczelnianych struktur Związku Młodzieży Socjalistycznej ze swoją dziewczyną i zaczął mnie usilnie namawiać do podłączenia tej inicjatywy pod jego związek. Dla mnie to nie wchodziło w grę. Wiedziałem, jak odbierane są organizowane przez nich spotkania. Drętwa mowa-trawa. Jak będę spotkania organizował pod szyldem ZMS-u, nikt się na nich nie pojawi. Potem sprawa stała się chyba głośna – choć sam nikomu o spotkaniach nie mówiłem – i prorektor wyznaczył nam opiekuna z katedry marksizmu i leninizmu, czy jak to się tam nazywało, i ten moją inicjatywę zagadał. Dosłownie. Jak dorwał się do głosu, już nie dał go sobie odebrać. Nazywał się, jeśli dobrze pamiętam, Edward Prus.

Bp. Alfons Nossol mi nie zaufał

W tym czasie próbowałem pogodzić moją mocno rozproszoną aktywność, bo to i studia górnicze, i zaangażowanie w Duszpasterstwo Akademickim, i dziennikarstwo w „Politechniku”. Za akceptacją duszpasterza akademickiego pojechałem do nowego biskupa opolskiego Alfonsa Nossola z propozycją zorganizowania zespołu dziennikarskiego do tygodnika diecezji opolskiej, który – jeśli zechce – można by założyć. Z kolportażem nie byłoby problemów, kłopoty pojawiłyby się ze zdobyciem zgody cenzury i przydziału papieru, ale... może by chociaż spróbować?

Niestety, młody wówczas biskup opolski nie rozpoznał znaku czasu. Tyle muszę mu przyznać, że nie usiłował owijać spraw w bawełnę. Nie, i szlus.

– *Mamy w Kościele złe doświadczenia z wydawnictwem PAX* – wyjaśnił

Nie usiłowałem go przekonywać, bo bez jego przekonania do tego pomysłu niewiele dałoby się zrobić.

Trochę przecenilem wtedy wpływy naszego duszpasterza akademickiego, ks. H. Hlubka. Sądziłem, że zainterweniuję u biskupa, że poprze-

Widocznie nie miał aż takiej „siły przebicia”. Dzisiaj myślę, że dobrze się stało.

Ze swoimi dość niezależnymi, wolnomyślnieckimi poglądami długo bym miejsca w kościelnym piśmnie nie zagrzał.

Michał Smolorz – publicysta

Michał Smolorz zrobił potem karierę w mediach, założył wytwórnię filmową, kręcił filmy dokumentalne, reżyserował musicale, no i wiele, wiele pisał. Polemizował, przeprowadzał wywiady. Michał zawsze podkreślał, że ostrogi dziennikarskie zdobywał u mnie, w gliwickim oddziale „Politechnika”, co wspominam ze szczerą satysfakcją.

Po skończeniu studiów udało mu się załapać – bez wątplenia przy poparciu swoich wpływowych kolegów – na etat dziennikarski do regionalnego ośrodka Telewizji Polskiej w Katowicach. Wydaje się jednak, że to nie tam wyrabiał sobie pozycję zawodową.

Przez Wojciecha Charkina nawiązał bliskie kontakty z kolegami z Gdańska. Kierownikiem oddziału gdańskiego „Politechnika” był Andrzej Liberadzki, spokrewniony z Bogusławem Liberadzkim, późniejszym ministrem transportu w latach 1993-1997.

Andrzej Liberadzki – jak pamiętam z rozmów – załatwił Michałowi stały felieton na łamach „Dziennika Bałtyckiego”.

Kiedy we wrześniu 1980 r. zaczęły się strajki w Stoczni Gdańskiej Michał, dzięki kolegom z Gdańska, dostał się do środka, i to z kamerą.

Strasznie mu tego zazdrościłem, bo ja w ruch „Solidarności” zaangażowałem się na całego i robiłem wszystko, żeby być najbliżej najważniejszych wydarzeń, ale przy tym akcie założycielskim niezależnego związku zawodowego nie byłem.

Zbyszek Gach, inny kolega z gdańskiego oddziału „Politechnika”, współpracował w podziemiu z Bogdanem Borusewiczem i spisał później – z dwoma kolegami – rozmowy z działaczami opozycji. Wydali je pod tytułem „Konspira”.

W stanie wojennym Michał za zaangażowanie się po stronie Solidarności został „negatywnie zweryfikowany” i wyrzucony z telewizji na bruk. Zarabiał wtedy na chleb jako kierowca autobusów wożących Górnoślązaków, którzy emigrowali do Niemiec. W autobusie już nie bali się mówić, zwłaszcza kiedy przekroczyli granicę. Michał wtedy ostatecznie przekonał się, że Górnoślązacy byli jednak w Polsce obywatelami drugiej kategorii, ale przekonał się też, że ich wyjazdy do Niemiec motywowane były głównie racjami ekonomicznymi.

czynnymi. Wyjeżdżali za chlebem, a jeśli nie „za chlebem”, jeśli w Polsce powodziło im się dobrze, wyjeżdżali po to, aby jeszcze bardziej poprawić sobie byt, materialny. W 1987 roku Michał wydał w drugim obiegu pod pseudonimem książkę-paszkwil na Zdzisława Grudnia, wszechwładnego wówczas pierwszego sekretarzu Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w Katowicach. Zatyłował go „Cysorz, wspomnienia kamerdynera”. Książka cieszyła się ogromną poczytnością.

Michał Smolorz – menager

Michał Smolorz, oprócz dobrego pióra i mocnego poczucia własnej wartości, miał jeszcze jedną zaletę: przedsiębiorczość. Jak tylko został kierownikiem oddziału „Politechnika”, zaczął organizować sympozja dziennikarskie w ośrodkach wypoczynkowych. Trochę pieniędzy wydobył od rektora Politechniki Śląskiej, trochę chyba z kopalni – obydwa studiowaliśmy górnictwo – załatwiał ulgowe pobyty poza sezonem i tak nawiązywał więzi z ludźmi liczącymi się. Ja już wtedy pracowałem w kopalni, na te sympozja jeździłem, ale rzadko z powodu małej na początku liczby dni urlopowych. Po przemianach 1989 r. Michał wrócił do katowickiego ośrodka telewizyjnego. W 1990 roku razem z Wojciechem Sarnowiczem uruchomili pierwszy w Polsce program regionalny z prawdziwego zdarzenia, a kiedy Lech Wałęsa ich stamtąd wyrzucił, założyli Antenę Górnosłaską, która sama zrobiła więcej programów ogólnopolskich niż Telewizja Katowice.

Największą oglądalność zdobył cykl pod tytułem „Wesoło, czyli smutno. Kazimierza Kutza rozmowy o Górnym Śląsku”. W Antenie Górnosłaskiej powstał też m.in. cykl filmów o wybitnych górnosłaskich hierarchach kościelnych, biskupie Alfonsie Nossolu, aarcebiskupie Damianie Zimoniu i biskupie Ignacym Jeżu.

W 2007 r. Michał zaprosił mnie z małżonką na benefis z okazji 50. rocznicy urodzin. Scenariusz został oparty na niezwykłym bogactwie jego osobowości. Okazało się, że Michał zdążył w swoim życiu pracować w ponad pięćdziesięciu różnych zawodach – od górnika, przez grabarza, kierowcę autobusu po reżysera i producenta programów telewizyjnych. Więcej niż ja, który już w dzieciństwie i wczesnej młodości na wsi zaliczyłem ich chyba z dziesięć, od pracownika rolnego czyli chłopca, przez zbieracza owoców leśnych, po agenta cukrowni, inwentaryzatora w GS-ie itd.

W notce pośmiertnej na katolickim portalu można o Michale przeczytać, że *dał się poznać jako zaan-*

gażowany parafianin, co niedzielę obecny na Mszy św. Był członkiem Rady Parafialnej (...)

Trochę mnie to śmieszy, bo znałem bardzo krytyczne poglądy Michała na Kościół i wiernych. Raziły go fałsz i zakłamanie. Kiedyś zarzucił swojemu proboszczowi, iż uprawia „kryminalny proceder prania brudnych pieniędzy”. Po przemianach 1989 r. był to proceder dość powszechny. Aby uniknąć płacenia podatków bogaci ludzie przepuszczali pieniądze przez parafie jako „darowizny”, gdyż te zwolnione były od podatków. Operacja odbywała się tylko na papierze, księdzu odpalano pewien procent „za usługę”. Proboszcz zaprosił potem Michała do Rady Parafialnej, sądząc, że mógł chcieć w ten sposób obłaskawić niepokornego parafianina.

My, synowie żołnierzy Wehrmachtu

Śmierć Michała Smolorza w 2013 roku przeżyłem ciężko. Nie dlatego, że byłem z nim jakoś emocjonalnie związany, choć spotykaliśmy się – wraz z małżonkami – co najmniej raz w roku. Nie brakowało mi jego obecności na co dzień. Klóciliśmy się regularnie i uparcie. Łączyła mnie z nim wspólna sprawa – Górny Śląsk. Żyłem spokojnie, wiedząc, że jest fighter, który tej sprawy pilnuje i nie popuści. Z Jego odejściem świat mi się zawalił. Politycy i publicyści odchodzą, na ich miejsce przychodzą inni, wyrwy po Michale jednak nikt nie jest w stanie zapełnić.

Michał, zaraz po przejściu kierownictwa oddziału, zmienił jego nazwę na – Śląski Oddział Redakcji Tygodnika Politechnik. Miał więcej odwagi niż ja. Pochodzę z województwa opolskiego i na dodatek ze wsi. W Polsce czułem się obco, byłem zahukany, Górnosłązacy z województwa katowickiego, jak się wtedy nazywało, którzy już przed wojną żyli w Polsce, nie mieli takich blokad. Rozmawialiśmy na ten temat wielokrotnie.

Nie ciążyło ci – spytałem kiedyś – że ojciec walczył w armii hitlerowskiej, m.in. przeciwko Polakom? Nie dołowała cię ta atmosfera wrogości wobec ziomków, hitlerowców, rewizjonistów, rewanżystów i w ogóle Szwabów, za których nas uważano?

Zaśmiał się. – *W szkole podstawowej nauczycielka pytała nas kiedyś, gdzie walczyli nasi ojcowie. Po powrocie do domu spytałem ojca, co mam mówić w takich wypadkach. – Mów, że twój ojciec był obrońcą Wału Pomorskiego! Taką mi dał radę. I wiesz, że całe życie to powtarzałem i żadna się nie zorientowała.*

Michał takimi problemami nie przejmował się. Górnosłązacy z dawnej polskiej części Górnego



Smolorzowie u nas. Michał stoi. Spotykaliśmy się regularnie w okresie świąt Bożego Narodzenia. Zdjęcie pochodzi z początków XXI w., nie pamiętam z którego roku.

Śląska czuli się w Polsce bardziej u siebie. Zmarł stanowczo zbyt wcześnie. Na razie nikt nie zapełnił mi miejsca po nim, nie mam z kim porozmawiać na spokojnie, z dystansem o naszych śląskich sprawach.

Proboszcz urządził mu piękny pogrzeb, jeśli o pogrzebie można mówić „piękny”. Był jak z „Pana Wołodyjowskiego”. – *Michale!* – wołał z ambony – *Ojczyzna w potrzebie, a ty śpisz!*

Nie było dla mnie miejsca

Po studiach próbowałem zatrudnić się w jakiejś „oficjalnej” gazecie, ale bezskutecznie. Byłem naiwny. Mimo, że obracałem się w środowisku lepiej zorientowanym co do funkcjonowania Systemu, nie miałem pojęcia jakie w nim obowiązują reguły. Nie wiedziałem, że łapę nad wszystkimi mediami trzymają tajne służby, a przynajmniej co drugi dziennikarz i redaktor, jeśli nie każdy, wykonuje polecenia oficera prowadzącego.

Był moment, kiedy wydawało mi się, że już, już zostanę redaktorem. Szukali kogoś znającego problemy górnictwa do redakcji pisma związkowego „Górnik”. Naczelny redaktor obiecywał zała-

twić mi miejsce, może nawet osobny pokój w Domu Górnika, miałem tylko czekać na wezwanie. Nie doczekałem się. Naiwny byłem. Wiedziałem, że to mogą być koszty mojego zaangażowania się w Duszpasterstwo Akademickie, jednak, ponieważ nikt mi tego wprost nie powiedział, cały czas sądziłem, że jakoś się to moje zaangażowanie rozejdzie po kościach. W końcu nic antysocjalistycznego nie zrobiłem, wydawało mi się, że nawet przeciwnie. Utożsamiałem się z ideami realnego socjalizmu. Mój problem polegał na tym, że nie lubiłem podporządkowywać się. Miałem swoje zdanie na każdy temat. Nie wiedziałem, że dla takich miejsca w PRL-owskiej prasie nie ma.

„W DRODZE”

Kolega z Duszpasterstwa Akademickiego, który - po studiach wstąpił do zakonu dominikanów, załatwił mi pracę (na etacie) w redakcji dominikańskiego miesięcznika „W drodze”. Porzuciłem robotę w kopalni i wyjechałem do Poznania.

Był grudzień 1976 r. Od kilku miesięcy działał już Komitet Obrony Robotników, niosący pomoc osobom represjonowanym w Radomiu i podwar-

szawskim Ursusie za udział w strajkach. Pojawiła się masa rozmaitych podziemnych pism, ulotek, pisemek i poważnych pozycji książkowych o takiej treści, że kiedyś człowiek z lękiem brał je do ręki. Przynosił je do redakcji miesięcznika o. J.A. Kłoczowski.

Nie ekscytowałem się tekstami o zbrodni katyńskiej ani o Pakcie Ribbentrop-Mołotow, gdyż te – uważałem – należały już do przeszłości. Jeden z przeczytanych wtedy tekstów zasadniczo wpłynął na mój światopogląd – esej Leszka Kołakowskiego „Tezy o nadziei i beznadziei”. Zmagałem się z nimi, z tymi tezami, przez bardzo długi czas i chyba do dzisiaj nie pogodziłem do końca. Pisał L. Kołakowski, że nie ma czegoś takiego jak nieuchronne, zdeterminowane procesy historyczne, czy żelazne prawa historii. Wszystkie zmiany społeczne, polityczne i ekonomiczne dokonują się za sprawą działań jednostek lub grup ludzkich. Nie ma determinizmu historycznego, nie ma co oglądać się na rozwój sytuacji w kraju i liczyć, że system sam upadnie pod naporem narastających „wewnętrznych sprzeczności”, trzeba działać. W polityce nic nie dzieje się samo z siebie, za wszystkim stoją konkretni ludzie.

Dla mnie było to trudne do przyjęcia, gdyż z liceum ogólnokształcącego wyniosłem przekonanie o zasadniczo niezależnych od człowieka procesach historycznych. Jedyna chyba z przekazywanych nam tam wtedy prawd życiowych, która nie opierała się na budowaniu negatywnych lub pozytywnych emocji, ale miała racjonalny rdzeń. Nie mam tu na myśli przedmiotów ścisłych. Nauczyciel historii nauczał nas marksistowskiego determinizmu historycznego, warunkowanego, wg autora doktryny Karola Marksa, zmianami we własności środków produkcji. Zjawiska społeczne miały przebiegać według określonego schematu: nagromadzenie sprzeczności, wybuch społeczny, rewolucja i – w efekcie – powstanie nowego ustroju. Taki heglowski postępek: teza – antyteza – synteza. Jedna grupa społeczna bogaci się i zdobywa przewagę kosztem innych, narastają „sprzeczności”, które z czasem doprowadzają do „situacji rewolucyjnej”, następuje bunt uciśnionych mas, kolejna grupa społeczna zdobywa władzę, bogaci się kosztem innych, znowu narastają „sprzeczności” i... znowu rodzi się bunt.

Nagromadzenie sprzeczności wtedy w Polsce było już ogromne. Według teorii marksistowskiej należało już tylko czekać na wybuch, a tu czołowy polski marksista, L. Kołakowski pisze, że nic samo z siebie nie wybuchnie, że trzeba podjąć walkę.

Materializm historyczny ma dużo racji, bez nagromadzenia sprzeczności rewolucje nie wybuchają, „Tezy o nadziei i beznadziei”

rozwiewały jednak iluzję, że zmiany dokonają się same z siebie, że nie będą musiał się narażać.

Hermetyczny salon katolicki

Z pracą w redakcji „W drodze” wiązałem nadzieje na wejście w liczące się katolickie środowisko intelektualne, na osobisty rozwój i ciekawą dziennikarską pracę. Żadna z tych nadziei nie spełniła się. O. Marcin Babraj OP (OP to skrót od łacińskiego Ordo Praedicatorum, po polsku – Zakon Kaznodziejski) nie zamierzał nawet wciągnąć mnie do zespołu redakcyjnego, gdzie miałbym możliwość wyrażania swojej opinii, wpływania na profil pisma, a przynajmniej dowiedzenia się, o co toczy się gra – tego wszystkiego, czego miałem okazję zakosztować wcześniej w Tygodniku Studenckim „Politechnik”. Traktował mnie jak redakcyjnego wyrobnika. Zajmowałem się głównie ko-tekstami, zanoszeniem ich do cenzury, od czasu do czasu dawał mi coś do adiustacji, tzn. do poprawy.

Miesięcznik „W drodze” publikował teksty wielu najlepszych polskich i zagranicznych autorów. Współpracował z nami Roman Brandstaetter żyjący w Poznaniu, regularnie zamieszczała u nas swoje notatki poetka Anna Kamińska, żona poety Jana Śpiewaka, matka socjologa i działacza społecznego Pawła Śpiewaka. Po dwa teksty do każdego numeru dawał jeden z najwybitniejszych polskich teologów o. Jacek Salij OP. Ks. Józef Tischner pisał dla nas teksty, które potem wydawnictwo „W drodze” publikowało w formie książkowej. Pamiętam też, że zamawialiśmy teksty, tzn. o. Marcin zamawiał, u pisarza Jana Józefa Szczepańskiego. Z zagranicznych publikowaliśmy głównie reprezentantów „nowej”, posoborowej teologii, Y. Congara, J. Wilibranda, E. Schillebeeckxa i podobnych.

Nawet atmosfera panująca w redakcji mnie zraziła. Spodziewałem się, jako że wszyscy byli z tej samej wspólnoty zakonnej, relacji braterskich, a co najmniej koleżeńskich, tymczasem o. Marcin ciągle „nadawał” na swojego zastępcę, sekretarza redakcji o. Konrada Hejmo OP. Skarżył się, że „Konrad nic nie robi”. Hierarchiczna, postfeudalna struktura zakonu musiała ciążyć na niżej w nim usytuowanych. Bracia bez święceń kapłańskich nie mieli nic do gadania. W klasztorze poznańskim żyło ich dwóch, jeden co chwila przychodził do mnie, do redakcji wygadać się i wyładować swoje frustracje. Z tą postfeudalną strukturą w całym Kościele do dzisiaj są problemy. Zakonnice walczą już otwarcie o więcej szacunku dla swojej służby i prawne gwarancje pensji, ubezpieczeń i czasu wolnego. Z księżmi jest podobnie, wikary na parafii nie ma nic do powiedzenia, gdyż gospodarzem i Bogiem jest tam proboszcz.

Ojciec J. A. Kłoczowski i jego brat

Trzecim członkiem redakcji był o. Jan Andrzej Kłoczowski OP, duszpasterz akademicki z Krakowa, niezwykle utalentowany kaznodzieja. Przyjeżdżał do Poznania raz w miesiącu na kolegia redakcyjne. W swoich tekstach łamał wszystkie zasady języka polskiego, ale nie wynikało to z jego braków językowych, ale z niedostatków samego języka. Próbował wyrazić tajemnice Boga, a to jest niemożliwe bez upraszczania i zubożania ich treści. To nie znaczy, że w innych językach tych problemów nie ma, też są, w jednych większe, w innych mniejsze. Tajemnice Trójcy Świętej, na przykład, udało się wyrazić dopiero w języku greckim dzięki takim pojęciom jak hipostaza i tautuzja (osoba i natura), potem łacińskim – persona i natura, choć te drugie upraszczają zagadnienie.

Kiedyś zatrzymał się u nas, w redakcji, na kilka godzin brat o. Jana, wybitny historyk prof. Jerzy Kłoczowski. Walczył w Powstaniu Warszawskim, gdzie stracił rękę. Zaimponowało mi, że rozmawiali z nim przy mnie zupełnie otwarcie. Mówił prof. J. Kłoczowski o ustroju totalitarnym, to co już słyszałem kiedyś od ks. Hlubka – że zdaniem Karla Jaspersa nie da się go rozwalić od wewnątrz. Wybitny niemiecki filozof usprawiedliwiał w ten sposób poparcie ideologii nazistowskiej przez naród niemiecki.

Miałem na ten temat inne zdanie, ale nigdy go głośno nie wyraziłem ani ks. H. Hlubkowi, ani wtedy prof. J. Kłoczowskiemu.

Kwestia nie sprowadzała się – moim zdaniem – tylko do ograniczeń wolności w systemie totalitarnym, ale głównie do pragnienia kariery i podniesienia własnej pozycji społecznej. Wystarczyło się ich wyrzec, by nie musieć nic robić wbrew sumieniu. Monter na budowie na przykład albo górnik dołowy mogli myśleć co chcą i mówić co chcą (oczywiście nie na wiecach, ale w kręgach koleżeńskich) i robić co chcą (na przykład notując dla potomnych własne obserwacje ze zniewolonego kraju) i nikt im tego nie zabroni. Sądzę dzisiaj, że nie do końca miałem rację. Nie wystarczyło w tamtych czasach zrezygnować z kariery, trzeba było jeszcze zrezygnować z niezależnej działalności publicznej. Montera z budowy też zgarniali, jeśli za dużo gadał.

W 2004 r. Stanisław Michalkiewicz oskarżył prof. J. Kłoczowskiego o „długoletnią współpracę z SB w charakterze TW o pseudonimie ‘Historyk’”. Środowisko pracowników naukowych KUL-u, zwłaszcza uczniowie profesora, wzięło go w obronę, wykazując na podstawie zachowanych dokumentów, że – po pierwsze, został zarejestrowany bez swojej wiedzy, a – po drugie,

„współpraca [z SB] nigdy nie została nawiązana”. Sam oskarżony nie zaprzeczył zarzutom na tyle zdecydowanie, żeby nie pozostały wątpliwości.

Napisał tak:

– *W tej całej sytuacji najważniejsze jest to, by ocenić i pokazać cały kontekst. A więc jak bardzo środowisko KUL było inwigilowane przez służby bezpieczeństwa. Przecież był to jedyny w świecie komunistycznym ośrodek, w którym panowała wolność poglądów.*

Tak jak jestem zdecydowanym zwolennikiem lustracji, zwłaszcza lustracji duchowieństwa i naukowców, tak prof. J. Kłoczowskiemu Kontaktów z tajnymi służbami nie mam za złe. Nawet jeśli je utrzymywał, to jego dokonania całkowicie go – w moich oczach – rozgrzeszają. Podniósł znaczenie dorobku kulturowego i politycznego Europy Wschodniej dla cywilizacji europejskiej, odkrywał więzi łączące ludy dawnej Rzeczypospolitej, Polaków, Litwinów, Ukraińców, Białorusinów itd. To mi wystarcza dla jego rehabilitacji.

Propagowanie historycznego dorobku narodów Europy Wschodniej prof. J. Kłoczowski prowadził pod hasłem „Od Unii Lubelskiej do Unii Europejskiej”.

Afera z agenturalnością o. Konrada

W 2005 r. oskarżono o współpracę ze Służbą Bezpieczeństwa o. Konrada Hejmo. Media i politycy roztrzęśli sprawę, jakby chodziło o zdradę tajemnic państwowych albo wykradzenia tajnych projektów bomby atomowej. Kamyk, który wywołał lawinę, popchnięty został przez ówczesnego prezesa Instytutu Pamięci Narodowej Leona Kieresa, który oświadczył publicznie, w kwietniu tego roku, że w otoczeniu papieża Jana Pawła II znajdowała się osoba, która... współpracowała z polską Służbą Bezpieczeństwa, a więc, w domyśle – donosiła na naszego ukochanego Papieża Polaka, zmarłego niecałe trzy tygodnie wcześniej. Media rozpoczęły pogoń za sensacją. Posypały się epitety – „Judasz”, „zdrajca”, „kapuś” itp.

Oskarżono o. Konrada, że w czasach, kiedy był sekretarzem miesięcznika „W drodze” przekazywał informacje o sprawach wewnętrznych Kościoła majorowi SB Wacławowi Głowackiemu.

O tym, że o. Konrad rozmawia z pracownikami tajnych służb zakonnicy, przynajmniej ci związani z „W drodze”, musieli wiedzieć. Mnie mówił o. Marcin, że „Konrad ma dobre kontakty z dyrektorem drukarni w Szczecinie” i gdy „władze” zmniejszały przydział papieru na mie-

sięcznik, potrafi wiele załatwić „po znajomości”. Kiedyś wzburzony zwrócił się do mnie:

– *Mam dobry koniak, ale trefny. Chcesz?*

Spojrzałem na niego nierozumiejącymi oczyma, ale nie kontynuował. W klasztorze przy ul. Kościuszki 99, w rozmównicy na furcie, odbywały się rozmowy, które o. Konrad traktował jako negocjacje z władzą, a którym esbek usiłował nadać charakter wywiadu z agentem. Prawdopodobnie zostawiał koniak na stole i wychodził. W jego raportach „tajnych, specjalnego znaczenia” znajdujemy, że raz wręczył o. Konradowi koniak, raz winiak, a raz „metaloplastykę”.

Dlaczego zakonnik próbował przekupywać akurat metaloplastyką, wszystkim, którzy żyli w tamtych czasach, nietrudno zrozumieć. W sklepach nie było wielkiego wyboru, kupowało się, co było, obdarowany potem pozbywał się niechcianych prezentów, przekazując je innym – również jako prezenty. Major W. Głowacki zostawiając o. Konradowi „metaloplastykę” nie dość że pozbywał się niechcianej ozdoby domu, to jeszcze załatwiał sobie za nią zwrot pieniędzy z „resortu”.

Jeszcze dzisiaj, kiedy piszę te wspominki, a jest rok 2018, kilkanaście lat po wybuchu tej afery, nie potrafię tego ogarnąć i jednoznacznie ocenić. Wobec o. Konrada mam zobowiązania, gdyż w redakcji odnosił się do mnie trochę cieplej niż naczelny, a gdy ten mnie wyrzucił na bruk, próbował mi pomóc. Z drugiej strony, raporty esbeków, zawierające notatki, a często i szczegółowe relacje z rozmów z o. Konradem, rzeczywiście mogą „porażać”, jak to powiedział o. Marcin Zięba, przełożony o. Konrada w momencie wybuchu afery. Jak to sobie wyjaśnić?

Spróbujmy do tego podejść na chłodno, bez uprzedzeń. Co możemy stwierdzić na pewno?

Po pierwsze, o. Konrad jako przedstawiciel redakcji i wydawnictwa „W drodze” rozmawiał z pracownikami SB na temat merytorycznej zawartości pisma, podniesienia nakładu, co zależało od zgody władz, i przydziału papieru.

Po drugie, o. Konrad szeroko i otwarcie opowiadał o relacjach w swoim zakonie i polskim Kościele.

Po trzecie, przez lata pracownicy SB wielokrotnie pisali tę samą charakterystykę o. Konrada jako – doskonałego kandydata na tajnego współpracownika (TW), zawsze podkreślając to samo – że ma bardzo dobre kontakty z najważniejszymi osobami w Kościele i wszystko wskazuje na to, że niedługo zajmie wysoką pozycję, a właściwie to już ją zajmuje, jest otwarty w kontaktach z pracownikami SB, nie przeszkadza mu, że robią notatki, i że,

w związku z tym, trzeba ostrożnie próbować nadać tym rozmowom charakter raportowania przez tajnego współpracownika, a w odpowiednim czasie potraktować go jak tajnego współpracownika, tzn. zlecać mu określone zadania, określić wynagrodzenie itd. Od pisemnego zobowiązania do współpracy można – zdaniem esbeków – odstąpić, aby nie ranić jego poczucia godności osobistej. Coś takiego jak w przypadku agentów ideowych, podejmujących współpracę ze względu na patriotyzm czy przekonania.

Po czwarte, o. Konrad nigdy nie podpisał czegoś, co można by uznać za jakąś formę zobowiązania się do współpracy z agentami SB, a ci mimo to zarejestrowali go jako tajnego współpracownika.

Po piąte, raporty agenta polskiego wywiadu z rozmów z o. Konradem, przeprowadzonych podczas jego wieloletniego pobytu w Rzymie, mają kuriozalny charakter z punktu widzenia pragmatyki wywiadowczej i zwykłej logiki. Jeden, pozał się Boże, agent polskiego wywiadu, występujący rzekomo jako agent wywiadu niemieckiego, wydobywał informacje od innego rzekomego agenta polskiego wywiadu nie w ramach weryfikacji jego raportów ale zwyczajnie, jak od kogoś, kto agentem nie jest.

Jeżeli o. Konrad był agentem, jeżeli donosił na Ojca Świętego i środowisko watykańskich dostojników, to dlaczego nie ma jego raportów? Dlaczego nie kazano mu pisać tych raportów? Dlaczego wydobywano od niego informacje za pośrednictwem agenta podszywającego się pod przedstawiciela niemieckiego episkopatu? Wychodzi na to, że – mówiąc bez ironii – o. Konrad był w Rzymie agentem polskiego wywiadu bez swojej wiedzy.

Pozostaje pytanie o tę masę szczegółowych informacji zawartych w raportach esbeków z rozmów z zakonnikiem. To rzeczywiście jest rzecz porażająca. Gdybym nie był podobnej natury co o. Konrad, musiałbym to ocenić bardzo surowo. Może dobrze się stało, że zakonnicy nie wtajemniczali mnie w te sprawy, gdyż w czasie wizyt w Gliwicach, u starych przyjaciół z DA, chętnie opowiadałem, nieproszony, o wszystkim, co wiedziałem i czego się dowiedziałem. Taką mam naturę, że nie lubię i nie umiem trzymać języka za zębami.

Usprawiedliwiam się sam przed sobą, że taka otwartość stanowi najlepsze antidotum na duchowe zatrucie sowietyzmem. Wielu niedoszłych tajnych współpracowników zawdzięcza swoją czystość moralną tylko temu, że po powrocie z „rozmów” opowiadali o nich wszystkim dookoła. Nie ma się czym chwalić, nadmierna otwartość to głupota.

Mogło być tak, że szczegółowe informacje na temat spraw wewnątrzzakonnych i wewnątrzkościelnych agent W. Głowacki zdobywał inną drogą, a z jakichś powodów nie chciał zdradzać skąd, więc przypisywał je o. Konradowi. To mógł być ktoś z rodziny, dobrze osadzony w kręgach kościelnych, mógł być któryś z biskupów, który dzielił się informacjami mogącymi zaszkodzić dominikanom. Mógł to być któryś z braci zakonnych, opowiadający o sprawach wewnątrzzakonnych w gronie rodzinnym, nie wiedzący, że w rodzinie jest esbecki kret.

Jeśli jednak przyjąć najprostszą, a zatem najbardziej prawdopodobną wersję, to trzeba zgodzić się, że informacje pochodzą jednak od o. Konrada. Znani mi duchowni, którzy wiedzieli na ten temat nieco więcej, w tym mój świętej pamięci ks. H. Hlubek, podsumowywali tę aferę jednym zdaniem: „Gaduła”. Dlaczego u o. Konrada zabrakło psychicznych hamulców w rozmowach z esbekami? Dlaczego rozmawiał tak otwarcie, dlaczego nie czuł do nich dystansu?

Psychologiczne wyjaśnienie jest proste. Kiedy raz powie się za dużo, to potem, próbując to zakryć wieloma słowami, mówi się za dużo i w ten sposób, pogrążamy się, jeszcze bardziej.

Ja widzę w tych opowieściach o. Konrada przede wszystkim próby przekonania esbeków, że opłaca im się wspierać miesięcznik „W drodze”. Świadczą o tym te wszystkie zapewnienia, że jest to pismo „nowoczesne”, niechętnie widziane przez tradycjonalistycznie nastawionych hierarchów, że zamieszczają teksty nieortodoksyjne, że redakcja napotyka opozycję nawet wewnątrz zakonu itd. Wszystko to miało ich przekonać, że warto zaakceptować to pismo, a nawet je wspierać większymi przydziałami papieru.

Esbecy – zdemoralizowana rasa

Esbecy w tamtych czasach nie byli już ideowcami, podejmowali się tej roboty, paskudnej z moralnego punktu widzenia, ze względu na wysokie zarobki i nielimitowany czas pracy. Musieli się czymś wykazywać, więc pisali raporty tak, żeby dobrze świadczyły o ich pracy.

Nikt nie spowodował mojego odejścia z „Politechnika”, odszedłem, bo skończyłem studia – a w raporcie na temat Teresy Dombek przypisali sobie zasługę.

W 1983 r. pracowałem w Biurze Projektów Energetycznych Energoprojekt. W trakcie jednego z przesłuchań w tamtym czasie esbek rzucił jakby od niechcenia: „Teść załatwił robotę?” Teść pracował w Biurze Projektów Hutniczych Biprohut,

więc esbekowi logicznie wynikało, że to on załatwił mi pracę w biurze projektowym. Trafił jednak kulą w płot – pracę załatwili mi koledzy.

Na początku XXI wieku, jeśli dobrze pamiętam, natrafiłem w Internecie na blog funkcjonariusza tajnych służb zatytułowany „Byłem eSBekiem”. Tam znalazłem wyjaśnienie, czym kierowali się młodzi ludzie, zajmując się do brudnej roboty. Autor, podpisujący się kryptonimem ECCO, pracował wcześniej w kopalni, na dole, jako prosty górnik. Opisywał podłe warunki pracy i panujące w kopalni wilcze stosunki, tak jak i ja je widziałem i doświadczyłem. Kiedyś po ciemku zaczęli się na kogoś z wyższego dozoru i mocno go poturbowali.

To, co pisał ECCO o pracy w górnictwie, dowodziło, że był wolny od ideologicznych obciążeń. Po raz pierwszy spotkałem się z wynurzeniami kogoś, kto nie przedstawiał górnictwa przez pryzmat zasług dla kraju, orderów i pieśni „Niech żyje nam górniczy stan”, ani też rzekomego uprzywilejowania górników.

W pewnym ECCO momencie nie wytrzymał, stwierdził, że ma dość tego pomiatania człowiekiem, pracy na okrągło, brudu i zmęczenia. Stwierdził, że czas wreszcie stanąć po stronie tych, co mają władzę. I to był zasadniczy motyw jego decyzji o złożeniu wniosku o przyjęcie do Służby Bezpieczeństwa.

Kiedy został przyjęty, nie posiadał się z radości, potraktował to jak wyzwolenie. Najwięcej satysfakcji sprawiło mu potem zachowanie dyrektora kopalni, gdy zgłosił się do niego – nie pamiętam po co – już jako funkcjonariusz. Dyrektor, do niedawna pan i władca, traktujący podwładnych jak śmieci, teraz płaszczył się przed nim, jeszcze niedawno prostym górnikiem.¹ Poczucie władzy bywa upajające.

Wchodziłem na blogi esbeków, próbując zrozumieć ich motywacje. Jak oni mogli pogodzić z własnym sumieniem donoszenie na innych, straszenie ich, albo nawet gorsze rzeczy? Rzucał się w oczy brak głębszej refleksji – nad sobą, nad swoim postępowaniem, nawet takich refleksji, które powinny się narzucać z powodu deklarowanej ideologii. Jeśli żyjemy w „państwie robotników i chłopów”, to dlaczego ich represjonujemy? Jeśli oni rządzą, to dlaczego my ich ścigamy? Komu naprawdę służy? Pomijam już brak głębszej refleksji nad tym, kim naprawdę jestem, jaki sens ma moje życie, co jest dla mnie najważniejsze i czy za swoją służbę nie płacę zbyt wysokiej ceny.

1 Niestety, nie skopiowałem sobie tych wynurzeń, tylko adres internetowy, a w międzyczasie esbek zlikwidował blog.

Popiełuszko po zwolnieniu przyszedł wieczorem do arcybiskupa, płakał u niego, bo to młody chłopak - jest z 1947r i arcybiskup radził mu, żeby wziął sobie urlop, pojechał do Zakopanego, posiedział w księżówce, żeby się wyciszyła atmosfera wokół niego. Płakał dlatego, że mówił, że na niego nacisk wywierają ugrupowania "Solidarności" i przede wszystkim ci z FSO i mówi, że on musi to nabożeństwo odprawić, bo jest zapowiedziana msza za ojczyznę i wie, że tłumy przyjdą /oni zakładają nawet megafony wokół kościoła/, ktoś musi to zrobić. Proboszcz nie chce odprawić mszy, więc on musi. Mówi, że wie jaka będzie sytuacja, on może nie mówić kazania, ale to będzie zdziwienie ogromne. Więc on zaproponował arcybiskupowi, że odczyta jakieś przemówienie papieskie. Nie wiem jak to się skończyło. Wiem, że w Polsce sprawa była w telewizji, ale ludzie nie wierzą, bo nie wierzą telewizji.

- L. Co Dąbrowski w ogóle mówił o tej sprawie i o tych księżach rozpolitykowanych ?
- H. Ze zrozumieniem, mówił że trudno wiedzieć, jak jest lepiej, dlatego, że ludzie naciskają na księży na dole. Jeżeli w parafii ma proboszcz kilka rodzin, z których część jest uwięzionych to proboszcz nie może nic nie powiedzieć. Tak się zdarza, że są dzielnice robotnicze, gdzie była b. mocna "Solidarność" i teraz powyrzucali kilkunastu z pracy, więc to jest na utrzymaniu parafii, więc trudno żeby proboszcz nie reagował i mówi kilka zdań. Te listy, które są tych 60-ciu paru /arcybiskup mówił, że nie ma tej listy, że może Prymas ma tą listę/. Mówi, że jest ich 69, ale za każdym razem jak rozmawia z Kiszczakiem to jest inna liczba. To mu podają z terenu, jednego dnia jest tak, na drugi inaczej. Prymas ustosunkował się do tego - głównie w życzeniach Prymasa, co było o tych księżkach, to była sprawa Popiełuszki bo to jest ksiądz na jego terenie. Potem był ten atak gwałtowny na Prymasa. Czy Prymas to zmienił, to nie wiem.
- L. Zmienił.
- H. Był duży nacisk na Prymasa. Są zarzuty na Prymasa, że to, że bierze wodę w usta, kiedy trzeba mówić.
- Arcybiskup twierdził, że prowadzą rozmowy z rządem na temat

Na blogu esbeka ECCO nie znalazłem – jeśli dobrze pamiętam – typowych esbeckich usprawiedliwień w rodzaju „służyłem ojczyźnie”, „żadne państwo nie może obyć się bez tajnych służb”, „walczyliśmy z przestępcami”, choć takich usprawiedliwień można było doszukać się w podtekście. ECCO chciał być szczery, unikał ideologicznej nowomowy. Nie wykluczam, że wśród funkcjonariuszy tajnych służb byli i tacy, którzy naprawdę wierzyli, że budują „państwo sprawiedliwości społecznej” i służą epokowej sprawie budowy „lepszego” ustroju. A nawet, jeśli ich motywacje były całkiem przyziemne, takie jak – „ustawić się”, „lżejsza robota”, „lepsze pieniądze”, „raz wreszcie znaleźć się na wozie”, czyż możemy mieć do nich pretensje? My, którzy liberalną walkę o przewagę traktujemy jako rzecz naturalną, my, u których bezrefleksyjność głębiej się zakorzeniła niż kiedyś u tzw. homo sovieticus? Warto byłoby rozważyć, czy obecne postawy, obecna mentalność, obecne stosunki międzyludzkie nie są bardziej „esbeckie” niż nam się wydaje.

Na blogu ECCO pisał o swoim „nawróceniu”, które dokonało się pod wpływem osobowości Jana Pawła II. Spojrzenie papieża w swoim kierunku odebrał kiedyś jako przekaz: „i tak jesteś mój”, ale nic nie wskazuje, że zrozumiał wtedy nikczemność swojego postępowania. No, może oprócz tego, że zdecydował się odtąd już działać jawnie i pisać tylko prawdę. To dużo, to może być początek refleksji moralnej.

Szkoda, że blog „Byłem esbekiem” zastał zamknięty.

Perspektywa esbecka

Pojęcie o metodach pracy i środowisku tajnych służb daje relacja esbeka, o której pisał bloger „Ślepa Mańka” na portalu Neon24.pl.

Parę miesięcy temu spotkałam zupełnie przypadkowo w chicagowskim Hyde Parku, mojego kolegę ze szkoły średniej, który to uwielbiał wagarować i został ze szkoły wyrzucony w drugiej klasie. (...) Wstąpił do SB w 1974 roku, dostał od razu mieszkanie i talon na samochód, Wartburg. Obecnie jest na esbeckiej emeryturze w stopniu majora (...)

W swojej pracy zawodowej zajmował się werbowaniem ludzi do współpracy. Najłatwiej mu szło z ludźmi z wyższym wykształceniem, im wystarczyło jego zdaniem powiedzieć zdecydowanym tonem, że nigdy nie dostaną paszportu i od razu efekt pozytywny. Bardzo łatwo było też pozyskiwać do współpracy osoby legitymujące się

zdradami małżeńskimi lub homoseksualistów. To środowisko było całkowicie kontrolowane przez SB, chociażby, jak twierdził, z tej racji, by wykluczyć takie osoby z SB.

Najgorzej im szło z osobami z wykształceniem podstawowym i zawodowym, żadne metody perswazji nie były skuteczne, nawet bicie i straszenie, że pobiją żonę i zgwałcą córkę. Osoby z wyższym wykształceniem tak łatwo pozyskane do współpracy z wielką starannością realizowały narzucone im zadania. Zapytałam, czy są to osoby publicznie znane, powiedział że tak. Tacy najchętniej współpracowali, oraz pisali bardzo szczegółowe sprawozdania. Pytałam go, czy posiadanie kwitów na tych nieujawnionych szubrawców pomaga mu w III RP, powiedział, że to jest podstawa jego dobrobytu oraz jego kumpli z firmy.

Pytałam, czy werbownicy wymieniali się ze sobą informacjami dotyczącymi swoich agentów powiedział, że to było zabronione przepisami, a ponadto nikt nikomu nie zdradzał swoich agentów w trosce o własne stanowisko. Konkurencja była dosyć ostra, więc każdy mógł odebrać agentów. Parę razy mu się zdarzyło jak werbował do współpracy przedstawicieli inteligencji pracującej, którzy ze strachem przyznawali, że już pracują dla firmy. Kiedy już sam był przełożonym werbowników w stopniu majora, miał pełną kontrolę nad swoimi agentami od różnych werbowników, jakim sam był na poprzednim stanowisku.

Zaskoczeniem było dla mnie to, że kiedy go spytałam o werbowanie księży, powiedział, że tym się zajmowali specjaliści przeszkoleni do pozyskiwania księży. Jemu i innym nie było wolno tego robić. Jakby mu się zdarzyło i zameldował o tym przełożonemu, że udało mu się pozyskać do współpracy księdza, to musiał go przekazać komuś innemu i na tym się jego rola kończyła. To już była specjalizacja do rozpracowania księży oraz innych dostojników kościelnych.

Jednak najważniejsze pytanie dla mnie było, czy można było zarejestrować osobę bez jej wiedzy i zgody, jako tajnego współpracownika, odpowiedział zdecydowanie, że to było niemożliwe ze względu na procedury i wytyczne, które ich obowiązywały jako werbowników. On sam osobiście nigdy tego nie próbował jako werbownik, ale jako przełożony znał przypadki kiedy to jego podwładni próbowali firmę naciągnąć na koszty. Raz w miesiącu spotykali się na naradzie u komendanta wojewódzkiego, który to takich nieuczciwych delikwentów wyrzucał dyscyplinarnie. Jak wyglądała procedura weryfikacji? Osoba, która już była niby pozyskana, musiała się spotkać z oficerem przełożonym agenta werbownika. Była to, jak twierdził, podstawowa zasada identyfikacji

przyszłego agenta. Jeśli np. była to osoba ze znajomością języka obcego po studiach filologicznych, musiała być obowiązkowo przekazana do wywiadu. W tym przypadku jego rola, jako werbownika, się kończyła, a on sam uzyskiwał premię oraz awans. Więc jeśli na spotkaniu potencjalnego agenta oraz werbownika z jego przełożonym okazywało się, że on był podstawionym lub nie przyszedł, agent-werbownik był już spalony, wtedy za pierwszym razem otrzymywał nagane z wpisaniem do akt, a to bardzo

IPN BU 00161/70
14807/1

DRUK SZCZEGÓŁOWY ZARACHOWANIA Nr
(Wydaje za pokwitowaniem Biuro (Wyd.) „C”)

Sfilmowano: *Harmanowicz*, dnia *10.07.1972 r.*
data: *Tajne spec. znaczenia*
afilmował: (imię i nazwisko) Nr ewidencyjny *28849*

KWESTIONARIUSZ T. W.
CZĘŚĆ I
PERSONALIA TAJNEGO WSPÓŁPRACOWNIKA

- Nazwisko *GLEMP*
(to wyrażenie zawiera nazwisko – podać w nawiasie poprzednie nazwisko)
- Imię (imiona) *JÓZEF*
- Imiona rodziców *Kazimierz, Sotomira Kosińska*
(o nazwisku poprzednika matki)
- Data urodzenia *18.12.1928 r.* 4. Miejsce urodzenia *Noworocznice*
- Narodowość *Polska* 6. Obywatelstwo *Polskie*
- Rysopis: wzrost *średni* oczy *szare* włosy
znaki lub cechy szczególne
- Wykształcenie *do teologii i prawa kanonicznego*
- Zawód: wyuczony *Kościół* wykonywany *Kościół*
- Wykształcenie specjalne: *studium teologiczne w Rydze*
- Służba wojskowa: *szef. rez. w C-058904*
(dotyczy tylko żołnierzy, Nr k. wojskowej, stopień wojskowy)
- Nr dowodu osobistego i przez kogo wydany *ME-7762068 Gniezno*
- Miejsce pracy, zajmowane stanowisko, tel. służbowy *Sekretariat Prymasa, Kępczka, tel. 342157*

8 z 40

Skan pierwszej strony kwestionariusza Tajnego Współpracownika ks. Józefa Glempa znalazłem kiedyś w Internecie, w komentarzach pod jakimś artykułem w ogóle nie dotyczącym spraw współpracy duchowieństwa z SB. Nie jestem w stanie sprawdzić, czy jest autentyczny, gdyż esbeckie akta duchowieństwa zostały utajnione. Gdyby je ujawniono, być może okazałoby się, że rzekome donosicielstwo o. Konrada to drobiazg niewarty uwagi.

utrudniało awans, a za kolejnym razem wylatywał z firmy dyscyplinarnie. Spytałam go wobec tego, czy np. taki śp. biskup Józef Życiński mógł podpisać coś bez swojej wiedzy i zgody na współpracę z SB, odpowiedział, że to było niemożliwe, ponieważ takie dokumenty rejestrujące fałszywego agenta były komisyjnie niszczone.

Więc podałam przykład Pana Antoniego Macierewicza, jeśli są na niego jakiekolwiek papiery świadczące o współpracy, to czy można twierdzić, że jest to fałszywka wyprodukowana na

specjalny użytek, by go skompromitować, odpowiedział, że jeśli podpisał zgodę o współpracy, tzn. że współpracował. Za komuny, jak twierdził, w SB w wydziale naboru TW panowała dyscyplina i porządek, produkcja fałszywych agentów była wykluczona. Czyli, jeśli np. Pan Macierewicz zostawił ślad w postaci raportu napisanego przez niego osobiście i jeśli on będzie twierdził, że jest to fałszywka wyprodukowana przez SB, odpowiedział, że to zawsze można zweryfikować poprzez sądowego grafologa, czy to pismo jest jego czy też nie.

A jeśli raport pisany był na maszynie i podpis też był maszynowy, odpowiedział, że podpis musiał być złożony pod maszynopisem własnoręcznie. O to już musiał zadbać jego agent prowadzący w trosce o swój własny tyłek. Przypomniała mi się w tym momencie scena z filmu „Różyczka”, kiedy to dziewczyna za zasługi dla SB otrzymała perfumy, które koniecznie musiała pokwitować.

Rozmowa z dawnym kolegą klasowym przekonała mnie jeszcze, że problemem najważniejszym, z jakim boryka się obecnie Polska, jest kompletny brak lustracji i opublikowanie pełnej listy agentów, ponieważ tylko w ten sposób przerwiemy pępowinę łączącą nas z PRL i Moskwą komunistyczną. Rzeczywistą władzę w Polsce przejęli byli oficerowie SB, którzy wykreowali różne tzw. legendy Solidarności, czego klasycznym przykładem był Lech Wałęsa.

Kiedy zapytałam go, czy układ z Magdalenki był umową pomiędzy gen. Kiszczakiem a jego agentami, odpowiedział, że poza małutkimi wyjątkami tak właśnie było, oraz że ustalenia są ciągle obowiązujące, gdyż byli oficerowie SB i WSI, wciąż dysponują skutecznymi kompromatami i są pewni, że tamci po drugiej stronie rządowej, obojętnie jakiej, takie gwarancje im zapewniają.

Jak wobec tego odebrali uchwałę lustracyjną z 1992 roku?

Było to dla nich kompletne zaskoczenie, później zrobili wszystko by się taka sytuacja nigdy nie powtórzyła. Przecież musieli chronić swoich agentów, którzy to zapewniali i nadal im zapewniają życie w luksusie na koszt podatnika.

Wiedziała, że spotykam się z człowiekiem zdemoralizowanym, zepsutym, pasożytem, który to potrafił się urządzić w życiu na nasz koszt, niszcząc ludzi słabych. Niemniej jednak ciekawość przeważała, ponieważ miałam unikalną możliwość szczerzej rozmowy i przekonać się na własne uszy o konieczności lustracji.

Byli oficerowie komunistycznych służb, ludzie honoru kolejnego kanalii Michnika, sprzedadzą nas każdemu, kto im tylko zapłaci. Publikując dane

osobowe wszystkich tajnych współpracowników wytrącamy ich najważniejszą broń, Okaże się wtedy jak są bezzębni, niezdolni już nikogo ugryźć.

Bez lustracji ciągle chorujemy na gangrenę od 1989 roku. Ich agenci ulokowani na kluczowych stanowiskach z każdej partii po 1989 roku, realizują zadania, które zleca tym SB-kom i WSI-okom nie wiadomo kto, byle tylko zapłacił, a następnie oni przekazywali rozkazy swoim agentom ulokowanym na każdym szczeblu decyzyjnym od sejmu do gminy, zadania do realizacji, za które to płacił niczego nieświadomy podatnik, który to często uświadamiał sobie że decyzje podjęte przez jego wybrańca są całkowicie sprzeczne z jego gminą czy państwem polskim. I taka sytuacja trwa do tej pory, czym upewniła mnie rozmowa z przedstawicielem rzeczywistej władzy w państwie teoretycznym, jakim jest ciągle Polska postmagdalenkowa.

Pracownik Służby Bezpieczeństwa musiał wykazywać się efektami swojej pracy, pozyskiwać donosicieli, zdobywać ważne dla władzy informacje. Z powyższej relacji wynika, że nie mógł konfabulować, bo jego raporty, czy to ustne, czy pisemne, były weryfikowane przez przełożonych. Wydaje się jednak, że było to możliwe.

Major Wacław Głowacki, który prowadził rozmowy z o. Konradem, ustawił się w esbeckiej strukturze nadzwyczaj inteligentnie. Rozmawiał z dominikaninem półoficjalnie, jak przedstawiciel władz uprawniony do kontroli zakonu i redakcji miesięcznika „W drodze”.

Dzięki takiemu usytuowaniu, zdobywał masę informacji mało znanych w kręgach partyjnych i w tajnych służbach, choć nie będących tajemnicą dla zaangażowanych wiernych, już nie mówiąc o duchowieństwie. Informacje te przedstawiał inteligentnie w swoich raportach jako dane wywiadowcze, zdobyte za pośrednictwem tajnego współpracownika, który, jako że jest wykształcony i ma wysokie poczucie własnej godności, na razie nie wie, że jest tajnym współpracownikiem. Na razie honorarium nie bierze, ale... nic straconego. Na razie bierze prezenty.

Rozmowy z o. Konradem plus nagrania stanowiły doskonały materiał do raportów, którymi można się było wykazać. Gdyby przełożeni mieli większe pojęcie o sytuacji w Kościele, wiedzieliby, że pisze o sprawach powszechnie znanych. Raporty sprawiają wrażenie całkiem konkretnych, ale nie wiadomo, ile informacji tam pochodzi od samego o. Konrada, a ile z innych źródeł, na przykład z podsłuchów. W każdym razie, wyglądają imponująco, a natrudzić się nad nimi major nie musiał. Żyć, nie umierać.

Pisał o tej „współpracy” z SB współbrat zakonny o. Konrada o. Jacek Salij, że wszyscy w redakcji wiedzieli o tym, że o. Konrad jest głównym naszym przedstawicielem w kontaktach z władzami. Zresztą, nie zajmował się tym z własnej inicjatywy, tylko my oddelegowaliśmy go do tego. Nigdy tych wizyt w Urzędzie do spraw Wyznań czy spotkań z esbekiem, panem Głowackim, przed nami nie ukrywał, zdawał z nich nam dokładne relacje. Wspólnie zastanawialiśmy się, jak się zachować wobec różnych bezzębnych żądań tego pana.²

Otwarte i szczere na pozór rozmowy o. Konrada z oficerem SB widzę jako coś w rodzaju negocjacji. Dominikanie musieli przekonać władze, że wydawanie takiego miesięcznika leży w ich interesie, dlatego podkreślał ciągle jego nowoczesność, otwartość, konflikt ideowy z władzami Kościoła co do nauczania, teologii nauczania, formacji duchowej wiernych itd. Z drugiej strony, rozmówca o. Konrada tak formułował swoje raporty, żeby pokazać się jako ktoś, kto złowił ważnego informatora. „Złapał kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma.”

Dziennikarz, pisarz, pracownik redakcji – pisze wydawca książki Petera Rainy o sprawie o. Konrada – *ktokolwiek w jakimkolwiek sposób powiązany z działalnością wydawniczą w okresie totalitarnym, doskonale zna „kulisy” powstawania książki czy periodyku. Najważniejsze były wówczas dwa etapy tego swoistego „procesu twórczego”: uzyskanie zgody GUKPiP³ na publikację oraz przydział papieru! Te zwolnienia i zezwolenia dawali pracownicy odpowiednich instytucji, często jednocześnie współpracownicy bądź pracownicy MSW. Kontakt z nimi był nie tylko nieunikniony, ale wprost konieczny, jeśli chciało się doprowadzić do końca przedsięwzięcie wydawnicze. Dzięki takim kontaktom można je było też przyspieszyć „odpowiednią gratyfikacją” – od podarunku w formie jakiegoś towaru deficytowego (przy czym w komunizmie niemal wszystko było towarem deficytowym) aż po normalną łapówkę finansową. Kiedy nie dysponowało się odpowiednimi dobrami, funduszami, bądź nie chciało się brać udziału w ogólnym procesie psucia stosunków społecznych, trzeba było znaleźć inną metodę uzyskania pozytywnej decyzji urzędnika. Metodą taką mogła być np. pozornie spolegliwa rozmowa, otwartość na jego prośby i sugestie, itp.*

Wiele (...) wskazuje, że jedynym celem o. Konrada w kontaktach z majorem Głowackim

² Raina Peter, *Anatomia linczu. Sprawa Ojca Konrada Hejmo*, Warszawa 2006, s. 44-45

³ Głównego Urzędu Kontroli Prasy i Publikacji

było zapewnienie dalszego ukazywania się i w miarę możliwości doprowadzenia do zwiększenia nakładu miesięcznika „W drodze”. (...) Ojciec Hejmo zmuszony był podjąć swoistą grę z pracownikami MSW.

Osobiście podejrzewam nawet, że o. Konrad prowadził tę grę na zlecenie kogoś z Episkopatu Polski. Był człowiekiem inteligentnym o nadzwyczajnej zdolności zaskarbiania sobie sympatii rozmówców. Rasowym dyplomata. Odbierałem go, jego powierzchowność, jako człowieka nieautentycznego, przy pozorach otwartości nigdy nie tracił samokontroli. Mówił tylko to, co chciał i co

Abp Sławoj Leszek Głódź przez co najmniej sześć lat miał być wykorzystywany jako nieświadomy informator wywiadu wojskowego PRL - ustaliła "Rzeczpospolita" i Onet.pl. Informacje miały być zbierane w latach 80., kiedy Głódź pracował w Watykanie. Kontakty z Głodziem nawiązywał m.in. płk Franciszek Mazurek ps. Barcz, który oficjalnie pracował jako kierownik przedstawicielstwa PLL LOT. Pierwsza notatka na temat Głódzia pojawiła się w teczach w czerwcu 1983 r. Głódź w rozmowach z Mazurkiem miał m.in. odnosić się do kontaktów kard. Józefa Glempa z gen. Wojciechem Jaruzelskim i Janem Pawłem II.

Ostrożnie i umiejętnie prowadzone z nim rozmowy pozwoliły mi na uzyskanie w latach 1983–1985 wielu cennych i wiarygodnych informacji, zwłaszcza w okresie II wizyty papieskiej w Polsce. Ks. S. G. da-rzył mnie dużym zaufaniem, czego zresztą nie omieszkął podkreślić kilkakrotnie podczas spotkań dwustronnych - pisał pułkownik w sprawozdaniach.

Źródło:

<http://wiadomosci.gazeta.pl/wiadomosci/7,114883,23509826,abp-slawoj-leszek-glodz-byl-wykorzystywany-jako-informator-wojskowy.html>

należało powiedzieć. W opracowaniu pracownika SB por. Emczyńskiego znajdujemy m.in. takie zdanie: *Konieczne jest prowadzenie stałych czynności sprawdzających „Hejnal”⁴ w kraju i za granicą celem przekonania się, że nie został on przez Episkopat Polski skierowany do rozpoznania zainteresowań wywiadu jak też do dezinformacji.⁵*

Przemawia za tym fakt, że miał propozycję pracy w sekretariacie episkopatu polski, czemu sprzeci-

wiły się jego władze w zakonie. Wyjechał za granicę jakby wygnany. Przez pierwsze lata w Rzymie z trudem zdobywał środki na utrzymanie. Dlaczego jego zakon o niego się nie zatroszczył? To jest zagadka, a nie kwestia jego współpracy z SB.

W raportach SB z rozmów z o. Konradem, opublikowanych w książce Petera Rainy „Anatomia linczu. Sprawa Ojca Konrada Hejmo”, nie znalazłem nic, co – moim zdaniem – mogłoby dawać tajnej służbie jakiś oręż w walce z Kościołem. Mówił o tym, co wiadome było skądinąd i co było nie do ukrycia. I wprowadzał rozmówców w błąd. Opowiadał o problemach z brakiem redaktorów do pracy w miesięczniku „W drodze”, nie wspominając, że ja tam już pracowałem.

Jedyną informację, którą mnie zaskoczył, a która mogła przydać się tajnym służbom, była ta, że kard. Wyszyński od kilku już lat przygotowywał ks. Józefa Glempa na swojego następcę. O tym o. Konrad esbekom nie mówił. Wprowadzał ich w błąd, wymieniając kilka nazwisk kandydatów na urząd prymasa. Niemniej, kiedy dzisiaj czytam te raporty, ogarnia mnie złość. Rozmawiał z esbekami o tyłu sprawach, o których ani on, ani redaktor naczelny o. Marcin nie uznali za potrzebne podzielić się ze mną. Nie byłem dla nich współpracownikiem, partnerem w pracy redakcyjnej.

O. Konrada oskarżano (w mediach) o jeszcze większe przestępstwo, jakim była dobrowolna współpraca z wywiadem zachodnoniemieckim. Miał rzekomo raportować Niemcom, a konkretnie ich agentowi o kryptonimie „Leker”, o sytuacji w polskim episkopacie i w Watykanie. Wywiad PRL-owski wysłał go kiedyś do Niemiec Zachodnich (wówczas NRF) jako agenta, uwiarygodniwszy wcześniej zamykając na dłuższy czas w jednej celi z Erichem Kochem, byłym gauliterem Prus Wschodnich. Nie tak, że wysłali go do więzienia po ukończeniu szkoły dla wywiadowców. „Lekar” był przestępcą, odsiadującym wyrok.

Sprawa jest absurda i na milę cuchnąca prowokacją. Stosunki w episkopacie polskim nie były dla biskupów niemieckich tajemnicą. Mnóstwo księży polskich przenosiło się w tym czasie do Niemiec i tam inkardynowało do zespołu prezbiterialnego takiego czy innego biskupa.

O stosunkach w Polsce i polskim Kościele rozmawiali przy kawie, chyba nawet nie zdając sobie sprawy, że biskupi i księża niemieccy są poniekąd urzędnikami państwowymi i z tej racji mogą być, a prawdopodobnie najczęściej są związani z tajnymi służbami. W każdym razie trudno sobie wyobrazić, żeby urzędnik państwowy

⁴ Kryptonim, nadany o. Konradowi bez jego wiedzy, kiedy przebywał za granicą.

⁵ Raina Peter, op. cyt., s. 405

odmawiał ujawnienia jakichś informacji innemu urzędnikowi państwowemu, niezależnie czy był to pracownik tajnych służb, czy jawnych. Plotki, którymi o. Konrad dzielił się z „Lekerem”, z pewnością nie stanowiły dla niemieckich księży i biskupów żadnej tajemnicy.

Informacje zebrane przez „Lekera” nie były wiele warte. Gdyby były, nie trzymałby ich w teczkach w domu. Prawdopodobnie BND⁶ widział, że nic ciekawego w nich nie ma, więc postanowili wykorzystać „Lekara” w celach propagandowych, rozdmuchując w odpowiednim momencie aferę z o. Konradem.

Jedyne, co w sprawie o. Konrada daje mi do myślenia, to niezgoda prowincjała na zatrudnienie go w sekretariacie episkopatu Polski i wysłanie do Włoch bez środków do życia. Nie wiem, czym się naraził. Domniemywam tu walki o wpływy w tajnych służbach.

Do Okrągłego Stołu Solidarność nie typowała swoich przedstawicieli, zapraszał ich gen. Czesław



Okładka jednej z książek wydanych staraniem wychowanków o. Konrada

Kiszcza. Nawet jeśli robił to w porozumieniu z L. Wałęsą, nie zmienia to istoty rzeczy.

⁶ Bundesnachrichtendienst (Federalna Służba Informacyjna) – wywiad zachodniemiecki.

W nowym ustroju rozstrzygające były kontakty w tajnych służbach, bo to służby rozdawały wtedy karty. Czy aby środowiska liberalne albo – nazwijmy je – lewicowe nie sprokurowały tej afery, obawiając się kontaktów o. Konrada? Był niezwykle układny i kontaktowy. Materiały go obciążające napłynęły do IPN kilka dni po śmierci JP II, choć dotyczyły lat o wiele wcześniejszych. Dlaczego dopiero wtedy?

Bronić o. Konrada – karkołomne zadanie

Bronić o. Konrada, po zapoznaniu się z raportami esbeków na jego temat, to karkołomne zadanie – tyle tam niepotrzebnie ujawnionych relacji z życia Kościoła i zakonu – ale spróbuję podjąć się tego.

I. Kwestia szczerości i nadmiernego otwarcia się przed funkcjonariuszami

Nie dla wszystkich ten system był wrogi. I nie od razu. Anna Walentynowicz była sierotą, wykorzystywaną niemiłosiernie przez gospodarzy, którzy ją przygarnęli. Nie wiadomo, czy byli to jacyś dalecy krewni, czy ludzie zupełnie obcy. Kiedy została przyjęta do pracy w stoczni, nie posiadała się ze szczęścia. Nareszcie będzie miała swoje pieniądze. Uniezależni się. Za jakiś czas dostanie mieszkanie. Jak sama mówiła, czuła się moralnie zobowiązana odplacić za to wytężoną pracę. Kiedyś przepracowała czterysta kilkadziesiąt godzin w miesiącu. Na stanowisku spawacza! Kto kiedyś pracował jako spawacz lub blisko stanowiska spawacza, wie, co to znaczy. Błogosławiła system, który umożliwił jej ludzkie życie.

Może o. Konrad również – w przeciwieństwie do niektórych swoich konfratrów – nie widział tego systemu jako emanacji piekła. Był to system paskudny, ale – i taka jest nauka Kościoła – nie ma ustrojów politycznych czy gospodarczych, które wyeliminują z życia społecznego skutki grzechu pierwotnego. Czy to wspólnota pierwotna, czy to feudalizm, kapitalizm, czy socjalizm, czy komunizm, każdy ma argumenty na swoje usprawiedliwienie. Ten system, który panował w PRL-u – też.

We wcześniejszym okresie, kiedy był duszpasterzem akademickim, o. Konrad organizował otwarte dyskusje na wzór „Trybuny Obywatelskiej” – programu telewizyjnego, w którym najwyżsi dygnitarze partyjni, jak Jan Szydlak czy Stefan Olszewski, odpowiadali na pytania widzów. Program był na żywo i każdy mógł zadawać pytania.

Może łączyła go z esbekami troska o ojczyznę? Jedną taką mieli, dość stłamszoną, ale... innej nie było. Ponaglenia majora W. Głowackiego (zapisane w jego raportach), by publikować więcej materiałów na temat Ziemi Zachodnich i Polonii były jak najbardziej na miejscu. Żle świadczy o redakcji „W drodze”, że takich materiałów nie publikowała, że unikała tematów z życia, z realnego życia, uciekając w świat wysublimowanej kultury i nowej, dziś byśmy powiedzieli „modernistycznej”, duchowości.

Anna Walentynowicz nie występowała na początku przeciwko ówczesnemu ustrojowi, a tylko przeciwko ludzkiej nikczemności. Początek jej działalności opozycyjnej dała afera z kierownikiem kasy zapomogowo-pożyczkowej na jej wydziale w stoczni. Zdefraudował niewielką, jak na owe czasy, sumę pieniędzy. Kiedy Anna Solidarność, jak ją później nazywano, upominała się o te pieniądze, napotkała na mur złodziejskiej solidarności. Wszyscy złodzieja kryli, od dołu, od organizacji związkowej na wydziale, do góry – do Centralnej Rady Związków Zawodowych (CRZZ) w Warszawie.

Anna Walentynowicz była zbyt prostolinijna, by zaakceptować nikczemność, więc zaczęła walczyć i w tej walce wyrosła na ikonę Solidarności. Gdyby w ówczesnych związkach nie zawiązała się złodziejska sitwa, gdyby stanowisk nie objęli sami cwaniacy, być może, kto wie, nie byłoby solidarnościowej rewolucji, być może A. Walentynowicz nadal pracowałaby w stoczni.

To była kwestia jednego uczciwego człowieka, może dwóch, trzech, którzy powiedzieliby „nie”, nie będziemy kryli złodzieja. Tych ludzi zabrakło.

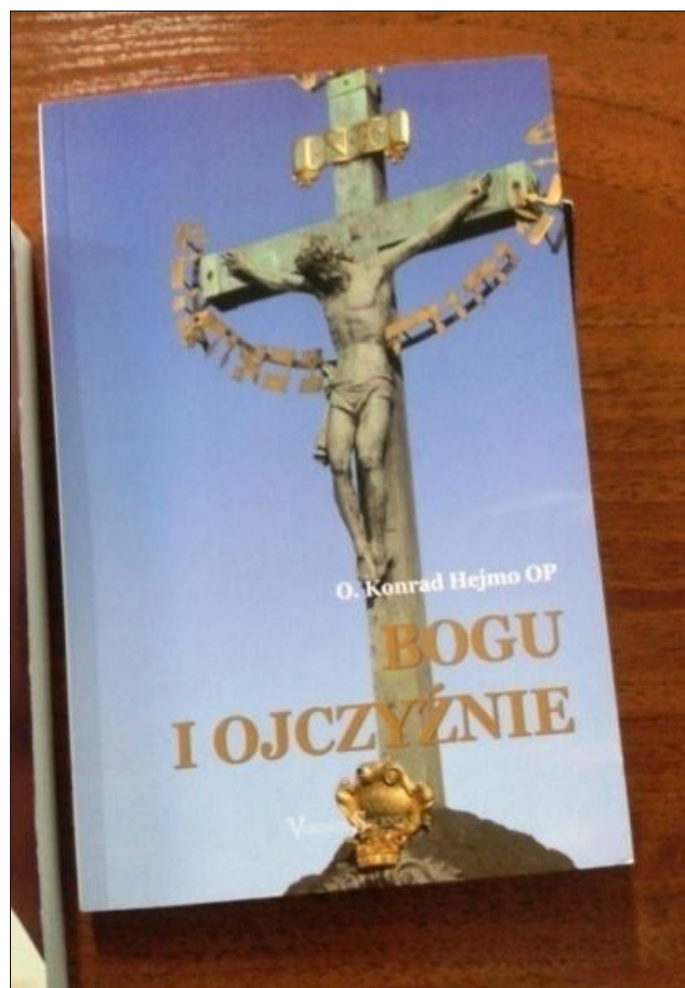
Kościół musiał jakoś koegzystować z władzą w PRL-u, iść na kompromisy, aby ocalić rzeczy ważne. Osoby bezkompromisowe, takie jak ks. Stanisław Małkowski u nas czy nieliczne grupy starszych kobiet i popów w Związku Radzieckim, znaleźli się po pierestrojce i okrągłym stole na marginesie. Opowiadał mi Kazimierz Świtoń, że kiedy biskup katowicki Herbert Bednorz odwiedzał w katowickim areszcie więźniów politycznych, to jego pominął. Powiedzieli mu o tym strażnicy więzienni.

– *Tu kto?* – spytał biskup przed jego celą.

– *Kazimierz Świtoń.*

Machnął ręką i poszedł dalej.

Kościół na Górnym Śląsku w tym czasie wyrobił sobie image obrońcy robotników. Pielgrzymki mężczyzn do Piekar Śląskich organizowano pod hasłem „Niedziela Boża i nasza”, wymierzonym przeciwko czterobrygadowemu systemowi pracy w górnictwie i nie tylko w górnictwie. Bp H. Be-



Okładka książki wydanej staraniem wychowanków o. Konrada

dnorz grzmiał na kazaniach przeciwko władzy eksploatującej lud pracujący. Nic nie wywalczył, ale robotnikom jawił się jako jedyny ich obrońca. Pojawił się na scenie Kazimierz Świtoń i powywracał figury na szachownicy. Jeśli chcemy coś zmienić w sytuacji robotników – mówił swoim postępowaniem – musimy z Systemem zacząć walczyć na poważnie.

K. Świtoń jeszcze wyraźniej obnażył hipokryzję oficjalnego Kościoła, kiedy wystąpił w obronie karmelitanek z Oświęcimia. Założyły one klasztor tuż pod ogrodzeniem obozu koncentracyjnego, aby modlić się za tam pomordowanych. Doprowadziło to do furii środowiska żydowskie, które rościły sobie, i roszcżą do dzisiaj, monopol na cierpienie. Nazywają holokaustem zbrodnię na żydowskim narodzie i nadają jej wymiar religijny, jako coś jedynego w historii, związanego ze swoją wyjątkowością jako „narodu wybranego”. Katolicki klasztor pod obozem i krzyż „urazały ich uczucia religijne”.

Papież Jan Paweł II i bp krakowski kard. Franciszek Macharski ugięli się pod naciskiem

Żydów i wymusili na karmelitankach likwidację klasztoru. K. Świtoń wtedy, wspólnie z redemptorystą z Gliwic o. Janem Siemińskim podjęli akcję stawiania krzyży na żwirowisku, gdzie Niemcy rozstrzeliwali głównie polskich więźniów.

Te krzyże też usunięto pod naciskiem Żydów, ale zdaje się jeden tam pozostał. Teraz, kiedy słyszę kazania księży, że nie należy wstydzić się krzyża, że czyniąc znak krzyża przed jedzeniem w restauracji czy przechodząc obok kościoła dajemy świadectwo wiary, czuję niesmak.

II. Kwestia stawiania Kościoła i zakonu w złym świetle

Czy o. Konrad stawiał Kościół w złym świetle, relacjonując niektóre konflikty wewnątrz zakonu i episkopatu, spory kompetencyjne czy opisując zgodnie z prawdą postawy, nie zawsze chwalebne, wielu duchownych?

Bynajmniej. Kościół nie jest, a przynajmniej nie powinien być organizacją mafijną, gdzie obowiązuje zмова milczenia. Można o. Konradowi zarzucić, że niepotrzebnie opowiadał o wielu sprawach, ale tylko to. Nie stawiał nikogo w złym świetle w sensie plotkarskim, nie niszczył niczyjego dobrego imienia.

Każdy przypadek negatywnego naświetlania Kościoła czy zakonu przez o. Konrada w rozmowie z esbekami miał – jak łatwo można dostrzec w raportach – jeden cel: przekonanie ich, że warto zainwestować w zwiększenie nakładu miesięcznika „W drodze”.

Kiedy mówił, że publikują teksty teologów „nowoczesnych”, „otwartych”, co wywołuje niezadowolone konserwatywnie myślących biskupów, to dawał rozmówcom do zrozumienia, że to pokrywa się z ich działaniami zmierzającymi do rozbicia Kościoła. Ta modernistyczna, nowa teologia i duchowość i tak się przebiła, bo takie były czasy. II Soboru Watykańskiego nie zorganizowali wrogowie Kościoła, zorganizowali go ludzie zatroskani o Kościół.

Kiedy mówił, że jego współbrat zakonny o. Ludwik Wiśniewski przesadza, atakując panujący system, to dawał do zrozumienia, że nie wszyscy w zakonie są radykałami, a w redakcji „W drodze” nie pochwalają jego wystąpień.

Zawsze zresztą dodawał, że o. Ludwik pochodzi z chłopów, co – jak chyba sądził i z pewnością naiwnie – miało u funkcjonariuszy tajnych służb „robotniczo-chłopskiej” władzy przysporzyć o. Ludwikowi trochę sympatii, jako „swojemu klasowo”.

Wierzyć zawodowym kłamcom?

Jest wielu ludzi pamiętających o. Konrada z tego, co im dał dobrego. Dawni jego wychowankowie z poznańskiego DA próbowali go bronić przed oskarżeniami, ale ich głos nie przebił się do mediów głównego nurtu. Publikowali swoje teksty w środowiskowych, niskonakładowych pismach i na portalach internetowych. Włodek Fenrych opisywał własne doświadczenia z konfabulatorami z SB, ale trudno mu było przekonać historyków z Instytutu Pamięci Narodowej:

Podobno dnia 9. sierpnia 79 r. grupa członków poznańskiego Studenckiego Komitetu Solidarności (...) udała się do Gdańska, by spotkać się z Bogdanem Borusewiczem (...) i innymi w celu powołania Ruchu Młodej Polski. Taką informację znalazłem w aktach Służby Bezpieczeństwa udostępnionych mi przez Instytut Pamięci Narodowej (IPN Po08/1296 t.3 s.153). Cała wyprawa opisana została dość szczegółowo, łącznie ze spotkaniem pomiędzy członkami gdańskiego SKS (...) a grupą (...) z Poznania. Wyszczególnione było kto się czym przechwalał, a także stwierdzono, że nic konkretnego na spotkaniu nie ustalono. (...) Zapewne historyk badający działalność poznańskiego SKS, natknąwszy się na taki dokument, potraktuje go poważnie (...) ja go poważnie potraktować nie mogłem. Nie dlatego, że nie jestem historykiem, tylko dlatego, że niby miałem być uczestnikiem tej tak szczegółowo opisanej wyprawy i wiem z całą pewnością, że nigdy się nie odbyła (...) to tak pieczołowicie i szczegółowo opisane wydarzenie nie miało nigdy miejsca. (...)

To tylko jeden taki kwiatek, jest ich w ubeckich teczkach cała ląka. Czego ja się z nich nie dowiedziałem! A to że drukowałem artykuły – podpisując je pseudonimem „Poritus” – w Miesięczniku DA Dom (IPN Po08/1296 t.3 s.16) (nie bardzo wiem, o jakie pismo chodzi, domyślam się, że nie o świeżo powstałe wówczas „W Drodze”, tylko wydawane przez ojca Honoriusza i rozprowadzane w maszynopisach pismo „Przystań”; ja się wprawdzie z Honoriuszem przyjaźniłem, ale jego pisma nawet nie czytałem). Albo że z Jackiem Kubiakiem i Krystyną Antowską planowałem wydać ulotkę dotyczącą VIII Zjazdu PZPR, ale udaremniła to SB za pomocą przeszukań i konfiskaty bazy poligraficznej (IPN Po08/1296 t.3 s.165) (żadne zjazdy PZPR nas nigdy nie interesowały, wykluczone było planowanie ulotki na ten temat). Albo że z Krystyną Antowską w jej mieszkaniu wydrukowałem jakąś ulotkę, ale nazajutrz wkroczyła SB i skonfiskowała cały nakład (IPN Po08/1296 t.3 s.168-178) (wykluczone, Krysia

wynajmowała tylko pokój, a gospodyni nie dopuszczała do żadnej działalności opozycyjnej w mieszkaniu). Na takie kwiatki natykałem się co chwila, a były one dokładnie przemieszane z informacjami o wydarzeniach, które rzeczywiście mały miejsce. Istny groch z kapustą. (...) Czy można się dziwić, że szkoleni w kłamstwie tajni współpracownicy okłamywali nie tylko nas? I czy można się dziwić, że ci, co tajnych współpracowników szkolili w kłamstwie, sami również potrafili kłamać, i to tak zgrabnie, że tylko świadek wydarzeń potrafi ich na tym przylapać? Nam, dla których uczciwość jest stanem naturalnym, nieprawdopodobnym wydaje się przypuszczenie, że SB okłamywała samą siebie, a jednak tak było. (...) Natknąłem się (...) na cały szereg dokumentów napisanych z oczywistym zamiarem wprowadzenia w błąd czytelnika. Dobrym przykładem jest raport przeznaczony dla władz politycznych informujący o przebiegu mszy za dusze poległych w Katyniu, odprawionej wiosną 1980 roku w poznańskim kościele oo. dominikanów ((IPN Po08/1296 t.3 s110-112).

Z raportu owego wynikało, że SKS wprawdzie przygotowywał jakieś ulotki, ale SB przeprowadziła sprawne akcje i skonfiskowała cały nakład (...) działaczy SKS albo aresztowano, albo kazano siedzieć w domu pod groźbą aresztu, na mszę przyszło niewiele więcej osób niż zwykle na mszę o tej godzinie, mszę odprawił ojciec Honoriusz, w kazaniu były tylko aluzje do Katynia. (...) Ulotkę informującą o mszy katyńskiej rozprowadziliśmy na dwa tygodnie przed datą samej mszy, SB najwyraźniej nie spodziewała się tak wczesnej akcji i nie przeszkadzała nam (...) Ulotkacja (...) była jak najbardziej udana, przez parę dni była tematem rozmów w mieście, a echo znalazłem także w ubeczkich raportach, bowiem nieznany mi t.w. donosił, że znalazł ją u siebie na wycieraczce, a inny że ktoś ją przyniósł do zakładu pracy. (...) kościół był zatłoczony, że msza była koncelebrowana, prowadził celebrę ojciec przeor Aleksander Hauke-Ligowski (w owym czasie członek Towarzystwa Kursów Naukowych, które firmowało podziemne samokształcenie), a została przedłużona o aluzję całkiem wyrazistą, mianowicie apel poległych w Katyniu (...).

Zatem jeśli SB miała swoich agentów w tłumie (co jest najbardziej prawdopodobne), to oficer piszący raport najzupełniej świadomie kłamał. Jeśli nie miała, a co za tym idzie nie miała informacji, to oficer piszący raport najzupełniej świadomie pisał fikcję. Był to raport przeznaczony dla władz politycznych. Nie tylko poszczególni tajni współpracownicy czasem kłamali. Cała ta instytucja oparta była na kłamstwie i kłamstwem

była szyta. (...) tajny współpracownik o pseudonimie „Pająk”, mój dawny przyjaciel ze szkoły średniej (...) zdziwiłem się trochę widząc jego donos na mój temat, natomiast zupełnie nie zdziwiła mnie treść donosu. (...) był klasycznym mitomanem, takim co wszędzie był i wszystko miał, a jego opowieści o przewagach w starciach ze szczecińskimi gangami brzmiały jak relacje z samurajskich filmów. Nie wiem, czy Johnny sądził, że ja w te opowieści wierzę, natomiast najwyraźniej wierzył w nie jego oficer prowadzący, bowiem obok donosu jest adnotacja, że źródło jest wiarygodne.

(...) Drugiego (...) nazwę po imieniu i nazwisku, a to dlatego, że był on sygnatariuszem i aktywnym działaczem poznańskiego SKS; w zasadzie odgrywał w nim rolę podobną do tej, jaką w Krakowie odgrywał Maleszka. Chodzi o Zbigniewa Koniecznego, w latach siedemdziesiątych studenta nauk politycznych w Poznaniu, w roku 80. organizatora Solidarności w Gnieźnie. Konieczny zgłosił się do nas już po powstaniu SKS (...) w pewnym okresie pisał codziennie raporty, z których niektóre pokrywały się z prawdą, a niektóre były z kapelusza wzięte. (...) Z całej tej lektury teczek na swój temat wyciągnąłem wniosek, że wprawdzie nie wszystko to jest bujda na resorach, obok raportów z wydarzeń, które nigdy nie miały miejsca są też inne, zgodne z rzeczywistością, tym niemniej całość jest w najlepszym razie podejrzana. (...) Piszę więc ten tekst jako ostrzeżenie, byśmy się po raz kolejny nie dali nabrać instytucji zawodowych kłamców.

Pozostaje dla nich duchowym ojcem

Dla Włodka Fenrycha i jego kolegów z DA o. Konrad wciąż pozostaje duchowym ojcem, nauczycielem i wychowawcą o niekwestionowanym autorytecie. Pozostają mu wdzięczni za to, co kiedyś od niego otrzymali. Pisał do mnie Włodek:

Mieszkam (...) w Hatfield, cichym angielskim miasteczku (...) Tutaj moje dzieci były chrzczone, przystępowały do pierwszej komunii świętej, były bierzmowane, tutaj też jeden z moich synów w wieku lat nastu stwierdził, że go chodzenie do kościoła nudzi i nie będzie tego więcej robił. Uważam za swój duży sukces wychowawczy fakt, że tak zareagowało tylko jedno z moich trojga nastoletnich dzieci. Dziewięćdziesiąt procent ich rówieśników, uczniów tej samej katolickiej szkoły, nie chodzi do kościoła i twierdzi, że kościół jest nudny jak flaki. (...) Nie dziwię się swoim dzieciom, bo pamiętam jak się sam nudziłem na owych lekcjach religii w salce katechetycznej. (...) w wieku lat nastu przestałem na tą religię chodzić.

Pewnie z powodu braku papierka nie dostałbym kościelnego ślubu, gdyby nie... (...) ojciec Konrad, który prowadził wtedy w Poznaniu duszpasterstwo akademickie. Było to (...) miejsce, które w jakiś sposób przyciągało studentów. Wtedy studentem był mój brat starszy, on mnie wprowadzał w to środowisko, które mi najzwyczajniej imponowało. Żadne trucie o aktach strzelistych, za to codzienne msze studenckie o siódmej rano (...) spotkania będące rzeczywistym wyzwaniem intelektualnym dla młodych ludzi, (...) górskie obozy wędrownie, z duszpasterzem - ojcem Konradem – odprawiającym polowe msze na górskich polanach (...) dałem się wciągnąć i tak zostałem katolikiem praktykującym. Ziarno rzucone przez ojca Konrada (...) zaпустиło korzeń na tyle głęboki, że kiedy parę lat później spotkałem innego dominikanina, który chciał mnie uwieść seksualnie (tu nie ma niejasności, już mnie macał po genitaliach), uznałem to za zachowanie wyjątkowe i nie odwróciłem się ze wzgardą od zakonów męskich i Kościoła Katolickiego. (...)

Zakonnicy wysyłają mnie na bruk

Pracę w miesięczniku „W drodze” skończyłem po dwóch latach. Wypowiedział mi ją o. Maricin, mówiąc, że relacje nam się nie układają i tak dalej się nie da, ale przyjąłem to z ulgą, choć oznaczało to dla mnie znalezienie się na bruku. Oni tam chyba nie wiedzieli, co ze mną zrobić. Nie chcieli albo nie mieli pieniędzy na podwyżkę dla mnie, nie byli w stanie załatwić mi jakiegось mieszkania choćby komunalnego, liczyli, że wstąpię do zakonu i problem sam się rozwiąże.

Kiedyś, po obiedzie w refektarzu – jadałem z zakonnikami w klasztorze i przynajmniej jeden dzień było na poziomie – zatrzymał się przy mnie goszczący chwilowo o. Jacek Salij i oświadczył mi kategorycznie:

– *Masz wstąpić do zakonu.*

– *Dominikańskiego!* – dodał jeszcze bardziej kategorycznie.

Nie zdecydowałem się, choć przez długi czas to rozważałem. O. Konrad załatwił mi pracę w Przedsiębiorstwie Geologicznym Zachód w Poznaniu. Zarabiałem tam grosze, ledwo wystarczało na przeżycie. Na awans, z racji pracy w redakcji „W drodze”, nie miałem co liczyć.

Walczę z Urzędem Zatrudnienia

Musiałem przedtem załatwić sobie skierowanie z Urzędu Zatrudnienia. To, co mnie wtedy tam spotkało, dobrze ilustruje biurokratyczny charakter

ówczesnego państwa. Poznański urzędnik zrobił wielkie oczy, kiedy z tym do niego przyszedłem.

– *To pan porzucił pracę w kopalni, a ja teraz, po trzech latach mam tak sobie dać skierowanie do państwowego zakładu? Jak pan to sobie wyobraża?*

Kazał mi przyjść za kilka dni, aby mógł rozpatrzyć moją prośbę od strony prawnej. Potem wręczył mi skierowanie, ale ze stosownym pouczeniem, którego odbiór musiałem podpisać. Wymienił w nim czternaście chyba przestępstw, które popełniłem podejmując się pracy w Miesięczniku „W drodze”. Strasznie żałuję dzisiaj, że sobie tego pouczenia nie zachowałem. Każdy punkt to inne przestępstwo. Zapamiętałem tylko kilka.

Po pierwsze, porzuciłem pracę na kopalni. Miałem obowiązek złożyć wypowiedzenie i udać się do urzędu zatrudnienia po skierowanie do nowej pracy. Ponieważ ukończyłem wydział górniczy, miałem obowiązek pracować w kopalni, aby odpracować to, co państwo wyłożyło na moje studia. Nie zgłosiłem chęci pracy w „W drodze” do urzędu zatrudnienia, aby otrzymać skierowanie. (nie wiem, czybym je otrzymał). Nie wymeldowałem się z Zabrza i nie zameldowałem w Poznaniu, a więc mieszkalem tam nielegalnie. Niektóre zarzuty były zrozumiałe, jak choćby ten o niespłaceniu długu wobec państwa, zaciągnięty, gdy podjąłem bezpłatne studia. Nie mam zamiaru usprawiedliwiać się. Nie myślałem o służbie ojczyźnie, szukałem lepszej i łatwiejszej pracy.

Kiedy dzisiaj czytam wspomnienia Albina Siwaka, robotnika, byłego członka Komitetu Centralnego PZPR, to mi wstyd. On nie kombinował, chciał pracować – jako murarz – w Warszawie i myślał o odbudowie stolicy. W moich rodzinnych stronach, na Górnym Śląsku, takie szukanie łatwego życia, jak w moim przypadku, było źle widziane. Praca, ciężka praca, należała do przymiotów uczciwego człowieka.

Maciej Parowski przechował moją odznakę

Chciałem wrócić na Śląsk, w Poznaniu czułem się obco. Michał Smolorz załatwił mi pracę w Zawodowej Szkole Górniczej przy KWK Katowice (Kopalni Węgla Kamiennego Katowice). Miał tam znajomego dyrektora. Ten, zatrudniając mnie, trochę ryzykował. Nie miałem wykształcenia pedagogicznego. Kiedyś tylko, w czasach studenckich, dorabiałem jako wychowawca kolonijny. Kilka rzeczy musiałem zrezygnować w życiorysie.

W „Politechniku” zasłużonym współpracownikom przyznawano odznaczenia Janka

Krasickiego, obojętnie, czy ktoś był członkiem Związku Młodzieży Socjalistycznej, czy nie. Kierownikom oddziałów regionalnych przyznawano je z automatu. Ja dostałem srebrną odznakę – z dużym opóźnieniem, nie wiem dlaczego. Pracowałem już wtedy w redakcji „W drodze”, nawet gdybym chciał ją przyjąć, nie wypadało. Odpisałem, bez żadnych tam ideologicznych uzasadnień, że – odznaczenia nie przyjmuję.

Po tym, jak spięliśmy się z redaktorem naczelnym ojcem Marcinem Babrajem OP i mnie zwolnił, znowu próbowałem zaczepić się (czytaj: znaleźć pracę) w oficjalnych, państwowych mediach. Pojechałem do Warszawy, do redakcji „Politechnika” z nadzieją, że może oni mi tam pomogą. Znalismy się przecież już lata, a doświadczenia dziennikarskiego zdążyłem już nabrać.

Redaktorem naczelnym, a może tylko sekretarzem redakcji, już nie pamiętam, był wtedy Maciek Parowski, jeden z najlepszych w Polsce autorów science fiction. Kiedy zacząłem mu mówić o swojej trudnej sytuacji, bez słowa sięgnął do szuflady, wyjął srebrną odznakę Janka Krasickiego, wręczył mi ją wraz z listą i powiedział, żebym podpisał odbiór. Podpisałem.

Maciek trzymał w szufladzie tę srebrną odznakę razem z moją odmową prawie dwa lata. Nie miał odwagi zwrócić jej do komisji odznak – prawdopodobnie dlatego, bo by go spytali, dlaczego mnie do odznaczenia wytypował. Nie wiem, chyba byłoby uczciwiej z mojej strony, gdybym z tą moją pracą w miesięczniku „W drodze” nie ukrywał się. Powinienem był ich od razu poinformować, że przechodzę na „pozycje reakcyjne, wrogie systemowi socjalistycznemu”. Nie zrobiłem tego, bo nie byłem pewny, jak moja praca na tych „pozycjach” skończy się.

Pozytywny model kariery?

Po tym jak, z pewną ulgą, przyjąłem wypowiedzenie mi pracy przez o. Marcina, o. Konrad został wysłany do Gdańska na stanowisko duszpasterza akademickiego. Pomagał mi wtedy jeszcze, załatwiając po znajomości publikację kilku moich tekstów w „Tygodniku Powszechnym”. Miał dobre kontakty ze Stefanem Wilkanowiczem, jedną z najważniejszych postaci w zespole redakcyjnym tego pisma. „Tygodnik Powszechny” był wtedy chyba jednym z dwóch, obok partyjnej „Polityki”, najbardziej wpływowych pism w kraju.

To, że mogłem się później powoływać na publikacje w „Tygodniku Powszechnym”, podnosiło moja rangę w rozmowach z redaktorami i wydawcami.

Z jednym z moich tekstów opublikowanych w „Tygodniku Powszechnym” polemizował Jerzy Urban w „Polityce”. Tekst mój nosił tytuł: „Czy istnieje pozytywny model kariery?”, a opublikowałem go pod pseudonimem. Czego dotyczył, dość dobrze wyjaśnia polemista:

Szewerda, powołując się na filozofa Maxa Schelera z początku stulecia, dzieli ludzi na pospolicich i szlachetnych, a każdemu gatunkowi odpowiada inny model orientacji życiowej. Człowiek szlachetny dąży do tego co dlań jest wartością i nie ogląda się na innych. Tworzy więc dla satysfakcji, uczy się dla gołej wiedzy i jeśli co w życiu osiąga, nie nazwie tego karierą. Przykładem Norwid. Dążenie do kariery jest właściwością ludzi pospolicich. Zajmują się oni obserwowaniem otoczenia i gdy widzą, że coś ma wartość dla innych, dopiero wówczas uznają je za łakome dobro i zmierzają do jego osiągnięcia, do zdystansowania otoczenia. Szybko wspinają się, więc robią karierę.

Kiedy teraz, po latach, czytam tę polemikę, dostrzegam jak fundamentalną kwestię wówczas poruszyłem. To była kwestia moralnego zdeptowania – z jednej strony, i moralnego wyzwolenia narodu – z drugiej, oceniania ludzi nie według jakości ich człowieczeństwa, ale według pozycji, jaką zajmują i posiadanego majątku, nie według kategorii ewangelicznych, ale ideologii liberalizmu i wolnego rynku. Jakbym przygotowywał czytelnika do tego, co miało niedługo nastąpić.

Czytając dzisiaj, z perspektywy wielu lat, polemikę J. Urbana, widzę u niego pusty bełkot. Co bowiem ma do rzeczy fakt, że – jak pisze – Adam Mickiewicz też tworzył wielkie dzieła, jednocześnie zabiegając o karierę „pospolitą”, literacką i polityczną. Zabiegał, i co z tego? Nie pisałem, że ideowiec musi rezygnować z kariery, pisałem, że szlachetnie jest kierować się ideami i zasadami. Pisał, J. Urban, że owe wartości autentyczne, głębsze, własne, merytoryczne mają prawie zawsze charakter zapożyczony, gdyż wartości jako takie funkcjonują społecznie. Chyba tak funkcjonują, ale żeby zaraz mówić, że mają „charakter zapożyczony”? Jerzy Turowicz, redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego”, nie pozwolił mi kontynuować polemiki. Nie i już. Powiedział mi to w oczy i nie wyjaśnił dlaczego.

Ciekawostki z Poznania

Barka. Nazwa nie pochodzi od ulubionej pieśni Jana Pawła II, ale od imienia siostry znanego aktora Barbary Straszburger, nazywanej przez wdzięcznych pensjonariuszy pierwszego, założonego przez nią ośrodka dla osób uzależnionych właśnie zdrobniale:

Barka. Nie pamiętam, gdzie znajdował się ten ośrodek, gdzieś zdaje się na północy od stolicy Wielkopolski, w małej miejscowości. Spotkałem tam liczną grupę wolontariuszy, żyli jako jedna wspólnota razem z pensjonariuszami. Razem obierali ziemniaki, razem gotowali obiad, razem jedli.

Kukliński. W jednej z niedzielnych wycieczek do podpoznańskich lasów, zorganizowanych przez ówczesnego duszpasterza akademickiego o. Honoriusza Kowalczyka OP, dla swoich wychowanków, wzięła udział kobieta w średnim wieku z dwojgiem dzieci. Opowiadała, że jest po rozwodzie kościelnym (w kościelnej terminologii oczywiście: po unieważnieniu małżeństwa) z woj.-skowym, który nazywał się Ryszard Kukliński. Raz jeden miałem okazję spotkać się z nim. Z rozmowy pamiętam tylko jego pesymistyczne podejście do życia. – *Wyżej pasa nie podskoczysz* – takiej mi udzielił rady. Niewysoki, przystojny, kruczowłosej z czarną brodą. Rzucało mi się w oczy, że dziwnie powłóczył nogami, jakby jedną miał niesprawną. Po tym, jak na początku lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku wybuchła afera szpiegowska płk. Ryszarda Kuklińskiego, cały czas zastanawiam się, czy to nie była jedna i ta sama osoba. Jeśli tak, to musiał być bigamistą, gdyż jego oficjalna żona opowiadała w telewizji, że ślub zawarli w młodości. To rzucałoby jakieś światło na tajemniczą śmierć o. Honoriusza. Wpadł na drzewo jadąc samochodem na pustej drodze. Żadnych świadków wypadku, identycznie jak z moim późniejszym przyjacielem Andrzejem Szyją. Mógł o. Honoriusz wejść w posiadanie niebezpiecznej dla kogoś wiedzy i może dlatego musiał zginąć.

O. Jan Góra. Kiedyś o. Marcin dał mi do przeczytania tekst swojego zakonnego współbrata o krakowskim klasztorze, przepojonym atmosferą modlitwy.

– *Co o tym sądzisz?*

Odpowiedziałem, że to grafomania, granie na uczuciach. Nie ma sensu tego drukować.

– *Chyba musimy to jednak opublikować* – stwierdził z uśmiechem. – *Jak powiedziałem Janowi, co o tym myślisz położył się na tapczanie, kompres na głowę i słabym głosem wyszeptał: Marcin, nie zrobisz mi tego.*

Tekst autorstwa ówczesnego duszpasterza młodzieży szkół średnich w Poznaniu, o. Jana Góry, został potem wydany w formie książkowej w dużym nakładzie.

Do dzisiaj pozostaję przy ówczesnej swojej ocenie twórczości o. Jana, ukochanego duszpasterza setek tysięcy młodych Polaków. Zarówno jego teksty, jak i jego zachowanie są dla

mnie zbyt egzaltowane. Pisał na przykład tekst o przeżyciu, jakim było dla niego dotknięcie kiedyś sukni Jana Pawła II, gdy witał go w tłumie. Chyba popełniam tu teraz jakieś świętokradztwo?

Dominikańska mądrość. Dominikanie kierują się w życiu mądrością swojego konfratry z XIII w. św. Tomasza z Akwinu i dzielą się z wiernymi jego nauką. Ten najwybitniejszy chrześcijański teolog widział świat jako stworzony przez Boga, a zatem uporządkowany, w którym panuje Boży ład. Wszystko w nim ma swoje miejsce. Według jego nauki istnieją dwa style życia: czynny i kontemplacyjny. W tym drugim rozróżniamy jeszcze życie medytacyjne i ściśle kontemplacyjne. W kontemplacji rozróżniamy kilka stopni, z których najwyższy – jeśli dobrze pamiętam – nazywany jest kontemplacją wlaną. Jest to taki stan ducha, kiedy człowiek cały czas „trwa w zachwyceniu, oglądając Boga twarzą w twarz”. To nie znaczy, że musi być oderwany od rzeczywistości. Św. Teresa z Avila potrafiła kontemplować smażąc jajecznicę.

U dominikańskich mędrców pojawił się z czasem konflikt życia czynnego, takiego jakim żyje większość ludzi, i kontemplatywnego. Co na przykład ma zrobić mnich, jeśli w trakcie kontemplacji wlanej zapuka do jego celi żebrak? Odpowiadał mędrzec – nie jestem pewien, czy Tomasz z Akwinu, czy może któryś z innych dominikańskich przewodników duchowych – że powinien natychmiast przerwać kontemplację i dać żebrakowi chleb. Inaczej – nauczał dominikański mędrzec – „ta jego kontemplacja nie ma sensu”. Tę mądrość dominikańskiego mistrza rozciągałem potem na całe życie religijne – własne i Kościoła. Jaki sens ma cała liturgia i pobożność, jeśli obok nas są ludzie głodni i bezdomni?

Rada o. Konrada. Kiedyś, nie pamiętam już przy jakiej okazji powiedział, że w czasie Powstania Warszawskiego obowiązywało hasło: *Najważniejsze to nie dać się głupio zabić*. Wziąłem to sobie do serca, gdyż usprawiedliwiałoby moją filozofię życiową, a może... i braki odwagi. Uważałem, i nadal uważam, że w ogóle nie należy głupio ryzykować. Dziś, kiedy piszę te refleksje, uświadamiam sobie, że o. Konrad nigdy nie wciskał mi kitu, ani patriotycznego, jak o. Marcin, ani pobożnego.

O. Marcin wziął mnie kiedyś na wycieczkę po Poznaniu, aby pokazać miejsca związane z Wydarzeniami Poznańskimi 56 roku i grób jakiegoś chłopaka, którego zastrzelili na ulicy. Próbował mnie nastawić bardziej patriotycznie, narodowo, a moja refleksja była – nie wyraziłem jej głośno – po co chłopak pchał się tam, gdzie strzelali? Dał się głupio zabić.

SYSTEM

Kiedy po ponad trzydziestu siedmiu latach przystąpiłem wreszcie do pisania wspomnień z okresu Solidarności – które od dawna zamierzyłem sobie jako krytyczną, ustrojowo-socjologiczną, ocenę tamtych wydarzeń – okazało się, że muszę zacząć od wyjaśnienia sprawy przez lata dla mnie oczywistej. Dlaczego w ogóle podjęliśmy się walki z tym systemem?

Marzyłem o dziennikarstwie

Z osobistą motywacją nie miałem i nie mam kłopotów. Marzyłem o dziennikarstwie, o byciu blisko ważnych wydarzeń, o kontaktach z ważnymi ludźmi, o pełnieniu roli „czwartej władzy” i docieraniu do prawdy o historycznych wydarzeniach. Chciałem rozumieć, jak się rzeczy mają. Nieprędko, ale w końcu zorientowałem się, że w PRL nie mam na to szans. Katolik naprawdę wierzący w Boga, bezpartyjny i Ślązak na dodatek, nie mógł liczyć nie tylko na karierę, ale nawet choćby na ciekawą pracę. Kiedy pojawiły się widoki na zmianę ustroju, nie miałem wątpliwości, że to jest moja osobista szansa. Może w innym systemie będę mógł spełnić marzenia?

Żeby jednak wyjaśnić dzisiaj młodym ludziom fenomen solidarnościowego zrywu, moje osobiste motywacje nie wystarczą. Im już trzeba dokładnie opisać socjologiczne i polityczne tło tamtych wydarzeń. Trzeba pokazać sytuację materialną ludności kraju, ich stan ducha, mechanizmy władzy, idee i ideologie sterujące zachowaniami mas ludzkich.

Socjalizm, ten realny, w wydaniu sowieckim, nie został niestety – a może właśnie Dzięki Bogu! – wprowadzony w kraju ustabilizowanym ekonomicznie, by można było go ocenić uczciwie. Nie potrafimy rozstrzygnąć, czy to on odpowiadał za nędzną sytuację materialną ludności, czy zaszłości historyczne – nędza II Rzeczypospolitej, czy zniszczenia II wojny światowej i okupacji. Dziś mamy pełne sklepy, ale i masę bezrobotnych i bezdomnych, wtedy za Gomułki i Gierka ich nie było. Każdy miał pracę i jakiś kąs do spania, choćby w Hotelu Robotniczym czy Domu Górnik, każdy coś tam zarabiał, choć kupić coś było ciężko, bo w sklepach nie było towaru.

Jako nauczyciel bez wysługi lat zarabiałem nędznie, znacznie mniej niż prosty górnik. Mieszkaliśmy w norze zwanej mieszkaniem służbowym, załatwionej dzięki dyr. Chruścielowi. Był to jeden pokoik ze zlewozmywakiem

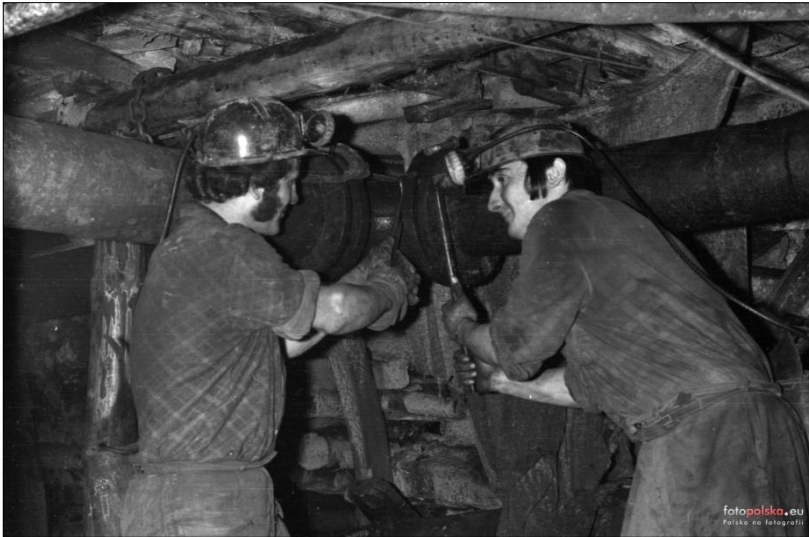
wewnątrz. Wygódka na półpiętrze. Jedną trzecią pokoju zajmowała wersalka. Gdy przeprowadziłem bardziej gruntowne mycie się, musiałem potem długo zbierać wodę z całego pokoju. Mieszkania otrzymywało się wtedy ze spółdzielni mieszkaniowych. Też się zapisałem, ale kolejka była długa. Na przydział mogłem liczyć gdzieś w perspektywie dwudziestu lat.

Gdybym poszedł do pracy do kopalni, z wykształcenia byłem przecież inż. górnikiem, perspektywa otrzymania mieszkania mogłaby się znacznie przybliżyć. Myślę, że w najgorszym przypadku do pięciu lat stałbym się szczęśliwym posiadaczem M-1 lub, gdybym założył rodzinę, M-3 albo M-4. Tak numerowano mieszkania w zależności od liczby osób, które miały pomieścić. Ale do kopalni iść nie chciałem. Mój wybór. Nie podobala mi się ta praca, a jeszcze bardziej panujące tam stosunki. Po studiach przez dziesięć miesięcy pracowałem w dozorze na płucze w jednej z zabrzańskich kopalń i to mi wystarczyło. Notatki z tamtego czasu ułożyłem potem w formę reportażu, który zatytułowałem „Dwa czarne psy”. Długo nie było gdzie go opublikować. Zachował się w domowych szpargałach.

DWA CZARNE PSY...

W czasie studiów, na lektoracie z języka angielskiego, uczyłem się piosenki górników walijskich. Dziś nie pamiętam z niej ani słowa, ale za to treść – mimo upływu prawie dwudziestu lat – bardzo dobrze. Była o trudnej pracy od rana do wieczora, o kuflu piwa, wypijanego z kumplami po szychcie i o tym, że wychodząc rano do pracy górnik nie wie, czy z niej powróci; w refrenie powracała skarga na biedę i ciężki los, który zmusza do takiej pracy człowieka. Mimo upływu lat. wciąż nie mogę zrozumieć, dlaczego w Polsce górnicy śpiewają pieśni zupełnie odmienne i w treści, i nastroju. Podczas akademii barbórkowych – „*Niech żyje nam górniczy stan...*”, podczas Mszy św. barbórkowych dumnie powiewając pióropusami – pobożne pieśni do swojej patronki, a jak wypiją i nabiorą animuszu, schodzą na prostackie – „*Ana, Ana, Ana, joł cie sowiso dostana*”

Pracowałem na powierzchni, ale „dół” znałem jeszcze z czasów studenckich, gdyż „na dole” dorabiałem w czasie wakacji. Musiałem wstawać o czwartej rano, aby zdążyć na autobus pracowniczy, odjeżdżający o piątej. Na miejscu byliśmy o szóstej. Szychta liczyła się od wejścia do „szoli” (klatki, którą spuszczano nas pod ziemię),



Montaż rurociągu doprowadzającego powietrze, tzw. lutfociągu. .zdj. ilustracyjne z Kopalni Węgla Kamiennego Matylda, źródło: Fotopolska-Eu, autor: Eugen+

maszyn, że trzęsie nim godzinami, że pracuje mokry i brudny.

Na płuczcze, przy obsłudze najgorszych węzłów technologicznych, pracowały kobiety. Na przesypach, które co chwilę zatykały się i trzeba je było szybko przepychać, przy wylotach zbiorników miarowych, które zatykały się jeszcze częściej, a w momencie przetkania chlustało z nich węglowym mułem. Kobiety były przysadziście i grubiańskie. Sztymarzy nie ukrywali pogardy wobec nich, a one przecież zmuszone były do tej pracy sytuacją ekonomiczną. Starsze miały na utrzymaniu dzieci, młodsze oszczędzały... na wersalkę, na pralkę automatyczną, na lepszy ciuch. Nie miały wyboru.

...

a nie, jak w innych zakładach, od przekroczenia bramy.

Najgorsze było wkładanie ubrania roboczego, sztywnego od wyschniętego błota, tłustego od węglowego pyłu. Cuchnącego. Wkłada się je na gołe ciało. Po szycie, ubranie robocze, mokre od potu i błota, wciągało się na łańcuchach wysoko pod sufit łazienki – aby wyschły. W łazience nie było przedziałów, kilkudziesięciu gołych chłopów brało prysznice obok siebie.

Do dziś pamiętam zmęczenie, ból mięśni i ciągłe pragnienie snu. Spałem w autobusie w drodze do pracy i z powrotem, prawie wszyscy drzemaliśmy. Do domu wracałem koło siedemnastej.

Chodnik, którym nosiłem do ściany żelazne elementy obudowy o wadze niekiedy sześćdziesięciu kilo, miał miejscami osiemdziesiąt centymetrów wysokości. Za nisko, żeby przejść pochylonym, za wysoko, żeby się opłacało chodzić na czworakach. Chodziłem co rusz zahaczając grzbietem o strop.

– *Górnictwo* – wyjaśnił mi kiedyś kolega ze studiów – *to jest ciągła walka z naturą, z węglem. W tej walce węgiel zawsze jest górą.*

...

Po studiach podjąłem pracę na powierzchni, na płuczcze, jak nazywano zakład wzbogacania węgla, czyli usuwania zanieczyszczeń. Płuczka, bo węgiel „płukano”, wykorzystując różnice szybkości opadania różnych minerałów w wodzie.

– To jest XIX-wieczny kapitalizm – mówiłem do siebie, chodząc po ogromnej, dudniącej ogłuszającym hałasem budowli. – Nie ma różnicy, tu tak samo człowiek jest tylko dodatkiem do maszyn. Nikt się nie przejmuje, że głuchnie od

Wiosną, kiedy poziom wód się podnosił, wylewała rzeka płynąca około pięćset metrów od zakładu. Na ulicach pojawiała się gruba warstwa brudnej, cuchnącej piany. Gdzieś po roku, kiedy sztymarzy zaczęli mi ufać, zaprowadzili mnie do pompowni nad rzeką, gdzie czerpano wodę dla kopalni i pokazali miejsce, gdzie odprowadzano kopalniane ścieki. Rurociąg ściekowy ukryty był w ziemi, a wylot znajdował się pod wodą.

Oficjalnie kopalnia miała zamknięty obieg wody i własną oczyszczalnię ścieków, ale wody zapaskudzonej mułem i odczynnikami chemicznymi, stosowanymi do wzbogacania drobnego węgla, nie dało się doprowadzić do naturalnego stanu, stawała się coraz cięższa od mułu, coraz gęstsza i coraz bogatsza w rozmaite substancje chemiczne. Najradziej co tydzień trzeba było ją spuszczać do rzeki i zastępować czystą. Przeprowadzano tę operację w nocy, najczęściej korzystając z gorszej pogody.

Potem po rzece sunęły szumowiny brudnej piany, a smród roznosił się na kilometry.

...

Zamieszkałem w tzw. Domu Górnika, w jednym pokoju z młodym werbussem, chłopakiem z leszczyńskiego, namówionym do pracy w kopalni przez pracowników Działu Zatrudnienia albo Działu Kadr, dokładnie już nie pamiętam. Delegacje chyba wszystkich kopalń jeździły wtedy po całej Polsce, szukając chętnych do pracy pod ziemią, bo wydobywanie węgla kamiennego szło wtedy (były to czasy Edwarda Gierka) całą parą. Mój współlokator, młody, przystojny, dał się nawet lubić. Do czasu. Kiedyś wrócił w środku nocy, obudził mnie,



Pomnik przodownika pracy socjalistycznej Wincentego Pstrowskiego w Zabrze; zdj. Jan Mehlich pl.wikipedia.org/wiki

aby się pochwalić seksualną zdobyczą. „Zarwał”, jak mówił, starszą panią, balował z nią w restauracji, a potem zaprosił go do domu.

– *Użyłem* – opowiadał tą swoją wielkopolską gwara, co brzmiało jak „urząłem” – *i jeszcze mi zapłaciła.*

Od tego czasu zacząłem czynić starania o osobny pokój. Na mieszkanie zakładowe mogłem liczyć dopiero po kilku latach pracy.

...

Kopalnia nosiła imię wielkiego „przodownika pracy” z okresu tzw. socjalistycznego współzawodnictwa. Niedaleko mieszkała jeszcze wdowa po nim. Kiedy po pewnym czasie udało mi się zdobyć zaufanie pracowników płuczki, opowiedzieli mi, że jeszcze długo po śmierci, jego grób wykorzystywano jako publiczny szalet. Wyłącznie w nocy, oczywiście. „Towarzysze pracy” mu to robili.

Rzecz w tym, że „przodownicy pracy” ścigając się w robocie z kolegami, nie pracowali tylko na siebie, na wyższe zarobki, ale również na umocnienie i utrwalenie represyjnego systemu pracy. Ich osiągnięcia służyły administracji zakładów i partii jako argument za podnoszeniem norm wydajności. Jeżeli „przodownik” mógł zrobić pięć razy więcej niż przewidywała norma, to widocznie – jak argumentowano – norma była mocno zaniżona i trzeba ją podnieść.

Kiedy wiele lat później chowano w tym samym grobie kogoś z rodziny „przodownika”, odkryto, że miał w dłoniach jakiś religijny przedmiot, różaniec czy książeczkę do nabożeństwa. Wiadomo było, że pogrzeb urządzono „przodownikowi” całkowicie i wyłącznie świecki – jakżeby inaczej? – różaniec czy książeczkę musiała mu ukradkiem włożyć w dłoń małżonka przed zamknięciem trumny.

...

Jak każdy Ślązak, nie potrafiłem do końca utożsamić się z polskim otoczeniem. Nadsztygar – nie pamiętam już jego nazwiska – pochodzący gdzieś z centralnej Polski, wziął mnie kiedyś na obchód i gdy zeszliśmy na nieużywany pomost, gdzie nikt nas już nie widział – i co ważniejsze, nikt nas nie mógł podsłuchać – zaczął nastawiać mnie przeciwko moim rodakom. Wziął mnie widać za „swojego”. W czasie studiów zatraciłem ciężki śląski akcent i przyswoiłem sobie trochę melodyjności języka wschodniaków, wśród których najwięcej przebywałem.

Nie nazywał ich Ślązakami, tylko pogardliwie – „Szwabami”, a o dzielnicy familoków, w której mieszkali, zwanej za niemieckich czasów „Borsigwerk”, od nazwiska właściciela kopalni, mówił „Bundeswerk”.

– Boże, jak on nas nienawidzi – przemknęło mi przez myśl.

Zabrakło mi wtedy odwagi, żeby się przyznać, kim jestem. Od tego czasu zacząłem tylko nadsztygara unikać.

Zastanawiałem się często, skąd brała się ta nienawiść. Bez wątpienia miała swoje źródło w powszechnej po wojnie wrogości do Niemców, usprawiedliwionej, albo uważanej za usprawiedliwioną, ich zbrodniami. Wrogość tę PRL-owska propaganda starannie podtrzymywała, nie dostrzegając jej destrukcyjnego oddziaływania na więzi społeczne. Po wojnie, mimo milionowych wysiedleń, pozostało w Polsce kilka milionów Ślązaków i Kaszubów, kulturowo i historycznie związanych z Niemcami, na których „z braku laku”, tzn. z braku czystych Niemców, przeniesiono uzasadnioną, albo i sztucznie wpojoną nienawiść do Niemców.

Byliśmy wrogiem zastępczym, z braku realnego w codziennym życiu przedmiotu zideologizowanej wrogości. Biorąc psychologicznie – koźłem ofiarnym dla wyładowania negatywnych uczuć. Ta nienawiść na zawsze już chyba przekreśliła szansę integracji dużych grup Ślązaków i Kaszubów z polskim narodem. To jednak, ta zrozumiała wrogość wobec Niemców, nie tłumaczy wszystkiego.

Nienawiść nadsztygara miała jakiś szczególnie emocjonalny charakter, musiała się wziąć z osobistych doświadczeń. Nie wypytałem go o to. Kierownictwo śląskich zakładów pracy, kopalń i hut, powierzano po wojnie osobom zaufanym, a w tym czasie oznaczało to – wyłącznie Polakom i wyłącznie Polakom orientacji komunistycznej. Ci też na podległe sobie stanowiska dobierali sobie ludzi według tego samego klucza – zaufanych Polaków lewicowych poglądów. Za czasów ministra Jana Mitreği ta polityka nieco się zmieniła, ale też przez „prawdziwych Polaków” był on znienawidzony.

Ludzie ideologicznego awansu zajmowali wysokie stanowiska nie mając często pojęcia o funkcjonowaniu kopalni czy huty, czy innego zakładu.

Czasami wystarczyło tylko dokładnie, literalnie wypełniać ich polecenia, aby ich ośmieszyć. Być może te pierwsze lata na Śląsku i tego rodzaju doświadczenia zrodziły tę nienawiść nadsztygara do „Szwabów”? Ale to są tylko moje podejrzenia. Równie dobrze mogła ona mieć tło bardzo osobiste. Być może kiedyś Ślązacy bardzo go skrzywdzili.

Przez pierwszych kilka miesięcy pracy w kopalni, zanim doszło do tej rozmowy z nadsztygarem, przełożeni nie rozpoznali we mnie Ślązaka. Brali mnie za swojego. Słuchałem ich opowieści o wyprawach na „Ziemie Odzyskane” na szaber, o dobach, które stamtąd przywozili, o załadowanych samochodach tak, że aż osie pękały. Dziś myślę sobie, że ta rozmowa ze mną nadsztygara to była próba wysondowania, kim naprawdę jestem. Gdybym miał „właściwe pochodzenie”, jak to u nas żartowało się, być może wtedy zaczęłaby się moja kariera. Udawać kogoś, kim nie jestem, nie umiałem i nie chciałem.

...

Lubiłem słuchać opowieści pracowników o dawnych czasach. Były tak odmienne od tego, co znałem z książek, że aż fascynujące.

Wiekowy już płuczkarz, też już nie pamiętam imienia ani nazwiska, ciągle wracał do pierwszych powojennych dni, a konkretnie – do silników, bo wtedy zaprzepaścił największą w życiu okazję do wzbogacenia się.

Tuż przed frontem jeden z właścicieli zakładu, ale nie jestem pewien, czy chodziło o naszą kopalnię, kazał wymontować i schować w jednym miejscu wszystkie silniki. Płuczkarz wiedział gdzie, ale trochę ze strachu, trochę ze względów etycznych nie wziął sobie ani jednego.

– Czamu jo tego nie wzion? – żalił się. – Motor w tym czasie boł wiency wert niż złoto. Żodyn by nie wiedziol, żech wzion.

Dyspozytorem na płucrze był inwalida, o którym mówili, że to zdegradowany dyrektor. Znał się na pracy zakładu jak nikt inny. Wiedział o nim wszystko – gdzie są słabe punkty całego procesu wzbogacania węgla, gdzie najczęściej występują awarie i co należy wtedy robić. Kiedy w 1945 r. Niemcy w popłochu opuścili kopalnię, Ślązacy, którzy pozostali na miejscu, uznali, że nie jest to powód, aby zaprzestać pracy. Wybrali sobie sztygarów i dyrekcję, i fedrowali dalej. To właśnie wtedy obecny dyspozytor przez kilka dni pełnił funkcję dyrektora.

...

Chociaż wiele w życiu przeszedłem, z pewnymi zjawiskami w kopalni nie umiałem się pogodzić. Nie mieściły się one nawet w jakichś racjonalnych kategoriach. Kiedyś na rannej odprawie dozoru kierownik zakładu, uczciwie muszę napisać, że miejscowy i Ślązak, jął besztuć sztygarów:

– *Tak, tydzień mija, a ja nie widzę na swoim biurku żadnego ukarania (formularza o nałożeniu kary). Tak! Potem się dziwimy, że robotnicy robią, co chcą. Niedługo nam na głowę będą wchodzili!*

Dzień wcześniej obserwowałem tego kierownika, jak konfidencjonalnie poklepywał po ramieniu robotników, nawet z przesadą, jakby chciał dać do zrozumienia, że jest jednym z nich. Pomyślałem, że nas, sztygarów, traktuje jak coś w rodzaju psów łańcuchowych – mamy ujadać, szczerzyć zęby, grozić, kąsać, aby on sam mógł pokazać się jako „dobre panisko”, które to, niestety, ma złośliwych pomagierów.

Nie posłuchałem wezwania aby z większą pasją i zaangażowaniem podejść do nakładania kar na robotników i... za kilka dni sam zostałem ukarany pod lipnym pretekstem – za nieuprzątniętą kupkę miału na placu przed stolarnią. Bo burdel, bo porządku nie potrafię utrzymać, bo sobie nie radzę itd. Miał leżeć co najmniej od miesiąca, ale dopiero ja dostałem naganę.

...

Po tej naganie sztygarzy uznali mnie za swojego i zaprosili mnie na wódkę.

– *Nie martw się – pocieszali mnie. – To nie chodzi o tę kupę miału, ale o to, żeby szef miał na ciebie jakiegoś haka, gdyby ci przyszło do głowy mu podskoczyć. On musi mieć na ciebie jakiegoś haka na wszelki wypadek.*

Dowiedziałem się, że mieli do mnie żal, bo łamałem zawodową solidarność, kumplując się z robotnikami. Wyjaśnili mi, że dla prostych robotli zawsze będę wrogiem, który stoi wyżej i wydaje polecenia. Podali przykład. Na flotacji pracowała młoda i dość ładna dziewczyna, którą polubiłem, i – jak sądziłem – ze wzajemnością.

Nic osobistego, gdyż, jeśli dobrze pamiętam, miała narzeczonego. Flotacja to proces oddzielania najdrobniejszego węgla od kamiennego mułu. Do wody dodaje się kilka odczynników, które wynoszą ziarenka węgla na powierzchnię, a kamień zostaje na dnie. Sztuka polega na odpowiednim dozowaniu odczynników do zawiesiny płynącej wolno przez kadzie. Dziewczyna ustawiała dozowanie na początku szychty i już więcej nie interweniowała, ja starałem się co rusz podregulować dozowniki. Eksperymentowałem. Dowiedziałem się, że miałem w niej wroga.

– *Rumcajs wszystko ciągle pie..oli* – skarżyła się sztygarom.

Nie była to prawda. Stała przy flotownikach i zawsze mogła zwrócić mi uwagę, zwłaszcza, że traktowałem ją po kumpelsku.

– *Robotnicy zawsze będą starali się udowodnić ci, że jesteś głupi* – przekonywali mnie sztygarzy – *i na robocie się nie znasz. Nawet jak popełnisz błąd, nigdy się do tego nie przyznawaj. Zawsze musisz znaleźć jakieś wytłumaczenie. I trzymaj się nas.*

Nie przekonali mnie. Wrogie traktowanie współpracowników, czy to przełożonych, czy podwładnych nie leżało w mojej naturze. Z natury i przekonania jestem demokratą.

Po tej popijawie ze sztygarami ledwo trafiłem do tramwaju. Jakimś cudem wysiadłem na właściwym przystanku i dotarłem do Domu Górnika.

...

Nie potrzebowałem wiele czasu, kilka miesięcy, aby stwierdzić, że stosunki międzyludzkie w kopalniach są wilcze, i są celowo tak ustawiane. Wszyscy mają walczyć ze wszystkimi, bo tak łatwiej ludźmi kierować. Kiedy tak o tym rozmyślałem, to wszystko potrafię sobie jakoś racjonalnie wyjaśnić, i nienawisć przyjezdnych do Ślązaków, i nieludzką eksploatację górników, i pogardę wobec tych najsłabszych, i napuszczanie sztygarów na robotników, i wiele innych.

Jednego tylko nie potrafię zrozumieć. Dlaczego u nas górnicy śpiewają tak bardzo inne piosenki niż górnicy w Anglii. Jedyną tylko pieśnią podobną w nastroju do piosenek górników walijskich jest śląski blues „Dwa czorne psy na szychta szły”, zupełnie idiotyczny w treści. Właściwie to sam tylko jego początek i melancholijny nastrój pasuje mi do wyrażania sytuacji śląskich górników. Myślę, że lepiej by zabrzmiało „Dwa śląskie psy, na szychta szły. Jeden boł czorny, a drugi blank czorny...”

Dlaczego pieśni górników walijskich tak bardzo różnią się od pieśni górników śląskich?

Może dlatego, że robotnicy w Polsce, górnicy, hutnicy i inni, przez pięćdziesiąt lat żyli w systemie realnego socjalizmu, w którym usiłowano wychować nowego, socjalistycznego człowieka. I u nas, na Górnym Śląsku, prawie się to udało.

Mała stabilizacja

Za Gierka budowano sporo. Powstawały nowe huty, kopalnie, zakłady produkcyjne, ale i mieszkania, całe osiedla, całe miasta. Na początku jego władzy można było niekiedy szybko zdobyć stanowisko, zwłaszcza w przemyśle, dostać Miejszkanie, zaoszczędzić na małego fiata, pieśczośliwie zwanego maluchem. Trzeba było tylko wyjechać do jednego z budowanych ośrodków przemysłowych: huty Katowice, Rybnickiego Okręgu Węglowego lub którejś z nowopowstających elektrowni.

Już w połowie lat siedemdziesiątych zaczynało się to sypać. Programy gospodarcze były dobre tylko ludzie się nie sprawdzili. Nikt naprawdę nie kalkulował kosztów inwestycji, lecz myślał tylko o rozbudowie, o zatrudnieniu nowych, „swoich” ludzi, bo to wzmacniało pozycję przetargową. Z betonu i stali przeznaczonych na budowę fabryki powstawały całe osiedla prywatnych domków. Pod koniec lat siedemdziesiątych gdy inwestycje przyhamowano, skończył się złoty okres dla młodych. Praca jeszcze była ale szanse na awans się skończyły. Kopalnia „Katowice”, położona w centrum Katowic, dawno już wyeksploatowana, powinna zostać zamknięta, ale dawała miejsca pracy więc nadal tu fedrowano.

Mój kolega ze studiów, Heniek Klimek, przyjął się po obronie dyplomu na kopalnię „Gliwice” i tam dochrapał się stanowiska kierownika zakładu przeróbczego. Michał Smolorz kolega z „Politechnika”, który również studiował na wydziale górniczym Politechniki Śląskiej w Gliwicach, po studiach poszedł do Katowickiego Ośrodka Telewizji Polskiej, tam go przyjęli i po jakimś czasie zaczął kręcić filmy dokumentalne.

Marek Oramus, również kolega z gliwickiego oddziału „Politechnika”, poszedł do Warszawy, ukończył dziennikarstwo na Uniwersytecie Warszawskim, zaczępił się w warszawskiej redakcji „Politechnika”, pisał książki science-fiction i publikował je. Marian K., kolega z roku przyjął się do Zakładu Doświadczalnego Chemicznej Przeróbki Węgla, czy jak się to nazywało, w Wyrach koło Mikołowa i tam mógł dawać ujście swoim pasjom inżyniera racjonalizatora.

Nawet otrzymał półroczne stypendium naukowe w Stanach Zjednoczonych. Franek Czempik, współlokator z akademika po siedmiu nieudanych próbach dostał się wreszcie na Akademię Sztuk Pięknych, skończył ją i dziś żyje z malarstwa. Można było w PRL-u znaleźć swoje miejsce.

Na mnie ciążyła kilkuletnia praca w redakcji miesięcznika „W Drodze”. W tamtych czasach to dyskwalifikowało człowieka na starcie. W państwowej czy partyjnej prasie nie było dla mnie miejsca. Nawet już potem nie starałem się. Zbyt niezależne miałem już poglądy, a do kompromisów z natury nie jestem zbyt skłonny. Pisanie w takiej „Trybunie Robotniczej” wymagało swoistego samoupodlenia się. Dziennikarz musiał przyjąć bardziej prymitywny punkt widzenia niż mu rozum dyktował. Wtedy wydawało mi się, że ludzie pracujący w mediach kompromitują się samym

faktem tej pracy i po zmianie ustroju nie będzie dla nich miejsca w życiu publicznym. Podobnie jak, w moich oczach, dyskwalifikował ludzi sam fakt przynależności do partii. Srodcie się pomyliłem.

Stan ducha

Nie miałem pojęcia o funkcjonowaniu tego ustroju. Nie pochodziłem z rodziny o tradycjach patriotycznych, gdzie nienawiść do „Sowietów” wysysało się z mlekiem matki, przeciwnie – hasła o sprawiedliwości społecznej, o społecznej własności środków produkcji, o „władzy ludu pracującego miast i wsi” przyjmowałem jak ideały, o które należy walczyć. Może gdybym żył w pierwszych latach powojennych, wpisałbym się dobrowolnie do PZPR, ale wtedy, za rządów Edwarda Gierka, rzeczywistość nie miała już nic



Pochody_pierwszomajowe były to masowe imprezy, organizowane w każdym mieście, każdej niemal gminie (dawniej: gromadzie), gromadzące bez mała wszystkich mieszkańców zdolnych do noszenia szturmówek lub transparentów. Kiedy System upadł w 1989 r., „Święto Ludzi Pracy” czciła już tylko garstka najbardziej zagorzałych wyznawców, co najlepiej świadczy, na czym System opierał się. Warto zwrócić uwagę na hasło: „Lepiej pracujemy, lepiej będziemy żyć”. Pusty banał. Podobnie jak: „Dobra organizacja pracy to większa produkcja”, „Przestrzeganie przepisów zapobiega wypadkom” itp. Takie hasła znajdowały się wszędzie, na ścianach urzędów, zakładów pracy, dworcach kolejowych. Marek Hołyński obśmiał je kiedyś w „Politechniku”, porównując do historii z noweli południowoamerykańskiego pisarza. Była to opowieść o krainie odciętej od świata, gdzie wszyscy ludzie zaczęli stopniowo tracić pamięć. Aby nie zginąć, przyczepiali do wszystkiego kartki z informacjami, na przykład: To jest krowa. Daje mleko. Mleko otrzymuje się, dojąc ją. Banałność PRL-owskich haseł wynikała z lęku przed narażeniem się władzy. Domagając się czegoś konkretnego, na przykład większego poszanowania pracowników, można było ściągnąć na siebie gromy. zdj. <https://www.sbc.org.pl/dlibra/results?q=Trybuna+Robotnicza&action=SimpleSearchAction&type=-6&p=0>

wspólnego z tymi wzniosłymi socjalistycznymi ideałami. Powtarzano te hasła jak mantrę, a praktyka była dokładnie odwrotna.

Obalenie systemu leżało w moim osobistym interesie, ale, przecież, obok osobistych motywacji pojawiły się chyba od samego początku również racje moralne. Wiedziałem, że ten system trzeba obalić, bo jest zły. Sumienie mi to mówiło.

Długi czas nie potrafiłem tego sobie zrationalizować. Nawet teraz, kiedy przystąpiłem do pisania tych wspomnień, długi czas nie mogłem sobie przy-pomnieć, co mnie w tym systemie najbardziej drażniło. Długo trwało, zanim powróciła pamięć tego odczucia, tego niszczącego psychicznie do-świadczenia. To wiązało się z osobistą godnością. System, a ściśnię biorąc – jego macherzy traktowali nas jak gówniary, dla których można było, a nawet trzeba było coś zrobić, bo tak nakazywała ide-ologia, ale którym nie wolno pozwolić na samo-dzielność. Byliśmy ubezwłasnowolnieni.

Ponieważ równolegle z tym szła potworna propaganda rzekomego poparcia partii przez masy robotnicze, żyliśmy w atmosferze powszechnego zakłamania. W socjalistycznym matrixie. Braliśmy udział w wyborach, w których nikogo nie mogli-my wybierać, a tylko „oddawaliśmy głosy”, chodziliśmy na pochody 1-majowe z obawy przed wychowaniem w szkole, przełożonym w zakładzie pracy, sztygarem, kierownikiem, dyrektorem, braliśmy do rąk wciskane nam szturmówki, a po minięciu trybuny honorowej wyrzucaliśmy je do pierwszej lepszej klatki schodowej, jeszcze na tej samej ulicy. Organizacje partyjne organizowały wiece, obrady, manifestacje, na których łał się słowotok ideologicznych dyrdymałów, nie można było wyrazić swojego zdania, a klaskać trzeba było. Ogromny obłok fikcyjnej rzeczywistości rozciągał się nad całym narodem, zatruwając wszelkie dążenie do prawdy.

Opisać, co ludzie wówczas, za Gierka, myśleli i co czuli, to zadanie dla utalentowanego socjologa. Propaganda, szkoła i nacisk z natury bezmyślnego środowiska kształtowały myślenie. Od tego nie można się było całkowicie uwolnić. Rozumowaliśmy tak, jak oni chcieli, choćby Tylko przez to, że używaliśmy pojęć, które oni narzucili. Klasa robotnicza, inteligencja, socjalizm, samorealizacja, świadomość społeczna, rozwój społeczny, postęp itp. Innych pojęć większość ludzi nie znała.

Próbowałem kształtować bardziej niezależne myślenie, pożerając lektury podrzucane mi przez ks. H. Hlubka i korzystając z każdej możliwości zapoznania się z ideami innymi niż te oficjalnie zadekretowane.

Po to, aby wysłuchać półtoragodzinnych wykładów mało wtedy jeszcze znanego filozofa ks. Józefa Tischnera, co tydzień jeździliśmy z kolegami do Krakowa.

„Ludzie z kryjówek”

Ludzie wtedy bali się, unikali napiętnowanych politycznie, każdy cenił sobie swoją „małą stabilizację”, pracę i mieszkanko. Wszyscy wzajemnie podejrzewali się o donosicielstwo i kopanie jeden pod drugim dołków. Nikt nikomu nie ufał. Ks. Józef Tischner pisał o nas, którzy żyliśmy w tym systemie, jako o „ludziach z kryjówek”. Nawet tak zatytułował jeden ze swoich esejów. Dzisiaj widzę, że te spotkania, na które zaprosił mnie ks. Stanisław Małkowski, miały ogromnie pozytywny wpływ na mój rozwój wewnętrzny. Myślę, że również ważny dla rozwoju człowieka jak tzw. praca nad sobą, asceza, modlitwa czy czytanie pobożnych dzieł jest zaangażowanie się w dobre dzieła. Jacek Kuroń miał własną metodę „pracy nad sobą”. Mówił: „Żadne dzieło, w które się zaangażujesz, nie pozostawi cię bez zmian”. Nie wiem, czy to była jego oryginalna myśl. Wyprawy z ks. Stanisławem zmusiły mnie do przezwyciężania lęku. Wiele lat później doszedłem do wniosku, że bycie przyzwoitym człowiekiem wymaga przede wszystkim odwagi.

Wielkie hasła i proza życia

W epoce Edwarda Gierka zaczęły się już ujawniać wewnętrzne sprzeczności indoktrynacji komunistycznej. Uczono ludzi, że klasa robotnicza jest awangardą postępu i robotnicy, zwłaszcza młodzi, zaczęli w to powoli wierzyć. Mieli świadomość swojej rangi społecznej, a tymczasem w pracy doświadczali traktowania poniżającego. W tym to okresie środowiska inteligenckie ukuły termin „robot”.

Mówiono o sprawiedliwości społecznej, a całe życie publiczne przytłoczone było górą mniejszych lub większych świństw. Pracę bardziej atrakcyjną dostawało się po znajomości. Dla znajomka lub krewnego dyrektorzy państwowych zakładów i Innych instytucji bez kłopotów tworzyli nowe stanowiska. Ludzie czekali po kilkadziesiąt lat na mieszkanie, a kto miał pozycję i tzw. „wejścia” załatwiał bez problemów, jedno dla córki, a drugie dla syna. Przepaść między propagandową wizją a rzeczywistością budziła resentymenty. Ludzie, widząc, że pewne pojęcia, jak na przykład „sprawiedliwość społeczna”, służą do zakłamywania rzeczywistości, zaczęli je odrzucać.

Załatw mi legitymację

Z czasów zaangażowania w „Politechnikę” pamiętam charakterystyczną scenę, dobrze ilustrującą ówczesne podejście inteligencji technicznej, ale chyba nie tylko technicznej, do spraw ideologicznych i do panującego ustroju. Ilustruje ona też system awansowania w PRL.

Siedziało nas trzech w redakcji, ja, młody adept sztuki dziennikarskiej, Wojciech Błoński, wówczas kierownik oddziału, oraz Marek Samotyj, znany już dziennikarz na arenie ogólnopolskiej, który funkcję kierownika oddziału pełnił kilka lat wcześniej.

– Wojciechu – zwrócił się M. Samotyj do W. Błońskiego – *mógłbyś mi załatwić legitymację?*

Nie musiał dodawać, jaką legitymację, bo to było jasne. Chodziło o legitymację członka PZPR. Wojtek był członkiem partii i, jeśli dobrze pamiętam, chyba nawet szefem POP (Podstawowej Organizacji Partyjnej) na swoim wydziale.

– *Da się zrobić* – odparł. – *Trzeba tylko dwóch wprowadzających. Jednym będę ja, drugiego postaram się załatwić. Ale... obowiązuje cię okres kandydacki. Spróbuję i to jakoś obejść.*

Pamiętam tę rozmowę jak dziś, gdyż stanowiła potwierdzenie tego, o czym mówiło się, ale co pozostawało jakby wiedzą nieoficjalną. Nie można było w PRL zajmować wysokiego stanowiska, nie będąc członkiem partii. Co innego o czymś słyszeć, a co innego być świadkiem. Marek Samotyj nawet nie krępował się moją obecnością.

Rozmowa miała miejsce krótko przed objęciem przez niego stanowiska redaktora naczelnego „Przeglądu Technicznego”. Musiał to już mieć uzgodnione, do awansu brakowało mu tylko właśnie legitymacji partyjnej. Zrobił potem z „Przeglądu Technicznego” najlepsze, najbardziej niezależne czasopismo w Polsce. Mimo nazwy, sugerującej tematykę wyłącznie zawodową, podejmowało ono również szeroko pojęte problemy społeczne i ekonomiczne, i to w sposób przeważnie bardzo krytyczny.

EDWARD GIEREK O SYSTEMIE

Przedostatni pierwszy sekretarz, czyli przywódca, PZPR Edward Gierek udzielił pod koniec życia wywiadu-rzeki, w którym dobrze wyjaśnił, na czym ówczesny system społeczno-polityczny polegał. Wystarczy tylko dobrze się wczytać w jego słowa. E. Gierek był uczciwym człowiekiem, a przy tym trzeźwo patrzącym na życie. Wywodził się z nizin Społecznych i dobrze wiedział, czym jest nędza. Na ile mógł, starał się usuwać wady Systemu. Postanowił sobie, że nie skala rąk krwią rodaków i słowa dotrzymał. Oto, co mówił o Systemie:

Komunista musiał żyć dla partii⁷

Partia (...) była czymś podobnym do zakonu czy organizacji kastowej. Polecenia wyższego szczebla były rozkazem. (...) kierownik zawsze wszystko wiedział lepiej od nie kierownika. (...) centralizm demokratyczny nie tylko nikogo nie dziwił, lecz jego przestrzeganie wydawało się być wręcz stanem przyrodzonym dla komunisty. Decyzja zwierzchniej instancji starczała za wybór, za wszystko, była po prostu poleceniem.

(...) obowiązywał w Komitecie Centralnym narzucony jeszcze przez Stalina rozkład dnia. Kierownictwo partii, a w ślad za nim kierownicy wydziałów, jak i niżsi urzędnicy, przychodzili do KC⁸ między ósmą a wpół do dziewiątej i prześiadawali w pracy najkrócej do dziesiątej wieczorem, a nierzadko nawet i trzeciej w nocy. (...) Dla każdego, kto przekroczył wyższe kręgi wtajemniczenia partyjnego, takie pojęcia jak: niezależność, swoboda dysponowania czasem etc., etc. stawały się pojęciem zgoła literackim. (...) ⁹

Pogarda wobec ludzi

(...) był to koniec pierwszego kwartału 1951 roku, wezwał mnie do siebie Roman Zambrowski i mówi: „Słuchaj – tak to przeszedł ze mną na ty – strajkują górnicy w twojej kopalni, w „Kazimierzu” i innych sąsiednich zagłębiowskich kopalniach, jedź do nich i spróbuj się z nimi dogadać, bo inaczej będzie tragedia (...) Powiedziano mi wprost, że jeśli mnie się nie powiedzie, to kopalnia zostanie siłą oczyszczona ze strajkujących górników.

(...) Wszyscy opuszczaliśmy kopalnię z płaczem. (...) Jedyne, co wywalczyłem, to to, że bez mojego udziału rozwiązano organizację partyjną w kopalni „Kazimierz-Juliusz”: w rozwiązaniu dwóch pozostałych uczestniczyłem jako mistrz ceremonii. (...) Na wielkim zebraniu, z udziałem wszystkich członków partii, wyczytywano po kolei nazwiska usuwanych. Wezwani musieli wstać, podejść do stołu i oddać swoją legitymację. Takie zebranie (...) miało kojarzyć się z wielką karą.

(...) odbyło się plenum Komitetu Wojewódzkiego, na którym wybrany zostałem sekretarzem organizacyjnym KW PZPR w Katowicach. Wyboru tego, bez mojej zresztą wiedzy, dokonano w sposób niezręczny. Mój poprzednik na tym stanowisku, Walenty Kubica, był bowiem w tym okresie w sana-

⁷ Śródtytuły są moje. PM

⁸ Komitetu Centralnego – naczelnego organu Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej

⁹ Rolicki Janusz, *Edward Gierek: Przerwana dekada*, Warszawa 1990, Wydawnictwo Fakt, s. 32, 31

torium w Czechosłowacji i nic nie wiedział o dokonanej zmianie. O tym, że przestał być sekretarzem, dowiedział się z prasy. (...) Było w tym niewątpliwie coś obcego naszej kulturze (...) Brało się to po części z poczucia bezkarności, po części z pogardy wobec jednostki.¹⁰

Nieograniczoną władzę miał aparat ucisku

(...) odkryciem było dla mnie porównanie naszej sytuacji, czyli tak zwanego aparatu partyjnego, z sytuacją MSW i wojska. Mimo że solą ziemi mieliśmy być właśnie my, aparat ucisku, jak byśmy dzisiaj określili, wraz z kadrą wojskową był lepiej traktowany. Na przykład, myśmy dostawali tylko dwie trzecie naszych poborów, podczas gdy oni otrzymywali nie tylko wyższe pensje w swoich miejscach pracy, lecz także płacono im w okresie nauki stuprocentowe pobory. (...) Ta dychotomia systemowa, to znaczy pewna sprzeczność pomiędzy władzą aparatu politycznego, czyli partyjnego, a realnym znaczeniem aparatu ucisku i wojska, towarzyszyła całej historii Polski Ludowej. (...) Na nich me ręce były po prostu za krótkie. (...)

Władza oparta na szantażu

W tamtych czasach ten aparat stale chciał mieszać się do polityki i stale chciał ją robić. (...) metoda działania bezpieczeństwa w ogromnym stopniu opiera się na szantażu, a szantaż w polityce na dłuższą metę daje oplakane rezultaty.

(...) Jak wyglądało inwigilowanie bądź sprawdzanie mnie – nie wiem. (...) wiem, że podpytywano o mnie. (...) Z matki w pewnym momencie usiłowali (...) zrobić antysemitkę (...) Te zarzuty skończyły się jak ręką uciętą, gdy okazało się, że matka moja w swoim mieszkaniu w Zagórzcu przechowywała przez kilka miesięcy dwie rodziny żydowskie zbiegłe z getta. Jedna z ukrywających się u matki dziewczyn urodziła nawet dziecko.

Nie było możliwości sprzeciwu

Pamiętam, jak w któryś marcowy poranek, tuż po śmierci Stalina, zadzwonił telefonem rządowym do Józefa Olszewskiego, pierwszego sekretarza Komitetu Wojewódzkiego, Jakub Berman, drugi człowiek w państwie. Poinformował on sekretarza, że decyzją Biura Politycznego nazwa Katowice zostanie zamieniona na Stalinogród. (...) Olszewski mając nasze poparcie dalej bronił się stosując



Edward Gierek (po prawej) podczas Dnia Czynu Partyjnego 1974. Narodowe czyny społeczne były jedną z charakterystycznych cech Systemu. Co jakiś czas mobilizowano cały naród do sadzenia drzew, przygotowania terenu pod parki lub budowę dróg czy ogólnopolskiego sprzątnięcia terenów publicznych. Autor niechętnie brał w tym udział, choć etyczna ocena takich akcji musi być pozytywna. zdj. za: Wyszynacki Leszek, *Warszawa od wyzwolenia do naszych dni*, Wydawnictwo Sport i Turystyka, Warszawa 1977, s. 233.

wybiegi (...) Ulegliśmy dopiero „perswazjom” Bieruta, który zagroził odwołaniem całej egzekutywy Komitetu Wojewódzkiego. Teraz mieliśmy świadomość, że niewykonanie tej decyzji (...) zakończy się rozmowami (...) z funkcjonariuszami Urzędu Bezpieczeństwa.¹¹

Partia robotnicza w czasach Edwarda Gierka nie miała już wiele wspólnego z klasą robotniczą. Była to partia klasy rządzącej, partyjnych biurokratów, którą Milovan Djilas nazwał „czerwoną burżuazją”.

Mechanizmy władzy

Albin Siwak, członek partii, autentyczny przywódca robotniczy, obdarzony charyzmą wiecowego mówcy, który nigdy nie dał się sprowadzić do roli partyjnego figuranta, tak opisuje rzeczywisty stan kadr tej niby robotniczej organizacji:

Oburzano się, że w Komitecie Centralnym partii, która, jak sama nazwa wskazuje, ma być robotnicza, brakuje robotników. (...) Liczebnie robotnicy byli w mniejszości, a im wyżej, tym mniej robotników przepuszczały kolejne sity partyjnej biurokracji. W tym czasie byłem jedynym robotnikiem, który wszedł do egzekutywy w KW¹².

Kiedy więc zaczęto rozglądać się, kogo z warszawskiej organizacji można zaproponować do KC, to sam Karkoszka na plenum KC wysunął moją kandydaturę i została ona przyjęta.

¹¹ Jw., s. 121

¹² Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej

¹⁰ jw., s. 30, 22; 25, 27, 29, 30



Pochód 1-Majowy w Świętochłowicach. To wygląda raczej na boczną odnogę pochodu – przed włączeniem go głównego nurtu – gdyż miały one miejsce na głównych ulicach miast i były o wiele szersze. Trudno powiedzieć, ilu uczestników pochodów brało w nich udział dobrowolnie, a ilu z konformizmu – z niezdolności do sprzeciwu. Jak dyrekcja zakładu pracy czy kierownictwo instytucji państwowej zadecydowało, że załoga idzie, trzeba było sporej odwagi, żeby się wyłamać. Dużą rolę odgrywały też kalkulacje na karierę, a – w przypadku ludzi pogodzonych z Systemem – pragnienie świętego spokoju. Z upływem lat przeważały motywacje koniunkturalne, mniej już było lęku. zdj.: Edmund Wlazłowski/ Fotopolska-Eu

Dochodziło do sytuacji parodystycznych, z których jednak nikt się nie śmiał, ponieważ ludzie, w tym członkowie partii, przyzwyczaili się do teatralizacji życia politycznego. Pisze A. Siwak o jednym z partyjnych zebrań z udziałem premiera Piotra Jaroszewicza:

W salach Urzędu Rady Ministrów, w dniu 16 listopada 1971 roku, rozpoczęła się konferencja. Wysoko na scenie zajęło miejsce prezydium, a obok ustawiona była mównica. (...) Wygłoszony zostaje referat wprowadzający (...), a następnie rozpoczyna się dyskusja. Nie była to jednak taka dyskusja, o jakiej powszechnie się myśli. Wtedy nie każdy, kto chciał, mógł zabrać głos i nie mógł mówić tego, co chciał powiedzieć. Najpierw Komitet dzielnicowy otrzymywał limit mówców, a następnie sztab wyznaczał mówców i każdemu z nich pisał przemówienie. Wyznaczeni w ten sposób mówcy musieli nauczyć się czytać to, co im napisano. Mój kolega (...) Siedząc obok mnie (...) Jęczał co chwilę:

- O Jezu, jak ja to odczytam.
- To po cholere żes się zgodził – pytam go.

– Wcale się nie zgodziłem, tylko moja władza sama za mnie zdecydowała.

Niedaleko, na stole rozłożone były karteczki-zgłoszenia dla tych, którzy chcieliby zabrać głos. Sięgnąłem po jedną taką kartkę i wypisałem, co trzeba, a sekretarz dzielnicowy pyta, gdzie mam swoje wystąpienie. Pokazuję palcem na głowę i mówię, że tu je mam.

– To nie będziecie mówić, nie wolno wam.

Delegat kolejarzy (...) mówić to chyba i w domu bał się do żony. (...) ręce dygotały mu tak, że pukał nimi o blat, a mikrofon to przenosił do głośników. (...) Przeczytał pierwszą kartkę, odłożył ją na bok i zaczął czytać drugą. Nie zauważył jednak, że pomylił strony (...) Wstał ktoś z prezydium i coś mu mówi do ucha, a on, nie zdając sobie sprawy, że każde jego słowo słychać w głośniku, na cały głos odpowiada:

– Przecież, kurwa mać, ja tego nie pisałem.¹³

¹³ Siwak Albin, *Trwałe ślady*, Warszawa 2010, s. 81-82

OPERACJA TAJNYCH SŁUŻB?

Nie brak głosów, że cały bunt „Solidarności” był przygotowany i przeprowadzony przez tajne służby w celu obalenia Edwarda Gierka i przejęcia władzy. Taka była wtedy standartowa metoda zmiany władzy w krajach tzw. demokracji ludowej. Rządziła partia, kierowana centralistycznie, tzn. decyzje w Komitecie Centralnym partii podejmowano przez głosowanie, ale członków tego Komitetu Centralnego dobierał sobie I sekretarz.

Trochę upraszczam, gdyż w partii, w każdej partii komunistycznej, istniało wiele frakcji, walczących o władzę, i pierwszy sekretarz nie mógł tak

ludu pracującego miast i wsi”, ale były to hasła bez pokrycia. Żeby dokonać zmiany władzy w takich warunkach, potrzebne były poważne wstrząsy społeczne, które pozwalały zmieniać przywódców pod zarzutem, że – nie radzą sobie z sytuacją.

E. Gierek: to była operacja służb

O tym, że spiskowano w celu odsunięcia go od władzy, był przekonany sam Edward Gierek. Za głównego intryganta w Komitecie Centralnym uważał Stanisława Kanię, który z ramienia KC nadzorował m.in. „aparaturę bezpieczeństwa”, czyli również tajne służby.

Intrygami z gatunku tych, którymi posługiwały się koterie na dworach dawnych wschodnich satrapów – napuszczając jednych na drugich, obiecując stanowiska, wychwalając pod niebiosa

JAWNE
Istnieje obowiązek art. 86 ust. 3 ustawy
z dnia 14 czerwca 1999 roku o ochronie
mocy tajemnych
(Dz. U. nr 11 poz. 95 z późn. zm.)

Szefowie

UB

Józef Jurkowski
(Jozef Jungman)

Ur. 30 III 1913 r. w Lublinie.
W UB w latach 1944-1956.

1945 p.o. kierownika Grupy Operacyjnej MBP
na województwo śląskie
1945-1948 kierownik/szef WUBP w Bydgoszczy
1948-1950 szef WUBP w Gdańsku
1951 starszy inspektor Inspektoratu Ministra BP
1951-1955 szef WUBP w Katowicach/Stalinogrodzie
1955-1956 dyrektor Departamentu V KdsBP (ochrona
transportu)

W 1956 r. pełnił służbę w Międzynarodowej
Komisji Nadzoru i Kontroli w Wietnamie.

W 1956 r. pełnił służbę w Międzynarodowej
Komisji Nadzoru i Kontroli w Wietnamie.

"Przyjechałem do Katowic w styczniu 1945 r. organizować U.W.B.
/Urząd Wojewódzki Bezpieczeństwa/. Miałem ze sobą 60 ludzi zabranych
z Rzeszowa. Potrzeba mi było ludzi. Trzonu dostarczyło mi Zagłębie,
ale to nie wystarczyło. Wiedziałem, że w kieleckim była szeroka party-
zantka AL-owska, a ponieważ byłem ze mną Połowniak, posłałem go do
swojej wioski i on stamtąd ściągnął mi ok. 200 mało piśmiennych, ale
najwierniejszych bojowców - AL-owców."

Pierwszy szef katowickiego Urzędu Bezpieczeństwa; za: Twarze katowickiej bezpieki; wyd. IPN

zupełnie dowolnie dobierać sobie współpracowników, jednak z demokracją, z demokratycznymi wyborami nie miało to wiele wspólnego. Chociaż... czy w działających dzisiaj partiach jest inaczej? Partia to narzędzie walki o władzę.

Na potrzeby propagandy ukuto wtedy takie pojęcie jak „centralizm demokratyczny”, „władza

zadufków – St. Kania zmontował na tyle silną opozycję, że udało mu się odsunąć E. Gierka od władzy i objąć jego stanowisko.

– Wykorzystali oni – mówił E. Gierek – niezadowolone społecznie końca lat siedemdziesiątych i rozkręcili falę strajkową w sposób bezprecedensowy w naszej historii.



Jerzy Gruba został komendantem wojewódzkim MO w Katowicach po odsunięciu od władzy Edwarda Gierka. Przypisuje mu się odpowiedzialność za zabójstwo strajkujących górników w kopalni „Wujek”. Gen. Wojciech Jaruzelski zeznał przed sądem, że J. Gruba kilkakrotnie prosił gen. Czesława Kiszczaka o pozwolenie na użycie broni podczas pacyfikacji kopalni i nigdy go nie otrzymał. za.: Biuletyn IPN „Twarze katowickiej bezpieki”

(...) kilkunastu aktywistów, a tyłu w swojej mikroorganizacji miał Lech Wałęsa, nigdy nie byłoby w stanie zatrzymać pracy w kilkuset zakładach, w których pracowały setki tysięcy ludzi. Struktura bezpieczeństwa w Polsce była taka, że we wszystkich fabrykach, a zwłaszcza ważnych, służby te miały swoje komórki, w których oprócz oficerów SB byli agenci i konfidenci opłacani przez resort. Do szczególnie kontrolowanych przez bezpieczeństwo zakładów pracy trzeba zaliczyć stocznie i porty. Do obowiązków agentów SB należało informowanie o nastrojach społecznych i politycznych, a także o kradzieżach, nadużyciach itp., itd. (...) Pajęcza sieć Służby Bezpieczeństwa była największa w fabrykach zbrojeniowych, na Wybrzeżu zaś tego typu przedsiębiorstw było, co zrozumiałe, szczególnie dużo.¹⁴

Pamiętam, że kiedyś, jeszcze na początku studiów górniczych, odwiedziłem kolegę, którego ojciec był kierownikiem oddziału wydobywczego w kopalni węgla kamiennego. Siedząc przy stole, radził mi się co do naszej przyszłej pracy. Spytałem m.in., co jest najważniejsze w pracy sztygara.

– Musisz mieć swoich donosicieli – powiedział.

Jeśli nie można było bez donosicieli sprawnie kierować oddziałem górników, których jedynym zadaniem była maksymalizacja wydobycia węgla, to cóż dopiero mówić o agenturze, budowanej przez służby specjalnie powołane do zdobywania informacji. Słowa E. Gierka wcale nie są dla mnie zaskoczeniem.

Podsumowujmy fakty. Przewodniczący Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w Szczecinie, sygnatariusz porozumień sierpniowych, przewodniczący Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” Regionu Pomorza Zachodniego Marian Jurczyk okazał się agentem. Podpisał zobowiązanie do współpracy z SB, kwitował odbiór za to pieniędzy i pisał dla SB sprawozdania. Sąd uniewinnił go z zatajenia faktu tej współpracy, gdyż M. Jurczyk zdołał go przekonać, że „tylko pozorował współpracę”.

Walka przywódcy „Solidarności” Lecha Wałęsy, noszonego kiedyś na rękach przez naród, z oskarżeniami o agenturalną działalność w pierwszym okresie działalności związku jest powszechnie znana. Dowody na współpracę są dość mocne. To dwaj najbardziej znani. O agenturalność od samego początku oskarżano przywódcę straj-

¹⁴ Rolicki Janusz, op. cyt. s. 171

kujących górników w kopalniach węgla kamiennego Jarosława Sienkiewicza, choć dowodów na jego agenturalną działalność do dziś nie znaleziono.

Jeszcze ciekawsze są pod tym względem sylwetki niektórych czołowych działaczy opozycji.

Leszek Moczulski, legendarny założyciel Konfederacji Polski Niepodległej, w 1979 r. opublikował w „drugim obiegu” manifest programowy tej partii, „Rewolucja bez rewolucji”, w którym uzasadniał że dni systemu są policzone i zbliża się czas, kiedy władza będzie leżała na ulicy i trzeba będzie tylko po nią sięgnąć. Pisał o bliskim upadku komunizmu i nieuniknionym rozpadzie imperium radzieckiego, i pisał, że zamiast zastanawiać się, jakie reformy skłonni byliby zaakceptować władcy z Kremla, należy przygotowywać się do przejęcia władzy. Wydawało się to wtedy niemożliwe. Mówiłem sobie: zobaczymy, daję komunistom niewiele czasu, więc powinienem tego dożyć. Powiedziałem sobie wtedy, że jeśli jego tezy się sprawdzą, będę musiał uznać w nim politycznego geniusza.

Jego przepowiednie się sprawdziły, ale... po latach okazało się, że był tajnym współpracownikiem (TW) służb o pseudonimie „Lech”. Specjalnie udałem się do biblioteki, żeby sprawdzić, jak L. Moczulski zachowywał się w czasach „głębokiej komuny”, jak się maskował, co wtedy pisywał. Wypożyczyłem i pobieżnie przejrzałem obszerne tomisko jego autorstwa „Dylematy – wstęp do historii Europy Zachodniej 1945–1970” z 1971 r. i stwierdziłem, że – wcale się nie maskował. Pisał jak jest. Nie ma w tej książce ani śladu typowej wtedy ideologicznej nowomowy. Książkę wydało Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej. Wynika z tego, że w Ministerstwie Obrony Narodowej byli wtedy ludzie trzeźwo patrzący na sytuację społeczno-polityczną i, co więcej, na tyle wpływowi, żeby dopuszczać do druku całkiem sensowne opracowania. Można przypuszczać nawet więcej: byli tam ludzie dążący do obalenia Systemu.

Niełatwo zorganizować „spontaniczny” strajk

Mnie najbardziej intryguje socjotechnika wywoływania „spontanicznych” strajków. Ludzie wtedy bali się podejmować zorganizowane akcje przeciwko władzy. Przynajmniej do czasu, aż strajki nie rozlały się po całym kraju i ryzykowne stało się nie strajkować.

Wcześniej za podejmowanie nielegalnych protestów można było ponieść srogie kary. Obcięcie premii, degradacja na niższe, niższej płatne

stanowisko, szykany ze strony kierowników oddziału, skreślenie z listy oczekujących na mieszkanie czy samochód, nie mówiąc już o przesłuchaniach przez SB. Ludzie bali się i ci sami ludzie stają w pewnej chwili w sytuacji, kiedy na jakimś wiecu czy zebraniu występuje ktoś z wezwaniem do strajku. Nie wydaje mi się to psychologicznie prawdopodobne.

Z moich osobistych doświadczeń wynika, że jeśli ktoś na jakimś zebraniu występował ze słuszną krytyką, pozostali przybierali kamienne miny i czekali, jak to się skończy. Przeżyłem takie momenty choćby na koloniach, gdzie w czasie wakacji zatrudniałem się jako wychowawca. Każdy miał w tamtym systemie coś do stracenia. Po to, żeby uczestnicy zgromadzenia poparli kogoś agitującego za strajkiem, musiało się za nim opowiedzieć, i to zdecydowanie, więcej osób. Niezbędna była „masa krytyczna” do wywołania lawiny. Taką mogła dać tylko zorganizowana siła, zdolna wyznaczyć do wystąpień kilku co najmniej uczestników. Jaka to była ukryta siła, nie trzeba już dopowiadać.

Relacja maszynisty lokomotywy

Relacja Stanisława Gazdy, pracownika gliwickiej lokomotywowni, dowodzi, że za wieloma spontanicznymi na pozór wybuchami społecznego niezadowolenia stali działacze opozycji. Ludzie odważni i roztropni zarazem, uczciwi, a przebiegli. To oni, narażając niejednokrotnie życie, przygotowywali grunt pod społeczne protesty, inspirowali strajki, a potem pilnowali, żeby nie zostały spacyfikowane za szybko. Bez nich system by nie upadł.

St. Gazda opowiedział mi, co go spotkało latem 1981 r. w Lublinie, dokąd zawiózł dzieci kolonijne.

W czerwcu albo w lipcu byłem w Lublinie, jako maszynista, i tam stałem się uczestnikiem pewnych wydarzeń, o których dzisiaj mało kto wie. Prowadzić pociąg do Lublina to dla maszynisty z naszej lokomotywowni była najtrudniejsza praca. Jechało się przez górski teren, Góry Świętokrzyskie. Maszynista musi dobrze znać trasę, każdy zakręt, każde wzniesienie, każde drzewo. Tam były takie mgły, jeszcze w lipcu, że mało co było widać. Nikt dobrze nie znał tej trasy, gdyż nie mieliśmy tam żadnego pociągu rozkładowego, tylko kolonijne, ale ponieważ pochodziłem z lubelskiego, to mnie tam wysyłali.

Po takiej jeździe myślałem tylko, żeby się wyspać. Zajechałem tam, a na mnie już czekali. No, bo przyjechał ktoś ze Śląska. Podszedł do mnie jeden.

– Mamy tu ludzi z Gdańska.

– Dajcie mi spokój – mówię – jedenaście godzin jechałem, a wy mnie chcecie na nasiadówkę zaciągnąć.

Wtedy jeszcze nie wiedziałem, co się dzieje. Przyszedł potem taki jeden i tak mnie przekonywał, że w końcu poszedłem na to zebranie. Tam musiał być jeden z Kaczyńskich. Byli ludzie z Gdańska, Szczecina, Wrocławia i jeszcze skądś. Około 40 – 50 osób. Poszedłem z ciekawości. Byli tam bracia Czumowie, na pewno był Andrzej. Coś tam organizowali. Wtedy jeszcze mało kto go znał, ale dzisiaj myślę, że to był Andrzej Czuma, ten z Platformy.

Jak już znalazłem się na sali, zorientowałem się, że to nie jest zwykłe zebranie. Dziennikarzy nie wpuszczano. Po przywitaniu zaczęli mówić, że na wschód idą słoiki rzekomo z ogórkami, a w środku jest szynka. Taki jeden łysy, niski, gruby mówił ostro na komunizm.

Odezwałem się wtedy.

– Powiedz pan chociaż, kim pan jest?

Czumowie wzięli go w obronę i zebrani się skłócili. Ogłoszono przerwę. Na korytarzu doskoczyli do mnie dziennikarze francuscy i wtedy jeden taki wciągnął mnie do ubikacji. Dzisiaj myślę, że to mógł być Andrzej Czuma.

– Słuchaj – mówi do mnie - po moim widzę, że komuna cię ukrzywdziła, ale jak będziemy tacy podejrzliwi, to do niczego nie dojdziemy.

Mój brat był sekretarzem wojewódzkim ds. organizacyjnych w województwie gorzowskim, siostra też w partii, ale ja byłem ich wrogiem, bo mi życie złamali. Miałem czternaście lat, jak mnie ze szkoły w Łodzi wyrzucili. Mieszkalem w internacie, zasłonili nam okno plakatem pierwszomajowym. Z „1 Maja” usunęliśmy jedynekę. Chcieliśmy to przykleić z powrotem, ale uznali, że to jest wielkie przestępstwo. Było nas czterech, powiedzieli, że jak się nie przyzna ten, co to zrobił, to wszystkich wyrzucą. Powiedziałem – dajcie spokój chłopaki – i wzięłem to na siebie.

Dostałem zakaz uczęszczania do szkoły do dwudziestego roku życia. To było w 51 roku, jeszcze partyzanci żyli. Załatwiła mi znajoma, która była w tej ich partyzantce – pracowała w Centralnym Ośrodku Szkolenia Zawodowego – szkołę w Pabianicach. Pobylem tam tylko dwa tygodnie, potem mnie dyrektor wezwał. W technikum w Zgierzu tylko dziesięć dni. Dopiero jak poszedłem do szkoły górniczej, to mi dali spokój. W kopalni mi się jednak nie podobało, poszedłem na kolej. Byłem jednym z lepszych maszynistów.

Trafiłem tam w Lublinie na strajk, ale to się dopiero później dowiedziałem. Wypuścili świnie z napisem „Nie chcę iść na Wschód”. Żeby ludzie

mieli co jeść, to przyspawali pociągi do szyn. Potem wybuchł Gdańsk, ale ja nie bardzo im wierzyłem. Później jednak, na zebraniu u nas w lokomotywni, wstałem, bo wiedziałem z Lublina, jak to ma wyglądać.

E. Gierek: zorganizowały służby

Edward Gierek uważał, że strajki lubelskie były pierwszą, jeszcze nieudaną próbą służb specjalnych i kadry wojskowej, odsunięcia go od władzy za którą stał Stanisław Kania. St. Kania nadzorował z ramienia Komitetu Centralnego PZPR „aparat bezpieczeństwa”, czyli ministerstwo spraw wewnętrznych i ministerstwo obrony narodowej.

Mówił o tym E. Gierek tak:

Jak wiadomo, w lipcu 1980 roku wybuchły strajki o kaszankę. Były spowodowane podwyżką cen właśnie kaszanki i innych podrobów w bufetach pracowniczych. Strajki swoje apogeum osiągnęły w Lublinie oraz całej lubelskiej DOKP [Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych – przyp. PM]. (...) Przedtem nie miałem żadnych sygnałów od służb milicyjnych bądź aparatu partyjnego, że w Lublinie jest wielkie wrzenie. Bo przecież strajk taki nie wybucha z niczego. Tam tymczasem w sposób wręcz prowokacyjny przez kilka dni były niczym nie uzasadnione perturbacje z dostawą mleka, jego przetworów i chleba. Było to w okręgu rolniczym i skończyło się w końcu strajkiem generalnym.

Powstaje pytanie, kto organizował ten strajk? Zatrzymanie całego województwa, niech mi pan wierzy, nie jest sprawą łatwą, tego nie da się zrobić bez prężnej organizacji, ot tak sobie. Do tego proszę dodać strajk całej DOKP w Lublinie. Jedyne, jak dotąd, strajk powszechny na kolei w całej historii Polski Ludowej.

Lubelska DOKP należy do najważniejszych dyrekcji kolei w kraju, przez jej teren idą wszystkie dostawy dla radzieckich dywizji w NRD oraz cały eksport Związku Radzieckiego do tego kraju. I oto kolejarze lubelscy przyspawali koła lokomotyw i wagonów do torów kolejowych na szlakach prowadzących z Małaszewicz i Terespolu na Wschód. Powstaje pytanie, dlaczego wtedy właśnie kolejarze polscy zdecydowali się na tak desperacki krok? (...)

Wielkie zakłady tego województwa, WSK Świdnik, FSC, charakteryzowały się wyjątkowo wysokim, bo ponad 30-procentowym, udziałem kadry zarządzającej, wywodzącej się z milicji i wojska. (...) Była to kadra w pełni dyspozycyjna.

W gruncie rzeczy strajk taki nie mógł się odbyć bez przyzwolenia tych służb (...) co by to były za służby, jeśliby nie orientowały się w stanie

nastrojów społecznych. Jeśli tych strajków nie zorganizowały legalne związki zawodowe, jeśli nie zorganizował aparat partyjny, jeśli wtedy nie było „Solidarności” ani żadnych niezależnych związków zawodowych, to jak mógł się zdarzyć tak wielki cud w tym województwie i w tej dyrekcji kolei państwowych?

Musiały ten strajk zorganizować siły, które były zobowiązane do pilnowania porządku w kraju. Musiało się to oczywiście odbyć za zgodą i przyzwoleniem kierownictwa partyjnego województwa, bowiem lokalna milicja i SB przeciwnym razie musiałyby przeciwdziałać takiej akcji.¹⁵

Nie znaczy to, że Andrzej Czuma, legendarny działacz opozycji, pojechał do Lublina delegowany przez tajne służby PRL, choć i taką możliwość należy uwzględnić. Był od lat aktywnym działaczem opozycyjnym, wiele lat przesiedział w więzieniach, angażował się w każdą ruchawkę, wymierzoną przeciwko systemowi. Prawdopodobnie, jak tylko usłyszał o strajkach, spakował się, wsiadł do pociągu i pojechał, poinformowawszy tylko kolegów z opozycji.

K. Wyszkowski o B. Borusewiczu

Strajki w Stoczni Gdańskiej, uważane za początek solidarnościowego zrywu, były jednymi z kolejnych po niepokojach w Lubelskiem. W Gdańsku parł do nich – z niejasnych do końca powodów – Bogdan Borusewicz, późniejszy marszałek Sejmu w III RP. On je zainicjował, on też wypchnął na czoło niepracującego wtedy Lecha Wałęsę. Sam mógł sobie pozwolić na działalność opozycyjną, gdyż nie musiał pracować – utrzymywała go matka, pracująca w Stanach Zjednoczonych.

Do dziś nie jest jasne, dlaczego tak spieszył się ze sprowokowaniem strajku. Jak nie wiemy, trzeba przyjmować najprostsze wyjaśnienie, a w tym wypadku jest ono takie, że miał więcej odwagi niż inni członkowie Wolnych Związków Zawodowych (WZZ) Wybrzeża. Spora porcja szaleństwa w połączeniu z brakiem przewidywania skutków. W tym wypadku udało się. Niejasne pozostaje tylko, dlaczego w momencie rozpoczęcia strajku sam gdzieś zniknął.

Oto relacja o tym Krzysztofa Wyszkowskiego, który razem z małżeństwem Joanny i Andrzeja Gwiazdów założył był Wolne Związki Zawodowe Wybrzeża.

Pierwsze, niepotwierdzone wówczas jeszcze, sygnały o protestach w zakładach pracy w różnych częściach kraju zaczęły docierać do Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża już w pierwszych dniach lipca. (...) strajki które wydawały się spontaniczne, wybuchały w przeróżnych miejscach w kraju. Często bardzo od siebie oddalonych. Już w pierwszych dniach lipca odbył się strajk w sąsiadującym z Gdańskiem Tczewie. Fala strajków przeszła przez Lublin, Świdnik, Ursus, Sanok, Tarnów, Mielec, Poznań i wiele innych miast. Zarówno tych dużych jak i tych mniejszych. Przy kompletowaniu informacji nieco dziwnym wydawała się wyjątkowa ich dostępność. (...)

W tym czasie całą uwagę działaczy Wolnych Związków pochłaniał temat przygotowania się na możliwość zaistnienia strajków w zakładach Trójmiasta. (...) Kuroń i Borusewicz uważali jednak, że idąc za przykładem innych miast należy jak najszybciej wywołać strajk na Wybrzeżu, a to oznaczało oczywiście strajk w stoczni. (...)

Większość z nas miała odczucie, że przechodząca przez Polskę fala niezadowolenia nie była do końca przypadkowa. Podczas rozmów wracało stale podejrzenie, że komuś w komunistycznych władzach taka sytuacja była mocno na rękę. Sugerowało to dość dziwne zachowanie władz. Prowokacja była całkiem realną możliwością. (...) 7 sierpnia poinformowano Annę Walentynowicz, że została ona zwolniona dyscyplinarnie z powodu „naruszenia podstawowych obowiązków pracowniczych”. (...) „Borsuk” stwierdził, że zamierza uruchomić w stoczni trzech współpracowników w tym dwóch działaczy wolnych związków, Bogdana Felskiego i Ludwika Prądzyńskiego, aby jak najszybciej podjąć próbę wywołania strajku. (...) Pośpiech „Borsuka” był czymś zupełnie dla nas niezrozumiałym. Tym bardziej, że on sam nie potrafił go logicznie uzasadnić. Dla każdego rozsądnego człowieka nie miało przecież znaczenia, czy na dokonane już zwolnienie pani Ani, WZZty zareagują w ciągu kilku czy też kilkunastu dni.

(...) Borusewicz planował rozdanie dużej ilości ulotek w kolejkach elektrycznych w środę wczesnym ranem i chciał, abyśmy się tym zajęli. Ustalaliśmy więc z nim kto z kim i na jakiej trasie będzie to robił. Okazało się też, że Borsuk przygotował treść odezwy do stoczniowców i miał ją właśnie dać do druku. (...) Za plecami WZZowców i wbrew ustaleniom, zamierzał on całą akcję urzeczywistnić w ciągu kilku następnych dni. (...) Ta postawa Bogdana Borusewicza była tym bardziej dziwna, że wyraźnie nie brał on pod uwagę wcześniejszych naszych podejrzeń co do intencji władz. Zwolnienie pani Ani było manewrem tak absurdalnym, że nasze podejrzenia przybrały formę poważnych obaw

¹⁵ Rolicki Janusz, op. cyt. s. 152 – 154

Powszechnie głosi się, że polski sierpień '80 był zrywem do wolności przeciw komunistom. Owszem, takie były pragnienia narodu, ale prawdziwe kulisy wydarzeń nie są tak jednoznaczne. Tymczasem prawie nic o nich nie wiadomo. To niedobrze, bo w miarę upływu lat wypełniać tę lukę będzie coraz trudniej. Pełna prawda będzie jak intruz, który zakłóca przyjęty porządek, a wtedy także na iluzji i fałszu gmach Polski budować będziemy. Na to się właśnie liczy. Sierpień '80 nie był tylko walką o wolność. SPROWOKOWAŁY GO I W NIEZNANYM JESZCZE STOPNIU ARANŻOWAŁY PEWNE KRĘGI KOMUNISTYCZNEJ WŁADZY. Na pytania: dlaczego, w jakim celu, odpowiedzi trzeba jeszcze szukać, choć niektóre cele są już widoczne, a krokiem wstępnym było przerwanie rządów Gierka. (...)

Tak się jakoś składa, że strajki: w hucie "Katowice", w fabryce małego Fiata w Tychach i kopalni "Manifest Lipcowy" w Jastrzębiu, rozpoczęły się tego samego dnia, akurat 29 sierpnia 1980 r. Nie zorganizowała tak zgranej akcji ukryta siatka opozycji, bo takiej po prostu tam nie było. A więc przypadek? Być może, choć w poważnej polityce takie przypadki się raczej nie zdarzają. (...)

O strajkach na Wybrzeżu ludzie wiedzieli niezbyt wiele, bo skąd? I oto tuż po 20 sierpnia zaczęły się nagle dziać w hucie rzeczy niebywałe. Kierownictwa poszczególnych wydziałów zaczęły organizować zebrania i wiece z załogą, na których kazano ludziom mówić krytycznie o wszystkim, co uważają za złe.

Pamiętać będę zawsze zebranie na moim wydziale kolejowym. Ludzie byli onieśmieleni i zaskoczeni, a kierownictwo, zdenerwowane, wysłało się na dobrych gospodarzy. W pewnej chwili zebranie zmieniło obrót po wystąpieniu dwóch pracowników. Stwierdzili oni, że są różne złe sprawy nie tylko na wydziale i w hucie, ale w całym kraju. Dlatego trzeba utworzyć wolne związki zawodowe, które będą walczyły o lepsze prawa i warunki życia ludności. Następnie spowodowali oni, że kierownictwo opuściło zebranie, a ludzie spisali postulaty i wybrali przedstawicieli. Jednym z nich był mój obecny przyjaciel, dyżurny ruchu Jacek Jagiełka, a drugim byłem ja. To myśmy zmienili charakter zebrania. Tak się dla mnie zaczęło nowe życie, choć wcześniej obaj z Jagiełką mieliśmy niezależne od siebie kontakty z opozycyjnymi podziemnymi wydawnictwami, a Jagiełka odwiedzał także w Katowicach opozycyjnego działacza Kazimierza Świtonía, za co był zatrzymywany przez milicję i szykanowany w hucie.

Po kilku dniach zebrani i wieców, które wyrażnie "podkreśliły" nastroje, nadszedł 29 sierpnia 1981 r. Przyszedłem do pracy na nocną zmianę. I oto dowiedziałem się, że w części huty jest strajk. Za zgodą kolegów, ale wbrew zakazowi przełożonych, wraz z Jagiełką udałem się do strajkujących. Przyjęto nas w skład komitetu strajkowego. Akurat szykowano się do spotkania z dyrektorem huty, późniejszym wicepremierem Zbigniewem Szajałdą. Dziwne to było spotkanie. Przewodniczący Komitetu Strajkowego Marek Fabry nie prowadził żadnych negocjacji, nie przedstawił żadnego postulatu strajkowego, ale wraz z dyrektorem, w jakby wspólnie uzgodniony sposób, chciał podpisać jedynie oświadczenie, że huta "Katowice" popiera strajk na Wybrzeżu, po czym strajk w hucie zostanie zakończony. "Strajkujemy, aby skończyć ze strajkami" – takie było hasło Komitetu Strajkowego. Doprowadziliśmy z Jagiełką do zerwania spotkania. I to był ich błąd.

Rozpłochowski Andrzej

za: **W cieniu Sierpnia '80, Orientacja na prawo 1986-1992: Wrzesień 1991, nr 9 (79); także:**
<https://josefdarski.pl/5582-10-historia-w-cieniu-sierpnia-80-andrzej-rozplochowski>

o ewentualną prowokację. (...) Tymczasem Borusewicz oznajmił nam, że termin rozpoczęcia protestu został zmieniony raz jeszcze i przesunięty o jeden dzień. Tym razem już ostatecznie, na czwartek 14 sierpnia, gdyż kilka spraw okazało się jednak jeszcze nie gotowych.

W tym czasie miało też miejsce pewne znaczące zdarzenie. W rozmowie o szczegółach przygotowań, Borsuk wspominał nagle osobę Wałęsy. (...) „Borsuk” zdążył już poinformować Wałęsę o szczegółach planu. (...) Bogdan Borusewicz twierdzi zdecydowanie od lat, że decyzję o strajku podjął sam, bez konsultacji z kimkolwiek, a nawet bez niczyjej wiedzy. (...) Faktem jest, że z całej listy podpisanych przez niego osób tylko dwie wiedziały o terminie organizowanego protestu, w tym Wałęsa. Drugim był Jan Karandziej. (...)

Jednak najbardziej zastanawiającym jest pytanie, czym mógł kierować się człowiek, który

podejmował właśnie tak irracjonalną i niebezpieczną decyzję? Dlaczego już po podjęciu wspólnej decyzji o obronie Anny Walentyńowicz, postanowił działać sam, w szaleńczym pośpiechu i poza plecami WZZowskich działaczy? (...) czy (...) Bogdan Borusewicz wiedział coś czego nie wiedzieli inni? (...) Według [jego wersji], na kilka dni przed strajkiem, (...) zabrał trójkę stoczniovców do domu Piotra Dyka, gdzie grupa gdańskich opozycjonistów świętowała zwolnienie z aresztu Dariusza Kobzdeja i Tadeusza Szczudłowskiego. (...) W swej książce Borusewicz podaje dosyć precyzyjnie: „Ukryłem się na dziesięć dni przed strajkiem w mieszkaniu znajomych przy ulicy Matejki we Wrzeszczu – u Kilińskich...”

(...) w tym przypadku musieli by się oni dowiedzieć o wyrzuceniu z pracy Anny Walentyńowicz zanim jeszcze miało to miejsce. Ta nadludzka zdolność przewidywania przyszłości

pojawiła się jednak u Borusewicza już dużo wcześniej. W wywiadzie udzielonym w 2005 roku mówił o czasie poprzedzającym strajk: „Zostało mi tam [w stoczni – PM] trzech młodych chłopaków: Bogdan Felski, Jerzy Borowczak i Ludwik Prądyński. Przez cały lipiec spotykałem się z tą trójką. Mówiłem im – po Kołodziejcu i Walenty-nowicz kolej na was. Wyrzucą was”.

Tak więc okazuje się, że Borusewicz ostrzegał ich, że mogą pójść w ślady pani Ani już miesiąc przed tym, zanim ją samą zwolniono. (...) to jednak nie jest jeszcze szczytowe osiągnięcie Borusewicza w dziedzinie wyprzedzania przyszłych wypadków. Jest nią za to wydarzenie związane z innym naszym WZZowskim kolegą Andrzejem Kołodziejem. Był on bardzo aktywnym i odważnym działaczem Wolnych Związków i jednocześnie pracownikiem Stoczni Gdańskiej.

Znany był swoim stoczniowym kolegom, gdyż ulotki i niezależną prasę rozdawał jawnie podczas przerw śniadaniowych. Na początku roku 1980 został za swoją działalność wyrzucony z pracy w stoczni. Jak sam pisze w swoich wspomnieniach, na kilka miesięcy przed sierpniowymi wypadkami Bogdan Borusewicz zalecił mu wycofanie się na jakiś okres z jawnej działalności. Po jakimś czasie nieaktywności, na krótko przed strajkiem, ten sam Borusewicz polecił Kołodziejowi złożenie podania o zatrudnienie się w Stoczni Gdyńskiej(?!). (...)

Andrzej Kołodziej zalecenie wykonał i... do Stoczni Gdyńskiej został przyjęty na dzień przed wybuchem strajku w Gdańsku(!) (...) Mówiąc o próbie motywowania trzech młodych stoczniowców do zorganizowania strajku stwierdza: „Powiedziałem, że jeśli nie obronimy Walenty-nowicz, oni będą następni. Władza podjęła decyzję, że będzie wyrzucała (!) i za nich też się zabierze”.

(...) W czwartek, 14 sierpnia wczesnym rankiem, Bogdan Borusewicz wszedł wraz z naszym kolegą, znanym działaczem WZZW Tomkiem Wojdakowskim do kolejki elektrycznej na przystanku Sopot Wyścigi. Wsiadł trzy przystanki dalej i według własnej relacji, będąc zmęczony nieprzespaną nocą pojechał do mieszkania w Gdańsku-Wrzeszczu, gdzie od dziesięciu dni miał się ukrywać. Zmęczony położył się spać.

W międzyczasie Stocznia Gdańska stanęła i rozpoczął się strajk. Alina Pieńkowska zawiadomiła o strajku Kuronia, a ten Radio Wolna Europa. Kiedy Bogdan Borusewicz się obudził, usłyszeć miał w radio, że jego plan się powiódł i strajk objął cały zakład. Taka jest znana i przyjęta wersja tamtych chwil. (...) Tak więc pomiędzy wybuchem strajku i jego pojawieniem w Gdyni minął cały czwartek, cała noc i cały piątkowy dzień (!).

Jak więc to rozumieć? Borusewicz w pojedynkę, w całkowitej konspiracji doprowadza do strajku, za który, jak zawsze twierdził, brał całą odpowiedzialność, a potem kiedy do niego dochodzi, on sam, jedyny i wyłączny organizator, nie pojawia się w jego pobliżu przez całe dwa dni?

Uczniowie czarnoksiężnika

Pytanie o to, czy sierpniowe strajki były prowokacją mającą na celu odsunięcie Edwarda Gierka od władzy, czy też autentycznym zrywem robotniczym, pojawiło się na samym początku. Do dziś sprawa nie została wyjaśniona do końca.

Andrzej Gwiazda, jeden z przywódców sierpniowego strajku w Stoczni Gdańskiej, podobnie jak Edward Gierek, nie ma wątpliwości, że cały bunt robotników w sierpniu 1989 r. został sprowokowany przez tajne służby. Na posiedzeniu sejmowej Komisji Praw Człowieka i Praworządności w dniu 15 marca 2007 r., na którym wyjaśniał swoje poglądy jako kandydat na dyrektora Instytutu Pamięci Narodowej, tak to wyjaśniał:

Są fakty, które świadczą o spisku, i te fakty są na tyle silne, że jak dotychczas przez osiemnaście lat nie dało ich się zakrzyczeć wielkim wrzaskiem propagandowym. I trzeba to sprawdzić. (...) Trudno nie być wyznawcą teorii spiskowej po doświadczeniu "Solidarności", (...) kiedy wiadomo - co do tego nie mam żadnych wątpliwości, bo to sprawdziłem - że strajk sierpniowy był prowokowany, no i że wyszło im to, że o mało nie pozbyli się funkcji i stał się... A więc jakby wracamy tu do motywu ucznia czarnoksiężnika.

Wywołali społeczeństwo na scenę, tak jak kilka razy za komuny już im się zdarzało, i tym razem społeczeństwo powiedziało: a my nie zejdziemy. I pozostali na scenie, i przejęli częściowo rolę reżysera. (...) w 1979 r., przed rocznicą Grudnia, w naszym mieszkaniu, że tak powiem na bezczelnego zrobiliśmy spotkanie na około czterdzieści osób; wszyscy siedzieli sobie na podłodze, na butach.

W zasadzie w stu procentach byli to robotnicy. I tematem dyskusji było to, czy strajk w 1970 r. był sprowokowany. Po dwóch godzinach dyskusji zebrani doszli do wniosku, że jest to nieważne, bo jeżeli ludzie nie chcą strajkować, to żaden prowokator ich do tego nie skłoni, jeśli natomiast są gotowi do strajku, to jest obojętne, czy to „stajemy!” krzyknie kolega, czy prowokator. I wy-daje mi się, że po prostu tak było.

Niezależnie od tego, na ile było tak, że "Solidarność" powstawała w spisku i jakie spiski kotłowały

wokatorzy musieli powtarzać nasze tezy, bo gdyby próbowali lansować inne, to ich żywot w gremiach kierowniczych byłby dwudniowy.

[illegible]

1/ edycja, że "Agencja" agentów i promotorów" jest tradycja stalinska, sięgająca czasów radzieckich agentów "indowych" takich jak Jagoda, Wyrostki i Jelow, skazujących na rozstrzelanie nawet takich ludzi jak "agentami i promotorami". Agentów pojmiał też rozstrzelano na "braz czołwiodu wobec promotorów i szpiegów trockistowsko-bucharinowskich". Tradycję tę dopełnia działanie Kominternu po II wojnie światowej na terenie "de-terracji ludowej". Na Węgrzech mł.¹⁴ Laslo Rajka i jego koleżki w "Agencji" działali. W Czechosłowacji pogromiono ich również agentów i promotorów, którzy walczyli z ruchem słowackim na czele. Węgry tropiono i likwidowano "promotorów i agentów". Pórnici

W OBRONIE SB I JEJ WSPÓŁPRACOWNIKÓW

7. Jeśli terror wywołuje jeszcze większy bunt, władza rzuca masom na pożarcie szefów policji tajnej i najgłupszych, czyli najżarliwszych funkcjonariuszy wyróżniających się w terrorze, władza „odcina się” od praktyk naruszających na przykład „leninowskie normy sprawiedliwości społecznej” (...) kompromituje i demaskuje swoich wczorajszych strażników jako „ukrytych szkodników”.

WALKA O KIEŁBASĘ CZY O WOLNOŚĆ?

Równie zasadnicze było pytanie, czy robotnicy strajkowali – jak się mówiło – „o kiełbasę” czy o wolność, o wyższe płace czy o poszanowanie swojej godności? Czy ich protest miał wyłącznie charakter buntu o podłożu ekonomicznym, a czapę ideologiczno-narodową nałożyli mu później intelektualiści, przede wszystkim doradcy przybyli do stoczni, czy też – od początku był to zryw o charakterze narodowo-wyzwoleńczym, kolejnym w historii Polski?

Strajk w Stoczni Gdańskiej, wtedy Stoczni im. Włodzimierza Lenina, spowodowało wyrzucenie z pracy Anny Walentynowicz. Pierwszego dnia robotnicy na zorganizowanym naprędce wiecu zażądali:

- przywrócenia do pracy Anny Walentynowicz i Lecha Wałęsy,
- postawienia pomnika ofiar Grudnia 70,
- zagwarantowania bezpieczeństwa strajkującym,
- podwyżki płac o 2 tysiące złotych oraz
- dodatku drożyznianego i rodzinnego odpowiadających wysokości zasiłków funkcjonariuszy MO i SB.

Nie wysuwali żadnych postulatów o charakterze politycznym, jeśli za takie nie uznawać tego ostatniego, aby zrównać dodatek drożyzniany i rodzinny z zasiłkami funkcjonariuszy MO i SB. Postulat powołania wolnych, niezależnych od systemu związków zawodowych pojawił się później za sprawą Andrzeja Gwiazdy i Krzysztofa Wyszowskiego, którzy w kwietniu 1978 r. powołali Wolny Związek Zawodowy Wybrzeża. (Pierwszy wolny związek zawodowy powstał na Górnym Śląsku w lutym 1978 r. z inicjatywy Kazimierza Świtonia. Nosił nazwę: Wolne Związki Zawodowe Górnego Śląska!)

W sformułowanych przez Międzyzakładowy Komitet Strajkowy 21 postulatach żądanie powołania wolnych związków zawodowych figuruje już na pierwszym miejscu, jednak, aczkolwiek ma ono charakter polityczny, nie miało jeszcze wydźwięku narodowo-wyzwoleńczego. Robotnicy walczyli o podwyżki i swoje prawa. Hasła narodowe, hasła wolności i zniesienia sowieckiej okupacji, pojawiły się później.

Grunt ideowy pod solidarnościową rewolucję przygotował Komitet Obrony Robotników wspierany przez zachodnie rozgłoszenie i zachodnie wywiady. Hasła narodowo-wyzwoleńcze, podnoszone przez działaczy ROPCiO i potem, zdecydowanie,

przez Konfederację Polski Niepodległej, zostały narzucone strajkującym robotnikom później. Tworzyły jakby nakładkę na oddolnym masowym ruchu, jego ideową czapę. Z czasem narodowo-wyzwoleńcze hasła przenikały do serc i umysłów młodych Polaków, aż je przetrawiły do głębi.

W trakcie strajków budziło się i narastało u robotników przytłumione poczucie godności. Intelektualiści pomogli je potem wyartykułować.

Ideologiczny grunt był przygotowany

Komitet Obrony Robotników (KOR) powstał we wrześniu 1976 r. jako struktura wolontariacka, niosąca pomoc osobom represjonowanym za manifestacje przeciwko podwyżkom cen żywności. Manifestowali wtedy i strajkowali robotnicy zakładów zbrojeniowych w Radomiu i fabryki traktorów Ursus pod Warszawą, a także trochę robotnicy w Płocku. Pomoc polegała na zbiórce pieniędzy dla osób pozbawionych pracy i członków ich rodzin oraz na koordynowaniu pomocy adwokackiej i lekarskiej dla osób represjonowanych.

Od samego powstania KOR był mocno wspierany przez zachodnie rozgłoszenie. Jako pierwsza niezależna antysystemowa organizacja w krótkim czasie zdobył serca i umysły idealistycznie nastawionych młodych Polaków.

My nie tylko poczuwaliśmy się do solidarności z KOR-em, my całkowicie przejmowaliśmy KOR-owskie ideały i nawet – KOR-owskie pojęcia i sposób wartościowania. Działacze KOR-u, intelektualiści, wpuszczali w intelektualny obieg takie kwestie jak wspólnota ideowa inteligencji i robotników. Rzekomo w 1968 r. nie udało się obalić systemu, ponieważ „robotnicy stali z boku”. W czasie masakry robotników na Wybrzeżu w 1970 r. z kolei „intelektualiści stali z boku”. Było to dość sztuczne problematyzowanie zjawisk społecznych i politycznych, bo ani robotnicy nie oglądali się w swojej walce na inteligentów, a wręcz przeciwnie – sytuowali ich w jednej grupie z wyzyskującą ich kadrą kierowniczą, ani inteligenci nie pałali sympatią do „roboli”, pozwalało to jednak ukryć podstawowe różnice interesów dwóch klas społecznych dla celów walki politycznej.

Pamiętam jak w czasie stanu wojennego na jeden z naszych obozów duszpasterstwa Akademickiego przyjechał kolega ks. H. Hlubka ks. prof. Helmut Juros i sprowokował dyskusję właśnie na temat KOR-u. Mówił o tym powściągliwie, ale krytycznie. Roznieśliśmy go niemal na strzępy. Wszyscy, jak jeden mąż, jedna dziewczyna, utożsamialiśmy się z walką korowców w obronie robotników.

Myślę, że ks. prof. H. Juros przyjechał sondować nasze poglądy. W czasie stanu wojennego w kręgach wojskowej władzy pojawił się pomysł powołania partii katolickiej, tzn. partii utworzonej przez działaczy katolickich. Ks. prof. H. Juros, który działał w Ośrodku Dokumentacji i Studiów Społecznych, mógł być emisariuszem kręgów władzy, podnoszących te idee. Niestety, nie wypadło, idee korowskie zawładnęły naszymi umysłami. Dzisiaj myślę, że nie były to złe idee. Szkoda. My, katolicy, moglibyśmy przystąpić do transformacji ustrojowej lepiej przygotowani.

Korowcy nie chcieli przyjąć do siebie Kazimierza Świtonia, założyciela Wolnych Związków Zawodowych Górnego Śląska. Nie mam wątpliwości, że obawiali się jego uczciwości i nie-zależnego charakteru. K. Świton zaangażował się potem w działalność powołanego w marcu 1977 r. Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela (ROPCiO). Ruch odwoływał się do podpisanego przez władze PRL w Helsinkach we wrześniu 1975 r. Aktu Końcowego Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie oraz do ogłoszonej jeszcze w czasach Rewolucji Francuskiej w 1789 r. Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela, ale była to raczej etykieta celem zmylenia przeciwników. W gruncie rzeczy ROPCiO był radykalnym ruchem niepodległościowym. Wśród jego założycieli znajdujemy m.in. takie postacie jak Andrzej Czuma i Leszek Moczulski.

Najbardziej radykalnym ruchem niepodległościowym była Konfederacja Polski Niepodległej (KPN), założona we wrześniu 1979 r. przez m.in. założyciela ROPCiO Leszka Moczulskiego. KPN była pierwszą po wojnie partią polityczną utworzoną bez zgody komunistycznej władzy. L. Moczulski mówił i pisał o bliskim upadku komunizmu, o nieuniknionym rozpadzie imperium i nawoływał, aby, zamiast analizować warunki akceptacji niezależnych ruchów politycznych przez władców z Kremla, przygotowywać się do przejęcia władzy, bo nadchodzi czas, kiedy władza będzie leżała na ulicy. Wydawało się to tak nieprawdopodobne, że nie mogłem w to uwierzyć, a jednak jemu historia przyznała rację. Radykalne hasła niepodległościowe i wezwania do czynu znalazły odzew w kręgach robotniczych, zwłaszcza wśród młodych robotników.

Wychodziła masa wydawnictw „bezdebitowych”, obywateli się bez zezwolenia i ingerencji cenzury. Zachodnie rozgłoszenie „Wolna Europa” i „Głos Ameryki” nagłaśniały każdy najdrobniejszy przejaw niezadowolenia społecznego. Literatura opozycyjna podmywała marksistowskie dogmaty o wyższości „społecznej własności środków

produkcji” i nieuchronności przejścia do „ustroju sprawiedliwości społecznej”.

Wydaje się jednak, że decydujący cios zadała systemowi tania, wulgarna filozofia życia, sprowadzająca się do porównań materialnego poziomu życia na Zachodzie i w kraju. Tam półki w sklepach były pełne, u nas – puste. Mało kto zastanawiał się, z czego to wynika. Ponieważ ekipa Edwarda Gierka budowała na Zachodzie swój image jako władzy otwartej, tolerancyjnej, nie wypadało przeciwników Systemu tak po prostu pozamykać. Nie byłoby to zresztą w stylu E. Gierka.

KOR i ROPCiO posiadały swoich informatorów we wszystkich zakątkach kraju. Jak tylko coś się działo, informatorzy dzwonili do Jacka Kuronia, u którego non-stop ktoś dyżurował, a ten ktoś natychmiast przekazywał informacje do zachodnich rozgłośni i redakcji gazet. Dlaczego SB nie przerwała tego kanału przekazu informacji, do dziś pozostaje zagadką. Tajne służby chciały, żeby te informacje przedostawały się na Zachód i były nagłaśniane. I wcale nie chodziło o wspieranie opozycji antysystemowej, raczej przeciwnie – chodziło o wysadzenie nadmiernie liberalnej, zdaniem niektórych grup w partii, ekipy Edwarda Gierka.

Konflikt pokoleń

Moim zdaniem, socjologowie zajmujący się Ruchem Solidarności, zapoznają najistotniejszy moment, jakim był konflikt pokoleń, albo raczej spetryfikowanie systemu. Jedna grupa działaczy partyjnych, ujęta w tzw. nomenklaturze, czyli spisie osób wybranych do kierowania krajem, rządziła już kilkadziesiąt lat, zmieniając tylko stanowiska.

Sekretarz partii jak nie sprawdził się na swoim stanowisku „przesuwany był” do kierowania jakimś zakładem pracy jako dyrektor, z kolei dyrektor nie popadał w polityczny niebyt, tylko „przesuwany był” na jakieś stanowisko na przykład w administracji państwowej. Każdy z nich budował swoją pozycję zatrudniając wokół siebie pociotków i znajomych, ci zaś – swoich pociotków i swoich znajomych.

Nepotyzm, stanowiący jeden z elementów gry o władzę, doprowadził w końcu do prawie kompletnej stratyfikacji społecznej i petryfikacji Systemu. System „zatkał się”. Młodzi ludzie nie mieli szans na karierę, gdyż wszystkie stanowiska były już zajęte, a tworzenie nowych, tylko dla zatrudnienia znajomków, zaszło już poza granice absurdu.

Edward Gierek rozwiązywał ten problem, prowadząc szeroko zakrojoną akcję industrializacji



24 września 1980 r. po złożeniu w Sądzie Wojewódzkim w Warszawie wniosku o rejestrację Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność” z siedzibą w Gdańsku Na czele pochodu główni aktorzy tamtych wydarzeń: Kazimierz Świtoń (od prawej), Lech Wałęsa, Marian Jurczyk (szef regionu zachodniopomorskiego) oraz Tadeusz Mazowiecki, pierwszy niekomunistyczny premier po upadku Systemu. zdj. Marek Broniarek/PAP / CAF

i uprzemysłowienia kraju, budując setki nowych zakładów pracy, nowych dróg linii kolejowych itd. Dopóki trwał ten proces, System funkcjonował, ale kiedy pojawiły się problemy ze spłatą długów, zaciągniętych na nowe fabryki i musiano wstrzymać budowy u młodych ludzi zaczął narastać bunt.

Taktyka wobec młodych radykałów

Ciekawą informację, ukazującą radykalizację postaw młodych pracowników, znajdujemy w relacji Jacka Jagielki, organizatora, wspólnie z Andrzejem Rozpłochowskim, strajku w Hucie Katowice, we wrześniu 1980 r. Ta relacja obrazuje również metody obłaskawiania młodych radykałów, mogących stanąć na czele buntów:

(...) wezwano mnie na spotkanie z dyrekcją działu transportu HK, gdzie w obecności dyrektora, jego zastępców, wyższych kierowników i władz partyjnych na hucie uzasadniałem moją odmowę przyjęcia pracy na tym stanowisku. (...) Po tym ogólnym spotkaniu dyrektor transportu HK

poprosił mnie do swojego biura i tutaj zaproponował mi kluczyki do mieszkania, bo ktoś z listy oczekujących, który miał je dostać, z tego mieszkania zrezygnował. Powiedziałem, że jestem już na czele listy i niebawem i tak dostanę mieszkanie i odmówiłem ich przyjęcia. Zapytałem jednak dlaczego wyszedł do mnie z taką propozycją. Odpowiedział, że chce mi pomóc, bo pewnie niedługo on sam będzie potrzebował mojej pomocy. Było to na jakieś dwa tygodnie przed strajkiem. Czyżby już wtedy przewidywał, że będę między innymi tym strajkiem kierował ?...

Wiele czynników w późniejszych dniach wskazywało na to, że dyrekcja przygotowywała się do mającego nastąpić strajku, a nawet go inicjowała. Wielu z nich to się opłacało, naczelny dyrektor Huty Katowice Zbigniew Szałajda na przykład został ministrem hutnictwa, a później nawet wicepremierem.

I jeszcze jedno spostrzeżenie. Na dwa tygodnie przed strajkiem, który rozpoczął się 29 sierpnia 1980 r. (dwa tygodnie po wybuchu strajków na Wybrzeżu, które rozpoczęły się 14 sierpnia 1980 r.

w Stoczni Gdańskiej im. Lenina), dyrektor transportu w największej polskiej hucie już nie miał wątpliwości, że robotnicy wygrają. Skąd to wiedział? Nie mógł przecież wnioskować o tym z przebiegu strajków na Wybrzeżu, gdyż sytuacja wciąż była niepewna. Musiał wiedzieć coś więcej, coś, co nie było znane szerszej opinii publicznej.

Byłem młody i ambitny

Co to był za system, widzę dobrze dopiero teraz, z perspektywy kilkudziesięciu lat. Ks. prof. Józef Tischner zwykł był często powtarzać zdanie Georga W. F. Hegla „Sowa Minerwy wylatuje o zmierzchu”, co tłumaczy się następująco: mądrość i zrozumienie wydarzeń przychodzą dopiero po ich zejściu, kiedy nie można już nic zmienić. Fakt, że obecny system nie jest od tamtego

kacja oraz bezpłatne leczenie” nie zmienia jego moralnej oceny. Ten system był zły.

W żywiołowym ruchu solidarnościowym widziałem swoją szansę na awans społeczny. Miałem jeden niepodważalny atut – jak mi się wówczas wydawało – czystą kartę, a mianowicie – w żaden sposób nie byłem związany z reżimem. I drugi mniejszy – szerszą, dzięki kilkuletniej pracy u dominikanów, wiedzę społeczno-polityczną. W systemie panującym w PRL-u nie miałem szans. Każdy awans uwarunkowany był przynależnością partyjną. Jeśli nie do PZPR, to przynajmniej do Stronnictwa Demokratycznego (SD) lub Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego (ZSL).

W ostateczności można było oprzeć się o kolaborujące z komunistami stowarzyszenie Bolesława Piaseckiego „PAX”.



Kolejny obraz charakterystyczny dla Systemu – kolejki. Wszystkiego brakowało. Regularnym, corocznym tematem gazetowych tekstów były braki papieru toaletowego i w okresie żniwnym – sznura do snopowiązałek. Dzisiaj wydaje się to niewiarygodne, ale nie umiano takich problemów rozwiązać raz na zawsze. zdj. <https://www.sbc.org.pl/dlibra/results?q=Trybuna+Robotnicza&action=SimpleSearchAction&type=-6&p=0>

wiele lepszy, że kiedyś były „bezpłatne przedszkola, szkoły, kolonie letnie i obozy; polski przemysł i polski majątek narodowy, polskie lasy, i huty, i stocznie, polska armia i znakomita edu-

Wraz z powstaniem niezależnego związku zawodowego otwierała się dla mnie szansa. We wrześniu 1980 r. pociąg już pędził. I nabierał tempa.

BAŁEM SIĘ

Rok osiemdziesiąty był czasem niezwykłego ożywienia intelektualnego i duchowego. Ludzie żyli jak w gorączce. Strajki w stocznich pociągnęły za sobą strajki studenckie na uczelniach. Powstało Niezależne Zrzeszenie Studentów (NZS), organizacja konkurencyjna wobec SZSP (Socjalistyczny Związek Studentów Polskich), choć ta też nie była zbyt pokorna wobec władz. Studenci organizowali masę spotkań z ludźmi oficjalnie wyłączonymi z życia publicznego, aby dyskutować z nimi na tematy zakazane.

Co wtedy mówił Adam Michnik

W pamięć wbiły mi się zwłaszcza dwa spotkania z Adamem Michnikiem. Na pierwszym, w nowej sali wykładowej wydziału górniczego, był jeśli się nie mylę z Jackiem Kuroniem. Sala pełna po brzegi. Ci, co nie dostali się do wewnątrz, mogli wysłuchać prelekcji przez głośniki w salach sąsiednich, w holu i na korytarzach.

Tematem spotkania był zakres interesów Związku Sowieckiego w Europie Wschodniej, czyli – inaczej mówiąc – określenie, na jak duże ustępstwa wobec żądań narodów Europy Wschodniej są gotowi pójść przywódcy radzieccy. Cytował A. Michnik wspomnienia jednego z członków rządu Dubczeka o spotkaniu na Kremlu z przywódcami radzieckimi po inwazji w 1968 r. Przywieziono ich tam nie pytając o zgodę.

Leonid Breżniew dał tam najpełniejszą wykładnię swojej doktryny polityczno-militarnej. Powiedział do milczących Czechów, że kraje, które żołnierz radziecki wyzwalał, przelewając własną krew, nigdy nie przejdą do obozu wroga. On do tego nie dopuści.

Zdaniem A. Michnika oznaczało to, że Związek Radziecki uważa za strefę swoich interesów wszystkie te kraje, po których w czasie wojny stąpała noga radzieckiego żołnierza. Nie należało się ludzi, że dopuści do pełnej ich suwerenności, a zwłaszcza do wystąpienia z Układu Warszawskiego. Pozostaje nam – mówił – tylko rozważać zakres możliwej liberalizacji politycznej.

Zdaniem Michnika, realne było dogadanie się opozycji z przywódcami radzieckimi ponad głowami przywódców partyjnych w swoich krajach, w Polsce, Czechosłowacji i na Węgrzech. Po latach wielokrotnie zarzucano mu jako zdradę, że kontaktował się z przywódcami radzieckimi, że m.in. brał udział w tzw. Klubie Władajskim. On tego nigdy nie ukrywał, otwarcie głosił, że to jest

droga do poszerzenia zakresu naszej wewnątrz-krajowej wolności.

Utkwiło mi w pamięci osobiste wyznanie Adama Michnika o radzie, którą dał mu jego mentor Antoni Słonimski, wybitny poeta, skamandryta, nieżyjący już wtedy. „Kiedy nie wiesz, co powiedzieć, na wszelki wypadek mów prawdę”. Dało mi to do myślenia. Z tej rady wynikało, że na co dzień nie kierował się prawdą, a tylko w wypadkach, kiedy nie posiadał pełnej wiedzy o sytuacji. To była obca mi filozofia życia. Nie chciałem w to uwierzyć. Atmosfera spotkania była tak szczera, że nie dopuszczałem nawet myśli o ukrytych intencjach prelegenta, o tym, że mogłem być, że wszyscy mogliśmy być manipulowani. Przeciwnie, to było jedno z tych spotkań, które przemieniają człowieka. Wyzwalają go z lęku.

To samo słowo w różnych sytuacjach ma różną moc oddziaływania. Są sytuacje, że oddziałuje jak miecz wyzwalający z więzów. Nie ważne było, co Adam Michnik wtedy mówił, ale jak mówił, to, że poruszał tematy, które inni bali się poruszać. Ta moc słowa to kwestia odwagi nazwania rzeczy po imieniu, krótko mówiąc – odwagi. A. Michnika poprzedzała sława najbardziej zniechodzonego przez władze działacza demokratycznej opozycji.

Słowa wyzwalały

Tak więc cokolwiek bym dzisiaj o Michniku nie sądził, faktem jest, że jego słowa wówczas miały siłę wyzwalającą. Drugiego spotkania z nim, było to w jakiejś uczelni w Katowicach, już tak nie przeżyłem. Mówił to samo. Formułował kanon zasad polityki ZSRR wobec krajów podporządkowanych, który to kanon opozycja powinna uwzględnić w swoich działaniach. Było oczywiste, że wszelkie działania, zmierzające do demokratyzacji od tego kanonu powinny wychodzić. Do dziś tak uważam. Chyba już nie dowiemy się, czy wypowiedzi Michnika nie studziły zapędów radzieckich generałów do eliminowania opozycji za pomocą metod siłowych.

Podobne uczucie wyzwolenia miałem już kilka lat wcześniej na Jasnej Górze, kiedy na zakończenie Pielgrzymki Warszawskiej kazanie do nas głosił kard. Stefan Wyszyński. Mówił jak człowiek wolny, nie obawiający się konsekwencji swoich słów, jak wytrawny polityk o politycznych dyletantach. Brzmiało to mniej więcej tak: Myśmy ich (tzn. władze) wielokrotnie ostrzegali, radziliśmy im. Gdyby nas posłuchali, nie doszłoby do tego. Już nie pamiętam, o czym mówił, ale pamiętam ton tego kazania, wolny od lęku.

Takie słowa wyzwalały z lęku, głęboko osadzonego w duszy człowieka.



Ks. Stanisław Małkowski całe życie angażował się w akcje opozycji demokratycznej. Na zdjęciu – podczas głódówki członków Komitetu Obrony Robotników w intencji czeskich i polskich więźniów politycznych w kościele pw. Św. Krzyża w 1979 r. W pierwszym rzędzie od lewej, w pozycji horyzontalnej, Antoni Macierewicz i Adam Michnik. Zdjęcie krąży w Internecie, nie udało się zidentyfikować autora.

Lęk tkwił w nas wtedy tak głęboko, że jako dziennikarz, pisząc tekst, mimo woli, podświadomie, cały czas brałem pod uwagę, czy to, co piszę mieści się w obowiązującym kanonie myślenia i wartościowania. Długo nie potrafiłem się z tego wyzwolić.

Dopiero później, po latach odkryłem, że można pisać tekst w pierwszej wersji tylko dla siebie, do szuflady, a do druku przesłać wersję uładzoną. W ten sposób mam możliwość ocenić zakres dokonanego kompromisu. Jeśli kompromis miałby pójść za daleko, zawsze mogę tekst zostawić w szufladzie. Ale mam go taki jak chciałem! Myśl mi nie uciekła.

I jeszcze jedno podobne przeżycie wyzwolenia z lęku pamiętam. Było to na jednym z seminariów, organizowanych przez redakcję „Politechnika”, a więc w czasach studenckich, w jednej z miejscowości podwarszawskich, chyba w Podkowie Leśnej. Na spotkaniu z przedstawicielem cenzury, jakimś dyrektorem Marek Hołyński postawił pytanie w sposób następujący:

– *Czy, jeśli tow. Edward Gierek mówi, że o sprawach gospodarczych będzie można pisać otwarcie, a wy cenzurujecie mój tekst, to oznacza to, że wy sabotujecie jego polecenie, czy też, że tow. Edward Gierek kłamie?*

Nie pamiętam co odpowiedział cenzor. To było nieistotne. Liczyło się, że ktoś postawił pytanie, które nazywało fragment ówczesnej rzeczywistości po imieniu. Pytanie było nieuczciwe, bo stawiało pytanego przed nieuzasadnioną logicznie alternatywą, ale nie chodziło o odpowiedź, chodziło o postawienie pytania.

Marek Hołyński był członkiem grupy komandosów. Tak nazywano studentów, którzy po 1968 roku prowadzili działalność opozycyjną chodząc na oficjalne zebrania i zadając publicznie niewygodne pytania. Publikować nieocenzurowane teksty – nie wolno było, zakładać niezależne organizacje – nie wolno było, wyrażać swoje poglądy publicznie – nie wolno było, ale – pytać? Pytania były nawet wskazane.

Dzisiaj już trudno opisać ówczesny stan duchowy społeczeństwa. Już nie zamykano za byle co do więzienia, już można było bez obawy mówić głośno, co się myśli, już działał od kilku lat Komitet Obrony Robotników, a jednak ludzie bali się. Baliśmy się nie uwięzienia, nie bicia, ale zablokowania awansu w pracy, nieprzyznania premii, cofnięcia przydziału mieszkania, generalnie – szykan na całą resztę życia. Bali się tego zwłaszcza ci, którzy mieli na utrzymaniu rodziny. Ja nie miałem, a i tak potrzebowałem czasu, aby dojrzeć do zaangażowania się w ruch oporu.

Ksiądz uczył mnie odwagi

Najwięcej do przełamania moich lęków zasłużył się ks. Stanisław Małkowski. Poznałem go w Poznaniu, gdzie w latach 1977–1979 pracowałem w redakcji dominikańskiego miesięcznika „W drodze”. Wtedy to wstąpił on do nowicjatu w tamtejszym klasztorze dominikanów. Redakcja mieściła się w zabudowaniach klasztornych. Kiedyś zaproponował mi odwiedzenie słynnego wówczas poety-opozycjonisty Stanisława Barańczaka, aktywisty KOR, wykładowcy dopiero co z hukiem usuniętego z Uniwersytetu Poznańskiego. Nie mogłem już usprawiedliwiać się sam przed sobą, przed swoim sumieniem. Bałem się, ale poszedłem. Z rozmowy pamiętam tylko, że na pytanie, czy nie należałoby systemu rozsądzać od środka w ten sposób, żeby uczciwi ludzie wpisywali się do partii i próbowali uzyskiwać wpływ na decyzje, poeta odparł:

– Próbowalem, kilka lat byłem członkiem partii, ale to nic nie daje, to jest taki system, że jego nie da się naprawić od środka.

Nie pamiętam, czy St. Barańczaka wyrzucono z partii, czy sam złożył legitymację.

Ze Staszkiem Małkowskim (sam zaproponował mi przejście na „ty”) poszedłem później na spotkanie z Jackiem Kuroniem. Miało ono miejsce w zwyczajnym mieszkaniu w typowym gierkow-skim bloku z wielkiej płyty. Przed wejściem do klatki stał szpaler (po obu stronach) milicjantów, legitymujących i zapisujących wszystkich wchodzących. Docinali nam coś tam. Nogi miałem z waty. Koniec ze mną – myślałem – teraz to już jestem skończony, trzeba się pożegnać z nadziejami na dobrą pracę, lepsze zarobki, awanse, przydziałem na mieszkanie, paszportem, nie mówiąc już o ostracyzmie środowiskowym, o odwróceniu się ode mnie najbliższych.

Z wykładu Jacka Kuronia pamiętam tylko ładne dziewczyny i facetów w wojskowych kurtkach i wojskowych butach. Taka była wtedy moda. Gnietliśmy się w mieszkaniu pełnym dymu z pa-

pierosów. No i pamiętam, że J. Kuroń na wszystko miał gotową odpowiedź.

Trzecia wyprawa z ks. Staszkiem skończyła się na kilkugodzinnym nocnym spacerze w jakimś parku. Gdzieś w oknie miał pojawić się sygnał, że można wejść, że jest bezpiecznie. Chyba się nie pojawił. Ks. Staszka niedługo później usunęli z zakonu dominikanów.

Miał bardzo niezależną naturę, nie umiejącą się podporządkować i zrezygnować z działalności politycznej. Opowiadał, że nie chcieli mu dać święceń kapłańskich, mama mu je wyprosiła u ks. kard. Stefana Wyszyńskiego. Zaraz po święceniach zaangażował się w duszpasterstwo środowisk grypserskich, miał wielu przyjaciół w środowiskach warszawskich lumpów. Kilkadziesiąt lat później jeden z takich, którym pomagał wyjść z dołka, pobił go.

Z tych spotkań, na które mnie zaciągnął, pozostała mi świadomość, że w gruncie rzeczy jestem tchórzem i ogromny dla niego szacunek. On się nie bał. Miał i ma trudny charakter, nie potrafi iść na kompromisy, kiedy w grę wchodzi przekonania, ale jest odważny.

Tak odważnego człowieka nie spotkałem nigdy wcześniej ani później.

Uważam, że źle zrobił, angażując się w awanturę znaną pod hasłem „Obrona krzyża” na Krakowskim Przedmieściu, ale mojego szacunku dla niego to nie umniejsza. Nie potrafię przestać go szanować, nawet widząc jego ewidentne błędy. Jego nieposłuszeństwo jest tylko inną twarzą jego bezkompromisowości.

W Związku Radzieckim wierności cerkwi, a właściwie to Bogu, dochowała nieliczna grupa popów i starszych niepiśmiennych kobiet o takiej właśnie jak ks. Stanisław strukturze psychicznej – nie potrafiących iść na kompromisy. Kiedy nadeszła pierestrojka, one znowu, te starsze kobiety razem ze swoimi popami, znalazły się w opozycji do oficjalnych struktur kościelnych.

Miały zbyt mocny kręgosłup moralny, nie były w stanie pójść na kompromisy nawet w drobnych sprawach, nawet dotyczących ubioru.

Był także wśród nas, na Śląsku, człowiek niezłomny, uczciwy, a przy tym wykazujący się genialną intuicją polityczną – Kazimierz Świtoń, założyciel Wolnych Związków Zawodowych. Człowiek, który nie był „trzcina, chwiejącą się na wietrze”, wzór do naśladowania dla młodych. Arystokrata ducha, który nigdy się nie ugiął, a przy tym człowiek niezwyklej intuicji politycznej. W lot dostrzegał zagrożenie dla porządku moralnego. To, że nie ma on jeszcze na Śląsku pomnika, świadczy o naszym znikczemieniu.

Urodziłem się 4 sierpnia 1931 roku w Katowicach w rodzinie robotniczej. W roku 1936 zmarła mi matka i zostałem z ojcem, który mnie samotnie wychowywał. W roku 1939 ojciec mój ożenił się ponownie. Mój ojciec przed wojną będąc bezrobotnym zajmował się przemycałnictwem przez granicę do Rosji literatury antykomunistycznej. Wychowywany byłem w rodzinie patriotycznej, w duchu wielkiej miłości do Boga i Narodu Polskiego.

Od lat dziecińczy marzyłem o karierze wojskowej, ale nie chciałem być poddanym reżimowi sowieckiemu i czekałem na zmianę sytuacji politycznej. Na lekcjach geografii w szkole podstawowej i zawodowej pragnąłem zwiedzić Mazury, ale nie stać nas było finansowo na wyjazdy wakacyjne. Dopiero, kiedy dostałem bilet do wojska spełniły się moje marzenia i w 1951 roku znalazłem się w jednostce wojskowej w Węgorzewie. W 1953 roku ożeniłem się z rodowitą Mazurką Dorotą Janeczko, która urodziła mi czterech synów i dwie córki. Obecnie mamy 25 wnucząt i dwóch prawnuków.

Po powrocie z rodziną do Katowic zatrudniłem się w charakterze elektryka w Fabryce Superfosfatu w Katowicach i zapisałem na roczny kurs radiowo-telewizyjny, który zakończyłem w 1960 roku i rozpocząłem pracę w Zakładach Usług Radiowo-Telewizyjnych w Siemianowicach.

Chodząc po mieszkaniach naprawiać telewizory zacząłem dyskutować z moimi klientami na tematy społeczne i polityczne. Z tych dyskusji wynikało, że ogromna rzesza Polaków jest niezadowolona z sytuacji społeczno-politycznej w kraju i chciałaby ją zmienić tylko nie wie jak to zrobić. Po kilku tygodniach doszedłem do wniosku, że należy zadawać moim klientom następujące pytanie: Czy należy organizować partię polityczną, czy [raczej] utworzyć wolne niezależne od PZPR-u Związki Zawodowe. Dziewięćdziesiąt procent moich dyskutantów wypowiedziało się za organizowaniem Wolnych Związków Zawodowych.

Niedługo czekałem, aby rozpocząć realizację powołania niezależnych od PZPR-u Wolnych Związków Zawodowych. Okazją do tego uważałem, były protesty robotników Ursusa i Radomia w 1976 roku.

Kiedy w maju 1977 roku usłyszałem z radia "Wolna Europa", że KOR zorganizował głódówkę w Kościele św. Marcina w Warszawie w obronie aresztowanych robotników i intelektualistów, postanowiłem się do nich przyłączyć i pokazać, że również na Śląsku są Polacy gotowi bronić rodaków aresztowanych za walkę w obronie swojej godności. Moim uczestnictwem w głódówce przeraził się bardzo ówczesny sekretarz wojewódzki PZPR-u Zdzisław Grudzień, ponieważ był on przekonany, że „warchoły” rozrabiają tylko w Warszawie, zaś w jego królestwie śląskim jest spokój.

W trakcie głódówki rozmawiałem z członkami KOR-u nie znając ich pochodzenia - chciałem przystąpić do tej organizacji, ale mi odmówiono, tłumacząc, że KOR nie przyjmuje do swojego grona robotników. Tą odpowiedzią byłem zaskoczony, bo jak to jest, że ludzie, którzy zorganizowali Komitet Obrony Robotników, nie przyjmują do swojego grona robotników? Zaczęło mi coś w głowie świtać, bo nie jestem w ciemni bity, mam swój rozum i doświadczenie w działalności "oazowej" u księdza Franciszka Blachnickiego, który był moim przyjacielem, a z którego bratem kilka lat pracowałem w szpitalu na ul. Francuskiej w Katowicach. Doszedłem wówczas do wniosku, że to towarzystwo korowskie to coś podejrzanego i dotarłem do Ruchu Praw Człowieka i Obywatela, gdzie przyjęto mnie z otwartymi rękami, bo to byli prawdziwi Polacy. Po pewnym czasie dowiedziałem się od jednego członka KOR-u, że ja tam nie pasuję bo jestem głęboko wierzącym katolikiem, a Żydzi goi nie lubią.

Po powrocie z głódówki Służba Bezpieczeństwa usiłowała mnie kupić, obiecano mi w najlepszym punkcie Katowic lokal na warsztat telewizyjny, o który starałem się od wielu lat, ponieważ usługi napraw telewizorów prowadziłem 10 lat w moim mieszkaniu. Pytano mnie, dlaczego jeżdżę taką starą syreną, oni mi dają pożyczkę i talon na samochód, tylko mam przestać kontaktować się z tymi z Warszawy. Odmówiłem kategorycznie i zaczęła się gehenna.

Zdzisław Grudzień ówczesny I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR w obawie przed poparciem mojego działania na Śląsku przez śląskie duchowieństwo zawarł pakt pokoju z biskupem Herbertem Bednorzem, że jeżeli nie poprze działania Świtonia, to on mu w zamian da zezwolenia na budowy kościołów na Śląsku, o które to zezwolenia Kuria katowicka występowała od kilku lat. Obaj postanowili, że najlepiej Świtonia określić jako człowieka niezrównoważonego psychicznie i agenta SB. Taką informację o Świtoniu tych dwóch „lekarzy” rozpowszechniali wśród śląskiego duchowieństwa, a przez księży, tajnych współpracowników ta wersja dotarła do mieszkańców Śląska, i w ten sposób usiłowano nie dopuścić do rozwoju opozycji antykomunistycznej na Śląsku, i zniszczyć mnie i moją rodzinę. Dokumenty na ten temat znajdują się w Aktach Operacyjnych w Katowickim IPN-ie. Dalszy ciąg mojego życiorysu poznać Drodzy Rodacy z "teczek" IPN-u stopniowo publikowanych na mojej stronie w Internecie, a jest tego przeszło 20 000 [dwadzieścia tysięcy] stron.

Kazimierz Świton

JASTRZĘBIE ZDRÓJ POWSTAJĄ GÓRNICY

Fakt, że ruch „Solidarności” był w swojej istocie buntem wyzyskiwanych robotników, najlepiej obrazują strajki w kopalniach węgla kamiennego, które ostatecznie zadecydowały o początkowym zwycięstwie.

Górnictwo węgla kamiennego od początku istnienia Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej (PRL), tj. od 1945 r. stanowiło bazę rozwojową gospodarki. Utrzymywane na niskim poziomie ceny węgla, podstawowego w kraju nośnika energii, pozwalały na opłacalną produkcję w innych gałęziach przemysłu, a nawet i w rolnictwie.

Podjęty za Edwarda Gierka wysiłek budowy Rybnickiego i Jastrzębskiego Zagłębia Węglowego pozwolił polskiemu górnictwu na zajęcie czołowego miejsca w świecie. Jan Mitrega, minister górnictwa i energetyki w latach 1959–1974, zarządził największym koncernem w historii Europy, obejmującym ponad 70 kopalń i zatrudniającym prawie 0,5 mln pracowników. Budowano od podstaw nie tylko kopalnie, ale równocześnie przy nich całe osiedla mieszkaniowe i zaplecze zaopatrzeniowe dla górników.

Maksymalne wydobycie osiągnięto w 1976 r. – dwa lata później Polska stała się światowym rekordzistą w eksporcie węgla. Najwięcej wyeksportowano w 1984 r. – 43 mln t. Jeszcze w 1990 r. 71 polskich kopalń zatrudniało 394 tys. pracowników.

Zazdrozczono górnikom wysokich zarobków i talonów na brakujące towary, ale prawda jest taka, że była to grupa zawodowa eksploatowana ponad siły. Narzucono im system czterobrygadowy, który w zasadzie likwidował podział na dni robocze i świąteczne, zmuszano do pracy w nadgodzinach, a stosunki międzyludzkie w kopalniach najlepiej wyrażało znane powiedzenie: człowiek człowiekowi wilkiem, być może było tak właśnie z powodu nadmiernej eksploatacji pracowników.

Demoralizacja kadry zarządzającej przybrała skrajne postaci. Wysyłaniu górników do budowy prywatnych domów letniskowych członków dyrekcji w ramach pracy w kopalni – za kopalniane dniówki – nikt się wtedy nie dziwił.

Można powiedzieć, że w kopalniach bunt tlił się od zawsze, że był niejako stanem naturalnym tyle, że skierowanym przeciwko osobom dozoru, sztygarom i kierownikom oddziałów. Kiedy więc stanęły zakłady Wybrzeża, w górnictwie nie było kwestii, czy strajkować czy nie, chodziło tylko, kto pierwszy na to się odważy.

Zaczęło się w „Manifestie Lipcowym”

Strajki w kopalniach węgla kamiennego zaczęły się 28 sierpnia 1980 r. od buntu górników w kopalni „Manifest Lipcowy” w Jastrzębiu Zdroju.

Ponieważ byłem na zmianie nocnej – wspomina Eugeniusz Zandler – więc przyjechałem tak jak wszyscy, około 21.30, no i to było po tym Dzienniku, w którym podali o podwyżkach płac dla różnych branż zawodowych, ale o górnikach nie wspomnieli. Wszyscyśmy się tym oburzali. Dyskusje na przystanku i w autobusie. Jak to! Stoczniovcy dostali podwyżkę, hutnicy dostali podwyżkę. Wszyscy dostali oprócz górników. A węgla wieczną potrzeba. I trzeba pracować na okrągło. Było wielkie wzburzenie. Jak wszedłem na cechownię, tam było pełno. Wszyscy mówili o tym, co było w DTV. I tak od słowa do słowa, postanowiliśmy, że nie zjeżdżamy. Nie jesteśmy gorsi. I tak to się zaczęło. Wezwali Dudę, a Duda zaczął rozmyślać sprawę.¹⁶

Władysław Duda był wtedy dyrektorem kopalni „Manifest Lipcowy”. Słyszał z arogancji i brutalnego odnoszenia się do podwładnych, zwłaszcza do dozoru kopalnianego, ale to było normalne w kopalniach – dyrektor wrzeszczał na sztygarów, a sztygarzy wyładowywali się na górnikach. Wszyscy prawie uczestnicy tamtych wydarzeń podkreślają jednak, że to jego zachowanie było iskrą zapalną górniczego buntu. On sam temu nie zaprzecza.¹⁷

Dyrektor zaproponował wyznaczenie delegacji do rozmów, reszta górników miała zjechać do pracy.

Według relacji Eugeniusza Zandlera przebiegało to tak:

Z każdego oddziału po jednym delegacie do rozmów. Jeszcze nie było mówione o strajku. Nie było słowa strajk. Mieliśmy przystąpić do rozmów z Dudą i to miało być w salce odpraw nad cechownią. I jak on zaczął nam wciskać o rękawicach, o rzeczach zupełnie nie związanych z naszymi oczekiwaniami... Bo ja mówię; chodziło o te podwyżki, i o to, że górnictwo zostało pominięte. No, więc to się rozleciało wszystko.

¹⁶ Relacja Zandlera Eugeniusza:

http://www.encyzol.pl/wiki/L00075_Eugeniusz_Zandler

¹⁷W wywiadzie dla „Dziennika Zachodniego, czytaj:

Bombor Jacek, *Mogę górnikom spokojnie spojrzeć w oczy, nie mam się czego wstydzić*,

<https://plus.dziennikzachodni.pl/wiadomosci/a/moge-gornikom-spojojnie-spojrzec-w-oczy-nie-mam-sie-czego-wstydzie.8029740>

Po pół godzinie podjęliśmy drugą turę rozmów. (...) Druga tura rozmów się rozleciała i zaczęła się trzecia. W trzeciej turze było już dwóch przedstawicieli dozoru. I wtedy był taki młody jeden, to był Grzegorz Stawski; na pewno i jeden przedstawiciel oddziału wydobywczego... nie pamiętam nazwiska; wiem, że był Furmaniok... i oni się podzielili. Część ustawiała się tak, część inaczej. Za dozorem, przeciw dozorowi; bo my nie chcieliśmy pozwolić, aby przedstawiciele dozoru zbyt wiele gadali. W trakcie trzeciej tury już cała załoga wyszła na zewnątrz. To było już po 22.00. Na zjazd nikt nie poszedł. Wyjechała druga zmiana i wtedy wyjechał Stefan Pałka, to była 22.30, i Fredek Gałucha. Fredek Gałucha jako strzałowy i przodowy zawsze miał przy sobie coś do pisania. Stanął na kwietniku, tam jak się idzie na łaźnię i zaczął spisywać postulaty, ale dopiero Stefan Pałka wziął to w rzy. Usankcjonował, uregulował wszystko.¹⁸

Większość uczestników tamtych wydarzeń rozpoczyna jednak swoje wspomnienia od sytuacji nieco wcześniejszej – grupkę górników żywo dyskutujących na placu przed kopalnią.

Strajk rozpoczął się przez przypadek, dlatego nie jest wiadomo, jak do niego doszło. Prawda jest taka, że dochodziła godz. 21. Przed bramą było około dziesięciu przypadkowych górników, wśród nich byłem ja. Słuchaliśmy relacji górnika, który wrócił z urlopu z Gdańska, opowiadał o strajku na Wybrzeżu, gdy z biurowca wyszedł dyrektor Świderski. Zapytał, co tu jeszcze robimy o tej porze. Doszło do wymiany zdań. Ktoś powiedział, że strajkujemy, dyrektor odpowiedział, że jeśli chcemy strajkować to na cechowni a nie przed bramą kopalni. Pobiegliśmy pod szyb, powiedzieliśmy, że wszyscy [mają udać się – przyp. PM] na cechownię, bo rozpoczął się strajk. I wszyscy ruszyli na cechownię. Z początku było trochę chaosu, bo nie było organizatora strajku. Dopiero jak z drugiej zmiany wyjechał Stefan Pałka i przejął dowodzenie strajkiem... No, a resztę to już znamy.¹⁹

Autor tych wspomnień, podpisujący się nickiem Emeryt, używał czcionek bez polskich znaków, co wskazuje na emigranta.

Podobnie, ale inaczej rozkładając akcenty, opisuje tę sytuację inny z jej uczestników, **Czesław Kłosek**, kopalniany KO-wiec (pracownik kulturalno-oświatowy, zatrudniony w Zakładowym Domu Kultury).

– Rozmawialiśmy o partii, o Gierku, że nas wkurzają, że dość tego. Ale to nie były zwykłe narzekania. W powietrzu czuć było niepokój.²⁰

Czesław Kłosek wspomina, że dyskusje, sprovokowane strajkami na Wybrzeżu, toczyły się już od kilkunastu dni, przeważnie jednak w autobusach, dowożących górników do pracy.

Zastanawiająca jest tu rola inżyniera Świderskiego. Według jednych relacji, on zaproponował, aby przejść do cechowni, gdyż – jeśli zacząć strajk, to trzeba zacząć go w cechowni, według innych – chciał tylko „rozładować sytuację”. Według kilku innych relacji, oprócz inż. Świderskiego do grupy dyskutującej przed kopalnią przyłączyli się również członkowie zakładowego ORMO (Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej).

Więc jak nas zobaczył – mówi o inż. Świderskim Czesław Kłosek – przerażony szybciotko podbiegł, żeby rozładować sytuację. Rzucił coś w stylu „porozmawiamy o tych trudnych sprawach”, a my na to: „Cholera, nie ma kałesonów, butów, papieru toaletowego, a wy tu, dyrektorze, jakieś pierdoły wciskacie! (...) ale panowie, nie tutaj - prosił – wiecie, bo tutaj przychodzi zmiana. Nie gromadźcie się”. Zaproponował spotkanie w cechowni. (...) 20 czy 30 ludzi pobiegło po łaźniach, gdzie myli się górnicy po ostatniej zmianie, jeszcze skrzyknęli tych, co mieli zjeżdżać na dół, i nie minęło pół godziny, jak przez kopalnię przeszła komenda: „Wszyscy na cechownię! Świderski będzie mówić!”. (...) ²¹

Wszyscy świadkowie tamtych wydarzeń zgodnie potwierdzają decydującą rolę **Stefana Pałki**.

– W moim mniemaniu Stefan wówczas zdobył się na bardzo wielką odwagę – powiedziała **Urszula Popenda-Kozieł**. – Ilu było wówczas takich, których stać było na to, żeby krzyknąć do tłumu robotników: „Stajemy. Nie pracujemy.” Przecież on wziął na siebie wielką odpowiedzialność. Tylu innym, dzisiejszym bohaterom, zabrakło wtedy tej odwagi. (...) Stefan (...) dzisiaj nie chce mówić o tamtych czasach, bo jak mi kiedyś powiedział; „A po co mówić? Ulka, oni nas i tak oplują. (...) Byliśmy świadkami jak w ciągu jednej nocy upadały i powstawały komitety strajkowe i dopiero ten trzeci się ostał No, ale w takich nerwowych sytuacjach tak bywa. Ludziom czasem trudno wyartykułować to, czego chcą. Stefanowi Pałce należy według mnie

¹⁸ Relacja Eugeniusza Zandlera, op. cyt.

¹⁹ <http://jasnet.pl/?m=publicystyka&id=37740>

²⁰ Czesław Kłosek w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”

29 lipca 2005 r.: *Tę kulę noszę do dzisiaj*;
<http://wyborcza.pl/1,76842,2847100.html>

²¹ Cz. Kłosek jw.



Stefan Pałka, zdj. Józef. Żak

*oddać sprawiedliwość, bo to on w decydującym momencie potrafił cały ten „balagan” ogarnąć. W pewnym sensie więc powodzenie tych strajków to również jego wielka zasługa. I co by nie gadać, to trochę boli, że ci, którzy dzisiaj piszą historię, robią to tak niechlujnie, tak mało wnikliwie. Pozostaje tylko żywić nadzieję, że nie zawsze tak będzie.*²²

Relacje uczestników tamtych wydarzeń rodzą trochę pytań. Zagadkowe było zachowanie inż. Świderskiego. Chciał zainicjować strajk, czy przeciwnie – rozładować napięcie? Z relacji uczestników tamtych wydarzeń trudno to wywnioskować. Kim był Stefan Pałka, elektryk, który uznał, że jego obowiązkiem jest wezwać do strajku? Kim był inż. Świderski, o którym nie można znaleźć w Internecie nawet tak krótkiej notki biograficznej, aby poznać jego imię.

Wreszcie, jak to możliwe, że tego samego dnia kilka kopalń, kilka załóg kopalnianych podejmuje decyzje o strajku, wybiera komitety strajkowe i de-

legatów do Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego, jaki powołano w kopalni „Manifest Lipcowy”? Tego samego dnia zastrajkowały załogi kopalni „Manifest Lipcowy”, „Borynia”, „ZMP”, „XXX-lecie PRL”, „Moszczenica”, „1 Maja”, „Jastrzębie”, „Suszec” oraz PRG „Jastrzębie” i Rybnik”. To nie mogło odbyć się w ciągu kilku godzin, komitety strajkowe musiały tam już istnieć wcześniej, w ukryciu. Ktoś musiał podejść do górników, czy to zebranych przed bramą, czy to w cechowni, i namówić ich do strajku. Dlaczego o tym nie ma ani słowa we wspomnieniach uczestników tamtych wydarzeń?

– To nie był taki zwykły wyskok – potwierdza te wątpliwości Czesław Kłosek. – Z tego, co wiem, paru chłopaków było do tego przygotowanych, kilku z nich miało jakieś kontakty z opozycją. Gdyby wszystko poszło na żywioł, to by się nie mogło udać.²³

Dyskutowali przed bramą kopalni o strajkach na Wybrzeżu. Władze narzuciły wprawdzie blokadę

²² Urszula Popena-Kozieł członkini powołanego potem Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego
http://www.jasnet.pl/pamiec/relacje_sierpień_80_153.htm

²³ Cz. Kłosek, op. cyt.



Masówka na placu kopalni, zdj. Józef Żakl

informacyjną na te strajki, ale nie dało się tego ukryć. Informowała o nich rozgłośnia „Wolna Europa”, wielu górników wróciło właśnie z wczasów nad morzem, wielu miało tam krewnych. Od 1976 r. działał Komitet Obrony Robotników, organizujący pomoc dla ludzi zwalnianych z pracy. Dorobił się on całej siatki kolporterów nielegalnych wydawnictw, zbierających również pieniądze na pomoc prześladowanym robotnikom. Ci kolporterzy przesyłali do Jacka Kuronia informacje o osobach prześladowanych i o podobnych wydarzeniach, jak w kopalni „Manifest Lipcowy”. Z relacji o początkach strajków górniczych wynika, iż górnicy czuli się do strajków jakby moralnie obligowani tym, co działo się na Wybrzeżu. Odezwała się naturalna ludzka solidarność ludzi wyzyskiwanych.

Ale... niektórzy widzą w tym również knowania I sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR i towarzyszy partyjnych. W reportażu Michała Góry „Mieliśmy jedną twarz”, zamieszczonym na portalu opoka.org.pl, czytamy:

Istnieje kilka wersji historii przygotowań do strajku. Najbardziej prawdopodobne są dwie. Zresztą nie wykluczają się. Pierwsza mówi, że lokalny partyjny bonza Zdzisław Grudzień i jego „towarzysze”, wykorzystując panujące wśród robotników niezadowolenie, postanowili Spro-

kować strajk przy udziale Urzędu Bezpieczeństwa. Mogłoby to być kartą przetargową w rozmowach na Wybrzeżu oraz w rozgrywkach wewnątrz PZPR. Według wielu, miejscem przygotowań była kopalnia „Borynia”.²⁴

Grzegorz Stawski jest zwolennikiem opinii, że zorganizowano tam grupę, której liderem był Jarosław Sienkiewicz — postać bardzo kontrowersyjna w całych zajęciach. Został on przewodniczącym Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego (MKS). J. Sienkiewicz, który był działaczem PZPR, zabłysnął w okresie poprzedzającym strajki odwagą jak na tamte czasy wypowiedziami na temat władzy. Potem zniknął na kilka dni. Mówiono, że został aresztowany. Dlatego, gdy zaczął się strajk i przyłączyła się „Borynia”, jednym z postulatów było żądanie jego uwolnienia.

Drugą wersję potwierdza fakt dobrego zorganizowania, już od pierwszych chwil, grupy skupionej wokół Stefana Pałki. Tadeusz Jedynak, kolejny obok St. Pałki i J. Sienkiewicza, przywódca strajku w Jastrzębiu i jedna z centralnych później postaci podziemnej „Solidarności”, uważa, że

²⁴ *Mieliśmy jedną twarz*, https://opoka.org.pl/biblioteka/1/IH/1980_solidarnosc.html

protest był przygotowywany w kręgach elektryków i mechaników „Manifestu Lipcowego”:

— Te dwie grupy zawodowe to elita na każdej kopalni. Oni mają najwięcej kontaktów na oddziałach. Inicjatywa wyszła od nich. Dobrze poznałem Stefana Palkę. On był krótkofalowcem, to istotny szczegół w tej historii. Jego kontakty były dużo szersze niż nam się wtedy wydawało. Powiązany był z IV Międzynarodówką czyli trockistami. To tłumaczy jego socjotechniczne wyrobienie.²⁵

Jedno nie ulega wątpliwości, strajki miały tło socjalne i moralne równocześnie. Czterobrygadowy system pracy, zmuszanie do pracy w nadgodzinach oraz złe traktowanie pracowników fizycznych przez osoby dozoru. Pogarda, wrogość, nienawiść. Dostrzegał to i potrafił wyartykułować jeden z Organizatorów strajku w Kopalni Węgla Kamiennego „XXX-lecia PRL” (obecnie „Pniówek”) **Ewald Kudła**, który 29 sierpnia 1980 r. odważył się przedstawić postulaty strajkujących górników dyrekcji kopalni:

— Wówczas nie było jeszcze oficjalnych postulatów. Ktoś mówił, że pracujemy za dużo, że nie zjedzie na dół. W końcu powiedziałem do kolegi: „To ja idę”, ale nie wiedziałem, czy wrócę, mogli mnie zamknąć, a w domu była czwórka dzieci. I zawołałem do mikrofonu: „Żądamy poprawy stosunków międzyludzkich”. Bo górnicy byli bardzo źle traktowani.²⁶

Sprzedaj konia kup Ślązaka

— To ludzie przyjezdni organizowali strajki w Jastrzębiu – podkreślają ich uczestnicy. – Ślązacy by się na to nie odważyli.

Panowała opinia, że ludzie miejscowi, Hanysy, jak ich pogardliwie przezywano, to ludzie zastrachani, pogodzeni z niewolą, gotowi do ciężkiej pracy, byle nie musieć się narażać. Żartowano na dole: „Sprzedaj konia kup Ślązaka”. Górny Śląsk pracował, kiedy w 1970 r. strajkowali stoczniowcy, pracował przez pierwsze dwa tygodnie strajków na Wybrzeżu w sierpniu 1980 r. Na węglarkach, wracających z Wybrzeża czytaliśmy wyzwiska za wyłamywanie się z robotniczej solidarności. Pamiętam tylko jedno, najmocniejsze: „Ślązacy to h.e, nie Polacy”.

²⁵ Góra Michał, Mieliśmy jedną twarz, https://opoka.org.pl/biblioteka/I/IH/1980_solidarnosc.html

²⁶ Za: Musiałek Barbara, Obchody 30. rocznicy podpisania porozumienia jastrzębskiego, w: Dziennik Zachodni 2010-09-04

Zarzuty bierności Górnos Ślązaków, ich nazbyt pokornej postawy wobec przełożonych były słuszne, jednak trudno je oceniać jednoznacznie negatywnie. Hasło „Sprzedaj konia kup Ślązaka” zawiera przecież, z drugiej strony, ogromną pochwałę ich pracowitości.

Nasza pokora i potulność to pozostałości Pruskiego panowania na Górnym Śląsku, które opierało się na wojskowej, „pruskiej” właśnie dyscyplinie. O tyle to było dobre w tamtym państwie, że oparte na prawie. Jeśli kto zachowywał dyscyplinę, mógł już spać spokojnie, żadne przykre niespodzianki już go nie czekały.

Na usprawiedliwienie bierności Ślązaków można też zaliczyć fakt, że mieli tu więcej do stracenia. Mieli tu i mają swoje domy, pobudowane wielkim wysiłkiem, rodziny, licznych krewnych. Zadowalali się stosunkowo dostatnią egzystencją. Przyjezdni, zwerbowani do pracy w kopalniach, to byli w głównej mierze ludzie młodzi, mający mniej do stracenia. Zwolnią go z kopalni, to pojedzie w inny rejon Polski i zatrudni się w nowej hucie, stoczni lub elektrowni na niewiele gorszych warunkach. Nawet ci, którzy już otrzymali mieszkanie, nie byli tak związani z kopalnią jak miejscowi, mogli śmiało ryzykować.

Bunt „robołi”

Ruch „Solidarności” w swojej istocie był buntem robotników, „robołi”, jak ich wtedy pogardliwie nazywano, przeciwko „nowej klasie urzędniczej”, według terminologii Milovana Djilasa²⁷. Rdzeniem „nowej klasy” była „nomenklatura”²⁸, warstwa uprawniona do zajmowania najwyższych stanowisk w państwie. W okresie przed powstaniem Solidar-

²⁷ Džilas Milovan, *Nowa klasa, Analiza systemu komunistycznego*, Nowy Jork 1958

²⁸ Od łac. nomenclatura (mianowanie). System obsadzania stanowisk kierowniczych w ZSRR i tzw. krajach demokracji ludowej oparty na rekomendacji partyjnej. Kiedy mówiono np. że stanowisko majstra czy kierownika wydziału w zakładzie pracy jest w nomenklaturze Podstawowej Organizacji Partyjnej lub w nomenklaturze Komitetu Zakładowego PZPR, oznaczało to, że te ciała decydują o zatrudnieniu konkretnej osoby, w praktyce ich I sekretarz. Stanowiska wyższe były „w nomenklaturze” wyższych instancji partyjnych (one decydowały o ich obsadzie). O objęciu najwyższych lub szczególnie ważnych stanowisk państwowych, społecznych lub gospodarczych (spis zawierał około 300 tysięcy takich stanowisk) decydowały wydziały Komitetu Centralnego lub nawet Sekretariat KC albo Biuro Polityczne. Warstwa ludzi, zwana potocznie nomenklaturą, miała szereg niedostępnych dla innych przywilejów – bardzo zresztą formalnie różnicowanych, od nieznacznie lepszych warunków wczasów, po specjalne kliniki, sklepy i inne dobra. [Za: Wikipedia]

ności liczyła ok. 300 tys. osób. Warstwę tę uzupełniała rzesza drobniejszych urzędników, która obrosła instytucje państwowe jak tłuszcz obrasta żywe organizmy obciążając metabolizm.

Zalążek upadku systemu tkwił już w jego założeniach ideologicznych. System miał być – według doktryny – „władzą ludu pracującego miast i wsi”, „robotników”, „proletariatu” itp. Ponieważ nie było możliwe, aby rządziła cała warstwa, zwłaszcza najniższa, najmniej wykształcona, więc, zgodnie z formułą Włodzimierza Lenina, „proletariat”, „klasa robotnicza” rządziła za pośrednictwem swojej „awangardy”, jaką jest partia.

Formuła „awangardy klasy robotniczej” sprawdzała się propagandowo w okresie walki o władzę i narzucania nowego ustroju. Przeprowadzono reformę rolną, na którą chłopci czekali kilka wieków, zlikwidowano analfabetyzm, wprowadzono powszechną, bezpłatną służbę zdrowia, odbudowano stolicę z ruin, podjęto ogromny wysiłek industrializacji kraju.

Szybko jednak, wręcz błyskawicznie, „awangarda klasy robotniczej” wyrodziła się w pasożyta, żerującego na państwowym organizmie i rozrastającego się na sposób nowotworu. Pierwsi komunistyczni przywódcy żyli skromnie, ale ich potomkowie już bez skrupułów korzystali z wysokiej pozycji społecznej rodziców. Progenitura Bolesława Bieruta obsiadła synekury w ministerstwie spraw zagranicznych i zajmuje je do dzisiaj. Uwierzyli, że są solą ziemi

Niemniej, hasła „socjalizmu”, „sprawiedliwości społecznej”, „władzy ludu pracującego” przeniknęły do świadomości społecznej i utwierdziły robotników w przekonaniu o swojej roli społecznej. Te propagandowe hasła nie pozwalały niższym warstwom społecznym pogodzić się ze statusem wyrobników systemu. System nie wypracował ideologicznych uzasadnień władzy jednych nad drugimi, gdyż z założenia miał być systemem „równości społecznej”. W socjalizmie miało nie być „wyzyskiwaczy”, więc nomenklatura mogła uzasadniać swoje przywileje tylko w ten sposób, że lepiej rozumie interesy robotników (i chłopów) niż oni sami i lepiej je realizuje. George Orwell w książce „Folwark zwierzęcy” ośmieszył ten paradoks nierówności społecznej w równościowym systemie stwierdzeniem, że „są równi i są równiejsi”.

Te nieszczęsne zachodnie pożyczki

Inną przyczyną słabej pozycji tej „nowej klasy” urzędniczej w momencie w wybuchu strajków były wielkie przedsięwzięcia industrializacji kraju, podjęte przez ekipę Edwarda Gierka. Nie da się

rozwijać przemysłu, budować hut, kopalń, stoczní, a nawet dróg czy domów, nie korzystając z dorobku innych. Kupowano w krajach zachodnich licencje, technologie, a często i całe zakłady. Z tego to względu starano się – musiano – dobrze nastawiać opinię publiczną tych krajów do Systemu, musiano tolerować strajki, demonstrować liberalizm i nie prześladować obywateli za głoszenie nieprawomyślnych poglądów. Nawet antyrządowych demonstracji nie można było rozpędzać tak, jak kiedyś.

Za wszelką cenę wyciszyć

Władze paraliżował strach o rozlanie się fali strajkowej na cały kraj. Staraly się więc przede wszystkim wyciszyć wieści o protestach, spełniać jak najszybciej postulaty strajkujących możliwe do natychmiastowego spełnienia, obiecywać spełnienie postulatów godzących w System, zawierając porozumienia i udawać, że... nic się nie stało. Ot, chwilowe przestoje w pracy, niedociągnięcia naprawiane w dialogu z „klasą robotniczą”.

Na początku delegaci rządowi spełniali wszystkie postulaty strajkujących załóg, aby tylko wieść o strajkach nie rozeszła się szerzej. Strajk w Zakładach Tworzyw Sztucznych „Erg” w Bieruniu Starym, podjęty 8 sierpnia 1980 r., trwał niecałą dobę. Dyrekcja już następnego dnia spełniła wszystkie postulaty załogi.

Podobnie było z pierwszym większym protestem robotników na Górnym Śląsku, który miał miejsce 25 sierpnia 1980 r. w Fabryce Zmechanizowanych Obudów Ścianowych FAZOS w Tarnowskich Górach. Strajkującym pracownikom spawalni chodziło podobno tylko – jak wynika z wielu relacji – o wyjaśnienie sytuacji w kraju. Kiedy do spawalni przyłączyli się pracownicy wydziału mechanicznego i zorganizowano masówkę (jeszcze nie strajk!), natychmiast przybył sekretarz komitetu wojewódzkiego partii i przedstawiciel ministerstwa górnictwa.

Postulaty, które, na szczęście, protestujący zdążyli już sformułować, zostały natychmiast przyjęte do realizacji. To jednak wywołało efekt odwrotny od zamierzonego – robotnicy uznali, że zażądali zbyt mało. Wysłunęli więc postulaty ogólnospołeczne, te same, co załogi zakładów Wybrzeża, trudniejsze już do spełnienia. W nocy z 28 na 29 sierpnia do kopalni „Manifest Lipcowy” przybył minister górnictwa Włodzimierz Lejczak i wiceminister Mieczysław Głanowski z delegacją partyjnorządową. Negocjacje ze strajkującymi górnikami szły jak po grudzie, gdyż delegacja nie miała uprawnień do spełnienia najważniejszych żądań protestujących: wprowadzenia wolnych sobót i nie-

dział, zniesienia czterobrygadowego systemu pracy, podwyższenia płac i podania informacji o strajku w środkach masowego przekazu.

Rano do kopalni zaczęła zjeżdżać pierwsza zmiana. Przyłączyła się do strajku. O godz. 7.00 dyrektor W. Duda przemówił do nich grożąc, że

Skład MKS-u ulegał poszerzeniu, gdy do „Manifestu” zaczęły zgłaszać się delegacje kolejnych strajkujących załóg zakładów Śląska.²⁹

30 sierpnia MKS wysłał do Gdańska swych przedstawicieli celem poinformowania o sytuacji na Śląsku, a także uzyskania wskazówek do dalszego



Negocjacje w KWK Manifest Lipcowy; z prawej – delegacja rządowa, z lewej – przedstawiciele strajkujących górników; zdj. Józef Żak

jeśli nie podejmą pracy, sprowadzi ludzi z innych kopalń. Było to jego ostatnie przemówienie. Został wyprowadzony z kopalni. W pierwszych dniach strajk miał charakter rotacyjny, tzn. górnicy kończący zmianę odjeżdżali do domów, a zastępowali ich górnicy ze zmiany kolejnej.

Dyrekcja starała się wmawiać załodze, że „Manifest” jest jedyną strajkującą kopalnią, jednak wieść o strajku rozniosła się na inne kopalnie.

Przed południem 29 sierpnia do „Manifestu” przybyła delegacja z KWK „Borynia”. Powołano Międzyzakładowy Komitet Strajkowy (MKS).

Jego przewodniczącym został najpierw Stefan Pałka, ale potem członkowie MKS-u uznali, że lepiej będzie, jeśli w rozmowach z delegacją rządową przedstawić strajkującym górnikom przewodniczyć będzie doświadczony w prowadzeniu negocjacji Jarosław Sienkiewicz, kierownik działu inwestycji „Boryni”. Jego zastępcami zostali Stefan Pałka i Tadeusz Jedynak.

działania. Druga z wysłanych delegacji dotarła do celu, przywiozła do Jastrzębia kopie 21 gdańskich postulatów. 31 sierpnia podpisano Porozumienie Gdańskie.³⁰

Kiedy do „Manifestu Lipcowego” przybyła kolejna, kompetentna już komisja rządowa pod kierownictwem wicepremiera Aleksandra Kopcia, można było sfinalizować negocjacje.

Najbardziej sporna była kwestia zniesienia czterobrygadowego systemu pracy i wolnych sobót i niedziel. Górnicy nalegali, by do porozumienia włączyć gdańskie a nie szczecińskie uzgodnienia (gdańskie były bardziej jednoznaczne). 3 września 1980 r. o godz. 5:15 podpisano tzw. Porozumienie jastrzębskie.

Władze zgodziły się na wszelkie ustępstwa wobec górników.

²⁹ <http://jaspedia.eu/wpis/679/strajk-w-kwk-manifest-lipcowy-28-sierpnia-3-wrzesnia-1980-r.html>

³⁰ Jw.

Najważniejsze osiągnięcie – odejście od cztero-brygadowego systemu pracy – górnicy zawdzięczają kobiecie, Urszuli Popendzie-Kozieł z Zakładu Robót Inżynierskich w Żorach, która do „Manifestu Lipcowego” przyjechała z postulatami swojej

Po jakimś czasie Aleksander Kopeć szef komisji rządowej poprosił o przerwę w obradach, aby naradzić się z resztą swojej komisji. Ta przerwa trwała może pół godziny, może trochę dłużej. (...) po przerwie wrócili (...) i stwierdzili, że podpisują



Strajkujący górnicy; zdj. Józef Żak

załogi. Była przy negocjacjach.

Tak to pamięta:

Tak im zależało na zwiększonym wydobyciu węgla, że początkowo nie było mowy o tym, aby ten postulat został podpisany. Zostało to oznajmione na forum wszystkich delegatów w cechowni (...) cała kopalnia była wtedy nagłośniona (...) wszyscy ludzie na kopalni słyszeli (...) Wtedy nie wytrzymałam. Podniosłam rękę. Ktoś to zauważył i udzielono mi głosu.

Byłam bardzo zdenerwowana, ale z pełną determinacją zwróciłam się do przedstawicieli rządu i poprosiłam ich, aby wytłumaczyli mi dlaczego stale wmawiają nam, że w Polsce w rzekach zamiast wody płynie miód i mleko. Zapytałam jak mają żyć takie rodziny jak moja, skoro ja tylko z mężem mijam się w drzwiach. Kiedy on wychodzi do pracy, to ja właśnie z niej wracam, albo na odwrót. Jak mają żyć rodziny, w których małżonkowie ciągle witają i żegnają się na progu mieszkania.

Zapytałam ich kiedy zrobią coś, aby w tym kraju dom stał się domem, a rodzina rodziną. Zapanowała kompletna cisza.

wszystkie postulaty, łącznie z wolnymi sobotami i niedzielami.³¹

Wkomponować w System

Powstanie „Solidarności” oznaczało śmiertelne zagrożenie dla Systemu i „ludzie władzy”, jego beneficjenci, doskonale o tym wiedzieli. System był systemem zamkniętym, wszystkie dziedziny życia społecznego, od gospodarki, przez kulturę do edukacji, były centralnie sterowane i kontrolowane. Takie systemy określa się jako totalitarne. Pozostawienie jakiegś organizacji bez centralnej kontroli oznaczało, że tam przejdą wszyscy niezadowoleni i z czasem organizacja zacznie funkcjonować jako opozycyjna partia polityczna.

System był w miarę kompletny. Istniały w nim, a jakże, związki zawodowe, które – w założeniach – miały artykułować interesy i potrzeby pracowników i o nie walczyć, które jednak od dawna stanowiły tylko atrapę, poletko synekur dla partyjnych działaczy mniejszego kalibru. Związki

³¹ www.jasnet.pl/pamiec/relacje sierpien 80,153.htm

zdegenerowały się właśnie na skutek centralnego kierowania. Działacze do nich kierowała partia, więc oni już nie oglądali się na robotników, ale na tych, od których zależała ich pozycja.

Z początku władze próbowały w ogóle nie dopuścić do powstania związków niezależnych. Spełnimy w miarę możliwości wasze postulaty – mówiły delegacje rządowe strajkującym robotnikom – ale o niezależnych związkach nie rozmawiamy. Związki przecież już istnieją, chodzi tylko o to, żeby reprezentowały interesy robotników. W partyjnym slangu brzmiało to tak: „związki zawodowe utraciły kontakt z klasą robotniczą” i trzeba, aby go – ten kontakt – ponownie nawiązały.

System totalitarny stara się ogarnąć możliwie największy zakres życia mieszkańców opanowanego kraju celem nowego ukształtowania ich świadomości w duchu dogodnym dla siebie tj. umożliwiającym niepodzielne panowanie. Temu służy nie tylko propaganda w ścisłym tego słowa znaczeniu, ale także nauka, sztuka oraz cała polityka kulturalna. Wśród nauk pod tym względem naczelną miejsce zajmują szeroko rozumiane nauki historyczne, politologia, socjologia, filozofia i w mniejszym już stopniu inne dyscypliny. Historyk czy politolog zajmując się bytami politycznymi zwalczanymi przez dany reżim totalitarny jest więc stymulowany perspektywą ewentualnych awansów, a nawet i zmuszany pod różnymi sankcjami do przedstawiania ich w taki sposób, aby mogły prezentować się odbiorcom jego przekazu jako zjawiska negatywne i sprzeczne z cechami uznawanymi w danej społeczności za pozytywne. Cierpi na tym dotkliwie prawda historyczna oraz wolność i niezależność myślenia.

Prof. Bogumił Grott

To udało się ze strajkującymi robotnikami w Szczecinie, gdzie przedstawiciele strajkujących stoczniowców zgodzili się na formułę „odnowy” starych związków, ale w Trójmieście robotnicy stanęli okoniem. Zażądali zgody na utworzenie związku zawodowego nowego i niezależnego (w domyśle: od partii).

W Trójmieście od kilku już lat działały niewielkie, kilkunastoosobowe Wolne Związki Zawodowe Wybrzeża, tępione przez władze. Sierpniowe strajki były dla nich szansą na wyjście z podziemia.

Negocjująca pod ogromną presją społeczną rządowa delegacja ustąpiła, kalkulując, że wtłoczy nowe związki jakoś w struktury Systemu w okresie późniejszym. Wystarczyło przecież obsadzić je

swoimi ludźmi, doprowadzić do przejścia przez nich kierownictwa i pilnować, aby nie zdobyły przypadkowo jakichś szerszych politycznych uprawnień.

Działacz partyjny na czele protestów

Wyglądało na początku, że w Jastrzębiu Zdroju podjęto udaną próbę wkomponowania nowego związku w System. Przewodniczący MKR Jarosław Sienkiewicz był aktywnym, wieloletnim członkiem PZPR, a nawet lektorem partyjnym.

Strajkujący górnicy zasadniczo kierowali swój bunt przeciwko członkom dozoru i kierownictwa kopalni a nie przeciwko Systemowi. Ich postulaty, których w szybkim czasie uzbierało się kilka tysięcy, nie odnosiły się do spraw ogólnokrajowych, politycznych i ideowych, a tylko do codziennych problemów z zaopatrzeniem, organizacją pracy i stosunków międzyludzkich. Wielokrotnie podkreślali, że nie są przeciwko „ustrojowi socjalistycznemu” ani „kierowniczej roli partii”.

Oponenci wewnątrzwiązkowi oskarżali J. Sienkiewicza, że jest tajnym współpracownikiem SB. Na jego biurku znaleziono wewnętrzne instrukcje SB, widziano go w komitywie z szefami tajnych służb w województwie katowickim, otaczał się ludźmi, o których wiadomo było, że są agentami tajnych służb w województwie katowickim, otaczał się ludźmi, o których wiadomo było, że są agentami tajnych służb. Do dzisiaj jednak nie znaleziono w archiwach IPN dowodów na to, że był tajnym współpracownikiem SB.

Wygląda na to, że był autentyczny w swoim zaangażowaniu w tworzenie nowych związków, że zaangażował się z prze-konania, oczywiście, w takim stopniu, w jakim autentyczny może być działacz partyjny – w jakim stopniu pozwalała mu na to jego ideologiczna formacja.

Istnieje kilka wersji splotu wydarzeń, które doprowadził go do przywództwa największej w kraju organizacji związkowej, liczącej w szczytowym okresie prawie 3 mln członków. Jedna z nich głosi, że stało się to przypadkiem. Kiedy zaczął się strajk w „Manifeście Lipcowym”, J. Sienkiewicz przebywał akurat w Komitecie wojewódzkim partii. Zadzwoił do sekretarki, że szybko nie wróci, bo go tam zatrzymali. Ta zrozumiała, że go aresztowali i to wystarczyło, aby robotnicy uznali go za „swojego”, a że jako działacz partyjny miał doświadczenie w publicznych wystąpieniach przyjęli go z radością. Potrafił przemawiać i twardo z władzą negocjować.

– Jeszcze przed naszym wyjazdem na „Manifest” ktoś mówił, że poprzedniego dnia aresztowano

jakiegoś „pana z biura” – opowiadał po latach **Zbigniew Rygier** z KWK „Borynia” – Chodziło o Sienkiewicza, który samorzutnie ponoć ogłosił strajk. U nas ludzie go raczej nie znali, w każdym razie nie fizyczni. Na moje pytanie, co z Sienkiewiczem, dyrektor kopalni powiedział: „Jak nie zapije, to jeszcze dzisiaj zobaczycie go na Boryni”. Ludzie nie wierzyli, że zapił, bardziej dając wiarę temu, że go przymknęli. Domagano się uwolnienia Sienkiewicza. Po jakimś czasie Sienkiewicz się zjawił. Powiedział, że jak załoga chce, to on jej pomoże. Powiedział także, że nie był aresztowany, ale miał trudności. Na „Manifest” wtedy z nami nie pojechał.³²

Nowe wino do starych bukłaków

J. Sienkiewicz nie wyczuł ducha czasów. Nie zorientował się w doniosłości wydarzeń. Opowiedział się wprawdzie za utworzeniem nowych niezależnych związków zawodowych, ale... potem robił wszystko, żeby je wkomponować w System. Kombinował z tworzeniem „w duchu odnowy” jednego górniczego związku wspólnie z działaczami starego, partyjnego Związku Zawodowego Górników. Związek ten miałby być niezależny, ale – apolityczny, tzn. akceptujący System. Myślał o „autonomii” związku górniczego w ramach NSZZ Solidarność.

Nie ukrywał, że swoje działania uzgadnia z towarzyszami z Komitetu Wojewódzkiego. Zgadzał się na zachowanie formuły kierowniczej roli partii, wpisanej przez władze do statutu «Solidarności», o czym mówił publicznie i pisał, a co wywoływało sprzeciw kierowniczych gremiów «Solidarności». Na dodatek, swoją pozycję przewodniczącego regionu jastrzębskiego widział jako równorzędną z ówczesną pozycją Lecha Wałęsy, co konsolidowało blok jego wrogów. W pewnym momencie stał się głównym jego oponentem i Wałęsa próbował rozwiązać konflikt, proponując mu przewodniczenie organizacji związkowej, obejmującej południowy obszar kraju, dla siebie pozostawiając północny.

Z postępowania J. Sienkiewicza widać, że bardziej liczył na karierę w partii niż w nowym związku, którego był szefem. Chwalił się kolegom, że kiedy zaprzyjaźniony z nim nowy I sekretarz partii w województwie katowickim Andrzej Żabiński zostanie I sekretarzem KC PZPR, on sam przejmie jego stanowisko w Katowicach.

– *Celem podstawowym nowych związków – mówił Sienkiewicz – jest przede wszystkim obrona*

interesów pracowniczych. Ważne jednak są i inne. Chcemy – mówił – współkształtować politykę gospodarczą państwa, aktywne postawy w działaniu dla dobra Ojczyzny, kojarzyć interesy załóg z interesami zakładów. Ponadto będziemy mobilizować do podnoszenia kwalifikacji, krzewienia koleżeństwa, solidarności, udzielać pomocy prawnej. Już z tego wynika, że ruch związkowy będzie wpływał na upowszechnienie wzorów dobrej, uczciwej pracy. Nie czekaliśmy zresztą z założonymi rękami do momentu zalegalizowania związku. Na przykład podam, że podczas ostatniego spotkania z zakładowymi komisjami robotniczymi apelowaliśmy o wzięcie się od zaraz do solidnej pracy i skończenie „polowaniami na czarownice”, czyli nagonką na dozór.³³

Zawsze mnie irytowała partyjna „nowomowa”, jak określił ten rodzaj języka George Orwell. Uniżona, wiernopoddańcza, emfaticzna i... w sumie niewolnicza. „Mobilizować do podnoszenia kwalifikacji, krzewienia koleżeństwa, solidarności.” Jak deklaracja grzecznych dzieci w szkole podstawowej. Nic w niej nie ma z „podmiotowości”, o którą walczyli robotnicy.

Biskup przysyła doradców

Ze wspomnień **Grzegorza Stawskiego**:

– Na mocy porozumienia oraz procedur dot. powołania Komisji Mieszanej i sposobu budowania związku zawodowego, z przekształconego MKS [Międzyzakładowy Komitet Strajkowy – przyp. PM] w Jastrzębiu, powstał w dniu 3 września 1980 r. MKR [Międzyzakładowy Komitet Robotniczy – przyp. PM] Jastrzębie. (...) KWK „Manifest Lipcowy” oddelegował mnie do pracy w tworzeniu nowych związków zawodowych (...) W tym też czasie przyjechał do I siedziby MKR bp Bednorz. Poznałem go po raz pierwszy w dość niezręcznej sytuacji, kiedy zbiegałem po schodach na dół i o mały włos nie przewróciłem go. Złapał mnie za rękę i zapytał kim jestem, a następnie poprosił abym zaprowadził go do biur MKR-u. Wtedy też myśmy poprosili go o wsparcie nas ludźmi, których mógłby nam zarekomendować. Przysłał więc do pracy i pomocy MKR-owi Jerzego Skwarę, Henryka Wódkę³⁴ i Wiesława Gwiżdża, którzy zajęli się redagowaniem i wydawaniem biuletynu MKR

³² Nowak Mirosław, *Oni z Jastrzębia*, <https://www.tygodnikprzeglad.pl/oni-z-jastrzebia/>

³³ Z wywiadu dla Dziennika Zachodniego z 24 września 1980 r., za: Zwoźniak Zdzisław, *Jak się rodziła Solidarność. Region Śląsko-Dąbrowski 1980-81*, Archiwum „Solidarności” tom 35, Wydawnictwo Pomost, Warszawa 1990, s. 22

³⁴ Chodzi o Henryka Wuttkego

„Nasza Solidarność”³⁵, oraz pana o nazwisku Drozdek i panią Chologową. Byli to ludzie związani ze środowiskiem inteligencji Katolickiej. Nie mieliśmy wtedy pojęcia o takiej organizacji oraz o tym, że występują w niej jakieś Konflikty i zdrażnienia. Jednakże nie mieliśmy wtedy, jako MKR, żadnych doradców, którzy wsparli by nas swoją fachową wiedzą w różnych dziedzinach pracy organizacyjnej, m.in. jak od strony technicznej przygotowywać informacje, zmontować zespół redakcyjny itp.³⁶

Owi „doradcy” byli członkami Ośrodka Dokumentacji i Studiów Społecznych (ODiSS), utworzonego w 1967 r. z inicjatywy grupy działaczy katolickich, związanych z warszawskim Klubem Inteligencji Katolickiej i zespołem redakcyjnym miesięcznika „Więź”. Stawiali sobie za cel odtworzenie ruchu chrześcijańsko-demokratycznego (chadec-kiego) w Polsce. Nie posiadali szerszego zaplecza społecznego, oparcie znajdowali u niektórych biskupów i wąskich grup duchowieństwa katolickiego. Funkcjonowali w sferze publicznej, a nawet częściowo politycznej (mieli swoich posłów w Sejmie) w zamian za, głośno deklarowaną, akceptację Systemu, dlatego przez niechętną im większość katolickiej inteligencji, jak również ośrodki opozycyjne nazywani byli pogardliwie „koncesjonowani katolicy” albo „postępowi katolicy”.

Korzystając z solidarnościowej odwilży grupa działaczy KIK-ów i ODiSS-u utworzyła potem Polski Związek Katolicko-Społeczny (PZKS), katolickie ugrupowanie już ściśle polityczne, również „koncesjonowane”. Kolega „partyjny” (jeśli PZKS uznać za formę partii politycznej) biskupich doradców w Jastrzębiu Jerzy Ozdowski



Jarosław Sienkiewicz

był w latach 1980-1981 członkiem Rady Państwa, a potem nawet wicepremierem.

Eksperci z biskupiej łaski

Doradcy przysłani przez biskupa urabiali niedoświadczonych młodych przywódców górniczych zgodnie ze swoim politycznym programem: „w duchu konstruktywnej współpracy”, jak to ironicznie komentowali ich ideowi przeciwnicy. Wysmażyli słynną deklarację ideowo-polityczną pt. *Solidarność Jastrzębie o sobie, czyli Działania, zamierzenia, dążenia*, którą ogłosili 16 listopada w „Dzienniku Zachodnim”. Deklaracja przedstawiała stanowisko jastrzębskiego MKR-u odnośnie do dwóch postulatów dyskutowanych na zebraniu w dniu 12 listopada:

Postulat pierwszy dotyczył ścisłego przestrzegania w działalności związkowej zasad dotyczących ustroju naszego państwa (natomiast drugi, ściśle z tym związany), zawierał żądanie szerszego wyjaśnienia stosunku „Solidarności” do problemów światopoglądowych, jako że niektóre projekty statutów związkowych – jak właśnie uczyniła to „Solidarność” – albo w ogóle nie poruszają tych zagadnień, albo deklarują swój „świecki”, względnie „laicki” charakter...³⁷

Strasliwie to durne było. Po pierwsze, deklaracja wiernopoddańczej lojalności wobec Systemu (ustroju), w sytuacji, kiedy kontestowały go już miliony ludzi, również partyjnych, była nikczemnością, a po drugie – wprowadzenie w solidarny (przynajmniej w tym czasie jeszcze) ruch sprzeciwu ideologicznego, bo nie ideowego, podziału na wierzących i niewierzących było dywersją ideologiczną.

Górnicy w tym czasie stawiali w Cechowniach figurki św. Barbary, tłumnie uczestniczyli w Mszach św., odprawianych w ich intencji, nie tylko w kościołach, ale również na terenach kopalnianych, i nikt nie zwracał uwagi, czy modlący się obok nie jest przypadkiem członkiem partii, a więc kimś deklarującym – przynajmniej formalnie – „laicki, naukowy światopogląd”.

Można zrozumieć młodych przywódców górniczych, którzy nie mieli wycucia politycznego, że się na to zgodzili, ale nie sposób usprawiedliwić doradców, którzy im to podsunęli. To była dywersja, obliczona na rozłam w „Solidarności”.

³⁵ Biuletyn programowo-informacyjny MKR-KZ NSZZ Nasza Solidarność Jastrzębie zaczął się ukazywać w końcu 1980 w formie małych zeszycików (formatu A5) w objętości 4 – 8 stron. Redagował zespół w składzie: Jerzy Skwara, Tadeusz Jedynek, Piotr Musioł, Wiesław Gwiżdż i Henryk Wuttke. Nakład: 3 tys. egzemplarzy. Do końca listopada 1980 ukazało się jedenaście numerów. Przestał się ukazywać w lutym 1981. Jego miejsce zajął biuletyn Regionu Śląska i Zagłębia „Zderzenia”, a od 3 maja 1981 – debiutowy tygodnik Solidarność Jastrzębie. W 1981 miał również kilka wydań B, ukazujących się w Katowicach. [Zwoźniak Zdzisław, Jak się rodziła Solidarność. Region Śląsko-Dąbrowski 1980-81, Archiwum „Solidarności” tom 35, Wydawnictwo Pomost, Warszawa 1990, s. 234]

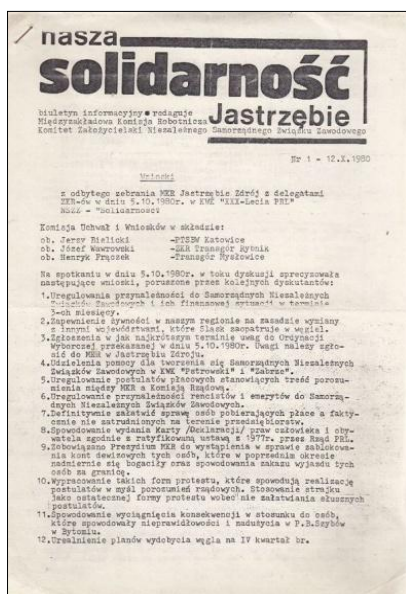
³⁶ Z relacji Grzegorza Stawskiego
http://www.jasnet.pl/pamiec/relacje_sierpień_80,,63.htm

³⁷ Za: Zwoźniak Zdzisław, op. cyt., s. 47

Podstawowy feler ideologiczny tych, pozał się Boże, kościelnych ekspertów, polegał na tym, że z przyzwyczajenia zawsze oglądali się na władze, a nie na tych, którzy wtedy właśnie rośli w siłę – protestujących robotników.

Co publikowała „Nasza Solidarność Jastrzębie”

Porozumienia Jastrzębskie podpisano 3 września 1980 r. Dopiero 12 października 1980 r., czyli ponad miesiąc później, Międzyzakładowa Komisja Robotnicza w Jastrzębiu Zdroju zaczęła wydawać swój biuletyn (czyli pismo wewnętrzne, niecenzurowane) „Nasza Solidarność Jastrzębie”. Redagowali go doradcy przysłani przez biskupa H. Bednorza i Tadeusza Jedynaka oraz Grzegorz Stawski z MKR-u.



Pierwsze dwa numery wydrukowano na offsecie w Katowickiej kurii Biskupiej, kolejne – również na offsecie – w drukarni KWK Borynia. Biuletyn kolportowany był w zakładach, które były zrzeszone w MKRze.

Redaktorzy nie mieli pojęcia o dziennikarstwie. Przepisywali uchwały MKR-u, oświadczenia i deklaracje ideowe jak leci, bez nawet próby uprzystępnienia ich czytelnikom, którymi byli przecież prości górnicy.

Dziennikarz czy redaktor (redagujący teksty) powinien być pośrednikiem w przekazywaniu informacji, umieć je tak opracowywać, aby były strawne dla czytelnika. Jak mnie kiedyś uczył stary wyga jednej z zachodnich gazet, redaktor powinien w razie potrzeby umieć w dwóch zdaniach streścić zawartość całej Biblii. Tymczasem pierwszy numer biuletynu wyglądał jak na stronie wcześniejszej, a następne wiele się od niego nie różniły.

* Żądamy podwyżek

W pierwszych numerach znajdujemy głównie sprawozdania z obrad MKR, postulaty załóg górniczych oraz uchwały. Rzuca się w oczy ciężar

gatunkowy postulatów materialnych. Pełna ich realizacja musiała spowodować, albo załamanie gospodarcze, albo potworną inflację. Górnicy żądali likwidacji systemu czterobrygadowego, znacznych podwyżek płac, podniesienia minimum płacowego, zwiększenia różnorakich świadczeń pozapłacowych typu dodatków za rozłąkę, dopłat dla mieszkańców Domów Górnika itp.

Pojawiło się wiele postulatów świadczących o pragnieniu większego ładu moralnego i sprawiedliwości w życiu społecznym. Żądano zmiany zasad przyznawania nagród jubileuszowych, pociągnięcia do odpowiedzialności sądowej osób odpowiedzialnych za nadużycia, podwyżek płac w służbie zdrowia, likwidacji etatów kopalnianych dla sportowców itp.

* Rozliczyć Macieja Szczepańskiego

Łatwo dzisiaj rozszyfrować postulaty o charakterze manipulacji politycznych. Postulat 15. ze spotkania MKR z delegatami ZKR-ów (Zakładowych Komisji Robotniczych) w dniu 5.10.1980 r. dotyczył rozliczenia byłego prezesa Komitetu ds. Radia i Telewizji Macieja Szczepańskiego.

W kolejnym numerze biuletynu znajdujemy informację o piśmie „wyborców” z okręgu nr 27, obejmującego Żory, Jastrzębie i Wodzisław, w którym kandydował do Sejmu (...) do najwyższych władz państwowych i KC PZPR domagające się cofnięcia[mu] immunitetu poselskiego i wyjawienia publicznego wszystkich nadużyć. Pismo to zostało przekazane za pośrednictwem Katolicko-Społecznego Koła Poselskiego „Znak” na Konwencji Seniorów na ręce Marszałka Sejmu.

W tamtych czasach o „wyborcach” w pełnym sensie tego słowa nie da się mówić. Wybory były farsą, mającą na celu oglupienie ludzi. Posłów do Sejmu wyznaczała partia, mieszkańcy kraju (bo o obywatelach nie można tu mówić), mieli „patriotyczny obowiązek oddać na nich głos”. Nawet oficjalna propaganda nie mówiła o wyborach, a tylko o głosowaniu.

Pismo „wyborców z okręgu nr 27” świadczy o wykorzystywaniu jastrzębskiego MKR do rozgrywek politycznych.

Maciej Szczepański był jednym z najmocniejszych filarów rządów Edwarda Gierka, który w tych dniach został odsunięty od władzy. Prezes Komitetu ds. Radia i Telewizji, który był oddany swojemu mentorowi, stanowił więc zagrożenie dla nowej ekipy nowego I sekretarza PZPR Stanisława Kani.

Pośrednictwo Katolicko-Społecznego Koła Poselskiego „Znak” w przekazaniu pisma świadczy, jak głęboko unurzane ono było w ów PRL-owski teatr pozorów.

* Partyjni z katolikami wspólnym frontem

W drugim numerze biuletynu „Nasza Solidarność Jastrzębie” z 17 października 1980 r. znajdujemy informacje o spotkaniach Jarosława Sienkiewicza, partyjnego przywódcy jastrzębskiego MKR-u, i Tadeusza Jedynaka, wiceprzewodniczącego, najpierw z biskupem katowickim Herbertem Bednorzem, a potem z I sekretarzem Komitetu Wojewódzkiego PZPR Andrzejem Żabińskim. Spotkania miały miejsce tego samego dnia, 9 października 1980 r. W pierwszym spotkaniu uczestniczył przewodniczący Katolicko-Społecznego Koła Poselskiego „Znak” poseł Janusz Zabłocki i redaktor biuletynu „Nasza Solidarność Jastrzębie” Jerzy Skwara. Biskupowi wyrażono podziękowania za pomoc. O drugim spotkaniu, które odbyło się bez kościelnych doradców, napisano w biuletynie: *Nasze postulaty spotkały się ze zrozumieniem.*

Widać z tego, że partyjne po części władze MKR-u, biskup katowicki, i jak i I sekretarz KW PZPR grali do jednej bramki. Wspólnie poszukiwali sposobu spacyfikowania rewolucyjnych nastrojów załóg górniczych, i nie tylko górniczych. Do jastrzębskiego MKR-u należało wtedy już 321 zakładów pracy, zrzeszających 2 mln 926 tys. członków, w tym 91 kopalń.

Jastrzębski MKR opowiedział się za branżową strukturą związku. Wezwał członków, aby strajk traktowali jako formę ostateczną protestu, kiedy inne zawiodą.

Na spotkaniu z prezydium jastrzębskiego MKR-KZ 19 października bp H. Bednorz apelował o poczucie wspólnej odpowiedzialności za losy kraju i wyważone wysuwanie realnych postulatów. Radził, aby regularnie spotykać się w gronie działaczy MKR-ów. W homilii wygłoszonej podczas Mszy św. na KWK „XXX-lecia PRL” mocno podkreślał: *Kościół jednoczy!*

* Wśród robotników wrzało

Działania pacyfikujące MKR-u, biskupa katowickiego i władz partyjnych nie przynosiły jednak efektu. Wśród robotników nadal wrzało. W numerze 6. biuletynu „Nasza Solidarność Jastrzębie” z 8 listopada 1980 r. znajdujemy tekst zatytułowany *Po co to zebranie?*, z którego dowiadujemy się o spotkaniu z członkami jastrzębskiego MKR-u przedstawicieli kilkudziesięciu Zakła-

dowych Komisji Robotniczych i niektórych Komisji Zakładowych niezadowolonych z pracy tegoż MKR-u. Spotkanie miało miejsce kilka tygodni wcześniej, bo 12 października, w jastrzębskiej Hali Widowiskowo-Sportowej. Fakt, że o nim przypominano, świadczy, iż sprawa pozostawała aktualna. Dyskusja na spotkaniu musiała być gorąca, bo tekście czytamy:

(...) wśród wielu słów mądrych i odpowiedzialnych padały też słowa nieprzemyślane, podyktowane nastrojem chwili i fantazją wiecowania. Stawiano wnioski słuszne i potrzebne, ale też nierozważne. (...) Rozumiemy, że się ludziom nagromadzona latami żółć przelewa. (...) Musimy wszakże pamiętać, że nawet najbardziej uzasadnione powody do zniecierpliwienia nie powinny przysłonić nam trzeźwe spojrzenie i poczucie odpowiedzialności za słowa i czyny.

* Mieczysław Moczar podsuwa kwity

W pierwszych numerach „Naszej Solidarności Jastrzębie” ukazywały się raporty pokontrolne Najwyższej Izby Kontroli (NIK). To były materiały całkowicie usprawiedliwiające bunt mas robotniczych. Czytelnicy dowiadawali się ile na przykład mieszkań zakładowych zostało zasiedlonych po znajomości, ile dach letniskowych i gdzie wybudowano korzystając z pracy górników, opłacanych przez kopalnie, ilu sportowców utrzymuje kopalnia itp.

Wyglądało to tak, że MKR zgłaszał na przykład do NIK-u potrzebę przeprowadzenia kontroli w sprawie nieprawidłowości w gospodarce mieszkaniowej na terenie Jastrzębia.³⁸ W odpowiedzi NIK przysyłał notatkę służbową z następującym wyliczeniem:

Przeprowadzona kontrola wykazała między innymi: - 11 przypadków sprzedaży mieszkań przez byłych lokatorów, - 67 przypadków podnajmu lokali, - 4 przypadki bezprawnego zajęcia lokali, - 2 przypadki bezprawnej zamiany mieszkań przez lokatorów (bez wiedzy i zgody spółdzielni), - 11 przypadków posiadania przez głównego najemcę dwóch odrębnych mieszkań, - 18 przypadków koniecznej eksmisji lokatorów, którzy na podstawie wyroków sądowych utracili prawa członkowskie w spółdzielni, - 40 przypadków zdewastowania mieszkań przez lokatorów (zniszczona urządzenia sanitarne, uszkodzone posadzki).

Prezesem NIK był wtedy Mieczysław Moczar, przywódca frakcji narodokomunistycznej w partii. Został tam zesłany przez Edwarda Gierka, któremu próbował w pewnym momencie odebrać

³⁸ Nasza Solidarność Jastrzębie nr. 15 z 8 grudnia 1980 r.

władzę. To M. Moczar przekazywał związkowcom materiały kompromitujące lokalnych polityków

„Manifest Lipcowy” pojawił się Gierek, to by go pewnie zaniesiono na rękach do stolicy. Takie



W oczekiwaniu na wynik negocjacji; zdj. Józef Żak

i działacze partyjnych. Solidarność nadawała im publiczny bieg, przechwytywały to partyjne media, które wszczynały kampanię rozliczeń. Potem wchodziły milicja i prokuratura.

– Sienkiewicz jeździł do Warszawy i przywoził pokontrolne dokumenty kompromitujące byłych prominentów – opowiadał później jeden z organizatorów strajku Grzegorz Stawski. – Uderzaliśmy w byłych sekretarzy, wymienialiśmy dyrektorów.

– Tak, mieliśmy kontakt z Moczarem – przyznał też Jan Jarliński, członek prezydium jastrzębskiego MKR-u – On dawał nam materiały kompromitujące prominentnych działaczy śląskich, a my je publikowaliśmy. Czy byliśmy marionetkami? Nie wiem. Wtedy tak nie myślałem.(...) to przecież był nasz strajk, nasze postulaty, nasz komitet strajkowy. (...) Czy wtedy można było myśleć, że to jest jakaś gra, że my nic tutaj nie znaczymy? Ważne, kto z lewej, a kto nie?(...) Jakże ja i wielu z nas miało pojęcie o tym, co to jest strajk, wolne związki, polityka? Każdy czuł, że dzieje się coś ważnego, ale nie wiedział, jak to się skończy i był naiwny. Gdyby wówczas, w nocy z 2 na 3 września, w kopalni

pojęcie jak walka z socjalizmem to była dla wielu abstrakcja. A niechże sobie będzie. Oczywiście, z wolną niedzielą i wolnymi sobotami. Socjalizm tak, ale już na przykład dyrektor Duda – nie. Wie pan, jaki był jeden z pierwszych postulatów? Więcej butów rozmiar 39!³⁹

Gdyby z takich materiałów pokontrolnych NIK-u korzystały wcześniej oficjalne związki zawodowe, powiązane z partią, gdyby, korzystając ze swoich wpływów w partii, podejmowały akcje antykorupcyjne, nagłaśniały je, być może do rewolucji solidarnościowej by nie doszło, ale... te nie funkcjonowały tak, jak w założeniach. Były zbyt uwikłane w system.

Działacze solidarnościowi związani z M. Moczarem zaangażowali się później w sanację Związku Zawodowego Górników, a jeszcze później w tworzenie Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych. „Solidarność” była ich zdaniem upolityczniona.

³⁹ Nowak Mirosław, *Oni z Jastrzębia*, <https://www.tygodnikprzeglad.pl/oni-z-jastrzebia>, wrzesień 4, 2000

* Katolicka nauka społeczna

Doradcy przysłani przez biskupa usiłowali formować świadomość górników w duchu katolickiej nauki społecznej, czynili to przedrukowując całe referaty z seminariów poświęconych temu zagadnieniu. W numerze 12 z 28 listopada 1980 r. znajdujemy krótką relację z homilii dwóch księży i dwa naukowe referaty, jeden prof. Czesława Strzeszewskiego o nauczaniu społecznym Kościoła, a drugi Zygmunta Drozdka o roli związków zawodowych.

Dzisiaj te teksty robią przygnębiające wrażenie. Widać z nich, że zarówno duchowni, jak i świeccy działacze katoliccy, uczeni, zajmujący się nauką społeczną Kościoła w ogóle nie ogarniali wydarzeń, nie rozumieli, co się naprawdę dzieje. Księża mówili do ludzi, którzy ryzykując życie, pojęli walkę z Systemem – że strajki, opór społeczny, mogą być usprawiedliwione. Nawet – o ironio – znajdowali na to argumenty z Biblii!

Świeccy fachowcy prezentowali słuchaczom zasady społecznej nauki Kościoła takie, jakie były opracowane dla robotników w systemie dziewiętnastowiecznego kapitalizmu. Robotnicy mają takie to a takie prawa, między innymi do zakładania wolnych związków zawodowych, i takie to a takie obowiązki. Powinni to, powinni owo, a wszystkim stosunkami w zakładach powinna rządzić miłość. Puste moralizatorstwo i unikanie – nie wiadomo czy z niezdolności, czy ze strachu – nazywania rzeczy po imieniu.

Można odnieść wrażenie, że działacze katoliccy byli na usługach Systemu. Macie swoją godność, macie swoje prawa, w tym do organizowania się w niezależne związki zawodowe, ale... pracować trzeba. Strajk – tylko w ostateczności, a najlepiej w ogóle. Przede wszystkim, związki zawodowe nie powinny zajmować się polityką, to nie jest ich pole działania.

Tymczasem system socjalistyczny – w swoich założeniach – przyznawał robotnikom o wiele większe prawa. Oferował im, jako „ludowi pracującemu miast i wsi”, pełną podmiotowość, również polityczną, a nawet więcej – władzę państwową.

Problem polegał tylko na tym, że nie wiedzano, jak te prawa wprowadzić w życie i je potem chronić. Praktyka Systemu była diametralnie różna od założeń ideowych. Na ten temat spece od katolickiej nauki społecznej nie potrafili powiedzieć – albo nie mieli odwagi – ani słowa. Kluczową kwestią było znalezienie odpowiedniej formy własności, bo państwowa forma własności

nie sprawdzała się albo sprawdzała się tylko częściowo.

Ta nędza katolickiej nauki społecznej zemściła się na narodzie kilka lat później, kiedy przy okrągłym stole przystąpiono do prac nad reformą państwa. Nikt nie wiedział, jak je zreformować, więc oddano to w ręce amerykańskich hochsztaplerów Jeffreya Sachsa i innych, którzy proponowali nam rozwiązanie znane pod nazwą Planu Balcerowicza. Owocem jego była likwidacja polskiego przemysłu, masowe bezrobocie i wymieranie narodu.

* Koniec ze strajkami spontanicznymi

17 września 1980 r. powołana została Krajowa Komisja Porozumiewawcza (KKP), organ koordynujący działalność lokalnych MKR-ów i Komisji Zakładowych (jeszcze nie Komisja Krajowa „Solidarności”, bo ta została zarejestrowana dopiero 10 listopada tego roku). Do czasu rejestracji komisje zakładowe, zakładowe komisje robotnicze i międzyzakładowe komisje robotnicze dodawały do swoich nazw słowa: Komitet Założycielski (KZ), na przykład jastrzębski MKR-KZ.

Od momentu powołania KKP w biuletynie jastrzębskiej Solidarności, redagowanym przez ugodowych działaczy katolickich, daje się zauważyć coraz więcej odwoływania się do tej centralnej struktury. Widać, że działacze regionalni nie radzili sobie ze wzrostem nastrojów rewolucyjnych wśród załóg robotniczych. Wezwania przywódców MKR-u, gazet partyjnych i biskupa, a nawet i prymasa ks. kard. Stefana Wyszyńskiego nie pomagały. Odwoływanie się do KKP stało się jednym ze sposobów unikania konfrontacji z własnymi załogami. Argumentowano, że na strajk musi wyrazić zgodę KKP i można było udawać, że wciąż jeszcze stoi się po stronie robotników.

NSZZ „Solidarność” została zarejestrowana 11 listopada, a już dwa tygodnie później, 26 listopada 1980 r., na posiedzeniu w Gdańsku Krajowa Komisja Porozumiewawcza wydała oświadczenie zastrzegające organom związku prawo do podejmowania strajków:

Zgodnie z § 33 ust. 3 Statutu strajk solidarnościowy, a także każdy strajk, który wykracza poza jeden zakład pracy, może być podjęty wyłącznie na podstawie decyzji Zarządu Regionalnego. Strajk, który wykracza poza teren jednego regionu może zostać podjęty wyłącznie na podstawie decyzji Komisji Krajowej związku.

Sekcje branżowe i zawodowe nie mają prawa podejmować decyzji o strajku bez zgody Krajowej

Komisji. Krajowa Komisja Porozumiewawcza podkreśla z całą mocą, że w panującej obecnie napiętej sytuacji społecznej wszelka działalność strajkowa niezgodzona z właściwymi instancjami związkowymi godzi w dobro Związku. W poczuciu odpowiedzialności za dobro kraju i naszej organizacji przestrzegamy przed nieodpowiedzialnymi strajkami. Może się bowiem zdarzyć, że będziemy zmuszeni publicznie zdystansować się od niezgodnej ze Statutem akcji strajkowej.

Później doszła do tego metoda stosowana przez działaczy związkowych Huty Katowice: radykalizacja żądań politycznych, niematerialnych. Podejmowano strajki o dostęp do oficjalnej prasy, o usunięcie jednego czy drugiego sekretarza partyjnego, o usunięcie rektora uczelni itp. Wobec takich radykalnych żądań nie wypadało rzeszom związkowym ciągle podnosić kwestii płacowych. Te sprawy – jak uważano – muszą poczekać. Taki nurt – polityczny – zwyciężył i w jastrzębskiej „Solidarności”. Było to sprzeczne z początkowymi deklaracjami działaczy i doradców, że budują związek zawodowy a nie polityczny, z deklaracjami, że związek ma pozostać na gruncie ustroju socjalistycznego.

* Głodówka przeciw konkurencji

13 listopada pięciu członków Zakładowej Komisji Robotniczej kopalni „Manifest Lipcowy” podjęło głodówkę protestacyjną przeciwko planowanemu na 17 listopada zjazdowi Związku Zawodowego Górników. W ciągu następnej doby przyłączyli się do nich przedstawiciele ZKR sześciu następnych kopalń i „Fazosu”, produkującego obudowy dla górnictwa, w sumie głodowały 43 osoby.

Sytuacja kuriozalna. Dopiero co powstały związek zawodowy, walczący o niezależność i samorządność, usiłuje za pomocą skrajnie drastycznych metod, apelując do wrażliwości górników, wpłynąć na suwerenne decyzje innego związku. Wydawałoby się, „Solidarność”, walcząca o wolność zrzeszania się, powinna ją szanować wszędzie i zawsze, bo tylko tak może być wiarygodna. Głodujący górnicy tłumaczyli, że nie protestują przeciwko samemu zjazdowi, tylko przeciwko jego terminowi. Konkurenci powinni, ich zdaniem, poczekać na zjazd „Solidarności”, aby wyklarowała się kwestia członkostwa, bowiem rzesze górników zapisały się do nowego związku, nie wypisując się ze starego. Delegaci na zjazd ZZG utracili faktycznie mandat do reprezentowania swoich (byłych już?) członków. W rzeczywistości głodujący solidarnościowcy obawiali się, że zjazd

starego związku przejmie radykalne materialne postulaty nowego i z powrotem odzyska członków.

– Coraz więcej związków niezależnych i samorządnych próbuje przechwycić nasz program i przelicytować – mówił Jarosław Sienkiewicz. – Istnieje obawa, że ZZG nasze osiągnięcia przypisze sobie.

Było o co głodować, gdyż związki zawodowe miały w kopalniach dużo do powiedzenia. Miały wpływ na podział premii, przydziały czasów, miejsc w Domach Górnika, rozdział mieszkań, a nawet wysokość zarobków. Było o co walczyć. Ostatnie, ale nie najmniej ważne to etaty związkowe. Zarobki jak na dole, a brudzić się nie trzeba. Nie była to już walka w interesie górników.

Koniec solidarności

Solidarność, ta zwykła, ludzka, trwała niedługo, kiedy sytuacja ustabilizowała się, rozpoczęła się walka o stołki.

– Z mojego punktu widzenia prawdziwa „Solidarność” trwała trzy miesiące, a reszta karnawału, szczególnie na szczytach związkowych, to już tylko intrygi i wzajemne podgryzanie się – wspomina Henryk Kozieł. – Dzisiaj to już naprawdę trudno powiedzieć, czy to tylko ambicje członków „Solidarności”, czy działalność SB doprowadziły do upadku tego ruchu. Dla przykładu do MKR-u mógł wejść każdy i powiedzieć swoje, a ludzie potem się nad tym głowili; czy to była prawda, czy kłamstwo. Osobną sprawą była działalność esbecji, a czymś zupełnie innym chore ambicje przywódców „Solidarności”, czy tych, którzy na te stanowiska chcieli się dostać. I tak powoli zwykła solidarność międzyludzka zaczęła się przeradzać w niechęć, a z czasem w nie-nawiść. Przynajmniej w niektórych przypadkach. Przecież moja żona również była przesłuchiwana przez SB, a dla niektórych był to już powód do tego żeby płeć o niej niestworzone bzdury.⁴⁰

– Po pewnym czasie rozpoczęły się u nas straszne klótnie i koniec końców Sienkiewicz musiał odejść – mówi Urszula Popena-Kozieł. – Kiedy na początku stycznia 1981 roku opuszczał MKR, to zaproponował mi abym odeszła razem z nim. Wtedy Jedynek powiedział „Ulka zastanów się co robisz”. Odpowiedziałam im, że w takiej atmosferze nie chcę już więcej pracować. Wtedy w MKR były tylko klótnie i gierki. O naturze tych sporów, tak Bogiem a prawdą niewiele mogę powiedzieć, bo po pierwsze nie byłam w nie wprowadzana, a po

⁴⁰ Urszula Popena-Kozieł i Henryk Kozieł
http://www.iasnet.pl/pamiec/relacje_sierpień_80,153.htm

drugie wolałam zająć się bardziej konstruktywną robotą np. pomocą w redagowaniu pisma MKR- u „Nasza Solidarność – Jastrzębie”. O ile pamiętam, to w skład redakcji wchodziło: Jedynek, Pałka, Stawski, Kosiński, Kuś, Bera, Jarliński i Rygiel. Te osoby na sto procent pamiętam. Jeśli o mnie idzie, to zajmowałam się głównie drukiem. Redakcja i druk odbywały się w siedzibie MKR-u.

Znowu co się tyczy Sienkiewicza, to on nigdy nie wypierał się swojego członkostwa w PZPR. Natomiast nic nie mogę powiedzieć o tych wszystkich skandalach obyczajowo-alkoholowych, o które go posądzano. Nigdy też nie widziałam, aby miał przy sobie broń. W tych sprawach nic

w MKR przyszło 19 stycznia 1981 roku i było podpisane przez Stefana Trzosa, czyli przewodniczącego „Solidarności” u nas w ZRIŃ-u, czyli człowieka, który zajął tam moje miejsce. To była pierwsza próba odwołania mnie z MKR.

I o co chodziło? Otóż jeszcze przed odejściem Sienkiewicza otrzymaliśmy siedzibę w Katowicach na ul. Stawowej i Sienkiewicz podzielił nas na tych, którzy mieli wyjechać do Katowic i tych, którzy mieli zostać w Jastrzębiu. Jedynek, Stawski, Sienkiewicz i ja przeszliśmy do Katowic. Pałka został w Jastrzębiu, ale często był w Katowicach.

Na ten podział zgodzili się wszyscy w MKR. Potem do naszego MKR dołączyło całe Zagłębie



Przy jednym stole – naprzeciw górników. Jarosław Sienkiewicz odczytuje tekst Porozumienia, po jego prawej ręce – delegacja rządowa, po lewej – Stefan Pałka; zdj. Józef Żak

powiedzieć nie mogę. Ja o Sienkiewiczu mogę powiedzieć tyle, że to był prosty i otwarty człowiek i jeśli miał z kimś jakiś problem, to mówił to temu człowiekowi prosto w oczy. To się wielu ludziom nie podobało. Co prawda kiedy odeszłam z MKR- u, to słyszałam o tym, że zaczął zakładać jakieś „rozbijackie” związki. Według mnie on obawiał się radykalizmu innych przywódców „Solidarności”. Ja odeszłam z MKR- u nieco później niż Sienkiewicz, a moja sprawa wyglądała tak: pierwsze pismo do MKR w sprawie o odwołanie mnie z pracy

Śląskie, wszystkie MKR- y z całego Śląska. No i wtedy zaczęły się prawdziwe rozgrywki. Miejsce przewodniczącego było jedno, a chętnych na to stanowisko było bardzo wielu.

Henryk Koziel: – Pozwolę sobie wtrącić, że to była po prostu zwykła walka o stolki. Według mnie były to personalne rozgrywki, a program związku czy jego struktura pozostawały w tle i stanowiły tylko narzędzie do osiągnięcia stanowiska. Sienkiewicz spotykał się, co prawda, często z dy-

gnitarzami partyjnymi, ale między innymi na tym polegała przecież jego rola. Można myśleć i mówić sobie o Sienkiewiczu, co kto chce, ale według mnie on nie był człowiekiem podstawionym. Bardzo trudno już dzisiaj odczytać rolę i postawę tego człowieka. Zresztą cała historia związku jest bardzo niejasna. Wielu ludzi zamilkło i nie chcą na ten temat mówić w ogóle, inni znowu przypisują sobie cudze zasługi, a całość przypomina węzeł gordyjski.⁴¹

Usunięcie Jarosława Sienkiewicza

Tak jak powiedziała Urszula Popenda-Kozieł, solidarności, tej zwykłej, międzyludzkiej, starczyło gdzieś na trzy miesiące. Później, kiedy stało się jasne, że aktywny protest nie tylko nie grozi już większymi konsekwencjami, a nawet przynosi profity, rozpoczęły się walki o władzę wewnątrz związku. Ludzie władzy, ludzie Systemu przyglądali się temu z satysfakcją, licząc, że konflikty z czasem rozsądzą niezależny i samorządny związek. Liczyli na zawrót głowy działaczy związkowych, którzy z prostych robotników wybili się na wpływowych przywódców i zaczęli uprawiać gry na forum politycznym.

Andrzej Żabiński, I sekretarz KW PZPR w Katowicach, tak mówił do „aktywu partyjnego” milicji i służby bezpieczeństwa na spotkaniu 26 września 1981 r.:

– Trzeba ich uwikłać w tysiące spraw, ja im współczuję, bo to są kochane, niekiedy młode chłopaki, a wdali się w tę wielką politykę, no ale nie ma innego wyjścia. Muszą wiedzieć, co to znaczy smak władzy. Należy im wszędzie udostępniać lokale. Najbardziej luksusowo urządzać jak tylko można. Ja to już ciągle mówię, ale jeszcze raz powtórzę w tym gronie: nie znam człowieka, którego by władza nie zdemoralizowała, to tylko kwestia jak szybko i w jakim stopniu. To się już u nich obserwuje, łatwy dostęp do pieniędzy, taksówkami do Gdańska, telefony, kontakt z Se-kretarzem KW, z wicepremierem, jeżdżą i po prostu zaczynają szastać pieniędzmi, [...] a więc jest to kierunek słuszny.⁴²



Tadeusz Jedynak objął przywództwo górniczej Solidarności po wyeliminowaniu Jarosława Sienkiewicza

Solidarnościowa prasa rzuciła się wtedy na niego jak sfera psów, trudno zrozumieć – dlaczego? Za to, że zdradził partyjną strategię walki? Trzeba mu było podziękować i wziąć sobie jego słowa w pokorze do serca, bo mówił prawdę. Wszelka władza demoralizuje, demoralizuje również działaczy Solidarności, a przykłady mamy teraz i mieliśmy już wtedy. Za falą krytyki Andrzeja Żabińskiego kryły się, z jednej strony – walki frakcyjne wewnątrz partii (ktoś wyniósł taśmę z jego wystąpieniem i przekazał ją działaczom związkowym), z drugiej – naiwne wyobrażenie rzesz związkowych o powszechnej zgodzie narodowej, Tak jakby towarzysz sekretarz kiedykolwiek udawał, że z Solidarnością jest mu po drodze. Wprawdzie skumpłował się z Jarosławem Sienkiewiczem, też towarzyszem partyjnym, ale wcale nie dlatego, że marzyły mu się naprawdę pozasystemowe związki zawodowe.

W walce frakcyjnej wewnątrz jastrzębskiego MKS-u Jarosław Sienkiewicz poległ. Miał w prezydium swoich ludzi, m.in. Jana Jarlińskiego, późniejszego założyciela Ogólnopolskiego Związku Zawodowego Górników, a poza prezydium, w samym MKR-ze – Wacława Martyniuka, (również kolegę partyjnego). Usunięcie przywódcy Solidarności górniczej poprzedziła szeptana propaganda, którą doskonale pamiętam.

– SB udało się wprowadzić na czoło protestów górniczych swojego agenta – powtarzali bezrefleksyjnie wszyscy z naszej, solidarnościowej strony. – Wystrzegaj się go!

Siła rażenia tej plotki była potworna. Warto w tym aspekcie zwrócić uwagę na wspomnienia Stanisława Gazdy, jednego z założycieli „Solidarności” w Gliwicach [patrz rozdział Gliwickie gry z esbecją].

Aż nie do wiary, że fala pomówień mogła rozlać się tak szybko i tak szeroko. Ktoś za tym musiał stać. Kto? Agenci SB, którzy mogli uważać J. Sienkiewicza za najniebezpieczniejszego przeciwnika z solidarnościowych przywódców z tej racji, że w razie czego znalazłby oparcie w partii? Za tym przemawia fakt, że wśród solidarnościowych przywódców był jednym z nie-wielu, którego nie mieli na swych usługach. Przeciwnicy z czołówki powstającej „Solidarności”, z Krajowej Komisji Porozumiewawczej? Z pewnością wśród insiratorów tych pomówień byli czołowi działacze z Huty Katowice, walczący o przejęcie kierownictwa związku na Górnym Śląsku Andrzej

⁴¹ Urszula Popenda-Kozieł i Henryk Kozieł
http://www.jasnet.pl/pamiec/relacje_sierpien_80_153.htm

⁴² za:
http://www.wszechnica.solidarnosc.org.pl/?page_id=168

Rozpłochowski i Kazimierz Świtoń. Ten pierwszy – z wyrachowania, a ten drugi z powodu fiksacji na tle esbeckich agentów, której nabawił się przez lata samotnej walki z Systemem. Mogli też stać za tym działacze partyjni z frakcji dążącej do usunięcia Andrzeja Żabińskiego ze stanowiska I sekretarza KW PZPR w Katowicach, z którym kumpłował się J. Sienkiewicz. A może wszyscy po trochu?

Jak doszło do usunięcia J. Sienkiewicza i jego popleczników z władz jastrzębskiego MKR-u oraz dlaczego, opowiedział G. Stawski, członek prezydium MKR.

– Grupa ludzi związanych z J. Sienkiewiczem (...) – doradców, jego koteria i tzw. „dwór” (...) mających wpływ na decyzje Sienkiewicza. (...) zaczęła rządzić i formułować w imieniu MKR stanowiska, wypowiadając się na zewnątrz (...) w pewnym momencie MKR jako instytucja pękł na dwie części. Z jednej strony wyłoniło się grono ludzi związanych z Prezydium dawnego MKS i część sygnatariuszy porozumień (...), a z drugiej również część sygnatariuszy porozumień (...) i Ludzie dokooptowani przez J. Sienkiewicza. (...)

Mój konflikt z J. Sienkiewiczem miał dwie zasadnicze płaszczyzny. Pierwsza dotyczyła tzw. „dworu” Sienkiewicza, gdyż jak nie było Jarosława, to i „dworu” nie było. W związku z tym nic nie można było załatwić. (...) Drugim polem do konfliktu była działalność organizacyjna MKR. (...) Sienkiewicz był bałaganiarzem oraz denerwowało go wypełnianie i podpisywanie różnych dokumentów i druków, więc zawsze spierałem się o to z nim. Poza tym nie zgadzałem się z jego samowładztwem i nie liczeniem się z opinią innych członków Prezydium i MKR, jako całości. (...)

Do tego doszła nasza wiedza wyniesiona z posiedzeń KKP w Gdańsku – umiejętność patrzenia na inne sprawy niż tylko nasze wewnętrzne. Była to wiedza wynikła ze spotkań z kręgami KOR-u, z Cywińskim – zaprzyjaźnił się z Jędrakiem – z rozmów i spotkań z Kuroniem i Michnikiem. Byli to ludzie (często doradcy KKP), którzy zaczęli otwierać nam oczy, pokazując mechanizmy, których myśmy dotychczas nie znali. Te spostrzeżenia były przez nas (ja, R. Kuś i T. Jędrak) przenoszone do MKR Jastrzębie i weryfikowaliśmy to, co się działo u nas. Sienkiewicz był nastawiony anty-KOR i starał się nas „szczepić” przeciwko KOR-owi. Myśmy się z tym nie zgadzali, więc zaczęła się wewnętrzna walka polityczno-ideologiczna w MKR – burzliwe posiedzenia Prezydium. (...)

Zaczęła się też polaryzacja wokół tych dwóch osób – wokół Jędraka zebrała się część „trzonu” ideowo-związkowego z Prezydium MKR oraz inni

ludzie (...), którzy nie zgadzali się z Sienkiewiczem. Równocześnie przychodzą do nas z terenu informacje dotyczące zachowań Sienkiewicza, tego co robi oraz jego bałaganiarstwa w sprawach związanych z organizacją KZ zakładowych. Ujawniła się też w MKR dość szybko opcja wpływów KPN (grupa kopalń rybnickich), która była dobrym oparciem dla „trudnych” pytań do Sienkiewicza. Doszło także do spotkania publicznego Sienkiewicz – Jędrak, gdzie Tadeusz wystąpił publicznie z zarzutami wobec Jarosława (w tym koronny w owym czasie zarzut – nadużywanie alkoholu i rozwiązłość seksualna). Wtedy też, ludzie z sali zmusili ich obydwu do podania sobie rąk w geście zgody i zadeklarowania, że spróbują jeszcze raz współpracować, a nie rozwalać MKR.

Po opublikowaniu artykułu w „Dzienniku Zachodnim” szkalującym kryptokatolików, przedstawiono nas – grupę przeciwną Sienkiewiczowi, jako zdeklarowanych wrogów systemu i że przeciwdziałamy zdrowemu kierunkowi działalności Sienkiewicza. Poprzez to władza chciała spróbować zniszczyć nas przy pomocy prasy używając wobec nas zwrotu: „Komu służymy?”.

W związku z tym zebraliśmy się w mieszkaniu u Jędraka w Żorach (ja i H. Wuttke) i w odpowiedzi na ten artykuł napisaliśmy oraz wydrukowaliśmy na białkówce ulotkę pt. „Kto komu służy?”. Zdobyliśmy też podpisy wielu ludzi z MKR-u na tej ulotce. Następnie rozdawaliśmy ją ludziom. Wtedy doszło do ogromnego konfliktu i Sienkiewicz zrobił z tej ulotki krucjatę przeciwko nam. Zażądał też od tych, co podpisali się na ulotce, aby potwierdzili swój podpis – duża część ludzi wycofała się mówiąc, że myśmy to zmanipulowali, gdyż oni podpisali się tylko pod fragmentem przekazanego im tekstu. (...)

(...) Sienkiewicz chciał nas usunąć. Myśmy postanowili, że Jędrak i Kuś pojedą do Gdańska, zabiorą ze sobą materiały dot. Sienkiewicza i przedstawią je Komisji Krajowej i Wałęsie (sprawa o co toczy się ten konflikt na Śląsku). Zostałem więc sam w MKR. S. Palka był stosunkowo neutralny, choć postawił parę zarzutów Sienkiewiczowi. Na tym zebraniu MKR było ok. 20-kilka osób (Prezydium MKR + pracownicy etatowi + „dwór” Sienkiewicza) Wywiązała się większa rozmowa pomiędzy mną a Sienkiewiczem, w której wysuwałem mu zarzuty – to z czym się nie zgadzamy. Wtedy na stwierdzenie albo on odejdzie, albo my, odpowiedziałem mu

– „To pisz rezygnację z funkcji przewodniczącego!”. Wiele innych ludzi, niekoniecznie związanych z nim, napisało też rezygnację na moje ręce. W efekcie czego zostało tylko ok. 7-8 osób.

Część z nich później wycofała swoje rezygnacje (...) Pozostali z Sienkiewiczem na czele musieli odejść. (...)

Następnego dnia przyszli ok. godz. 11 do pracy w MKR wraz z Sienkiewiczem ci co zrezygnowali, więc nie wpuściłem ich do budynku. (...) To był jego koniec.⁴³

Jak widać, główna oś konfliktu leżała na linii: KOR i przeciwnicy KOR-u. KOR wygrał. Wiesiek Asman, mój późniejszy szef z redakcji „Tygodnika Katowickiego”, mówił mi, że Tadeusz Jedynak” był człowiekiem KOR-u”. Ze wspomnień Grzegorza Stawskiego wynika, że on również nim był.

J. Sienkiewicz nie pojechał do Gdańska, aby na zebraniu Krajowej Komisji Porozumiewawczej (KKP) wyjaśnić sprawę stawianych mu zarzutów. Wysłał wyjaśnienia nagrane na magnetofonie. Jak wspomina Jacek Kuroń, „jedenastka” KKP po wysłuchaniu wyjaśnień natychmiast postanowiła uchwalić, że Sienkiewicz jest zdrajcą Narodu polskiego, sprzedawczykiem i ubekiem.

Oskarżany w kolportowanych ulotkach o współpracę z władzami i działalność dywersyjną w „Solidarności”, 8 stycznia 1981 r. złożył rezygnację z funkcji przewodniczącego. Rezygnacja nie została przyjęta przez Zakładowe Komitety Założycielskie (ZKZ) i Zakładowe Komisje Robotnicze (ZKR) regionu jastrzębskiego. Jednolita dotąd organizacja jastrzębska uległa rozbiciu.

26 stycznia opublikował w oficjalnej prasie⁴⁴ List otwarty do wszystkich członków NSZZ „Solidarność” w którym zarzucił byłym kolegom m.in. eliminowanie z Solidarności członków partii, a on, choć od lat związany z PZPR, starał się zachować apolityczność nowego związku.

– Ta odezwa to było nierozsądne posunięcie ze strony Jarka, ale to nie on był jej autorem, tylko Komitet Wojewódzki – oceniał po latach Janusz Jarliński, współpracownik Sienkiewicza, jeden z sygnatariuszy Porozumień Jastrzębskich, w późniejszych latach działacz SLD. Sienkiewicz leżał wtedy chory: – Zaakceptował treść, ale nie podpisał, a później tej zgody żałował.

W IPN nie znaleziono, choć usilnie szukano, żadnych śladów na współpracę Sienkiewicza z SB, ale też służby nie werbowały (przynajmniej oficjalnie) członków partii.

– To raczej SB była na usługach Sienkiewicza – uważa Stawski.

* „NSJ” o usunięciu J. Sienkiewicza:

Historię MKR Jastrzębie znacie, powstał on na mocy Porozumienia z 3.09.1980 r. wskutek przekształcenia MKS w MKR. W drugim dniu strajku pojawił się wśród nas Kol. Jarosław Sienkiewicz. Kol. Jarosław Sienkiewicz w czasie strajku był mocno zaangażowany w MKS. Po strajkach zaczął wnosić w nasz powstający związek dużo dobrego, był uczciwy, zrównoważony, opanowany reprezentował swoją postawę działacza z prawdziwego zdarzenia, wierzyliśmy mu i ufaliśmy.

Byliśmy wszyscy dumni, że mamy tego typu człowieka wśród nas. Pewnego dnia okazało się, że Kolega Sienkiewicz zmienił się nie do poznania. Zmiana ta nastąpiła w momencie, gdy kolegę Sienkiewicza zaczął odwiedzać w MKR Kolega z SB zwany Mietkiem.

Pierwszy błąd popełnił Kol. Sienkiewicz, kiedy poprosił SB, żeby udostępniła mu dane dotyczące działalności Lecha Wałęsy i in-nych działaczy z tworzącego się związku Solidarność. W naszym odczuciu było to napuszczanie robotnika na robotnika.

Kolejnym budzącym niepokój pociągnięciem było bez konsultacji z prezydium wprowadzenie do MKR Wacława Martyniuka, agitatora partyjnego z KWK „Suszec”. Przeciwno wprowadzeniu tego człowieka protestowała wówczas znaczna część załogi KWK „Suszec”, „ZMP” i innych zakładów pracy. Nasze wątpliwości w tym zakresie zbywane były różnego rodzaju tłumaczeniami.

W podobnych, bliżej nie wyjaśnionych, okolicznościach ale w każdym razie bez formalnej aprobaty, w skład prezydium MKR wszedł i rozpoczął swoją działalność Pan Tadeusz Swirtun z PAX-u cieszący się do dziś poparciem Pana Sienkiewicza.

W tym czasie zaczyna Pan Sienkiewicz podejmować samowładne decyzje, nie liczy się z opinią kolektywu. Zaczynają się coraz częstsze pijaństwa i wypadki w teren. Znika Pan Sienkiewicz na kilka dni, nie wiadomo co się z Panem Sienkiewiczem dzieje. Tłumaczymy to sobie obciążeniem psychicznym, że człowiek ma prawo być zmęczony i popełniać błędy.

Od pewnego czasu zaczynają chodzić po kraju różne plotki na MKR Jastrzębie, a w szczególności obciążające Pana Sienkiewicza. Działalność MKR w tym czasie sprowadza się do wyprostowywania tych plotek, które po pewnym czasie okazują się być niestety prawdziwe i uzasadnione coraz bardziej mniej skuteczną działalnością MKR. Niestety ZKR zrzeszone w MKR Jastrzębia miały wówczas rację domagając się zmiany stylu pracy MKR Jastrzębie,

⁴³

http://www.jasnet.pl/pamiec/relacje sierpien_80„63.htm

⁴⁴ „Trybuna Robotnicza” nr 21 z 1981 r. oraz nr 21, „Dziennik Zachodni” nr 21 z 1981 r.



Jarosław Sienkiewicz, Stefan Pałka i Tadeusz Jedynak podpisują tekst Porozumienia; zdj. Józef Żak

w tym także pozbycia się ludzi, którzy coraz mniej służyli Solidarności,

W odpowiedzi na naszą coraz ostrzejszą krytykę samowładnego kierowania MKR, nieobecności, bojkotowania zebrań, znikania na ważne zebrania nie wiadomo z kim i na jakim szczepku, słyszeliśmy nieraz w odpowiedzi *Jo jestem od polityki, a nam dają wprost do zrozumienia, że gdy będziemy aktywnie działać to Polsko znajdzie się w niebezpieczeństwie, a my będziemy tego sprawcami jako sojusznicy reakcyjnych sił skupionych we wszystkich pozostałych regionalnych związkach Solidarności*. Przyparty do muru stwierdzał bezradnie: *Ja to p....lę, idę do Inwestycji. Pijaństwa i wypadki Pana Sienkiewicza stają się coraz częstsze, sam Pan Sienkiewicz gdy zostaje oskarżony stara się wszystko przelać na kolegów, mówiąc, że czyhają na Jego stół, są Korowcami, atakuje ludzi, którzy są szczerze oddani sprawie, bezinteresownie angażują się dla dobra Solidarności, obrzuca ich błotem. Atakuje Kościół i tak bez przerwy, incydenty te powtarzają się. Mimo tego MKR dopracował się własnego referatu programowego i przyjętego za swój przez wszystkie ZKR. Aż tu nagle bomba, ukazuje się w Dzienniku Zachodnim z 6 listopada 1980 r. „Artykuł MKR Jastrzębie“, To co się ukazało w gazetach i*

czołowych tygodnikach oraz w telewizji i radiu było jawnym sfalszowaniem referatu przez Sienkiewicza, Swirtuna, Martyniuka i innych, a więc całkowitym zlekceważeniem zdania i opinii ludzi zrzeszonych w Solidarności. Za tę cenę MKR Jastrzębie zyskał od Władz KW siedzibę w Katowicach, ale raz na zawsze narażony został na szwank nasz autorytet i wiarygodność przez Sienkiewicza i Jego kontrahentów z KW w Ka-towicach, a tym samym trudny proces budowy oparty na wzajemnym zaufaniu i partnerskich stosunkach zaufania i współpracy z Władzą.

Pan Sienkiewicz staje się teraz mocny, część artykułu która mówi o siłach antysocjalistycznych, jest nadzwyczaj doskonała, kto teraz będzie atakował Pana Sienkiewicza lub MKR Jastrzębie jest wrogiem socjalizmu choćby nawet był najprawdziwszym patriotą. A w MKR rozkład, robią się ugrupowania, grupa ludzi z koła Sienkiewicza wchodzi w dalsze układy z Panami Dyrektorami z Ministerstwem Górnictwa, z Konserwą partyjną oraz jak sam to powiedział z milicją. Tu dodać należy, że Pan Sienkiewicz z Pułkownikiem Grubą z Komendy MO w Katowicach załatwia sobie zezwolenie na broń, zaś po pijanemu zaczyna wszystkim szczelać w łeb oczywiście słowami, mówiąc, że za to nic mu się nie stanie.

Tu trzeba dodać, że także nieukrywana przez Pana Sienkiewicza dobre kontakty z NIK w istocie nie przynoszące prawie żadnych efektów, chyba tylko takie, które mają podbudować prestiż i autorytet Sienkiewicza i jego grupy. W tym czasie pijaństwa stają się częstsze, na jednym z przyjęć w RZPW Pan Sienkiewicz obraża w obecności Dyrektorów cały skład osobowy MKR, chodzi tu o ludzi, którzy nie zgadzają się z Jego działalnością: wyzywając ich od hui, młotów, tępaków, kafarów itp. Stwierdza, że nie musi stawiać do wyborów, bo stanowisko ma już zapewnione.

Nadal na zwracane uwagi nic się nie zmienia. Korzysta z samochodu danego do dyspozycji MKR jak z własnego.

Nadal znika nie wiadomo gdzie i po co, umawia spotkania z Grudniem i Żabińskim, na które chce jechać sam twierdząc, że jak będzie więcej osób to Żabiński nie będzie z nim rozmawiać, co oświadczył na posiedzeniu prezydium MKR. Nadal podejmuje samowładne decyzje, nie licząc się z MKR i stawiając nas przed faktem dokonanym. Prowadzi tryb życia niegodny działacza Solidarności, a tak wiele rozprawia o moralnej odnowie cytując nawet Jana Pawła II.

Żaś szczytem zakłamania jest fakt, że wszelkie coraz bardziej natarczywie wyrażane przez nas konkretne propozycje zorganizowania wreszcie prawdziwego funkcjonowania MKR zbywa absurdalnym stwierdzeniem „Śmierdzi mi to kościołem”. I Kto Tu Komu Służy? My w każdym razie w partnerskim stosunku z wszystkimi siłami pragniemy dobra każdej polskiej rodziny, chcemy służyć narodowi i każdemu Polakowi. Bo po to powstała i mimo trudności działa Solidarność.

Prezydium i członkowie MKR: podpisy⁴⁵

Do tekstu oświadczenia wprowadziłem niewielkie tylko poprawki ortograficzne, pozostawiając bez zmian nawet interpunkcję, gdyż jego nieporadność językowa dużo mówi. Po pierwsze, dowodzi zdystansowania się od niego redaktorów „Naszej Solidarności Jastrzębie”. Oni nie mieli pojęcia o redagowaniu gazety, ale umieli przecież pisać po polsku. Prawdopodobnie zostali zmuszeni do opublikowania tego tekstu.

Po drugie, ten tekst jest tak nieporadny, że aż daje do myślenia. Czy ktoś, wiedząc, że nie radzi sobie z językiem polskim, miałby odwagę publikować swoje pisemne wypociny? Czy nie znalazłby w swoim otoczeniu kogoś, kto by mu go poprawił przed publikacją? Podejrzewam, że został celowo sformułowany tak topornie, aby stworzyć wrażenie,

że jest to głos autentycznie „robotniczy”. Stali zaś za tym wytrawni gracze polityczni.

O zdystansowaniu się redaktorów biuletynu świadczy również, że zamieścili w tym samym numerze następujący „list otwarty” do Tadeusza Jędraka:

** Panie Tadeusz Zanim wyciepniesz tyn papir do chaźla to go przeczytej I Wy nos coś ciulocie bo po tym co Sienkiewicz napisał we Trybunie to ino tak można wiedzieć. Co Wy chcecie od tego chłopca. Przecie on od poczuntku dobrze chcioł i chce. Wy na nim psy wieszecie o swoje dupy i zydle wojujecie i to mo być Solidarność. Ino z tego widać że politykujecie a nos znowu do klaskania chcecie. Na wirch takum drogom nie dojdziecie bo jo pierwszy mom to Wasze działanie i Solidarność w życi.*

Mimo wszystko, to był nasz strajk

Dla wielu uczestników tamtych wydarzeń, może nawet dla większości z nich, J. Sienkiewicz, nawet po usunięciu z MKR-u, pozostawał twarzą solidarnościowego buntu. Kojarzył się z nim, był jego symbolem. Opowieści o jego agenturalnej przeszłości odrzucali, i jak pokazały późniejsze lata – mieli rację. Znalazły się dowody współpracy z SB Mariana Jurczyka, przywódcy strajku w Szczecinie, na Lecha Wałęsę, a na J. Sienkiewicza na razie nic. Był partyjnym i tego nie ukrywał. Wielu partyjnych uczestniczyło w górniczych strajkach i oni nie widzą sprzeczności w swoim zaangażowaniu partyjnym i solidarnościowym jednocześnie. Nie wolno dezawuować ich wyborów, nie wszyscy myśleli o osobistych korzyściach, byli też ideowcy, mający na względzie kształtowanie bardziej sprawiedliwego społeczeństwa.

– To był nasz strajk – mówił dziennikarzowi jeden z jego współorganizatorów, który nie życzył sobie podania imienia i nazwiska⁴⁶ – i tego nie damy sobie odebrać. (...) Nie czuję się marionetką. Nikt nam nie zabierze tego, co było naszym udziałem. Mnie mało obchodziło to, co dzieje się na górze. Nie obchodzi mnie to, że Gdańsk wziął wszystko. Przeczytałem wywiad z Kiczanem, w którym sugeruje on, iż to mogła być robota Kani i Mocзара, a jej wykonawcy byli wśród nas. Nie wiem. Może tak, może chodziło o to, żeby nas rozbić (...) nikt nam nie dyktował tego, co mamy mówić, co czujemy. To był nasz strajk. Ludzi upokorzonych z jednej strony przez władze, a z drugiej przez tych, którzy nie wierzyli, że tu, na Śląsku, coś się ruszy. Zresztą, nikt tu nie mówił, że jest z Jastrzębia, czy ze Śląska. Na początku lat 60. było

⁴⁵ Nasza Solidarność Jastrzębie, Nr. 4 (24) z 31.01.1981 r

⁴⁶ Nowak Mirosław, op.cyt.

tu trzy tysiące mieszkańców, kilkanaście lat później – sto tysięcy. Wspólnie nawet kościół było trudno zbudować. Ale wtedy byliśmy razem. Pamiętam słowa z kazania ks. Antoniego Stycha na mszy w „Boryni”. „Jesteście solą ziemi i światłem świata, czynnie wystąpi-liście w obronie dobra wspól-nego. To wymaga poświęcenia. Ale jeśli ktoś z was nie czuje się na siłach strajkować, może opuścić kopalnię”. Nikt się nawet nie ruszył.

Stefan Palka powiedział po rozpoczęciu strajku: „Trzeba rozwalić tę niesprawiedliwość”. Chcieliśmy, wygraliśmy, ale jej nie rozwaliliśmy. Rozleciała się nasza solidarność, ta przez małe „s”. Może wa-żniejsza od tej drugiej.

– Za dużo tej niechęci, niesporozumień i podejrzeń (...) – mówił Jan Jarliński jeden z organizatorów strajku, członek prezydium MKR i, jak to nazwał G. Stawski, „dworu J. Sienkiewicza”.

– To w końcu żadna tajemnica, że składamy kwiaty na grobie Sienkiewicza. Ja go nie bronię. Nie wiem, czy on był agentem, czy nie był. Na pewno był przywód-cą tamtego strajku. Cokolwiek myślało się wtedy, myśli dziś i bę-dzie myśleć w przy-szłości.⁴⁷

W aneksie na-szych porozumień zna-lazł się zapis, że ci, co je podpisują, tworzą kierownictwo nowych zwią-zków zawodowych. Nie było jeszcze „Solidarności”.

Była chęć tworzenia wolnych związków i świadomość, że one powstaną (...), od początku – wtedy jeszcze wszyscy – chcieliśmy, żeby centrala była w Jastrzębiu. Jednocześnie coraz bardziej było widać, że szykuje się rozłam.

Jastrzębski komitet zaczął topnieć, Bytom wykonał wolę i łatwiej było nam współpracować z Wałbrzychem niż z nimi, w Katowicach powstał silny ośrodek z Rozpłochowskim i Świtoniem, Wałęsa chciał wszystkich sobie podporządkować.

Wreszcie przeniesiono siedzibę do Katowic i rozpad stał się faktem. Sienkiewicz poróżnił się z Wałęsą. Nie był przeciwny zapisowi w statucie „Solidarności” o przewodniej roli partii. Uważał, że najważniejsze jest jak najszybsze zarejestrowanie związku, bo jako organizacja legalna przyciągnie jeszcze więcej ludzi. Wałęsa miał inne zdanie.

Część chciała, żeby to był dalej związek zawodowy, inni dążyli do przekształcenia go w partię polityczną. Załatwiliśmy się między sobą. To były paskudne metody.

Sienkiewicz ustąpił, dwa tygodnie później



Delegacja rządowa, od prawej – Aleksander Kopeć, wicepremier, przewodniczący delegacji, Andrzej Żabiński, późniejszy I sekretarz KW PZPR w Katowicach; zdj. Józef Żak

wyrzucono jego zwolenników. Dzisiaj czytam słowa Tadeusza Jędynaka, że nie wierzy, iż Sienkiewicz był nasłany przez SB, a że współpracował z partią, nie miało to znaczenia, bo Śląsk był bardzo upartyjnio-ny, a w naszym prezydium siedem osób należało do partii.

Dobrze, że to mówi. Wtedy mówił co innego.

J. Jarliński po wykluczeniu J. Sienkiewicza z MKR-u i „Solidarności” odbudowywał, wspólnie z innymi wykluczonymi, Związek Zawodowy Górników.

⁴⁷ Nowak Mirosław, op. cyt.

W tym czasie [listopad 1980 r. - PM] nie chciałem się zgodzić na wpływ KOR-u w MKZ w Jastrzębiu, miałem takie samo zdanie o ich przydatności jak Jarek Sienkiewicz. Popierali wejście KOR-u do Jastrzębia: Jedynak, Pałka i Kałduński. Planowali już wtedy przejąć władzę od Jarka Sienkiewicza, później udało im się to przy pomocy magnetofonu i poskładanych, wyjętych z kontekstu zdań.(...)

Zatrzymaliśmy się pod umówionym adresem, kuta metalowa brama, murowany płot ponad dwumetrowy, duży pies, biała okazała willa w przyjemnej i nie biednej miejscowości podwarszawskiej. Pierwszego zobaczyłem Geremka i Giedroycia, już dobrze podpitych, w środku był Michnik, Kuroń (jego poznałem wcześniej), razem około 11 osób, w tym reprezentanci KOR-u i doradcy Wałęsy z Gdańska.

Po obiedzie (schabowy z kapustą) odeszliśmy od stołu i poszliśmy rozmawiać na kanapach. Główny zarząd KOR-u poświęcił nam – Jarkowi Sienkiewiczowi i mnie – czas, tylko aby nas przekonać, że wejście KOR-u do Solidarności śląskiej jest konieczne, że tylko oni potrafią rządzić i tylko oni potrafią „zrobić dobrobyt” w Polsce. Jarek uznał to za dowcip, zaczął więc żartować i powiedział, że też należy do KOR-u, powiedziałem mu, żeby przestali pieprzyć, bo to nieprawda. Założył się z Geremkiem o pół litra, że jest to w stanie udowodnić. Moment później wyciągnął legitymację Korpusu Rezerwy Oficerów (skrót KOR) i tak Geremek przegrał pół litra.

(...) Śmietanka KOR-u miała na celu nas upić i podstawić dokument o współpracy z KOR-em do podpisania. Jarek zaczął ich lekceważyć śmiechem, Kuroń zrobił się zaczepny, wypinał brzuch podchodząc do mnie, chciał mnie w ten sposób popychać, odsuwałem się z obrzydzeniem, widziałem idiotę, Giedroyc udawał zamyślonego, prostując się ciągle, nie miał nic do powiedzenia w negocjacjach.

Geremek z charakterystycznym sposobem poruszania, trzymał głowę na boku, strasznie pluł jak mówi, próbowałem się odsunąć, on się przysuwał wielokrotnie. W pewnym momencie powiedziałem mu, żeby się odsunął i przestał pluć, bo nie lubię rudych. Zapytał „dlaczego” odpowiedziałem tylko, że nie lubię i koniec. Wtedy już nie było mowy o podpisywaniu czegokolwiek. Michnik dość spokojny małowówny, z uśmiechem na ustach włączył się do dyskusji, pragnąc nas sponiewierać. Powiedział nam, że „My weźmiemy władzę, a wy Polacy pójdziecie z torbami”. Giedroyc dodał, że „Nasi ludzie są już przy władzy, mamy kontakty i tylko czekamy na odpowiedni czas i ujawnimy prawdziwe nazwiska”. Geremek bez kurtuazji powiedział: „Wypierdolimy Polaków i sami będziemy rządzić”. Jak echo to samo powtórzył Michnik. Powiedziałem im, że to się uda po moim trupie.

(...) Geremek wykrzykiwał, że zrobią porządek z Polakami za 1968 rok za deportacje i za to, co z „nami” zrobili. Zapytałem się, co rozumie przez „nami”. Jarek powiedział, że później porozmawiamy w drodze powrotnej do Jastrzębia w samochodzie. Wtedy jeszcze nie widziałem podziału na Polaków i Żydów, widziałem tylko niszczącą działalność KOR-u dla Polski i wiedziałem, że trzeba ich trzymać najdalej, jak to możliwe, od Śląska. Oczywiście nie podpisaliśmy dokumentu z KOR-owcami, kierowca odwiózł nas do domów do Jastrzębia. (...) Dwa dni później (...) fiat z ministerstwa zawiózł mnie i Jarka Sienkiewicza do Warszawy do Instytutu Narodowościowego. W ogromnym pomieszczeniu czekały na nas już dokumenty dotyczące członków KOR-u, informacje na temat Giedroycia, Kuronia o szkalowaniu Polski i Polaków na łamach szmatławej gazety „Kultury”. Informacja o Geremku o jego nienawiści i wstręcie do całego narodu polskiego, komentarze w prywatnych rozmowach. Michnik i jego brat określani zostali jako najgorszy żydowski motłoch.

Starszy pan pokazujący nam te dokumenty był profesorem i powiedział przy odejściu, abyśmy zawsze pamiętali, z kim mamy do czynienia. Byłem świadkiem właśnie takich rozmów dwa dni wcześniej. Wtedy też dowiedziałem się, że istnieją inne narodowości w Polsce jak Łemkowie, Białorusini, muzułmanie, którym wtedy polski papież blokował budowanie miejsc religijnych na terenach Polski.

Pochodzę z Jastrzębia Zdrój, jestem posiadaczem Świadcstwa Internowania Nr 1 w Polsce, organizatorem strajku na kopalni „Borynia”, byłem aresztowany wielokrotnie, bity i torturowany w latach 80-tych. Jestem też posiadaczem immunitetu o nietykalności imiennego wystawionego w Ministerstwie Górnictwa na drugi dzień po podpisaniu Porozumienia jastrzębskiego z rządem, posiadaczem Świadcstwa Poszkodowanego od 2006 roku.

Zbigniew Flis

Do relacji Zb. Flisa trzeba podchodzić z dystansem. Jerzy Giedroyc – jak twierdzą jego biografowie i przyjaciele – nigdy po wojnie nie był w Polsce. Nie mam możliwości zweryfikować relacji Zb. Flisa, zamieszczam, bo doświadczenie uczy, że często najbardziej nieprawdopodobne historie okazują się prawdą. Być może, któryś z gospodarzy spotkania, naigrywając się z mało czytanego robotnika, przedstawił jako J. Giedroycia kogoś ze znajomych . [PM]

Z propozycji Świrtuna nie skorzystałem

Biskupi doradcy opanowali prasę związkową. To był okres, kiedy suszyłem głowę Bolkowi Sojce, przewodniczącemu Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” Kopalni Węgla Kamiennego „Katowice”, by namówił kolegów ze związku na wydawanie niezależnego tygodnika braci górniczej. Znałem problematykę górnictwa, czułem się na siłach go redagować.

W końcu wziął mnie Bolek na jakieś spotkanie górniczych działaczy związkowych do budynku przy ul. Szafranka w Katowicach, który MKR-KZ Jastrzębie właśnie otrzymał. Było ich tam niewielu, kilkunastu, między nimi człowiek z Jastrzębia odpowiedzialny za prasę. Jeśli dobrze pamiętam, Tadeusz Świrtun. Pochwalił się doświadczeniem z pisania do prasy PAX-owskiej. Kiedy usłyszał, że publikowałem w „Tygodniku Powszechnym”, zaczął wokół mnie krążyć, namawiając do pisania tekstów do ich biuletynu związkowego, chyba właśnie do „Naszej Solidarności Jastrzębie”. Drukowali je na drukarkach offsetowych w katowickiej kurii biskupiej.

Nie zdecydowałem się od razu. Z myślą o ewentualnej publikacji w tym biuletynie napisałem reportaż z pracy Komisji Zakładowej kopalni „Katowice”. Zatytułowałem go „Bolek Sojka jest uparty”, ale nie przesłałem do Jastrzębia. Przejrzałem kilka numerów tego ich biuletynu i włosy stanęły mi na głowie. Same dokumenty, oświadczenia, protesty, ta sama partyjna nowomowa, tylko z nachyleniem prokościelnym. Mój reportaż do tego nie pasował.

Istotną rolę w tej decyzji odegrała moja niechęć do PAX-u, o której nie potrafię nawet powiedzieć, skąd się wzięła. Środowisko katolickiej inteligencji było nią, tą niechęcią, zac zadzione. W DA pozostawaliśmy pod wpływem „Tygodnika Powszechnego” i miesięcznika „Znak”, ludzie PAX-u mieli opinię katolików jeszcze bardziej poległych wobec władz niż ci z ODiSS-u i PZKS-u. Dziś patrzę na nich wszystkich inaczej. W ówczesnym totalitarnym systemie oni jednak chronili cenne wartości narodowe i chrześcijańskie.

W marcu 1981 r. (17.03.81) MKR-KZ Jastrzębie otrzymał debit, czyli zgodę cenzury (GUKPPIW), na wydawanie tygodnika „Solidarność Jastrzębie” i przydział papieru na 50 tys. egzemplarzy. Była to bez wątpienia nagroda za lojalną postawę wobec władz. Pierwszy numer ukazał się 5 maja 1981 r., redaktorem naczelnym został Jerzy Skwara. Takie, oficjalnie wydawane, czasopismo podlegało oczywiście cenzurze. Teksty tam nadal raziły nowomową. Pismacy, którzy raz ulegną i spróbują

pisać pod oczekiwania władz, już nie potrafią się z tego wyzwolić. Język, którym – chcąc się dopasować do panującej propagandy – posługują się, wpływa na ich myślenie, narzuca im określoną wizję rzeczywistości. Już nie umieją nazywać rzeczy po imieniu.

Kilka miesięcy później gratulowałem sobie swej decyzji, aby nie wiązać się jednak z doradcami MKR-KZ Jastrzębie. Dzięki temu przeżyłem jedną z najpiękniejszych przygód mojego życia. Kiedy we wrześniu 81 r. wybrany został nowy Zarząd Regionu Śląsko-Dąbrowskiego NSZZ Solidarność, jedną z pierwszych jego decyzji było wydawanie swo-ego dziennika i tygodnika. Zostałem tam przyjęty na etat – najpierw w „Dzienniku Związkowym”, a niedługo później w „Tygodniku Katowickim”. Jerzy Skwara został odwołany, a na redaktora naczelnego „Solidarności Jastrzębskiej” rozpisany konkurs. Pod namową mojego szefa z „Tygodnika Katowickiego” wziąłem w nim udział, ale bez przekonania. Wygrał Zdzisław Zwoźniak. Porządził niedługo. Konkurs odbył się w październiku, a już 13 grudnia został wprowadzony stan wojenny.

Grzegorz Stawski w swoich wspomnieniach mówi o Tadeuszu Świrtunie jako człowieku Jarosława Sienkiewicza. Być może nim był. W „Encyklopedii Solidarności” czytam, że publikował w „Naszej Solidarności Jastrzębie”.

Ruch solidarności obudził uśpioną mądrość narodową Polaków, a przynajmniej jego licznej wtedy warstwy ludzi myślących i roztropnych. Byli myślący i roztropni wśród dziesięciomilionowych już wtedy rzesz członków związku, nie tylko wśród inteligencji, ale i robotników. Byli dobrze ustawieni w Systemie inżynierowie, trzeźwo myślący członkowie administracji przemysłowej, jak również dobrze zarabiający fachowi robotnicy, którzy nie musieli wiązać swojej przyszłości ze zwycięstwem określonej frakcji w związku, a z doświadczenia widzieli, że System jest zdegenerowany i wymaga sanacji. W czasie wspólnych wyborów do władz regionalnych NSZZ „Solidarność”, które odbyły się w sierpniu 1981 r. wyeliminowali oni ambicjonerów i grupy, które wykorzystywały związek do własnych celów. Z jastrzębskiego MKR-u do nowego zarządu weszło zaledwie trzech delegatów.

Dobrą ilustracją tej zbiorowej mądrości jest przypadek mojego kolegi z Duszpasterstwa Akademickiego Jasia Pajaka, wice przewodniczącego Komisji Zakładowej „Solidarności” w Gliwickiej Wytwórni Części Samochodowych⁴⁸.

⁴⁸ To pierwsza, powojenna nazwa tych zakładów, potem zmieniano ją w związku ze zmianą profilu produkcji,

Przed wyborami wspólnego zarządu regionu został przewodniczącym Tymczasowej Komisji Rewizyjnej, powołanej do sprawdzenia nieprawidłowości finansowych w MKZ Huty Katowice.

– *Jakiś inżynier z „Biprohuty”⁴⁹, nie pamiętam jego nazwiska, poprosił, żebym został szefem tej komisji – wspomina. – Nie wypadło odmówić, więc zgodziłem się.*

Jasiu nie był związany z jakąś frakcją wrogą szefowi MKR Huty Katowice, w ogóle nie interesowały go wewnętrzne rozgrywki w Związku, z pewnością nie był też związany z jakąś frakcją inżynier, który go zaproponował na to stanowisko. Obydwaj uważali jednak, że Związek powinien prowadzić transparentną politykę finansową. Komisja Jasia opracowała sprawozdanie krytyczne wobec MKR Huty Katowice, co w dużej mierze przyczyniło się do przegranej Andrzeja Rozpłochowskiego, faworyta w wyborach na przewodniczącego Zarządu Regionu.

– *Jeśli dobrze pamiętam – wspomina Jasiu – tam nie było wielkich przekrętów finansowych. Oni działali cały czas na żywioł. Myśmy pokazali, że z pieniędzmi tak nie można. Część wydelegowanych do Komisji, a było nas kilkunastu, wystraszyła się i nie chciała podpisać protokołu.*

Delegaci na Walne Zebranie Delegatów, którzy zlecieli opracowanie sprawozdania, też nie robili z tych nieprawidłowości wielkiej afery, gdyż mieli świadomość, że w trakcie ciągłej walki o przetrwanie i niezależność, nie sposób dopilnować rozliczenia każdej diety i każdej delegacji.

Reportaż z Komisji Zakładowej

Długo przełamywałem się zanim odważyłem się pójść do Bolka Sojki z propozycją założenia pisma związkowego dla górników. Po spotkaniu z działaczami związkowymi górników i namowach Tadeusza Swirtunea postanowiłem napisać reportaż z pracy Komisji Zakładowej NSZZ Solidarność w kopalni. Chciałem pokazać to, co najpiękniejszego w ruchu Solidarności: to nagłe odzyskanie podmiotowości przez robotników. Poprosiłem Bolka bym mógł posiedzieć tam u nich i poobserwować, i żeby nie mówił kolegom, po co tam przyszedłem. Zgodził się.

Napisałem nie najgorszy tekst. Jest gatunek dziennikarski, określany jako reportaż towarzyszący. Reporter musi być obecny przy wydarzeniach, najlepiej – brać w nich udział, a po-

tem opisać, starając się oddać atmosferę wydarzeń. Ten mój tekst mogę chyba zliczyć do tego gatunku.

Nie zdecydowałem się wtedy go opublikować. Od „Naszej Solidarności Jastrzębie” odstręczała mnie jego drętwa nowomowa, charakterystyczna dla Systemu, zaś rzeczywiście niezależne pisma miały cechy ulotkek propagandowych, mobilizujących ludzi do działań przeciwko Systemowi. Tego agresywnego języka również nie mogłem znieść. To nie miało nic wspólnego z moim wyobrażeniem rzetelnego dziennikarstwa. Służyło wywoływaniu emocji a nie lepszemu poznawaniu rzeczywistości.

Wydarzenia wówczas biegły tak szybko, że z refleksyjnymi, opisowymi tekstami tekstami nie można było nadążyć. Reportaż zachowałem w swoim archiwum. Wydaje się, że oddaje on atmosferę tamtych dni.

BOLEK SOJKA JEST UPARTY

Kopalnia Węgla Kamiennego „Katowice” jako jedna z pierwszych podjęła w sierpniu 1980 r. solidarnościowy strajk ze stoczniovcami Wybrzeża⁵⁰. Wtedy wymagało to jeszcze ogromnej odwagi i determinacji. Inicjatorem tego strajku i jego przywódcą był Bolek Sojka, obecnie wiceprzewodniczący Komisji Zakładowej Solidarności.

Dzisiaj działacze związku absorbują codzienne sprawy pracowników, ale o sprawach całego kraju nie zapominają. Wystarczyło pobyc z nimi jeden dzień, by się o tym przekonać.

Normalna związkowa działalność niezależnego związku zawodowego odbywa się dzisiaj w warunkach ostrej konfrontacji ideologicznej. By się o tym przekonać, nie trzeba nawet wchodzić do kopalni, już przed bramą witają goście czerwone ulotki z kościotrupem i napis: „Pierwszy efekt VII Zjazdu – obcięcie racji żywnościowych?”

Na dziedzińcu kapliczka wielkości sporego kiosku z figurą św. Barbary. Wszędzie symbole Solidarności. W pomieszczeniach Komisji Zakładowej bardzo mocny zestaw: krzyż, godło i wielki portret papieża na ścianie. W każdym z trzech pokoi, które zajmują, ten sam. I to mimo tego, że na czterech członków Komisji jest dwóch partyjnych.

najpierw – na Gliwickie Zakładach Naprawy Samochodów, później – na Gliwickie Zakłady Urządzeń Górniczych. Jasiu Pająk nie pamięta, jak nazywały się w 1981 r.

⁴⁹ Biura Projektów Hutniczych w Gliwicach

⁵⁰ W solidarnościowym strajku górników ze stoczniovcami Wybrzeża w sierpniu 1980 r. wzięło udział 56 zakładów branży górniczej, przeważnie kopalń.

Podziały przebiegają tu wzdłuż innej linii niż partyjni-bezpartyjni.

Co do garnka włożyć?

Etat dla członka Komisji nie oznacza pracy od – do, od na przykład 7.00 do 15.00. Przewodniczący jest na urlopie, dyżur pełni dzisiaj sztygar Restler, przedstawiciel dozoru, ale on nie wie, kim jestem i po co tu przyszedłem. Poprosiłem Bolka, żeby mnie nie przedstawiał. Chcę, żeby przede mną nie odgrywali jakiejś roli. Po prostu czekam na Sojkę. Rano panuje spokój.

– To, że mamy dyżur, nic nie znaczy, my tu siedzimy codziennie od rana do wieczora – mówi Restler. – Ruch zacznie się, jak pierwsza zmiana zacznie wyjeżdżać z dołu.

Częstuje kawą i zabieramy się do lektury solidarnościowej prasy. Błogi spokój przerywa nam najazd dwóch emerytek. Dosłownie najazd. Wpadają jak burza i jeszcze dobrze drzwi nie zamknąwszy uderzają w lament.

– Jak to jest! Jak tak można ludzi traktować! Starych ludzi! Ja mam za sobą trzydzieści lat pracy, cały czas za dwa i pół tysiąca, teraz cztery tysiące renty po mężu, on już nie może chodzić, ma chore serce, mnie przysyła. My już nie mamy sił, żeby tu chodzić!

– Każą przyjść trzeciego, stoimy, na koniec – kartek brakuje! Dla wszystkich starczyło, tylko dla emerytów nie starczyło! Jak tak można! Piątego znowu mam przyjść. A przecież ja mam chore serce, w każdej chwili mogę tu dostać zawału i co zrobić....

Nie dopuszczają Restlera do głosu. Widać, że ten wcale nie ma ochoty się nimi zajmować.

– Co ja wam poradzę, jak tych kartek nie ma. Skąd ja je mam wziąć?

Sięga bez przekonania po słuchawkę i gdzieś dzwoni. Okazuje się, że nie tylko, że kartek na mięso⁵¹ zabrakło, ale nawet jeszcze list nie ma.

– Coś się zmieniło w przydziałach i muszę listy robić od nowa. Czy wy wiecie, co to jest zrobić listę na cztery tys. osób!? Drugi raz! Bo jedną już zrobili.

⁵¹ Chodzi o kartki na mięso. Z powodu niedostatku mięsa wprowadzono wtedy jego racjonowanie. Zwykli obywatele dostawali 3,5 kg na miesiąc, górnicy dołowi i służby mundurowe 7,5 kg i 2 kg smalcu. Górnicy więcej ze względu na pracę wymagającą wielkiego wysiłku fizycznego. Rozprowadzaniem kartek na mięso zajmowały się m.in. też zakłady pracy. Mięso można było potem wykupić w normalnym sklepie mięsnym za pieniądze. Sklepowa sprzedawał tylko tyle mięsa na ile klient miał kartek.

Nie do końca przekonane emerytki opuszczają biuro. W drzwiach omal ich nie potrąca barchysta postać Bolka Sojki. Porusza się jak bokser, lekko pochylony, na sprężystych nogach. Nie witając się z nikim sięga po telefon.

– Tu „Solidarność” kopalni Katowice. Niech mi pani powie, czy można kogoś zameldować w mieszkaniu bez zgody głównego lokatora..... Ja to pani zaraz wytłumaczę... Nasz pracownik pojechał do NRF, miał wrócić siedemnastego, półtora miesiąca temu. Po miesiącu uznali, że to jest pustostan i zameldowali tam kogoś innego. I on się tam już przeprowadził! Dobrze, dobrze, ale niech mi pani powie, czy w ogóle można teraz kogoś zameldować w Katowicach na pobyt czasowy?...

– A oprócz studentów? ...

– To w takim razie proszę mi sprawdzić, na jakiej podstawie zameldowano przy ul.

Śląski radykał

Do Sojki nikt nie zwraca się – Bolesław, dla wszystkich jest Bolekiem. Pracował w oddziale wydobywczym. Zarzucano mu nadmierny radykalizm, brak dyplomacji, mówiło się, że „wali prosto z mostu”. To był człowiek dobry na początek, mówiono, kiedy jedyną kwalifikacją wymaganą od przywódcy była odwaga.



Bolek Sojka

Był taki moment na początku, kiedy losy strajków ważyły się, kiedy ludzie z lękiem wyczekiwali, co zrobi władza. Większość kieruje się w takich sytuacjach instynktem samozachowawczym, który mają zwyczaj nazywać roztropnością.

To był czas dla ludzi odważnych, takich jak Sojka. Co prawda, niektórzy twierdzą, że był kumplem dyrektora i że to dyrektor podpuścił go, aby wezwał do strajku. Być może te plotki spowodowały, że Bolek nie został przewodniczącym Komisji Zakładowej, a tylko jego zastępcą. W karierze związkowej bardzo przeszkadza mu też przynależność partyjna. Został później delegatem na Walne Zebranie Regionu Śląsko-Dąbrowskiego Solidarności, kandydował do zarządu regionu, ale nie przeszedł.)

– Walne Zebranie było zdecydowanie antypartyjne – niskim gwarowym głosem tłumaczył mi po kilku miesiącach przyczyny swojej porażki.

– Do zarządu wszedł tylko jeden członek Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Na sześćdziesięciu, których dotychczas wybrano. Mogłem już

w ubiegłym roku we wrześniu rzucić legitymację, ale... przecież chyba nie o to chodzi?

Nasza kopalnia, nasz samorząd

W miarę jak zbliża się godzina wyjazdu pracowników dołowych, w pokoju robi się coraz tłoczniej.

Restler tłumaczy coś starszemu mężczyźnie w strażackim mundurze:

– Ale pamiętajcie, to musi być człowiek mądry, z głową.

– Sztygarze... chyba ważniejsze, żeby to był człowiek uczciwy – patrzy na niego podejrzliwie strażak. – Cwaniaków mieliśmy dosyć, i do czego oni doprowadzili...

– Nie mam nic przeciwko temu, żeby to był człowiek uczciwy – broni się Restler – ale musi być ktoś z głową. Przechodzimy na własny rozrachunek gospodarczy. Od tych ludzi, od tego jak będą gospodarzyć, będą zależeć nasze zarobki. To musi być uczciwy człowiek, ale to nie może być głupi człowiek.

Bolek wyjaśnia mi, że właśnie trwają wybory do samorządu zakładowego. Na pytanie o jego miejsce w strukturze organizacyjnej kopalni odpowiada:

– Będzie decydował o wydobywaniu, zatrudnieniu, o sprawach socjalnych, o wszystkim... Dyrektor? Dyrektora, jak się sprawdzi, zostawimy, a jak nie, to się go zamieni na innego, lepszego.

Dopiero teraz przedstawia mi Restlera i drugiego etatowego członka Komisji Zakładowej, przedstawiciela pracowników oddziałów wydobywczych, Nielabę, który z powierzchowności przypomina głównego bohatera „Soli ziemi czarnej”.

Ten mało się dotychczas odzywał, stał przy biurku, milczał i obserwował.

Nielaba bierze mnie za rękę i prowadzi w stronę okna. Pokazuje na biurowiec:

– Jak przejdziemy na własny rozrachunek, większość tych ludzi będzie się musiała pożegnać z kopalnią. My już nie będziemy na nich robić.

– Gdzie ich przyjmą? – powtarza moje pytanie. – Na pewno nie w górnictwie. Rozwiąże się zjednoczenia, pozwala się trochę ludzi z ministerstwa i przeniesie ministerstwo do Warszawy.

– W biurze jest wielu silnych i zdrowych młodych ludzi – dodaje twardym głosem. – Będą musieli pójść do roboty. Na dole kopalni roboty nie brakuje...

I twarz mu tężeje.

– Żeby choć górnik, jak wyjedzie z dołu był należycie obsłużony, ale nie, my się musimy u nich o wszystko prosić.

Obrona pracowników

Niewiele po godz. 14.00 we wszystkich pokojach zaczyna być tłoczno. Widać, że Komisja Zakładowa zajmuje się wszystkim. Rozdzielaniem żywności, mydła, mieszkań, wydobywaniem węgla, jego transportem, sprawami wypoczynku i rozrywki górników, a nawet sprowadzaniem na zimę butów dla załogi.

– Odpowiedzcie mi wreszcie — nalega górnik z czarnymi obwódkami wokół oczu, jakie pozostają po wyjściu z łaźni — czy emerytom dajemy bilety w jedną stronę czy powrotne też? Podjęliście już uchwałę?

Tematem dominującym są dzisiaj kartki na mięso.

– Ukradli, ukradli... – wymachuje ręką postawny mężczyzna. — W czwartym oddziale ukradli sześćdziesiąt kartek!

– Na przyszłość niech pilnują.

– A kiedy będą kartki dla wszystkich? – pyta przytomnie jeden z obecnych. – Na Wieczorku już dostali.

– Nie dostali. Sam przed chwilą telefonowałem. Mają być do piątego.

– Bolek, ustosunkuj się do tego – Nielaba podsuwa Sojce jakąś kartkę. Ten czyta i zaczyna kpić.

– Czy on jest normalny?! Najpierw nakłada karę a potem sam wnioskuje o jej zmniejszenie? I jak to jest napisane! Sztygar a po polsku nie umie. Wiem o tym, człowiek był wczoraj u mnie. Z wydobywczego. Powiedziałem mu, że nie będę Interzeniował, dopóki nie poznam relacji drugiej strony. Taśma stała godzinę w chodniku podścianowym, Niby... że to jego wina i za karę przeniósł go na trzy miesiące na powierzchnię. Sam wiesz, jak to jest z taśmą. Czasami się podrze, zapłącze, nawet nie zauważysz.

Sojka waha się przez chwilę i decyduje:

– Napisz, że takiej kary jak przeniesienie na powierzchnię nie ma. Może mu obciąć dniówkę, ale nie przenosić.

Wojna ideologiczna

Wchodzi mężczyzna w białym hełmie, czyli z dozoru, sztygar. Wita się z Restlerem.

– Nie wygłupiajcie wy się. Co to daje? Za chwilę tam będzie tłum ludzi. Sam dobrze wiesz, jak było z siódmym zjazdem.

Prowadzi go do okna.

– Popatrz, tam już się zbiera tłum. Nie mów potem, że nie widziałeś! Kościotrup i widelec. To nie jest uczciwe. Na razie jeszcze w Polsce nikt nikogo głodem nie morzy!

– Poczekaj – uspokaja go Restler. – Ja też jestem partyjny. Pamiętasz jeszcze niedawno, co robiła góra a co myśmy myśleli? Czy my się musimy tak nimi przejmować!

– To sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej⁵² – wyjaśnia mi po wyjściu zaciętego sztygara. – Chodzi o ulotkę, którą powiesiliśmy w gablocie.

– Nie, nie zdejmujemy jej. Myśmy tu już nie takie rzeczy wieszali — śmieje się.

Ludzie patrzą!

Cały czas ciągnie się też sprawa zakładowego mieszkania⁵³.

— Bolek, zrozum, przychodzi do mnie człowiek, ma podpis głównego lokatora, miałam mu nie dać zgody? — gorączkuje się postawna kobieta w koku.

To pani Rita, szefowa działu mieszkaniowego — informuje mnie Restler.

– Rita, co mnie obchodzi przydział — osadza ją Sojka. — Przydział to se możesz do szuflady schować. Myśmy zrobili podstawowy błąd. Wiesz jaki? Żeśmy w kopalnianym mieszkaniu zameldowali człowieka, który nie pracuje na kopalni! To nie

⁵² W zakładach pracy, czyli fabrykach, kopalniach, hutach, istniały tzw. Podstawowe Organizacje Partyjne Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej (zwane krótko POP). Do czasów Solidarności miały one decydujący głos nie tylko w sprawach socjalnych. Pozytywna opinia POP musiała stać za każdą nominacją, za każdym awansem pracownika. Kadra kierownicza odczuwała to jako skrzępowanie i dlatego sprzyjała ruchowi Solidarności.

⁵³ Chodzi o mieszkania, które zakład przydzielał swoim pracownikom. W spółdzielniach mieszkaniowych, gdzie trzeba było założyć książeczkę mieszkaniową i regularnie odprowadzać składki, na mieszkanie czekało się wtedy już po kilkadziesiąt lat. Zatrudnienie się kopalni lub hucie było sposobem na szybsze dojście do własnego lokum. Z mieszkania zakładowego nie wykwaterowywano pracownika po przejściu na emeryturę. Po jego śmierci nie usuwano też jego dzieci. Tyle tylko, że takie mieszkanie nie było ich własnością. Mieszkania zakładowe przydzielały komisje mieszkaniowe, których członkowie w większości pracowali społecznie. Dostać się do nich było trudno, bo to dawało szansę na załatwienie sobie mieszkania poza kolejnością.

ja robię awanturę, to ludzie. Wczoraj wróciłem z urlopu, a już za mną wołają „łapówkarz”! Ja nie mam zamiaru świecić za ciebie oczami.

– Bolek, według prawa wszystko jest w porządku, on ma podpis Kwala.

– Kwal wyjechał w lipcu, a on się tam zameldował już półtora miesiąca później! Co zrobisz, jak Kwal wróci?

– Aleś ty uparty, Bolek. Jak ktoś chce wracać, to nie wynosi mebli z mieszkania.

Okazuje się, że chodzi o coś więcej niż mieszkanie, bo o tzw. domek belgijski w bardzo dobrym jeszcze stanie. Wprowadził się tam syn kierowniczki działu socjalnego. Sojka z Restlerem i Nielabą po krótkiej naradzie postanawiają, że na najbliższym posiedzeniu Komisji Mieszkaniowej przydzielą domek komuś innemu, kto naprawdę mieszka w trudnych warunkach, a pani Rita napisze wyjaśnienie do gabloty. Równolegle pójdzie pismo do Wydziału Paszportowego z prośbą o informację, czy poprzedni lokator wyjechał na stałe.

Przejmują władzę

O godz. 15.00, jak pierwsza zmiana wyjechała z dołu, Komitet Zakładowy w pełnym składzie, z członkami nieetatowymi, zbiera się na naradę. Uchwala kolejno:

1. Rozliczyć Komisję Mieszkaniową i ostrzeż ją kontrolować. Wielu ludzi daje się do niej wybrać po to, żeby sobie samemu załatwić mieszkanie. Jak już załatwią, to przestają pracować.

2. Wykupić dla pracowników kopalni dwa seanse „Człowieka z żelaza”. Z kasy związku pokryje się połowę ceny biletów, a o tym czy pokryć resztę czy rozprzecznić po niższej cenie, Komisja zadecyduje później. Po prostu, na tym posiedzeniu nie była w stanie tego rozstrzygnąć. Zdania były podzielone. pół na pół.

3. Podzielić równo między wszystkich pracowników dodatkowy przydział smalcu. Nad tą kwestią dyskutowano dobrą godzinę. Zdaniem Sojki mamy tu do czynienia z grą władzy obliczoną na wywołanie podziałów.

— Dają, choć nikt tego od nich nie żądał. Już na Walnym Zebraniu Solidarności Regionu był zmasowany atak na górników — że są uprzywilejowani, bo dostają większe przydziały kielbasy. Teraz też wypadałoby dać więcej dołowym, ale w tym momencie mamy kolejny podział. A jak to dzielić? Na powierzchni niektóre roboty są znacznie cięższe niż na dole. Kiedy dawali według roboty, to dochodziło do tego, że na sąsiednich stanowiskach jeden dostawał, a drugi nie.

4. Wysłać do telewizji pismo z postulatem, aby opracowano i przedstawiono obywatelom alternatywne do projektu ministra Krasieńskiego koncepcje reformy gospodarczej.

– *To, co on mówi, brzmi sensownie – podkreśla Sojka – ale dlaczego tylko jemu wolno mówić? Już to mi śmierdzi.*

Około 19.00 Sojka opuszcza zebranie, bo ma spotkanie z załogą. Kilku członków Komisji

Opuściłem więc po piętnastu minutach, a Sojka wciąż mówił. Bez kartki, bez zawahania, bez zająknięcia, cały czas panując nad salą. Urodzony mówca, pomyślałem. Trzeba nie lada sztuki krasomówczej, żeby cały czas utrzymywać temperaturę emocji i uwagę słuchaczy na jednakowo wysokim poziomie. Zebrani słuchali w milczeniu. Nikt mu nie przerywał, nikt nie opuszczał przed czasem zebrania. Bolek Sojka potrafił przemawiać godzinami. Nigdy nie korzystał z kartki. Słuchając



Stawianie obudowy, zdj. Józef Żak

wychodzi za nim, pozostali prowadzą już swobodniejsze rozmowy, bez stawiania wniosków i głosowań, za to na tematy bardziej poważne. Czy „oni”, tzn. władza, zdecydują się wysłać wojsko przeciw robotnikom? Czy wejdą Rosjanie? Jak zdobyć dla frakcji górniczej więcej miejsc w zarządzie regionu?

Robotniczy przywódca

Opuszczam lokal Komisji Zakładowej kiedy zaczyna się już ściemniać. Dziedziniec kopalniany puściutki, ale na schodach prowadzących do sali konferencyjnej stoją ludzie. Nie zmieścili się w środku, sala wypełniona po brzegi. Przez głośniki słyszeć Bolka Sojkę:

– *Najpierw jedna sobota, potem dwie, potem trzy. Niedziele apelowe, planowe, rolki... A im ciągle mało! Niedziela, obiad na stole, dziecko się pyta: Mama, a gdzie tato? A tata na dole, tata fedruje! I jechali na grzbiecie robotnika do władzy, do stanowisk, do pieniędzy. A my jak te nowoczesne woły robocze.*

go wyobrażałem sobie, jak wyglądały wiece w czasach rewolucji robotniczych. Tłum wymęczonych ludzi i ktoś kto wykrzykuje im ich krzywdę.

.....

Bolka Sojkę spotkałem potem jeszcze przypadkowo w czasie stanu wojennego. Po wielomiesięcznym pobycie w obozie dla internowanych wrócił do pracy na dole, w 1984 r. przeszedł na emeryturę. Całe życie przepracował w jednej kopalni. Z Internetu dowiedziałem się, że miał w mundurze górniczym nieść trumnę na pogrzebie bł. Jerzego Popiełuszki, ale nie niósł, bo zażądano od niego, aby zdjął Order Sztandaru Pracy. Nie zgodził się. – *Dostałem go – powiedział – za ciężką pracę, a nie za miłość do socjalizmu.*

Takich, autentycznych, przywódców robotniczych jak Bolek Sojka pojawiło się wtedy więcej. Na Górnym Śląsku zachowywali się oni bardzo odpowiedzialnie. To były czasy narodowego kairu (interwencji Boga w historię), kiedy do narodu dotarła prawda, że fundamentem więzi społecznych są zasady etyczne.

HUTA KATOWICE – RELACJA J. JAGIEŁKI

Jacek Jagiełka, pracujący w Dziale Kolejowym, był jednym z organizatorów strajku w Hucie Katowice, a właściwie jego inicjatorem. Jego przejście do opozycji miało początek w konflikcie z bezpośrednimi przełożonymi, spowodowanym – coraz powszechniejszym wtedy – lekceważeniem pracowników. Liczyła się produkcja a nie człowiek, mimo że „człowiek pracy” był rzekomo suwerenem w Polsce Ludowej. Lektura jego wspomnień z tamtego okresu świadczy, że System sam kręcił sobie powróż na szyję, podnosząc wysoko – mimo powszechnego zakłamania – poziom wiedzy ogólnej i poczucie godności osobistej szeregowych pracowników. J. Jagiełka nie był rzadkim w tamtych czasach przypadkiem robotnika odczytanego, o szerokich horyzontach umysłowych. Miał kto przejąć kierownictwo w wybuchających coraz to buntach robotniczych. Dzisiaj wydaje się to niemożliwe, dzisiaj taki buntownik usłyszałby od przełożonych, że jest wolność, wolny rynek, „nie musisz u nas pracować” i znalazłby się na bruku z wilczym biletem

Zdegradowany

W tamtych latach, pracując w Hucie Katowice zdarzało się, że nie mając zmiennika musiałem zostawać w pracy na drugą zmianę.⁵⁴ Nie martwiło mnie to na ogół. Można było dzięki temu więcej zarobić. Ale latem 1979 r. żona przysłała mi z Inowrocławia, gdzie na stałe mieszkalem, naszego 4-letniego syna. Gdy byłem w pracy opiekowała się nim moja znajoma, Krystyna, a za tydzień miałem mieć miesięczny urlop. (...) Kiedy zaczęły się nocki pracowałem do godziny 6:00 rano, a Krystyna (...) jeździła do swojej pracy na godzinę 7:00, (...) mijaliśmy się w drzwiach lub ewentualnie dziecko było samo ok. 10-15 minut.

Pierwszego ranka, kiedy kończyłem nocną zmianę, nie przyjechał mój zmiennik. Mistrz nowej zmiany powiedział mi, że dotrze on za 10-15 minut (...) Porozumiałem się więc z innymi dyżurnymi, że ustawię drogę w ten sposób, aby przez jakieś pół godziny wszystko funkcjonowało bez zakłóceń i pojechałem do domu.

Kiedy przyszedłem do pracy wieczorem dowiedziałem się, że za samowolne opuszczenie stanowiska pracy, bez otrzymania podmiennika jestem wezwany do kierownika. Następnego dnia po zakończonej zmianie – teraz miałem już zmiennika – idę do kierownika i proszę go żeby mnie pilnie załatwił bo muszę jechać do domu. Pamiętam że u kierownika byłem o 6:00 i czekałem w sekretariacie do około 8:00. Mijał mnie kilka razy, wiedział, że na niego czekam i że na mnie czeka mój 4-letni syn bez opieki. Kiedy po dwóch godzinach kierownik dalej mnie nie przyjął pojechałem do domu. Następnego dnia zaczął się mój urlop, a w kilka dni później wyjechałem w Bieszczady.

Podaję walkę o swoje prawa

Po powrocie z urlopu dostałem pismem wiadomość, że z powodu opuszczenia stanowiska pracy bez otrzymania zmiany, zmienia się ze mną warunki pracy. Z dyżurnego ruchu mam zostać przesunięty na stanowisko ustawiacza. Równocześnie ze zmianą moich obowiązków zbiegło się wprowadzenie ogólnej podwyżki stawek godzinowych. Tak więc w efekcie, pomimo tego że przesunięto mnie na gorsze stanowisko, nic finansowo nie traciłem, a nawet miałem 50 groszy więcej na godzinę, niż miałem poprzednio. Gdybym jednak pozostał na dawnym stanowisku, to miałbym 1,50 czy 2 złote więcej.

Nie zgodziłem się z taką decyzją i udałem się do związków zawodowych, ale tam odpowiedzieli mi, że zgadzają się z moimi racjami, ale rada związkowa jest instytucją poważną i nie będzie zmieniać decyzji kierownictwa zakładu. Za namową kolegów, oburzonych postępowaniem moich przełożonych odwołałem się do Sądu Pracy. Trafiłem również do zespołu naszych zakładowych prawników. Po kilku wizytach to chyba cały ich zespół znał moją sprawę. Krytykowałem przed nimi system pracy kierownictwa jako rezultat systemu socjalistycznego w Polsce. Czulem ich sympatie i niekłamaną wolę przyjscia mi z pomocą.

Czekając na rozprawę przed sądem spotkałem jednego z prawników z tego zespołu. Powiedział mi wtedy, że: „tak naprawdę uważam, że to Pan ma rację. Huta powinna zapewnić zmianę pracownika, szczególnie po tylu prośbach. A zresztą na Pana miejscu zrobiłbym to samo. Syn ważniejszy jest od pracy, ale ja jestem tutaj oddelegowany przez Hutę by bronić jej interesów, Huta mi płaci i muszę wystąpić przeciwko Panu. Przykro mi z tego powodu, szkoda, że mnie do tego wyznaczili, ale jeśli nie ja to ktoś inny musiałby to zrobić...”.

⁵⁴ Relacja nagrana 20.01.2005 roku w miejscowości Dembek/Czarnkowa. Opracował: Przemysław Miśkiewicz ze Stowarzyszenia Pokolenie". Śródtytuły – Piotr Muskała.

Sposób, w jaki odbyła się ta rozprawa zdeterminował mnie jeszcze bardziej do dalszego ubiegania się o sprawiedliwe rozpatrzenie mojego przypadku.

Ławnicy przekonywali mnie, że nic nie straciłem, że nawet zyskałem bo i tak więcej teraz zarobię, powinienem raczej dziękować niż się sądzić. Sędzia już po odczytaniu wyroku powiedział, że: „osobiście uznaję pańskie racje, ale podobnych do pańskiego przypadków jest na Hucie Katowice bardzo dużo i gdyby Pan sprawę przeciwko Hucie wygrał to mogłoby to być początkiem wielu nowych odwołań, a na to naszego państwa nie stać.” (...)

Po pomoc do Kazimierza Świtonía

O tym, że Świtoní w lutym 1978 r. założył w Katowicach Wolne Związki Zawodowe dowiedziałem się na długo przed poznaniem samego Świtonía. Wiedziałem o tym z radia Wolna Europa, którego dosyć regularnie, najczęściej w pracy, słuchałem.(...) Opowiedziałem mu całą historię. Świtoní wysłuchał mnie i powiedział, że tutaj w województwie katowickim nie zna odważnych prawników, którzy wzięliby mnie w obronę. On sam zrobi co w jego mocy by mi pomoc. Zna w Warszawie prawnika, który kiedyś pracował w kolejniectwie. Jest nim Andrzej Czuma, jeden z głównych założycieli Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela ROPCIO, on na pewno mi pomoże. Któregoś dnia pojechaliśmy razem do Warszawy.

Czuma odesłał mnie do innego prawnika (nie pamiętam niestety jego nazwiska) i on napisał mi odwołanie do sądu powiatowego.

Mniej więcej od tego czasu zacząłem częściej spotykać się ze Świtoniem. Odbierałem od niego do rozprowadzenia nielegalną prasę: „Opinię” i „Placówkę” - kilkudziesięciostronicowe pisma ROPCIO-a, oraz „Robotnika”- jednokartkowe pisma KOR-u. Nawiązałem też kontakt z Niezależną Oficyną Wydawniczą „NOVA”, Chojeckiego.

Jeździłem do Warszawy przywoziłem zakazane książki i pisma na Śląsk i tu je rozprowadzałem. Część tej bibuły rozdawałem pośród znajomych, a część w pracy.

W hucie nielegalne pisma odbierał m.in. mój przyjaciel, dyżurny ruchu, wieloletni zawiadowca stacji spod Krakowa, Adam Urbańczyk. On nie ukrywał się z ich czytaniem. Kiedyś po przeczytaniu zostawił tę prasę na biurku, a jego zmiennik, członek Związku Młodzieży Socjalistycznej, zaniósł je z donosem do „organów partii”.

W kilka dni później Adam dostał zmianę stanowiska pracy i płacy, z dyżurnego na ustawiacza za to, że idąc przez plac manewrowy nadepnął na główkę szyny kolejowej zamiast ją przekroczyć, jak nakazywały przepisy BHP. Adam nowych warunków nie przyjął, co równało się z wypowiedzeniem przez niego pracy. Jednak jego losy potoczyły się później innym torem bo w efekcie wyjeżdża do Austrii, a później do RPA. Innym odbiorcą tej prasy był Kazimierz Ujda, mój zmiennik. To on przyniósł do pracy radio byśmy mogli w czasie pracy słuchać Radia Wolna Europa. On też miał później z powodu prasy kłopoty. Też był u K. Świtonía po pomoc, ale w końcu skorzystał z pomocy SB i stał się ich donosicielem i współpracownikiem.

We wrześniu 1979 roku odbyła się kolejna rozprawa na której obecny był K. Świtoní. Jeszcze na długo przed rozprawą K. Świtoní poinformował mnie, że podobna sprawa została już przez jednego z jego znajomych wygrana. Jednak wygrana ta była na zasadzie układu – coś za coś. Przywrócenie do pracy w zamian za zakończenie spotkań z grupą Świtonía. Opowiadając mi o tym Świtoní powiedział, że według niego ważniejsze jest przywrócenie mnie do pracy. Będzie to wtedy ewidentny przykład skuteczności działania założonych przez niego Wolnych Związków Zawodowych.



Jacek Jagiełka

Zaczęły się szykany

Na rozprawie nic ciekawego nie zaszło (został wyznaczony kolejny termin) ale w kilka dni po rozprawie byłem aresztowany, przesłuchany i odbyła się u mnie w domu rewizja. (...) Funkcjonariusz który mnie przesłuchiwał przede wszystkim wypytywał o po-wody rozpoczęcia kontaktów z K. Świtoniem. Opowiedziałem mu wszystko. Powiedziałem jak potraktowano mnie w pracy, co powiedzieli mi w PRL-owskich związkach zawodowych, oraz jakie bzdurne argumenty wysuwał Sąd Pracy na rozprawie. Nie miałem powodów ukrywać że u Świtonía szukałem pomocy. (...) Od tego czasu zacząłem uczęszczać na spotkania organizowane w każdy czwartek w mieszkaniu K. Świtonía. W dniu 10.11.1979 roku o godzinie 15:00 zostaje po raz kolejny, „prewencyjnie” zatrzymany (obawa przed manifestacjami z okazji przedwojennego Święta Niepodległości) a wy puszczają mnie 11.11.1979 roku o godzinie 17:00, (...) zatrzymania od tego momentu zdarzają się dość regularnie. (...)

Pewnego dnia, kiedy wychodziłem z Krystyną od Świtonia zobaczyłem, że ktoś za mną idzie. Mieszkanie Świtonia było pod stałą obserwacją i nasłuchem. Obserwowano też każdego kto składał mu wizytę. Bardzo często aresztowano te osoby, by je inwigilować: zastraszać, grozić, namawiać do współpracy, donosów itp. Domyśliłem się, że musi to być ktoś z SB.

Mieliśmy umowę ze Świtoniem, że po spotkaniach każdy uczestników powinien zadzwonić do niego, żeby upewnić go, że każdy z nas bezpiecznie dotarł do domu.

Brak telefonu po spotkaniu był informacją, że uczestnicy spotkania zostali zatrzymani lub nie dotarli bezpiecznie do domu. Widząc, że ktoś idzie za mną wszedłem do restauracji którą mijalem po drodze (prawdopodobnie była to restauracja umieszczona w budynku, w którym mieściło się kino Zorza), aby zadzwonić do Świtonia i powiedzieć mu, że ktoś mnie śledzi. Tak też zrobiłem.

Po wyjściu z restauracji i przejściu kilku-dziesięciu metrów zostałem zatrzymany przez umundurowanego milicjanta i poproszony o dokumenty pod zarzutem awanturowania się w tej restauracji. Milicjant powiedział mi, że Tele-fonowano z restauracji i powiedziano że zaczę-piałem gości i zachowywałem się głośno. Oczywiście odrzuciłem te zarzuty i poprosiłem go, aby przeszedł ze mną do restauracji, by na miejscu ktoś potwierdził jego słowa.

Milicjant z pewnością wierzył w to co mu tajny agent przekazał. Szatniar-ka, jedyna osoba, która nas w tej restauracji widziała i udostępniła nam telefon, powiedziała, że wszedłem i nie wchodząc na salę zadzwoniłem do kogoś, natomiast wezwany po chwili kelner potwierdził, że byłem na sali i zaczę-piałem gości. W tej sytuacji spisałem numer służbowy z munduru milicjanta i poprosiłem by mi okazał swoje papiery, legitymację służbową, bo prawdopodobnie będę fałszywie oskarżony o zakłócanie porządku publicznego i chciałbym mieć go za świadka tego, co przed chwilą powiedziała pani szatniarka.

Powiedziałem, że przyczyną tego fałszywego oskarżenia, którego już przed chwilą wysłuchał od jakiegoś tajnego agenta oraz od ewidentnie współpracującego z nim kelnera było to, że właśnie wyszedłem od K. Świtonia, który jako przywódca Niezależnych Związków Zawodowych chce pomóc mi w sporze z zakładem pracy.

Milicjant słysząc znane już wtedy nazwisko Świtonia tak się wystraszył, że oddał mi dokumenty

i nie spisując mnie, jak też nie użyczając mi swoich dokumentów, dosyć pośpiesznie wyszedł z lokalu.

Wygrywam

Świtoń opowiadał mi kiedyś, że wspomniiał Jackowi Kuroniowi o zamiarze powołania NZZ i w związku z tym prosił go o wsparcie moralne, prawne i wszelkie możliwe. Odpowiedzią Kuronia był napad złości oraz kategoryczna odmowa wsparcia i stwierdzenie, że „... jeszcze na wolne związki zawodowe nie czas, może za 20 lat”.

Jak opowiadał Świtoń:

– „Kuroń dosłownie wyrzucił mnie za drzwi”.

(...) Na drugiej rozprawie w sądzie powiatowym K. Świtoń był również obecny. Przed rozprawą podczas kolejnego przesłuchania zostaje mi przedłożona propozycja pójścia na układ z władzą. W zamian za nie odwiedzanie więcej K. Świtonia mam zostać przywrócony do pracy.

Mając na uwadze to, co kiedyś powiedział mi Świtoń, że moja wygrana jest tu najważniejsza, wstępnie się zgadzam, zastrzegając jednak, że muszę się z nim chociaż raz skontaktować, bowiem wcześniej pożyczyłem mu książkę, którą chciałbym kiedyś odebrać. (...)

Lubię być wierny swojemu słowu, (...) zastrzeżenie, by być jeszcze raz u Kazimierza Świtonia, rezerwo-wałem sobie na czas jakiś ważny, który wiedziałem, że nastąpi. I rze-czywiście, byłem u Świtonia raz, bezpośrednio przed strajkiem w Hucie Katowice i drugi raz w nocy, ale tylko w przedpokoju kilka dni później, by wykraść go z aresztu domowego i przywieźć pod ochronę strajkujących.

Tym razem rozprawa w sądzie powiatowym kończy się sukcesem. Mam być przywrócony do pracy i Huta Katowice ma mi wypłacić odszkodowanie za czas w jakim byłem tej pracy pozbawiony. (...) Świtoń wysunął trochę zbyt daleko idące wnioski, poparte zapewne fałszywymi donosami, które SB tworzyła i rozpowszechniała, uznał prawdopodobnie, że zostałem zwierzbowany.

W tym czasie ubiegam się też o przydział mieszkania z puli zakładowej. Po ponownym przyjęciu do pracy (01.12.1979) udaję się do działu socjalnego z zapytaniem o należący mi się przydział. Na miejscu okazało się że jestem skreślony z listy, a na moje miejsce, byłem już na czele listy, wpisany jest jakiś działacz Związku Młodzieży Socjalistycznej. Po mojej interwencji zostaję umieszczony ponownie na liście. (...)



Kazimierz Świtoń

Piszę do PZPR

Pamiętam jak kilka dni później wezwany zostałem do stawienia się w kadrach. Było to akurat przed VIII Zjazdem PZPR. W wielu miejscach publicznych, w urzędach w zakładach pracy wisiały plakaty propagandowe na temat zjazdu. U nas w kadrach również. Pamiętam, że siedziałem na korytarzu z innymi petentami już dość długo. Zaczęłem się już niecierpliwić, tym bardziej że urzędnicy tam pracujący w ogóle się nami nie interesowali. Kilkakrotnie na korytarzu przechodzili obok nas z kubkami kawy w bardzo dobrych nastrojach.

Siedząc tak już którąś godzinę zobaczyłem, że na drzwiach prowadzących do biura Podstawowej Organizacji Partyjnej, które były obok drzwi prowadzących do kadr, wisi skrzynka. Napis na skrzynce mówił, że można do niej wrzucać różne opinie i postulaty, które, jeśli dostatecznie ważne, będą rozpatrywane na VIII zjeździe PZPR.

Napisałem więc jak wygląda przyjmowanie petentów przez kierownika kadr, (był on szczególnie cyniczny) w HK, jak lekceważąco są traktowani, jak nie szanuje się pracy i czasu współpracowników, ile kawy wypija się, zanim pracownicy kadr podejmą swoją pracę. Napisałem, że z tego typu pracownikami PZPR nigdy nie zbuduję zdrowego socjalizmu w Polsce, że tego typu pracownicy działają na szkodę Polski, PZPR i plany E. Gierka nigdy nie zostaną zrealizowane.

Mój postulat był taki, że tego typu pracownicy i ludzie powinni być zwalniani z partii i z pracy, tak ważnej jak kadry, w tak prestiżowym zakładzie jak

HK, że PZPR cała powinna zadbać o jakość swoich członków, a nie dbać o ilość, ponieważ weszło do jej szeregów wielu cwaniaków i karierowiczów, którzy swoją postawą rujnują Polskę... itp.

Po napisaniu podpisałem się i dałem ten postulat do przeczytania kolejno ludziom, którzy podobnie jak ja czekali na korytarzu, z prośbą, by jeśli zgadzają się z moimi uwagami również go podpisali. Było kilka osób i byłem zdziwiony, że wszyscy podpisali. To świadczyło o determinacji społeczeństwa na kilka dobrych miesięcy przed wybuchem Solidarności. Podpisany postulat wrzuciłem do skrzynki i czekałem dalej by ostatecznie odejść z urzędu nie załatwionym. W kilka dni później zostałem ponownie wezwany do kadr i tam bez chwili czekania przyjęty, a czerwony ze złości kierownik, po złożeniu przeze mnie kilku podpisów, powiedział, że wszystkie moje sprawy zostały załatwione pozytywnie.

Szykany w pracy

W pracy jednak zaczęły się szykany. Nie były one jednak bardzo bolesne. Często raczej żalosne. (...) Jedną z szykan było częste przenoszenie mnie z jednego miejsca pracy do innego. Na nowym miejscu pracy łatwiej o pomyłkę no i o zwolnienie z pracy.

W sierpniu 1980 r. przeniesiono mnie na HKS – stację stalowni, która uchodziła za jedną z najtrudniejszych do kierowania – i kazano mi objąć stanowisko dyżurnego dysponującego. Odmówiłem, uzasadniając to regulaminem, który nakazywał najpierw kilkutygodniowe zapoznanie się z nowym



Brama Główna Huty Katowice (1976 – 1985), zdi. z zasobów Muzeum Miejskiego „Szttygarka” w Dąbrowie Górniczej

miejszem pracy przed przystąpieniem do kierowania nim.

W związku z odmową mój bezpośredni kierownik kazał mi iść do domu, a na moje pytanie czy mam przyjść jutro albo pojutrze do pracy nie umiał odpowiedzieć. Był zły. Poprosiłem go, żeby zadzwonił do swoich przełożonych i poprosił o bardziej szczegółowe instrukcje co do dalszych moich losów na Hucie. Pod presją innych dyżurnych na nastawni w końcu zadzwonił do kogoś i powiedział przez telefon: odmówił... i się pyta czy ma jutro przyjść. W wyniku tego telefonu wezwano mnie na spotkanie z dyrekcją działu transportu HK, gdzie w obecności dyrektora, jego zastępców, wyższych kierowników i władz partyjnych na hucie uzasadniałem moją odmowę przyjęcia pracy na tym stanowisku. Kierownictwo raczej słabo знаło przepisy PKP, które na wydziale transportu kolejowego obowiązywały na hucie.

Dano mi dwa tygodnie czasu na zapoznanie się z nowym miejscem pracy. Po tym ogólnym spotkaniu dyrektor transportu HK poprosił mnie do swojego biura i tutaj zaproponował mi kluczyki do mieszkania, bo ktoś z listy oczekujących, który miał je dostać, z tego mieszkania zrezygnował. Powiedziałem, że jestem już na czele listy i niebawem i tak dostanę mieszkanie i odmówiłem ich przyjęcia. Zapytałem jednak dlaczego wyszedł do mnie z taką propozycją. Odpowiedział, że chce mi pomóc, bo pewnie niedługo on sam będzie potrzebował mojej pomocy.

Było to na jakieś dwa tygodnie przed strajkiem. Czyżby już wtedy przewidywał, że będę między innymi tym strajkiem kierował?... Wiele czynników w późniejszych dniach wskazywało na to, że dyrekcja przygotowywała się do mającego nastąpić strajku, a nawet go inicjowała. Wielu z nich to się opłaciło, nasz na przykład naczelny dyrektor HK Zbigniew Szalajda został ministrem hutnictwa, a później nawet wicepremierem. Wspomniany dyrektor transportu natomiast, rzeczywiście po strajkach za nadużycia gospodarcze poszedł do więzienia. Był podobno w więzieniu bibliotekarzem.

Świtoń: Zorganizuj strajk

Atmosfera w społeczeństwie była bardzo napięta. Nie tylko polskim. Napad ZSRR na Afganistan i związany z tym bojkot Stanów Zjednoczonych, i niektórych innych państw, olimpiady w Moskwie. Represje komunistycznych władz w stosunku do dysydentów, zabójstwo studenta Pyjasa w Krakowie, prześladowanie Kazimierza Świtonia i jego rodziny i spowodowane tym protesty światowych organizacji związkowych, prawie że totalne nieprzestrzeganie Międzynarodowych Paktów Praw

Człowieka, które rząd PRL-u podpisał i ratyfikował, ale których ze swojej komunistycznej istoty nie mógł przestrzegać, prześladowanie uroczystości religijnych np. związanych z wędrówką po Polsce obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, nierównego rozdziału dóbr konsumpcyjnych (wojsko, milicja i partia miały specjalne sklepy lepiej zaopatrzone), ogromne, często kilkudniowe kolejki przed różnego rodzaju sklepami... itd. itp..

W lipcu były strajki w Lublinie. W połowie sierpnia wybuchły strajki w stoczni gdańskiej im. Lenina. Brak wszelkich informacji o tych wydarzeniach w środkach masowego przekazu. Blokada połączeń telefonicznych z Gdańskiem, blokada połączeń kolejowych. Wszystkie te wydarzenia były dla mnie zwiastunem możliwości uzyskania niepodległości Polski. Bolało mnie, że tutaj gdzie mieszkalem na południu kraju, najbardziej uprzemysłowionym i zaludnionym regionie, do strajków nie dochodziło. Chciałem żeby do nich doszło, ale chciałem żeby poprowadzili te strajki ludzie mądrzejsi i lepiej do nich przygotowani.

Zaimponował mi Rozpłochowski

I teraz przyszedł czas, by odwiedzić Kazimierza Świtonia. Poszedłem do niego 25 sierpnia. Powiedziałem, że chciałbym za jego pośrednictwem poprzez Radio Wolna Europa przekazać pozdrowienia, wyrazy szacunku, poparcia i solidarności robotnikom Gdańska od robotników Śląska, Zagłębia, od Huty Katowice. K. Świtoń miał areszt domowy, nie mógł opuszczać swojego mieszkania i tym samym nic zrobić dla czynnego poparcia wydarzeń na wybrzeżu. Przyjął mnie dosyć ostro. Powiedział, że pozdrowienia i wyrazy szacunku mogą posyłać wiekowe babcie, a ja jeśli rzeczywiście mi na poparciu zależy, to powinienem zrobić strajk. Później nasłuchiwałem jeszcze jakiś czas wiadomości z RWE. Po wyjściu od Świtonia zostałem zatrzymany na ponad 48 godzin w Komendzie Miejskiej MO na ulicy Kilińskiego w Katowicach. (...)

Od dwóch tygodni pracowałem już na tym oddziale i od tego czasu znałem Rozpłochowskiego. Znałem go głównie z rozmów przez B., ze sposobu w jaki wykonywali swoje obowiązki w pracy. Polecenia dyżurnych były często niezgodne z przepisami BHP, co wynikało z natłoku pracy i z wadliwych rozwiązań komunikacyjnych huty. Odwaga i rozsądek Rozpłochowskiego, który miał te wadliwe polecenia wykonywać imponowała mi.

Na nowych stanowiskach pracy szukałem ludzi, którzy mogliby się przydać w społecznym proteście, który wiedziałem, że nastąpi.

Z całej tej zmiany, uważałem, że jest to najlepsza osoba do współpracy.

Czy to dyrekcja zainicjowała?

Rankiem 28.08.1980 roku o godzinie 6:00 po pracy, dyrekcja zorganizowała zebranie dwóch zmian na wydziale transportu. Poszedłem na to zebranie i usiadłem obok Rozpłochowskiego i jego kolegów. Spotkanie zwołane przez władze wydziałowe i kierownictwo partii dotyczyło ubrań ochronnych i spraw socjalnych. Pomimo dość blądej tematyki atmosfera coraz bardziej gęstniała. Dostyc często zabierał głos Andrzej Rozpłochowski. W końcu wstałem i powiedziałem że problemy socjalne o których tu mówimy wynikają z wadliwej polityki władz PRL-u, że służalczych wobec partii poczynań oficjalnych związków zawodowych o tym, że partia miesza się do produkcji i po co ten sekretarz siedzi tu razem z nami, że nasze tutaj narzekania socjalne nie mają sensu, że to już się powtarzało w naszej historii i ciągle jest nie załatwione. Trzeba zmienić strukturę społeczną, muszą powstać niezależne związki zawodowe, musi być wolny dostęp do środków masowego przekazu, że na wybrzeżu stoi stocznia, a władza blokuje dostęp do informacji o tym. Mówiąc dalej zacytowałem część postulatów z Gdańska które znałem z audycji Wolnej Europy. W końcu powiedziałem, że intencje dyrekcji są jak zwykle nieuczciwe bo nie dają nam równych szans. Oni wiedzieli o zebraniu i mogli się na nie przygotować, my natomiast, sposobem socjalistycznym zagnani zostaliśmy tu jak bydło i mamy mówić o swoich bolączkach bez wcześniejszej dyskusji i przygotowania. Dlatego po zakończeniu tego spotkania i opuszczeniu tej sali przez dyrekcję, powinniśmy dalej pozostać na sali, omówić nasze postulaty, wybrać delegatów i dopiero potem przedstawić je dyrekcji.

Po tych słowach przedstawiciele dyrekcji wyszli, sala wybrała pięciu delegatów w tym Rozpłochowskiego i mnie, spisaliśmy nasze postulaty, które pokrywały się z postulatami z Gdańska, wyraziliśmy nasze zdecydowane poparcie dla wszystkich strajkujących w Polsce, domagaliśmy się zniesienia blokady informacyjnej i tak spisane zadania jako wybrani przez załogę delegaci zanieśliśmy do dyrekcji naszego wydziału. Zebranie zostało zakończone i postanowiliśmy rozejść się do domu. Jednak pracownicy, którzy rozpoczynali pracę pytali się czy to już jest strajk. Jako delegaci uzgodniliśmy, żeby na to pytanie



Andrzej Rozpłochowski

odpowiadać, że strajk się już rozpoczął, że trzeba to ogłaszać wszystkim pracownikom i po prostu nie pracować.

Sami jednak nie ogłosiliśmy tego oficjalnie i wtedy nawet przez myśl mi nie przyszło, by być tego strajku przywódcą. Co działo się tego dnia na Hucie tego dokładnie nie wiem. Wiem, że na innych wydziałach dyrekcja organizowała podobne zebrania. Czy nasze zebranie było pierwsze czy ostatnie tego też nie wiem, ale zebrania te konsolidowały załogę do zgłaszania protestów, do zebrania się „w kupę”. Podejrzewam, że miały one podobny charakter do naszego zebrania. Dyrekcja widziała jak burzliwy miały one przebieg, a mimo to organizowała te zebrania. Ułatwiły one zjednoczenie się i umożliwiły zorganizowanie strajku. Myślę, że dyrekcja robiła to świadomie.

Wskazywałoby na to „uległe” zachowanie się dyrektora naczelnego Zbigniewa Szalajdy w pierwszych godzinach i dniach strajku oraz jego późniejsza kariera polityczna. Ciekawym wydaje się być jaka obecnie jest jego sytuacja. Na to, że „drugi garnitur komunistów” chciał wybuchu społecznego, ten wybuch prowokował, i starał się nim kierować, świadczą wydarzenia na HK jak

i w innych wielkich zakładach pracy, w kopalniach i stoczniach.

Ogłaszamy strajk

Wieczorem według harmonogramu mieliśmy powrócić do pracy. Umówiłem się z Rozpłochowskim wieczorem przed bramą Huty. Tak też się stało. Na Hucie był luz. Jedni mówili, że strajk jest, inni, że go chyba nie ma. Zaproponowałem Rozpłochowskiemu, żeby ten strajk ogłosić, że musimy to zrobić, tym bardziej, że byliśmy wybranymi delegatami wydziału. W związku z tym zaproponowałem Andrzejowi by poszedł na Stalownię i ten strajk na swoim wydziale ogłosił, ja miałem udać się na Walcownię do mojego dawnego wydziału, gdzie miałem najwięcej znajomych i zrobić to samo. Później mieliśmy kontaktować się telefonicznie.

Zamiast iść na swój wydział, pomyślałem, że będzie znacznie szybciej skontaktować się telefonicznie. Zacząłem dzwonić do wszystkich znanych mi i nie tylko znanych dyżurnych ruchu z informacją, że strajk na Hucie jest już faktem i należy o tym fakcie poinformować podległe im załogi. Większość dyżurnych bała się podać tę wiadomość. Proponowałem wtedy, żeby jeśli nie chcą tego

zrobić, to niech nie podają żadnych sygnałów do jazdy. Załogi już w tym czasie nie domagały się poleceń. To paraliżowało pracę na Hucie. W międzyczasie dowiedziałem się, że na wydziale mechanicznym powstał już Komitet Strajkowy, a na jego czele stoi Fabry.

Zadzwońłem do Rozpłochowskiego. Andrzej powiedział mi że do pracowników na jego wydział przyszedł kierownik Wałęga, i prośbą, i groźbą stara się ich przekonać do podjęcia pracy. Doszliśmy do wniosku, że jako wybrani tego ranka przedstawiciele wydziału transportu musimy iść do Komitetu Strajkowego. Po dotarciu na miejsce ktoś nam powiedział że wszyscy poszli do dyr. Szalajdy. Poszliśmy do niego i my.

Kiedy weszliśmy do jego gabinetu, powiedzieliśmy, że jesteśmy wybranymi przez załogę przedstawicielami wydziału kolejowego do rozmów z dyrekcją Huty i usiedliśmy z tyłu. Nikt nie zaprotestował.

Przedstawiciele załogi poinformowali dyrektora, że rozpoczął się strajk i poprosili go o przekazanie jakiegoś lokalu, z którego można by kierować strajkiem. Dostaliśmy pomieszczenie głównego dyspozytora w którym łączność z całą hutą była b. dobra. Ustaliliśmy też, że następne spotkanie odbędzie się za parę godzin. Dobre wrażenie wywarło na mnie działanie Marka Fabrego, tak wszystko ładnie przedstawiał, że kierownictwo huty bez zbędnych targów na wszystko się zgadzało. (...)

Po wyjściu od Szalajdy wszyscy udaliśmy się na wydział mechaniczny i tam, na życzenie dyrektora, by mu go przedstawić, został spisany skład komitetu strajkowego. W jego skład wchodziło 17 osób m.in. Rozpłochowski, Fabry i ja oraz Bogdan Borkowski i Wiesław Tadko, obaj zdeklarowani członkowie i gorący zwolennicy PZPR. O innych członkach tej siedemnastki nic obecnie nie wiem. W tym momencie strajkuje już prawie cała huta. Na bramach wjazdowych do zakładu pojawia się straż robotnicza.

Na drugie spotkanie z Szalajdą, Fabry wyznaczył już tylko kilka osób. Wśród tych osób byłem również ja, natomiast nie było Andrzeja Rozpłochowskiego. Na spotkaniu u dyrektora Fabry bez żadnego uzgodnienia z nami zaczął stawiać Szalajdzie żądania m.in. przyznania jeszcze jednego lokalu już bezpośrednio przy dyrekcji. Pomieszczenie to miało być miejscem pracy ścisłego, kilkuosobowego kierownictwa strajku, a w przyszłości siedzibą niezależnych związków Zawodowych.

Tych kilka osób miało reprezentować interesy pracowników HK, a strajk miał być już zawieszony. Szalajda obiecał żądania te spełnić. (...)

Walka o przywództwo

Po powrocie do „bazy” głównego dyspozytora, Fabry zasiadł do telefonu, a ja przedstawiłem zarządowi i przedstawicielom wydziałów HK i przedstawicielom innych zakładów dołączonych do naszego strajku, a zgromadzonych było około 200 osób, wynik rozmów z dyrekcją. Zaapelowałem o uzgodnienie wspólnego stanowiska strajkujących wobec dyrekcji, jak również wobec najwyższych władz w państwie, prosząc jednocześnie Fabrego, by tym zadaniem pokierował. Fabry jednak nie zrezygnował z telefonu i tak rozgorzała spontaniczna dyskusja nad celami naszego strajku.

Było kilkunastu, dosyć zdecydowanych, zwolenników Fabrego, którzy uważali, że gdy istnieje komitet strajkowy, uznany przez dyrekcję i władze państwowe, to można strajk zawiesić, bo nasze interesy będą właściwie reprezentowane, a Huta i społeczeństwo nie poniesie strat. Odpowiadałem, że jesteśmy tutaj dosyć przypadkowo, by móc prawidłowo reprezentować interesy tak wielu pracowników. Opowiadałem o perfidii władz i systemu, w jakim żyjemy, dając między innymi przykłady z własnych przeżyć i zmagania z tą władzą, opowiadałem o konieczności zrobienia gruntownych porządków w zakładach pracy i w państwie, a do tego, twierdziłem, potrzebujemy mądrych, zdecydowanych i wypróbowanych przywódców. (...)

Po chwili Andrzej Rozpłochowski, wiedząc, że dyr. Szalajda jest jednym z członków władz województwa zadzwonił do niego z pierwszym postulatem popartym przez prawie wszystkich delegatów, by uwolnić z aresztu domowego K. Świtonía. Rozmowa telefoniczna była „głośno mówiąca” i wszyscy mogli słyszeć argumenty Szalajdy przeciwko zwolnieniu z aresztu. Jego argumenty potwierdzały moją ocenę władz państwowych. Szalajda, dotychczas uległy jak baranek, później zresztą też, choć czasami stwarzał pozory oporu, w sprawie Kazimierza Świtonía był bezwzględny.

Rozmowa trwała kilkadziesiąt minut. Rozpłochowski groził chyba zatrzymaniem i wygaszeniem wielkich pieców, a Szalajda, że uwolnienie K. Świtonía nie leży w jego kompetencji, ani kompetencji władz wojewódzkich, że jest to sprawa państwowa, a może i międzynarodowa, bo Świtoní jest zachodnim agentem i ta sprawa może być rozwiązana tylko na szczeblu najwyższych władz krajowych.

Teraz po latach wydaje mi się, że władzom PRL chodziło o to, by twardy Kazimierz Świtoní nie zajął miejsca lansowanego przez ministra spraw wewnętrznych, pełnego pychy i być może jakoś uwikłanego, a więc słabego, Lecha Wałęsy. Stąd

zapewne brał się niespotykany wcześniej ani później, zdecydowany i skuteczny upór Szałajdy, a K. Świtonia trzeba było wykraść z aresztu domowego i przywieźć do HK pod ochronę strajkujących hutników.

Fabry dalej kierował strajkiem przez telefon, a do mnie przychodzili delegaci z prośbą bym przejął kierownictwo nad zarządem i całym strajkiem.

Naciski na zmianę kierownictwa nad strajkiem stawały się coraz silniejsze. Nie mogłem sam ogłosić się przywódcą. Nigdy też nie chciałem być osobą bardzo ważną, a kierowania strajkiem chyba trochę się bałem. Mimo, że oceniałem Fabrego jako przywódcę, który unika dokonywania istotnych i ważnych dla tej walki wyzwoleniczej posunięć, to również nie chciałem ogłaszać nowych wyborów. Obawiałem się, że może to doprowadzić do destrukcyjnych kłótni wewnętrznych.

Nad ranem jednak nacisk na konieczność wybrania nowego zarządu był tak silny, że powszechnie uznano jego konieczność i w końcu ogłoszono wybory. Na kandydata na przywódcę zgłosiłem Andrzeja Rozpłochowskiego, zostało to przyjęte przez aplauz. Andrzej zwrócił się do mnie i powiedział, że też się boi, czy podola niewątpliwie trudnym obowiązkom. Powiedziałem mu, żeby zgodził się na przywództwo, a ja będę mu pomagał jak tylko potrafię, że niedługo z pewnością zasilą nas ludzie bardziej od nas kompetentni, teraz jednak trzeba się zgodzić, by kierownictwa nie przejęli agenci.

Andrzej przyjął wybór. Na wiceprzewodniczącego wybrano najpierw mnie, a na drugiego vice – Bogdana Borkowskiego, przewodniczącego komitetu strajkowego Wydziału Głównego Mechanika, na terenie którego to wydziału była nasza siedziba. Jako czwarty, na członka zarządu, wybrany był Jan Górny. Zaproponowałem, by wybory przerwać do czasu przyjścia następnej zmiany pracowników, tak by jak najwięcej pracowników miało szansę w wyborach. Fabry nie protestował bardzo.

Żeby załagodzić niewątpliwie drastyczną dla niego sytuację, najpierw pochwaliłem go za telefoniczne kierowanie strajkiem, a później zaproponowałem wobec wszystkich zebranych, żeby dalej robił to co robi. Był on przecież tym, który prawdopodobnie najlepiej wiedział co na Hucie się dzieje. Fabry jednak obrażony (do dzisiaj nie jestem pewien czy tak naprawdę obrażony), zostawił telefony i wyszedł. Kilku jego zwolenników zmieniło swoją postawę i stało się nam bardzo usłużnych. Miejsce przy telefonach zajął na jakiś czas Jan Górny. W jakiś czas później odbył się dalszy ciąg wyborów. Wybrani zostali na członków zarządu: Kuszner, Kupisiewicz, Tadko i Karpierz.

Wkrótce dociera do nas wieść, że na walcowni-zgniataczu gdzie pracował Fabry, załoga nie zgadza się na powstanie nowego komitetu strajkowego. Natychmiast idzie tam Andrzej Rozpłochowski, aby porozmawiać z ludźmi i załagodzić konflikt. Po jakimś czasie dociera do mnie informacja że na wspomnianej walcowni sytuacja jest napięta, a Andrzej ma kłopoty. Na miejscu okazuje się, że panuje tam chaos, trudno się z ludźmi dogadać, a na dodatek Andrzejowi kompletnie wysiadło gardło. Wszedłem na platformę, przedstawiłem się jako wice przewodniczący nowego zarządu i opowiedziałem jak doszło do zmian w Komitecie Strajkowym. Co robił poprzedni komitet, a co robi obecny. Jakie mamy ambicje, że nie ograniczają się one do załatwiania spraw tylko naszego zakładu, ale że strajkujemy dla dobra wszystkich pracowników i obywateli w Polsce itd.

Białe kaski – naszymi wrogami

Była wśród tej załogi grupa ludzi w białych kaskach. Była to kadra kierownicza załogi. Gdy zbliżałem się do platformy słyszałem w tej grupie ironiczne uwagi pod adresem Andrzeja często wypowiedziane głośno do całej załogi. Wyczuwało się u nich brak poparcia dla strajku, a załoga zachowywała się niezbyt pewnie w ich obecności. Zwróciłem się do załogi i wskazując na ludzi w białych kaskach, powiedziałem, że to są właśnie ludzie, którzy utrzymywali was w ryzach Systemu.

To oni zniewalali do pochodów 1-szo majowych, do idiotycznych czynów społecznych, wynagradzali za donosy i sami w ten sposób byli wynagradzani i awansowani. Jeżeli teraz chcą strajkować to pięknie, ale intencje niektórych z nich są wyraźnie widoczne, a w intencje wielu innych spośród nich należy wątpić, dlatego dla załogi walcowni-zgniatacza będzie lepiej, jeżeli strajkująca kadra kierownicza tego wydziału rozjedzie się do domów i tam niech kontynuuje swój strajk. Wielu spośród kadry zaczęło zdejmować białe kaski, załoga przestała się buntować, a wiele osób życzyło nam powodzenia.

Wprowadziliśmy też zwyczaj codziennych spotkań przedstawicieli poszczególnych wydziałów o godz. 9:00, kontynuowany jeszcze długo po zakończeniu strajku.

Po tych spotkaniach informowaliśmy o wszystkim w specjalnym biuletynie, pt. „Wydarzenia z dnia poprzedniego” drukowanym w formie plakatów i rozprowadzanym na terenie huty i przyległych zakładów. Uruchomiliśmy węzeł radiowy itd. itp.

W dniu 02.09.1980 roku wyjeżdża do Gdańska delegacja z Huty Katowice. 03.09.1980 w nocy, w tajemnicy przed pracownikami i niektórymi członkami zarządu, razem ze Zbyszkim Kupisiewiczem, jeszcze z jakąś osobą i z kierowcą Mietkiem Melskim, pojechaliśmy do Katowic by wykraść z aresztu domowego Kazimierza Świtonia. Wyprawa się udała, a zarząd, wspólnie z delegatami innych zakładów mianował Świtonia honorowym sekretarzem zarządu.

W tamtym czasie K. Świton jest dla mnie niekwestionowanym autorytetem i osobą bardziej znaną niż Wałęsa. Byłem przekonany, że to właśnie Świton powinien być szefem związku i to nie tylko szczebla regionalnego, ale być może i krajowego. Wydrukowaliśmy 10.000 Międzynarodowych Paktów Praw Człowieka, które prawnie, wbrew woli komunistycznych władz, obowiązywały już w Polsce, ale ich treść była bardzo mało znana w naszym społeczeństwie.

Dalsze losy strajku mogły już ob-serwować tysiące ludzi.

Komentarz do relacji J. Jagielki

W opowieści Jacka Jagielki warto zwrócić uwagę na dwie rzeczy.

Pierwsza, to zachowanie dyrekcji Huty Katowice. Dyrektor transportu wręcza J. Jagielce klucze do nowego mieszkania mówiąc, że być może niedługo będzie potrzebował jego pomocy. Dyrekcja organizuje zebrania załogi na różnych wydziałach w taki sposób, jakby chciała –w tym bardzo gorącym okresie, gdy na Wybrzeżu strajkowali – sprowokować robotników do zde-cydowanych masowych wystąpień. Potem szybko ustępuje pod ich żądaniami.

Druga ważna rzecz, to oskarżenie wysunięte przez K. Świton, że J. Jagielka został zwerbowany przez SB. Podsumujmy fakty. J. Jagielka zostaje przywrócony do pracy, otrzymuje wysokie odszkodowanie za okres zwolnienia i – co najdziwniejsze – właśnie wtedy bardzo radykalizuje się.

Naturalne wyczucie psychologiczne mówi, że w takich sytuacjach człowiek cieszy się, że wygrał i dyskontuje swoją wygraną. Kupuje meble do otrzymanego mieszkania, stara się ułożyć sobie życie i już daje sobie spokój z nieroztropnymi wyskokami. Tymczasem Jacek Jagielka coraz bardziej podnosi poprzeczkę. Już nie chodzi mu tylko o prawa robotników, ale o coś więcej – o walkę z Systemem, o różne wysokie ideały, takie jak wolność, prawa człowieka itp. Czy aby ktoś mu nie podpowiedział, że warto się w tę walkę zaangażować?



Przedstawiciele załogi Huty Katowice podczas rozmów z delegacją rządową, stoi Andrzej Rozpłochowski; zdj. z zasobów archiwalnych Komisji Zakładowej Solidarności ArcelorMittal Poland SA

To prawdopodobnie niesprawiedliwe podejrzenia, ale uważam, że w niniejszych wspomnieniach, którym mam ambicje nadać walor pracy naukowej, historycznej, wątpliwości nigdy nie za wiele. Historyk ma pisać obiektywnie, przedstawiać fakty, opierać się na źródłach i nie być stronniczym. Przede wszystkim, jego obowiązkiem jest weryfikacja faktów. Co mam jednak zrobić, jeśli nie jestem w stanie, przy obecnym stanie wiedzy, zwerfikować faktów? Uważam, że najlepiej pozostawić sprawy otwarte, a tylko uczulić czytelnika kwestie niewyjaśnione do końca.

Staram się przede wszystkim zachować krytycyzm wobec relacji świadków. Stawiam pytania.

Tajne służby, wykorzystując ambicje przywódców robotniczych, a także ich słabości, prowadziły działania obliczone na dezintegrację związku i przejęcie nad nim kontroli. Te służby znały nieładne karty z życiorysów działaczy związkowych (do tego przecież, do rozpracowywania przeciwników Systemu, sprowadzała się ich praca) znały ich ambicje oraz namiętności, jak również wzajemne animozje.

Rok trwało, zanim na Górnym Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim udało się zjednoczyć ruch związkowy i wyłonić jeden wspólny zarząd całego regionu.

KALENDARIUM

Pierwszy większy strajk w woj. katowickim, poprzedzony krótkimi przerwami w pracy w kilku zakładach, rozpoczął się – 21 sierpnia 1980 w **Fabryce Zmechanizowanych Obudów Ścianowych Fazos w Tarnowskich Górach**, kolejne:

- od 23 sierpnia strajkowano m.in. w **Przedsiębiorstwie Komunikacji Samochodowej w Wodzisławiu Śl. i Rybniku**,
- w nocy 28/29 sierpnia 1980 zastrajkowały jastrzębskie **kopalnie Manifest Lipcowy i Borynia**;
- 29 sierpnia 1980:

I. powołano **Międzyzakładowy Komitet Strajkowy (MKS) przy KWK Manifest Lipcowy** z przewodniczącym Jarosławem Sienkiewiczem; rozpoczął się strajk w **tyskiej Fabryce Samochodów Małolitrażowych**, zawieszony 30 sierpnia 1980 po spełnieniu części postulatów strajkujących;

II. **zastrajkowały niektóre Wydziały Huty Katowice** (Walcownia Średnia, Walcownia Zgniatacz, Walcownia Kęsów, Wydz. Mechaniczno-Konstrukcyjny, Zakład Transportu Kolejowego Wydz. Przewozów Wewnętrznych), do których – 30 sierpnia 1980 dołączyły kolejne (m.in. Walcownia Duża). – **Powstał 17-osobowy MKS** z przewodniczącym Markiem Fabrym, a po jego odwołaniu, 31 sierpnia 1980, wybrano nowy skład MKS z przewodniczącym Andrzejem Rozpłochowskim, zawarto z dyrekcją HK porozumienie warunkowo zawieszające strajk, 1 września 1980 podjęto pracę, MKS przekształcił się w Komitet Robotniczy.

Do 1 września strajki w regionie podjęły 64 zakłady, w tym 16 przedsiębiorstw działających w HK, wzięło w nich udział ponad 98 tys. pracowników. **3 września 1980**, w wyniku negocjacji z Komisją Rządową, **jastrzębski MKS, reprezentujący załogi 56 zakładów, w tym 28 kopalń, podpisał porozumienie (zwane Porozumieniem jastrzębskim)**, w którym zapisano m.in. poparcie 21 postulatów gdańskich, zniesienie w górnictwie czterobrygadowego systemu pracy, wprowadzenie od 1 stycznia 1981 wszystkich wolnych sobót. 4 września 1980 MKS przekształcił się w Międzyzakładową Komisję Robotniczą (z J. Sienkiewiczem na czele), podległe mu Zakładowe KS przyjęły nazwę Zakładowych Komisji Robotniczych. **4 września 1980 w Hucie Katowice** zostało podpisane przez dyr. kombinatu i Komitet Robotniczy porozumienie kończące strajk zawieszony 31 sierpnia. **11 września MKR (z A. Rozpłochowskim na czele) podpisał Porozumienie katowickie**, w którym deklarowano m.in. bezpieczeństwo dla zaangażowanych w działalność nowych związków zawodowych i akceptację przez organy państwa funkcjonowanie struktur Związku w całym kraju; ostateczne porozumienie zawarto 24 października 1980.

III. **4 września 1980 w Bytomiu rozpoczęły się strajki w kopalniach: Bobrek, Dymitrow, Szombierki; powołano 3. ośrodek strajkowy MKS Bytom** (na czele z Andrzejem Cierniewskim), który podpisał porozumienie z Komisją Rządową, akceptujące uzgodnienia zawarte w Porozumieniu jastrzębskim; powstała bytomska Międzyzakładowa Komisja Robotnicza (stanowiąca autonomiczną część jastrzębskiej Międzyzakładowej Komisji Robotniczej. Później zmieniła nazwę na Międzyzakładową Komisję Założycielską, a jeszcze później na Regionalną Międzyzakładową Komisję Związkową.

IV. **26 września 1980 powstała związkowa struktura międzyzakładowa: MKZ, utworzona z inspiracji komisji dziewięciu tyskich zakładów**, m.in. FSM, która należała jednocześnie do Fabrycznej Komisji Założycielskiej FSM powstałej w Bielsku-Białej (koordynującej działania komórek „S” w zakładach należących do FSM), Fabryczna Komisja Założycielska FSM początkowo wchodziła w skład bielskiego MKZ, później z należącymi do niej Zakładowymi Komisjami Założycielskimi wycofała się ze struktury bielskiej i z tyską MKZ 2 października 1980 stworzyła nową MKZ na czele z Leszkiem Waliszewskim. Z nowej MKZ wycofały się zakłady należące do FSM, które ze względu na przynależność terytorialną weszły ponownie w skład bielskiej MKZ.

V. **najmniejszym ośrodkiem założycielskim „S” w woj. katowickim została MKZ Siemianowice Śl.** (z przewodniczącym Zbigniewem Suchłobowiczem), która działała do początku 1981, zrzeszając ogniwa związkowe z kilkunastu zakładów tego ośrodka.

HK i MKR Jastrzębie stały się, po fali strajków, głównymi ośrodkami „S” w Regionie; 23 IX 1980 MKR przy HK przekształcił się w MKZ z tymczasową siedzibą w Hucie Katowice, później w MKZ Katowice. Jastrzębska Międzyzakładowa Komisja Robotnicza, później Międzyzakładowa Komisja Robotnicza – Komitet Założycielski obejmowała swoim zasięgiem większość przedsiębiorstw branży górniczej i członków z 11 województw, którzy byli pracownikami 91 kopalń, 118 przedsiębiorstw górniczych, 112 przedsiębiorstw innych branż; mając zasięg ponadregionalny, zdominowała inne struktury na terenie województwa.

Zagłębiowski ośrodek jako pierwszy w kraju 16 września 1980 złożył w Sądzie Wojewódzkim w Warszawie wniosek o rejestrację. Na początku października 1980 (wg danych KW PZPR w Katowicach) tylko z terenu G. Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego w MKZ zarejestrowano 74 zakłady, w największych odsetek pracowników należących do „S” wahał się między 58 proc. (HK 11 234 członków) a 71 proc. ogółu zatrudnionych (Huta Baildon 6 tys. członków). MKZ Katowice na początku października 1980 liczył 151 organizacji zakładowych, w połowie października 1980 – 12 tys. członków, pod koniec października – skupiał organizacje związkowe z ponad 350 zakładów. 21 VIII – 2 X 1980 SB i MO zanotowała strajki i próby ich zorganizowania w 272 zakładach w regionie. Uczestniczyło w nich ok. 310 tys. osób. Do ogólnopolskiego strajku ostrzegawczego 3 października 1980 w woj. katowickim przystąpiły 242 zakłady, w tym 53 kopalnie. 27 stycznia 1981 w strajku ostrzegawczym w związku z nieprzestrzeganiem przez władze porozumienia jastrzębskiego ws. wolnych sobót wzięło udział 177 zakładów, w tym 61 kopalń, 10 hut, łącznie ok. 194 tys. pracowników.

PRZEŁAMUJĘ LĘK

Kiedy po podpisaniu Porozumień sierpniowych powstały większe możliwości organizowania się, zaangażowałem się najpierw w zakładanie Klubu Inteligencji Katolickiej w Gliwicach. Na jednym ze spotkań Duszpasterstwa Akademickiego, korzystając z obecności redaktor „Tygodnika Powszechnego” Józefy Hennelowej, wystąpiłem z apelem o utworzenie takiego klubu u nas, w Gliwicach. Redaktor J. Hennelowa wyjaśniła, że w Katowicach podjęto już kroki prawne w tym kierunku, ale planuje się utworzenie jednego klubu na Górnym Śląsku z oddziałami w większych miastach.

Dziwne zebranie założycielskie

Na zebranie założycielskie do Katowic wydelegowano z Gliwic Anię Miazgowicz, Andrzeja Kozaka i mnie. Okazało się, że karty są już rozdane. Prowadził spotkanie młody człowiek, którego zapamiętałam z gęstej czupryny i charakterystycznego nerwowego podrzucania ramion. Tytułowano go doktorem. To był Jerzy Konieczny, późniejszy minister spraw wewnętrznych w rządzie Hanny Suchockiej, dziś właściciel Konsalnetu, jednego z największych biur detektywistycznych w Polsce. Jest, i był wtedy, kompletnie łysy. Wrażenie gęstych włosów sprawiła dobrze dobrana peruka. Wtedy, na zebraniu założycielskim KIK-u, był adiunktem w Zakładzie Kryminalistyki Uniwersytetu Śląskiego.

Nie pamiętam, czy na zebraniu założycielskim, o tym wspomniano. Do dzisiaj nie wiem, jak środowisko inteligencji katolickiej, skupione wokół kurii Katowickiej, nawiązało kontakty z instytutem, który kształcił kadry dla milicji i tajnych służb, i – co ciekawsze – jaki charakter miały te kontakty?

Składu pierwszego zarządu katowickiego KIK-u też już dokładnie nie pamiętam. Prezesem został kompozytor Henryk Górecki, który wtedy zdobywał już międzynarodową sławę, ale on tylko firmował Klub. Potrzebne było wielkie nazwisko, żeby władzom trudniej było go rozwiązać czy przytłamsić. Zastępcą prof. H. Góreckiego został profesor Politechniki im. W. Pstrowskiego w Gliwicach, lubiany przez studentów Janusz Dietrych. Widać było, iż wyboru prezesa i zarządu – przynajmniej w podstawowym składzie – dokonano już wcześ-

niej, zebranie założycielskie miało tylko wybór za-
klepać.

Poznałem tam prawnika o nazwisku Michał Sobczyk. Zabierał głos z sali i mówił w sposób bardzo wyważony. Wyglądało, że nie jest ustawiony, więc zaproponowałem go do zarządu i – jeśli dobrze pamiętam – przeszedł. Przysiadłem się do niego i wziąłem numer jego telefonu.

Potem wypadłem z gry, ponieważ kolejne spotkanie gliwickiego oddziału KIK-u kilku kolegów zorganizowało już beze mnie, nie informując mnie o tym. Nie wiem, może zraziłem ich moją ambicją, a może obawiali się, że rozłożę KIK od wewnątrz, gdyż miałem opinię człowieka skłonnego do kłótni. Ciężko mi było przełknąć tę pigułkę, ale dziś, z perspektywy czasu, oceniam, że niewiele straciłem. KIK nie odegrał roli, jaką mógł odegrać. Właściwie nie odegrał żadnej roli w późniejszej solidarnościowej rewolucji.

Redaguję audycje na kasetach

Działalność w wydawnictwach Solidarności zacząłem od nagrywania kaset z audycjami dla Międzyzakładowej Komisji Założycielskiej NSZZ „Solidarność” (wyłonionej z MKZ Huty Katowice), a potem redagowania „Dziennika Związkowego” – wydrukowanej dwustronnie kartki formatu A5. Było to już oficjalne pismo zjednoczonego już Zarządu Regionu, który powstał w końcu z połączenia wszystkich najważniejszych MKZ-tów (Międzyzakładowych Komitetów Założycielskich): Huty Katowice, Jastrzębia, Tychów, Bytomia i Siemianowic Śląskich, po przeprowadzeniu powszechnych wyborów delegatów. Wciągnął mnie do redagowania tego biuletynu Andrzej Szyja z Komitetu Zakładowego Huty Florian, którego znałem z Duszpasterstwa Akademickiego. W czasie stanu wojennego rozbił się samochodem w lesie pod Orzeszem-Jaśkowicami. Świadców nie było, rzekomo jechał za szybko swoim fiatem 126, nie wyrobił na zakręcie i wpakował się na drzewo. Można wierzyć albo nie.

W szkole górniczej

Pracowałem wtedy jako nauczyciel zawodu w Zasadniczej Szkole Górniczej przy kopalni Katowice. Robotę tę załatwił mi Michał Smolorz, po tym jak rozstałem się z ojcem Marcinem Babrajem i redakcją miesięcznika „W Drodze” w Poznaniu. Zatrudnił mnie w szkole dyr. Chruś-



Jadwiga Chmielowska – legenda podziemia, Służbie Bezpieczeństwa nigdy nie udało się jej dopaść.

ciel, nie pamiętam już jego imienia. Nauczycielem byłem chyba nie najlepszym, bo pełnym ideałów i zbuntowanym. Swoich uczniów chciałem uczyć tego co najważniejsze w życiu – jak być człowiekiem. Sądziłem, że to trzeba tylko własnym przykładem. Byłem naiwny.

Chłopcy myśleli przede wszystkim o dupie i pieniądzach; o tym, że za rok lub dwa zarobią na dole w kopalni więcej niż ich koledzy w innych zakładach pracy i to dodawało im wartości we własnych oczach. Wyznacznikiem wartości nauczyciela była dla nich wiedza fachowa, wyniesiona z praktyki. Ja nie potrafiłem zejść do ich poziomu intelektualnego. Tłumaczyłem zbyt dla nich abstrakcyjnie. Pamiętam, że nie potrafili załapać, do czego służy sprzęgło. Autorytet znajdowali u nich starzy nauczyciele, potrafiący wzbudzić posłuch i w razie potrzeby ośmieszyć. Te dwie metody skutkowały: groźba albo ośmieszenie. Albo jedno i drugie jednocześnie. Oburzało mnie u starych nauczycieli, że wchodzili w układy z nieformalnymi przywódcami grup. Takie ciche umowy: ja cię nie będę ośmieszał, a ty mi pomożesz utrzymać posłuch w grupie. Ze słabszych uczniów będziemy się śmiewali razem. Toteż w szkole i internacie panował ukryty terror.

Miałem w mojej klasie zabójcę. Chłopak z kieleckiego. Przyjechali w kilku i nie chcieli się podporządkować szkolnym prowodyrom. Gdy jeden z nich postanowił nauczyć chłopaka moresu, ten wyciągnął nóż i po prostu pchnął. Odtąd „scyzoryki”, jak ich przezywano, mieli spokój.

Wicedyrektor B.

Mistrzem w paktowaniu z prowodyrami był zastępca dyrektora szkoły niejaki B. (nie pamiętam jak się nazywał). On szkolnych prowodyrów darzył wręcz szacunkiem, jak człowiek bez zasad darzy szacunkiem ludzi silnych. Kiedyś postanowiłem porozmawiać z chłopakiem, który porozrzucał jedzenie na stołówce. Więcej chłopaków rozrzucało, ale jego złapali, bo był trochę upośledzony. Utrapienie całej szkoły. Poskarżył mi się, że pan od fizyki go wyśmiewa i przez to śmieją się też z niego koledzy.

Poszedłem z tym do wicedyrektora.

– *Proszę mnie źle nie zrozumieć, nie chciałbym pana urazić, ale skarży się chłopak, że pan go publicznie wyśmiewa. Nie mógłby pan przez pewien czas potraktować go trochę łagodniej?*

– *Który chłopak?*

– *Waldek.*

– *Niech go pan skieruje do mnie, już ja z nim porozmawiam.*

Wicedyrektor B. był członkiem partii. W rozmowach prowadzonych w pokoju nauczycielskim prezentował poglądy jednego z partyjnych lobby. Pamiętam, że on pierwszy mówił, i to dużo mówił, o rozruchach w Lubelskiem, gdzie robotnicy przyspawali do szyn pociąg z towarami jadący do ZSRR. Takie działania wymierzone w „Głównego Sojusznika” były czymś nie do pomyślenia w krajach obozu „demokracji socjalistycznej”. Za to można było kiedyś pójść do piachu. Robotnicy walczyli o poprawę zaopatrzenia stołówki zakładowej, ale działania prowadzili najbardziej prowokacyjne z możliwych. Rozeszło się to po kościach. Prasa przemilczała, ludzi interesowały braki towaru w sklepach a nie akcje przeciwko ZSRR.

Zastanawiało mnie, dlaczego najwięcej o tym mówi, i to w tonie pochwalnym, działacz partyjny. E. Gierek twierdził, że rozruchy w Lubelskiem były pierwszą próbą przejęcia władzy przez partyjną koterię pod przywództwem Stanisława Kani. W realnym socjalizmie zmiana władzy wymagała zaburzeń społecznych, bo w ramach procedur wewnętrzzpartyjnych się nie dało. Typowy schemat miał następującą postać: niepokoje społeczne, najlepiej połączone z ofiarami w ludziach, specjalne plenum Komitetu Centralnego, krytyka naczelnych władz za *zaniedbanie dialogu z masami pracującymi* i wymiana rządzącej ekipy.

W scentralizowanym systemie partyjnym, gdzie wszelkie uprawnienia do podejmowania decyzji były przekazywane w dół przez partyjne góry, innych możliwości przejęcia władzy nie było. Oczywiście, taka operacja nie była do pomyślenia bez udziału tajnych służb.

E. Gierek na swoje nieszczęście sprawę zbagatelizował. Gdy wieść o strajkach w Lubelskiem rozeszła się szerzej, strach utrzymujący ludzi w ryzach, zaczął ustępować. To było niedługo przed moim wyjazdem do Austrii.

Tajne służby sterowały opinią publiczną przez tzw. agentów wpływu. Ci podrzucali narodowi tematy do rozmów i jednocześnie interpretację wydarzeń. Mieli za zadanie dyskredytować określone poglądy i określonych ludzi. Gazetom i Telewizji ludzie nie wierzyli, ale plotkom już tak.

Jeżeli tysiące agentów wpływu jednocześnie mówiło o rozruchach w Lubelskiem, to w końcu, mimo przemilczenia tego przez oficjalną prasę, do ludzi coś docierało. Nie twierdzę, że wicedyrektor B. był takim agentem. Mógł być zwyczajnie nieświadomym przekąznikiem takiego agenta, nawet ulokowanego wewnątrz partii, człowieka „lepiej poinformowanego”, który zwierzał się tylko „zaufanym kolegom”.



Pochody pierwszomajowe miały tworzyć wrażenie poparcia narodu dla partii (PZPR) i jej polityki. Jak nieautentyczne to było, pokazał rok 1980. Ci sami ludzie, którzy tłumnie uczestniczyli w pochodach, masowo później protestowali – przeciwko partii i jej polityce.

Zdjęcie. górne: zbiórka uczestników pochodu 1-majowego przed Superjednostką w Katowicach; zdj. <https://www.sbc.org.pl/dlibra/results?q=Trybuna+Robotnicza&action=SimpleSearchAction&type=-6&p=0>.

Niżej: spotkanie działaczy NSZZ Solidarność w kato-wickim Spodku; zdj. z zasobów archiwalnych Komisji Zakładowej NSZZ Solidarność ArcelorMittal_Poland_SA



Nauczyciele reagowali stadnie

Nauczyciele ostrożnie podchodzili do tematu Solidarności. W Kopalni Węgla Kamiennego (KWK) Katowice komitet strajkowy powstał wcześniej, jak we wszystkich prawie kopalniach zachęconych przykładem Jastrzębskiego Zagłębia Węglowego.

Jak to dokładnie tam przebiegało, nie wiem. W rozmowach nauczycieli coraz częściej pojawiała się nazwisko: Sojka Bolek. Mówili o nim źle. Uczył się kiedyś w naszej szkole. Niezbyt rzekomo lotny, trudny do opanowania. Trenował boks. W miarę jak na niego nadawali, moja sympatia do niego rosła.

Po to, by podkreślić swoją odrębność jako pracowników umysłowych założyliśmy w szkole osobny Komitet Założycielski Solidarności (dokładnej nazwy już nie pamiętam) i podpięliśmy się pod struktury Solidarności Nauczycielskiej.



Dobosze w pierwszym rzędzie orkiestry górniczej to nie są moi byli uczniowie lecz chłopcy ze Świętochłowic, ale ci z mojej szkoły, tzn. Zasadniczej Szkoły Górniczej KWK Katowice, też chodzili na pochody pierwszomajowe wystrojeni w galowe mundury górnicze – przynajmniej niektórzy. zdj. E. Wlazłowski/ Fotopolska.eu

Z kopalnią grono nauczycielskie nie chciało mieć nic wspólnego. Nauczyciele obawiali się, że górnicy ich zdominują. Mieliśmy spreczne interesy. W interesie kopalni – przynajmniej tym wąskoeconomicznym – było naszą szkołę zlikwidować i dzięki temu poprawić swój bilans. Jeśli się nie mylę, listę pierwszy przyniósł wicedyrektor B. Zdumiało mnie to, bo znałem go jako człowieka o przekonaniach zgodnych z linią partyjną, ale wiele mu nie dogadywałem, bo nie chciałem znowu być przeciwko wszystkim. Nie minęło kilka dni, jak całe grono nauczycielskie hurmem zapisało się do Solidarności. Jeśli byłem dobrze poinformowany i dobrze pamiętam, to zapisali się wszyscy nauczyciele z wyjątkiem dyrektora Chruściela.

Pamiętałem, jak rok, dwa lata wcześniej próbowałem nawiązać jakąś rozmowę na temat wynaturzeń Systemu i jak wszyscy unikali tego

tematu. A przecież działał kilka już lat Kazimierz Świtoń, założyciel kilkusobowego niezależnego związku zawodowego na Górnym Śląsku, Pierwszego w Polsce. To nauczycieli wtedy nie Dotykało. Niezależne związki, polityka – to nie ich sprawa.

Otwarcie mówił o tym tylko dyr. Chruściel. Przedstawiał K. Świtonia jako szczególny typ charakterologiczny. Pewni ludzie – twierdził – zawsze będą się buntować, zawsze będą przeciwko. W każdej sytuacji, bo... tacy już są. Miał sporo racji, jednak ja wtedy poczułem się podle. Sumienie nakazywało mi stanąć w obronie założyciela Wolnych Związków Zawodowych, a zamilczałem. Gdybym powiedział wtedy choć jedno słowo, jedno zdanie, choćby takie, że – K. Świtoń ma jednak swoje racje, dzisiaj mógłbym być dumny z siebie, ale zabrakło mi wtedy odwagi cywilnej.

Trudno powiedzieć, dlaczego właśnie wicedy-

rektor B. zainicjował tworzenie Solidarności w szkole. Może chciał zaszkodzić Chruścielowi, na etat którego miał chrapkę, może uznał, że trzeba iść z prądem, a całe nauczycielstwo gromadnie już wpisywało się do Solidarności, a może dostał takie polecenie partyjne. PZPR nie ukrywała, że zamierza spacyfikować Solidarność przez swoich członków, doświadczonych w działalności publicznej. Niezależnych grup społecznych, zdolnych objąć kierownictwo ruchu, nie było za wiele. Wszędzie odbywały się podobne procesy jak wśród nauczycieli mojej szkoły. Nie było czystych wyborów ideowych, panował koniunkturalizm.

Po kilku miesiącach Solidarność liczyła już prawie dziesięć milionów członków, z partii zaś ludzi ubywało. Nie wiem czy w tym okresie miała ich jeszcze z milion.

W NURCIE NARODOWO- WYZWOLEŃCZYM

W marcu 1981 roku „Solidarność” podjęła ogólnopolski strajk w reakcji na pobicie przez milicję działaczy związkowych w Bydgoszczy. Wydarzenia te znane są jako Prowokacja Bydgoska, z sugestią, że to władza prowokowała, dążąc do frontalnego starcia ze Związkiem. Moim zdaniem było odwrotnie.

Kilka razy przesłuchiwałem nagranie z sesji Wojewódzkiej Rady Narodowej w Bydgoszczy – na które zaproszono działaczy „Solidarności” z Janem Rulewskim – i uważam, że jeśli ktoś prowokował, to był to właśnie on i jego koledzy. Byli tam gośćmi. Domagali się dyskusji, ze swoim udziałem, na temat postulatów strajkujących rolników, ale nie zostali dopuszczeni do głosu. Prowadzący sesję, znając chyba jak wyglądają dyskusje z J. Rulewskim, postanowił zamknąć obrady. Związkowcy nie chcieli opuścić sali, więc wezwano milicję. W trakcie szamotaniny, związanej z wynoszeniem opornych, kilku z nich trochę poturbowano.

Tło wydarzeń w Bydgoszczy

Ważne jest polityczne tło tych wydarzeń. Miesiąc wcześniej 18 i 20 lutego 1981 roku zakończyły się strajki okupacyjne rolników w Rzeszowie i Ustrzykach Dolnych. Przedstawiciele strajkujących podpisali z komisją rządową pod przewodnictwem wiceministra rolnictwa porozumienie, zawierające 29 postulatów. Rolnicy uzyskali m.in. gwarancje własności ziemi i prawa do dziedziczenia, równość traktowania z rolnictwem spółdzielczym, zniesienia ograniczeń w obrocie gruntami rolnymi. Zawarto w porozumieniu również szereg postanowień poszerzających wolność kształtowania światopoglądu, dotyczących między innymi swobody budownictwa sakralnego i dostępu do praktyk religijnych, zadeklarowano rozbudowę sieci szkół i przedszkoli na terenach wiejskich. Rząd zobowiązał się do przekazania luksusowych ośrodków w Bieszczadach do użyteczności publicznej. Niestety, porozumienia nie zawierały uzgodnień co do rolniczych związków zawodowych, choć samo ich podpisanie z niezarejestrowaną organizacją świadczyło o faktycznym jej uznaniu przez władze.

8 i 9 marca 1981 r. odbył się w Poznaniu zjazd zjednoczeniowy, na którym powołano NSZZ Rolników Indywidualnych „Solidarność” z Janem Kuła-



Masówka Solidarności w Hucie Ferrum, początek 1981 r.

jem na czele. Akcja związkowców pod przywództwem J. Rulewskiego stanowiła próbę zmuszenia władz do jego rejestracji.

Drugim istotnym elementem tła bydgoskich wydarzeń były odbywające się wtedy duże manewry wojskowe kilku państw Układu Warszawskiego o kryptonimie "Sojuz '81". Panowała obawa, że może to być przygotowanie do zbrojnej rozprawy z „Solidarnością”. Głośno mówiło się w kręgach związkowych, że lepiej, żeby atak spotkał się ze zorganizowanym oporem, najlepiej z załogami strajkującymi w zakładach pracy. Prowokacja Bydgoska stanowiła doskonały pretekst do mobilizacji rzesz członkowskich.

Trzecim momentem był apel gen W. Jaruzelskiego o 90 dni spokoju. Generał został premierem 11 lutego 1981 roku, apel wygłosił następnego dnia. Rozchwianie społeczne – mówił – jest podstawową przyczyną trudności gospodarczych. Spokój jest potrzebny, aby uspokoić nastroje i pozwolić odetchnąć gospodarce. Prosił, by dać mu szansę, obiecywał reformy.

W twierdzy Huta Baildon

MKS Huty Katowice wyznaczył na centrum strajkowe Hutę Baildon. Mnie z Leszkiem Zwierzyńskim i Januszem Kurkiem, wyznaczono zadanie prowadzenia zakładowego radiowęzła.

Siedzieliśmy na podłodze w pomieszczeniu obok, zastanawiając się, którądy ZOMO zaatakuje. Janusz twierdził, że atak rozpocznie desant czerwonych беретów, którzy zajmą newralgiczne punkty obrony, a do takich należał radiowęzeł. Przede wszystkim opanują radiowęzeł, aby sparaliżować kierowanie oporem. Najpewniej wejdą przez okna.

Tam wtedy Janusz trochę rozkleił się i rozmarzył jednocześnie.

– *Nasi przodkowie walczyli o wolność, pokolenie za pokoleniem, a my tkwiłiśmy w marazmie. Teraz czuję, że nawiązuję, swoim zaangażowaniem w tej walce, do mojej rdzennej polskiej tradycji walki o wolność. Brakowało mi tego.*

Pokpiwałem, że dla niego, jako Polaka, najważniejszym celem życiowym jest chyba dać zabić się za ojczyznę, ale jego wynurzenia łechtały moją dumę. Czułem tam wtedy, że zdobywam sobie prawo być Polakiem.

Dotychczas czułem się, jako Górnoślązak, wyalienowany z narodu polskiego. Mogłem być albo sobą, a więc Szwabem, za jakich jak nas uważano, poniekąd słusznie, albo zaprzec się samego siebie i zapomnieć, kim jestem. Wyrzec się swojej rodziny, swoich ziomków i swojej tradycji, w dużej mierze niemieckiej, i zdecydowane opowiedzieć się za polską tradycją i polską mentalnością. Długi czas tego nie potrafiłem, tkwiłem rozkraczony jak na barykadzie.

Tam wtedy, w Hucie Baildon, uświadomiłem sobie, że dokonał się przełom. Wrogość między Polakami a Niemcami, czyli również między Ślązakami, uważanymi za Niemców, została przykryta wrogością między „my” a „oni”, między narodem polskim a partią, PZPR, Płatnymi Zdrajcami Pacholkami Rosji, jak ich określił Leszek Moczulski. Byłem Polakiem, byłem z narodem.

To utożsamienie z narodem umocniło się jeszcze w czasie stanu wojennego. Kiedy siedziałem w areszcie w Pentagonie, jak, z powodu architektury budynku nazywaliśmy areszt śledczy przy Komendzie Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Katowicach, czułem, że naród jest z nami, ze mną. Później uświadomiłem sobie, że było to złudzenie.

Jednak wtedy już nie miałem wątpliwości, że odtąd mam pełne prawo uważać się w pełni za Polaka mimo śląskiego pochodzenia i mimo iż wielu Polaków wciąż nam tego odmawiało, mimo iż wciąż nawet bliscy mi koledzy do końca mi nie ufali. Zyskałem jakiś komfort psychiczny.

Możecie myśleć, co chcecie – mówiłem sobie – ale ja za moją polskość, za przynależność do Narodu zapłaciłem, wiele w tym celu ryzykując. Może nawet mam do tego miana większe prawa niż „naturalni” Polacy.

Później, po latach, uświadomiłem sobie, że kwestia polskiej tożsamości wcale nie jest prosta. Istnieje wiele nurtów tradycji, uważających się za nurt rdzennej polskości, nie tylko ten, odnajdujący się w walce „o wolność naszą i waszą”. Jest tradycja uznająca powstania za przejaw narodowej niedojrzałości, w najlepszym razie – nieroztropności i nieodpowiedzialności. Poza tym, większość

Polaków, całe ich masy, egzystują w polskim środowisku kulturowym i społecznym siłą inercji, a gdy tylko znajdują się w innym – szybko zapominają, kim są. To ci, którym Polska kojarzy się z okrzykami na stadionach i odnajdywanym tylko tam poczuciem narodowej wspólnoty, nieobecnym na co dzień. „Pooolska! Pooolska! Biaaało-czerwoni!” Polskość z wyboru wcale nie jest tą najgorszą.

Istnieje jeszcze inny aspekt relatywizujący znaczenie niepodległościowej, powstańczej, tradycji narodowej. Uświadomiłem go sobie kiedyś, w stanie wojennym, oglądając sztukę Terleckiego, chyba Władysława, o ostatnich chwilach powstańca ze stycznia 1863 r. Powstanie upadło, powstaniec przegrał. Umiera za ojczyznę, świadomy, że jego ofiara była daremna. Nie będzie takiej Polski, o jaką walczył, jaką nosił w sobie.

Pomyślałem sobie wtedy – a był to ponury czas stanu wojennego – że tak czy siak, taka walka jest daremna. Nawet jakbyśmy wygrali, nie będzie takiej ojczyzny, jakiej byśmy chcieli. Oni walczyli za mit i my też walczyliśmy za jakieś wyobrażenie, które nigdy się nie spełni. Czy II Rzeczpospolita była tym, o co walczyli powstańcy w kolejnych pokoleniach? Niezależnie, czy wygramy, czy przegramy, „naszej” Polski nie będzie. Może naszymi imionami nazwą ulice, ale mało kto będzie pamiętał, kim byli ich patroni. Rzeczywistość będzie odmienna od naszych wyobrażeń, czarno-biała, a właściwie szara, bezbarwna, zboże przemieszane z chwastami.

Wywalczyć podmiotowość

Jeśli mamy poświęcać życie dla ojczyzny, to ma to sens tylko wtedy, kiedy sprzężone jest z osobistym interesem. Szlachecka młodzież, uczestnicząca w powstaniach, walczyła o zachowanie swoich rodzinnych przywilejów, swojego wysokiego statusu społecznego, walczyła o swój rodzinny język w szkołach, o większe szanse awansu w armii i administracji itd. Przy takim sprzężeniu osobistego interesu ze sprawą narodową walka o niepodległość nabiera sensu. Ofiara Romualda Traugutta, który do powstania został moralnie przymuszony, wydaje się z tego punktu widzenia bezsensowna. Nic nie przyniosła oprócz niepotrzebnych wyrzutów sumienia polskiej młodzieży w następnym pokoleniu i postaw podobnych co u Janusza Kurka. On uważał, że też musimy kiedyś powalczyć. O co, to mniej istotne.

Co mnie osobiście dało zaangażowanie się w ruch „Solidarności”? Oprócz wspomnianego wcześniej wywalczenia przestrzeni dla osobistej kariery, otwarcia w ogóle możliwości awansu? Materialnie nie zyskałem nic, przeciwnie – wiele straciłem.

Zaangażowanie w Solidarność spowodowało – po wprowadzeniu stanu wojennego – moją zawodową i finansową degradację. Szanse na przydział mieszkania całkowicie wyparowały. Chwały żadnej, gdyż z powodu wrodzonej lękliwości wolałem cały czas pozostawać w cieniu. Więc co?

Wyjaśnię anegdotą. Znany opolski fotografik Fryderyk Kremzer, komuch według dzisiejszych standardów i to aktywny, w czasach stalinowskich działający na rzecz utworzenia w partii frakcji mniejszości niemieckiej, opowiadał kiedyś, już po przełomie 1989 r., jak oprowadzał po Opolu gościa z Niemiec i jak spotkali wojewodę Ryszarda Zembaczyńskiego. Wojewoda uklonił im się pierwszy.

– Kto to był? – spytał gość z Niemiec.

– Wojewoda opolski, to tak jak u was Ministerpräsident des Landes (premier kraju związkowego).

– No... ktoś taki!!! U nas byłoby to niemożliwe – stwierdził gość, mając na myśli to „dzień dobry” wojewody. – U nas taka osoba należy do wyższej warstwy społecznej i nie zadaje się z takimi jak my.

Dzięki swojemu zaangażowaniu w walce „Solidarności” wszedłem – jak mi się zdaje – w środowisko ludzi, którzy nie są już przedmiotami gry, ale w niej uczestniczą jako aktywni gracze. Też jeszcze wciąż w niej uczestniczę, choćby tylko pisząc te wspomnienia. Myślę, że taki był też główny motyw zaangażowania się większości ludzi w ten ruch. Nikt nie chce być tylko wykonawcą poleceń, obiektem czyichś działań, biernym przedmiotem czyichś planów, każdy – no, prawie każdy – chce wziąć swój los we własne ręce.

Cały czas tam, w Hucie Baildon, główkowałem, co powiedzieć strajkującym hutnikom jak usiądę za mikrofonem, jak im dodawać otuchy. Okazało się, że niepotrzebnie. Nie dopuszczono nas w ogóle do głosu. Prawie bez przerwy mikrofon zakładowego radiowęzła okupował Andrzej Rozpłochowski. Muszę przyznać, że sprawdzał się w roli przywódcy, podtrzymującego gotowość podwładnych do walki. Miał charakter i charyzmę przywódcy.

Polska tradycja

„Solidarność” była przede wszystkim ruchem społecznym, walczącym o poprawę bytu pracowników, o wolne niedziele, wyższe zarobki i poszanowanie godności człowieka pracy. Na drugim planie, bardzo blisko z tym związanym, stała walka o wolność – taką zwyczajną, naturalną wolność. Wolność myślenia i wyrażania głośno tego, co się myśli, wolność publikowania swoich poglądów, wolność wyboru miejsca pracy i zamieszkania, wolność

podróżowania i wyznawania swoich przekonań ideowych, religijnych itd. Na nieco dalszym planie znajdowała się walka narodowo-wyzwoleńcza, stale obecna we wszystkich nurtach ruchu.

Mówił w swoich wspomnieniach Jacek Jagiełka:

– Kiedyś odwiedziła mnie moja młodsza siostra, która studiowała filologię polską na WSP w Opolu. Rozmawialiśmy o wielkiej literaturze o poezji, o romantyzmie, ale także o mojej sytuacji, o nauce Papieża, o walce komunistycznych państw przeciwko Kościołowi, o upadku moralnym narodu, zdeprawowaniu jego instytucji publicznych, o służalczej wobec ZSRR i wrogiej wobec własnego narodu polityce władz PRL-u. Odprowadziłem ją na dworzec w Katowicach. Mówiłem jej, że na lekcjach historii w szkole marzyło mi się żyć w czasach powstań narodowych, by móc walczyć o wolność Polski.

Wtedy właśnie uzmysłowiłem sobie, że obecne czasy nie są lepsze od tych gdy żyliśmy pod zaborem i że Polska potrzebuje ogromnej pracy patriotycznej by się odrodzić, by polepszył się los jej obywateli, by w świecie wygrywała prawda, sprawiedliwość i miłość. Uzmysłowiłem sobie, że sytuacja w której się znajduję, wymaga walki, że jeśli popuszczę i zaniedbam swojej sprawy to również przyczynię się do rozprzestrzeniania się zła, będę jego budowniczym. W tego typu rozmowach przychodziła na myśl poezja, którą Sokrates uważał za głos Boga...”

„Tragedia romantyczna”

Pamiętam, że kilka miesięcy później, kiedy pracowałem już „Tygodniku Katowickim”, oficjalnym piśmie Zarządu Regionu Śląsko-Dąbrowskiego NSZZ „Solidarność”, pojawiło się w Redakcji dwoje młodych ludzi, studentów. Rozmawiał z nimi redaktor naczelny Wiesiek Asmansam. Po rozmowie wyjaśnił mi zwięźle:

– To byli ci, którzy wyreżyserowali i wystawili ten spektakl patriotyczny w Spodku. Dostali na to 10 mln zł od Zarządu. Chcą, żeby o tym napisać.

Spektakl wystawiany od lipca w katowickim Spodku nosił tytuł „Tragedia romantyczna” i był ogromnym widowiskiem, pomyślanym na oddziaływanie na masowego widza. Stanowił składankę najbardziej wzniosłych, najbardziej patriotycznych fragmentów dzieł wieszczów narodowych, „Dziadów” Adama Mickiewicza i „Kordiana” Juliusza Słowackiego plus chyba jeszcze jakieś dawne patriotyczne pieśni. Pamiętam ciemną scenerię, ilustrującą jakby noc narodową, a z patriotycznych pieśni i wierszy – nic oprócz słów Daniela Olbrych-



Plakat informujący o spektaklu

skiego: *Zemsta, zemsta na wroga, z Bogiem, albo... nawet mimo Boga*. Powiedział to genialnie. Do dzisiaj mam w uszach nie tylko słowa, ale i intonację.

Spodek był pełny po brzegi.

Twórcy spektaklu dostali pieniądze od Andrzeja Rozpłochowskiego – za zgodą komisji zakładowych. Te komisje potem jeszcze wykupywały bilety i rozdawały za darmo wśród swoich członków.

„Solidarność” miała wtedy ogromnie dużo pieniędzy. Liczyła prawie 10 mln członków, płacących, co najważniejsze, składki. Mimo to, takie rozdawnictwo nie pasowało mi. Rozumiałem, że chodzi o finansowe wspieranie warszawskiego środowiska artystycznego, a to mi się już zdecydowanie nie podobało.

Poza tym... tych dwoje ludzi, którzy rozmawiali z Wieśkiem. Kim oni są, że dano im w ciemno, bez poręczenia, tak duże pieniądze? Naciągacze. Komisje zakładowe, które w tym czasie zwykły rozliczać dyrekcje zakładów pracy z każdej złotówki, dawały pieniądze, gdyż nie wypadało żałować kasy na przedsięwzięcie „patriotyczne”, ale... czy to *Zemsta, zemsta na wroga...* komponowało się jakoś z ideą solidarności? Wątpię.

Za pomocą takich spektakli odbywało się zazwyczaj w masie solidarnościowej narodowych i „narodowo-wyzwoleńczych emocji. Można oczywiście wyrazić to bardziej elegancko, na przykład, że w ten sposób odbywało się *budzenie ducha narodowego wśród mas*, ale tak jak patrzyłem na to wtedy z dystansem, tak patrzę i dzisiaj.

Dla mnie patriotyzm to odpowiedzialność za kraj, za wspólnotę, za dobro wspólne. W tamtym czasie, w tamtych warunkach odpowiedzialność powinna była wyrażać się – moim zdaniem – w poszukiwaniu ustrojowych rozwiązań dla wspólnego dobra, jakim było polskie państwo. To poszukiwanie powinno się było odbywać w atmosferze dialogu i poszanowania przeciwnika a nie walki i budzenia negatywnych emocji.

Nie rozumiałem, jak można dawać tak duże pieniądze młodym, zupełnie nieznanym ludziom. Dzisiaj wiem już więcej. Inicjator przedsięwzięcia i jeden z dwóch reżyserów widowiska Adam Gessler pochodzi z warszawskiej rodziny cenionych restauratorów. Jest szwagrem znanej z Telewizji specjalistki od spraw kulinarnych Magdy Gessler. Przez pewien czas zastanawiałem się, czy to nie ona przyszła wtedy do nas do redakcji „Tygodnika Katowickiego”. Nie wiem.

Drugi reżyser, kolega Adama Gesslera ze studiów w Wydziale Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego, to osoba zupełnie nieznaną, której nazwisko nikomu nic nie mówi. Wtedy też nic nie mówiło.

A. Gessler jest dzisiaj znany jest z tego, że nie sponieważa się. W Katowicach robił interes na patriotycznych, narodowych emocjach. Nie sam. Zarobili również „wybitni artyści scen warszawskich”. Piszę to bez ironii, a daję w cudzysłowie, żeby podkreślić, że to cytat. Niewykluczone, że znali się z Wieśkiem Asmanem z działalności, na przykład w NZS-cie (Niezależnym Zrzeszeniu Studentów).

Ciągłość pokoleniowa

Dostrzegam w powstaniu „Solidarności” wpływ jeszcze też pewnej ciągłości pokoleniowej polskich warstw świadomych. Pisze się wiele o wymordowaniu polskich elit, o hekatombie Powstania Warszawskiego, Katyniu i likwidowaniu przez okupantów polskiej inteligencji oraz duchowieństwa, ale przecież nie wszystkich wymordowano.

Wielu przetrwało w ukryciu, a ich dzieci, jeśli nie od razu, to z czasem, przywdziewały rodzicielskie ideowe buty.



Ulotka KPN-u

O swoim ojcu Kazimierz Świtoń pisze, że przed wojną zajmował się przemycaaniem antykomunistycznej bibuły do Związku Radzieckiego. Przecież nie robił tego z własnej inicjatywy i na własną rękę! Musiał być współpracownikiem przedwojennych tajnych służb.

Ogromnym autorytetem w środowisku polskich dominikanów cieszył się o. Adam Studziński, wychowawca wielu pokoleń dominikańskich nowicjuszy. Po przekroczeniu granicy polsko-węgierskiej w 1939 r. związał się z Oddziałem II Wojska Polskiego, czyli kontrwywiadem.⁵⁵ Nie ma takiej opcji, żeby zaangażowanie ideowe wpływowego dominikanina z ogromnym autorytetem pozostało bez wpływu na formację duchową i intelektualną młodych zakonników. Wystarczył sam dobór wychowawców.

U dominikanów w ogóle przetrwało wiele osób z arystokratycznym i szlacheckim rodowodem. O. Joachim Badeni, spokrewniony z rodziną królewską Szwecji, o. Aleksander Hauke-Ligowski, o. Jan Andrzej Kłoczowski, bł. Michał Czartoryski i wielu innych. Oni jak mogli podkopywali System. Podobnie było u polskich benedyktynów. Chociaż, trzeba przyznać, że nie wszyscy potomkowie rodów szlacheckich i arystokratycznych zwalczali „komunę”. Benedyktyn o. Jan Wierusz Kowalski współpracował z SB, gdyż uważał, że wprowadzenie „władzy ludowej” stanowiło wielki akt dziejowej sprawiedliwości. Takich arystokratów też było trochę.

Jadwiga Chmielowska, członek Zarządu Regionu Śląsko-Dąbrowskiego „Solidarności”, zdecydowana i radykalna przeciwniczka Systemu, która przez cały okres stanu wojennego ukrywała się i prowadziła działalność opozycyjną w podziemiu (drukowanie i kolportaż bibuły, napisy na murach

⁵⁵ Puciłowski Józef OP, Portrety imienne i bezimienne, Polscy dominikanie a bezpieczeństwo 1945 – 1989, Kraków 2017, Wydawnictwo Esprit Sp. z o.o., s. 185

itp.) była córką współpracownicy przedwojennej „Dwójki”. Pisze o matce:

Dużo dało mi szkolenie od dziecka przez matkę. Była żoną przedwojennego kapitana II, komendanta w Brodach. Edward Szaniawski zginął w obozie w Ostaszkowie. Matka też była szkolona przez II-karzą. Ukrywała się za pierwszych bolszewików. Była aresztowana przez NKWD, Gestapo, UB i wychodziła. To ona nauczyła mnie, że zawsze idzie się „w zaparte”. Nauczyła też gier operacyjnych i identyfikacji agentury.

Ten hymn do dzisiaj słyszę

Ruch solidarności, zapoczątkowany strajkami na Wybrzeżu, poruszył ukryte struny w duszach Polaków. Starsi wiedzieli, kim są i jak może wyglądać wolne społeczeństwo; jeśli milczeli, to dlatego, że wiele doświadczyli. Człowiek ma określoną wytrzymałość, nie znieśie więcej niż mu jego struktura psychofizyczna pozwoli. Przebudzenie społecznej i narodowej solidarności trafiło w serca ludzi młodych.

Tomasz Karwowski odzyskał poczucie dumy ze swojego ojca.⁵⁶

(...) W początkach 80-tego roku wpadło mi w ręce pierwsze „nielegalne” drugoobiegowe wydawnictwo, w którym była wzmianka o NSZ. Lecz tym razem pisano o Narodowych Siłach Zbrojnych jako o bohaterach! I znów, w pewien sposób, świat zawałił się na moją młodą, gniewną głowę! Długo potem przeproszałem Ojca za myśli niedobre na Jego temat zrodzone pod wpływem wszechogarniającej propagandy komunistycznej i indoktrynacji.

Jednak przede wszystkim było mi wstyd, że tak mało wtedy wiedziałem. że nie znałem historii. że nie szukałem prawdy... A gdy w wieku dwudziestu lat odpowiedziałem sobie na pytanie - kim był naprawdę mój Ojciec - bezzwłocznie musiałem zadać kolejne pytanie: kto i dlaczego zbezczeszczył Jego pamięć?(...)

Odpowiedź była prosta. To zakłamywany system komunistyczny. I wówczas miałem już tylko jedno zmartwienie i pragnienie zarazem, żeby się na nich

⁵⁶ Wspomnienia Tomasza Karwowskiego, z których obszernie fragmenty cytuję w kilku rozdziałach, skopiowałem przed laty z „Niezależnego serwisu społeczności blogerów”. Niestety, dziś już nie znajduję jego adresu internetowego. T. Karwowski opublikował później swoje wspomnienia w książce *Czasy karłów*, której fragmenty – a może nawet całość, nie sprzedawałem – zamieszczałem w odcinkach na swoim blogu: <https://karwowski.neon24.pl>



Demonstracje uliczne NZS z 25 maja 1981 r. w obronie więźniów politycznych; źródło: Od niepodległości do niepodległości. Historia Polski 1918–1989 /Biuro Edukacji Publicznej IPN, za: <http://polska1918-89.pl>

zemścić. A „oni” byli wszędzie. Był to cały system. A więc co powinienem teraz zrobić?? Tu też odpowiedź była oczywista - walczyć jak Ojciec, o honor własny i o wolność Polski.

Wybrałem Konfederację Polski Niepodległej (KPN), najbardziej zakazaną antykomunistyczną, podziemną organizację. Moim jedynym przykazaniem stało się pogębienie tych, którzy kazali mi się niesłusznie wstydzić za własnego Ojca. Mojego Ojca, który walczył o niepodległą Polskę! Dożyję czasu – przyrzekłem Jemu i sobie – gdy postawię Ci Tato godny pomnik. Czekał aż dwadzieścia pięć lat, ale słowa dotrzymałem.

(...) W (...) 1980 roku podjąłem pracę w pobliskiej Hucie Katowice jako automatyk na Elektrociepłowni (EC), wydział A-55. Do KPN wstąpiłem (pod przysięgą) wiosną 1981 roku, poprzez Komitet Obrony Więzionych za Przekonania (KOWZAP). To była taka przykrywa Konfederacji, szczególnie w dużych zakładach pracy. (...) KPN w Hucie Katowice liczył około 80 członków i byli to głównie ludzie młodzi. Gorące głowy i serca, zapaleni rewolucjoniści, niezłomni patrioci.

(...) W pierwszych dniach grudnia 1981 roku zaplanowaliśmy w całym regionie śląsko-dąbrowskim dużą akcję informacyjno-plakatową pod hasłem „TV łże” oraz „Uwolnić politycznych”. Wraz z kilkunastoosobową grupą ruszyłem do centrum

Dąbrowy Górniczej, aby rozwiesić około trzech tysięcy afiszy. W naszej grupie były dwie osoby wyposażone w krótkofalówki, więc mieliśmy bezpośrednią łączność z kolegami wewnątrz huty.

W czasie akcji otoczyła nas grupa cywilnych i umundurowanych funkcjonariuszy MO i SB, podjechało kilka milicyjnych „suk” i zaczęli nas, dość brutalnie, do nich upychać. Zawieźli nas na komendę MO i tam spisali dane personalne; kilkakrotnie przesłuchiwali bo chyba nie wiedzieli, co z nami dalej zrobić?. W trakcie naszego zatrzymywania jeden z naszych przez krótkofalówkę poinformował Hutę o zajściu.

Na wieść o naszym aresztowaniu Komisja Zakładowa Solidarności HK ogłosiła pogotowie strajkowe z jedynym postulatem - naszego uwolnienia! Dali SB czas do 15.00, w przeciwnym wypadku Huta Katowice miała przystąpić do strajku czynnego. Władze spanikowały i już o godzinie 14.45 podwieźli nas „Nyskami” pod bramę główną Huty. Ale wcześniej na komendzie straszili, że pojedziemy na Sybir...

Ruszyliśmy do bramy, a tam już czekali na nas koledzy, witając jak uwolnionych jeńców, niemal jak bohaterów. W ich asyście poszliśmy na wydział M-32. Tam Jacek Kilian, przewodniczący zakładowej Solidarności na zaimprovizowanym podwyższeniu przemawiał do kilkunastu tysięcy zgromadzonych hutników. Nastrój był bardzo podniosły, przywitano nas huraganem braw, zaproszono na podwyższenie, a mnie Jacek poprosił o zabranie głosu.

Wziąłem mikrofon, popatrzyłem na te tysiące twarzy w robotniczych ubraniach, w kaskach, którzy pewnie gotowi byli iść te trzy, cztery kilometry do Komendy, aby nas odbić z rąk SB. Czekali, abym im powiedział, jak było w jaskini lwa. Popatrzyłem i struchlałem; miałem dwadzieścia jeden lat, byłem wystraszony całą sytuacją i nie miałem pojęcia, co mam powiedzieć.

(...) – Panie Przewodniczący- zwróciłem się do Jacka - grupa plakatowa melduje swój powrót z akcji specjalnej, wszyscy w komplecie. Dziękujemy za nasze uwolnienie. Zerwał się huragan braw. (...) zaintonowałem „Jeszcze Polska nie zginęła” (...) Wszyscy na baczność, jakby tym hymnem zespoleni, silni i solidarni.

To wykonanie hymnu narodowego będzie mi grzmiało w uszach do końca życia (...) Wtedy (...) poczułem tę siłę i potęgę nadziei. Bo przecież ten hymn i te łzy były nie tylko zobowiązaniem (...) Były również przysięgą. (...) Tak, ten hymn do dziś czasami słyszę.

Gliwickie gry z esbecją

Walka z „komuną” nie była taka prosta, jak to wynika z relacji T. Karwowskiego. Wielu obrońców sytemu było przekonanych, że prześladując opozycję, bronią Polski „takiej, jaka jest”. Nie było łatwo dokonać ideowych rozróżnień, zwłaszcza, że po drugiej stronie barykady stali często koledzy z klasy, z wojska, z zakładu pracy. Służba Bezpieczeństwa starała się to rozmycie ideowe wykorzystać. Wielu udało im się przekabacić. Mądrzejsi, bardziej doświadczeni, nie dawali się nabierać na „kumplostwo” z łajdakami.

O swojej grze z esbecją Stanisław Gazda, działacz Solidarności kolejarzy w Gliwicach, opowiedział mi w 2007 r. w rozmowie telefonicznej, po powrocie z ponad dwudziestoletniego pobytu w Stanach Zjednoczonych. Niektórych szczegółów nie był do końca pewny. Spisałem jego relacje z pamięci, po kilku miesiącach poprosiłem o potówrzenie, żebym mógł nagrać. Próbowiałem indor-macje zweryfikować, ale bezskutecznie, uczestnicy tamtych wydarzeń dużo już nie pamiętali. Działo się wtedy tak wiele, że jedno wydarzenia przykrywały drugie i szczegóły zacierały się w pamięci.

Relacja S. Gazdy ukazuje nasze ówczesne uwikłanie w System i trudności z wypłataniem się z jego sieci. W spokojnych czasach musieliśmy pilnować się, bo... czekaliśmy na mieszkanie, które nam „przyznawano”, bo... chcieliśmy awansować i otrzymać podwyżkę, a to zależało od opinii „czynn-ników partyjnych”, bo... nie chcieliśmy utrudniać życia naszym dzieciom itd. Kiedy System zaczynał się chwiać, do akcji wkraczali pracownicy tajnych służb, sterując wydarzeniami za pomocą konfi-dentów w pożądanym przez siebie kierunku – tak, aby zachować władzę i przywileje, swoje i nomen-klatury.

Opowiadał Stanisław Gazda:

Jak myśmy u siebie w Zakładach Naprawczych Taboru Kolejowego (ZNTK), w lokomotywni, Solidarność zakładali, to podejrzałem dwóch, że są w esbeckim kontakcie, Franciszka J.⁵⁷ i Bogdana N. Na pewno był agentem Henryk J., ale on nie był z lokomotywni. Bo trzeba wyjaśnić, że były dwa Zakłady Naprawcze Taboru Kolejowego, jeden wagonowy, specjalizujący się w wagonach, drugi

⁵⁷ Nazwiska konfidentów, o których mówi Stanisław Gazda, jak również agenta, który go odwiedził w mieszkaniu, zostały już dawno upublicznione, można je znaleźć w Internecie, nie chcąc jednak ryzykować procesów o zniesławienie, pozostawiłem tylko imiona i pierwsze litery nazwisk.

lokomotywowy, gdzie naprawiali lokomotywy elektryczne. To był chyba październik 1980 r.⁵⁸ Jednemu trochę wierzyłem, pozostali to skur-wysyny. Spotkałem się potem w restauracji „Piaś” z człowiekiem z Jastrzębia, który tam zakładał Solidarność, przewodniczącym został. Potem oka-zało się, że był agentem. Teraz wiem, że Franciszek J. też był agentem, mam na to papiery.

Nie zakładałbym Solidarności, gdyby u nas nie chciał jej zakładać Piotr B., stary działacz związkowy. Zwołali zebranie i przyszli naczelnicy wydziałów, działacze związkowi i oni zaczęli mówić, żeby założyć związek zawodowy Solidarność. Nie odzywałem się, gdybym z wyjazdu do Lublina nie wiedział, że to ma inaczej wyglądać. Wstałem, odwróciłem się do tyłu i mówię:

– Ludzie! Czy wy nie widzicie, że Solidarność trzeba zakładać taką jak w Gdańsku, a nie taką jaką chcą ci działacze związkowi?

Ludzie ucichli. Naczelnik próbował coś tam dogadywać, ale to zebranie przerwali.

Potem koledzy zaczęli do mnie przychodzić.

– Jak ty tego związku nie założysz, to my więcej na żadne zebranie nie przyjdziemy.

W Gliwicach pewni ludzie próbowali zakładać ubecką Solidarność, komisję miejską. I mnie do niej wybrano. A to było tak. Chodził za mną ubek, Ireneusz Ł, udawał kolegę. Kiedyś w domu kąpałem się w wannie i przyleciał syn, że ubek stoi pod drzwiami.

– Skąd wiesz, że to ubek? Co, on rogi ma?

I mówię tak:

– Ja go wpuszczę, ale ty stój przy nim cały czas, ani na metr się nie oddalaj. Nie wolno ci nawet mrugnąć, bo może coś podrzucić.

Ubrałem się i go wpuściłem. A on – że chce pogadać. Wyciąga półlitrowkę.

– O, pewnie chce ze mnie coś wyrwać – pomyślałem. – Kochany, nie ze mną te numery. Nie u mnie w domu!

Jak zobaczyłem, jak się ustawiał, to już wiedziałem, że ma mikrofon.

Czekałem tylko, kiedy pójdzie do ubikacji zmienić taśmę. Kiedy poszedł po pół godziny, nalałem sobie wody. Za każdym razem, jak poszedł, nalałem sobie wody. Nawet masło wypilem, całe

⁵⁸ Władysław Kostrzewski, lekarz, który zakładał Miejski Komitet Założycielski NSZZ Solidarność w Gliwicach, twierdzi, że pierwsze wybory do władz miejskiej komisji Solidarności rzeczywiście miały miejsce w ZNTK, w wagonówce, ale były nieformalne. Normalne wybory odbyły się dopiero w listopadzie 1981 r.

masło, jakie miałem w domu – a wtedy trudno było o masło – kazałem żonie roztopić i je wypilem. Ktoś mi mówił, że jak się wypije dużo masła, to wódka nie zadziała. Potem sam wyciągnąłem drugą wódkę. Wypilem ze wszystkiego może ćwiartkę. Byłem chytry człowiek.

Po dwóch godzinach, jak się schlał, mówię:

– Ty sobie kup japoński magnetofon, to będziesz chodził do ubikacji co dwie godziny.

W moich papierach on pisał – przeczytałem to później, po 89 r. – że go o różne rzeczy wypytywałem, rzekomo o samolot Iskra, co mnie do głowy nie przyszło. Zaproponował mi, żebym wszedł do Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego (MZK). Oni taki zakładają.

– Przecież mnie tu ludzie nie znają...

– Tym się nie martw, to już moja sprawa.

Zgodziłem się, na koniec tośmy się nawet wycalowali. To wszystko jest opisane w papierach, co je dostałem. Tylko nie tak jak było. Pisał, że Gazda chciał dowiedzieć się, czy Henryk J. jest esbekiem, czy Franciszek J. jest esbekiem. On mi to przyznał, ale nie napisał, że przyznał, tylko, że ja chciałem się dowiedzieć. Pisał, że się wymigiwał. Na końcu napisał, że oni są agentami, że Henryk J. tworzy komitet Solidarności w Gliwicach, który przejmie władzę w mieście i że Gazda zgodził się z nim współpracować w tej komisji.

On w tych papierach nie pisał, że rozpinał się przede mną – patrz, nic nie nagrywam – ale pisał, i to dużo, że wypytywałem o samolot Iskra. Nie mogłem o takie rzeczy wypytywać, bo mnie to nigdy nie interesowało. To było tak pisane, że potem wystarczyło podrzucić mi do domu jakieś dane techniczne samolotu i ja ląduję w więzieniu. Prowokacja – rozumie Pan? On liczył na to, że mi to podrzuci, potem to znajdą i będzie miał na mnie haka. Za takie coś można było wtedy dożywocie dostać.

Poszedłem na to zebranie. Mówiłem sobie, że muszę zobaczyć, kto mnie będzie popierał. No, bo temu esbekowi mówiłem, że nie znam ludzi. Udałem tam, że zasypiam. Ci, co mnie popierali, to byli ubecy. Henryk J. prowadził to zebranie.

– Niech się zgłaszają ludzie do pracy w Międzyzakładowym Komitecie Założycielskim.

Jak zobaczył, że zasypiam, zrobił przerwę.

Na tym zebraniu byli ludzie ze wszystkich zakładów. Wielu chętnych do władz nie było, ludzie jeszcze wtedy się bali. Zgłosili kilku i przeszło przez aklamację.

Mnie też wybrali. Parę osób mnie poparło, bo chcieli poprzeć, inni, bo im ubek kazał.

To było w świetlicy ZNTK przy ul. Wiatreka, ona mogła nawet sto osób pomieścić. Najbardziej mnie popierał Tadek Siwiński z Biura Projektów Górniczych. Potem go poznałem w internacie. W tej komisji zostałem przewodniczącym działu transportu. Wszystkie autobusy i tramwaje mi podlegały, kolej też.

Po tym zebraniu pojechałem do Kazimierza Świtonia do Katowic. Oni mieli biura przy ul. Stalmacha w Katowicach. Wziął mnie do piwnicy, tam było, pamiętam, dużo papieru, i taki zlew. Puścił wodę i mówi:

– Teraz gadaj, o co ci chodzi.

Jak mu to opowiedziałem, to się wkurzył.

– Ja tę „Solidarność” rozpierdolę.

No i za parę dni, niedługo to było, przyjechali z Rozpłochowskim i rozwalili tę komisję. Oświadczyli, że jako władza „Solidarności” zgodzili się na taką komisję w Bytomiu i my, Gliwice, powinniśmy się do Bytomia przyłączyć, a nie budować swojej komisji, bo jak narobimy tych komisji, to trudno będzie rozmawiać.

Nie przyjechali do wagonówki, gdzie odbyły się te wybory, tylko do lokomotywni, do mnie. Dokładnie omówiliśmy wszystko, spisali to i uzgodnili, że zorganizujemy nowe zebranie i nowe wybory. Poszedłem z tym do Henryka J., już nie pamiętam, co mu powiedziałem, w każdym razie on to zebranie zwołał. W papierach to mam. Ubek zanotował, że rozmawiał z Gazdą, a ten ani słowem nie wspomniał, że byli u niego Świton i Rozpłochowski.

Zorganizowali to już nie w wagonówce, tylko chyba już tam, gdzie potem była siedziba Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego. Ja już na to nie poszedłem, bo potem rozpętała się afery z tego powodu, że oni to rozwalili. Podejrzewali mnie, że miałem w tym udział. Uznali mnie za gnoja, a ja ich uznałem za gnojów i na zebrania już więcej nie chodziłem.

Za jakiś czas spotykam tego ubeka i on do mnie:

– Mówił Pan, że taka komisja jest niepotrzebna, a okazuje się, że Zarząd Regionu zgodził się na komisję miejską w Gliwicach...

Nawet nie wiedziałem, że się zgodził. Próbowaliśmy jeszcze z nim grać, żeby coś wyciągnąć. Wtedy już Świton z Rozpłochowskim się skłócili. SB to zrobiło, że oni się skłócili.

– Świton – mówię – już niedługo będzie działaczem, już go mają odwoływać.

Niedługo potem rzeczywiście go odwołali.

WYBOISTA DROGA DO JEDNOŚCI

Na Górnym Śląsku powstało pięć Międzyzakładowych Komitetów Strajkowych (MKS-ów), przekształconych później w Międzyzakładowe Komitety Założycielskie (MKZ-y), oprócz **katowickiego** (z którym związana jest walka Andrzeja Rozpłochowskiego) i **jastrzębskiego** (Jarosław Sienkiewicz) jeszcze cztery:

- **tyski** (na jego czele stanął Leszek Waliszewski),
- **bytomski** (Andrzej Cierniewski, górnik kombajnista, członek PZPR),
- **siemianowicki** (Zbigniew Suchłobowicz) i
- **tarnogórski** (Andrzej Ciepiela z KPN).

Ten ostatni MKZ najpierw zgłosił akces do MKZ-u bytomskiego, ale oderwał się od niego po kilku miesiącach, w marcu 1981 r.

Liczyły się w walce o prawa robotników dwa pierwsze MKZ-y, katowicki i jastrzębski. Katowicki powstał z Komitetu Strajkowego (KS) Huty Katowice przekształconego następnie, po wygaśnięciu strajku, w Międzyzakładową Komisję Robotniczą przy Hucie Katowice (MKR Huty Katowice). Jastrzębski Międzyzakładowy Komitet Strajkowy przekształcił się, po uchwale Rady Państwa z 12 września 1981 r. w sprawie rejestracji nowopowstałych i powstających związków zawodowych, w Międzyzakładowy Komitet Robotniczy Niezależnego Związku Zawodowego (MKR NZZ) Jastrzębie Zdrój.

Na początku zamierzano rejestrować Wolne Związki Zawodowe, takie, jaki w 1978 r. założył w Katowicach, wtedy nielegalnie, Kazimierz Świtoń, ale w Gdańsku uznali, że taka nazwa byłaby zbyt dużą prowokacją wobec władz. Kilka dni po uchwale Rady Państwa MKR katowicki i MKR jastrzębski złożyły w sądzie, niezależnie, wnioski o rejestrację. To było 16 września, a już dzień później, 17 września, na posiedzeniu 35 organizacji międzyzakładowych w Gdańsku uzgodniono, że powstanie jedna ogólnokrajowa organizacja związkowa, zrzeszająca pracowników różnych branż. MKR Jastrzębie Zdrój i MKR Huty Katowice więc swoje wnioski wycofały.

Po złożeniu 24 września 1980 r. wniosku o rejestrację Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność” przez Międzyzakładowy Komitet z Gdańska (34 września) MKR Huty Katowice przekształca się w Międzyza-

kładową Komisję Założycielską NSZZ „Solidarność” (MKZ NSZZ „Solidarność”), a w Jastrzębiu Zdroju rozszerzono nazwę Komitetu na Międzyzakładowy Komitet Robotniczy – Komitet Założycielski NSZZ „Solidarność” (MKR-KZ NSZZ „Solidarność”).

Rozdęte ambicje przywódców

Jedność ruchu związkowego, którego członkowie, pracownicy państwowych zakładów pracy, przerywali robotę w imię solidarności ze strajkującymi gdzie indziej robotnikami, wydawała się szeregowym uczestnikom ruchu czymś oczywistym, jednak na Górnym Śląsku rozrywały tę jedność ambicje przywódców. Z biegiem czasu stawało się to coraz bardziej widoczne i bulwersujące, i wywoływało zażenowanie. O jawnym rozbiciu Związku nie można było mówić, ponieważ wszystkie MKS-y należały, jak by nie było, do jednej organizacji związkowej, NSZZ „Solidarność”, a ich przedstawiciele spotykali się na posiedzeniach Krajowej Komisji Porozumiewawczej (KKP) NSZZ „Solidarność” w Gdańsku i uzgadniali z kolegami z całej Polski działania, jednak tu na miejscu rozbicie było widoczne i dawało się we znaki szeregowym członkom związku.

Rozrywały związek nie interesy branżowe różnych grup zawodowych ani nawet różnice światopoglądowe, a ambicje przywódców. Dzisiaj już trudno to zrozumieć. Ujawniły się bardzo atawistyczne instynkty. Dzisiaj przywódca partyjny, przemawiając na wiecu, musi uwzględnić tzw. targety, czyli grupy, do których kieruje swoje przesłanie, musi liczyć się z wynikami instytutów badania opinii publicznej, musi ważyć słowa, a i tak zawsze przemawia do mniej licznych tłumów niż przemawiali wówczas, w 1980 r., przywódcy związkowi.

Ludzie w tamtych czasach bali się władzy, ukrywali swoje myśli, zamykali się w sobie. Kiedy dochodziło do jakichś nieplanowanych, nieorganizowanych buntów, jeden krył się za drugim, kalkulując, że w razie czego sam jakoś wywinie się od odpowiedzialności. Jeśli wtedy pojawił się ktoś, kto przełamując lęk potrafił powiedzieć, co naprawdę myśli, cała ta zbuntowana masa pakowała w niego swoje nadzieje i pragnienia. Ktoś o cechach przywódczych, kto pomagał swą postawą przezwyciężyć robotnikom strach, stawał się od razu bożyszczem. To z kolei, w sprzężeniu zwrotnym, dawało przywódcom poczucie niesłyszanej siły. Oni czuli to poparcie, ono ich niosło. Tego nie każdy może doświadczyć.

Z doświadczenia z bójek z kolegami wiedziałem, że nikt nie jest z natury odważny, chyba, że ma

osobowość psychopatyczną albo dysponuje jakąś naturalną przewagą, wynikającą czy to z własnej siły czy siły swojej organizacji, albo też trzymającą pod połamami jakąś pałę. Wiedziałem, że jeśli ktoś wybija się swoją odwagą ponad przeciętność, musi mieć w zanadru jakiś ukryty atut. A. Rozpłochowski go miał, wyjaśniło się to po latach. Jego ojciec był esbekiem. Jakkolwiek by nie był z nim skłócony, wiedział, że w ostateczności rodzic zawsze ocali go przed najgorszym.

Głupota czy odwaga

Jakoś nie miałem i nie mam do dziś przekonania do ludzi zbyt odważnych. Kiedy słuchałem odważnych, ale jednocześnie aroganckich wystąpień na przykład Andrzeja Rozpłochowskiego, zastanawiałem się, skąd się bierze jego dezynwoltura. Kto za nim stoi, że jest taki odważny? Kiedyś, chyba na spotkaniu Komisji Krajowej, powiedział, że jak „Solidarność” Huty Katowice uderzy w stół, to rozdzwonią się kuranty na kremłowskich wieżach. „Wolny Związkowiec”, biuletyn „Solidarności” Huty Katowice zamieszczał satyryczne rysunki bonzów partyjnych z ZSRR, m.in. kiedyś opublikował rysunek zakłopotanego niedźwiedzia z twarzą ówczesnego I sekretarza KC KPZR (Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego). Jeżeli to nie była prowokacja, to co to było? Głupota? Jeżeli prowokacja, to na co obliczona? Na reakcję Rosjan? Jaką? Akcję wojskową? Przecież cały ruch Solidarności bazował na założeniu „walki bez użycia przemocy”, a w takiej walce nie wolno obrażać przeciwnika, przeciwnie – trzeba pokazywać się jako ktoś odpowiedzialny, szanujący stojących naprzeciwko i odwołujący się do ich sumień.

Jeśli przyjąć, że nie była to dezynwoltura wynikająca z głupoty, to – wydawałoby się – że mamy tu do czynienia z inspiracjami jakichś zachodnich ośrodków antyradzieckich. No bo, jak się wydaje, tylko im mogło zależeć na rozdmuchaniu nastrojów antyradzieckich i antyrosyjskich. Zwłaszcza, że za tymi antyradzieckimi prowokacjami mógł stać znany z wrogości do Związku Radzieckiego doradca MKZ-u Huty Katowice Andrzej Czuma.

Znajdowali się jednak politycy twierdzący, że mogło być odwrotnie, że te prowokacje mogły być na rękę radzieckim przywódcom wojskowym. Mecenas Romuald Kukułowicz, doradca kardynała Stefana Wyszyńskiego, a potem również „Solidarności”, mówił, że w tym czasie Związek Ra-

dziecki znajdował się w apogeum swojej potęgi militarnej. Czas działał na jego niekorzyść, z czego przywódcy radzieccy, a zwłaszcza marszałek Mikołaj Ogarkow, szef Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych ZSRR, doskonale zdawali sobie sprawę. Był ostatni moment na zadanie NATO wyprzedzającego uderzenia. Do tego potrzebne było przesunięcie niepostrzeżenie Armii Czerwonej na zachód, do Polski i Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Prowokacje antyradzieckie były doskonałym do tego pretekstem. Pod pozorem opanowania antyradzieckiego powstania można by było dokonać przegrupowania wojsk i potem zniemacka uderzyć. Cytuję:

*Koncepcja (...) polegała na przewencyjnym, konwencjonalnym ataku wojsk Paktu Warszawskiego na Europę Zachodnią. Przy pomocy tego ataku chciano zdobyć podstawę do dalszych negocjacji w warunkach korzystniejszych dla ZSRR. Moment zaskoczenia był dla przeprowadzenia całego manewru kluczowy*⁵⁹

Na szczęście w kierownictwie radzieckim górę wzięły siły przeciwnie wywoływaniu III wojny światowej.



Teresa Baranowska

Podziwiać czy bać się?

Niezwykłą odwagą cechowała się Teresa Baranowska, aktywna działaczka KPN-u, założycielka Regionalnego Komitetu Obrony Więzionych za Przekonania (RKOWzaP). 1 maja 1981 r. wywiesiła na balkonie swojego mieszkania w Superjednostce, przy dzisiejszej alei Wojciecha Korfatego sześciometrowy transparent z napisem „Uwolnić więzionych za przekonania”.

Miała inny styl przywództwa, albo bardziej ściśle – zdobywania poparcia. Schodziła w dół, do robotników, kolegowała się z nimi.

– *Patrz* – zwrócił mi kiedyś uwagę Wiesiek Asman, mój szef z „Tygodnika Katowickiego” – *ona pije z tymi robotnikami jak równy z równym*. Jednakowo podziwiałem wtedy jej odwagę i jej urodę.

Ten Regionalny Komitet Obrony Więzionych za Przekonania zrzeszał bardzo ciekawe osobowości, warto je tu wymienić. Oprócz T. Baranowskiej – Joachim Bartosz (później okazało się, że Tajny Współpracownik SB o pseudonimie „Janek”), Jadwiga Chmielowska z frakcji A. Rozpłochowskiego, w czasie stanu wojennego zaangażowana

⁵⁹ W cieniu Prymasa Tysiąclecia, z Romualdem Kukułowiczem rozmawia Piotr Bączek, Warszawa 2001, Wydawnictwo „ad astyrę”, s. 192

w działalność podziemnej Solidarności Walczącej, jedyny członek Zarządu Regionu, którego nie dopadła SB, Kazimierz Doliński, szef Sekcji Interwencji w katowickim MKZ-cie, Jan Górny, o którym głośno zrobiło się w stanie wojennym, gdy starano się (zachodnie radiostacje starały się) wypromować go na przywódcę podziemia na Górnym Śląsku.

Oprócz nich jeszcze – Janusz Kwiatkowski, Andrzej Rozpłochowski, a także, cieszący się ogromnym autorytetem w szeregach KPN-u pułkownik Wojska Polskiego Marian Moczek. Wojciech Czech, były wojewoda katowicki, który z nim siędział w obozie dla internowanych w Zabrze-Zaborzu opowiadał mi, że w 1945 r. pięcioosobowa grupa rosyjskich żołnierzy zgwałciła M. Moczka matkę, albo nawet i siostrę, i on ich wszystkich, jako młody chłopak, pozabijał, a potem, dla zatarcia śladów, wstąpił do ludowego wojska polskiego, chyba do II Armii.

Innym wysokim oficerem w szeregach KPN był mjr. Włodzimierz Kaczanow, komandos i szkoleniowiec komandosów, ale ten nie należał do

Komitetu Obrony Więzionych za Przekonania. Do dzisiaj nie potrafię dojść, skąd brała się nie-zwykła odwaga Teresy Baranowskiej. Wcześniej znałem ks. Stanisława Małkowskiego, który również nie bał się, ale jego odwagę tłumaczyłem głęboką wiarą. Prawdziwy, autentyczny chrześcijanin powinien być gotowy na męczeństwo. Byli tacy święci, którzy pragnęli męczeństwa.

Pod koniec października 1980 r. powołano odrębną Komisję Zakładową NSZZ „Solidarność” Huty Katowice, a MKZ przeniesiono do Katowic, do pałacyku przy ul. Stalmacha 17, który działacze otrzymali od władz. Starałem się tam bywać jak najczęściej, licząc na jakieś ciekawe materiały do reportażu. To, co się tam działo, było bardzo autentyczne. Sama atmosfera kołujących się tam delegacji robotniczych podbudowywała ducha.

Andrzej Rozpłochowski zwykł był stawać na galerijce wewnątrz budynku i założywszy ręce do tyłu spoglądać dumnym wzrokiem na swoje dzieło. Stałem kiedyś obok niego z boku i nasunęło mi się na myśl określenie „watażka”. – Tacy jak on – po-

Oświadczenie

Mam chyba prawo uważać, że w ciągu ostatnich 30 lat życia, dowiodłem publicznie swojej prawości i odwagi w walce z komunistami o wolną Polskę. Ale od niedawna dane mi jest mierzyć się z trudno o bardziej okrutną prawdą, że zło komunizmu dosięgło mojego domu i najbliższej mi rodziny.

Jest to bardzo bolesne i mocno mną wstrząsnęło. Ja sam nie poznałem jeszcze zawartości zgromadzonych w IPN na mój temat teczek służby bezpieczeństwa PRL, ale poznają je inni. Dlatego poczucie uczciwości i odpowiedzialności publicznej, skłania mnie do wypowiedzenia się, nie czekając na niewiadomą przyszłość.

W pierwszy dzień Świąt Bożego Narodzenia 2006 roku otrzymałem z kraju informację, że moja żona z początkiem stanu wojennego została tajnym współpracownikiem SB, w celu wykorzystania głównie wobec mnie. Radosne przeżywanie Świąt, zmieniło się w rodzinne piekło łez, stresu i dramatycznych rozmów, których wynikiem było jednak od pierwszej chwili szczere przez żonę do wszystkiego się przyznanie.

Przed kolejnym Bożym Narodzeniem 2007 roku, uzyskałem z kraju nie tylko potwierdzenie, że mój Ojciec był pracownikiem UB, ale nadto, że potem przez wiele lat był jeszcze kontaktem operacyjnych (KO) SB.

Kiedy byłem gotowy uznać, że muszę w tej sprawie opublikować swoje oświadczenie, gdyż jestem to wszystkim winny. Ale z regionu doradzono mi, że do czasu powrotu do kraju to nie ma sensu, bo nie mogę wypowiadać się osobiście.

Powrót mój jednak się odwleka, a poczucie przyzwoitości burzy pokój mojej duszy, więc dłużej publicznie milczeć nie mogę. Sam bowiem nie mam z tym nic wspólnego i nie ponoszę odpowiedzialności za czyny innych, nawet bliskich mi osób. Jest mi ciężko i dręczy mnie uczucie wstydu.

Ojciec mój od 13 lat nie żyje, więc stanął już wobec Bożego osądu. Żonie mojej zaś wybaczyłem, bo nie ma prawdziwej miłości bez przebaczenia. W sercu uznałem, że na to zasługuje po wspólnym przeżyciu 28-miu niezwykle trudnych lat.

A co najważniejsze, żona ma cywilną odwagę nie zaprzeczać swojej uległości wobec reżimu komunistów i ałuje tego. W tej mierze ta prosta kobieta może być wzorem dla wielu innych, podobnie jak ona upadłych i aplątanych ludzi z najwyższych nawet naszych świeckich i duchowych elit, którzy dzisiaj takiej uczciwości nie wykazują.

Dlatego nie umiem podnieść kamienia i ukamienować jej. Próbę takiego osądu pozostawiam innym. Pod publiczny osąd oddaję również moją, w tej sprawie postawę.

Andrzej Rozpłochowski

15 maj 2009 Sacramento, California, USA

myślałem – stali kiedyś na czele band wyprawiających się czajkami na Morze Czarne celem łu-

Tychy), dwoma przedstawicielami MKZ-u Siemianowice Śląskie oraz K. Świtoniem. Nie ma wśród nich J. Sienkiewicza. Trudno to wyjaśnić.



Andrzej Rozpłochowski (od lewej), Lech Wałęsa, Kazimierz Świtoń i Marian Jurczyk podczas spotkania w katowickim Spodku. Warto zwrócić uwagę na podniesione ręce – L. Wałęsa ostentacyjnie lekceważył A. Rozpłochowskiego. zdj. z archiwum Komisji Zakładowej NSZZ Solidarność ArcelorMittal_Poland_SA_Huta_Katowice 1

pienia dóbr sułtana tureckiego.

W jednym związku, ale osobno

* Do pierwszych kontaktów MKZ Huty Katowice i MKR Jastrzębie dochodzi wkrótce po zakończeniu strajków wrześniowych. Rozmowy są nieudane. K. Świtoń stwierdza, że Jarosław Sienkiewicz i zarząd jastrzębskiego MKS-u reprezentują inną filozofię działalności związku i nie sposób się z nimi dogadać.

* 10 grudnia 1980 r. delegaci zakładów zrzeszonych w katowickim MKZ-cie powołują Zarząd Regionalny. Jest to arogancka uzurpacja. Na odpowiedź nie trzeba długo czekać. 15 grudnia MKR Jastrzębie, MKZ Bytom i MKR Wałbrzych powołują Komisję Regionalną NSZZ „Solidarność” Górnego Śląska. Znajduje się w tej grupie MKZ Wałbrzych, gdyż jako region górniczy trzyma ze śląskimi górnikami. W tym czasie MKR Jastrzębie liczy ok. 3 mln członków i zrzesza ponad 90 kopalń, prawie 200 przedsiębiorstw resortu górnictwa i ponad 100 zakładów innych branż.

* W oficjalnym tygodniku KC PZPR, jakim była wtedy „Polityka”, 20 grudnia 1980 r. ukazuje się wywiad z przywódcami górnośląskich MKZ-ów, A. Rozpłochowskim, L. Waliszewskim (MKZ

Być może redaktor naczelny tygodnika, którym jest Mieczysław Rakowski, chce w ten sposób oblaśkawić radykalnych śląskich przywódców, a być może jest to element wewnętrznych rozgrywek partyjnych – nie zaproszono J. Sienkiewicza, bo związał się z inną frakcją PZPR. M. Rakowski niedługo później (12 lutego 1981 r.) obejmuje funkcję wicepremiera w rządzie gen. Wojciecha Jaruzelskiego.

* 3 listopada łączą się MKZ Tychy i MKZ Katowice.

* 20 lutego w oficjalnej partyjnej prasie ukazuje się *List otwarty do wszystkich członków NSZZ „Solidarność”* Jarosława Sienkiewicza, będący odpowiedzią na szkalującą go ulotkę, w której zarzucano mu m.in. kontakty z SB, konsultowanie swoich działań z KW PZPR, wprowadzanie do MKR-u, bez uzgodnienia z prezydium, takich ludzi jak Czesław Martyniuk, działacz PZPR czy Tomasz Swirtun z PAX-u, a nade wszystko – podejmowanie decyzji bez uzgodnienia z prezydium MKR-u. Ciekawe, że o knucie w celu pozbawienia go władzy oskarżył – oprócz swoich kolegów, T. Jedynaka i G. Stawskiego – wszystkich doradców przysyłanych przez bpa H. Bednorza, zwłaszcza Henryka Wuttkego.

Cytuję: *Dodatkowo (...) na wniosek Pana H. Wuttke, podjęto decyzję o odsunięciu mnie jeszcze przed wyborami jako osoby „skompromitowanej”.* Szkoda, że nie poinformowano o tej decyzji załogi KWK „Borynia”, która wybrała mnie na delegata do władz regionalnych największą ilością głosów.

* 21 stycznia 1981 r. odbywają się wybory związkowe w Hucie Katowice. Przewodniczącym Komisji Zakładowej zostaje Jacek Kilian. Ogłasza apel o zjednoczenie MKZ-ów na Górnym Śląsku.

* 22 stycznia MKR Jastrzębie podejmuje uchwałę, a której czytamy: *Kierując się troską o skuteczne działanie i jedność NSZZ „Solidarność” na terenie Śląska i Zagłębia, zgodnie z decyzją z 10 stycznia 1981 r. zebrani uchwalili:*

– *Powołać Zarząd Regionalny NSZZ „Solidarność” Śląska i Zagłębia z siedzibą w Katowicach,*

– *W skład Zarządu Regionu wchodzi członkowie dotychczasowych MKZ-ów i MKR z terenu Śląska i Zagłębia, proporcjonalnie do liczby zrzeszonych członków, z wyjątkiem dotychczasowych przewodniczących, kierujących MKZ-ami i MKR,*

– *Zarząd Regionalny w wyszczególnionym składzie pracuje do chwili wyborów w myśl & 42 ust. 1 statutu NSZZ „Solidarność”.*

* 22 stycznia Komisja Zakładowa NSZZ „Solidarność” Uniwersytetu Śląskiego (zrzeszona w MKR Jastrzębie) organizuje zebranie przedstawicieli MKR i MKZ Katowic poświęcone sprawie zjednoczenia „Solidarności” na Śląsku. Udało się ustalić różnice stanowisk:

MKR-KZ Jastrzębie proponuje utworzenie tymczasowego Zarządu Regionu z delegatów wytypowanych przez MKZ-y i MKR. Zarząd ten miałby pracować do chwili wyborów.

MKZ Katowice domaga się, aby do Zarządu Regionu weszło siedmiu przedstawicieli MKR Jastrzębie z wyjątkiem osób **skompromitowanych** (chodziło oczywiście o J. Sienkiewicza i jego ludzi) oraz siedmioosobowy zarząd MKZ Katowice w dotychczasowym składzie. Był to warunek nie do przyjęcia dla MKR Jastrzębie. Widać z tego, jak bardzo A. Rozpłochowski i jego grupa nie chcą współpracować z J. Sienkiewiczem.

Wyeliminowanie K. Świtonii

* 29 stycznia. Na zebraniu komisji zakładowych w hucie „Silesia”, które pod nieobecność A. Rozpłochowskiego (przebywał wtedy we Włoszech) prowadzi K. Świtoń, rozpatrywany jest „*prywatny projekt*” zmiany struktury organizacyjnej zarządu

Regionu autorstwa Artura Siebielca, który to projekt przewiduje m. in. utworzenie funkcji *sektarza generalnego związku*. Podobno K. Świtoń prowadzi zebranie bezprawnie. Przewodniczącym miał zostać J. Jagielka, który nie mógł dojechać, ponieważ „K. Świtoń zabrał mu samochód”⁶⁰. A. Rozpłochowski mówi później o „spisku”, „perfidii” i „manipulacjach”. W zarzutach A. Rozpłochowskiego jest – jak się wydaje – sporo prawdy, nie chce on jednak zauważyć, że K. Świtonowi i A. Siebielcowi chodził również, a może nawet przede wszystkim, o jedność związku.

* 30 stycznia. MKR-KZ Jastrzębie i MKZ Bytom podejmują decyzję o utworzeniu wspólnego Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” z siedzibą w Katowicach.

* 5 lutego. Na kolejne zebranie delegatów MKZ-u Katowice, również w Hucie Silesia, zaproszeni zostają przedstawiciele MKR-u jastrzębskiego Ryszard Kuś i Stefan Pałka. Wykorzystują oni okazję, aby zaapelować do zebranych o wydelegowanie przedstawicieli do zarządu regionalnego połączonych śląsko-dąbrowskich MKZ-ów. Chodzi im o przekonanie delegatów do zjednoczenia wbrew woli katowickiego MKZ-u. Podjmują ten temat łamiąc wcześniejsze uzgodnienia. K. Świtoń popiera ich apel.

A. Rozpłochowski nie był przeciwko połączeniu, ale – jak deklarował – *musi to być łączenie zdrowe i na takiej zasadzie, aby to, cośmy w swoim MKZ-cie wywalczyli, tzn. niezależność od władz różnego autoramentu, nie uległo zatraceniu.*⁶¹ *Jesteśmy jedy-nym w kraju MKZ-em – pisał*⁶² – *który uchwałą zebrania całości delegatów postanowił nie pro-wadzić żadnego dialogu ze skompromitowaną w oczach całego narodu PZPR, partią, która zastrzegając sobie jedynie przywództwo nad społeczeństwem doprowadziła nas etapami do kra-wędzi narodowej katastrofy.*

Jest to bardzo skrajne stanowisko, w zasadzie wykluczające wszelkie negocjacje z władzami przynajmniej programowo (w praktyce wszystko jednak było możliwe). Jak sobie katowicki MKZ wyobrażał dalszą działalność w warunkach, kiedy

⁶⁰ Zwoźniak Zdzisław, *Jak się rodziła Solidarność. Region Śląsko-Dąbrowski*, Warszawa 1990, Wydawnictwo Pomost, s. 79, 83

⁶¹ W wywiadzie dla „Wolnego Związkowca” nr 12 z 19.02.1981 r, za: Zwoźniak Z., op. cyt. S. ...

⁶² O różnicy zdań w łonie MKZ Katowice: Wolny Związkowiec nr 11 z 19.02.1981 r, za: Zwoźniak Z., op. cyt., s. 85



Hala Sportowa Huty Baildon w Katowicach podczas Walnego Zgromadzenia Delegatów Regionu Śląsko-Dąbrowskiego Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego Solidarność, na parkiecie – stół prezydalny, komisje; zdj.sierpirn1980.pl/IPN

PZPR uważała się za „przewodnią siłę narodu”, trudno powiedzieć.

Trzeba wiedzieć, że za A. Rozpłochowskim stał Andrzej Czuma, jeden z najbardziej nieprzejednanych przeciwników Systemu, chyba organicznie niezdolny do żadnych kompromisów. Miałem z nim jedną tylko krótką rozmowę, przykrą. Leszkowi Zwierzyńskiemu, który w pałacyku przy ul. Stalmacha 17, przyznany przez władze MKS-owi Katowice, prowadził sprzedaż kaset, bibuły i literatury bezdebitowej, ukradziono znaczną sumę pieniędzy. Leszek nie był w stanie zwrócić ich z własnej kieszeni.

Ponieważ czułem się za Leszka odpowiedzialny – jak by nie było, sam go skontaktowałem z J. Jagiełką – więc próbowałem sprawę załatwić polubownie. Powiedziano mi, że za finanse w MKZ-cie odpowiada A. Czuma. Trudno było dostać się do niego. Złapałem go kiedyś, gdy wchodził do budynku i przedstawiłem mu sprawę.

– *Mógłby Pan jakoś pomóc?* – spytałem.

Spojrzał na mnie zimnym wzrokiem i odparł:

– *Nie.*

Miałem potem, po latach taką złośliwą satysfakcję, schadenfreude, kiedy czytałem o procesach wytaczanych A. Czumi w Stanach Zjednoczonych

przez jego wierzycieli. Pożyczał i nie oddawał. Niekoniecznie trzeba ukraść, żeby zostać uznanym za kombinatora, czasami można po prostu mieć pecha.

Wtedy, tam na Stalmacha 17, nie wiedziałem jeszcze, że Zarząd MKZ-u Katowice w ogóle nie prowadzi żadnej ewidencji księgowej, prawdopodobnie nigdzie nie zapisywano dostarczanej bibuły i bezdebitowych kaset ani zysków z ich sprzedaży. Sprawa Leszka rozeszła się po kościach. W gorącym czasie walki o prawa związkowców i później o zjednoczenie MKZ-ów nikt nie miał czasu zajmować się kwestiami finansowymi. Potem wprowadzony został stan wojenny i cały majątek „Solidarności” przejęło państwo.

Na posiedzeniu zarządu MKZ-u, które odbywa się niedługo po zebraniu delegatów komisji zakładowych, 5 lutego, w Hucie Silesia, przeprowadzone zostaje głosowanie w sprawie Kazimierza Świtonia. Zostaje pozbawiony stanowiska sekretarza i odsunięty od jakichkolwiek funkcji.

Czarne chmury
nad A. Rozpłochowskim

* Pojawiają się ulotki tajemniczego *Ruchu Odnowy NSZZ „Solidarność”* atakujące A. Rozpłochowskiego. Nazywają go *koniem trojańskim katowickiej „Solidarności”* i zarzucają bojkotowanie dążeń do zjednoczenia, niszczenie zasłużonych i wiarygodnych działaczy oraz rozbijanie związku od wewnątrz.

Przewodniczący katowickiego MKZ-u w drodze do władzy rzeczywiście pozostawił za sobą cały szereg działaczy, którym przetrącił związkową karierę. Pierwszym był Fabry [patrz podrozdział „Walka o przywództwo”].

* **12 lutego** Na zebraniu komitetów zakładowych MKZ Katowice podjęta zostaje decyzja o powołaniu Tymczasowej Komisji Kontroli Związkowej. Tydzień później, 19 lutego, wybrani zostają jej członkowie, przewodniczącym zostaje Jan Pająk z Gliwic. Ich zadaniem ma być zbadanie gospodarki środkami finansowymi Zarządu. Komisja rozpocznie pracę dopiero 3 marca. W sprawozdaniu, przygotowanym na Walne Zebranie Delegatów, znajdzie się *passus* o braku ewidencji księgowej.

* **14 lutego** Kolejne spotkanie śląsko-zagłębiowskich MKS-ów w sprawie zjednoczenia kończy się fiaskiem.

* **16 lutego** Przedstawiciele Bytomia, Jastrzębia i Tychów parafują wstępne porozumienie ołączenia się w Region Śląska i Zagłębia, obejmujący całe województwo katowickie. Delegacja MKZ-u Katowice obecna jest jako „obserwatorzy”.

* **19 lutego** Katowicki MKZ raz jeszcze potwierdza swój sprzeciw oświadczając, że do połączenia należy doprowadzić przeprowadzając wspólne wybory na bazie jednej ordynacji dla Śląska i Zagłębia. W tym celu należy powołać wspólną komisję wyborczą, która opracuje ordynację oraz ustali okręgi wyborcze. Sprawa jest jasna, MKZ nie chce zjednoczenia przed wyborami. (Podobnie jak wcześniej J. Sienkiewicz.)

* **20 lutego** MKZ Tychy wydaje oświadczenie, że wobec stanowiska MKZ Katowice wcześniejsze porozumienia o połączeniu z nim i z MKR Jastrzębie tracą moc prawną i odtąd każdy MKZ musi niezależnie przygotować się do wyborów.

* **26 lutego** A. Rozpłochowski publikuje *List otwarty do wyborców i kierownictwa MKR Jastrzębie, do wyborców i kierownictwa MKZ By-*

*tom*⁶³, w którym apeluje o przeprowadzenie wspólnych wyborów do zarządu regionu i – co się z tym wiąże – wspólne wyznaczenie okręgów wyborczych i wybór delegatów. Wybory mogłyby odbyć się już w kwietniu. Nie wie, że w ten sposób kręci sobie sznur na własną szyję.

WALNE ZGROMADZENIE DELEGATÓW

Walne Zgromadzenie Delegatów NSZZ „Solidarność” Regionu Śląsko-Dąbrowskiego odbyło się w trzech turach.



Andrzej Rozpłochowski (z lewej) usiłuje perswadować coś Rafałowi Szymońskiemu; zdj. sierpień1980.pl/IPN

I Tura WZD (6 – 7 lipca 1981 r.)

Odbyła się w Hali Sportowej huty „Baildon” w Katowicach. Na przewodniczącego wybrano Rafała Szymońskiego, szefa Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” pracowników katowickiego ośrodka telewizji. Zebranie zatwierdziło ordynację wyborczą do władz związku oraz opracowało strukturę przyszłego regionalnego zarządu. Postanowiono, że władzami regionalnej „Solidarności” będą kolejno – według ważności – Walne Zebranie Delegatów, Zarząd Regionu, Prezydium Zarządu, Komisja Rewizyjna. Zarząd mógł powoływać swoje oddziały terenowe.

Mandaty delegatów nie wygasają, mieli się spotykać przynajmniej raz na pół roku.

⁶³ Wolny Związkowiec nr 12

II Tura WZD (27 – 31 lipca 1981 r.)

Walny Zjazd Delegatów miał przede wszystkim wyłonić władze związku oraz 113 delegatów na Zjazd Krajowy. Przybyło 1021 delegatów z 1172 wybranych. Wybrano rzecznika prasowego WZD. Został nim dr Zygmunt Barczyk z Akademii Ekonomicznej w Katowicach.

Do stanowiska przewodniczącego Zarządu Regionu Górnego Śląska i Zagłębia kandydowało ostatecznie piętnastu kandydatów, dwóch zgłoszonych wcześniej wycofało się z walki. Oprócz A. Rozpłochowskiego i K. Świtonia byli to m.in. Andrzej Szyja, Bolek Sojka, Tadeusz Jedynak i Andrzej Siebielec. Prezentacja ich programów trwała ponad pięć godzin. W pierwszej turze głosowania największą liczbę głosów zdobył A. Rozpłochowski – 235, kolejny za nim Leszek Waliszewski, przewodniczący MKZ Tychy – 220 głosów.

Następnego dnia, 28 lipca, odbyła się druga tura, do której dopuszczono pięciu kandydatów z największą liczbą zdobytych głosów. Zwyciężył Leszek Waliszewski zdobywając 454 głosy, A. Rozpłochowski – prawie połowę mniej, 233 głosy. Ponieważ zwycięzca nie otrzymał wymaganej 50 procentowej większości głosów, zarządzono третią turę, w której już bezapelacyjnie już wygrał przewodniczący tyskiego MKZ-u.

W obozie A. Rozpłochowskiego powiało grozą. Jak to? Najsłynniejszy przywódca solidarnościowej rewolucji na G. Śląsku i w Zagłębiu nie będzie szefem związku? Przecież nie po to torpedowaliśmy wszystkie próby porozumienia, narzucili wspólną ordynację wyborczą, dyskredytowaliśmy konkurentów, żeby teraz znaleźć się na marginesie wydarzeń? Przypomnijmy, że A. Rozpłochowski od momentu utworzenia MKZ-u Katowice nie był już szefem Komisji Zakładowej Huty Katowice, był nim Jacek Kilian. Na domiar złego, w tym przeświadczeniu o pewnym zwycięstwie swojego szefa, zarząd katowickiego MKZ-u nie wystawił jego kandydatury na członka nowego Zarządu Regionu. Pozostała mu tylko funkcja delegata do Krajowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ „Solidarność”.

Nie chcieli się z tym pogodzić. Niewiele brakowało, aby dokonali rokoszu i rozwalili związek. Najpierw spróbowali powalczyć o wpisanie A. Rozpłochowskiego na listę kandydatów „dodatkowo”, a kiedy to nie przyniosło rezultatów, zaczęli kwestionować prawomocność wyborów. Jadwiga Chmielowska jako członek Komisji Organizacji

Wyborów złożyła odwołanie do Krajowej Komisji Wyborczej i zażądała przysłania „bezzstronnych” ekspertów do zbadania wydarzeń, które jawiły się jej jako spisek przeciwko demokracji i suwerenności WZD. „Wiadomości Katowickie”, pismo MKZ Katowice, pisały o zmanipulowanych wyborach⁶⁴, czego dowodzić miało, że... przewodniczącym Walnego Zebrania Delegatów był Rafał Szymoński, członek PZPR, przewodniczącym Komisji Wyborczej była Strzelecka, również członkini PZPR, a dotychczasowy przewodniczący Komisji Uchwał i Wniosków, jednocześnie przewodniczący Komisji Organizacji Wyborów Witold Zalewski był nawet, o zgrozo, aktywistą Stowarzyszenia Wolnomyślicieli i Ateistów.

Jeśli pretorianie A. Rozpłochowskiego nie zdecydowali się na pucz to tylko dlatego, że uświadomili sobie – poniewczasie – iż masy członkowskie mają już dość podziałów.

Wybrano 62-osobowy zarząd, Największą liczbę głosów spośród kandydatów do zarządu zdobyła Elżbieta Seferowicz z Zabrze (722), zaraz za nią uplasowała się Teresa Baranowska (713).



Leszek Waliszewski, pierwszy przewodniczący Zarządu Regionu Śląsko-Dąbrowskiego

III Tura WZD (5 sierpnia 1981 r.)

L. Waliszewski poinformował delegatów o działaniach podjętych przez nowy Zarząd Regionu. Wybrano 19-osobową komisję rewizyjną i 106 delegatów na Zjazd Krajowy. Na zakończenie nowy zarząd złożył uroczystą przysięgę.

I Walne Zebranie Delegatów Regionu Śląsko-Dąbrowskiego trwało osiem dni.. Wybrało władze regionu – przewodniczącego, zarząd, komisję rewizyjną oraz delegatów na zjazd krajowy, uchwaliło 21 uchwał, oświadczeń, listów i apeli. Najważniejsza uchwała określała strukturę organizacyjną związku oraz zasady funkcjonowania władz związku w regionie. Siedzibą regionu miały być Katowice, a władzami – kolejno wg hierarchii – Walny Zebranie Delegatów, zarząd, prezydium zarządu i komisja rewizyjna. Mandaty delegatów nie wygasły, mieli się spotykać przynajmniej raz na pół roku i oceniać władze.

⁶⁴ Nr 89 z 30 lipca 1981 r.

W ZARZĄDZIE REGIONU

Niedługo po Zakończeniu Walnego Zebrania Delegatów, które doprowadziło do zjednoczenia „Solidarności” w regionie, 25 sierpnia 1981 r. zebrali się redaktorzy regionalnych pism związkowych. Postanowiono powołać Regionalną Komisję Pism Związkowych i Wydawnictw Niezależnych. Uzgodniono, że Zarząd Regionu wydawać będzie jeden wspólny dla całego regionu dziennik i jeden tygodnik związkowy.

W drodze konkursu powołano red. naczelnych, Andrzej Szyja został redaktorem naczelnym nieistniejącego jeszcze „Dziennika Związkowego”, a Wiesław Asman, student wydziału matematyki Uniwersytetu Śląskiego, działacz Niezależnego Zrzeszenia Studentów, redaktorem naczelnym nieistniejącego jeszcze „Tygodnika Katowickiego”.

Jak tylko dowiedziałem się, że Andrzej ma redagować i wydawać dziennik, zaoferowałem mu swoje usługi. Chciałem pisać. Zaproponowałem mi stanowisko sekretarza „Dziennika Związkowego” i pracę na etacie Zarządu Regionu. Przyjąłem propozycję po krótkim wahaniu. Postawiłem tylko warunek – że załatwi przejście do redakcji z dyrektorem szkoły górniczej przy KWK „Katowice”, bo już zaczął się rok szkolny.

Wobec Andrzeja zachowałem się nieładnie. Kiedy już wydaliśmy kilka numerów, Wiesław Asman zaprosił mnie na kawę i zaproponował przejście do „Tygodnika Katowickiego” za wyższą pensję i również na stanowisko sekretarza redakcji. Mocno łamałem się ze sobą, bo nie zwykłem zostawiać kumpli w potrzebie. Pozostawienie Andrzeja w tej trudnej sytuacji odczuwałem jako zdradę.

Pojechałem nawet do Gliwic, spytać ks. H. Hlubka, jak on ocenia to od strony moralnej. Powiedział:

– *Przejdź do Tygodnika*”.

Przeszedłem.

Zespół redakcyjny – same tuzy

Wiesław był studentem matematyki w Uniwersytecie Śląskim, działaczem Niezależnego Zrzeszenia Studentów.

Dzisiaj myślę, nawet jestem przekonany, że wziął mnie do redakcji nie dlatego, że posiadałem jakieś doświadczenie redakcyjne i dziennikarskie, ale po

to, żeby jakoś uniezależnić się od swojego zespołu redakcyjnego, który tworzyli dziennikarze dobrze zakorzenieni w branży.

Wybierał ich według następującego klucza:

1. Szefowie komisji zakładowych „Solidarności” dziennikarze prasy, radia i telewizji:

Zdzisław Zwoźniak, szef Solidarności dziennikarzy prasowych,

Edward Zyman, poeta, szef Solidarności dziennikarzy radiowych,

Wyemigrował po wprowadzeniu stanu wojennego. Ostatni raz widziałem go w telewizji w 1990 roku, gdy przeprowadzał wywiad z żoną Stanisława Tymińskiego, kandydata na prezydenta Rzeczypospolitej w pierwszych wolnych wyborach. Ten wywiad ostatecznie przekreślił szanse Tymińskiego. Żona skarżyła się, że mąż ją bije.

Rafał Szymoński, szef Solidarności dziennikarzy telewizyjnych oraz...

2. Kilku najlepszych na Górnym Śląsku niezależnych publicystów i naukowców, mających za zadanie przekonywać czytelników:

Renata Zwoźniakowa, żona Zdzisława, najlepsza felietonistka w całej historii „Gościa Niedzielnego”, oficjalnego tygodnika biskupa katowickiego,

Dr Bogdan Kopański, stalinista nawrócony na islam, najpopularniejszy nasz autor.

Bogdan jako działacz partyjny pojechał w delegacji do socjalistycznego wówczas Egiptu, kierowanego przez Gamalę Abdela Nassera i tam pod wpływem jakiegoś muzułmańskiego duchownego przeszedł z marksizmu na islam. Pojął za żonę Syryjkę, nie jestem pewny, ale chyba sunnitkę.

Opowiadał nam dużo o wojnie izraelsko-syryjskiej i – z nieukrywanym podziwem – o operacjach wojennych Izraela w Iraku. Izraelczycy roznieśli bunkier, w którym Saddam Husajn próbował zbudować bombę atomową. Pokryty był grubą, betonową kopułą, tylko z boków miał okienka. Izraelscy piloci długo ćwiczyli strzelanie do takich okienek u siebie. Zaatakowali od strony, od której Saddam nie spodziewał się. Ten atak ostatecznie położył iracki program atomowy.

W stanie wojennym Boguś, podobnie jak Leonard Neuger i Zygmunt Barczyk, został internowany, a po zwolnieniu również, tak jak oni, „wybrał wolność”. Wyemigrował do Stanów Zjednoczonych, później wykładał na jakimś uniwersytecie muzułmańskim w Malezji.

Leonard Neuger, dr filologii, później profesor na uniwersytecie w Uppsali.

Wiesiek mówił, że ściągnął go, ponieważ uważa za równie inteligentnego, a nawet inteligentniejszego niż Renata i równie czytanego. Obawiał się, że inaczej ona narzuci nam swoje widzenie spraw.

Dr Zygmunt Barczyk, ekonomista, też dziś profesor w Szwecji, ale nie wiem gdzie dokładnie,

Leszek Bernatowicz.

O nim nie wiem nawet, czym się zajmował wcześniej ani co robił po wprowadzeniu stanu wojennego. Przyjęty został do redakcji jako ostatni, nawet nie wiem, czy coś zdążył dla nas napisać. Widać było, że Wiesiek czuje przed nim respekt. Po jakiejś popijawie, też już nie pamiętam kiedy, zabrał mnie rano, jeszcze zamroczonego, na żydowski cmentarz. Nie pamiętam gdzie. Nie powiedział, gdzie jedziemy ani po co mnie tam zabiera. Odniosłem wrażenie, że tam, na cmentarzu obserwuje, jak się zachowam. Po cichu odmawiałem „Wieczny odpoczynek racz im dać Panie...” za pochowanych tam. Dzisiaj zastanawiam się, czy nie popełniłem faux pas i nie uraziłem w ten sposób „żydowskiej wrażliwości religijnej”.

3. Do czarnej roboty:

– byłem **ja**, bo znałem się na redagowaniu gazety,

– **Stanisław Olejniczak**, reżyser widowisk telewizyjnych i teatralnych w reżimowej Telewizji Macieja Szczepańskiego, po wprowadzeniu stanu wojennego reżyserował widowiska religijne i wystawiał je w kościołach,

– **Tomek Sobczak**, poeta, nauczyciel z Zawiercia, który też później „wybrał wolność” w Szwecji. On ze Staszkiem Olejniczakiem byli do pisania reportaży.

Później do tych od roboty dołączył **Paweł Berezowski**, harcerz, którego Wiesiek zatrudnił ze względu na jego talenty organizacyjne i – jak byśmy dzisiaj powiedzieli – menedżerskie. Postawił mu zadanie zorganizowania sieci kolportażu „Tygodnika Katowickiego”. Paweł studiował w Krakowie w AGH w gorących latach, kiedy formował się tam studencki ruch oporu. Ten go ukształtował.

Tak wspomina Paweł tamte czasy:

W 1979 r. zaczęły się pojawiać na AGH ulotki/gazety Studenckiego Komitetu Solidarności z KOR. Jednocześnie pojawiły się książki druko-



Pierwsza strona szóstego numeru „Tygodnika Katowickiego”. Wywiad z L. Wałęsą i krytyczna ocena rządu gen. Wojciecha Jaruzelskiego. W tekście tym znajduje się stwierdzenie: „System jest nieewolucyjny”.

wane i sprowadzane z Zachodu, głównie Wydawnictwa paryskiej Kultury. Kiedy wyjechałem w czasie wakacji do Szwecji „na saksy” w środowisku pracujących tam Polaków czytało się literaturę w Polsce nielegalną. Pierwszą bezdebiutową książką, wydaną w Kulturze, którą przeczytałem był „Kompleks Polski” Konwickiego (miłość do tego Autora – na całe życie).

Do sierpnia 1980 roku czytałem – i kolportowałem – coraz bardziej dostępną w Krakowie literaturę wydawaną poza cenzurą. Wtedy przeczytałem „Główne nurty marksizmu” Leszka Kołakowskiego (nielegalna książka w komunistycznej Polsce!), do której dziś pewnie bym już nie miał cierpliwości.

30 (31?) sierpnia 1980 r. wracałem ciężarówką sowiecką z wędrowki po Suwalskiem i Augustowskiem do Katowic. W radiu zaczęto czytać komunikat postrajkowy z Gdańska. Radość podobna jak w 1978 roku na plantach, gdy cały Kraków szumiał radością po wyborze Karola Wojtyły. Potem NZS, harcerskie Kręgi Małkowskiego i kiedy w 1981 roku poszedłem na urlop dziekański, pojechałem jako wolontariusz na I Zjazd Solidarności w Hali Olivii w Gdańsku. Wraz z innymi har-

cerzami z całej Polski stanowiliśmy korpus obsługi Zjazdu: byliśmy przewodnikami, przygodowaliśmy materiały zjazdowe, obsługiwaliśmy salę obrad. Wyczerpująca, radosna, wspaniała praca. Spotkania z ludźmi-legendami. Zabawnie było stać w jednej kolejce do stolówki z Mazowieckim i Gremkiem, a w urodziny Lecha Wałęsy podrzucać Go wraz z innymi harcerzami do góry na sali zjazdowej.

Po powrocie dostałem od mojej harcerskiej koleżanki, studentki matematyki na UŚL. propozycję spotkania z Wiesławem Asmanem, który pracował dla Zarządu Regionu Śląsko-Dąbrowskiego NSZZ Solidarność. Wiesiek zaproponował mi pracę w redakcji „Tygodnika Katowickiego”. Byłem tam czymś w rodzaju starszego gońca: zatrudniałem nowych redaktorów, biegałem do drukarni, koordynowałem powstawanie składu gazety, zajmowałem się kolportażem, a nawet czasami przeprowadzałem wywiady z gośćmi redakcji. Piękny czas. Robiłem to co lubię w znakomitym towarzystwie. Poznałem kolejnych mądrych ludzi.

Wiesiek oddelegował mnie również do spotkań komórki związkowej założonej w zakładzie pracy, którym był ZRŚL-D NSZZ „Solidarność”: komórka zakładowa Związku w zarządzie regionu Związku. Zabawne. Na posiedzeniach rozważaliśmy przydziały skarpet, mydła i papieru toaletowego. Zgroza.

Pewnego dnia Naczelny zwołał nas na tajną naradę i oznajmił, że klan sprzątaczek budynku Zarządu knuje intrygę w celu odebrania nam pokoju redakcyjnego (!). W związku z tym Wiesiek zarządził akcję obronno-zaczepną w celu odparcia ataku i skompromitowania wroga. Każdy dostał szczegółowe rozkazy. Placówkę obroniliśmy. Zadanie zostało wykonane.

Po wprowadzeniu stanu wojennego z Pawłem zaangażowaliśmy się w działalność podziemną, o czym piszę w dalszych rozdziałach.

Korektę robił nam **doc. Edward Polański** z Uniwersytetu Śląskiego, późniejszy profesor, dziekan wydziału filologicznego Uniwersytetu Śląskiego.

Na koniec dołączył do nas marksista **prof. Leszek Nowak** z Poznania, autor bardzo ciekawej, krytycznej wobec oficjalnej ideologii marksistowskiej, teorii trójpanów. Twierdził, że w systemie „realnego socjalizmu” po raz pierwszy w historii

ludzkości warstwa panująca – partyjna nomenklatura – przejęła wszystkie trzy podstawowe funkcje społeczne: kapłanów (ideologia), wojowników i pracowników (wytwórców).

Wiesiek Asman – urodzony menager

Wiesiek był człowiekiem niezwykle operatywnym. Dysponował wrodzoną żyłką do interesów, sądzę, że gdyby został w Polsce, dziś miałby fortunę. Musiał mieć zakotwiczenie w jakichś ukrytych grupach, chyba w KOR-ze, bo przychodził do redakcji z gotowymi pomysłami, których nie poddawał pod dyskusję, tylko realizował.

Ponieważ „Tygodnik Katowicki” ze znakomitymi felietonami Bogusia Kopańskiego sprzedawał się na pniu, a państwowy Ruch, do którego należały wszystkie kioski, nie chciał PiS-ma rozprowadzać, Wiesiek kombinował z organizacją własnej sieci dystrybucji, zaczął ją już nawet budować. Być może planował coś więcej, bo zaprosił kiedyś do redakcji na spotkanie i przepytował Jana Dworaka, późniejszego przewodniczącego KRRiT. Nie pamiętam już szczegółów tego spotkania.

Kilka tygodni przed stanem wojennym przyszedł z pomysłem powołania przy redakcji jakiegoś eksperckiego zespołu doradczego Solidarności. Pamiętam, że należeli do niego prof. prof. Irena Bajerowa i August Chełkowski, prawdopodobnie też Tadeusz Zieliński, późniejszy Rzecznik Praw Obywatelskich. O prof. T. Zielińskim nie jestem pewny, czy był w zespole, czy Wiesiek dopiero zamierzał go wciągnąć.

Tych swoich przedsięwzięć w ogóle nie konsultował z zarządem regionu. Nie mieli o to do niego pretensji, robił to, co oni powinni byli robić, a na co nie mieli czasu, zajęci swarami wewnątrz.

Popyt na niezależną prasę był wtedy ogromny. Po Zjeździe Krajowym Solidarności Wiesiek wysłał chłopaków ze specjalnym numerem tygodnika na rynek w Katowicach. Sprzedawali od rana do późnego wieczora i cały czas, przez kilkanaście godzin, stały po niego kolejki. Wrócili ledwo żywi. Gdyby nie stan wojenny, byłbym chyba dzisiaj pracownikiem koncernu na miarę Agory.

Jako Górnoślązak trochę z dystansem patrzyłem na to wszystko, starałem się nie dawać ponieść się emocjom, zrozumieć, o co idzie gra i co kto gra. Dzisiaj mitologizuje się tamte czasy, wyrządzając przez to szkodę młodemu pokoleniu. Mądrości bowiem z tego mu nie przybędzie.



Andrzej Szyja

Dla mnie ruch Solidarności był szansą na zakotwiczenie w niezależnej prasie, o czym marzyłem od dzieciństwa. Do funkcjonowania w formule PRL-owskiego dziennikarstwa byłem organicznie niezdolny. Uniesienia patriotyczne były mi obce, podobnie jak bezrefleksyjny antykomunizm i rusofobia. Patriotyzm rozumiałem jako lojalność wobec swoich i państwa, z marksizmu długo musiałem się wybudzać, a zwykłych Rosjan nawet lubiłem – na odległość, bo wielu ich w życiu nie spotkałem.

Górnośląskie centrum boju

W siedzibie Zarządu Regionu Śląsko-Dąbrowskiego uwili sobie gniazdka działacze najważniejszych organizacji opozycyjnych. Rezydował tu Andrzej Czuma założyciel i lider Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, jak również władze Konfederacji Polski Niepodległej. Leszek Moczulski wtedy siedział, ale sporo szumu robiła jego nadaktywna żona, sprawiająca wrażenie, jakby ciągle była na prochach.

Był to czas konfrontacji. Ktoś je wciąż prowokował i wcale nie jestem pewien, że tylko władza. To prawda, że oni mieli interes w dyskredytacji Solidarności w oczach społeczeństwa jako ruchu nieodpowiedzialnego. Z naszej strony panowało przekonanie – choć nikt publicznie nie dawał temu wyrazu – że komunę trzeba naciskać, bo inaczej, jeśli pozwolimy na unormowanie sytuacji, oni wcześniej czy później odzyskają utracony teren. W moim przekonaniu, niewiele brakowało nam do przejęcia władzy. W dużych zakładach tak naprawdę rządziły już komitety zakładowe Solidarności i w wielu wypadkach to one prowokowały konflikty.

A to w kopalni Szczygłowie górnicy poszarpali dziennikarza telewizyjnego, a to jakiegoś dyrektora wywieźli na taczkach, a to ktoś w Sosnowcu rozrzucił fiolki z śmierzącym gazem, a to ktoś udzielił konfrontacyjnego wywiadu.

Zaplanowana rozróbka

Kiedyś Wiesiek wziął mnie na Wełnowiec na spotkanie z dyrektorem drukarni, najlepszej i największej chyba na Górnym Śląsku. Wiesiek chciał od niego – jeśli dobrze zrozumiałem – ni mniej, ni więcej, tylko przekazania mu zakładu. Nie piszę przekazania zakładu Solidarności, bo tak ta rozmowa nie była prowadzona. Mnie się to żądanie wydawało horrendalne, zastanawiałem się, kto za tym stoi, jaki układ pozwala na tak śmiałe żądania. Mocowali się tam kilka godzin, gdy dyrektor na koniec po raz któryś powtórzył:

- *To się nie da,*

Wiesiek odparł:

- *Nie da się parasola w d...e otworzyć, poza tym wszystko się da.*

Potem Wiesiek zaproponował, żebyśmy wrócili pieszo. Zrobiłem to z przyjemnością, bo z nawału pracy zaczynaliśmy już nerwowo wysiadać. Harowaliśmy od rana do późnej nocy, ledwo był czas coś przekąsić. Dziś ta propozycja, by wracać pieszo, nie daje mi spokoju. Do siedziby Zarządu Regionu był kawał drogi, roboty huk, a w dodatku po drodze zatrzymała nas zadyma na katowickim rynku.

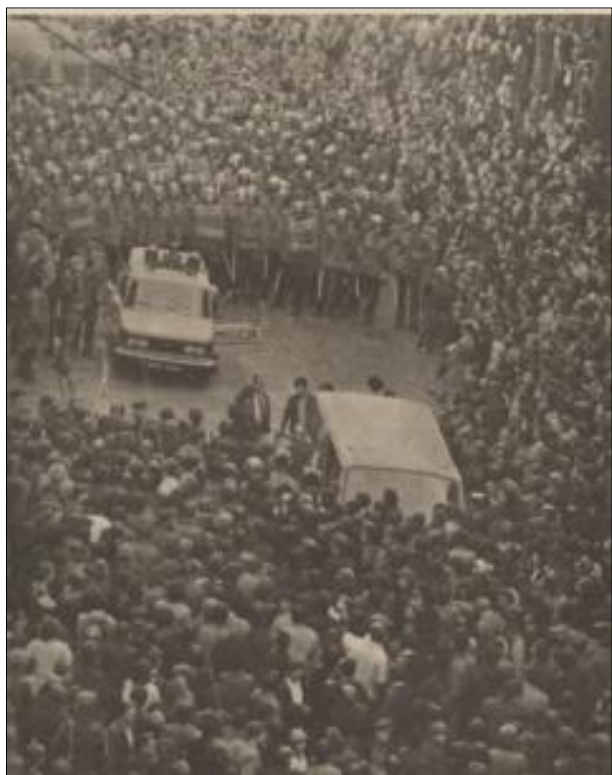
Tak ona jest opisana w „Encyklopedii Solidarności”:

20 X 1981 w centrum Katowic doszło do zajść ulicznych sprowokowanych przez funkcjonariuszy MO, którzy zlikwidowali działający od kilku dni samochodowy punkt kolportażu prasy związkowej oraz wydawnictw II obiegu. Prowadzący go członek Zarządu Regionu NSZZ „S” Tadeusz Buranowski oraz pomagające mu osoby, po odmowie przerwania sprzedaży zostały siłą zatrzymane, zaś auto odholowane. Akcja milicji spowodowała silne wzburzenie świadków zdarzenia. W krótkim czasie na rynku i pobliskich ulicach zgromadziło się około trzech tysięcy ludzi. Tłum skupił się przede wszystkim przed pobliskim komisariatem MO na ul. Pocztowej, gdzie umieszczono dwie zatrzymane osoby. Sytuacja stała się bardzo napięta po pojawieniu się w centrum jednostek ZOMO. W stronę komisariatu poleciały kamienie, powybijane zostały szyby. Wzburzeni demonstranci wyrócili również milicyjną Nysę i próbowali wedrzeć się do komisariatu. Atmosferę uspokoiły dopiero interwencje członków Zarządu Regionu Śląsko-Dąbrowskiej „S”, którzy część demonstrantów poprowadzili pod siedzibę związku przy ul. Szafranka. Uczestnicy manifestacji w większości rozeszli się dopiero przed godziną 22, po pojawieniu się na rynku zwolnionego Buranowskiego. Do późnej nocy centrum Katowic kontrolowały jednak przygotowane do interwencji patrole milicyjne i wojskowe. Sprowokowane przez funkcjonariuszy MO zajścia na katowickim rynku stały się pretekstem do ataków władz na działaczy związkowych, którym zarzucono wywoływanie napięć i podburzanie anarchistycznych i chuligańskich grup do wystąpień. I sekretarz KW PZPR w Katowicach Andrzej Żabiński, oceniając na jednej z partyjnych masówek zajścia z 20 X 1981 stwierdził m.in., że organizatorzy prowokacji, działacze „Solidarności” świadomie spowodowali zajścia, które w swej wymowie mają charakter wystąpienia przeciwko władzy i porządkowi publicznemu.

Tomasz Kurpierz

Tadek Buranowski, spawacz z Hutniczego Przedsiębiorstwa Remontowego w Gliwicach, był członkiem KPN i równocześnie członkiem prezydium Zarządu Regionu odpowiedzialnym za informację. Na placu przed Teatrem Wyspiańskiego, gdzie sprzedawał bibułę, obowiązywał – jeśli dobrze mi wiadomo – zakaz handlu, a nawet jeśli go nie było, to milicja wielokrotnie wzywała do zaprzestania tam sprzedaży. Bez wątplenia, to było prowokacyjne zachowanie, tyle że cała Solidarność była wówczas wielką prowokacją wobec istniejącego porządku. Kilka tygodni później sami sprzedawaliśmy nasze pismo w tym samym miejscu.

Tego dnia milicja postanowiła interweniować. Przyjechali większą grupą, Tadka jeśli dobrze pamiętam – minęło przecież ponad trzydzieści lat – skuli kajdankami i wzięli do milicyjnej nyski, podobnie jak pomagające mu dziewczyny. Tadek szarpał się. Wokół szybko utworzył się krąg ludzi wykrzykujących wyzwiska pod adresem stróżów prawa. Milicjanci utworzyli kordon, trzymając je-



Tak to wyglądało z lotu ptaka; zdj: *Tygodnik Katowicki*

den drugiego za pasy, i... tak się zaczęło. Ludzi przybywało, wyzywali coraz głośniej, „gestapo, gestapo” itp., potem dołączyły się grupy wyrostków, które zaczęły wywracać samochody.

Kiedy zabrali Tadka i dziewczyny, tłum ruszył pod komisariat na ul. Pocztową. To kawałek drogi, trzeba było przejść przez rynek. Tam, przed pocztą już stało ZOMO.

Do uśmierzenia zadymy przyczynili się później, kiedy rozróża przesunęła się przed gmach poczty, Marek Wach, jeśli dobrze pamiętam, i Jan Bury z Zarządu Regionu. Stanęli przed kordonem ZOMO i przez mikrofon próbowali uspokajać wzburzony tłum.

Wiesiek był tego dnia wyjątkowo spięty. Musiał wiedzieć, że dojdzie do zadymy. Tadek Buranowski sprzedawał bibułę pod teatrem już kilka, jeśli nie kilkanaście dni, można się było spodziewać, że milicja w końcu zainterweniuje, jednak skala rozróżby zaskakuje. Wiesiek musiał wiedzieć, że to nastąpi tego dnia i o określonej godzinie. Musiał być przeciek z komendy MO.

Jeśli tak, to rodzi się pytanie, czy ten tłum nie został wcześniej zorganizowany?

Intryguje mnie też to szybkie pojawienie się tam wyrostków, którzy zaczęli demolować samochody, łapali w kilku za próg, huśtali, huśtali, aż wyrócili. Rozpoznałem tam dwóch swoich dawnych uczniów z Zasadniczej Szkoły Górniczej. Do szkół górniczych werbowano wtedy chłopców, którym z nauką szło ciężko i nie mieli szans na lepsze wykształcenie i lżejszą pracę. Ci dwaj, których rozpoznałem, byli z klasy przysposobienia zawodowego o uproszczonym programie nauczania, gdzie odsyłano uczniów, nie potrafiących opanować nawet materiału z zawodówki. Miałem w takiej klasie chłopaka, który zadźgał w bójce kolegę, miałem chłopaka, który stale na lekcjach wiecznie drzemał. Na pytanie:

– *Co ty w nocy robisz?* – koledzy hurmem odpowiadali:

– *Kioski okrada!*

Nie zreflektowałem się. Jak go w końcu złapano, udowodniono mu czternaście włamań.

Ale skąd ci chłopcy wiedzieli, że tego dnia na rynku będzie zadyma? Kto dał sygnał do przewracania samochodów? Takie typy były i są przecież pod baczną kontrolą policji.

Na te pytania nie znajduję chyba odpowiedzi. Być może jest tak, że tego rodzaju rozróżby mają swoją własną dynamikę. Być może wystarczy, żeby w jednym miejscu zebrała się większa grupa ludzi sfrustrowanych, naładowanych agresją i potem wystarczy jakaś iskra, która wywołuje zapłon. Ludzie byli wtedy naprawdę sfrustrowani. Do poczucia powszechnego zakłamania, braku perspektyw życiowych, ograniczenia zwyczajnych ludzkich swobód, przede wszystkim swobody mówienia tego, co się myśli, doszły braki w zaopatrzeniu, pustki w sklepach, szalejąca inflacja. Zarobki ledwie wystarczały na podstawowe utrzymanie.

Tadzia Buranowskiego w stanie wojennym na dłuższy czas internowali albo chyba nawet aresztowali. Obsmiewała go potem reżymowa prasa. Pamiętam tytuł jednego z artykułów: „Pusto pod tym hełmem”. Niezależnie od intencji autora, muszę przyznać, że tytuł był zgrabny.

Tadzio był pierwszym otwartym wrogiem Sowietów, jakiego spotkałem w życiu. Dziś trudno w to uwierzyć, ale długo jeszcze po studiach nie wiedziałem nic o deportacjach Polaków na wschódzie, o rzezi wołyńskiej, o Katyniu. Ze szkolnej indoktrynacji wyniosłem tylko przekonanie, że byli zbrodniczy Niemcy i byli Rosjanie, którzy nas wyzwalali.

W mojej rodzinnej wiosce żyło kilka rodzin repatrianckich, kolegowaliśmy się z chłopcami z tych rodzin. Wychodzi na to, że wiedzieli tyle, co ja. Być może zadziałała tu ta sama blokada co u nas, Ślązaków. Przy dzieciach pewnych rzeczy się nie mówiło, gdyż mogliby gdzieś powtórzyć i ściągnąć na rodzinę kłopoty. Być może repatrianci z mojej wioski są jakiegoś huculskiego czy ukraińskiego pochodzenia, nie wypytywałem, nie wypadało. W każdym razie z otwartą wrogością do Sowietów po raz pierwszy spotkałem się u Tadka.

– *Jeszcze ich poznasz* – mówił.

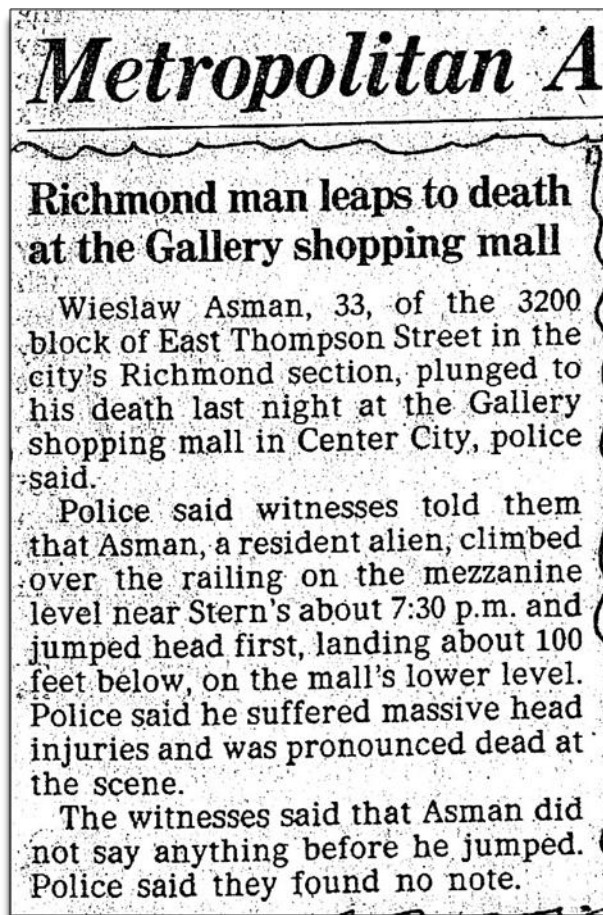
Z tych doświadczeń wyciągnąłem naukę, że jest możliwe doprowadzenie do kompletnego zapomnienia o własnych doświadczeniach nawet u całych narodów. Potrzeba tylko czasu i odpowiednio spreparowanego programu nauczania w szkołach. Dlatego dziś zamiast książek historycznych wolę czytać pamiętniki, wspomnienia i słuchać, co mają do powiedzenia starsi ode mnie.

W stanie wojennym Wiesiek wyjechał z żoną do Stanów Zjednoczonych, tam podobno popełnił samobójstwo. Któregoś dnia wczesnym rankiem wdrapał się na galerię domu handlowego i rzucił w dół.

Zjazd w Hali Olivii

5 września 1981 r., w czasie III tury Walnego Zjazdu Delegatów Regionu Śląsko-Dąbrowskiego, wybrano delegatów na Krajowy Zjazd Delegatów, którzy już tego samego dnia musieli wyjeżdżać do Gdańska, do Hali Olivii, bo tam właśnie tego dnia rozpoczynał się Zjazd Krajowy Delegatów NSZZ Solidarność. Trwał do 10 września.

Drugiego dnia, przed rozpoczęciem obrad odprawiona została Msza św., podczas której wygłosił homilię ks. prof. Józef Tischner, którego zaprosili delegaci reprezentujący obóz narodowo-katolicki w „Solidarności”. Ks. H. Hlubek, który przyjaźnił



Informacja o śmierci Wiesława Asmana w lokalnej gazecie

się z ks. prof. J. Tischnerem, opowiadał mi później, że grupa KOR-owska ostro protestowała.

– *Czego tu chce ten klecha* – miał powiedzieć Jacek Kuroń.

Delegaci postanowili przyjąć tekst kazania jako oficjalny dokument zjazdu, gdyż cennie oddawał etos polskiego pracownika i ewangeliczny fundament jego pracy. Kolejne dni obrad również otwierały homilie ks. prof. J. Tischnera. Zostały potem opublikowane w jego książce „Etyka Solidarności”.

Uważałem się za ucznia Księdza Profesora, całe lata jeździliśmy z kolegami do Krakowa na jego wykłady. Strasznie dumny byłem, kiedy od pewnego czasu zaczął mnie rozpoznawać w grupie uczniów i zwracać się do mnie po imieniu. Nagrywaliśmy jego homilie i wykłady z filozofii i przekazywali do odsłuchania i przegrania, jeśli ktoś nie mógł pojechać do Krakowa.

Mocno przeżyłem, kiedy w jednej z kaset usłyszałem jego słowa „ci chłopcy z „Solidarności”. On był naszym duszpasterzem i się od nas odciął w trudnych czasach, kiedy nas prześladowano. Odebrałem to jako podłość. Jeśli dobrze pamiętam, krytykował nasze zaangażowanie w podziemi.



Ks. prof. Józef Tischner z Adamem Michnikiem. Zdjęcie mogło być zrobione podczas I Walnego Zgromadzenia Delegatów NSZZ Solidarność w Gdańsku. Dziewczyny w środku nie udało się zidentyfikować. zdj. Stefan Kraszewski/Zbiory ECS

Na II turę Zjazdu, która odbyła się w dniach 26 września – 7 października, przygotowaliśmy, w dużym nakładzie, specjalny numer „Tygodnika Katowickiego” z wywiadami z wszystkimi kandydatami na przewodniczącego Związku: Lechem Wałęsą, Marianem Jurczykiem, Andrzejem Gwiazdą i Janem Rulewskim. Wiesiek wysłał mnie do Gdańska ze stosiem gazet. Po raz pierwszy w życiu leciałem samolotem.

Wybory wygrał w pierwszej turze L. Wałęsa, zdobywając ponad 50 proc. głosów.

Bardzo trafną ocenę zjazdu i tego, co działo się za kulisami dał Leszek Biernacki na portalu wszechnica.solidarnosci.org.pl:

Zjazd był festiwalem wolności i pokazem siły związku. Podczas obrad z dużą siłą ujawniły się procesy zauważalne już podczas kampanii wyborczej w regionach: konkurencja i rywalizacja między grupami i osobami o uzyskanie przewagi wewnątrz organizacji. Część działaczy używała coraz bardziej radykalnych haseł i frazeologii, wierząc, że w ten sposób zostaną uznani za „niezlomnych”. Takie postawy spychały „Solidarność” w kierunku twardej konfrontacji z władzą

*i były sprzeczne ze stanowiskiem hierarchów polskiego Kościoła. Jednak dla ukształtowania etosu „Solidarności” największe znaczenie miały nie wyborcza rywalizacja, ale uchwały i przemówienia programowe, film Wajdy, homilie ks. Tischnera i encyklika Jana Pawła II.*⁶⁵

Region śląsko-dąbrowski reprezentowało 106 delegatów, Mazowsze – 89 delegatów, Dolny Śląsk również 89. II turę Zjazdu prowadził, jako przewodniczący, delegat Regionu Śląska i Zagłębia Jerzy Buzek, późniejszy premier.

W przekazanych mi przez rodzinę Andrzeja Szyji jego zapiskach i rozmaitych dokumentach znajduje się m.in. zapis nagrania magnetofonowego jego rozmowy z Haliną Bortnowską o I Zjeździe „Solidarności”. Zeskanowałem i zamieszczam na następnych stronach rękopis, gdyż jest czytelny, a zależy mi na podkreśleniu autentyczności przekazu, czemu taki rękopis sprzyja.

⁶⁵ Biernacki Leszek,
http://www.wszechnica.solidarnosc.org.pl/?page_id=2569

Sprawozdanie z seminarium
w dniu 18. 10. 1981.

Relacje z II tury Zjazdu NSZZ "Solidarność"

prelegowali: pracownicy Zespołu Regionu Małopolska
— Halina Bortnowska
oraz: członkowie prezydium Zespołu Regionu
Śląsko-Dąbrowskiego — Andrzej Szyja.

~~Halina~~ Protokół jest skróconym, nieautoryzowanym
zapisem nagrania magnetofonowego.

Halina:

Zadania II tury Zjazdu były następujące:

1. Ostateczne utworzenie prawnej władzy w Związku,
2. Ustalenie programu związku.

Na przebieg II tury miały wpływ następujące wydarzenia:

- narastające napięcie od strony rządu,
- sprawa ustawy o samorządach w Sejmie,
- ogłoszona podwyżka cen na papierosy.

Jeżeli chodzi o stosunek Solidarności do PZPR,
to jest to sprawa dość jednoznacznie rozstrzygnięta;
alternatywy różni się tylko radykalizmem. Część delegatów
wymieniła, jako przynależności partyjne: KPN; w tej sa-
mej grupie, w której inni wpisali PZPR. Było
wymienianych 5 + 6 ugrupowań różniących się
programami gospodarczymi. Powstał problem stosunku
Solidarności do powstających grup politycznych.
W pierwszej części uchwały programowej była umiana
o współpracy z ZSRP — została ona zmieniona na
współprze — bez wymieniania żadnego partii, ~~etc~~ Później
100 osób głosowało przeciw temu poprawionemu stor-

2.
mówienia i ~~nie~~ było 73 podpisów pod wotum
separatum. Oznacza to, że wotum to było sprzeczne
z programem politycznym tych grup, które solidaryzują
zmiany wojenne.

Wydaje mi się, że Solidarności jest czymś
takim, jak Armia Krajowa podczas wojny, czy w
dawnej Polsce popolite nurzenie, które należy
do całości. Solidarności musi mieć program polity
i ubogi, program, na który wszyscy się zgodzą.
Takiem programem AK było być ruchem oporu
i wyzwolenia Polski niepodległej.

Treba przywrócić Polsce Sejm z prawdziwego
wyboru i ten sejm będzie decydował. Ale bie
rze się z tego sprzecznosci, bo przygotowanie w
Polsce autorytarnego sejmiku jest już programem
politycznym i różne ugrupowania polityczne
mają różne widzenie tej sprawy. Program
Solidarności jest programem politycznym, ale
nie partyjnym i oczywiście bardziej radykalne
grupy polityczne niż w nim nie pomierzą.

Dość randomicznym elementem dla mnie
było przyłączenie się Władcze. Wydaje mi
się, że wybraliśmy na prezydenta człowieka,
który ma już dyktatorskie zapętki, radzio
wanie, może być. Myślę, że nie przy tym rysy,
pozwolilibyśmy monarchalne, ogółem, tworzenie
ogółem z siebie. Taki się kontroluje, to wychodzi
to imaraj; pewnie że być chory, emeryt,

3.
ale co wychodzi z człowieka, to to jest w nim.
Pewnie, że nie można spóścić człowieka, jak
poziewała pani Meleniusz po tej mowie, co
w nim jest, ale tu nie chodzi o sąd, a o wytray-
mności materiału. ~~Wziąć delegatów~~ Zmieniło
to odbicie w głosowaniu, chociaż było sześć delegatów,
które głosowało na Walsę, gdyż była zobowiązana
głosami swoich wyborców.

Turcyjczyk zrobił na ludziach wrażenie
porętlone, ale mnie się tej nie podobał, był młotem
słowny i drobnoniecierliwy w swoich gestach. Zacho-
wywał się bardzo nieładnie, ale ta nieładność
miała coś z pobudki hja; w tym sensie Walsę
jest lepszy.

Gwiazda jest zupełnie nieporówny, pod stresem
zachowywał się nieodpowiedzialnie. Dostał bardzo mało
głosów. Powstałyby się tu zjawiska WZD, że komuś
innemu się kłóci, na tego innego głosuje. Kłóci
się wolom, lub temu, że ludzie mają potrzebę,
aby wielkie rzeczy unosiły się w powietrzu.

Wielkość której wypisze taki balonik z napisem: wolności,
solidności, niepodległości, cnota, solidarność, praca z ZSR, itd
to kiedy taki balonik jest oblatywany.

Ludzie są podzieleni w sobie wewnętrznie, z jednej
strony pragną tych wielkich, pięknych rzeczy,
z drugiej strony się boją. W głosowaniu znacznie
bardziej liczą się obawy, może nawet niebezpiecz-
na, nieostrożność, w resztach senem i entuzjazmem.

W sumie trzeba raczej polegać na głosowaniach,^{4.}
bo one mówią, co ludzie będą gotowi zrobić.

Amolnej:

Robienie myteż jest niebezpieczeństwem, jest ono potrzebne,
ale raportowa nie o konkretnym oświadczeniu, o konkretnym
delegacie, mówią, że Zjazd powiedział to a to,
a Zjazd nie może nic powiedzieć; mówi wielkość
delegatów.

W miarę dyskusji na roli ludzkie przekonują
się, że ~~nie~~ ^{nie} o samorządzie trzeba przemyśleć, ale równo-
cześnie trzeba raportować wobec pewnych punktów.
Zgłoszono 14 propozycji różnych udziałów dotyczących
ustawy ~~o~~ o samorządzie, z tego najlepszy był
projekt Moschelskiego, w którym jest propozycja
przeprowadzenia referendum odnośnie wyboru dyrektora,
powoływania komisji kwalifikacyjnej na
dyrektora - że nie może to być prezydentem
współdzielni, a prezydentem roboty.

Sprawa wyborów wzbudza wiele emocji,
główny myślarz narodowy nie jesteśmy do czegoś
takiego przygotowania, nie jesteśmy przygotowania,
że konfliktu między bolesną, nieraz brutalną
prawdą, narzucającą się po imieniu, co dla
innego narodu jest zupełnie rzeczą normalną,
np. przemoc w Stanach Zjednoczonych
zachodziła nie tak samo jak w Ameryce.
Jednak jeszcze gorzej niż mity, powodują one
jeszcze większe niepokój, jak np. mity o monarchii

partyzynizm, który nie oznacza jeszcze bolesniejszej. Coś
Bolsza powinni to wskazać, jeśli Wabers był,
jaki obrazek taki; może być nie taki, że lu-
dźmi to rozchodzi. Był umiarkowany, choć, ale
to wszystko jest prawdą i nie należy w tego
wskazywać. Wabers powiedział, że nie będzie brat
młodości w II turze, jak pisał go nie myślał
w pierwszej i nie rozstrzyga z wszelkich wojno-
wanych dotychczas fundacji.

Wie można powiedzieć w 10-15 minutowym pre-
mii Wabers w porównaniu z tym, co robił
on w ciągu roku - to są sprawy nieporównywalne.
Helina:

Tu musimy odpowiedzieć. To, czym nie będzie świ-
dectwo, to nie tylko 10-15 minutowe premlowanie,
ale całe zachowanie na zjeździe, to co dotyczy, jako
sygnalizacja. Wabers uignął identyfikację
z tym, co na spotkaniu z Moskole, i potem
zjechał na konferencję prawną i na forum Zjazdu.
Jeśli to odpowiedź co przyniosło wypracowanie, to
nie postano on tego samego dnia, a tak było.
W ten sposób ujaśnia się co innego z odpowiedziami.
Przez to, części delegatów miała już zastanowienie
dłuższe; raz w marcu, drugi raz to co
nie było między turami Zjazdu; w sprawie
samopomocy. Były to dwie rzeczy; raz to o-
wiedź jest odpowiedź, po drugiej nie było z tym,
co zostało przez Zjazd wypracowane. Zjazd
to uchwała o samopomocy i ujął sobie i

6.
Ważne nie pozwolić sobie na chowanie ze
związanymi rękami, z czego mi trudno, jako
politykowi postawić ramy. Trzeba do tego powiedzieć,
że jest prawdziwym; powiedzieć, że znam to
arabów, jak przynajmniej to do czegoś. To jest z
jednej strony dobre, to lepiej, żeby przynajmniej
nie miał związanymi rękami, a z drugiej
strony jest groźne, że wziętło jest w rękach
tego informacja. Brakuje mi poczucia, że nie
on jednak ma wziętło rozumny i ~~nie on~~
~~jedyn~~ że Polska może się odpowiedzieć nie tylko przez
niego.

Andrzej:

Ja nie współpracuję z nim solidarności, to doświad-
czam skutki tego związku, jako związku w
tym etapie rewolucji, jaki przysięgamy jest dobre;
może za dwa lata będzie go trzeba wymienić. Obec-
nie nie wiadomo, jaki procent Arabów, to podsta-
wieni w tym związku.

Helena:

Będzie)

(Bardzo) ile, gdy to myślenie będzie niepowtarzal-
nie, gdy będziemy mieli nie tylko jednego
arabów na głowę, ale także innych krajów, a po-
kominię robotników, czy przewodniczącego związku;
że ktoś jeden będzie mógł za wziętło.
Gdy w innych opniach Arabów ^{niezależnie} demokratyzacji
to będziemy zdolni przeciwstawić swobodne rękę
Własny demokratyczny model. Co jeżeli nie
poddamy temu autokratycznemu modelowi to będzie
straszne.

Andrzej:

Myślę, że to nam nie grozi, gdyż im więcej to zmiany są, częściej, np. przewodniczących komisji rządowych.

Wróćmy do programu: rozpatwimy on właściwą przedstawicielską, czyli sejmem, sfery działalności gospodarczej i sfery sądownictwa i prokuratury. Myślę, że nie przypadkiem padły porównania do Konstytucji 3-go maja. Program ten jest programem dalekosiężnym - rapidi. rządzony nowy ustroj państwa Polskiego, w pewnym sensie podważony pod nową konstytucję, nową IV-tą Rzeczpospolitą, samorządna Rzeczpospolita - i z takim sformułowaniem Partia, nie jasno zgodzić się nie może; gdyż w tej Rzeczpospolitej nie ma miejsca na taki spór o sprawowanie władzy, jaki jest obecnie. Jest to doświadczenie wizeru Polski bardzo nowoczesnej, i gdyby się to nam udało zrehabilitować, byśmy mieli jeden z najnowocześniejszych ustrojów na świecie.

Kalina:

To, co u nasmy uchwalili, to, bardzo formalne, mnóstwo rzeczy nie zostało rozwiązane. Jedynie sprawy czysto wewnętrzne; natomiast np. samorządy terytorialne będą tak rozciągnięte, jak zdecydowały, ludzie będący ~~w nich~~ ich urzędnikami.

Andrzej:

Chciałbym się podjąć pewną refleksję; co to jest

Solidarności? Organizacja społeczeństwa, ale z
 dużym udziałem zawodowym mająca mniej mi-
 nimalnej wspólnoty, gdzie bardziej zajmujemy się obywatel-
 stwem, dzieci, itd... Można powiedzieć, co to
 moje obywatelstwo przypomina z punktu widzenia upo-
 rządkowanego przez nich świata. Dlaczego mamy
 zajmować się kulturą, historią? Wszyscy razem,
 jako społeczeństwo musimy się zajmować tymi zagad-
 niowaniami. My jako społeczeństwo odpowiedzialni-
 my są w tym zakresie: ponosimy odpowiedzial-
 ść za zadanie, jakie w danym momencie
 jest bardzo istotne. W tym momencie w naszym
 problemie reformy ustrojowej są dla nas bardzo
 ważne i się nimi zajmujemy.

Helena:

Ale najbardziej przy tym sprawach konkretnie
 zaangażowani jest bardzo gronie, gdzie cała oryginal-
 ność solidarności polega na tego, że ten ruch opo-
 zycyjny, który stawia sobie na celu odno-
 wienie społeczeństwa, podjęcie mu podmo-
 towy ma się nie ograniczać (co już nieraz
 w historii było) a się zorganizowanej pracy, czyli
 nie tylko zawiązek zawodowego, który jest zdolny do
 zorganizowania strajku. I jeżeli ten związek nie
 będzie pilnował wszystkich interesów zawiązków,
 jeżeli ludzie nie będą mieli tego zastrzeżenia, co
 musimy mieć zastrzeżenie, to związek to nie strajk,
 to nie może on się opierać wyłącznie na ludziach



Tak wyglądała z zewnątrz Hala Olivii w trakcie obrad I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ Solidarność; zdj. Leonard Szmaglik / Zbiory ECS



A tak wewnątrz; zdj. Małgorzata Lewandowska /Zbiory ECS

O AUTONOMIĘ UCZELNI WYŻSZYCH

Strajk okupacyjny, proklamowany 24 października 1981 r. przez Komisję Zakładową NSZZ „Solidarność w Wyższej Szkole Inżynierskiej w Radomiu, pociągnął za sobą strajki solidarnościowe w prawie wszystkich uczelniach wyższych w Polsce. Sprowokował je Senat radomskiej uczelni, wybierając na rektora prof. Michała Hebdę bez wymaganych, uzgodnionych ze środowiskiem akademickim, procedur i pomimo bojkotu wyborów

przez solidarnościową uczelnianą opozycję. Wybór został zatwierdzony przez ministra nauki, szkolnictwa wyższego i techniki prof. Jerzego Nawrockiego pomimo protestów Konferencji Rektorów Szkół Wyższych, Towarzystwa Popierania i Krzewienia Nauki oraz tzw. komisji czterech profesorów pod przewodnictwem Andrzeja Stelmachowskiego. Było to wprawdzie tylko jednostkowe, lokalne złamanie zawartych porozumień, ale studenci i pracownicy naukowcy byli wtedy już tak wyczuleni na oszukańczą grę władz, że postanowili nie odpuścić.

W studenckich ogólnopolskich protestach chodziło już o coś więcej niż solidarność ze strajkującymi kolegami z Radomia. Studenci toczyli walkę o jeszcze jedno pole wolności, o autonomię uczelni wyższych. Strajki podejmowano w proteście przeciwko zablokowaniu (nieprzesłaniu do Sejmu) przez Ministerstwo Oświaty, Szkolnictwa Wyższego i Techniki ustawy o szkolnictwie wyższym, uzgodnionej ze środowiskami akademickimi.

Protesty studentów z początku nie wywołały większego echa, gdyż społeczeństwo było już zmęczone ciągłymi strajkami o wszystko, o chleb, o podwyżki płac, o zwolnienie jednego lub drugiego partyjnego kacyka, o uwolnienie kolejnych więźniów politycznych.

Strajki studenckie? No, cóż... jeszcze jedna Konfrontacja. Po co? – zastanawiałem się. Co to da? Nawet jeśli wygracie, to i tak po pewnym czasie wasze sukcesy niezauważalnie, że nawet nie spostrzeżecie się, obróćą się w swoje przeciwieństwa. Obudzicie się z ręką w nocniku, stwierdzając, że was wymanewrowano.

Studenci i wykładowcy katowickiego Wydziału Grafiki krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych ograniczyli się do wystosowania oświadczenia z poparciem dla strajkujących kolegów i z krytyką gry władz. Zablokowanie ustawy o szkolnictwie wyższym uznali za prowokację. Jednak, kiedy następnego dnia przeczytali w „Trybunie Robotniczej” (organie Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w Katowicach), że nie biorą udziału w protestach, ponieważ uważają je za prowokację, nie pozostało im nic innego, jak dołączyć do strajkujących. Rozlepili w Katowicach plakaty z tekstami artykułu i uchwały uczelni obok siebie wraz z oświadczeniem, że z powodu kłamliwego przedstawienie w prasie ich postawy nie mają innego wyjścia.

Mimo wszystko, strajki studenckie prawdopodobnie przeszłyby bez echa, gdyby nie pacyfikacja Wyższej Oficerskiej Szkoły Pożarnictwa w Warszawie, która wstrząsnęła społeczeństwem, gdyż wtedy po raz pierwszy użyto wojska i oddziałów milicji do stłumienia protestów.

W listopadzie 1981 r. odwiedziłem strajkujących kolegów z Duszpasterstwa Akademickiego w Wydziale Matematyczno-Fizycznym Politechniki w Gliwicach (obecnie Politechnika Śląska). Porobiłem notatki, z których później poskładałem reportaż. Jego również nie udało mi się nigdzie wcześniej opublikować.

Kilka tygodni później, 13 grudnia, wprowadzony został stan wojenny, który zakończył protesty studentów.

Strajk studencki

Strajk to forma walki pracobiorców z pracodawcą o wyższe zarobki lub jakieś szczególne przywileje pracownicze. Gdy robotnicy strajkują, produkcja staje, zysk przestaje płynąć do kieszeni właściciela i ten odczuwa to mniej lub bardziej dotkliwie. W przypadku zakładu państwowego traci budżet państwa. Kto traci, gdy strajkują studenci?

Przerywają naukę i... sami tracą. Nie uczą się, więc mniej będą umieli, w skrajnej sytuacji mogą zostać relegowani z uczelni lub mieć kłopoty z uzyskaniem dyplomu. Uczelni państwowej niewiele to zaszkodzi, w najgorszym przypadku straci na prestiżu. Jaki więc sens mają strajki w uczelniach?

Po odpowiedź udałem się 25 listopada 1981 r. do Wydziału Matematyczno-Fizycznego Politechniki Śląskiej w Gliwicach. Studiuję tam kilkoro moich przyjaciół, pomyślałem, że łatwiej mi będzie podjąć szczerą rozmowę.

Wydział mieści się przy głównej, najbardziej ruchliwej ulicy miasta, ul. Zwycięstwa. Wejście bezpośrednio z chodnika, gdyby nie porozlepiane afisze, można by przeoczyć. Przechodnie nie zwracają na nie uwagi, nikt nie zatrzymuje się, aby przeczytać jaskrawą farbą krzyczące komunikaty o studenckim proteście.

Po mocnym szarpnięciu drzwi wpadam na grupę strażującą. Wyjaśnienie celu wizyty, legitymacja dziennikarska, odnotowanie w zeszycie, plakietka z nazwiskiem, przydzielenie opiekuna i już mogę, a właściwie możemy wchodzić. Na początek udajemy się do Herbertówki, pomieszczenia zarezerwowanego na rozmowy w małym gronie, słuchanie płyt i czytanie książek. Nazwano je tak na cześć duszpasterza akademickiego ks. Herberta Hlubka, którego spora grupa wychowanków zaangażowała się w ten strajk. Wpadamy w sam środek ożywionej dysputy i z miejsca zostaję znokautowany pytaniem: Jaka jest twoim zdaniem różnica między etyką a moralnością? Próbuję pozbierać myśli. Kiedyś nad takimi problemami zastanawiałem się, ale to już dawno i nieprawda. Przychodzą mi z pomocą:

– *Bo Wojtyła pisze, że moralność to jest pewien zasób norm koniecznych, aby mogło utrzymać się społeczeństwo, norm, które mogą być różne w różnych społeczeństwach, a etyka to moralność uwieńczona wartościami ściśle religijnymi, które posiadają charakter absolutny i innym wartościom nadają sens.*

– *Czy to nie jest spór o terminy?* – pytam.

Okazuje się, że nie. Bezpośrednio z tego tematu przechodzimy do sporu o charakter tzw. wartości.

Istnieją obiektywnie, czy są jedynie tworem subiektywnych odczuć i wyobrażeń? Wychowankowie gliwickiego duszpasterza narzucają tutaj zarówno organizację protestu, jak i tematykę oraz ton prowadzonych dyskusji. W strajkowej bibliotece – zebranej na wypadek dłuższej bezczynności – dominują książki religijne. Biblia, „O naśladowaniu Chrystusa”, średniowieczna mistyka, książki ks. Mieczysława Malińskiego, ks. Tadeusza Stycznia, dzieła Maxa Schelera, Emanuela Levinasa, obok tego sporo z psychologii i tylko kilka „lżejszych do czytania”.

Dyskutujemy aż do kolacji. Przedtem jeszcze Msza św. Ksiądz rozkłada na stole podręczny ołtarzyk. W homilii mówi długo o sensie osobowej istoty człowieka, o tym, że każdy jest w swej najgłębszej warstwie jedyny, niepowtarzalny, nie do zastąpienia; jest wartością i żaden system nie może mu tej niepowtarzalności odebrać. Dopiero w drugiej kolejności stajemy się obywatelami, członkami klasy społecznej, organizacji itd. Z faktu niepowtarzalności swojej osobowej istoty wypływa odpowiedzialność za swoje czyny, za swoje zasadnicze wybory, bo to są nasze własne wybory, bo one nas kształtują.

Kolację jemy wspólnie. Obowiązuje tu zasada: we wszystkim jesteśmy wspólnotą. Każdy składa przywieziony z domu prowiant do wspólnej kuchni. Posiłki są jednakowe dla wszystkich, a przygotowuje je grupa dyżurująca.

Pytam o porządek dnia. Rano pobudka, przygotowanie śniadania, toaleta, więc, na którym podejmuje się najważniejsze decyzje, potem obiad, po obiedzie wyprawy po żywność i zebranie Uczelnianego Komitetu Strajkowego, prelekcja jakiegoś ciekawego człowieka po nim dyskusja, wieczorem jeszcze wspólne, głośne czytanie książek Karola Wojtyły, Msza św. i kolacja.

Tematy prelekcji rozmaite. Sytuacja polityczna w kraju, swobody akademickie, nowa ustawa o uczelniach wyższych, wyjaśnienie motywów strajku ludziom z zewnątrz. Ożywioną dyskusję wywołała relacja Jerzego Buzka z I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ Solidarność. Dużo wiedział i dużo rozumiał, ponieważ pełnił tam funkcję przewodniczącego prezydium.

Oprócz tego wykłady z etyki, historii, socjologii. Najwięcej emocji budzą jednak tematy „życiowe”, nie związane z samym strajkiem, zwłaszcza z etyki seksualnej. Czy kobieta powinna pracować, czy lepiej żeby zajmowała się dziećmi? Burzę wywołał kiedyś Achim, szef Wydziałowego Komitetu Strajkowego, stawiając tezę, że katolicy małżonkowie w gruncie rzeczy nie powinni ze sobą współżyć, zanim nie zdecydują się na dziecko. Tak skrajnie nie stawia sprawy nawet Kościół. Ponieważ Achim

swojej tezy bronił dobrze, gorąca dyskusja przeciągnęła się aż do późnej nocy.

– Strajk stworzył okazję do nawiązania bliższych kontaktów z koleżankami i kolegami, których spotykałam na co dzień, a o których niewiele wiedziałam – zwierzyła mi się Majka. – Dla mnie to nie jest stracony czas.

– Ilu nas jest? Pięćdziesięciu. Chciało strajkować więcej, ale ze względów lokalowych i aprowizacyjnych ustaliliśmy górną granicę liczby uczestników. Nasz wydział jest niewielki, wszystkiego około 200 osób.

Kiedy zadaję jej pytanie o istotne motywy strajku, wybucha.

– Dlaczego ludzi pracujących w naszym wieku uważa się za dorosłych, a nas, studentów, traktuje się jak smarkaczy? Na zakładzie takich pytań byś nie zadawał. To nie jest zabawa, to jest duże obciążenie. My nie wiemy, czy zaliczą nam semestr, czy nie każą powtarzać! Jak trzeba będzie uzupełniać wszystkie zaległości w krótkim czasie, to jak to zrobimy? Koledzy i koleżanki z grupy studenckiej, którzy nie uczestniczą w strajku, wszyscy się uczą, zdają egzaminy. Najgorzej mają ci z pierwszego roku, oni w ogóle nie wiedzą, co z nimi będzie, czy ich nie wyrzucą. Byłbyś spokojny na ich miejscu? My z Markiem mamy za dwa tygodnie ślub, powinnam pomagać rodzicom w przygotowaniach.

Marek jest z wydziału mechaniczno-technologicznego. Tam też strajkują, ale woli być tutaj, z narzeczoną.

– Bierzemy ślub w drugi dzień świąt [Bożego Narodzenia] – mówi – i będzie to ślub rzymski.

Szokuje mnie ta informacja, gdyż poznałem Marka jako człowieka niewierzącego, pochodzącego z zupełnie ateistycznej rodziny.

Po kolacji kontynuujemy rozmowę w większej grupie. Z wypowiedzi studentów, z ich pytań i żalów wyłania się pełniejszy sens ich walki.

– Albo będziemy szkołą, albo uczelnią. Bez dużej swobody danej studentom, bez zaufania do nich, że ją wykorzystają do nauki, nie będziemy mieli uczelni. Zawsze będą tacy, którzy okres studiów, okres stosunkowo małej kontroli zewnętrznej, przekombinują, ale jeśli chcemy wypuścić w kraj człowieka twórczego, który będzie umiał samodzielnie do czegoś dochodzić, to on musi tutaj samodzielności się nauczyć. To tak jak w szerszym życiu społecznym. Totalitaryzm a demokracja. Szkoła to totalitaryzm, uczelnia to demokracja. My uczymy się demokracji. Jeden, który chce wprowadzić „porządek”, to Hebda. Zrobił dobrą

szkółkę – wydajną, przydatną przemysłowi w sensie sprowadzania nowoczesnej aparatury, ale poziom nauczania nie był najwyższy, bo wszystko zależy od ludzi, a o nich Hebda nie dbał.

– Na uczelni panuje stosunkowo duże wyczucie tego, czym jest demokracja. Sama specyfika studiów wymaga partnerskiego stosunku wykładowcy do studenta. Nie jest tak, że naukowiec uczy studenta, student uczy się sam, a naukowiec tylko wskazuje mu kierunek. Tak przynajmniej powinno być.

– Powiedzcie mi, czy istnieje coś takiego jak prawda? Kiedy słucham tego, co o nas wygadują w telewizji, to wątpię.

– Nie mamy żadnych szans, dopóki nie będziemy mieli swojego programu. Dopóki tego nie będzie, zawsze wyjdziemy na nierobów.

– To się układa w pewien ciąg. Każdą konkretną przestrzeń wolności trzeba wywalczyć, idąc na całego. Rejestracja Solidarności bez poprawek – walka, rejestracja Solidarności Rolników – walka, ustawa o cenzurze – walka. Jeśli robotnicy nas teraz zostawią, powróci sytuacja sprzed sierpnia, kiedy obowiązywała zasada dziel i rządź. Przecież władzom tylko o to chodzi, żebyśmy się podzielili.

– W innych krajach studenci mają specjalny status w społeczeństwie, na więcej im się pozwala, więcej okazuje zrozumienia. Na Zachodzie ludzie oswoili się z tym, że studenci zawsze byli nonkonformistyczni. Tam to jest tradycja wyrosła z wielkich ruchów studenckich. Jeśli u nas coś takiego się rodzi, to należy to szanować jako naszą szansę. Studenci nie walczą o chleb dla siebie, walczą o idee. Spytaj kogoś, które zmiany w ustawie oburzają go najbardziej – każdy student odpowie ci, że przede wszystkim fakt, że wykreślili słowo wieloświatopoglądowość. I co? Znowu mamy uczyć się marksizmu?

– Wiesz, że nasz strajk już przyniósł wiele dobrego, choć jeszcze nic nie wygraliśmy. Po raz pierwszy środowisko akademickie stanowi jedność. Zawsze było tak, że naukowiec jest wrogiem studenta, teraz czujemy, że oni są za nami, oni chcą, żebyśmy wygrali. Mamy rektora, którego wszyscy szanują, który ma autorytet prawdziwy, nie sztucznie dorobiony i wiemy, że on też jest za nami.

– O tej jedności jeszcze. Na początku panowała wielka wrogość między NZS-em [Niezależnym Zrzeszeniem Studentów] a SZSP [Socjalistycznym Związkiem Studentów Polskich]. Oni na wydziale górniczym organizowali strajk konkurencyjny: walczymy tylko o ustawę, z pominięciem postulatu dotyczącego Hebdy, bo uważali, że to są rozgrywki personalne. Myśmy tam spędzili kilka nocy na rozmowach, tłumaczyliśmy, że nam nie chodzi tylko

o atak na Hebde. Dzisiaj walczymy razem, nie jako dwie organizacje, ale jako społeczność studencka, wszyscy razem o te same postulaty.

– Poniekąd to nasze szczęście, że oni zorganizowali ten desant na WOSzP [Wyższą Oficerską Szkołę Pożarnictwa w Warszawie, gdzie odbywał się strajk] Dotychczas ludzie traktowali nas trochę niepoważnie. „Uczyć im się nie chce, to zastrajkowali.” Teraz zobaczyli, że to nie są przelewki. Jeśli zostawimy jedno pole, gdzie demokracji nie będzie, to jej nie będzie w ogóle. Demokracja musi być dla wszystkich, albo jej nie będzie wcale.

– Jeśli pozostawimy stare mechanizmy w uczelniach, takie że na stanowiska brało się tylko partyjnych, że awansowało się nie za wiedzę, czy odkrycia naukowe, ale za lojalność wobec władz, że niszczyło się bezwzględnie uczciwych naukowców – weźmy przykład prof. Janusza Groszkowskiego – to jacy inżynierowie wyjdą z naszych uczelni? Oni potem pójdą na zakład i będą wprowadzać te metody kierowania, którymi przesiąkli w czasie studiów. Bo nie będą umieli inaczej.

– Prof. Jerzy Nawrocki, gdy był u nas w Gliwicach rektorem, należał do najbardziej radykalnych. Środowisko naukowców pod jego egidą opracowało tutaj projekt ustawy dającej chyba największą autonomię uczelniom. Jak poszedł do Warszawy na ministra, to mu się postawa zmieniła. Czy to nie jest fenomen?

Opuszczam strajkujących studentów jak po jakiejś odświeżającej kąpieli, przywracającej wiarę w ideały i sens walk o nie. – Muszą wygrać – mówię sobie – to wszystko już nie może cofnąć się do „starego”. Na dworzec odprowadza mnie Majka. Pytam o przyszłość, o mieszkanie, o pracę po studiach.

– Nie wiem, gdzie będę pracowała, nie mam wielkiego wyboru. Myślisz, że łatwo jest znaleźć pracę matematykowi? Zakłady pracy nas nie potrzebują.

Jednym z najczęściej wysuwanych argumentów za centralizacją szkolnictwa wyższego jest konieczność planowania i w związku z tym dopasowania liczby absolwentów danego kierunku do zapotrzebowania w przemyśle i usługach. – To planowanie – myślę sobie – jakoś nie sprawdza się. Perspektywy dla Majki nie są najlepsze. Może w demokracji to planowanie pójdzie lepiej.

DESTRUKCJA GOSPODARKI

Z tym tematem trudno było mi się zmierzyć, gdyż – patrząc obiektywnie, bez uprzedzeń i ideologicznego zaciętrzewienia – musiałem przyznać, że to my, ludzie „Solidarności”, zniszczyliśmy polską gospodarkę. Czy się to komu podoba, czy nie, muszę to napisać: „Solidarność” jest odpowiedzialna za destrukcję polskiej gospodarki w latach 1980 – 1981. Można tłumaczyć, dlaczego – o czym później – można próbować to usprawiedliwiać, ale w pierw trzeba to przyznać. Ciągłe strajki, rozlewające się po całym kraju, coraz to nowe żądania płacowe, podważanie autorytetu kadry zarządzającej w zakładach pracy, albo wręcz bojkotowanie jej poleceń – nie mogło skończyć się inaczej.

E. Gierek: Główne kłopoty mieliśmy za sobą

Stan polskiej gospodarki polskiej przed sierpniem 1980 r. nie przedstawiał się tragicznie. Przynajmniej wg oceny I sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka. Mówił o tym w wywiadzie-rzecz, przeprowadzonym przez Janusza Rolickiego:

(...) mimo całego splotu niekorzystnych dla nas okoliczności odzyskiwaliśmy równowagę gospodarczą i wyszliśmy na prostą.⁶⁶ Stało się tak mimo wyjątkowego wręcz zbiegu niekorzystnych wydarzeń, a więc mokrych lat w rolnictwie. Na lata nieurodzajów nie mgło mieć wpływu większe umaszynowanie wsi i zwiększenie nawożenia pól. W rezultacie musieliśmy znacznie więcej importować zbóż i pasz. I tak, o ile w latach 1971–79 import ten wyniósł 14 milionów ton, to w latach 1976–79 wzrósł do 35 milionów ton. Kosztowało to dodatkowo 2 miliardy dolarów.

Zima stulecia, kataklizm trudny do przewidzenia, kosztował kraj 6–7 procentowy wolumen produkcji rocznej i to we wszystkich gałęziach przemysłu. Doszło do tego praktyczne załamanie surowcowe RWPG. Dostawy energetyczne gazu, ropy, rudy, celulozy i innych surowców zastały zatrzymane praktycznie na poziomie 1975 roku. Dalszy wzrost dostaw uzależniony był od naszych inwestycji w Związku Radzieckim. Inwestycje te, głównie budowa rurociągów, kosztowały nas 800 milionów

dolarów, nie licząc miliardów złotych. Równocześnie na rynkach światowych cena ropy poszła kilkakrotnie w górę. Na dodatek kredyty dewizowe podrożały. O ile w pierwszej połowie dekady kredyty długo- i średnioterminowe stanowiły 80 procent zakupionych, podkreślam – zakupionych kredytów, to w latach 1976–79 sytuacja ta zmieniła się zasadniczo. Mimo to, zaciskając zęby, chcieliśmy pokonać ten niekorzystny splot wydarzeń. I, prawdę mówiąc, główne kłopoty mieliśmy za sobą.

Najważniejszą przesłanką rozwoju było zwiększenie tempa rozwoju naszego eksportu. Dzięki po-wodzeniu „manewru gospodarczego” w ciągu ostatnich lat dekady mieliśmy przeszło dziesięcio-procentowy roczny wzrost eksportu. Ten wzrost, oparty na wprowadzonych nowych technologiach, porozumieniach kooperacyjnych, miał trwale podstawy. Eksport nasz, rozwijając się w zaplanowany sposób, osiągnąłby w połowie następnej dekady 15–16 miliardów dolarów. Pozwoliłoby to nie tylko na utrzymanie na przywoitym poziomie importu zaopatrzeniowego, ale również na spłaceniu zadłużenia, a także na import konsumpcyjny wielkości 2–3 miliardów dolarów. Przecież pomimo ogromnych trudności wzrostu, podkreślam wzrostu, myśmy nie obniżyli poziomu życia społeczeństwa, a jedynie tego poziomu nie zwiększaliśmy w tempie 6–8 procentowym, a więc takim, jak miało to miejsce w latach 1971–75. Pierwszą połowę roku osiemdziesiątego zamknęliśmy nadwyżką eksportu nad importem w wysokości przeszło pół miliarda dolarów i gdyby nie niecierpliwość społeczna i strajki drugiej połowy roku osiągnęlibyśmy nadwyżkę wolnodewizową rzędu miliarda – miliarda dwustu milionów dolarów. Stałoby się to przy utrzymaniu bardzo wysokiego poziomu inwestycji.

Ocena liberalnego ekonomisty

Również Stanisław Gomółka, liberalny ekonomista związany z gospodarczymi (m.in. MFW), politycznymi i naukowymi ośrodkami na Zachodzie, członek zespołu, który zaprojektował tzw. reformę Balcerowicza przyznaje, że pojawienie się „Solidarności” doprowadziło do załamania gospodarki.

Pojawienie się „Solidarności” w sytuacji, w której władzę sprawowała partia komunistyczna, która nie była skłonna do dzielenia się tą władzą, doprowadziło do ogromnych napięć. Nie tylko napięć politycznych, ale także w gospodarce. Doszło do kryzysu gospodarczego, dużych spadków produkcji, a równocześnie „Solidarność” wymogła spore wzrosty płac. Z jednej strony mamy zmniejsz-

⁶⁶ Rolicki Janusz, op. cyt., s. 150–160

*szenie dopływu towarów na rynek wewnętrzny, a z drugiej strony wzrost siły nabywczej. To doprowadziło do potwornego kryzysu na rynku wewnętrznym.*⁶⁷

Co możemy powiedzieć na swoje usprawiedliwienie my wszyscy, którzy zaangażowaliśmy się w walkę o solidarnościowe ideały? Doprowadzić do upadku gospodarkę w swojej ojczyźnie to ciężkie, najcięższe oskarżenie. To tak, jakby działać na usługach wroga w czasie wojny. Czy to jednak my doprowadziliśmy do upadku polskiej gospodarki albo – czy aby tylko my? Czy rację ma E. Gierek twierdząc, że gospodarka polska funkcjonowała normalnie i rozwijała się do momentu pojawienia się „Solidarności”?

Moje doświadczenia z tamtych czasów, moje ówczesne obserwacje mówią, że to nie całkiem prawda.

Masa patologii

Mówi prawdę E. Gierek, że w roku 1980 wychodziliśmy już na prostą, że wskaźniki ekonomiczne pozwalały żywić nadzieję na nowy wzrost, że główne kłopoty mieliśmy już za sobą, jednak nie mówi całej prawdy. Nie wiem, czy świadomie, czy po prostu nie zdawał sobie sprawy ze stanu polskiej gospodarki, być może to drugie.

Kluczowy wskaźnik rozwoju, jakim jest wydajność pracy, nic się nie poprawił mimo wszystkich pożyczek i zakupu nowych technologii oraz nowoczesnych linii produkcyjnych.

Krach Systemu – i to musimy powiedzieć na usprawiedliwienie E. Gierka i jego ekipy – nie został spowodowany jego błędami ekonomicznymi, uważam nawet, że nie popełnił wielkich błędów w dziedzinie gospodarczej. Ten krach miał głębszy wymiar, kulturowy i cywilizacyjny.

W życiu społecznym nagromadziła się taka masa patologii, wynikających z zaszłości jeszcze historycznych, do których System tylko dołożył swoją cegiełkę, że wcześniej czy później musiało dojść do kryzysu. Polską gospodarkę, ale nie tylko gospodarkę, także kulturę, życie społeczne, już nie mówiąc o polityce, toczyła gangrena.

Jeżeli mamy E. Gierka i jego ekipę za coś oskarżać, to nie za socjalizm i związane z nim

przemiany społeczne, ale za to, czego w odpowiednim czasie nie zrobili, co zaniedbali albo czego nie byli w stanie, z powodu ideologicznych hamulców, dokonać.

Reportaż z Huty Katowice

Jeden z moich pierwszych reportaży na początku mojego zaangażowania w „Politechnikę”, w Pierwszej połowie lat siedemdziesiątych, napisałem o budowie Huty Katowice. W czasie wakacji letnich wysłał mnie tam Wojtek Błoński albo jeszcze jego poprzednik, Leszek, którego nazwiska nie pamiętam, ze słowami: napisz reportaż „pozytywny”, co znaczyło – napisz dobrze o budowie, pochwal, najlepiej w tonie zachwyty, och i ach!.

Budowa Huty Katowice była ogromnym przedsięwzięciem. W zamierzeniach Huta miała przejąć produkcję stali z kilku przestarzałych technologicznie, trujących hut górnośląskich, obniżyć koszty produkcji stali i produkować materiały stalowe, na które był popyt na Zachodzie, stając się nowym źródłem dewiz.

Chyba nie było w historii Polski równie wielkiego przedsięwzięcia. Inżynier, którego mi przydzielili w charakterze przewodnika i informatora, zaprowadził mnie najpierw na dach kilkupiętrowego, jeszcze nie ukończonego budynku. Cały teren, aż po horyzont, zapełniały rozkopaliska i świeże betonowe fundamenty. Dziesiątki, jeśli nie setki ciężarowych samochodów rozjeżdżały błotniste drogi, wszystko pokrywał biały, cementowy albo wapienny, pył. Robiło to przygnębiające wrażenie.

Potem mój przewodnik zaprowadził mnie na nadzór Działu Transportu mówiąc, że „tam dowiem się najwięcej”. Narada już trwała. Kilkudziesięciu kierowników i majstrów, wszyscy w kaskach i w roboczych ubraniach, zastanawiało się, jak zaradzić trudnościom, pojawiającym się w trakcie budowy. Rozmawiali zupełnie otwarcie, ostro, bez tuszowania problemów. Szukali rozwiązania.

Przebijały się w dyskusji, momentami ostrej, dwie sprawy, z którymi nie potrafili sobie poradzić. Pierwsza, to zastyganie betonu w jakichś samochodach-wannach. Te „wanny” były produkowane u nas w Polsce na zachodniej licencji. Beton miał utrzymywać się w stanie płynnym dzięki wstrząsom w trakcie jazdy, ale to nie działało. Nie wiadomo, czy w fabryce opuścili jakiś element procesu technologicznego, czy ktoś u nas wprowadził jakieś „usprawnienie”, w każdym razie wstrząsy nie zapobiegały zestalaniu się betonu. Tak to pamiętam. Być może, była to jedna z wielu chybionych licencji. Z przewozem w obrotowych „gruszkach” nie było kłopotów, beton nie zastygał.

⁶⁷ Berenda Krzysztof, Gomułka Stanisław : *W 1981 roku gospodarka się rozsypanywała*;
[https://www.rmfm24.pl/raporty/raport-rocznica-wprowadzenia-stanu-wojennego/fakty/news-stanislaw-gomułka-w-1981-roku-gospodarka-sie-rozsypanywała,nId,421599Wtorek,13 grudnia 2011 \(15:25\)](https://www.rmfm24.pl/raporty/raport-rocznica-wprowadzenia-stanu-wojennego/fakty/news-stanislaw-gomułka-w-1981-roku-gospodarka-sie-rozsypanywała,nId,421599Wtorek,13%20grudnia%202011%20(15:25))

Drugim gorącym problemem, z którym nie radziła sobie kadra inżynierska, było znikanie ogromnej masy betonu „po drodze”. Nie wiedzieli jak to ukrócić. Kontrole nie pomagały. Wszyscy wiedzieli, gdzie beton znika – gdyż na obrzeżach Huty, we wioskach wyrastały całe osiedla domków jednorodzinnych – ale nie wiedzieli, jak temu zapobiec. Nie potrafili złapać kombinatorów za gorącym uczynku. Złodziejstwo w PRL-u było powszechne. Nie wiem, czy bym skłamał, pisząc, że kradli wszyscy. Urzędnicy – materiały biurowe, kucharki w stołówkach i restauracjach – żywność, spawacze w zakładach – materiały spawalnicze, mechanicy – narzędzia itd.

Miało ono – powszechne złodziejstwo – dwie przyczyny: brak towarów w sklepach i „socjalistyczną mentalność”. Cementu w sklepach nie było, bo budowano takie właśnie zakłady jak Huta Katowice, a ludzie chcieli i mogli budować, bo praca wtedy – pomijając kopalnie i może huty – nie była tak wyczerpująca jak dzisiaj. Po pracy robotnik był jeszcze w stanie namieszać betonu domowym sposobem i wylać do kilkudziesięciu form na pustaki albo na cegły. Musiał tylko mieć cement!

Skąd go było brać? Jeśli nie miało się znajomego kierownika na jakiejś budowie, to „załatwiała się sprawę” z kierowcą samochodu, przewożącego



Budowa Huty Katowice – początki: zdi. z zasobów archiwalnych Muzeum Miejskiego „Sztetgarka” w Dąbrowie Górniczej

beton. Nie trzeba było go dopiero mieszać, przyjeżdżał gotowy.

Piszę „socjalistyczna mentalność”, bo do złodziejstwa prowokowała ideologia powszechnej „społecznej własności”. Wszystko było „nasze wspólne”, a więc – również i moje. Kradnąc brałem tylko ze „swojego”. Nie udało się wykształcić w społeczeństwie poczucia odpowiedzialności za dobro wspólne. Wspólne dla zdecydowanej większości oznaczało u nas tyle samo, co – niczyje. Kradło się jak gruszki z ogrodu plebana.

Nie pamiętam, czy w reportażu o tym napisałem. Prawdopodobnie nie, a jeśli już, to tylko zdawkowo, kilka zdań. Miałem napisać reportaż „pozytywny”! Napisałem reportaż nijaki.

O tym powszechnym złodziejstwie, jak i powszechnym marnotrawstwie wiedzieli wszyscy. No, może za wyjątkiem paru głupców. Dlaczego ten temat nie był obecny w mediach, a jeśli już się pojawiał, to w formie ogólnikowej moralizatorskich banałów? Dlaczego nie udawało się tym negatywnym zjawiskom postawić tamy? Skoro wszyscy wiedzieli, skoro były one obecne w świadomości społecznej, to decydentom powinno było zależeć na ich ujawnieniu i narodowej debacie na ich temat. Edwardowi Gierkowi z pewnością wiele by to pomogło w kierowaniu państwem, podobnie jak wcześniej Władysławowi Gomułce. Dlaczego tak się nie stało? Dlaczego to skrywano?

Otóż, PRL było jedną wielką „wioską Potiomkinowską”, propagandową fasadą, za którą skrywała się nędzna rzeczywistość. Kiedy Katarzyna Wielka, caryca Rosji, wyraziła chęć odbycia rejsu po Wołdze, aby zobaczyć, jak żyją jej poddani, książę Potiomkin nakazał poustawiać na obu brzegach atrapy nowych, czystych, zamożnych domów i gospodarstw i taki obraz Rosji zobaczyła caryca.

W PRL-u nomenklaturowi kacykowie w swoich raportach też przedstawiali rzeczywistość upiększoną, a kontrola nie funkcjonowała. Dobrze oddawał to dowcip, wyjaśniający, dzięki czemu Polska stała się potęgą światową w hodowli świń. Dyrektor PGR-u w Pcimiu Dolnym czyta sprawozdanie księgowego o stanie hodowli. Stoi napisane:

– *Hodujemy sto tuczników.*

– *Napiszcie dwieście* – każe poprawić dyrektor – *od tego zależy, ile nam przyznają środków w przyszłym roku. Poza tym, mogą mnie zdjąć ze stanowiska za słabe wyniki.*

Sprawozdanie wędruje do komitetu powiatowego partii, a tam pierwszy sekretarz z tych samych powodów każe liczbę dwieście poprawić na czterysta. W Komitecie wojewódzkim – podobnie. Do wydziału gospodarki w Komitecie Centralnym dociera

informacja, że PGR w Pcimiu Dolnym hoduje już osiemset tuczników.

Fasady nie można było przewrócić, ponieważ od niej zależała pozycja nomenklaturowych kacyków. Oni sobie nie radzili z zarządzaniem, ale – co zrozumiałe – nie przyznawali się do tego.

Nie mam dzisiaj żalu do siebie, że nie poruszyłem wtedy tematu powszechnego złodziejstwa. I to nie dlatego, że byłem wtedy konformistą, choć to po części prawda. Gdybym się uparł, mogłem o tym pisać, rzecz w tym, że nie potrafiłbym sięgnąć do sedna problemu. Mogłem napisać o powszechnym złodziejstwie w tonie „obywatelskiej”, dziennikarskiej troski – to nawet było chętnie widziane – ale już o przyczynach zjawiska pisać byłoby trudniej.

Przede wszystkim, musiałbym napisać krytycznie o powszechnych brakach towarów, w tym przypadku cementu. To też by jeszcze przeszło. Musiałbym tylko, zresztą zgodnie z prawdą, napisać, że cementu brakuje, ponieważ porwali się jako naród na tak wielkie dzieło jak budowa Huty Katowice. Czyż można to oceniać negatywnie?

Dalej musiałbym sięgnąć do historycznych uwarunkowań. Wyszliśmy, jako naród, ze stanu pańszczyźnianego chłopstwa z niewolniczą mentalnością albo – łagodniej pisząc – fornałską mentalnością. Fornal nie miał w zasadzie nic swojego, pracował na pańskim, więc jego stosunek do wszelkiej własności można streścić słowami: „to nie moje”. Jego było to, co udało mu się zachować.

Ten stosunek do własności przeniósł na własność społeczną, spółdzielczą i państwową, gdyż zrozumienie przez fornała, że jego byt zależy od bytu państwa, przekraczało jego możliwości intelektualne i moralne. Sam wywodziłem się z takiego środowiska, gdzie przywłaszczenie czegoś z zakładu pracy, czy to narzędzi, czy materiałów spawalniczych, czy stali zbrojeniowej, nie uchodziło za coś nagannego, a nawet przeciwnie – było oceniane jako przejaw zaradności. Nie potrafiłbym wtedy tego jednoznacznie potępić.

Nie warto było być uczciwym?

Zbieranie materiałów do reportażu o budowie Huty Katowice rozpocząłem od wizyty, z legitymacją dziennikarską i pismem polecającym, w sekretariacie dyrektora naczelnego. Bardzo długo musiałem czekać na przewodnika. Siedziałem tam i przysłuchiwałem się rozmowom sekretarek. Było ich kilka. Świadome, że słyszę, co mówią, nie plotkowały, a poruszały raczej tematy ogólne, bez wymieniania nazwisk.

Jedno zdanie z tej ich rozmowy mnie zaszokowało. Sekretarka, chyba ta naczelną, zwierzyła się w pewnym momencie:

– *Ja mam żal do swoich rodziców, że mnie wychowali na uczciwego człowieka.*

O tym, że to zdanie mnie zaszokowało, niech świadczy fakt, że do dzisiaj nie potrafię przestać o tym myśleć. Nie byłem święty, nigdy też nie mogłem powiedzieć, że znam środowiska ludzi kryształowo uczciwych, jednak zawsze i wszędzie wektor wartościowania był dla mnie oczywisty. Lepiej być uczciwym niż nieuczciwym. Myślę sobie dzisiaj, że ten żal sekretarki stanowi najcięższe oskarżenie tamtego Systemu. Gwoli sprawiedliwości dodam jednak, że kiedy patrzę na to, co dzisiaj dzieje się wokół mnie, zaczynam ją rozumieć.

Bogactwo bierze się z pracy niewolników

Omawiając fenomen solidarnościowego zrywu, trzeba mieć na uwadze prawdę fundamentalną: prości ludzie, robotnicy, fornale, parobkowie i małorolni oraz średniorolni chłopci, ile by nie kradli, zawsze są ofiarami każdego ustroju. Robotnik daje z siebie wszystko, wraca z pracy wykończony fizycznie i psychicznie, a i tak zawsze będzie zarabiał mniej niż urzędnik czy polityk. Człowiek bardzo zamożny może w ogóle nie pracować i żyć tylko z dywidendy i może w błyskawicznym tempie, nic nie robiąc, zawłaszczać wszystkie dobra całego świata. Kilka najbogatszych rodzin przejęło w ostatnich kilku dekadach 90 procent wszystkich dóbr naszej planety. Tak sobie ustawili światowy system finansowy, że pieniądze „wyczarowują” dosłownie z niczego. Udzielają kredytów w postaci papierowego pieniądza lub nawet tylko pustych zapisów na rachunkach – bez zabezpieczenia w postaci jakichkolwiek dóbr. Spłaty tych kredytów mają już pokrycie w realnych dobrach. Kredyt hipoteczny zaciągnięty w banku to tylko zapis na rachunku, bank nie musi przejmować się, czy ma na to pokrycie. Spłaty biorą się już z pracy kredytobiorców, a więc z tworzenia dóbr. W katolickiej nauce społecznej mówi się o takich sytuacjach jako „grzechu strukturalnym”.

Istnieje wiele teorii wyjaśniających źródła bogactwa narodów – wolny rynek, innowacyjność, przedsiębiorczość, wynalazczość itd. – w rzeczywistości jednak podstawowym źródłem bogactwa narodów jest niewolnicza praca najszerzszych mas albo wręcz praca niewolników. Uświadomił mi to Stanisław Tymiński, swego czasu kandydat na prezydenta III RP. Jest on żonaty z Chinką – zdaje się, że już w trzecim związku małżeńskim – i dzięki



Stalownia; zdj. z zasobów Muzeum Miejskiego „Szttygarka” w Dąbrowie Górniczej

swojej małżonce, dzięki temu, że otworzyła mu oczy na poszewkę życia społecznego w komunistycznym i wolnorynkowym zarazem Państwie Środka, zrozumiał, skąd wziął się niebywały skok gospodarczy tego komunistycznego i kapitalistycznego zarazem kolosa.

Chińscy komuniści po wielu nieudanych eksperymentach z kolektywizacją w końcu pojęli, że ludzie wydajniej pracują, gdy pracują dla siebie niż gdy pracują dla kolektywu i wprowadzili pełną swobodę gospodarowania przy zachowaniu pełnej kontroli społeczeństwa i zachowaniu zrębów centralnego planowania. Chińczycy, utrzymywani przez wieki w biedzie i niewolniczej zależności od swoich panów, wykształcili u siebie niezwykle wysoką kulturę pracy i małych wymagań. Prof. Witold Kieżun, który przed laty nadzorował z ramienia ONZ odbudowę gospodarki Burundi, tak ich zapamiętał:

– *Trzystu chińskich robotników przez trzy lata zbudowało ponad 160 kilometrów autostrady wraz z licznymi dojazdami. Pracowali jak roboty. Po ośmiu godzinach nikt nie chciał kończyć pracy. ONZ protestowała, a oni pracowali. I tak przez siedem dni w tygodniu.*⁶⁸

Kompozycja wolnego rynku, centralnego planowania i wysokiej kultury pracy zaowocowała

⁶⁸ Brzostek Dariusz, Pawłowska-Salińska Katarzyna, *Ile trzeba rąk do pracy przy Euro 2012*, <http://wyborcza.pl/1,76842,5120804.html>

kilkunastoprocentowym wzrostem gospodarki chińskiej rocznie przez całe dekady. Ale to nie wszystko.

Chiński tygrys skok gospodarczy ma ponurą, skrywaną tajemnicę nieludzkiego niewolnictwa. Kiedy państwo Tymińscy odwiedzili kraj rodzinny pani Tymińskiej, zwróciła mężowi uwagę na los chińskich bezprizornych. Kilka milionów Chińczyków egzystuje nielegalnie (sic!) na skutek narzuconej Chinom, przez europejskich kolonizatorów, polityki jednego dziecka. Więcej niż jednego nie wolno im mieć! Nielegalni żyją w Chinach, ale nie są chińskimi obywatelami. Formalnie ich nie ma! Nie otrzymują dowodu tożsamości, nie są objęci opieką społeczną, zdrowotną, szkolnictwem. Nie mają żadnych praw. Stanowią wielomilionowy rezerwuár półdarmowej siły roboczej i fundament błyskawicznego wzrostu gospodarczego Państwa Środka.⁶⁹

Gospodarkę Niemiec Zachodnich postawili po wojnie gasterbeiterzy z Turcji, potęgę Stanów Zjednoczonych budowała pokorna praca imigrantów z Niemiec, Irlandii i przede wszystkim z Europy Środkowej i Wschodniej, potęgę cesarskich Niemiec przed I wojną światową – wielomilionowa rzesza jej słowiańskich mieszkańców i najemników z Europy Wschodniej, głównie Polaków.

Jestem przekonany, że obecny sześcioprocentowy wzrost gospodarczy (jest rok 2018) zawdzięczamy ciężkiej pracy pracowników ukraińskich. W Polsce „za komuny” rezerwuár półdarmowej siły roboczej stanowili własni obywatele, rodacy, i to było uczciwsze niż eksploatacja obcych narodów, ale – jak długo można się godzić na niewolniczy wyzysk?

Wczujmy się w sytuację i uczucia eksploatowanego robotnika. Ma tylko jedno życie i chce je przeżyć godnie, a nawet korzystać z niego. Może pracować ciężko, nawet bardzo ciężko, jeśli w nieodległej perspektywie może liczyć na dorobienie się mieszkania, rodziny, na jakieś szanse na awans społeczny, na zapewnienie przyzwoitych warunków egzystencji dla swojego potomstwa. W przeciwnym razie – po co ma harować? Odbudowa silnej Polski, „sprawiedliwość społeczna”, pognębienie „zachodniego imperializmu i niemieckiego rewizjonizmu” nie wystarczą za motywację do niewolniczej pracy. Można ewentualnie poświęcić swoje życie w imię ewangelicznych ideałów „naśladowania Chrystusa”, „służby bliźniemu” lub coś podobnego, ale na to stać nielicznych.

⁶⁹ Kossecki Józef *Cywilizacja chińska*
<https://www.youtube.com/watch?v=YA3I25eUrE>, od 53.45 (dokładnie 56) min..

W sierpniu 1980 r. niewolnicy zbuntowali się. Czyż można mieć im to za złe? Czyż można mieć pretensje do robotników, że zażądali lepszego traktowania, poszanowania ich godności, lepszych warunków pracy i godziwych zarobków?

Robotnicy mają swoją godność

Pisał G. K. Chesterton, że robotnicy nie strajkują z powodu niskich płac, lecz płac niegodziwych. Tym, co sprawia, że wolny człowiek, mający swoją tożsamość, obyczaje i tradycje, zaczyna się burzyć i to nie sam, lecz we wspólnocie podobnych sobie, jest po prostu fakt, że pracodawcy i państwo uderzają w jego godność jako człowieka.⁷⁰ Tak było w sierpniu 1980 r. Kiedy okazało się, że strajki są jedyną drogą do osiągnięcia godziwej pracy i poszanowania swojej godności, to strajkowano. Jedna grupa zawodowa za pomocą strajków wywalczała podwyżki, to inne dochodziły do wniosku, że – tędy droga, że też trzeba strajkować.

System oferował klasie robotniczej poświęcenie się w imię dobra wspólnego. Mieli pracować dla „dobra ojczyzny”, „zwycięstwa socjalizmu”, „sprawiedliwości społecznej” itp., ale to były puste hasła, kłamstwo, ideologiczna, propagandowa politura, za którą kryły się całkiem prostackie, przyziemne interesy „nowej klasy”: władza, przywileje i dobra materialne.

Przebudzenie

„Solidarność”, ruch „Solidarności” był takim dziejowym paroksyzmem, kiedy niewolnicy zrzucają skorupę zniewolenia duchowego i odzyskują godność ludzi wolnych, zdolnych do podejmowania odpowiedzialności za siebie. To nie trwa długo, bo zaraz zaczyna się ponowne tasowanie kart, zaraz co sprytniejsi próbują się lepiej urządzić kosztem innych, ale ten paroksyzm powtarza się raz po raz w dziejach ludzkości.

Tak mówił o tym prof. Romuald Kukołowicz, doradca prymasa St. Wyszyńskiego, później także doradca „Solidarności”: *Już podczas strajku w stoczni,⁷¹ (...) Zaczął się formować etos, (...) który później nazwano „etosem” Solidarności. (...) Nigdy nie zapomnę takiej oto sceny. To było dwudziestego któregoś sierpnia. Ówczesne władze przemyciły do stoczni, w samochodzie ciężarowym, kilka skrzyń wódki. W czasie strajku obowiązywał bezwzględny zakaz picia alkoholu. I oto na ziemi, obok wlotu kanalizacyjnego, siedzi nieznan mi stoczniowiec,*

⁷⁰ Kmiec Michał, *Bogacz i biedak w świecie Chestertona*,
<http://myslkonserwatywna.pl/>

⁷¹ *W cieniu Prymasa Tysiąclecia*, op. cyt., s. 142-143

który z wyglądu robi wrażenie, że bez „setki” nigdy pracy nie zaczynał, otwiera butelkę po butelce i ich zawartość wlewa do kanalizacji, mówiąc przy tym do siebie: No patrz Henio, na co ci przyszło? Miast wlewać czystą do gęby, wlewasz ją do kloaki.

W czasie tego szesnastomiesięcznego zrywu wolności w latach 1980 – 1981 miałem okazję być na wielu spotkaniach i wiecach działaczy związkowych i zwykłych robotników. Uderzyło mnie wtedy powszechne odwoływanie się do etyki ewangelicznej. Nie byłem do tego przyzwyczajony, gdyż System z założenia realizował ewangeliczne ideały dobra wspólnego i władzy jako służby, jednak, jeśli o tym dyskutowano, to zawsze na poziomie ogólnym – zasad ustrojowych. *Każdemu według potrzeb, od każdego według możliwości.*

W praktyce do tej zasady nie odwoływano się. Dopiero za „Solidarności” nabrała ona mocy. Uderzyło mnie to, bo ewangeliczna argumentacja była niezwykle prosta, często jednozdaniowa, i zawsze trafiała do przekonania słuchaczy. Czasami wystarczyło „tak się nie robi” albo „tak nie wolno”. Kiedy na przykład dyskutowano o podniesieniu zarobków sprzątarek to, po zwykłej długiej dyskusji, czy zakład na to stać, czy liczy się wykształcenie, doświadczenie, znaczenie dla zakładu, czy też trud pracy, sprawę zamykał argument, że sprzątaczkę mają po kilkoro dzieci, których często są jedynymi żywicielkami.

Nie rozpoznali wyzwań czasu

Nakazowo-rozdzielczy system gospodarczy sprzed sierpnia 1980 r. wyczerpał już swoje możliwości. On się sprawdził w początkach odbudowy państwa, ale stawał się coraz bardziej nieefektywny. Przyznał to w swoim wywiadzie E. Gierek, mówiąc, że mimo sprowadzania nowych technologii z Zachodu i unowocześnienia przemysłu, wydajność pracy nie zwiększyła się.

*Natomiast teraz chcę zwrócić uwagę na to, że problemy powstały z racji zbyt małej, nieefektywnej w stosunku do nakładów, wydajności pracy.*⁷²

A wydajność pracy jest sprawą kluczową w światowej konkurencji państw i narodów. Do wspomnianych wyżej patologii, jak złodziejstwo i niska jakość produkcji, trzeba dodać ogromne marnotrawstwo – czasu, materiałów i ludzkiego wysiłku.

Gospodarka polska była ekstensywna. Wzrost gospodarczy osiągnęto przez budowę nowych fabryk, zwiększoną eksploatację bogactw naturalnych, zwiększenie liczby zatrudnionych i wzrost

arealu uprawianych gruntów. Nie radzono sobie z organizacją pracy ani jej jakością. Polska miała wtedy – o czym również mówił E. Gierek – czterokrotnie bardziej energochłonną gospodarkę niż gospodarki krajów zachodnich.

Nie wszystko to było winą Systemu, jednak w warunkach gospodarki nakazowo-rozdzielczej, kiedy o wszystkim decydowała „góra”, która za to wszystko brała na siebie odpowiedzialność, nie można winić pracowników. System upadł, bo jego elity nie rozpoznały wyzwań czasu. Powstanie Solidarności było już ostatnim dzwonkiem na zmianę sposobu myślenia.

Nienawidzę rozwiązań, które przyjęto w komunistycznych Chinach, nienawidzę rozjechania protestu studentów na Placu Tien’anmen, polityki jednego dziecka, przymusowych aborcji, prześladowań Kościoła i ruchu Falun Gong, jednak muszę przyznać, że tamtejsi komuniści potrafili sprostować wyzwaniom czasu. Kiedy przyszedł na to czas, uwolnili handel i produkcję.

Można to było zrobić również u nas, przy zachowaniu, tak jak w Chinach, zasady, że nie wpuszczamy gospodarczych wilków z zewnątrz (czytaj: obcych koncernów) do swojej owczarni. Przynajmniej do czasu, aż nie wyhodujemy rasowych psów-opiekunów. Duże zakłady można było przekształcić w spółki Skarbu Państwa i – zachowując na początku troskliwą kontrolę – wystawić na drapieżne zasady wolnego rynku. Można było przekazać zakłady radom pracowniczym. Można było stworzyć państwowy korpus fachowych menedżerów, nastawionych na ratowanie przedsiębiorstw przeżywających chwilowe trudności na rynku. Przede wszystkim trzeba było podjąć bezlitosną, jak w Chinach, walkę z korupcją. To wszystko, i wiele więcej, można było po dogadaniu się z „Solidarnością”. Niestety ówczesne partyjno-państwowe „elity” nie dorosły do tego.

Prof. Witold Sawicki, wykładowca na Wydziale Prawa UMCS historię powszechną państwa i prawa, wskazywał na trzy fazy politycznego przywództwa. Najpierw zorganizowana grupa walczy o władzę. Potem, kiedy dochodzi do władzy, sprawuje ją, a na koniec – już tylko konsumuje. W tej ostatniej fazie niezdolna już jest do sformułowania nowych, zwłaszcza porywających idei, ani nawet do sformułowania jakiegos rozsądnego programu rządzenia.⁷³ Ta ostatnia faza to był właśnie stan naszych ówczesnych „elit” partyjno-państwowych.

⁷² Rolicki Janusz, op. cyt., s. 133

⁷³ Podaję za: Michalkiewicz Stanisław, *Rewolucyjna teoria i praktyka*, <http://michalkiewicz.pl/tekst.php?tekst=4354>

Nie możemy wszystkiego zrzucić na System

Ale... gwoździ uczciwości należy uwzględnić z jakiego pułapu startowała władza komunistyczna po wojnie i w jakich warunkach przyszło jej odbudowywać gospodarkę. Kraj był totalnie zniszczony, stolica w gruzach, nędza wiejska – dziedzictwo II Rzeczypospolitej – nie do opisania. Warszawę niezwykłym wysiłkiem odbudowano, postawiono setki, jeśli nie tysiące zakładów przemysłowych i to niekiedy ogromnych.

Za rządów E. Gierka zaczęto powoli podnosić poziom życia społeczeństwa, oddawać do użytku setki tysięcy mieszkań, podjęto akcję umaszynowania rolnictwa, pojawiła się nowa fabryka nowoczesnych samochodów itd.

Gadanie o tym, że Niemcy startując z podobnego pułapu zniszczeń co Polska osiągnęły w krótkim czasie kilkakrotnie wyższy poziom, że mogliśmy osiągnąć podobny, gdyby władze nie odrzuciły amerykańskiej pomocy w postaci tzw. Planu Marshalla jest śmiechu warte. Niemcy mieli przed wojną jedną z najnowocześniejszych gospodarek świata. To kwestia nowoczesnych technologii, wysokiej organizacji produkcji, wysokiej kultury pracy, wszystkiego tego, czego brakowało w przedwojennej, rolniczej, ubogiej Polsce.

Można zniszczyć gospodarkę, zniszczyć nawet państwo, ale jeśli przeżyją ludzie z ich wiedzą i nawykami, odbudowa postępuje szybko. Niemcy mieli po wojnie ludzi, którzy potrafili zorganizować produkcję i mieli fachowców, włącznie z doświadczonymi robotnikami. Polskie, komunistyczne władze musiały dopiero wdrażać chłopców ze wsi do pracy w przemyśle i górnictwie.

Zabrakło poczucia odpowiedzialności

Czy można było inaczej? Czy można było osiągnąć solidarnościowe cele bez ciągłych strajków, żądań płacowych, destabilizowania gospodarki? To była walka polityczna przeciwko warstwie uprzywilejowanej, a w takiej walce idzie się na całość. To są śmiertelne zapasy, bo chodzi o przywileje całych grup społecznych. Mimo wszystko, uważam jednak, że można było inaczej.

Jako Górnolazak patrzyłem na „karnawał Solidarności” z pewnym dystansem, a więc i krytycznie. Brakowało mi w tym wszystkim poczucia odpowiedzialności za państwo, albo inaczej – myślenia holistycznego, ogarniającego całość. Państwo jest najważniejsze, uderzając w jego podstawy, uderzamy w podstawy społecznego porządku i podążamy do anarchii. Niemcy mówią, co u nas wielokroć wyśmiewano, że „Ordnung muss sein”,

czyli „porządek musi być”. Fryderyk Wielki, twórca potęgi Prus mawiał, że jest tylko „pierwszym sługą państwa”.

Tego mi brakowało. Siedzieliśmy w tej samej łodzi z naszymi przeciwnikami i kiedy zaczęliśmy się naparzać, należało pilnować, aby łodzi zanadto nie rozhuścić. Co z tego, że władza opóźniała realizację naszych postulatów. Podpisali, więc wcześniej czy później musieliby wywiązać się z umów. Istnieje coś takiego jak presja społeczna, a ona stanowi mocny argument polityczny. Miałem dużą satysfakcję, kiedy Staszek Olejniczak, który w „Tygodniku Katowickim” pisał reportaże, po powrocie z jakiegoś większego spotkania przewodniczących komisji zakładowych stwierdził – cytuję z pamięci

– *Ci miejscowi, autochtoni, są jednak bardziej odpowiedzialni.*

Pamiętam to, bo wtedy jeszcze nie chciało mu przejść przez gardło słowo „Ślązacy” albo „Górnolazacy”.

Zaciążył brak instynktu państwowego, będący za trutym owocem doświadczeń historycznych. W okresie zaborów państwa (czy to Rosja, czy Niemcy, czy Austro-Węgry) stanowiły struktury wymierzone przeciwko narodowi polskiemu, dążące do jego anihilacji. Idee walki z zaborcami były usprawiedliwione, ale poskutkowało to ukształtowaniem buntowniczego, niepokornego i anarchistycznego charakteru narodowego Polaków.

Przez ponad sto dwadzieścia lat państwo było dla Polaków tworem ciemieżców, strukturą obcą kulturowo, organizacją wyzyskującą, więc całe poczucie narodowe, cała tożsamość budowana była na odrzuceniu państwa. Zaborczego państwa.

Dodajmy do tego, że szerokie masy uczestniczące w rewolucji solidarnościowej wywodziły się z warstw niższych, z ubożego chłopstwa, folwarcznych fernali, ukształtowanych historycznie we wrogości do wszelkiej władzy. Fernal kombinuje, jak najmniej narobić się, gdzie można coś ukraść i – co chyba jest najważniejsze – cały czas żyje w przeświadczeniu, że jest wyzyskiwany. Państwo w ogóle go nie obchodzi. I dodajmy jeszcze, że z takich warstw wywodziła się nomenklatura.

Wykorzystywali gospodarkę do walki z Systemem

MKZ Katowice, pozostający pod wpływem ugrupowań niepodległościowych, antysystemowych, usiłował z dość dużym efektem zweeksławiać bunt robotników na tory walki o cele narodowe,

takie jak „wyzwolenie spod okupacji sowieckiej” czy „obalenie komunizmu”. Radykalne narodowe hasła zdobyły duże poparcie wśród młodych robotników.

Presja radykałów zmuszała do zaostrenia kursu nawet działaczy nastawionych koncyliacyjnie, szukających porozumienia. A. Rozpłochowski i jego ekipa oskarżali nowy zarząd o dogadywanie się z komunistami. Ekipa L. Waliszewskiego zmuszo-

oraz przeprowadzenia referendum w sprawie wyborów do Sejmu i rad narodowych.

Śmierdzący gaz przed KWK „Sosnowiec”

Podczas strajku w kopalni „Sosnowiec” doszło do burd. Dyrekcja zorganizowała masówkę, na której nawoływała pracowników do normalnej pracy. Gdy to nie przyniosło rezultatów, kazała wyłączyć mikrofony z cechowni, a następnie zaczęła organizować łamistrąjków. Przewodniczący komisji zakładowej „Solidarności” Wojciech Figiel wraz z grupą innych działaczy polecił „odizolować” dyrektora i inżyniera naczelnego kopalni wraz z sekretarzem POP w biurze i nakazał rzucić ze szczytu kopalnianego szybu czerwoną gwiazdę, symbol, jak wiadomo, „znenawidzonej okupacji sowieckiej”.

Zanim strajk skończył się, do kopalni przyjechał prokurator w towarzystwie funkcjonariuszy MO i SB. W. Figlowi postawiono zarzuty dopuszczenia się w czasie strajku szeregu przestępstw, m.in. przymuszania pracowników do przerywania pracy oraz uniemożliwienie prokuratorowi, przybyłemu do kopalni w celu uwolnienia osób *bezprawnie pozbawionych wolności*, dokonania *czynności służbowych*.

Półtora miesiąca później, 27 października, miała odbyć się rozprawa przeciwko przewodniczącemu „Solidarności” z KWK „Sosnowiec” i siedmiu jego kolegom. W Sosnowcu trwał ferment.

Ktoś wyrzucił z przejeżdżającego samochodu, „czarnej wołgi”, fiolki z trującą, śmierdzącą substancją pod bramą kopalni. Kilku-dziesięciu górników hospitalizowano. Działacze związkowi uznali, bez śledztwa, że stoją za tym władze, którym zależy na „wywoływaniu niepokojów społecznych” i wezwali załogę do kolejnego strajku.

W. Figiel podczas Walnego Zebrania Delegatów wściekle atakował nowo wybrany Zarząd Regionu. Przypuszczam, że stała za tym frakcja działaczy związkowych, która nie chciała się pogodzić z odsunięciem od władzy A. Rozpłochowskiego. Zaraz po wyborach MKZ Katowice A. Rozpłochowski wysłał do zakładów pracy telex, w którym pod-

Adam Zagajewski

Filozofowie

Przestańcie nas oszukiwać filozofowie

Praca nie jest radością człowiek nie jest najwyższym celem

Praca jest potem śmiertelnym Boże kiedy wracam do domu

Chciałbym spać lecz sen jest tylko pasem transmisyjnym

Który podaje mnie następnemu dniu a słońce to fałszywa

Moneta rano rozdziera moje powieki zrośnięte jak przed

Narodzinami moje ręce to dwoje gasterbeiterów i nawet

Łzy nie należą do mnie biorą udział w życiu publicznym

Jak mówcy ze spierzchniętymi wargami i sercem które

Zrosło się z mózgiem

Praca nie jest radością lecz bólem nieuleczalnym

Jak choroba otwartego sumienia jak nowe osiedla

Przez które w wysokich skórzanych butach

Przechodzi obywatel wiatr

.....

Zagajewski Adam, Sklepy mięsne,

Wydawnictwo Literackie, Kraków 1975.

na jakoś zademonstrować swoją niezależność i determinację podjęła już podczas Walnego Zjazdu Delegatów decyzję o ogłoszeniu gotowości strajkowej w regionie i czterogodzinnego strajku ostrzegawczego w razie negatywnych rezultatów rozmów KKP z komisją rządową.

Strajk odbył się, zgodnie z zapowiedzią, 7 września 1981 r. Obok żądań materialnych, jak zwykle, wysunięto więcej żądań o charakterze politycznym – przywrócenia pierwotnej postaci projektu uchwały o związkach zawodowych, dostępu „Solidarności” do środków społecznego przekazu, uwolnienia więźniów politycznych, wprowadzenia akceptowanej społecznie reformy gospodarczej

ważał praworządność zebrania delegatów, zarzucał delegatom dyspozycyjność wobec władz politycznych regionu, mówił o niedemokratycznym sposobie prowadzenia obrad itp. itd. Awantury no tle politycznym, takie jak w kopalni „Sosnowiec”, mogły być formą nacisku moralnego w celu zmuszenia kolegów z Zarządu Regionu do radykalnych działań i/albo być może próbą pokazania, że L. Waliszewski nie potrafi opanować sytuacji w regionie.

W KWK „Szczygłowice” wywieźli na taczkach

Niedługo później wybuchł strajk w kopalni „Szczygłowice”. Przyjechała ekipa telewizyjna, nagrała wywiad z przewodniczącym Rady Zakładowej Związku Zawodowego Górników niejakim Janem Mateńką oraz jeszcze z jednym górnikiem, specjalnie w tym celu ściągniętym z domu. Nie spytano nikogo z „Solidarności”. Za akceptacją przewodniczącego KZ „Solidarności” Tadeusza Arenta wywieziono więc J. Mateńkę z kopalni na taczce. T. Arent został aresztowany, załoga przystąpiła do strajku.

W tym wypadku szło o sprawy poważniejsze, o stosunek do Uchwały Rady Ministrów nr 199/81, wprowadzającej „fundusz mobilizacyjny”, mający zachęcić górników do pracy w niedziele i święta. Związek Zawodowy Górników przyjął tę uchwałę z uznaniem, „Solidarność” – przeciwnie. Uchwałę przyjęto 11 września, a już cztery dni później, 15 września, przedstawiciele komisji zakładowych „Solidarności”, zebrani w Jastrzębiu Zdroju, odrzucili ją, zawieszając jednocześnie Henryka Sienkiewicza, obwinianego o jej zainspirowanie, w funkcji przewodniczącego Krajowej Komisji Koordynacyjnej Sekcji Górnictwa.

Górnicy z „Solidarności” obawiali się powrotu do dawnych czasów, kiedy bez pracy w soboty i niedziele nie można było liczyć na godziwe zarobki. Tymczasem rząd był pod ścianą. Skąd miał wziąć pieniądze na zaspokojenie rosnących żądań pracowników, jak nie z eksportu węgla? Sprzedawanie państwowych zakładów, aby załatać dziury w budżecie nikomu jeszcze wtedy nie przychodziło do głowy. Górnicy jednak nie chcieli się już więcej poświęcać dla kraju, dla państwa. Gdyby nie odrzucili Systemu, jako opresyjnego „totalitarnego”, może daliby się przekonać, jednak propaganda radykalnych ugrupowań niepodległościowych zrobiła swoje. T. Arent był członkiem Konfederacji Polski Niepodległej.

Przerzucano się odpowiedzialnością, władze twierdziły, że upadek gospodarki sprawka samej „Solidarności”, gdyż to właśnie jej zależy na

„wywoływaniu niepokojów społecznych” i problemów zaopatrzeniowych, gdyż dąży do „zmiany ustroju społeczno-politycznego”. „Solidarność” oskarżała władze o rozejście się z pragnieniami narodu i blokowanie koniecznych reform. Coś w rządowych oskarżeniach było jednak na rzeczy, a może nawet sporo. Kiedy zwróciłem uwagę Wieśkowi Asmanowi, że ciągle podgrzewanie nastrojów i prowokowanie do walki ma charakter destrukcyjny dla państwa, wyjaśnił mi, że tak musi być, że nie mamy innego wyjścia, bo jak damy im trochę spokoju, „oni” okrzepną i „rozprawia się z nami”.

Zimą 1989 r. pierwszy solidarnościowy premier Tadeusz Mazowiecki zwrócił się do górników z dramatycznym apelem o przyjsie do pracy w soboty i niedziele. Zapasów węgla na hałdach było na kilka dni, a mrozy coraz większe. Groziło, że zmarzniemy w mieszkaniach. Wtedy górnicy posłuchali apelu i przysli fedrować. T. Mazowiecki wprowadził potem reformy prorynkowe, znane pod nazwą Planu Balcerowicza, pozamykał kilkadziesiąt kopalń i udowodnił górnikom, że wcale nie są tak niezbędni, jak im się wydaje.

Pozytywna rola Lecha Wałęsy

Lech Wałęsa odegrał tu pozytywną rolę. Miał przeciw sobie całą Krajową Komisję Porozumiewawczą, kiedy doprowadził do zawieszenia strajku wywołanego tzw. Prowokacją Bydgoską, miał przeciw sobie całą KKP, kiedy spotykał się z prymasem kard. Józefem Glempem i gen. Wojciechem Jaruzelskim i wraz z nimi apelował o kilkadziesiąt dni spokoju. Jeśli był agentem i wykonywał wtedy polecenia prowadzącego oficera tajnych służb, to trzeba tylko stwierdzić, że tajne służby potrafiły nie tylko umieścić swoich ludzi na kluczowych stanowiskach ruchu opozycyjnego, ale i skutecznie ten ruch kontrolować dla dobra kraju.

Nie szkodziły gospodarce takie akcje, jak burda 20 października 1981 r. na katowickim rynku i potem przed pocztą w Katowicach, o której pisałem w rozdziale „Zaplanowana rozróbka”, chociaż i tu nie do końca. Milicjanci wykonywali rozkazy przełożonych i pilnowali przestrzegania prawa takiego, jakie wówczas było. Nie należało bez pozwolenia wykorzystywać rynku w Katowicach do działalności handlowej, a taką była według prawa sprzedaż tam wydawnictw bezdebitowych. Zmasowany po tych wydarzeniach atak na milicjantów w prasie związkowej za rzekomo brutalną akcję spowodował, że też zaczęli po swojemu „protestować”. Nie pojawili się – mimo wezwań – na dworcu PKP w Katowicach, kiedy

kibole wszczęli tam „zadymę”, z bójkami włącznie. I tak było dwa razy.

Wtedy cieszyłem się, że władza wszechwładnych służb porządkowych została złamana, dzisiaj patrzę na to inaczej.

L. Wałęsa, którego pojawienie się w stoczni w pierwszych dniach strajku dodało ducha robotnikom, ewidentnie dążył do zakończenia strajku. Omal mu się to nie udało. Już w sobotę, 16 sierpnia, jak tylko dyrekcja zgodziła się na wszystkie postulaty strajkujących – przywrócenie wyrzuconych do pracy, upamiętnienie ofiar Grudnia i podwyżkę płac w wysokości około 1500 zł, strajk omal nie wygasł. Wychodzących już ze stoczni robotników zatrzymały w bramie dwie kobiety – Alina Pieńkowska i Anna Walentynowicz, jeśli dobrze pamiętam – apelując, aby nie pozostawiać samymi zakładów, które podjęły strajk solidarnościowy ze stoczną. Stoczniovcy byli zadowoleni z tego, co Wałęsa wynegocjował, ale... wrócili. Wałęsa zadecydował, że w takim razie zostaje w stoczni.

W nocy z soboty na niedzielę (z 16 na 17 sierpnia) zawiązał się Międzyzakładowy Komitet Strajkowy. Spisano słynne 21 postulatów, m.in. postulat utworzenia wolnych związków Zawodowych. To był casus belli w rozgrywce z władzą.

Agenturalność przywódcy strajkujących robotników da się zrozumieć tylko przy założeniu, że strajki wybuchły spontanicznie i władza, w tym tajne służby, dążyły do tego, by je wygaszić. L. Wałęsa gasił je znakomicie. Miał szczególny dar wyczuwania nastroju robotników, mówienia dwuznacznym językiem (słynne „jestem za a nawet przeciw”), by po wstępnym wyrażeniu poparcia ostatecznie przekonać ich do rezygnacji z protestów. Gasił strajki nieustannie, zyskując nawet miano „pierwszego gaśniczego”.

eśli jednak przyjmiemy, że za solidarnościową rewolucją stały tajne służby, zmierzające do obalenia Edwarda Gierka, to pojawia się zagadka co do postaci L. Wałęsy. Jeśli komuś – mam na myśli tajne służby i określone frakcje w partii – zależało na spowodowaniu przesilenia politycznego i usunięciu rządzącej ekipy, to musiały starać się eskalować konflikt aż do przejęcia władzy (potem oczywiście wygaszić go jak najszybciej) albo przynajmniej doprowadzić do takich ustępstw rządzącej ekipy, aby to radykalnie osłabiło pozycję jej przywódcy w oczach establishmentu i – z czasem – doprowadziło do jego ustąpienia.

W takim razie L. Wałęsa – jako agent tajnych służb – powinien był strajki podtrzymywać i rozniecać a nie gasić. Przynajmniej do momentu przewrotu pałacowego. Stanisław Kania zastąpił

Edwarda Gierka na stanowisku I sekretarza KC PZPR 6 września 1980 r.

Jak bardzo uzasadnione są podejrzenia o sprawczej roli tajnych służb w wywołaniu solidarnościowej rewolucji, świadczy pewien szczegół ze wspomnień Waldemara Kuczyńskiego o czym mówi prof. Andrzej Werblan⁷⁴, w tamtym czasie członek Biura Politycznego KC PZPR, a więc ściałego kręgu władzy. Rozumiał, o co toczy się gra.

Opisał on [W. Kuczyński] wyjazd grupy intelektualistów do Gdańska, w charakterze doradców. Chyba wezwał ich Mazowiecki. Zebrali się w mieszkaniu Jacka Kuronia i tam dyskutowali. Jak pojadą, co zrobią. Z nimi, jak wspomina, nawiązał kontakt jakiś bezpieczeniak, który przedtem ich śledził, i zaproponował, że ich rządowym samolotem przewiozą. Potem z tego się wycofano, oni sami nie chcieli lecieć rządowym samolotem. To wtedy zaproponowano im ułatwienie w nabyciu biletów na normalny samolot. Dyskutowali sprawę, jak się ustosunkować do postulatu wolnych związków zawodowych. Doszli zgodnie do wniosku, że to jest casus belli i zabójczy postulat. Ale kto to potrafi wyperswadować robotnikom?(...) W każdym razie wspomina on, że ktoś powiedział, aby to on się podjął to wyperswadować. On robotników przekonał. I w nocy tego jednego aresztowano. Można więc wnioskować, że bezpieka tego dnia doszła do wniosku, że należy eskalować konflikt. Nie wykluczam, że eskalacją konfliktu chciano przyspieszyć zmiany personalne na szczycie władzy.



Lech Wałęsa na spotkaniu z górnikaami w Jastrzębiu Zdroju, po jego lewej ręce – Jarosław Sienkiewicz; zdj.: Józef Żak

⁷⁴ Za: Walenciak Robert, *Miał być zamach stanu, wyszła rewolta*, 28.08.2017, www.tygodnikprzeglad.pl/mial-byc-zamach-stanu-wyszla-rewolta/

STAN WOJENNY

Te trzy miesiące redagowania „Tygodnika Katowickiego” dały mi w kość. Pracowaliśmy od wczesnego ranka do późnych godzin wieczornych, w ciągłym napięciu. W jakiejś narkotyzującej Euforii. Od kilkuset egzemplarzy odbijanych na kserokopiarce doszliśmy do 80 tys. egzemplarzy drukowanych w kolorach na najnowszych maszynach drukarskich.

Wiesiek myślał już o budowie sieci kolportażu w oparciu o komisje zakładowe albo o powołaniu niezależnego przedsiębiorstwa kolportażu solidarnościowej prasy. Znając jego talenty organizacyjne, nie mam wątpliwości, że byłaby to kwestia kilku tygodni. Na razie Paweł Berezowski ustawił trzy stanowiska z naszym tygodnikiem na katowickim rynku, gdzie harcerze sprzedawali od ręki po kilka tysięcy egzemplarzy dziennie.

Nie widziałem tego, nie miałem czasu, taki młyn panował w redakcji i zarządzie regionu. Musieliśmy tam być ciągle obecni, bo ciągle działo się coś ważnego. W końcu stwierdziłem, że dziczeję, zaczynam się robić coraz bardziej nerwowo. Zacząłem Wieska nagabywać o kilka dni urlopu. – *Nie ma szans* – odpowiadał – *nawet o tym nie myśl*.

Aż nagle, na początku grudnia 1981 r. sam wyskoczył z tym tematem.

– *Chciałeś urlop?*

Było to po jego wizycie u bpa Herberta Bednorza. Nie chciał zdradzić, po co biskup go wezwał. Opowiadał tylko o wrażeniu, jakie zrobiły na nim ogromne schody w biskupim pałacu przy Katowickiej katedrze. Biskup czekał na szczycie tych schodów. To jasne, że wezwał go, aby ostrzec o planowanym wprowadzeniu stanu wojennego.

Przed moim wyjazdem na urlop pytał mnie Wiesiek, czy nie przechowałbym u siebie nowoczesnej maszyny do pisania, którą przysłali nam z Zachodu. Pisało się tekst raz, a potem można było wydrukować, już bez pisania, wiele razy w zależności od potrzeby. Maszyna posiadała już kostkę z „pamięcią”. Wtedy to była nowość.

Już kilka tygodni przed stanem wojennym pojawiały się znaki zbliżającego się przesilenia. Myśmymy je zlekceważyli, bo stale żyliśmy w stanie zagrożenia i zdążyliśmy się przyzwyczaić. Prawie już nie wierzyliśmy, że władze mogą się pokusić na likwidację coraz silniejszego Związku.

Ryszard Kuszyński wystąpił na posiedzeniu Zarządu z dramatycznym apelem, aby przygotować się na najgorsze, ale nikt go nie traktował tam poważnie.

Urlop w klasztorze

Kolega niedawno był wstąpił do klasztoru w Tyńcu pod Krakowem. Umówiłem się z nim, że pobędę tam z tydzień, żeby się wyciszyć i odzyskać równowagę duchową. Nie jechałem tam po raz pierwszy. Wtedy jeszcze mnisi za gościnę brali tylko „co łaska”, dawałem ile mogłem, tzn. niewiele i nikt mi nie wypominał.

Jechałem do Krakowa nocnym pociągiem, rano już przed Krakowem zorientowałem się, że coś jest nie tak. Zagadałem do sąsiada w przedziale na temat władz i systemu politycznego, gdy ten agresywnie na mnie naskoczył. W tamtym czasie to się nie zdarzało, Solidarność była na fali wznoszącej, więc nawet jeśli ktoś był przeciwko, to milczał. A ten tu otwarcie i głośno atakuje... Wtedy dopiero dotarło do mnie, że nie cały naród jest przeciwko władzom. Później do taksówkarza, który wiozł mnie do Tyńca już się nie odzywałem.

W klasztorze mieszkalem w osobnej celi, jadłem i modliłem się z mnichami. Milczałem całymi dniami i rozmyślałem. Kilka razy odwiedził mnie o. Paweł Szczaniecki, historyk pochodzący ze starej pomorskiej szlachty. Kiedy dowiedział się, że jestem rdzennym Ślązakiem i pochodzę z województwa opolskiego, opowiedział mi historię o rodzie Gryfitów. W dawnych czasach, kiedy plemiona pomorskie i mazowieckie toczyły walki z Prusami, każdy ród szlachecki miał wyznaczony odcinek granicy do obrony. Gryfitowie jakoś tam skrewili, za co zostali skazani na banicję. Przyczyną ich któryś – już nie pamiętam – z piastowskich książąt opolskich. Dał im ziemię, jakiś budynek w mieście i odtąd zaczęli być uważani za szlachtę górnośląską. Doszli potem do wysokich godności.

Oprowadził mnie o. Paweł po całym tyńskim klasztorze, pełnym historycznych pamiątek. Kiedyś, wyjaśniając mi wymowę obrazów na stallach w prezbiterium tyńskiego kościoła, wybuchnął. Nie pamiętam kontekstu, nie pamiętam o czym mówił, co mogło spowodować jego wybuch, pamiętam jego słowa, a właściwie ich treść. Mówił mniej więcej tak:

– *Kiedyś każdy miał swoją chałupę. Jak waliła się, podpierał drągiem, ale ją miał! Człowiek, jeśli ma być wolnym, potrzebuje kawałka ziemi, choćby tyle co w doniczce, i musi mieć swój dom, swoją chałupę!*

Raczej nie chodziło mu o posiadanie jako takie, o własność jako taką, która według niektórych jest warunkiem wolności, ale o posiadanie ziemi. Coś w tym jest. Kiedy moja córka kupiła ogródek działkowy i z żoną w zasadzie sami go utrzymujemy, odnalazłem jakiś głębszy spokój.

Człowiek musi mieć fizyczny kontakt z ziemią, aby być w pełni wolnym człowiekiem. Musi przekopywać ziemię, sadzić rośliny, patrzeć jak dojrzewają owoce, brodzić bosymi stopami po rosie rannym, a wilgotnej trawie późnym wieczorem.

zwożące pod ziemię i wywożące górników) wyzywali sztygarów. Dozór górniczy założył własny związek zawodowy Kadra. Wprowadzenie stanu wojennego przyjęli z ulgą, choć zszokowani byli masakrą na kopalni Wujek.



Chwilowa popularność – byłem w telewizji

Wracając z Tyńca okrężną drogą, autobusem do Krzeszowic i tam dopiero wsiadłem do pociągu. Po wprowadzeniu stanu wojennego trzeba było mieć pozwolenie na przemieszczanie się z miejscowości do miejscowości. Tylko pracownicy, zatrudnieni w innej miejscowości niż ta, w której mieszkali, mogli jeździć tam bez zezwolenia, ale w razie kontroli musieli to wykazać jakimś dokumentem, choćby przepustką zakładową.

Przed wyjazdem kolega zaprowadził mnie do sali zapelnionej darami z Zachodu.

– Co potrzebujesz?

Nie chciałem nosić dużego bagażu, wziąłem dwie pary wojskowych skarpet ze szkockiej wełny. Służyły mi – co wydaje się nieprawdopodobne – kilka dobrych lat. W Katowicach udałem się najpierw do znajomej nauczycielki z Zasadniczej Szkoły Górniczej. I ona, i jej mąż, sztygar w kopalni Wujek, mieli już dość Solidarności. Opowiadali, jak górnicy stojący w kolejce do szoli (windy

Ich córka zgodziła się pojechać ze mną na bramę kopalni, gdzie stale płonęły znicze, i zaprowadzić mnie do mieszkania jednego z zabitych górników. Pomodliłem się przy zniczach. W oddali na wzgórku ekipa wojskowej telewizji – byli w mundurach – ustawiała kamerę. Ta wojskowa telewizja nazywała się Czołówka. Sfilmowali nas. Potem, podobno kilka razy, emitowano scenę ze mną i dziewczyną w roli głównej z komentarzem mniej więcej takiej treści: nabroilo się, teraz się zreflektowaliście, ale chyba trochę za późno. Cytuję, co mi przekazano, bo sam tego nie widziałem. Dzięki temu filmikowi dopiero stałem się popularny w rodzinnych stronach.

– Pokazywali cię w telewizji! Z jakąś dziewczyną. Widziałeś?

Nikogo nie interesowało, o co walczyłem, ani co mam na ten temat do powiedzenia, ani czy mam z czego żyć, liczyło się, że pokazali mnie w telewizji.

W mieszkaniu zabitego górnika Józefa Czekalskiego, niedaleko kopalni, zastałem jakąś kobietę z małopolskiej Solidarności. Potraktowała mnie

wrogo, oświadczyła, że zorganizowali już pomoc, więc porozmawiałem chwilę i pożegnałem się. Wiele bym rodzinie zabitego górnika nie pomógł, liczyłem, że dowiem się szczegółów wydarzeń na kopalni. Uważałem, że trzeba to notować dla pamięci potomnych.

Wyprawa na strajkujący Ziemowit

Uważałem wtedy, że moim obowiązkiem – jako górnikiem i członkiem Solidarności – jest być z walczącymi górnikami. Bałem się wrócić do swojej klitki przy ul. Sztygarskiej w Bogucicach, nocowałem u znajomych. U Zwierzyńskich (rodzi-

Do dziś pamiętam tę wyprawę. Wyjechaliśmy wcześniej rano, jakby zdążając na pierwszą zmianę. Była noc, mróz, sypało śniegiem, co kilka kilometrów legitymowały nas posterunki wojskowe. Na szczęście, nikt chłopaka nie spytał, kim jest kolega-pasażer.

Dojechaliśmy na miejsce. Na bramie, jeśli dobrze pamiętam, te zawodzące kobiety przy telefonach, które pokazywali w telewizji. Pozwalano im kontaktować się ze strajkującymi mężami licząc, że przekonają ich do rezygnacji z oporu. Wszedłem na teren kopalni, rozejrzałem się trochę – wszędzie byli ludzie w wojskowych mundurach – i wróciłem do samochodu. Poczułem ulgę, bo stwierdziłem, że



Masówka w kopalni Ziemowit w Łędzinach tuż przed wprowadzeniem stanu wojennego; źródło: Zapiski ziemowickiej Solidarności 1980–2006, wyd. Miejski Ośrodek Kultury Łędziny

ców Leszka Zwierzyńskiego) w Gliwicach mieszkałem ponad dwa tygodnie. M.in. gościła mnie też koleżanka z DA – lekarka mieszkająca w Czechowicach-Dziedzicach Helena (nomen omen) Dziedzic. Jej brat pracował na Ziemowicie albo na Piaście, już nie pamiętam, ale nie strajkował.

Wymusiłem na nim, żeby mnie zawiózł na kopalnię. Myślałem, że będzie można zejść pod ziemię jakimś szybem wentylacyjnym, którego żołnierze nie pilnują.

nic nie da się zrobić, sumienie mam czyste, próbowałem, mogę wracać do domu. Po spacyfikowaniu, w grudniu 1981 r., wielkich zakładów pracy prasa pisała przede wszystkim o postępach w przywracaniu porządku i pokoju społecznego. Ekipie Wojciecha Jaruzelskiego zależało na usprawiedliwieniu decyzji o wprowadzeniu stanu wojennego. Upokorzeni działacze Solidarności, NZS-u, KPN-u i innych „niekoncesjonowanych” organizacji zaczęli jednak szybko organizować się w podziemiu.

W połowie 1982 r. w szerokim nurcie ich działalności (druk i kolportaż ulotek, nawoływanie do manifestacji antyreżimowych) pojawiły się również działania bardziej radykalne.

Niestety, pomimo rozwijających się struktur miejskich i zakładowych podziemnej „S” w czasie stanu wojennego nie udało się utworzyć w Regionie wspólnego, uznawanego przez wszystkich, organu koordynującego pracę podziemia.

W styczniu 1982 w Katowicach powstała Regionalna Komisja Wykonawcza (RKW), która utrzymywała kontakty z podziemnymi grupami m.in. w Bytomiu, HK, Jastrzębiu, Katowicach, Sosnowcu i Tychach. Po aresztowaniach w październiku i listopadzie 1982 r. RKW przestała istnieć.

W tym samym mniej więcej czasie co RKW powstała Miejska Komisja Koordynacyjna (MKK) „S” Region Śląsko-Dąbrowskiego na czele z Danutą Skorenko. Utrzymywała kontakty z grupami podziemnymi z Bytomia, Chorzowa, Chrzanowa, Katowic, Mysłowic i Sosnowca, wydawała prasę podziemną (m.in. „Ku Wolnej Polsce”). Jej aktywną działalność przerwała seria aresztowań na przełomie 1983/1984 r.

Na początku 1982 Jadwiga Chmielowska powołała Regionalną Komisję Koordynacyjną (RKK) „S” Regionu Śląsko-Dąbrowskiego. Z inicjatywy T. Drzazgowskiego zorganizowano w Gliwicach manifestację 3 maja 1982 r., po której nazwę II Garnitur Gliwickiej Delegatury RKW „S” zmieniono na Delegatura RKW „S”, a „Biuletyn II Garnituru Gliwickiej Delegatury RKW NSZZ «Solidarność»” zatytułowano „Manifestacja Gliwicka”.

PRZECHODZĘ DO PODZIEMIA

Po wprowadzeniu stanu wojennego straciłem pracę. Moje miejsce pracy zlikwidowano w sensie dosłownym – wpadli zomowcy i zdemolowali pomieszczenia redakcji „Tygodnika Katowickiego”. Po kilku dniach na drzwiach wejściowych do budynku przy ul. Szafranka w Katowicach pojawiły się ogłoszenia, że mamy się zgłosić do urzędu pracy po nowe angaże. Kiedy ja je przeczytałem po raz pierwszy – z ciekawości poszedłem tam po powrocie z Tyńca – już wiedziałem, że koleżanki i kolegów, którzy się zgłosili, kierowano do pracy daleko na peryferia, do zakładów, gdzie komórki Solidarności były słabe. Chodziło o to, żebyśmy nie mieli czasu na działalność ani sprzyjającego nam środowiska.

Pomyślałem sobie – niedoczekanie wasze. Zatrudniłem się jako roznosiciel mleka, na umowę-zlecenie. Żadnego przedkładania życiorysu w ka-

drach, żadnych pytań o wykształcenie, podpisałem umowę i to było wszystko. Miała ta praca dużo minusów, przede wszystkim marne zarobki, konieczność wstawania w środku nocy, brak urlopów i ubezpieczenia zdrowotnego. Jak chciałem gdzieś wyjechać, musiałem znaleźć zastępcę, ale ta praca pozostawiała wiele czasu na działalność związkową. Po rozniesieniu mleka miałem cały dzień do dyspozycji. Ważne było też, że roznosiłem butelki w samym centrum Katowic, w Superjednostce, jak wtedy nazywano największy w mieście budynek mieszkalny.

Nie mogłem inaczej. Obowiązywało mnie solidarnościowe „braterstwo broni”, lojalność wobec aresztowanych kolegów. Uważałem, że muszę trwać na posterunku. Wtedy wydawało się, że jeszcze nie wszystko stracone, że jak długo walczymy, są szanse na zwycięstwo.

Po 13 XII 1981 w woj. katowickim akcje strajkowe i próby ich organizacji podjęto w ok. 50 zakładach, w tym w 25 kopalniach, m.in. KWK Manifest Lipcowy, Wujek, Piast, Ziemowit, w HK, Hucie Baildon; największe natężenie strajków nastąpiło 14 i 15 XII 1981, w kopalniach Manifest Lipcowy W KWK Wujek pluton specjalny ZOMO użył broni palnej (15 i 16 XII 1981), śmierć poniosło 9 górników, od postrzałów rannych zostało 25 osób, wiele innych odniosło obrażenia; 14-28 XII 1981 trwał podziemny strajk w kopalni Piast, najdłuższy grudniowy protest w skali całego kraju.

Za: Encyklopedia Solidarności t. I.,
http://www.encysol.pl/wiki/Region_%C5%9A%C4%85sko%C4%85browski_NSZZ_%E2%80%9ESolidarno%C5%9B%C4%87%E2%80%9D

Jaką przyjąć strategię?

Roznosząc mleko, cały czas główkowałem – jakkolwiek to śmiesznie może zabrzmieć – nad strategią dalszej walki. Nie widziałem sensu w rozrzucaniu ulotek z wykorzystaniem balonów, wypisywaniu antyreżimowych haseł na murach, w nadawaniu kilkunastominutowych (nie dłuższych, bo potem wkraczała bezpieka) audycji radiowych na obszar jednej dzielnicy. To miało sens jedynie, aby pokazać, że jeszcze jesteśmy, jeszcze walczymy.

Wiedziałem, że jeśli mamy zwyciężyć, w walkę musi być zaangażowany cały naród, opór musi być powszechny. On był cały czas, ale nie taki, jakiego należałoby sobie życzyć, polegał na niedbałym wykonywaniu swoich obowiązków, na osławionym „to mi wisi”. Mało kto już przykładął się do pracy.

Pamiętam z wykładów ks. prof. Józefa Tischnera fragment dzieła jakiegoś starożytnego historyka, który nam przeczytał, nie pamiętam, którego. Brzmiał mniej więcej tak: *Rolnicy uprawiają*



Czołg przed Hutą Katowice; zdj. z zasobów archiwum Komisji Zakładowej NSZZ Solidarność ArcelorMittal Poland_SA Poland_SA_Huta_Katowice

jeszcze pola, piekarze pieką chleb, garncarze wciąż jeszcze wyrabiają garnki, żołnierze zaprawiają się do walki, ale to państwo już nie funkcjonuje, bo... nikt już w to nie wierzy.

Wyobrażałem sobie zbiorowy opór narodu jako wielki wspólny wysiłek w celu zorganizowania równoległych niezależnych struktur społecznych, niezależnego na przykład nauczania. Było to naiwne. Udało się wprowadzić zorganizować drugi, niezależny obieg wydawnictw (książek i gazetek) bezdebitowych, czyli bez zezwolenia cenzury, ale tylko dlatego, że na tym można było dobrze zarobić. Czy na niezależnym nauczaniu można by również zarobić? Wątpię.

Na genialny pomysł, mogący doprowadzić do rozwalenia Systemu, wpadło dużo później podziemne – ale znane z jawnych wystąpień – ugrupowanie Wolność i Pokój (WiP). Odmowa służby wojskowej! To było to! Pamiętam, że jak usłyszałem o tym po raz pierwszy od księdza Jana Klaka, duszpasterza akademickiego z Gliwic, podczas nocnej pielgrzymki z Gliwic na Górę Św. Anny, od razu zajarzyłem, że tu otwiera się szansa na zwycięstwo. To było w roku 1984 albo nawet wcześniej. Służba wojskowa trwała wtedy dwa lata i była znienawidzona przez poborowych ze względu na panujące w wojsku stosunki. „Trepy”, jak nazywano bezpośrednich przełożonych, wyżywali się na rekrutach, panowała „fala”, czyli bezsensowne upokarzanie poborowych. Za odmowę służby wojskowej można było pójść do więzienia, ale środowisko sędziowskie, też wrogo nastawione do rządów wojskowych, nie ferowało drastycznych wyroków.

Kilkumiesięczny pobyt w więzieniu nie musiał być gorszy od dwuletniego znoszenia poniżej

w armii. Łatwo mi się to pisze, bo sam, ze względu na stan zdrowia, w wojsku nie byłem i nie groziło mi zmustrowanie, ale uważam, że ta strategia walki z Systemem w dłuższym okresie czasu miała szansę przynieść zwycięstwo.

Władze chyba też zdały sobie z tego sprawę i to – moim zdaniem – było powodem zawarcia przez nie niedługo później sojuszu z Kościołem. Chyba jeszcze przed przełomem 1989 r. – ale pewny nie jestem – zaczęły się pojawiać w oficjalnej i kościelnej prasie teksty o moralnej wielkości służby wojskowej dla ojczyzny, o tym, że – wbrew Ewangelii – chrześcijanin wcale nie musi być pacyfistą, że chwalebnie jest umierać na polu walki. Potem szerokim frontem wpuszczono do wojska kapelanów, nadano im stopnie wojskowe, pojawili się księża-majorzy, księża-pułkownicy, a nawet – o zgrozo – biskup-generał.

Dla mnie, człowieka poważnie traktującego nauczanie Pana Jezusa, była to zdrada Ewangelii. Z ks. Janem Klakiem, z którym w gliwickim DA wszyscy byli po imieniu, nie miałem potem kontaktów. Bp A. Nossol wysłał go do Stanów Zjednoczonych, podobno na jego prośbę. To możliwe, nie chciał w tym uczestniczyć.

Działacze WiP-u zajęli potem wysokie stanowiska we władzach III RP. Nie potrafię powiedzieć, czy po latach uznali, że pacyfizm, owszem, jest dobry jako metoda walki z Systemem, ale tak w ogóle to nie. Bogdan Klich został nawet ministrem obrony. Być może ugrupowanie powstało z inspiracji tajnych służb w celu skanalizowania radykalnej opozycji. W takim wypadku wysokie awanse działaczy można zrozumieć.

Odbudować struktury

Wtedy, po wyaresztowaniu 13 grudnia 1981 r. działaczy „Solidarności”, zawiązały się setki, jeśli nie tysiące grup oporu. Brakowało przywództwa i kanałów przekazu informacji, aby stały się siłą społeczną i były w stanie coś naprawić.

Nie miałem koncepcji organizacyjnej podziemia, wiedziałem tylko, że trzeba zacząć od odtworzenia kontaktów między grupami opozycyjnymi, przynajmniej wyznaczyć kogoś jednego do kontaktów i ewentualnie objęcia jakiejś funkcji w podziemnym tajnym zarządzie regionu, który trzeba było powołać.

Niestety, mnie ludzie nie znali, a cały prawie zarząd regionu, oprócz Jadwigi Chmielowskiej i Andrzeja Szyji został wyaresztowany.

Paweł Berezowski mniej rozmyślał a więcej działał. Zebrał grupę kolegów, głównie z harcerstwa, i zaczął rozpuszczać wieści, że oto powstał

tymczasowy zarząd regionu. Nazwali się Tymczasową Komisją Koordynacyjną Regionu Śląsko-Dąbrowskiego Solidarności. Namawiał mnie, że bym wszedł do tego grona, ale odmawiałem. To, że się bałem, to jedno, a drugie, ważniejsze, że – obawiałem się agentów. Jak miałem prowadzić nielegalną podziemną działalność z ludźmi, których nie znam? Nie mieściło mi się to w moich osobistych, intuicyjnie odkrywanych zasadach konspiracji. Obowiązującą w czasie Powstania Warszawskiego zasadę, że *najważniejsze to nie dać się głupio zabić*, o której opowiedział mi o. Konrad Hejmo OP, strawestowałem sobie na pożyteczną w podziemiu” *Najważniejsze to nie dać się złapać przez własną głupotę*. Później Paweł przyznał mi się, że jednego z członków TKK podejrzewali, że był agentem. Jednego z założycieli!

Powiedziałem do Pawła:

– *Na wojnie potrzebni są dowódcy i żołnierze, generałowie i kaprale, ja nie mam ambicji przywódczych, wolę pozostać kapralem.*

Nie była to prawda, ambicje miałem, tylko odważy mi brakowało oraz – zdecydowania. Sądzę jednak, że postępowałem rozsądnie. W podziemiu na Górnym Śląsku brakowało jednostek z autorytetem o walorach przywódczych, takich, którzy by potrafili zaproponować jakąś sensowną strategię walki i porwać ludzi za sobą. Paweł posiadał cechy potrzebne do działalności podziemnej, czy jednak nadawałby się na przywódcę, nie jestem pewny. Przede wszystkim był zupełnie nieznany w szerszych kręgach solidarnościowych.

Wspomnienia Pawła Berezowskiego

13 grudnia, w niedzielę, siostra zbudziła mnie ok.12.00 rano (w sobotę późno skończyliśmy pracę, a ja lubiłem spać) i powiedziała, że mam uciekać, bo pewnie po mnie przyjdą. Ubrałem się i poszedłem na Szafranka, do siedziby Regionu, wciąż nie wierząc, że TO mogło się stać. Budynek otoczony był przez ZOMO.

Jedyne moje wówczas uczucie, to – nienawiść. Na szczęście nie miałem broni.

Potem ochłonąłem, przeniosłem się do mieszkania brata, który w tym czasie pracował poza Katowicami. Dowiedziałem się, że Wiesiek się ukrywa, Zygmunt, Rafał, Tomek, Bogdan są internowani (Neuger i Nowak, chyba też, nie jestem pewien). Nawiązałem kontakt z Wieśkiem i zorganizowałem mu, po chwilowym pobycie u mnie, kolejne kryjówki u znajomych. Odwiedzałem (z paczkami z Zachodu) żonę Rafała, Halinę Szymońską, u której przez pewien czas Wiesiek też się ukrywał.



Potem zorganizowałem wydawanie gazetki informacyjnej „Biuletyn Górnośląski” w oparciu o znanych z Tygodnika i harcerstwa. Piotr Muskala, Ryszard Bernatowicz, Paweł Wiecek zbierali informacje, przygotowywali do druku. Drukowaliśmy w różnych miejscach (sitodruk) z Piotrem i – chyba - z Pawłem. Zwoźniakowie dali maszynę do pisania, Teresa pisała matryce.

Byliśmy bardzo nieostrożni: kiedyś przekazałem Ryśkowi maszynę do pisania zapominając, że w walizce są matryce białkowe i surowe materiały informacyjne do Biuletynu. Przejechał komunikacją miejską do Sosnowca, gdzie mieszkał, i dopiero w domu zorientował się, co wioził w walizce.

Znajomi znajomych zaprosili mnie do udziału w podziemnych strukturach Związku. Nazywało się to: Tymczasowa Komisja Koordynacyjna. Było parę spotkań, ale nie pamiętam, byśmy coś konkretnego koordynowali. Utrzymywałem kontakt z przedstawicielami Tymczasowej Komisji Służby Zdrowia, ale były to raczej gry i zabawy towarzyskie, a nie konkretna działalność związkowa.

Kiedyś pożyczyłem lekarzom taśmy z niezależnego festiwalu piosenki studenckiej z Krakowa (miałem do nich dostęp, ponieważ pracowałem w radio

studenckim AGH) i kiedy je odbierałem był akurat 13. W przejściu podziemnym rozlepiono ulotki rocznicowe i milicja kontrolowała wszystkich przechodzących. Milicjant mnie zatrzymał i kazał otworzyć torbę. Nie chciałem stracić cennego archiwalnego materiału więc gorączkowo myślałem jak spowodować, by nie odczytał opisów na pudełkach:



Czołgi w drodze do Huty Katowice; zdj. z zasobów archiwum Komisji Zakładowej NSZZ Solidarność ArcelorMittal Poland_SA Poland_SA_Huta_Katowice

- Co tam masz?
- Taśmy magnetofonowe.
- Co tam jest nagrane?
- No, taka muzyka młodzieżowa, do tańca.
- Pokaż!

Wyjmuję pudełko, natychmiast uprzejmie je otwierając i wyjmując taśmę. Milicjant bierze szpulę z taśmą w ręce, odwija ok. metra uważnie ogląda pod światło ...

- W porządku, możesz iść.
- Odszedłem, pękając (bezgłośnie) ze śmiechu.
- Potem wróciłem na studia.

Miałem już dobre kontakty z kolportażem podziemnym i tym się zajęłem. Kursowałem na trasie Katowice – Kraków – Warszawa i wozilem

nielegalne wydawnictwa, zaopatrując mniejsze „hurtownie” i znajome osoby.

Kiedyś pojechałem odebrać książki z ul. Noakowskiego w Warszawie. Byłem z wózkiem-koszem, w którym spała paromiesięczna córka. Wszedłem z tym wózkiem na trzecie wysokie piętro kamienicy, odebrałem towar, pakując do wózka pod materacy. Kiedy zszedłem na dół, w bramie czatował milicjant. Spojrzał współczująco na spoconego ojca niosącego ciężki (książki pod materacem!) wózek i nawet nie zażądał dokumentów. Później okazało się, że... była to oblawa na melinę alkoholową.

W HPR w Hucie Warszawa, gdzie pracowałem od 1983 roku, wiedziano, że jestem z „Solidarności”, ale jakoś koledzy traktowali to obojętnie. Sekretarz POP, skądinąd porządny człowiek – lubiliśmy się, często prowadził ze mną spory polityczne, jak sądzę nigdy nie przekazał informacji o mnie dalej.

Mścił się na nas brak przezorności działaczy z okresu legalnej działalności. Nie przygotowali Związku na wypadek konieczności zejścia do podziemia. Nie ufałem ludziom, i słusznie, ale mnie też inni nie ufali. Jak tu organizować grupy oporu? Moja działalność podziemna była na pół arogancka, na pół śmieszna, kiedy wspominam ją z perspektywy kilkudziesięciu lat.

– Kiedyś próbowałem namawiać Staszka Z.⁷⁵, kolegę z DA, wówczas asystenta na wydziale automatyki Politechniki Śląskiej, dzisiaj profesora, do tworzenia sieci podziemnych grup oporu. Zbył mnie, mówiąc, że na uczelni takie grupy działają i podtrzymują kontakty. Po kilku tygodniach, kiedy przyjechałem do spowiedzi do naszego gliwickiego duszpasterza, ks. H. Hlubka, powiedział mi, że był u niego Staszek i pytał, kim ja jestem, czy można mi zaufać.

– Kiedyś udałem się do żony jednego z bardziej aktywnych działaczy Solidarności, internowanego w grudniu 81 r. W legalnym okresie Solidarności działali razem, prowadzili jakieś wykłady, chyba na temat praw pracowniczych, organizowali jakieś konferencje. Sądziłem, że ona będzie wiedziała więcej, że skontaktuje mnie z jakąś grupą, gotową objąć kierowanie Związkiem w podziemiu.

Próbuję ją przekonywać i widzę, że w ogóle nie słucha. Pręży się na tapczanie jak kotka... Co jest grane? – myślę sobie. – Mąż w więzieniu, a ona mnie kokietuje. To nie jest w porządku.

Była wyjątkowo atrakcyjna. Nie wiedziałem jak zareagować. A jeśli to jest jakaś prowokacja? – myślałem. – Dotknę ją, ona zaraz zacznie krzyczeć, wpadną tu esbecy...

⁷⁵ Inicjał nazwiska zmieniony

– Pojechałem do mieszkania działacza z Jaworzna. Starszy facet. Zachowywał się, jakby mnie znał od lat i wiedział, że można mi zaufać, tyle tylko, że w ogóle nie słuchał, co mówiłem. Sam mówił. Zrobił mi dłuższy wkład na tematy historyczno-patriotyczne, potem przyniósł kilka numerów gazetki „Orzeł Biały”, które u siebie wydawali i zaczął namawiać, bym włączył się w jej redagowanie. Jeśli dobrze pamiętam, był to działacz związkowy z kopalni „Orzeł Biały”, takiej jak nazwa gazetki. Pewny nie jestem.

– Pamiętam, że dwa razy umawiałem się z Tadeuszem Jedynakiem. Do spotkania jednak ani razu nie doszło. Pierwszym razem zdążył odwołać spotkanie, drugim razem pojechałem na darmo. Spotkania umawialiśmy przez pośredników, których imion i nazwisk nie znaleźliśmy – tylko pseudonimy. Dzisiaj czytam, że w okresie między 13. grudnia 1981 r. a 22. sierpnia 1982 r., kiedy szukałem kontaktów z ukrywającymi się działaczami związkowymi, T. Jedynak był Internowany. Nie potrafię sobie tego wyjaśnić. Albo umawiano mnie z nim już po zwolnieniu, jego i moim, a więc w 1983 r., albo – ktoś w podziemiu chciał zorientować się, kim jestem i ile wiem, więc mnie wypuszczał w ślepią uliczkę. To mógł być jakiś agent działający w podziemiu. Pamięć czasami płata nam figle.

Stwierdziłem wtedy, daremnie próbując nawiązać kontakt z szefem jastrzębskiej Solidarności, że aby w podziemiu coś załatwić, trzeba wydatkować z siedem razy więcej czasu i energii niż w normalnych warunkach. Normalnie dzwoni się do kogoś, z kim mamy interes do załatwienia, ustala się termin i miejsce spotkania, a w razie potrzeby odwołuje się spotkanie – również telefonicznie. W działalności podziemnej spotkanie umawia się przez pośredników i to tak, żeby agenci w otoczeniu nie zorientowali się. Uzgadnia się przez pośredników nie tylko miejsce i termin, ale również hasła i, na wszelki wypadek, postępowanie w razie wypadki. Nic nie wolno notować, trzeba zapamiętać miejsce spotkania i hasło, a po spotkaniu – przekazać komu co trzeba i jak najszybciej zapomnieć, starając się wyprzeć wszystko z pamięci.

Przekonałem się na sobie, że takie wyparcie jest możliwe. Pomaga w tym lęk. Po przełomie Politycznym z 1989 r., po „okrągłym stole”, św. pamięci Janusz Kurek wspominając „stare czasy” opowiadał kiedyś o kasetach magnetofonowych, które razem nagrywaliśmy. Naprawdę długi czas nie mogłem sobie tego przypomnieć. O czym on gada? Dopiero po pewnym czasie otwarła się jakaś furtka w umyśle i... pamięć powróciła.

Jerzy Łoik i gliwiczcy „eksperci”

Najpoważniejszy kontakt, jak mi się wtedy wydawało, nawiązałem z inż. Jerzym Łoikiem z Gliwickiego Biura Projektów Przemysłu Syntezy Chemicznej Prosynchem. Był członkiem wspólnego Zarządu Regionu Śląsko-Dąbrowskiego, wybranego po zjednoczeniu wszystkich pięciu MKZ-ów. Razem z drem Ryszardem Kuszleyką i Witoldem Zalewskim – wszyscy z Gliwic – tworzyli w zarządzie lobby inteligenckie. Reprezentowali inteligencję techniczną. O Zalewskim mówił Jacek Jagiełka w swoich wspomnieniach:

– *Jeśli chodzi o Zalewskiego to pamiętam, że kiedyś byłem u niego w instytucie. Było to chyba późną jesienią 1980 roku. Słyszałem jak Zalewski w trakcie spotkania, które się właśnie odbywało powiedział: „Powstała Solidarność, już czas, aby przywódców robotniczych wymienić na inteligentów”.*⁷⁶

J. Łoik publikował jakieś programy działania dla Związku, o ile dobrze pamiętam nawet na łamach prasy ogólnopolskiej, ale nie przypominam sobie, żeby któryś z działaczy związkowych zainteresował się nimi. Również R. Kuszleyko miał wiele pomysłów, co do działalności Związku, ale nikt ich nie traktował poważnie. Nawet jego samego nie traktowano poważnie, taki miał styl bycia. Wiesiek Asman pokpiwał z niego, ale z dużą dozą sympatii.

Tuż przed stanem wojennym R. Kuszleyko wystąpił na zarządzie z dramatycznym apelem o przygotowanie się na najgorsze. Mogę przytoczyć tylko jego przybliżoną treść, bo aż takiej pamięci, żeby po kilkudziesięciu latach cytować dokładnie, nie mam. To jego barwne, jak zwykle, wystąpienie brzmiało mniej więcej tak:

– *My tu klócimy się o jakieś sformułowania kolejnego apelu, powołujemy kolejne komisje, a nie patrzymy, co się dzieje wokół nas. Decyzja o siłowej likwidacji związku już zapadła. Teraz nie czas na klótnie, musimy wybrać drugi, tajny zarząd na wypadek aresztowania pierwszego, trzeci, również tajny, na wypadek jak wylapią ten drugi, musimy kupować krótkofalówki, żeby można się było porozumiewać, jak wyłączą telefony. Trzeba w zakładach robić zapasy wody pitnej i żywności na wypadek przedłużających się strajków i wyznaczyć lokale konspiracyjne, gdzie będą mogły ukrywać się osoby zagrożone aresztowaniem.*

Jak zawsze wtedy, i ten jego apel potraktowano z przymrużeniem oka. W stanie wojennym podej-

⁷⁶ Z nagrania cytowanego wyżej

rzewano R. Kuszleykę o agenturalność, gdyż w swoim komputerze prowadził spis osób zajmujących się działalnością podziemną, no... wszystkich znajomych zajmujących się działalnością podziemną, ale to był raczej skutek jego swobodnego podejścia do życia.

– *Jakoś to będzie* – mówią zwykle jego krajanie Kresowiaczy.

J. Łoika spotkałem na początku stanu wojennego u Jasia Pajaka, kolegi z DA. J. Łoik nadaremnie próbował go namówić do zaangażowania się w działalność podziemną. Walka nie leżała w Jasia charakterze, był, i wciąż jest, osobą kontemplatywną, bardzo głęboko przeżywającą, religijną, mocno zaangażowaną w życie religijnej wspólnoty o nazwie Emanuel. Niewiele potrafię o niej powiedzieć, Jasiu jest katolikiem, więc prawdopodobnie jest to wspólnota jakoś związana z Kościołem katolickim. Pracownicy Gliwickiej Wytwórni Części Samochodowych wybrali go do Komisji Zakładowej ze względu na jego kryształową uczciwość.

Po wyjściu od Jasia, a była to już późna noc, zadeklarowałem J. Łoikowi gotowość zaangażowania się w podziemi. Traktowałem go jako kogoś znaczącego w ruchu oporu i swojego mentora. Mieszkał w niewysokich blokach przy Parku Chrobrego w Gliwicach. Uczulał mnie, żeby nie przychodzić z ulicy, ale zawsze od strony parku i oglądać się, czy ktoś mnie nie śledzi. Zwykle otwierała jego żona, zawsze milcząca i jakby przygaszona. Odnosiłem wrażenie, jakby nie akceptowała zaangażowania męża i moich wizyt. J. Łoik nie wiedział kim jestem – nie sądzę, żeby Jasiu Pajak mu o tym powiedział. Dla celów konspiracyjnych przyjąłem pseudonim „Michał” i pod takim powinien mnie kojarzyć.

Czasami dawał mi ulotki do rozprowadzenia, już nie pamiętam jak sygnowane, przez Tymczasową Komisję Solidarności, czy jakoś tak, czasami dawał jakąś do druku i rozprowadzenia. Drukowaliśmy je z Pawłem Berezowskim na ramce sitodrukowej w mieszkaniu jego siostry w Katowicach. Paweł mocno mnie uczulał, żeby ulotek nie dotykać bezpośrednio palcami, żeby nie pozostawiać śladów. Wkurzała mnie ta sytuacja, gdyż ulotki nie były warte tego, żeby się narażać. Puste hasła i żadnego konstruktywnego programu. Skądinąd wiedziałem, że J. Łoik i R. Kuszleyko przyjaźnią się z prof. Jerzym Buzkiem, który prowadził był I Zjazd Ogólnopolski NSZZ Solidarność w Gdańsku Oliwie, więc wyobrażałem sobie, jak siedząc przy kawie układają tekst ulotki nic nie ryzykując. W razie jakiejś rewizji musieli tylko zniszczyć jedną kartkę.

My narażaliśmy się, drukując te elu-kubracje, a potem kolportując je. Owszem, wybrałem w tej wojnie dla siebie funkcję kaprała, ale liczyłem na bardziej utalentowanych przywódców. Z początku traktowałem J. Łoika jako swego men-tora, ale niewiele pamiętam z jego rad. Kiedyś spytałem, co sądzi o Świtoniu i Rozpłochowskim oraz ich sporach.

– *Jeden jest głupi, ale uczciwy, drugi – sprytny, ale nieuczciwy* – odpowiedział.

Ta akurat ocena wydaje mi się dzisiaj trafna. Innym razem spytałem J. Łoika o ocenę postępowania jakiegoś działacza Solidarności, który – mówiąc kolokwialnie – skrewił. Nie pamiętam, ani o kogo chodziło, ani o co, być może o księdza Józefa Tischnera, który w stanie wojennym zaczął odcinać się od Związku, używając coraz częściej sformułowania „ci z Solidarności”. Mnie to, jego wiernego ucznia, bardzo bolało. Jerzy Łoik skomentował ten przypadek następującymi słowami:

– *Jeśli kto ciągle jest pod wozem, w końcu zaczyna mieć tego dość i postanawia zasiąść na wozie. Zmienia miejsce.*

Wydawało mi się to wtedy jakoś cyniczne. Nie rozumiałem, co chce powiedzieć. Z biegiem lat coraz więcej o tym myślę i zastanawiam się, czy nie chciał mi dać do zrozumienia, że postanowił przejść na „jasną stronę mocy”. To chyba było w tym okresie, kiedy wielu działaczy Solidarności zaczęło się układać z władzą. Musiało to być nie później niż w 1985 r., bo pod koniec tego roku wyjechałem z Gliwic. Ks. J. Tischner nigdy nie był „pod wozem”, zawsze „na fali”, więc to mogło nie o niego chodzić.

Niedługo zanim mnie aresztowali, opowiadał mi J. Łoik o działaczu Solidarności, który wymalował w nocy jakiś most pod Gliwicami antyrządowymi hasłami. Odebrałem to, jakby mnie dopingował do odważniejszych wystąpień. Trochę mi wszedł na ambicję, ale nie myślałem, żeby się radykalizować. Konspiracja, uważałem, to konspiracja. Jeśli chcę na poważnie walczyć z Systemem, to nie mogę podejmować akcji pokazowych, demonstracyjnych. W czasie mojego zaangażowania w podziemi cały czas pamiętałem o tej zasadzie Powstania Warszawskiego, że *najważniejsze to nie dać się głupio zabić*, a którą strawestowałem sobie na własny użytek na bardziej aktualne: *Najważniejsze to nie dać się głupio złapać*. Po latach z tekstów o działaczach podziemnej Solidarności wywnioskowałem, że tym odważnym malarzem mostów mógł być Marian Krzaklewski, bliski współpracownik Jerzego Buzka.

W szpitalu u Andrzeja Szyji

Odetchnąłem z ulgą, kiedy sprawy odnawiania kontaktów z działaczami Solidarności mogłem przekazać Andrzejowi Szyji. Nie internowano go dzięki roztropnej a zarazem odważnej decyzji lekarzy. Doc. Ewa Kardaszewicz z Akademii Medycznej w Zabrze, matka Majki i Ewy z gliwickiego DA oświadczyła esbekom, którzy przyszli po niego w grudniową noc 1981 r., że będą odpowiadać, jeśli umrze im w drodze. Nie był aż tak chory, ale odpowiedzialności brać na siebie nie chcieli. Zostawili go, zobowiązując tylko lekarzy, że zawiadomią ich, kiedy zostanie wypisany ze szpitala.

Podczas wizyty u Ewy i Majki poprosiłem ich mamę, żeby umożliwiła mi kontakt z Andrzejem. Wziął mnie gdzieś na boczne schody, przeznaczone dla personelu szpitalnego, ale i tak wyglądało to trochę śmiesznie. Był zupełnie głuchy na jedno ucho, a na drugie nie słyszał dobrze. Omawialiśmy kwestie dotyczące głębokiej konspiracji, a ja musiałem prawie krzyczeć mu do ucha. Co chwilę przechodziła obok jakaś pielęgniarka.

Przekonywałem mnie, żeby dać sobie spokój z Konspiracją i przeczekać trudny czas. Powoływał się na biskupa katowickiego H. Bednorza, do którego dwa razy urwał się ze szpitala na rozmowę. Ja mu odpowiedziałem, trochę złośliwie, że – jeżeli już dał się wybrać do Zarządu Regionu i to do prezydium, to teraz niech weźmie odpowiedzialność za Związek. Władza to nie tylko chwała i zaszczyty, ale i konieczność podejmowania samotnie trudnych wyborów i brania na siebie trudnych decyzji. Nie przekonałem go, miał za sobą biskupa, który zwalniał go z odpowiedzialności. To cecha szczerych katolików, trudno powiedzieć, czy pozytywna – że swoje sumienie składają w ręce spowiedników i biskupa. Ja też za łatwo zwolniłem się z odpowiedzialności. Uznałem, że skoro jest ktoś, kto ma obowiązek pokierować Związkiem w tym trudnym czasie, to ja już jestem w sumieniu zwolniony z niebezpiecznego zadania budowy sterowalnej sieci kontaktów między grupami w podziemiu.

Wychodziłem ze szpitala jakiś lżejszy. W holu spotkałem Jurka Milanowicza z „Dziennika Związkowego”, redagowanego przez Andrzeja. Szedł z dwoma jeszcze chłopakami.

–Acha – pomyślałem – zaczęły się pielgrzymki do Szyji.

Jak bardzo brakowało wtedy przywódcy! Nie podszedłem wtedy do Jurka, tylko dałem mu znać, że go poznaję. Nieco dalej zauważyłem kolejnych trzech chłopaków, których twarze wydały mi się znane z pracy z Zarządzie Regionu, ale... może tylko tak mi się wydawało.

A. Szyja: dwie Solidarności

Andrzej napisał w szpitalu program działalności Związku, w którym uzasadniał właśnie... konieczność zaprzestania działalności. Jest to bardzo naiwny tekst, ale piękny, gdyż ukazuje to, co w naszym ruchu najpiękniejsze. Pisał, że trzeba mieć świadomość, iż istnieją dwie Solidarności.

I. Jedna to Solidarność instytucjonalna, czyli Związek, i ta rzeczywiście doznała wielkiego uszczerbku wskutek wprowadzenia stanu wojennego.

II. Druga to „solidarność serc i sumień”. Dla tej, stan wojenny to tylko okres próby i oczyszczenia, oddzielenia ziaren od plewy, czas wypalania zanieczyszczeń, aby – nawiązując do wiersza C. K. Norwida – w popiele pozostał czysty diament. Ta druga solidarność ma głęboko chrześcijański charakter, gdyż stanowi ruch obrony najsłabszych



W miejscu, gdzie zginął Andrzej Szyja, jego przyjaciele postawili krzyż z napisem: „„Ufundowano w XV rocznicę tragicznej śmierci mgr. inż. Andrzeja Szyji, człowieka wielkiej wiary, niezłomnego w walce o wolność i sprawiedliwość”. Wyjechał – patrząc na zdjęcie – z naprzeciwka, na zakręcie nie wyrzuciło go na prawe pobocze tylko w lewo. Musiał gwałtownie skręcić.

i dlatego duże zakłady łączyły się z małymi. Dlatego właśnie tworzone zostały regiony, by było komu upomnieć się o szpital dla chorych, o małych i słabych w mieście, o emerytów i rencistów.

Z Systemem trzeba walczyć, ale bez użycia przemocy – samym głoszeniem prawdy. Nawet mały wyłom w monstrualnym systemie iluzji i kłamstwa, jakim to wyłomem było pojawienie się niezależnej prasy i radia, niemal tego systemu nie rozwalił. Chcąc jednak walczyć bez użycia przemocy, trzeba złożyć ze swojego życia ofiarę. Nieważne, czy straci się je, czy nie, każdy kiedyś umrze, ale taka ofiara nadaje życiu sens. Taka ofiara jest największym wyrazem solidarności z drugim człowiekiem.

Bardzo dużo jest w tym programie rozważań o śmierci – jakby Andrzej antycypował już swoją własną śmierć, która niedługo potem nastąpiła. 29 sierpnia 1983 r. rozbił się samochodem w lesie, na pustej drodze z Jaśkowic do Orzesza. Był u proboszcza w Jaśkowicach, pożegnali się przed kościołem, który stoi na skraju wsi pod lasem. Proboszcz nie zdążył zejść ze schodów, kiedy usłyszał potężny huk. Z ekspertyzy śledczych wynika, że Andrzej ni stąd ni zowąd skręcił w lewo, przejechał lewy pas i uderzył w drzewo. Czy jakiś „nieznany sprawca” uszkodził mu coś w samochodzie, czy dotknął go jakiś atak serca czy coś podobnego, nie wiadomo.

Przyjaciele, którzy w miejscu wypadku postawili mu krzyż, sugerują, że to pierwsze. Jeśli tak, to esbecy, którzy spowodowali ten wypadek, musieli należeć do klasy wyjątkowych tumanów. Nie wiem, czy wśród działaczy podziemia był ktoś, kto bardziej niż Andrzej dążył do uspokojenia wrogich władzy nastrojów. Mógł to jednak, ten „wypadek”, spowodować ktoś, komu zależało na podgrzewaniu emocji.

Mistyczna formacja inteligencji katolickiej

Pozbawienie takich szlachetnych i twórczych osób, pełnych ideałów, jak Andrzej Szyja, możliwości podejmowania konkretnej odpowiedzialności, skutkowało zwróceniem się ich do swojego wnętrza, poszerzoną do granic refleksją duchową, inaczej mówiąc – ich zwrot ku mistycyzmowi. U mnie było podobnie. Całe lata żyłem filozofią i ideami. Dopiero po przełomie ustrojowym 1989 r., kiedy mogłem zacząć działać w przestrzeni publicznej, dotarło do mnie, że to wyobrażenie o duchowej wspólnoty narodu jest moją projekcją. Taka wspólnota nie istnieje, ludzi łączy interesy,

które ładniej można nazwać „dobrem wspólnym”. Interesy ich również dzielą.

Piszę to z bólem, bo czytając później ten program, stwierdziłem u Andrzeja tę samą formację duchową co u siebie. Czytaliśmy te same pobożne książki, rozważaliśmy te same moralne problemy, „dorastaliśmy wewnętrznie”, co, kiedy przyszło do dokonywania politycznych wyborów i trzeba było podejmować odpowiedzialność za innych, przydało się psu na budę.

Na co mogła nam się przydać lektura autobiografii Mahatmy Ghandiego, którego i ja, i Andrzej w pewnym okresie uznawaliśmy za duchowy wzór? Chyba tylko na utwierdzenie w złudnym przeświadczeniu, że w walce z ludźmi bez sumienia można wygrać świecąc im w oczy własną Szlachetnością. Na co przydała się nam lektura książki benedyktyńskiego mnicha Bede Griffithsa, który założył w Indiach chrześcijański aśram z intencją nawracania Hindusów na katolicyzm? Według oceny siostry Michaeli Pawlik, która kiedyś go tam odwiedziła, nikogo nie nawrócił, a sam zaraził się miazmatami zupełnie obcej chrześcijaństwu duchowości.

Po co nam ks. H. Hlubek w Gliwicach, a Halina Bortnowska Andrzejowi i jego przyjaciółom w Katowicach suflowała takie lektury? Kiedy przyszło nam budować od nowa strukturę społeczeństwa obywatelskiego, znaleźliśmy się w ciemnej dziurze, zdani tylko na własny rozsądek i Intuicję. Łatwo nas było omamić tym nikczemnym duchowo i moralnie systemem, jakim jest kapitalizm. Myśmy go nie doświadczymy na własnej skórze. Nie mieliśmy doświadczeń z gospodarką wolnorynkową, więc bez oporów daliśmy się przekonać Leszkowi Balcerowiczowi, że „nie ma trzeciej drogi” i w ciągu kilku lat pozbyliśmy się przemysłu, sprowadzając kraj do roli kolonii państw uprzemysłowionych.

W duszpasterstwie akademickim w Katowicach Halina Bortnowska uczyła przynajmniej wychowanków wspólnego podejmowania decyzji. Zawsze, kiedy organizowała większe zebrania, były one na określony temat, zawsze dzieliła zebranych na grupy panelowe, rozdzielała im szczegółowe kwestie do przedyskutowania (związane z tematem) i następnie delegaci poszczególnych grup panelowych zasiadali do stołu, aby wypracować wspólny raport. Ten model podejmowania decyzji mógł się przydać w działalności związkowej.

My w Gliwicach przeszliśmy chyba bardziej intelektualną formację. Ks. H. Hlubek był z zamiłowania filozofem. (Oksymoron: z zamiłowania miłośnikiem mądrości)

Czytywaliśmy na naszych spotkaniach i dysktowali teksty Martina Heideggera, Maksa Schelera, Martina Bubera i im podobnych. Na moją formację duchową największy wpływ wywarli Martin Scheler i żydowska mistyczka Simone Weil. Tekst „Czy istnieje pozytywny model kariery?“, o którym wcześniej wspominałem, a który uważam za kluczowy do zrozumienia tego, co się działo w PRL i potem, po przełomie 1989 r., mogłem napisać dzięki znajomości prac tego pierwszego filozofa. Simone Weil była mi bliska, i jest bliska, ponieważ w jej pismach odnajdywałem prawdę o złym świecie, którego doświadczałem na własnej skórze. Uczyła, jak go wytrzymać.

Brakowało mi, i do dzisiaj brakuje, wiedzy o funkcjonowaniu tzw. wolnych społeczeństw, wiedzy o prawdziwych, działających za kulis, władcach tego świata, o pozorności demokratycznych wyborów, o stratyfikacji społeczeństwa przekonanego o „równych szansach” wszystkich obywateli, o oszustwie reklamy, manipulacjach niby wolnej prasy i innych mediów. Największym brakiem mojej formacji intelektualnej pozostaje chyba niewiedza o funkcjonowaniu ekonomiki.

Mocno odczuwał to Andrzej Szyja:

Jak do tego doszło, że katolicyzm w Polsce, którego siły i roli nikt rozsądny nie odważy się w chwili obecnej kwestionować, nie zdołał wypracować doktryny społecznej, która zdolna by była skutecznie wcielać w życie zasady sprawiedliwości społecznej, i wreszcie – jak wytłumaczyć fakt, że tak mało mamy działaczy katolickich, gotowych złożyć w ofierze swoje życie i ponieść śmierć dla obrony sprawiedliwości społecznej, czyli – rozpoczęcie praktycznej realizacji już tutaj na ziemi zasad Królestwa Bożego. Przecież: „Błogosławieni, którzy cierpią prześladowania dla sprawiedliwości, albowiem do nich należy Królestwo niebieskie” (Mt 5.10).

Zarys katolickiej doktryny społecznej

Próbował Andrzej sformułować zasady katolickiego ładu społecznego:

1. Przywrócenie ładu duchowego w życiu społecznym. Jeżeli porządek ducha nie jest pierwszoplanowy, to ekonomika, polityka, kultura podporządkowane są innym celom, najczęściej dominacji człowieka nad człowiekiem. (...) Zasadę działania ładu duchowego można porównać do działania magnesu na opilki żelazne. Żadna z (...) pozytywnych zdobyczy życia i organizacji społeczeństwa nie ma być wyeliminowana, a jedynie ma być jej nadane właściwe miejsce w przywróconej hierarchii społecznej.

2. Pluralizm myślenia i działania. Polacy jako naród nie potrafią myśleć i działać pluralistycznie (..) dotychczas jako Naród nie mieliśmy okazji uczyć się demokracji.

3. Mamy jedną ojczyznę. Lepiej taka [jaka jest] państwowość niż żadna państwowość (..) jeżeli Rosja była rzeczywiście zdeterminowana do końca zniszczyć „Solidarność” (...) to lepiej, że się stało, jak się stało. (...) Jeżeli (...) przedstawiciele „Solidarności”, jako zorganizowanego głosu narodu, oraz komuniści, sprawujący z ramienia ZSRR władzę w Polsce, a wśród których, jak sądzę, też są przecież Polacy, nie zdołali się „dogadać” w celu „wymanewrowania” przeciwnika, to jako członek „Solidarności” twierdzą, że wina jest po obu stronach, może tylko nierówno rozłożona.

Bardzo to ogólnikowe, na wysokim stopniu uduchowienia i abstrakcji. Andrzej Szyja proponuje tu, implicite, dokładnie coś odwrotnego niż Adam Michnik. Ten mówił, że trzeba się dogadać z Rosjanami ponad głowami partii rządzącej, czyli PZPR, Andrzej uważał, że za wszelką cenę trzeba się dogadać z rodzimymi komunistami, gdyż wśród nich też są przecież Polacy.



Takie pisemka drukowaliśmy z Pawłem Berezowskim w mieszkaniu jego siostry.

RUCH OPORU NA GÓRNYM ŚLĄSKU

Po spacyfikowaniu, w grudniu 1981 r., wielkich zakładów pracy prasa pisała przede wszystkim o postępach w przywracaniu porządku i pokoju społecznego. Ekipie Wojciecha Jaruzelskiego zależało na usprawiedliwieniu decyzji o wprowadzeniu stanu wojennego. Upokorzeni działacze Solidarności, NZS-u, KPN-u i innych „niekoncesjonowanych” organizacji zaczęli się jednak szybko organizować w podziemiu. W połowie 1982 r. w szerokim nurcie ich działalności (druk i kolportaż ulotek, nawoływanie do manifestacji antyreżymowych), pojawiły się również działania bardziej radykalne.

Formy oporu przeciwko władzy, zdobytej w wyniku zamachu stanu – bo tak to trzeba nazwać – były różne, od bardzo radykalnych, Sprowadzających się wręcz do sabotażu, poprzez strajki, do rozmaitych form budowania alternatywnego społeczeństwa. Te bardziej radykalne pacyfikowano



Typowa obraz z zimy 1980/81; zdj. z zasobów archiwum Komisji Zakładowej NSZZ Solidarność ArcelorMittal Poland_SA Poland_SA_Huta_Katowice

wcześniej lub później, a reżimowa prasa, radio i telewizja pilnowały, by nic z tego nie przedostawało się do świadomości publicznej.

W nocy z 29. na 30. kwietnia 1982 r. grupa KPN-owców wysadziła w Wodzisławiu Śląskim pomnik ku czci Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. Wybuch był potężny, w wielu mieszkaniach wyleciały szyby. Ja dowiedziałem się o tym dopiero po czterdziestu latach, kiedy przeczytałem artykuł poświęcony jednemu z uczestników tej akcji Andrzejowi Pokorskiemu i jestem pewny, że mało kto wcześniej o tym słyszał. Prawdopodobnie nawet mieszkańcy Wodzisławia Śląskiego nie wiedzieli, co się stało. Strajki pacyfikowano również szybko. Nie obyło się bez ofiar śmiertelnych.

Najtrwalsze okazały się rozmaite formy miększego oporu w postaci druku i kolportażu zakazanych książek, gdyż na tym można było dobrze zarobić, oraz spotkania z osobistościami ze świata kultury i nauki w salkach katechetycznych. Najliczniejszą grupę stałych słuchaczy zdobyły spotkania organizowane w Gliwicach pod szyldem Duszpasterstwa Ludzi Pracy.

Radykałowie z KPN-u

Do najbardziej radykalnych grup podziemnej opozycji należały oddziały KPN-u. Ich postawę i działalność dobrze ilustrują wspomnienia T. Karwowskiego.

Całą Komisję Zakładową Solidarności aresztowano w nocy z 12 na 13 grudnia, zostaliśmy więc bez przywódców. Powołaliśmy szybko Komitet Strajkowy. Była niedziela i wojska pod bramami, a na strajk stawili się ponad dwadzieścia tysięcy pracowników huty i prawie drugie tyle z mniejszych okolicznych zakładów i fabryk. (...)

Czołgi wokół Huty

Już 14 i 15 grudnia pojawiło się około trzystu czołgów i transporterów opancerzonych oraz kilka tysięcy zomowców i milicjantów. Otoczyli hutę szczelnym kordonem, a czołgi ostentacyjnie opuścili lufy na wprost - do strzelania. ZOMO uderzyło w najbliższe bramy wydziałów i w budynki. Padli pierwsi ranni i pobici, wielu aresztowano! Teraz my zaczęliśmy zbroić się w rury, długie palki z grubych kabli, w dzidy. Zaspawaliśmy wejścia do wydziałów tak, aby nie mogli nas znieśc zaskoczyć. Do niezaspawanych wejść podciągaliśmy ciężkie gaśnie ppoż. na wózkach, a u nas w Elektrociepłowni przygotowaliśmy rurę z technologiczną parą przegrzaną o temp. 540 C i ciśnieniu 120 atmosfer. W razie ataku ZOMO postanowiliśmy bronić się do upadłego. Uruchomiliśmy działalność wydawniczą i drukowaliśmy, nielegalne już, wojenne numery „Wolnego Związkowca”. W szczytowym momencie w strajku uczestniczyło około 40 tysięcy zdeterminowanych osób!

Przegrywamy

Wytrwaliśmy prawie do Wigilii – do 23.12.1981 roku. W trakcie tych dni i nocy stosowano różne formy zastraszania i szantażu. Drogami wewnątrz huty jeździły czołgi, a w powietrzu czasami nisko przelatywała grupa kilku samolotów i helikopterów.

A my, gotowi zginąć, trwaliśmy zabarykadowani na swoich wydziałach, 17 grudnia dotarła do nas informacja o tragedii na KWK „Wujek”. Ból, lzy



Koperta z obozu dla internowanych w Zabrze-Zaborzu. Przetrzymany tam robotnicy ciężko znosili odosobnienie. My, którzy na codzień żyliśmy ideami, pisaniem – mogliśmy choć na pewien czas odrywać się od brutalnej rzeczywistości w świat „ducha”, robotnicy wyżywali się twórczo na materii – rzeźbiąc bez ustanku rozmaite światełki i pieczątki, którymi opieczętowali listy. Kilkanaście-opieczkowanych kopert zabrałem sobie na pamiątkę

i zaciśnięte pięści oraz niewypowiedziane jedno pytanie - my też? Niewielka część zaczęła uciekać po cichu, innych panikarzy i prowokatorów sami powyrzucaliśmy z wydziałów. Trwaliśmy, pomimo problemów z żywnością. Wyruszały po nią nocą zorganizowane grupy. Otrzymywaliśmy zresztą pomoc z okolicznych piekarni i stołówek.

Zbliżały się święta i docierały do nas coraz częściej informacje o kolejnych pacyfikowanych zakładach pracy. Gdy na Śląsku zostaliśmy tylko my i górnicy z KWK „Piast”, którzy zjechali na dół i zaminowali szyb, zaczęliśmy zadawać dramatyczne pytanie - co dalej? W przeddzień Wigilii podjęliśmy decyzję o rozwiązaniu strajku i większość, około pięciu tysięcy ludzi, w zwartej kolumnie wyszła do głównej bramy, przy której czekały już milicyjne suki. Ludzie maszerowali i płakali z bezsilności, a wokół szczelny kordon ZOMO szydził, pluł i kpił. I tak szliśmy trzy kilometry razem.

A już wtedy z tłumy SB wyszarpywało przywódców, niektórych bito. Rozeszliśmy się do domów w poczuciu przegranej. Wróciłem do domu, z nikim nie chciałem rozmawiać i pomimo Świąt Bożego Narodzenia zamknąłem się w swoim pokoju. Ukryłem wydawnictwa bezdebitowe i ulotki. Z huty wyniosłem około pięciuset plakatów o tragedii na „Wujku”, które schowałem w wersalce. Wcześniej zamaskowałem na strychu małą drukarnię - sitodruk, wałek, ramkę, farbę.

Nie mogłem tylko odnaleźć mojej legitymacji KPN.

Przywódców strajku aresztowano i osądzono w pokazowym procesie. Dostali wyroki od trzech i pół roku do ośmiu lat. Nawet osobom, które organizowały i dostarczały pomoc, jak na przykład szefowi piekarni w Strzemieszycach, też wymierzili dla przykładu sześć lat.

A po świętach, 28 czy 29 grudnia, poszedłem do pracy i zobaczyłem hutę otoczoną dalej czołgami i ZOMO. Na bramach wejściowych stało MO i Straż Przemysłowa. Doszedłem do bramy i pokazałem przepustkę, lecz zaraz mi ją zabrano i kazano iść do działu kadr pod pretekstem jej wymiany. Stoję w kilkusetosobowej kolejce, rozmawiam z kolegami. Dominuje bezsilność, przygnębienie, strach...

Wreszcie dowiaduję się, że jestem w pierwszej fali zwolnień dyscyplinarnych z dekretu Rady Państwa o wprowadzeniu stanu wojennego - za udział i Organizowanie nielegalnego strajku. Podobny los w tym dniu spotkał około sto pięćdziesiąt osób. W następnych miesiącach zwolniono w ten sposób do trzech tysięcy osób. Listy mozolnie przygotowywała SB wraz ze swoimi donosicielami wewnątrz huty.

Komisarz ludowy, wojskowy w stopniu pułkownika, do którego chcieliśmy się odwołać, zagroził nam, że nigdy już pracować w hucie nie będziemy i zgnijemy w więzieniu. Zapamiętałem go, bo był bardzo niski i pierwszy raz wtedy zobaczyłem kurdupla u władzy. A potem to już było ich pełno wokoło. Do dziś...

Po powrocie do domu odkryłem, że wszystkie „zakazane rzeczy” zniknęły gdzieś, podobnie jak wcześniej legitymacja KPN. Mama wyznała, że rodzina spaliła to wszystko dla mojego dobra. Domyśliłem się roboty szwagrów. Zdenerwowany, rzuciłem na odchodnym, że w ogrodzie mam zakopaną broń, bo niedługo nie plakatami będziemy walczyć... Wracam po kilku godzinach, wchodzę na podwórze, a tam w ogródku dwóch szwagrów przy tych piętnastu stopniach mrozu kopie i szuka pewnie broni. A niech kopią, uznałem, przecież jakaś kara musi być za spaloną legitymację KPN i plakaty.

(...) Po zwolnieniu dyscyplinarnym z dekretu o stanie wojennym, długo szukałem pracy. Aż w końcu, po wielu perypetiach, znalazłem zatrudnienie przy odśnieżaniu w Okręgowym Przedsiębiorstwie Energetyki Ciepłej w Dąbrowie Górniczej. Popracowałem tam raptem pięć miesięcy, ale ponieważ byłem w tak zwanym wieku poborowym upomniało się o mnie wojsko. Był czerwiec 1982 roku (...)



Podczas oblężenia Huty Katowice ZOMO przez potężne głośniki przekonywało strajkujących robotników o bezsensowności dalszego oporu zdj. z zasobów archiwum Komisji Zakładowej NSZZ Solidarność ArcelorMittal Poland_SA Poland_SA_Huta_Katowice

W podziemiu

(...) Po wojsku wracam do pracy w OPEC. Odnawiam kontakty z „podziemną” już Solidarnością Huty Katowice. Próbuję reaktywować struktury KPN w Zagłębiu, szukam ludzi, jeżdżę do Bielska do Ewy. Próbuję jakoś to wszystko połączyć. Powoli jednak dociera do mnie myśl, że cała opozycja i podziemie jest bardzo rachityczne i sprowadza się właściwie do luźnych, bez łączności z sobą, przepłoszonych grup. Kolportowane są głównie drugoobiegowe wydawnictwa z Warszawy. Próbuję zatem organizować na miejscu coś bardziej dynamicznego. Odwiedzam znajomych, werbuję do podziemia, ale zachowują się jednak zazwyczaj biernie. Całe ich opozycyjne bohaterstwo to wypić flaszkę, poopowiadać o tym, kto wyszedł z więzienia, a kogo właśnie przymknęli, aby przy drugiej butelce wyjąć spod pościeli czy bielizny parę ulotek czy kilka zdjęć z okolicznościowego spotkania. Lecz żadnej woli walki w nich nie widać. (...)

Więzienie

W więzieniu (...) poznałem mojego największego przyjaciela Daniela Podrzyckiego. Był młodszy ode mnie o trzy lata. Siedział w celi obok (...) przysięgliśmy walkę z komuną na śmierć i życie. Szliśmy potem razem przez następne dwadzieścia dwa lata, aż do jego tragicznej śmierci.

Daniel zginął we wrześniu 2005 roku w wypadku samochodowym w niejasnych okolicznościach, na dziesięć dni przed wyborami prezydenckimi, w któ-

rych kandydował jako lider Wolnego Związku Zawodowego „Sierpień 80” i Polskiej Partii Pracy. Okolicznościach były tak niejasne - zginął na autostradzie w Sosnowcu, w biały dzień, ale bez świadków, pewnie raczej mają ci, którzy mówią o tym jednoznacznie, że zabili Go. Zabili, bo przeszkadzał, zabili, bo się Go bali! A był bezkompromisowy, uczciwy, wierny ideałom Sierpnia 80!

Prawdziwa solidarność

(...) Wyszedłem z więzienia w sierpniu 1984 roku. (...) Wróciłem i po przerwie, podjąłem pracę jako automatyk w OPEC. Dowiedziałem się, że po moim aresztowaniu zebrano ponad dwieście pięćdziesiąt (na trzystu pracujących!) podpisów pod petycją o moje uwolnienie. Nie bali się wstawić za mną, podpisywali się z imienia i nazwiska, a petycję zanieśli do władz. (...) Taka była prawdziwa Solidarność. Nie ta, która ukonstytuowała się po 1989 roku, „Solidarność” Kaczyńskich, Krzaklewskich, Śniadków czy Gniadków. To była Solidarność z dużej litery, solidarność między ludźmi. To dla niej warto było poświęcić młode, najpiękniejsze lata!

Walczyliśmy dalej

Daniel Podrzycki siedział dalej; amnestia zbiła mu 19 z 23 zarzutów, ale oskarżali go o wszystko, nawet o „przygotowania do obalania ustroju siłą”. Spotkaliśmy się dopiero pół roku później. W 1985 roku, rok po śmierci ks. Jerzego Popiełuszki, Daniel wraz ze swoją Mamą zbudowali bardzo silne środowisko duszpasterskie w Sosnowcu, w kościele na Sielcu. Stało się ono szybko oficjalną bazą Solidarności i całego podziemia w Zagłębiu. Jeździłem z Danielem często do Warszawy, przywoziliśmy na spotkania Jacka Fedorowicza, ks. Stanisława Małkowskiego i innych. Na Sielcu poznałem również Kazika Świtonia i wielu działaczy, którzy byli dla mnie w latach 80-81 żywymi legendami Solidarności.

Solidarność Walcząca

Wg danych KW MO w Katowicach spośród 979 osób zatrzymanych za udział w strajkach wyrokami sądowymi skazano 121 (najwyższe otrzymali: Wiesław Różyk z KWK Jankowice – 8 lat więzienia, Wojciech Marusieński z HK i Mirosław Stroczyński z KWK Ziemowit – po 7 lat), kilkaset innych osób kolegia do spraw wykroczeń ukarały grzywnami, z pracy zwolniono 1445 osób; w KWK Staszic za udział w proteście internowano 156

osób. Po internowaniu czołowych działaczy Regionu Śląsko-Dąbrowskiego: L. Waliszewskiego, A. Rozpłochowskiego, T. Jedynaka, zatrzymanych 13 XII 1981 w Katowicach podczas powrotu z posiedzenia Komisji Krajowej, odbudowa struktur „S” przybrała kształt niezależnych od siebie inicjatyw oddolnych.

W Gliwicach

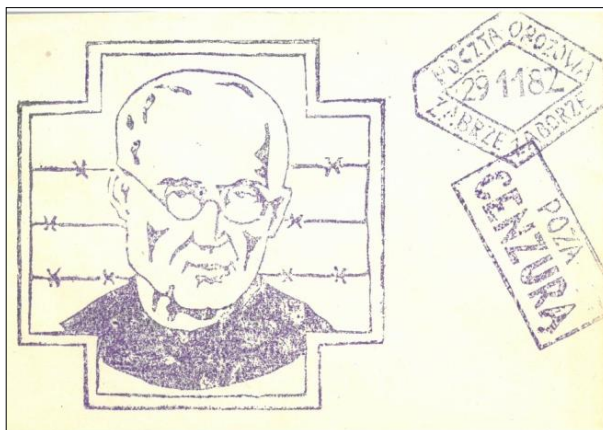
W Gliwicach 13/14 XII 1981 powstała grupa pn. II Garnitur Gliwickiej Delegatury „S”, która 14 XII 1981 wydała 1. nr „Biuletynu II Garnitur Gliwickiej Delegatury NSZZ «Solidarność»” (od 1982 „Biuletyn II Garnitur Gliwickiej Delegatury RKW NSZZ «Solidarność»”), kierujący jej działaniami Tadeusz Drzazgowski zorganizował kilka spektakularnych akcji (m.in. kolportaż ulotek balonami, emitowanie audycji Radia „S” na terenie Zabrze); od XII 1981 w Gliwicach działała grupa pracowników naukowych (m.in. J. Buzek, Jerzy Łoik, Krzysztof Gosiewski, Marian Maciejczyk), która od I 1982 wydawała „Regionalny Informator «Solidarności» Śląsko-Dąbrowskiej”, w V 1982 grupa, działając w powiększonym składzie (m.in. Grzegorz Opala, Jerzy Szafko, Krzysztof Rajpert, Witold Zalewski), przyjęła nazwę Regionalna Komisja Konsultacyjna.

Ośrodek wolnej myśli

Jan Mazurkiewicz, działacz związkowy z zakładów zbrojeniowych Bumar-Łabędy, który w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych Ubiegłego wieku udzielał się w gliwickim Duszpasterstwie Akademickim, a w drugiej połowie, po strajkach radomskich związał się z Komitetem Obrony Robotników, zaangażował się w działalność tzw. Duszpasterstwa Ludzi Pracy. Pod tym szyldem odbywały się w kościołach spotkania związkowców ze zdelegalizowanej Solidarności i różnych przeciwników ustroju. Największe na Górnym Śląsku i najprężniej działające powstało u o. Jana Siemińskiego, redemptorysty z kościoła p.w. Podwyższenia Krzyża Św.

Co tydzień, w czwartek – pisze o tym J. Mazurkiewicz – spotykaliśmy się w małej salce, wspominając okres internowania, omawiając ważne książki, dyskutując, próbowaliśmy stawiać diagnozę aktualnej sytuacji. Nad wszystkim czuwały panie Basia Kozłowska, Madzia Knoll i Teresa Brodzka. Ich też pomysłem było rozszerzenie liczby prelegentów na osoby spoza naszego kręgu.

Spotkania zaczynano wprawdzie modlitwą, ale dotyczyły zwykle spraw tak czy inaczej związanych z walką o wolność. Dość szybko zyskały one rozgłos



Koperta z internowania w Zabrze-Zaborzu

i przez całe lata, aż do pierwszych częściowo wolnych wyborów do parlamentu, 4 czerwca 1989 r., przyciągały liczne grono słuchaczy i dyskutantów.

Pisze Jasiu:

Gliwice zawsze były dumne z faktu, że znajduje się tu Politechnika Śląska. Wykładali na niej profesorowie ze Lwowa. Repatrianci z Kresów zatrzymali się na Śląsku głównie w trzech miastach: Wrocławiu, Bytomiu i Gliwicach. Jedni, jak pisze Gliwiczanie (choć nie z wyboru) Adam Zagajewski w książce „Dwa miasta”, mieszkali na walizkach, przekonani, że prędzej czy później wrócą w swe rodzinne strony. Inni – jak mój ojciec Wilnianin – żenili się ze Ślązaczkami i tu zapuszczali korzenie. W latach siedemdziesiątych Gliwice awansowały do rangi drugiego w Polsce miasta pod względem liczby placówek naukowo-badawczych. Do tego dochodziły jeszcze ogromne zakłady, jak Bumar, kopalnie i Huta 1-Maja. Gliwice były zamożnym miastem, drugim w Polsce, pod względem liczby samochodów w przeliczeniu na głowę mieszkańca. Dzięki Politechnice Śląskiej stały się znaczącym skupiskiem inteligencji technicznej. Takie też środowisko dominowało na naszych spotkaniach w Duszpasterstwie Ludzi Pracy (dalej zwanym DLP).

Drugą grupę uczestników spotkań pod względem liczebności stanowili lekarze, absolwenci Śląskiej Akademii Medycznej oraz emerytowani prawnicy i nauczyciele. Bywała też spora grupa działaczy Solidarności i zawsze mocnego w Gliwicach KPN-u. Każda grupa stanowiła zamknięte, hermetyczne środowisko. Znali się przeważnie od lat, z racji obowiązków zawodowych utrzymywali ze sobą ścisłe kontakty. Architekci utrzymywali kontakty między sobą, inżynierowie górniczy między sobą, lekarze między sobą... Inżynier pracujący od wielu lat w biurze projektowym znał doskonale swoich kolegów z pracowni i wiedział, komu można zaufać.

Miał też kolegów w innych biurach, ci też wiedzieli kto jest kim w ich zakładach. W taki to sposób z czasem powstała w Gliwicach siatka nieformalnych powiązań, która później mogła stanowić bazę do organizowania na przykład sieci kolportażu niezależnych wydawnictw.

Trzeba jednak było czasu, aby różne grupy zawodowe zaczęły się wzajemnie przenikać i integrować. Dzięki naszym spotkaniom w salce katechetycznej kościoła p.w. Podwyższenia Krzyża Św. nawiązywały się przyjaźnie. W niektórych wypadkach prowadziły one nawet do małżeństwa. Ale bywało też, że nad salą krążyły wzajemne podejrzania, a nawet jawnie formułowane oskarżenia o współpracę z SB. Uderzało, że najbardziej podejrzliwi byli sympatycy tzw. prawicy (jeżeli podział na lewicę i prawicę ma w Polsce jakkolwiek sens polityczny). Czasami mania ta przybierała chorobliwe wręcz kształty. Rej wodziła w tym pewna pani, dla której wszyscy, oprócz niej samej, byli SB-kami.

W naszych spotkaniach brało udział zaledwie kilku robotników. Co ciekawe, to oni dzisiaj zrobili polityczne i zawodowe kariery. Wiktor Ostrowski swym czytaniem i wiedzą z dziedziny nauk humanistycznych zadziwiał wielu prelegentów. (...) Jaś Sieracki, kiedyś kolporter, zaopatrujący nas w najnowsze pozycje drugiego obiegu, jest właścicielem największej na Śląsku hurtowni książek (...) Uczęszczający na nasze spotkania poseł Czesław Sobierajski w 1989 r. sam się wybrał na kandydata do Sejmu. Poparli go górnicy z jego byłej kopalni przekonani, że ma akceptację Komitetu Obywatelskiego. Nie było to prawdą. Pomysł prosty i jak się okazało łatwy do realizacji. (...)

Jasiu, mimo iż jego matka była „autochtonką”, jak wtedy określano Ślązaków, nie darzył nas, Ślązaków, szczególną sympatią. Gorzkich słów, które o nas pisze, nie mogę jednak mieć mu za złe. Zawierają dużo prawdy:

Pierwsze wolne związki zawodowe na Śląsku zakładał Kazimierz Świtoń (..) ludzi zaangażowanych w to była garstka. (...) Przyszedł rok 1980, w Kombinacie Urządzeń Mechanicznych Bumar Łabędy, jak prawie wszyscy w kraju, zakładaliśmy Solidarność. (...)

Zostałem przewodniczącym koła Solidarności wydziału, z którego czołgi, już gotowe, wyjeżdżały w świat. Komisję Zakładową Solidarności tworzyła tam kadra techniczna. Nie było wśród nich żadnego autochtona, zakorzenionego tutaj. Skład Komisji Zakładowej też daje do myślenia. Nie było wśród nich katolika. Był protestant, zielonoświątkowiec i ateista. Na kilkanaście wydziałów w KUM Bumar Łabędy tylko w dwóch z nich szefami byli Ślązacy. To nie był przypadek.

Ludzie mieszkający tutaj z dziada pradziada mają wpojone poszanowanie trzech wartości: rodziny, pracy i władzy. Z władzą się nie dyskutuje, nie stawia jej oporu, władzę według Ślązaków trzeba szanować. Oni, władza mogą nie mieć racji, ale... nam nic do tego. Tak nas wychowano.

Na pewno nie bez wpływu na te postawy była fascynacja RFN (Richtig Fajnymi Niemcami), ich porządkiem w każdej dziedzinie życia, jak i typową niemiecką uległością wobec władzy. Każdej władzy, od politycznej poczynawszy, po bezpośredni nadzór w pracy.

(...) To była jakaś reguła w zakładach pracy na Górnym Śląsku, że wśród członków dyrekcji i kierownictwa wydziałów trudno było znaleźć rodowitego Ślązaka. Ci przeważali natomiast w średnim dozorze. Byli bardzo pracowici, solidni, obowiązkowi, a przy tym byli znakomitymi fachowcami. Ja jednak sądzę, że o takim ich położeniu w hierarchii zawodowej decydowała przede wszystkim ich uległość wobec władzy.

Nie afiszując się z tym, władza świadomie i bezwzględnie stosowała tu zasadę „dziel i rządź”. Między Polakiem – szefem dużego wydziału, a Polakiem – prostym robotnikiem, z natury raczej niepokornym, stawiano posłusznego, spokojnego Ślązaka, dla którego jedni i drudzy byli ludźmi obcymi. (...)

Autentyczny sojusz robotników z inteligencją, o którym później tak wiele pisano, zaistniał naprawdę tylko podczas pierwszych kilku miesięcy solidarnościowej rewolucji. Rozczarowanie przyszło szybko.

Pamiętnej niedzieli bez Teleranka, 13 grudnia 1981 r., kiedy zamiast misia pokazywano co chwilę generała w czarnych okularach, w Bumarze nikt nie został internowany. Nie ruszono też żadnego z członków Komisji Zakładowej Solidarności. Zakład był wojskowy, tłumaczyłem sobie to wtedy,



Jan Siemiński, redemptorysta

produkcja i spokój są ważniejsze niż dokuczanie przeciwnikom politycznym.

Później, gdy mogłem spokojnie przeanalizować ten fakt, zrozumiałem, że nie aresztowali działaczy, bo nie wypadało aresztować, jeśli nie tknęło się związkowej wierzuszki w zakładzie. A jej aresztować nie chcieli lub nie potrzebowali.⁷⁷

Jasiu Mazurkiewicz nie darzył też sympatią działaczy związkowych i całej opozycji z Górnego Śląska. Wolał środowisko warszawskie i krakowskie, to, które później przyjęło się określać mianem „Salonu”. To środowisko mu imponowało, co nie zmienia faktu, że i w tych jego gorzkich ocenach jest sporo prawdy:

Do dzisiaj zadaję sobie pytanie, gdzie była wtedy tzw. „śląska opozycja”, co robili fachowcy z Uniwersytetu Śląskiego, z Politechniki czy Akademii Ekonomicznej? Gdzie była śląska prasa niezależna? W Komitecie Obywatelskim przy Lechu Wałęsie przez kilka lat byłem jedynym reprezentantem naszego regionu.

Kiedy w latach 80. przez siedem lat organizowałem cotygodniowe spotkania edukacyjne w salce katechetycznej, gdy współorganizowałem kolejne Tygodnie Kultury Chrześcijańskiej, różnego rodzaju seminaria i wykłady, ani razu, jeśli nie liczyć dwóch dziennikarzy z „Gościa Niedzielnego”, nie udało mi się zaprosić nikogo ze Śląska. Polityków opozycyjnych, ba, całe środowiska intelektualne z Warszawy, Krakowa, Wrocławia, stać było na przyjazd, nierzadko na własny koszt, do Gliwic, by spotkać się ze słuchaczami w kościelnych kruchtach. Ze Śląska nie było nikogo...

Na pierwsze, niezależne seminarium ekologiczne pt. „Solidarni wobec zagrożenia” nie przybył nikt z zaproszonych fachowców z UŚ i innych kompetentnych środowisk śląskich, choć ten temat w najwyższym stopniu dotyczył właśnie naszego regionu. Tak samo było podczas seminarium „Stan Kultury na Śląsku”. Utrata pracy, komplikacje wynikające z działalności niezależnej... Baliśmy się wszyscy. Ale może niektórzy mieli za dużo do stracenia? Jak powiedział mi jeden z obecnych posłów – po czerwcu nie miał już nic do stracenia. Poza mandatem poselskim, oczywiście. Na Śląsku w opozycji tłoku nie było i dlatego przy Okrągłym Stole ze Śląska zasiadali tylko górnicy, jedyna grupa zawodowa, z którą liczyły się wtedy obydwie strony.⁷⁸



Koperta z internowania w Zabrzu-Zaborzu

W Tychach, Sosnowcu i gdzie indziej

W XII 1981 powstały miejskie struktury „S” m.in. w Tychach i Sosnowcu, tajne KZ (m.in. w gliwickim Instytucie Farb i Lakierów), 14 XII 1981 w Zabrzu Miejski KOS, w Gliwicach Akademicka Grupa Oporu, 17 XII 1981 w Jastrzębiu KOS Jastrzębie (od 1987 Niezależna Organizacja Samoobrony), w I 1982 KOS w Siemianowicach Śl. (od VIII 1982 jako Miejski Komitet Oporu), w V 1982 w Katowicach KOS Regionu Śląsko-Dąbrowskiego, we IX 1982 w Katowicach Młodzieżowy KOS przy KWK Wujek, w 1983 w Sosnowcu Miejski Komitet Oporu „S”, w 1984 gliwicki KOS „S”.

Studenci

Od początku stanu wojennego do połowy 1982 aktywne było współpracujące z podziemną „S” środowisko NZS: od XII 1981 działała podziemna grupa m.in. na Uniwersytecie Śląskim i Politechnice Śląskiej, gdzie działacze NZS współtworzyli Akademicką Grupę Oporu; w drugiej połowie 1982 aktywność opozycyjna w środowiskach studenckich zaczęła zanikać, odbudowa śląsko-zagłębiowskich struktur NZS nastąpiła w drugiej połowie lat 80.⁷⁹

⁷⁷ Echo – Górnśląski Tygodnik Regionalny nr 12, 24.03.99

⁷⁸ Echo nr 6, 10.02.99

⁷⁹ Za: Encyklopedia Solidarności t I, http://www.encycsol.pl/wiki/Region_%C5%9A%C4%85sk%C4%85browski_NSZZ_%E2%80%9ESolidarno%C5%9B%C4%87%E2%80%9D

JAK ZOSTAŁEM TERRORYSTĄ

(wywiad z samym sobą)

2 września 1982 r. radio, prasa i telewizja poinformowały o wykryciu w Katowicach grupy terrorystycznej, która planowała wykonywanie wyroków śmierci na „funkcjonariuszach reżimu”. Materiały instruktażowe grupy, jak również czasopisma podziemne, prymitywne urządzenie do drukowania tzw. sitoramkę i „Podstawowe zasady konspiracji – studium wstępne” znaleziono w miesz-



kaniu 26-letniego Jerzego. K.⁸⁰, byłego pracownika kopalni „Katowice” i „Wieczorek”. On również przyznał się do ich autorstwa, ale szefem czteroosobowej grupy miał być Piotr M., były pracownik jawnych struktur Solidarności i wydawnictw związkowych. Chodziło o mnie.

Męczyło mnie to przez lata, bo nie wiedziałem, czy padłem ofiarą prowokacji, czy głupoty. Długo czas liczyłem, że ktoś, jakiś historyk „Solidarności”, zainteresuje się tą sprawą, odnajdzie mnie i pomoże wyjaśnić, co się stało, ale nie doczekałem się. Nie chciałem sam o tym pisać, bo wyglądałoby to, jakbym się chwalił „terrorystyczną” przeszłością. W końcu wymyśliłem, że najlepiej będzie,

jeśli napiszę o tym w trzeciej osobie i tak wysmażyłem ten oto wywiad z samym sobą. On dobrze ilustruje mój ówczesny stan ducha i rozterki moralne. Opublikowałem go w tygodniku „Najwyższy Czas” pod tytułem „Terroryzm po polsku”.

– **Czy to prawda, że planowaliście wykonywanie wyroków śmierci na „funkcjonariuszach reżimu”, w tym także na kobietach w ciąży?**

– **Piotr M.:** Na to pytanie nie da się odpowiedzieć jednym słowem.

– **Kim był Jerzy K., skąd go znalazłeś?**

– Spotkaliśmy się jeszcze przed stanem wojennym. Próbowaliśmy, jak ja, pisywać do prasy związkowej. Interesowała go ukrywana historia PRL. Kiedyś przyniósł tekst o zabójstwie Marcelego Nowotki – to była sztandarowa postać z początków Polski Ludowej, człowieka, którego portrety wisiły w każdej szkole, nawet w każdej klasie. Napisał, że zamordowali go towarzysze partyjni, jacyś bracia Mołojcy. Pamiętałem ze szkoły, że to mieli być Niemcy, jacyś prowokatorzy.

Spytałem, skąd ma te informacje, a on wtedy uśmiechał się z dumą i odparł:

– Trzeba umieć czytać i kojarzyć fakty. Wszystko z oficjalnej prasy. Tu jedna informacja, tam druga, jak poskładasz, możesz odtworzyć, jak było naprawdę.

– **Odnależliście się po ogłoszeniu stanu wojennego? Nie internowali was?**

– Ani on, ani ja nie byliśmy znaczącymi postaciami w Solidarności. Spotkaliśmy się przypadkowo, w parku, przez który chodziłem do pracy – albo i nieprzypadkowo, gdyż odniosłem wrażenie, jakby na mnie czekał. To wzbudziło moją czujność.

– **Nie ufałeś mu, a zaangażowałeś się z nim w takie ryzykowne przedsięwzięcia?**

– Nie było wówczas wielu chętnych do narażania się. Działacze Solidarności, Konfederacji Polski Niepodległej i Niezależnego Zrzeszenia Studentów zostali wylapani i osadzeni w obozach internowania, reszta poszła w rozsypkę. Próbowaliśmy namawiać do organizowania się wielu znajomych, o których wiedziałem, że są ludźmi spolegliwymi, godnymi zaufania, ale ci nie garnęli się. Mówili, że działają, gdyż kupują wydawnictwa podziemne, inni zaangażowali się w działalność rozmaitych wspólnot religijnych, takich jak oazy, Duszpasterstwo Akademickie, jeszcze inni organizowali po kościołach spotkania z twórcami kultury w ramach tzw.

⁸⁰ Nie podaję nazwiska, bo nie wiem, czy by sobie tego życzył, a nie mogę go spytać, bo utraciłem z nim kontakt.



Duszpasterstwa Ludzi Pracy. Mnie to nie wystarczyło, Jurkowi też.

– Co robiliście?

– Próbowaliśmy na powrót powiązać nici między odtwarzającymi się spontanicznie strukturami Solidarności. Oni – komuna – wylapali cały Zarząd Regionu Śląsko-Dąbrowskiego z wyjątkiem Andrzeja Szyji, który był związany z Kościołem i za którego lekarze związani z Kościołem nadstawili karku. Był w szpitalu, lekarze oświadczyli esbekom, że jeśli go zabiorą, to na własną odpowiedzialność – jest w takim stanie, że może tego nie przeżyć.

Ukrywała się jeszcze Janina Chmielewska, ale o tym nie wiedziałem. Andrzeja znałem, zresztą, nawet gdyby wiedział, że Chmielewska się ukrywa, to – gdzie miałbym jej szukać? Poszedłem do Andrzeja spytać – co dalej? Uważał, że należy posłuchać biskupa Bednorza i dać sobie na razie spokój. Uważałem, że nie wolno mu tak mówić. Skoro dał się wybrać – był wiceprzewodniczącym zarządu regionu – to ma teraz obowiązek trwać na posterunku i walczyć. Umówiliśmy się, że będę próbować nawiązywać kontakty z odradzającymi się komórkami Solidarności, a potem zobaczymy. Wychodząc ze szpitala napotkałem dwie grupy ludzi, jedną chwilę za drugą, o których wiedziałem, że są z Solidarności. Nie ma wątpliwości, że szli do Andrzeja z tym samym pytaniem – co robić? W tym momencie uzmysłowiłem sobie, jak ogromne znaczenie będzie miało odtworzenie struktur Soli-

darności – kanałów informacyjnych, ośrodków kierowniczych, regulaminów współdziałania.

– Udało się je odtworzyć?

– Nie byłem kimś znanym, ludzie traktowali mnie z nieufnością. Dzięki osobistym znajomościom doprowadziłem do nawiązania kontaktów władz podziemnych z opozycją, która szybko odrodziła się w Gliwicach. W Gliwicach działacze Solidarności znali się ze sobą już na gruncie towarzyskim, byli to w dużej mierze pracownicy biur projektowych i politechniki, w Katowicach te kontakty działaczy Solidarności były znacznie bardziej formalne, ale sądzę, że Andrzej trochę tam powiązał pozrywane nici. Niedługo potem zginął w podejrzanym wypadku w lesie pod Orzeszem-Jaskowicami, nie wykluczone, że przyczyniła się do tego SB. Nie wiem, czy dobrze zrobiłem przekonując go do zaangażowania się w podziemie. To był wyjątkowo szlachetny człowiek, o szerokich horyzontach, niewykluczone, że SB uznała go za zagrożenie. Istnienie ośrodka koordynującego aktywność licznych grup działających w podziemiu miało wtedy ogromne znaczenie. Może się obawiali, że uda mu się powiązać wszystkie nici? On nie był ich człowiekiem i nic na niego nie mieli.

Szok grudniowy

– Walczyliście o wolną Polskę? Ty jesteś Górnoślązakiem, jak Cię znam, mówienie o patriotyzmie budzi u Ciebie awersję...

– Jak raz pożyło się kilka miesięcy jak wolny człowiek, trudno potem pogodzić się z ponownym nałożeniem kajdan. Wiem, że to brzmi patetycznie, ale nie umiem tego lepiej wyrazić. W czasie tych szesnastu miesięcy pierwszej Solidarności doświadczyłem, co to może być demokracja i podmiotowość obywatelska. Panował wtedy spory chaos, to prawda, ale w porównaniu z ówczesną swobodą wypowiedzi i działania, dzisiejsza „demokracja” to tylko atrapa. Jak mam wyjaśnić uczucie człowieka, który całe życie musi ukrywać swoje poglądy i nagle przychodzi moment, kiedy może otwarcie mówić, co myśli. Ks. Józef Tischner napisał kiedyś esej „Ludzie z kryjówek” i to, moim zdaniem, oddaje istotę sprawy. Komunistyczne zniewolenie sięgało wnętrza człowieka – ludzie nie ufali sobie, ukrywali, co myślą, a na zewnątrz odgrywali wykalkulowane role. Dzisiaj, kiedy chce się pokazać ohydę tamtego systemu, mówi się o kartkach na żywność, powszechnej kontroli, brakach w zaopatrzeniu, mnie bolało co innego: zredukowanie człowieka do kategorii członka kolektywu. Wystarczy przejrzeć ówczesną prasę codzienną, żeby to zrozumieć. Pisano o naradach

i uchwałach władz partyjnych, przekraczaniu planów produkcyjnych, zakusach imperialistów i rewizjonistów, „przewycięzeniu braków w zaopatrzeniu w podstawowe artykuły” itd. Nic o tym, czym człowiek naprawdę żyje, o miłości i nienawiści, winie i karze, dumie i poniżeniu, byciu sobą i sprzeniewierzeniu się zasadom. Kiedy się przeżyło ów „karnawał Solidarności”, trudno potem wrócić do zgrzebnej codzienności PRL. o patriotyzmie komuniści też mówili, może nawet więcej niż patrioci dzisiaj, ale to są słowa, a ja mówię o rzeczywistości.

Fakty akcji terrorystycznej

– **Jak to naprawdę było z waszym terroryzmem?**

– 22 sierpnia 1982 r. rano, jak skończyłem roznoszenie butelek, zatrzymali mnie funkcjonariusze SB. Szedłem już do domu i widzę, że naprzeciw mnie idzie, przez taki duży plac, wysoki facet, ze dwa metry. Od razu się zorientowałem. Nie uciekałem, bo nie jestem zbyt szybki, a sądziłem, że nic na mnie nie mają. Dobrze zrobiłem, bo dwóch czekało z tyłu, za blokiem, wpadłbym w ich łapy.

Wsadzili mnie do celi z jednym stołem i krzesłem bez oparcia, przymocowanym do podłogi. Siadłem na podłodze w rogu i zasnąłem. Potem mnie przeszukali i wsadzili do celi z jakimś kryminalistą.

– **Skąd pewność, że nic na ciebie nie mają?**

– Starałem się postępować bardzo ostrożnie. Przede wszystkim nie zaznaczać swojej obecności, unikałem spotkań w większych grupach, jeśli miałem coś przekazać, to przedstawiałem się nie swoim imieniem itd. Normalne zasady konspiracji. To jest strasznie mało efektywna działalność. Wystarczy, że ktoś się spóźni na spotkanie i musisz od nowa ustalać hasła, terminy, a potem się okazywało, że informacja jest duperelną albo ulotką, która przekazywałaś zawiera same puste hasła. Ci, którzy sami

narzucili się do przewodzenia, nie mieli nic do powiedzenia. Brakowało przywódców z prawdziwego zdarzenia.

– **Jakie Ci postavili zarzuty?**

– W ogóle mi nie postavili. Po tygodniu, może dwóch wziąłem do ręki gazetę, którą dostał ten kryminalista, próbując z niej coś odczytać o sytuacji w kraju. Niewiele się dało, gdyż to był przekaz wyłącznie propagandowy – sytuacja się unormowała, tylko nieliczne grupy nieodpowiedzialnych osobników usiłują zakłócić spokój społeczny. Nad jedną informacją zacząłem się zastanawiać po pewnym czasie. Zrobiłem sobie później ksero z „Trybuny Robotniczej”, ale pamiętam, że była w „Dzienniku Zachodnim” i w „Trybunie Ludu”. Identyczna. Ta, którą zacytowałeś. Bardzo powoli zaczęło do mnie docierać, że może chodzić o mnie i o Jurka. Nie przespałem wtedy całej nocy, zastanawiając się, jak to jest, jak człowieka wieszają.

– **Jak was namierzali?**

– Roznoszenie mleka to była praca na umowę-zlecenie, płacili za wykonaną pracę. Nie miałem urlopów. W lecie prosiłem Jurka żeby mnie zastąpił przez dwa tygodnie, żeby mógł pojechać na obóz duszpasterstwa akademickiego. Roznosząc butelki Jurek podrzucał równocześnie pod drzwi ulotki z ostrzeżeniem, skierowanym do funkcjonariuszy reżimu, że powstały sądy podziemne solidarności, które „zdrajców narodu” będą sądzić. Zamieścił w nich opis kar za zdradę i współpracę z „reżimem”. Potem, jak mu zrobili rewizję, znaleźli jeszcze ciekawsze rzeczy.

– **Mówiłeś, że nic na ciebie nie mają.**

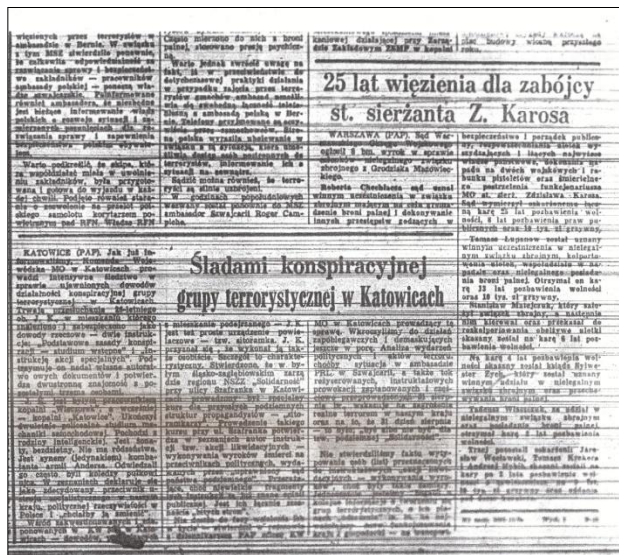
– Wiedziałem o Jurku, że pisał takie instrukcje wieszania kobiet, pętania jeńców, obróbki kul, żeby się rozrywały w ciele ofiary, ale nie sądziłem, że można to traktować inaczej niż fantazje niespełnionego literata. Gdyby nie był podkładał tych głupich ulotek z ostrzeżeniami o sądach podziemnych, nic by nie było.

Metody walki

– **Wiedziałeś o tych sądach?**

– Wiedziałem. Rozmawialiśmy wielokrotnie na ten temat. Traktował mnie jako wyżej lub głębiej ulokowanego w podziemnych strukturach. Też uważałem, że nadchodzi czas na powołanie takich sądów, nie miałem jeszcze stuprocentowego przekonania, ale dojrzałem do tego. Myśmy zbierali od





reżymu straszne baty. Opór społeczny właściwie zaniknął. Jeśli za noszenie opornika w klapie marynarki można było dostać pałą, to się nie dziw. Kiedyś podziemne władze wezwały do demonstracji w Gliwicach, polegającej już tylko na chodzeniu w kółko po chodnikach na ul. Zwycięstwa. Pojechałem tam specjalnie po to tylko, żeby stwierdzić, że tajniaków i milicjantów jest chyba więcej niż protestujących.

– **Te sądy podziemne miały być sposobem na powstrzymanie przeciwnika?**

– Rozmawialiśmy o tym. Uważałem, że takie sądy to niegłupi pomysł, ale – wtedy jeszcze – daleki byłem od myśli o karach fizycznych. Widziałem te sądy raczej jako instytucję, która będzie stygmatyzować „wrogów narodu”. Przede wszystkim, traktowałem je dopiero jako pomysł do przedstawienia władzom podziemnej Solidarności, daleki od realizacji. A Jurek nie zastanawiał się, tylko przystąpił do działania. Teraz to trudno zrozumieć, ale wtedy... Trzeba było żyć w tym systemie, żeby to zrozumieć.

Cały czas dyskutowaliśmy nad formami oporu. Jurek tkwił po uszy w historii ruchu oporu z czasów okupacji. Jego ojciec wyszedł z Armią Andersa z Rosji i potem przeszedł cały szlak bojowy Brygady Karpackiej. Jurek opracował schemat organizacji podziemnej jak za okupacji. Trzyosobowe, czy pięcioosobowe komórki już nie pamiętam, których szefowie komunikowali się z szefami znowu trzech i tak coraz wyżej. Struktura jak za okupacji, ale do tego trzeba mieć zdyscyplinowanych żołnierzy, pieniądze itd. To było nie do zrealizowania.

– **Co ty proponowałeś?**

– Ja cały czas wyobrażałem sobie dublowanie struktur społecznych. Bieda była już taka, że reżym

ledwo mógł zapewnić przyzwoity byt swoim funkcjonariuszom, na przekupienie szerszych grup społecznych nie było go stać, więc ludziom powinno być wszystko jedno. Wyobrażałem sobie lekcje historii po domach, niezarejestrowane zakłady usługowe, bezpośrednią wymianę wieś – miasto. To wszystko już poniekąd było, liczyłem, że jeszcze rozwinie się tak, iż oficjalne struktury państwowe załamią się pod własnym ciężarem.

Psychopata?

– **To rozumiem, ale jaki cel miało straszenie wieszaniem ciężarnych kobiet na strunach fortepianowych?**

– Myśmy doszli do wniosku, że oni muszą zacząć się bać, bo tylko to ich może powstrzymać przed stosowaniem represji. Powtarzam – ja to traktowałem jako pomysł do przedyskutowania i ewentualne zastosowania po akceptacji władz podziemnej Solidarności. W głowie każdego człowieka lęgną się różne bezeceństwa, mordercze myśli, od tego daleka jednak droga do czynów. Jurek był artystą, dużo czytał, dużo pisał. Pięknym językiem pisał, aż mu zazdrościłem. Był pod wpływem Witkacego, a ten też nie nakładał sobie więzów na swoje brudne myśli. Krytycy widzą w tym diagnozę ówczesnego społeczeństwa, nie aberrację umysłową.

– **Ale ty ryzykowałeś, Witkacy nie ryzykował.**

– Ryzykowałem, świadomie ryzykowałem nie tylko utrzymując kontakty z Jurkiem.

– **Nic cię nie zaniepokoiło w zachowaniu Jurka?**

– Zaniepokoiło. Już mówiłem, że kiedyś Jurek tłumaczył mi, jak wiąże się ludzi, żeby, kiedy próbują się uwolnić, dusili się. Poczulem się nieszczególnie. To, zdaje się, znalazło się potem w jego instrukcji postępowania z funkcjonariuszami, na których podziemie wydało wyrok. Innym razem tłumaczył mi, co to są naboje dum-dum, takie, jakich użył Anders Behring Breivik. One rozrywają się w ciele ofiary i nie ma obaw, że przeżyje. Mówił, że można zwykle naboje przerobić na dum-dum przez napilowanie krzyżyka u czoła. Trochę to było psychopatyczne.

– **Czy Twoim zdaniem Jerzy K. mógł być stuknięty?**

– Nie wiem. Zastanawiam się już ponad trzydzieści lat i nie potrafię sobie odpowiedzieć. Na pozór są dwa wyjaśnienia – albo prowokator, albo dewiant, ale w rzeczywistości jest jeszcze trzecie –

odważny młody Polak, który nie mógł znieść naiwnego gadania o „oporze bez użycia przemocy” w sytuacji, kiedy mieliśmy do czynienia z bandą lumpów bez krzty honoru. Ja też nie mogłem się pogodzić z tylko demonstrowaniem oporu po to, żeby ktoś tam u góry mógł wystosować kolejne wezwanie do władz o rozmowy. To było upokarzające. Prymas wprawdzie mówił, że nie wolno bić niewinnych ludzi, ale mówił też, że nie wolno odpowiadać na bicie rzucając kamieniami. W tym swoim słynnym przemówieniu zrównał kata z ofiarą.

Jurek co chwila przychodził z nowymi pomysłami, a to wymyślił rozrzucanie ulotek za pomocą balonów, a to wystrzeliwanie ich z działek, a to utworzenie radiostacji. On naprawdę próbował coś robić.

– Czy do tego było potrzebne wieszanie ciężarnych kobiet na strunach fortepianowych?

– Ja tych elaboratów Jurka nie czytałem. Pokazywał mi je, ale traktowałem to jako jego sposób wyładowania frustracji. Przecież w Rozmowach z kolegami nieraz opowiadaliśmy sobie, co zrobimy z takimi su.....synami, kiedy role się odwrócą i my będziemy górą. Pamiętam uczucie ubezwłasnowolnienia z tego czasu. Nie pozostawili nam pola manewru. Dyktowali warunki. Nachodziła mnie wtedy myśl, że pozostała nam już tylko metoda kamikadze – obładować się ładunkami wybuchowymi i wysadzić gdzieś w Komitecie Centralnym albo porwać samolot i rozwalić się o Kreml.

– Tobie też niedaleko było do terroryzmu.

– Blokowała mnie wiara. Nie miałem wątpliwości, że to nie jest droga, którą by zaakceptował Jezus Chrystus. Chociaż... myślę, że z czasem dałoby się znaleźć usprawiedliwienie. Chrystus nauczał, żeby nadstawiać drugi policzek, ale to dotyczy sytuacji, kiedy mnie ktoś uderzy, a nie wtedy, kiedy biją innych. Chrześcijanin ma obowiązek występować w obronie „słabych, prawa i sprawiedliwości”. Simone Weil, Żydówka, filozof, która była już prawie na progu Kościoła katolickiego, widziała tylko jeden przypadek, usprawiedliwiający odbieranie innym życia – kiedy sprawa, o którą walczysz, jest dla ciebie tak ważna, że gotów jesteś, odbierając życie drugiemu człowiekowi, równocześnie swoje złożyć swoje w ofierze.

Prowokacja czy głupota?

– Nie obawiałeś się, że Jurek może być prowokatorem?

– Cały czas traktowałem go jak potencjalnego agenta. Sądziłem, że im, SB, zależy na zdobyciu informacji o działalności opozycji i dotarciu do działaczy. Nie przyszło mi do głowy, że mogą chcieć posłużyć się mną w jakiejś prowokacji. Nie jestem typem człowieka skłonnego do działań szaleńczych, które można potem wykorzystać przeciw mnie. Akurat ta otwartość Jurka przemawiała za nim. Opowiadał mi więcej o swoich osobistych sprawach i swojej działalności niż ja jemu. Nic mu nie mówiłem, co by mogło zaszkodzić ludziom, z którymi współpracowałem. I nie zaszkodziłem.

Biuro do spraw dywersji

Znalazłem w archiwach IPN kawał nieopowiedzianej polskiej historii. Byłoby dobrze, gdyby Polacy ją znali. W IPN są materiały zdumiewające, ale dotychczas nikt się nimi nie zainteresował – albo nikt nie chciał ich ujawnić. (...) Była to jednostka [Biuro Studiów SB – PM], która specjalizowała się w perfidnej dywersji wobec ruchów opozycyjnych. Tworzyła coś na kształt pseudoopozycji, która miała przyciągać przeciwników władzy i zwodzić ich na manowce, pchać w ugodowe lub przesadnie radykalne kierunki, nie będące w stanie zagrozić władzy⁸¹.

– Postępowanie kolegi wskazywałoby na prowokację. Potrzebowali cokolwiek, żeby wykreować negatywny wizerunek Solidarności, że to... terroryści. Próbowali nagłośnić to w mediach, chyba jednak bezskutecznie – ludzie już im w ogóle nie wierzyli.

– Sytuacja osobista Jurka – tak jak on mi ją wtedy przedstawił – wyglądała bardzo dziwnie, ale w moim odczuciu tłumaczyła jego postępowanie. Miał piękną żonę, która zdradziła go z kapitanem SB. Chyba nawet przeniosła się do niego. Z tak pięknej kobiety nikt łatwo nie rezygnuje. Jurek, chcąc ją zatrzymać, jak mi się wydaje, wymyślał niezwykle scenariusze, chwalił się przed nią, a ona przekazywała to kochankowi. Sądził, że poważne tajne służby nie uwierzą w tak nieprawdopodobne historie, a małżonce zaimponuje. Trzymał ją w niepewności: blefuje czy naprawdę jest taki ważny. Myślę, że z czasem zatracił się w tym kreowaniu swojego wizerunku jako opozycjonisty, a przy okazji wykreował i mnie – na przywódcę grupy terrorystycznej. Sugerował żonie, że ja

⁸¹ Piątek Tomasz w wywiadzie dla wp.pl
<https://wiadomosci.wp.pl/tomasz-piatek-zdradza-ustalenia-nowej-ksiazki-o-macierewiczu-byl-pod-opieką-sb-6304063569110657a>

wszystkim kieruję, inspiruję wszystkie akcje, a nawet nie tyle inspiruję, co realizuję polecenia jakiejś solidarnościowej góry. Wszystko to wygląda na dziecinadę, ale... taki obraz wyłania mi się z układania tych puzzli.

– **Dziwne to. Dlaczego pozwolił, żeby od niego odeszła, jeśli tak mu na niej zależało?**

– O to mnie już nie pytaj. Nie wiem. Był jednakim. Wiesz jak to jest z jednakami, ich matki z wielkim trudem godzą się na uniezależnienie się syna. Mieszkali przy jego rodzicach, wprawdzie mieszkanie ogromnie, 120 m² w centrum Katowic, ale to i tak za ciasno w przypadku zaborczej matki. O tym, że żona Jurka związała się z esbekiem, dowiedziałem się od jego matki właśnie

Po wprowadzeniu stanu wojennego grupa młodych chłopców z Grodziska Mazowieckiego założyła organizację pod nazwą Polskie Siły Zbrojne i podjęła akcję zdobywania broni na funkcjonariuszach wojska i milicji. W lutym 1982 roku, w warszawskim tramwaju podczas próby odebrania pistoletu śmiertelnie postrzelili starszego sierżanta milicji Zdzisława Karosa. Sprawcy skazani zostali na 25 lat więzienia. Ks. Sylwestra Zycha, u którego zostawili odebrany milicjantowi pistolet – na sześć lat. (Nie wiadomo, czy to była jedyna broń, jaką zdobyli.) Po uwolnieniu ksiądz żył w ciągłym zagrożeniu życia, nękano go anonimami, grożono śmiercią, ciężko pobito, aż wreszcie zamordowano. Wszystko wskazuje na zemstę tajnych służb.

Na początku września 1982 r. do polskiej ambasady w Bernie wpadła czteroosobowa grupa polskich emigrantów, podających się za żołnierzy Powstańczej Armii Krajowej, wzięła zakładników i zażądała zniesienia stanu wojennego w Polsce oraz uwolnienia wszystkich internowanych. Dysponowali pistoletami maszynowymi i 25 kg dynamitu. „Szef grupy (...) dodał, że jej akcje są skierowane przeciwko instytucjom PRL i te są zagrożone we wszystkich krajach, które utrzymują stosunki dyplomatyczne z Warszawą.” (Dziennik Zachodni, z 8 września 1982 r.) Po trzech dniach policja szwajcarska wzięła szturmem budynek i aresztowała napastników. Nikt nie zginął. Organizator napadu okazał się byłym pracownikiem SB. Niemieckie tajne służby sugerowały podobno polskim, że za napadem mogło stać CIA.

Newsweek Polska - 7.11.2010

– **120 m² w centrum Katowic? Kim byli jego rodzice?**

– To kolejne dziwne sprawy. Ojciec już na emeryturze. Nie pamiętam, gdzie wcześniej

pracował, Jurek mi mówił, ale zapomniałem. W każdym razie jakiś urzędnik. Matka chyba w ogóle nigdy nie pracowała na etacie. Dziwne to jest, że ojciec Jurka, który był zesłańcem syberyjskim, wyszedł, a właściwie wypłynął z Sowietów z armią Andersa, przeszedł cały szlak bojowy jako żołnierz Brygady Karpackiej, po powrocie do kraju tak dobrze się ustawił. Około 120 m² w centrum Katowic, na ścianach obrazy Stanisława Ignacego Witkiewicza, Jurek twierdził, że oryginały. Dodaj do tego wysoko ustanowionego wujka w SB, brata ojca, jeśli dobrze pamiętam. Rodzina podobno wyrzekła się go.

– **Co mówił Jurek o tym wujku?**

– Tyle zapamiętałem, że wysocy funkcjonariusze SB mieli w Warszawie swoją dzielnicę, bardzo elegancką. Wujek był już na emeryturze, jego zajęcia sprowadzały się do wyprowadzania pieska na spacer. Jurek jakby rozumiał ich sposób myślenia, ale nie opowiadał o tym zbyt szczegółowo.

– **Ten wujek to też argument za hipotezą prowokacji.**

– Gdyby ten miał stać za prowokacją, Jurek nie opowiadałby mi o nim. Sądzę raczej, że te podziały rodzinne były autentyczne, a wynikały z różnych wyborów ideowych. Ojciec Jurka żył w innym świecie niż my wszyscy. Utrzymywał kontakty tylko z kombatanami armii Andersa – w Polsce i na Zachodzie – czytał tylko wydawnictwa kombatanckie, które mu koledzy przysyłali z Anglii, spotykał się tylko z kombatanami, rozmawiali tylko o walkach armii polskiej, o uzbrojeniu, o Jalcie, o sytuacji geopolitycznej Polski, sytuacji kombatanów itd. W takiej atmosferze wyrastał Jurek, z tego się brała jego wiedza o broni.

– **Na wiele pytań powinienś znaleźć odpowiedzi w twojej teczce w IPN.**

– Mam ją. Nie tylko nie poszerzyła mojej wiedzy o sprawie, a jeszcze wywołała wiele nowych wątpliwości. Odnoszę wrażenie, jakby była spreparowana, po to, żebym nic nie dowiedział się. No bo... jak wyjaśnić taki fakt: oficerowie SB prowadzą śledztwo w sprawie groźnej grupy terrorystycznej – bo taki przynajmniej obraz wyłania się z ich raportów – a nie przychodzi im do głowy, żeby bliżej przyjrzeć się środowisku, w którym żył podejrzany, szkołom, które ukończył, rodzinie, kolegom ze studiów. Nie próbują analizować jego poglądów, przekonań religijnych. Całe lata angażowałem się w duszpasterstwo akademickim, liczyłem, że z tych raportów dowiem się,

kto u nas donosił – musiał przecież ktoś donosić – a w raportach o tym... nic.

Terroryzm można usprawiedliwić

– **Twoim zdaniem Anders Behring Breivik jest psychopatą?**

– Nie wiem, czy zainteresowanie Jurka bronią i sposobami krępowania jeńców musi być przejawem psychopatii. W moim przekonaniu, na naszej planecie żyje mnóstwo psychopatów, kto wie, czy nie połowa populacji, z pewnością nie mniej niż 10 proc. Rzecz w tym, że nie każdy znajduje motywacje, warunki i sprzyjającą atmosferę do ekspresji swojej patologii. Kultura tworzy gorset nie pozwalający na uaktywnienie się postaw psychopatycznych – normy moralne, ideały, atmosfera powszechnego potępienia określonych zachowań. Kto wie, czy atmosfera przyzwolenia lub usprawiedliwienia nie odgrywa tu roli decydującej. Myśmy wtedy o krok od terroryzmu – myślę o ludziach zaangażowanych w działalność podziemną – gdyż zostaliśmy sprowadzeni do parteru i nie pozostawiono nam wyboru. Mogliśmy albo zrezygnować z walki, albo przejść do działalności zbrojnej. Innej możliwości nie było. Moim zdaniem, to był ostatni moment, kiedy gen. Czesław Kiszcak zdecydował się na to zagranie z okrągłym stołem. Być może, Anders Behring Breivik znalazł się w podobnym stanie psychicznym, co my wtedy. Dostrzegł, czego nie dostrzegają jeszcze jego rodacy, że wcześniej czy później Norwegów czeka zdominowanie przez muzułmanów i uznał, że najwyższy czas działać. Różnica między nami jest taka, że myśmy nie mordowali dzieci i nigdy byśmy nie mordowali, przynajmniej ja bym nie mordował.

– **Co by takie działania mogły dać? W starciu z machiną policyjną i wojskową nie miałibyscie szans.**

– Tyle to ja wiem. Nie zawsze człowiek postępuje racjonalnie. Kiedy zwierzę zapędzisz do narożnika, to nawet najbardziej łagodne wyszczerzy zęby i rzuci się na ciebie, a myśmy byli taką zwierzyną łowną, postawioną pod ścianą. Dopóki nam nie dano wyboru, to go nie mieliśmy.

– **Uważasz więc, że „okrągły stół” był zмовą elit solidarnościowych z bezpieczeńką, a jego uczestnicy ze strony solidarnościowej powinni zawisnąć za zdradę?**

– Solidarność pod koniec lat osiemdziesiątych była już zupełnie obezwładniona. Dzisiaj widzimy „okrągły stół” jako umowę dwóch stron, zapominamy, że wymyślił go gen. Czesław Kiszcak, że to on zaprosił wybranych przedstawicieli opozycji do rozmów. Tam nie odbywały się negocjacje dwóch równorzędnych stron. Nie oszukujmy się, mogliśmy zgodzić się na transformację ustrojową na jego zasadach, albo zupełnie odejść do lamusa historii. Co mnie jedynie wkurza, to nieprzygotowanie tych naszych solidarnościowych, pożałujcie Boże, ekspertów. Nasi, rzekomo, delegaci w rozmowach okrągłego stołu umawiali się głównie co do udziału we władzy, i tu uzyskali koncesje. Nie myśleli o Polsce. Przecież... można było tak postawić sprawę, że, owszem, przegraliśmy, ale tu chodzi o Polskę, nie chcemy nic dla siebie. Rzecz w tym, że oni nie mieli pojęcia, co chcieć. Nie potrafili myśleć o naprawie kraju. Trzeba było przedstawić propozycje kilku zasadniczych reform i z takim moralnym naciskiem negocjować. Tymczasem ci durnie nie mieli nawet pojęcia, jak przestawić gospodarkę. Udali się po radę do amerykańskich gangsterów. Nawet ambicja nie powinna im była na to pozwolić.

Rozeszło się po kościach

– **Jak ostatecznie zakończyła się sprawa waszego terroryzmu?**

– Ja przesiedziałem trzy tygodnie w areszcie śledczym komendy wojewódzkiej MO w Katowicach, taki niski budynek w środku między dwoma wieżowcami. Nazywaliśmy go Pentagonem, ze względu na kształt. Przesłuchiwali mnie tylko dwa, może trzy razy, a właściwie to tylko jeden raz – po dwóch tygodniach. Już wtedy zorientowałem się z informacji gazetowych, co się stało, więc byłem przygotowany. Nie wiedziałem tylko, czy Jurek życzył by sobie, żeby go przedstawić jako stukniętego, a taką tylko widziałem linię obrony. Być może sobie tego nie życzy – myślałem – być może chce zaistnieć jako symbol oporu. Przyjąłem więc wersję pośrednią: typ artysty, z bogatą wyobraźnią, ale bardzo mroczną, pozostający pod wpływem St. I. Witkiewicza, który, jak wiadomo, też był porządnie zdewiowany. Dobrze to zaplanowałem.

Rodzice Jurka załatwili mu żółte papiery. Został umieszczony w zakładzie dla psychicznie chorych w Rybniku. Szczegółów nie znam, bo potem już się mało kontaktowaliśmy.

Cały czas stawiałem sobie pytanie, czy nie padłem ofiarą prowokacji. Po-myślałem, że jest okazja, żeby to sprawdzić. Jeśli Jurek jest prowokatorem, to przecież nie będzie tam siedział z

wariatami. Uparłem się przed jego rodzicami, że muszę go odwiedzić. Był tam, ale przyszedł w normalnym, cywilnym ubraniu. Mógł przyjechać tylko na to spotkanie. Powinienem był go odwiedzić bez zapowiedzenia, ale nie wiedziałem, gdzie go szukać. Nie znałem nikogo w zakładzie w Rybniku, ani nikt z moich znajomych.

Drugie, ostatnie, moje przesłuchanie to już właściwie nie było przesłuchanie, a tylko spisywanie danych przed wysłaniem do obozu internowania. Oficer wojskowy – co mnie zaskoczyło, gdyż miało to miejsce na komendzie milicji – nie wypytywał mnie wiele. Podejrzewam, że jeśli dziś chodzę wolny, to zawdzięczam to rywalizacji służb cywilnych i wojskowych w tamtym czasie. Gen. Cz. Kiszcza, jak wiadomo, przejął wtedy kontrolę nad jednymi i nad drugimi i ustawiał u władzy swoich zaufanych, czyli ze służb wojskowych. Jak ci zorientowali się, że sprawa jest dęta, to ukręcili jej łeb. Być może daliśmy im nawet argument przeciwko konkurencji, że daje się nabierać na takie głupoty.

– Usiłujesz teraz bagatelizować...

– Od trzydziestu prawie lat próbuję sobie odpowiedzieć, czy padłem ofiarą prowokacji czy własnej głupoty i jedyne wyjaśnienie, które pozwala to jako tako wyjaśnić, jest takie, że w służbach PRL-owskich pracowały kompletnie bezideowe lumpy, którym chodziło tylko o pieniądze. Jak nie było dla nich, mówiło się „dla ustroju”, rzeczywistych zagrożeń, to je sami prokurowali. Oni mieli wysokie pensje, musieli to jakoś uzasadnić. Zagrożenie terroryzmem, przemytem broni, wieszaniem ciężarnych kobiet na strunach fortepianowych – doskonale się do tego nadawało, nawet dawało argumenty do domagania się awansu lub dodatkowych gratyfikacji.

Nie wiem, czy oni wszyscy, tzn. Jurek, jego żona, jej kochanek, byli w SB, czy tylko ten ostatni. Być może ów kapitan przyjmował te opowieści Jurka – raportowane mu przez kochankę, którą zarejestrował jako TW (tajnego współpracownika), co wiem z moich akt – z dystansem, ale ponieważ musiał się czymś wykazywać, a innych „osiągnięć” nie miał, to sprawę rozdmuchiwał. Nie wykluczam, że ten system – myślę o PRL – załamał się, ponieważ wszyscy już wtedy, nawet ci w tajnych służbach tak pracowali. Mówiło się: „czy się stoi, czy się leży, dwa tysiące się należy”. Im się „należało” z pewnością co najmniej dziesięć tysięcy, ale też widocznie pracowali jak za dwa.

Gdyby w tym czasie donosicielstwo nie upowszechniało się tak bardzo, komuna nie miałaby szans. Niestety, człowiek jest tylko człowiekiem, a to

się pokłóci z innymi i doniesie na nich, a to dojdzie do wniosku, że dość już ma marnego życia i czas wreszcie, żeby coś użyć i... sprzedaje się, a to dojdzie do wniosku, że obojętne jaka Polska by była, jest ojczyzną i trzeba jej bronić, taką jaką jest – zwłaszcza przed burzycielami porządku...

– Utrzymujesz kontakty z Jurkiem?

– W drugiej połowie lat osiemdziesiątych wyjechał do Australii. Jego mama jeszcze przed wyjazdem zadzwoniła do mnie z prośbą, żebym w ambasadzie australijskiej poświadczył, że w podziemiu działał jakiś kolega Jurka, który też chciał się załapać na te wyjazdy „prześladowanej opozycji antykomunistycznej”. To wtedy na Zachodzie dawało duże fory. Wkurzyłem się i zadzwoniłem do ambasady tylko po to, żeby oświadczyć, że gdyby się ktoś powoływał na mnie jako na świadka swojej podziemnej działalności, to na pewno nie mówi prawdy.

Stan wojenny był testem wiarygodności działaczy podziemia. Wielu rozrabiało tylko po to, żeby wyjechać w glorii antykomunisty i dzięki temu lepiej się ustawić w „wolnym świecie”. Mówię – rozrabiało, gdyż strasznie dużo było tego działania na pokaz, chwalenia się swą działalnością. Ktoś, kto rzeczywiście nadepnął komunę na odcisk, nie będzie się tym chwalił, to chyba jasne?

Najbardziej mnie wkurza, że oni potem tam, u obcych, najwięcej gardlują o ojczyźnie, pouczają innych, czym jest patriotyzm. A nie byli w stanie zaciśnąć zębów i służyć ojczyźnie tu, gdzie byli potrzebni. Nie utrzymuję z Jurkiem kontaktów. Słyszałem, że kupił sobie pickup'a i kilka karabinów, i z zapalem oddaje się swojej pasji polowaniu na króliki. Ale to było dawno.

– Dlaczego nie chcesz przedstawić się z imienia i nazwiska.

– Jestem dumny ze swojego zaangażowania w stanie wojennym, nie chciałbym, żeby ktoś teraz moje przejścia zdyskredytował etykietką „terrorysta”.



ARESZT ORAZ INTERNOWANIE

Aresztowanie, prawdę mówiąc, przyjąłem z pewną ulgą. Miałem już dość ciągłego stresu w oczekiwaniu na nieuchronną wpadkę. Nie da się wiecznie funkcjonować w podziemiu. Sądziłem, że nic na mnie nie mają, bo byłem ostrożny. Myliłem się. Omal nie zostałem osądzony jako terrorysta.

Siedziałem dwa tygodnie w areszcie śledczym Komendy Wojewódzkiej w Katowicach przy ul. Francuskiej, zwanym wśród nas, opozycjonistów, Pentagonem, ze względu na charakterystyczną bryłę na planie pięciokąta. Nie dałoby się stamtąd uciec. Wyobrażałem sobie, że czas uwięzienia wykorzystam na pisanie, tak jak A. Michnik. Kiedy powiedziałem strażnikowi, że chciałbym trochę papieru do pisania i długopis, spojrzał na mnie, jakbym był niespełna rozumu.

– *Czego? Papieru się zachciewa? To jest więzienie!*

Później sąsiad z celi, kryminalista, dał mi kawałek kopiowego ołówka i kilka kartek, na których pisałem sobie rozmyślenia Drogi Krzyżowej. Więcej nie chciałem, bo obawiałem się, że kryminalistę wsadzili mi do celi, żeby wyciągał ode mnie informacje. Nie pamiętam już, za co siedział. Pamiętam, że narkotyzował się mocnym naparem z herbaty. Kiedyś dostał szafa, jak mu nie przynieśli należnej torebki. Walił w drzwi i wrzeszczał. Wodę gotował sobie sam za pomocą grzałki zmaistrowanej z żyletek.

Starałem się nie rozmawiać z nim o sprawach, które mogłyby dać esbekom jakiś punkt zaczepienia w śledztwie, ale trudne to było, bo z natury jestem człowiekiem otwartym i prostolinijnym. Wszystko mogli wykorzystać, czy bym opowiadał o rodzinie, czy o przyjaciółach, czy dziewczynach, czy o wyjazdach wakacyjnych.

Co jakiś czas wsadzali do celi większą liczbę aresztantów z klucza politycznego. Kiedyś, przed jakąś większą akcją protestów, ogłoszoną przez podziemie, wrzucili ich tylu, że nie było miejsca, żeby położyć się spać. Zamykali profilaktycznie. Chłopcy chwalili się swymi dokonaniem, a ja milczałem, bo nie wiedziałem, z kim mam do czynienia.

To był dziwny czas. Czuliśmy jakąś głęboką więź ze sobą jako ludzie, walczący o słuszną sprawę, jakieś irracjonalne poczucie, że cały naród jest z nami. To dawało siłę duchową. Takiego poczucia wspólnoty już potem nigdy nie przeżyłem. Podkreś-



W czasie stanu wojennego prezenterzy telewizyjni występowali w mundurach wojskowych. zdj. Józef Żak

lam jednak, że to chyba było irracjonalne. Często bierzemy wyobrażenia za rzeczywistość.

Po trzech tygodniach kazali zabrać rzeczy i zaprowadzili do pomieszczenia przy wejściu, gdzie czekało już kilku aresztantów, między nimi Wiesiek Asman.

– *Nic nie mów – szepnął. – Masz Decyzję o internowaniu? Poskładaj ją w kratkę i włóż pod język.*

Nie widziałem powodów, żeby chować niepotrzebne świstki, ale zrobiłem, jak radził. Po latach okazało się, że wiedział, co mówi. W dokumentach, które otrzymałem z IPN-u moje internowanie datowano od dnia przewiezienia do obozu w Zabrze-Zaborzu. Aresztowali mnie funkcjonariusze SB chyba samowolnie, bez odnotowywania tego w dokumentach. Do Pentagonu wsadzono mnie na podstawie jakiejś lipnej „Decyzji o internowaniu”.

W Zabrzu-Zaborzu

W ośrodku dla internowanych w Zabrzu-Zaborzu, utworzonym w zespole więziennych baraków więzienia, przywitał nas potężny śpiew kolegów, osadzonych tam wcześniej. Szliśmy środkiem szpaleru, utworzonym na nasze przywitanie, a śpiew niskich męskich głosów grzmiał i podnosił serce. Powracał nastrój znany z czasu, kiedy Solidarność, jak burza, wywracała zatęchły, spróchniały System. Powtarzałem sobie: „Nie daj się opanować emocjom”. Pamiętałem jednak słowa ks. H. Hlubka, który nas przestrzegał przed podobnymi uniesieniami hasłem, chyba nie jego autorstwa, „Kiedy zagrzmią fanfary, rozum mieści się w trąbie”. Co z tego, że sobie pośpiewamy? Więziono tam sporo ludzi, którzy chyba już wcześniej zatracili kontakt z rzeczywistością,

a odosobnienie pogłębiło ten stan. Facet z Częstochowy cały czas traktował tych, którzy nas więzili, jak chłopców, których można szantażować, jak za czasu „karnawału Solidarności”. „Jak nie spełnią naszych postulatów, ogłaszamy głodówkę!” Zyskał sobie ksywkę „Głodówka raz, głodówka dwa”.

Co wieczór o godz. 19.00 gromadziliśmy się w pomieszczeniu, którego okna wychodziły na odległe osiedle wysokich bloków, aby wyśpiewać jego mieszkańcom naszą niezłomność. Obowiązkowo był nasz hymn na melodię „Pierwszej brygady”:

*Zaborze to skazańców nuta,
Zaborze to więzionych los,
Zaborze to związkowców buta,
Zaborze to ekstremy głos.*

Potem śpiewaliśmy pieśń internowanych w 1939 r. w Rumunii, przystosowaną do naszej sytuacji.

O Panie, który jesteś w niebie, wciągnij sprawiedliwą dłoń.

Wołamy z wszystkich stron do Ciebie, o polski dach i polską broń.

Melodia bez zmian.

Śpiewaliśmy nasz związkowy hymn *Solidarni nasz jest ten dzień, a jutro jest nieznane*, ale również i pieśni mocniejsze w wymowie, jak *Nie chcemy komuny, nie chcemy i już, nie chcemy ni sierpa ni młota, za Katyń, za Grodno, za Wilno i Lwów, zapłaci czerwona hołota*. Ta była chyba najmocniejsza.

Wiele pieśni miało wymowę religijną. W Zaborzu Jacek Okoń, młody zabrzański poeta, którego poznałem lata później, napisał wiersz *Pamiętaj o mnie Mistrzu z Galilei, gdy dzień kolejny przez kraty ucieka*, do którego kolega z celi Mirosław Kańtor skomponował melodię. W krótkim czasie ta piosenka zyskała wielki sentyment we wszystkich obozach odosobnienia.

Mimo podniosłego nastroju walki o słuszną sprawę, źle znosiłem odosobnienie. W Zaborzu nauczyłem się cenić tę małą wolność, którą dysponujemy nawet w systemach totalitarnych. Wolność wybrania się o dowolnej porze na spacer ulicami miasta, popatrzenia na spacerujące dziewczyny, spotkania się z przyjaciółmi w knajpce przy szklance piwa. Wyobrażałem sobie, jak po uwolnieniu wybiorę się na spacer ulicami miasta. Będzie pogodny letni dzień, będę się uśmiechał do spacerujących dziewczyn, podziwiał drzewa w parku i klomby. Będę mógł pójść w prawo, ale będę mógł pójść również w lewo, to będzie mój wybór. Potem położę się na ławce w parku i będę oglądał chmury, sunące po niebie. Nie siedziałem

w Zaborzu długo, w sumie 101 dni, ale i to wystarczyło. Więzienie jest okrutną karą.

Siedziałem chyba – bo dokładnej liczby nie pamiętam – w kilkunastoosobowej celi. Bardzo zróżnicowane towarzystwo, robotnicy i inteligenci, starzy i młodzi. Bardzo szybko pojawiły się napięcia, spowodowane stłoczeniem w jednym pomieszczeniu kilkunastu mężczyzn. Wiesiek na wszelki wypadek zaprzyjaźnił się z jednym z działaczy solidarnościowych, który kiedyś trenował boks. Ja uciekałem w lekturę – w baraku była biblioteka w rozmyślenia i modlitwę.

Trochę uleciało ze mnie wewnętrzne napięcie, kiedy zgłosiłem się do objęcia funkcji bibliotekarza. Uzyskałem trochę samotności na kilka godzin dziennie. Siedziałem w pomieszczeniu z książkami sam, albo ze starszym kulturalnym panem, który przed internowaniem zajmował się dystrybucją „Gościa Niedzielnego”. Organizował u nas, w baraku, wykłady o hodowli zwierząt futerkowych. Na tym się znał. Panowało wśród nas przekonanie, że po wyjściu z „internatu” nie znajdziemy pracy w żadnej państwowej firmie, a jeśli nawet by nas zatrudnili, to na najniższych, niskopłatnych stanowiskach. Jedynym wyjściem wydawało się założenie własnej firmy i to w takiej branży, do której ludzie zwykle się nie pchają. Już nie pamiętam, czy ja byłem bibliotekarzem, a on przychodził na pogawędki, czy razem, na zmianę pełniliśmy dyżury w bibliotece. Uważał, że zbyt czarno patrzę na rzeczywistość. Mówił mi, że to skutek ciężkich doświadczeń życiowych, w ogóle ciężkiego życia, a on upierał się, że to sprawa mojego charakteru. Ciekawa rzecz, bo niedługo po zwolnieniu z internowania przeczytałem w „Gościu Niedzielnym”, że zmarł powodu choroby nowotworowej. Z tekstu wywnioskowałem, że mógł być już chory w czasie przebywania w Zaborzu. On, śmiertelnie chory, przekonywał mnie do bardziej optymistycznego patrzenia na świat i życie. To by świadczyło o jakimś duchowym heroizmie.

Zaprzyjaźniłem się z Leszkiem Suderem, z kołpalni „Siersza” jeśli dobrze pamiętam, chłopakiem niezwykle religijnym, który pilnował regularnego wspólnego odmawiania różańca. Jedno pomieszczenie koledzy już wcześniej wywalczyli na kaplicę. Leszek wypytywał mnie o jakieś stowarzyszenie poświęcone Matce Bożej, o którym nie miałem pojęcia. Miał formację duchową maryjną, jeśli tak wolno powiedzieć. Do naszej kłeski podchodził z pozycji mistycznej.

– *Nie możesz tego traktować jak kłeski* – mówił. – *To są bóle rodzenia. Kiedy kobieta rodzi, też ją boli. Nic, co jest wartościowe, nie powstaje bez cierpień.*

Po zwolnieniu z internowania wyjechał na stałe do Stanów Zjednoczonych. Kilka razy przysłał kartki, jakiś list, po dwóch latach napisał, że przeszedł na protestantyzm.

Pożegnanie z kolegami z „Tygodnika Katowickiego”

Część zespołu „Tygodnika Katowickiego” po wprowadzeniu stanu wojennego „wybrała wolność”. Zygmunt Barczyk i Leonard Neuger wybrali ją w Szwecji, Wiesiek Asman w Stanach Zjednoczonych, Edward Zyman w Kanadzie. W moim przekonaniu, emigracja w tym trudnym okresie była jak dezercja z pola walki, ale im tego nie mówiłem. Zwoźniakowie, którzy mieli w Katowicach ponad stumetrowe mieszkanie, zorganizowali dla nich wieczór pożegnalny. Byłem na nim z Asią, już po ślubie, więc musiało to mieć miejsce najwcześniej w drugiej połowie 1983 r.

Fajnie było, atmosfera serdecznej więzi, rozmowy na poziomie, z których nic już nie pamiętam i nieznane mi wcześniej poczucie wolności wyboru drogi życiowej, i miejsca w świecie. Też mogłem wtedy wyjechać, gdybym tylko chciał. Zachód oferował w tym czasie solidarnościowym emigran-

tom dużą pomoc na start w nowej ojczyźnie. Nie chciałem.

Porządkujemy życie prywatne

Zaraz po aresztowaniu uznałem, że jestem „spalony” i nic już po mnie w podziemiu. Uznałem, że swoje zrobiłem i mogę teraz oddać się urokom życia prywatnego. Oświadczyłem się i oświadczyły zostały przyjęte. Należałem do prekursorów swobodnego podejścia do życia, jak u dzisiejszego pokolenia młodych mężczyzn, nie potrafiących dokonywać wyborów i podejmować zobowiązań. Wciąż szukałem swojej życiowej szansy, wciąż miałem nadzieję, że uda mi się ustawić lepiej, więc na wszelki wypadek nigdzie nie zamykałem sobie furtki. Walka z Systemem, taka, jaką prowadziliśmy za jawnej Solidarności, a potem w podziemiu, umacniała charaktery. Trzeba było podejmować decyzje ze świadomością, że są obarczone ryzykiem i można źle skończyć, i my takie decyzje podejmowaliśmy.

Najwcześniej ożenił się Leonard Neuger, bo jeszcze w obozie dla internowanych w Uhercach, w maju 1982 r., zwolnili go miesiąc później. Wiesiek Asman wziął ślub w lutym 1983 r. (wypuś-



Grupa solidarnościowych emigrantów w obozie przejściowym w Bad Soden (Niemcy Zachodnie) w drodze do Ameryki. Wiesiek Asman to ten z brodą w ostatnim rzędzie, niżej jego małżonka. Jest tu również Stanisław Gazda z rodziną, on sam na pierwszym planie całkiem z prawej.

cili go w grudniu 1983 r., tak jak mnie), w Dąbrowie Górniczej. Po ceremonii zawiózł gości autobusami gdzieś daleko poza miasto, a autobusy odprawił. Musieliśmy bawić się aż do białego rana. My z Asią zaplanowaliśmy ślub na piątek 30 kwietnia, dzień przed 1 maja, które było świętem państwowym. Paweł Berezowski ożenił się cztery miesiące później w Warszawie, w sierpniu 1983 r.

Projektuję w Energoprojekcie

Mój ślub zawsze będzie mi przypominać najgorsze w życiu przesłuchanie na komendzie w Katowicach. Ale zacznijmy od początku. Po zwolnieniu z Zaborza chodziłem trochę w glorii niezłomnego, bo wcześniej rozeszło się w środowisku, że byłem terrorystą, że za to mnie aresztowali i internowali. Wiedziałem, że ta chwila chwały to wiatr na wodzie, ale trochę to pomogło.

Andrzej Kozak załatwił mi przez Janusza Popławskiego zatrudnienie w Energoprojekcie w Gliwicach. Wszyscy tam, wiedząc co przeszedłem, starali się mi pomóc. Skierowali mnie do pracowni mechanicznej, gdzie projektowałem przenośniki oraz rurociągi. Miałem o nich jakieś pojęcie, gdyż budowę przenośników i obliczenia rurociągów przerabialiśmy dość szeroko w czasie studiów. Z wykształcenia byłem przeróbkarzem, fachowcem od przeróbki mechanicznej węgla. Kierownikiem pracowni mechanicznej w gliwickim Energoprojekcie był bardzo mi życzliwy dr Roman Bukowski. Praca na desce kreślarskiej była ciekawa, twórcza, chociaż też męcząca. Długotrwałe skupienie uwagi powoduje bóle głowy.

Inż. Zbigniew Kirakowski, który zjadł zęby na projektowaniu elektrowni, był najważniejszą figurą w naszym zespole. Podpisywał projekty jako ostatni, po uprzednim przeanalizowaniu ich pod kątem zagrożeń spowodowanych nieuwzględnieniem nieprzewidzianych okoliczności. Bywało tak – nie u nas, ale w Ameryce – że precyzyjnie policzony most zawalił się, bo nie uwzględniono w obliczeniach rezonansu spowodowanego równym tempem samochodów. Inż. Kirakowski potrafił się na takie ewentualności asekurować.

Sprezentował mi książkę Józefa Kosseckiego z życzliwą radą, bym się zapoznał i wyciągnął wnioski na przyszłość, bo często bywa, że z dobrymi intencjami służymy złej sprawie. W książce był m.in. rozdział o działalności żydowskiego carskiego agenta Azefa, który występując jako radykalny przeciwnik caratu gromadził przy sobie przeciwników rosyjskiej monarchii, aby ich później wydawać Ochranie, tajnej carskiej policji. Na skutek jego agenturalnej działalności

carskim służbom policyjnym udało się wyeliminować pięć podziemnych organizacji walczących z caratem, a właściwie to pięć pokoleń carskich opozycjonistów.

Po latach stwierdziłem, że inż. Z. Kirakowski miał rację. Jesteśmy nieustannie manipulowani i jeśli chcemy służyć dobrej sprawie, powinniśmy najpierw zdobyć dobre rozeznanie w układzie sił politycznych. Opracowane najpierw przez Mariana Mazura, a potem J. Kosseckiego metody cybernetyki społecznej, czyli nauki o sterowaniu ludźmi, znakomicie w tym pomagają.

Z dość powierzchownego zapoznania się z naukami J. Kosseckiego wyniosłem jeden główny wniosek, że dla zrozumienia zjawisk społecznych i wydarzeń historycznych nie wystarczy analiza ich przyczyn, ale trzeba też zrozumieć pragnienia ludzi. Coś takiego jak u św. Tomasza – przyczyna sprawcza i przyczyna celowa. Pragnienia ludzi wyrażają się w ideach, tzn. serca i umysły ludzi zdobywa ta idea, która najlepiej wyraża ich pragnienia. Kiedyś ludzie pragnęli wolności, później – sprawiedliwości społecznej, dzisiaj już tylko – małej stabilizacji i świętego spokoju. Kto to rozumie, zdobywa ich poparcie.

Noc jak na gestapo

Po zwolnieniu z internowania byłem już przesłuchiwany, może nawet dwa razy, ale traktowałem przesłuchania dość lekko. Co mi mogą jeszcze zrobić? Mnie, który przeszedłem areszt w Pentagonie i uwięzienie w Zabrzu-Zaborzu?

Dzień przed ślubem przyszli do naszej pracowni. Dwóch ich było, w cywilnych ubraniach.

– *Proszę zostawić wszystko jak jest i nic nie ruszać* – i zaczęli przeglądać biurka i szafy. Wszyscy, a było nas kilkunastu, staliśmy błądzi i milczący.

Potem mnie zabrali na komendę do Katowic. Marynarkę umyślnie zapomniałem zabrać, bo miałem w kieszeni jakąś ulotkę. To zawsze był dla nich pretekst, żeby się czepiać.

Długi czas, chyba kilka godzin, trzymali mnie na korytarzu. To było w tym wielopiętrowym bloku obok Pentagonu, w którym kiedyś siedziałem. Potem przesłuchanie, jak na gestapo. Wrzaski, zamykanie się, wykopywanie krzesła spod siedzenia. I cały czas: – *Adresy? Kontakty?*

Wymachiwanie pałą. – *Kładź się!* Jeśli dobrze pamiętam, nie położyłem się na biurku i on mnie też nie uderzył, ale pewny nie jestem. Stres był ogromny. Pamiętałem z ulotek z instrukcjami zachowania się w takich sytuacjach o podstawowej zasadzie: nie stawiać oporu, bo to przełamuje

u nich bardzo ludzką blokadę przed biciem bezbronnego. Kiedy znalazłem się w kacie, na stojąco, jeden z nich zamachnął się na mnie i wtedy odruchowo zasłoniłem się rękami.

– *Bić się chcesz!* – wrzasnął

– *Nie* – odpowiedziałem i opuściłem ręce. – *Co pan robi, jestem człowiekiem.*

Zmieniali się co jakiś czas, ale brało w tym udział – jeśli dobrze pamiętam – tylko trzech. Zawsze dwóch i jeden jakby brał moją stronę. – *Daj już spokój, już ma dość.* Albo: – *Na pewno chce iść się wysikać* – i wychodził ze mną, licząc prawdopodobnie, że zacznę go prosić, aby mnie wybawił z opresji. Najgorsze, że trwało to długo. Nie jestem zbyt odporny ani na ból fizyczny, ani na presję psychiczną, modliłem się, żebym zemdlał i dali mi już spokój.

Chyba już nad ranem wsadzili mnie do celi. Liczyli chyba, że kombinacja niepewności co do



Tak wyglądali zomowcy gotowi do akcji. Mówiono o nich "Białe Serce Partii". zdj. z zasobów archiwum Komisji Zakładowej NSZZ Solidarność ArcelorMittal Poland_SA Poland_SA_Huta_Katowice

tego, czy mnie w ogóle wypuszczą na ślub, i presji z przesłuchań złamie mnie i zacznę sypać. Na moje szczęście nie przeprowadzili wcześniej dobrego rozpoznania. W moich stronach wesele musi być wystawne, a ja w tamtym czasie byłem goły i wesoły. Cieszyłem się, że ślub wypadł dzień przed 1 Maja, bo wtedy obowiązywała już prohibicja, tak, że przynajmniej zakup większej ilości alkoholu miałem z głowy. Gdyby nie doszło do ślubu z powodu tego zatrzymania, to bym się ucieszył. Wzięlibyśmy z Asią później cichy ślub, bez wesela, a mielibyśmy usprawiedliwienie. To przez esbeków. Nawet by mi to dodało chwały.

Teś jeździł na Komendę, obiecali mu, że na ślub mnie wypuszczą. Wypuścili ok. 7.00 rano. Wcześniej, już w normalnej, spokojnej rozmowie, usiłowali mnie zmusić do podpisania zobowiązania do zachowania wszystkiego, co mnie spotkało na komendzie, w tajemnicy. Nie podpisałem, ale – gierojem nie jestem. Dałem słowo, że nie będę o tym rozpowiadał. Im nie chodziło o zachowanie

tajemnicy, ale – o wiele bardziej – o poniżenie ludzi, o zmuszenie ich do uległości.

Wyszedłem na ulice, a tu pusto, czasami przejedzie jakiś samochód. Do dworca kolejowego daleko, podobnie jak do dworca autobusowego. Jak się tylko pojawiła pierwsza taksówka, zamachałem rękami. Godzina drogi do Gliwic, potem kąpiel, ubieranie się, dojazd do kościoła i prawie punkt 10.00 szliśmy z Asią do ołtarza.

Jędrzek Krupa z DA zagrał nam Amazing Grace na saksofonie sopranowym. Przepiękna melodia.

Długo jeszcze płaciłem

Po tej nocy inaczej już reagowałem na wezwania na przesłuchania. Każde wywoływało u mnie kilkudniowy stres. I lęk. Oni to rozgrywali psychologicznie. Dostaję na przykład wezwanie na komendę w Gliwicach przy ul. Barlickiego na godz. 14.00. Zgłaszam się, esbek prowadzi mnie przez amfiladę urzędowych pokoi na sam koniec, do ostatniego pustego pomieszczenia, każe usiąść i czekać. O 15.00 zaczynają się wszyscy zbierać do domu, w komendzie robi się pusto i cicho, a ja czekam w coraz większym napięciu.

– Dlaczego mnie tak zostawił? Czekam, aż wszyscy wyjdą, żeby nie było świadków?

Mija godzina, dwie... Po czterech chyba albo pięciu esbek pojawia się, podpisuje kwitek i odsyła mnie do domu.

Albo przesłuchanie w Katowicach, przy Mikołowskiej. Jeden siedzi za biurkiem zadaje mi pytania, a drugi, szczyl, wysoki, chudy stoi za mną i podrzuca mi nad głowę pęk kluczy. Cały czas trwam w napięciu. Uderzy?

Mimo tych represji nie czułem do nich żadnej nienawiści. Walczyłem z nimi jak mogłem, być może, gdyby wydarzenia potoczyły się inaczej, sięgnąłbym albo sięgnęlibyśmy po przemoc fizyczną, traktowalibyśmy ich jak wrogów, dlaczego oni mieliby nas traktować inaczej? I tak dobrze, że nie stosowali eliminacji fizycznej. No, może z wyjątkiem kilku, kilkunastu przypadków, ks. Jerzego Popiełuszki i innych.

Nienawidziłem za to tych z naszego obozu, którzy wyłamywali się z szeregu donosicieli. Po latach, kiedy doszło do rozmów przy „okrągłym stole”, wiedziałem, że odnowa powinna zacząć się

od totalnej lustracji, duchowieństwa nie wyłączając. Byłem fanem totalnej lustracji. Niestety, Tadeusz Mazowiecki, pierwszy premier częściowo wolnej Polski zaczął od oddzielenia niedobrej przeszłości „grubą kreską”, no i mamy to, co mamy. Społeczeństwo jakieś moralnie nijakie, bez wyrazu, naród bez charakteru, elity sprzedajne.

Esbecy też nie kierowali się emocjami, niechęcią czy nienawiścią. Postępowali metodycznie, starając się utrudniać nam życie. Tomek Sobczak trzykrotnie wysyłał mi zaproszenia do Szwecji. Załatwił mi tam robotę. Chciałem się trochę odkuć finansowo za stracone na walce z Systemem lata. Ale oni nie zamierzali odpuszczać.

Za każdym razem odmowa wydania paszportu w powołaniu się na Dz. U. nr 66. poz. 298 art. 4. ust. 2. Ten artykuł ustawy mówi, że przeciwko wydaniu paszportu przemawia wzgląd na bezpieczeństwo państwa, obronność, ochronę tajemnicy państwowej itd.

Nawet na wyjazd grupowy do Czechosłowacji nie otrzymałem paszportu. Zaplanowaliśmy go sobie z Asią jako podróż poślubną. Pojechała sama. Cały też czas byłem pod tajnym nadzorem, o czym dowiedziałem się po latach z teczek zachowanych w Instytucie Pamięci Narodowej.

Spotkania u Antka Baksika

Po ślubie przez kilka miesięcy mieszkaliśmy u teściów w ich maleńkim mieszkaniu, bo Asia nie chciała w tej mojej norze w Bogucicach, potem Antek Baksik z Zabrze-Biskupic, kolega z DA, który oddziedziczył dom po rodzicach i żył tam samotnie, stary kawaler, oddał nam do dyspozycji całe poddasze. Nie chciał pieniędzy, płaciliśmy tylko za zużyty prąd i część za ogrzewanie. Nie było łazienki, kąpaliśmy się w dużej misie w kuchni, do sklepów było daleko, bo dom stał na odludziu, trzeba było stawać w nocy do kolejki, aby cokolwiek kupić, ale byliśmy tam szczęśliwi. Wolni i z czystym sumieniem.

Organizowaliśmy tam, na poddaszu spotkania z ciekawymi ludźmi. Renata i Zdzisław Zwoźniakowie z „Gościa Niedzielnego”. Michał Sobczyk z zarządu katowickiego KIK-u, którego zaprosiłem, bo na spotkaniu założycielskim odniosłem wrażenie, że on jeden nie był ustawiony. Zabierał głos, mówił b. rozsądnie i dlatego przeszedł. Jeśli dobrze pamiętam, rozmawialiśmy o sytuacji w górnictwie. Najciekawsze było spotkanie z ojcem Jurka Krasulaka, nie pamiętam już jego imienia. Opo-wiadał bardzo barwnie o swoich przeżyciach wo-jennych. Wywieziony w głąb Związku Radziec-



Tereny zajmowane przez Zakłady Aparatury Chemicznej Opole. Dzisiaj jest to strefa ekonomiczna, w której funkcjonuje kilkanaście małych firemek. Zdj.: Jarosław Małkowski/BANKFOTO

kiego, ledwo załapał się do Armii Andersa. Do dzisiaj mam przed oczyma te obrazy wygłodzonych mężczyzn, kobiet i dzieci z wystawionymi za burtę tyłkami, bo po tym, jak pierwszy raz od miesiący pojedli do syta, zapadli na biegunki. Bodajże dyfteryt też się przyplątał.

Przeszedł ojciec Jurka cały szlak bojowy Brygady Karpackiej. Wizytował ich, już nie pamiętam gdzie, gen. Władysław Sikorski. Przywitał się też z ojcem Jurka i zamienił z nim dwa zdania. Te zapamiętałem.

– *Skąd jesteście, szeregowy?*

– *Melduję, że z Zagłębia Dąbrowskiego.*

– *Już wyleczony, czy tylko zaleczony?* – spytał generał nawiązując do panujących tam lewicowych postaw.

Ojciec Jurka odparł coś w tym stylu, bo nie pamiętam dokładnie, że nie musiał się leczyć, bo nie zmieniał poglądów.

Walczył pod Monte Cassino. Przed bitwą gen. Władysław Anders wygłosił do nich przemowę, którą rozpoczął słowami:

– *Żołnierze! Dziś będę szafował waszą krwią!*

Wycofuję się z działalności opozycyjnej

Jak już pisałem, po aresztowaniu w sierpniu 1983 r. wycofałem się z aktywnej działalności opozycyjnej. Spotkań u Antka Baksika za taką uznać nie można było – niczym nie ryzykowałem. Były to raczej spotkania towarzyskie, tyle że z dyskusją ukierunkowaną tematycznie.

Nie widziałem sensu dalszej walki, bo... nie widziałem szans na zwycięstwo. Nie byłem i nie jestem zwolennikiem bezowocnych ofiar dla przegranej sprawy, uważałem i uważam, że w takich wypadkach trzeba czekać na swoją szansę i przygotowywać się do niej. Działać metodą małych kroczków, prowadzić „pracę u podstaw”.

Wyprowadzamy się do Opola

Pod koniec 1985 r. przeprowadziliśmy się z żoną do Opola. W Zakładach Aparatury Chemicznej Metalchem poszukiwali konstruktorów i oferowali mieszkania zakładowe. Udało mi się na nie załapać. Nie ma jednak róży bez kolców, zarobki tam były beznadziejne.

ZACH Metalchem był nowym zakładem, zaprojektowanym na produkcję nowoczesnych, trudnych w wykonaniu urządzeń dla przemysłu chemicznego, jednak nieukończonym. Zaprojektowano m.in. port na płynącej obok Odrze dla

wysyłki wielkogabarytowych zbiorników ciśnieniowych, jednak nigdy takich nie zaczęto produkować.

Załapałem się już w ostatniej chwili, a nawet trochę za późno. Wiedza wyniesiona ze studiów w politechnice gliwickiej zdążyła się zdezaktualizować. Wprawdzie nadal pracowaliśmy/kreślili na desce, ale już tam uruchomiono spory dział obliczeń komputerowych, gdzie można było przeprowadzać obliczenia metodą elementów skończonych, o której nie miałem pojęcia. Kilka lat później komputery PC stały już na każdym biurku, a ani do projektowania, ani do konstruowania nie można było się zabierać bez opanowania specjalnego programu komputerowego do kreślenia rysunków technicznych AUTOCAD.

W zakładzie pracowało dużo ludzi młodych, na stanowiskach inżynierskich – świeżo po studiach. Kompletując załogę prawdopodobnie uznano, że w tak nowoczesnym zakładzie potrzeba ludzi otwartych na nowe technologie, dynamicznych i gotowych do uzupełniania wiedzy. Nie wiem, czy ktoś z nich o tym decydował, najpewniej gdzieś u góry, w ministerstwie. Również kierownictwo zakładu tworzyli ludzie młodzi.

Pracowała z nami w biurze konstrukcyjnym Janina N. ze starego kierownictwa zakładu, z okresu założycielskiego jeszcze. Była nawet kiedyś wicedyrektorką. Sporo czasu przegadaliśmy. Raczej ona wyciągała informacje ode mnie, ale trochę też się od niej dowiedziałem. Była sfrustrowana, co zrozumiałe w sytuacji takiej degradacji zawodowej. Potem, kiedy w 1989 r. reaktywowano „Solidarność”, chętnie dzieliła się informacjami o partyjnej i innej nieszczegółowej przeszłości jej działaczy w zakładzie.

Po latach dowiedziałem się z moich teczek z IPN-u, że donosiła na mnie. Nie mogę jednak mieć do niej żalu, gdyż donosiła „pozytywnie” tak, aby mnie oczyścić w oczach SB. W obszernych raportach, pisanych przez szefa wojskowej komórki w zakładzie, przeczytałem, że już nie zajmuję się działalnością opozycyjną, nie wypowiadałem się źle o panującym ustroju państwa i w ogóle to zajmuję się wyłącznie pracą i życiem prywatnym. Te raporty były pisane jako raporty z przesłuchań, a ja na żadne przesłuchanie w „Metalchemie” nigdy nie byłem wzywany.

Przez długi czas nawet nie wiedziałem, że w zakładzie istnieje jakaś komórka wojskowa, jej kierownika raz tylko spotkałem na korytarzu w budynku administracyjnym. Z tego wszystkiego wynika, że wtedy już nawet oficjalni współpracownicy tajnych służb, może nawet kontrwywiadu, nie mieli chęci ani przekonania do tropienia

i nękania pracowników „niepoprawnych politycznie”.

Przereklamowane strajki 1988 r.

Na strajki w 1988 r. prawie nie zwróciłem uwagi. Po ciosach, które nam zadał gen. W. Jaruzelski nikt z naszej strony nie miał już prawa podjąć jakichś protestów. Do dzisiaj nie wiem – nie interesuje mnie to – jakie zakłady strajkowały i gdzie, kto stał na ich czele. Wiem, że jakieś kopalnie, bo szwagier przyniósł mi zdjęcia. Jakies irytujące, zbyt ładne, zrobione przez fachowców. Jakies protesty ludzi nie mających pojęcia o rzeczywistym układzie sił – pomyślałem. Bez znaczenia. Bolesne było, że nie znalazł się wśród nich już nikt z dawnych przywódców solidarnościowej rebelii. Zmiana pokoleniowa, myśmy – moje pokolenie – przegrali swoją szansę.

Okazało się, że byłem w błędzie. Niedługo po tym gen. Czesław Kiszczak ogłosił zamiar rozmów z opozycją przy „okrągłym stole”. Ja również to odebrałem jako moralne poniżenie. Gen. Cz. Kiszczak rozmowy sam organizował i sam dobierał sobie rozmówców. Na pozór dobierał ich L. Wałęsa, ale tylko na pozór.

Bez zgody gen. Cz. Kiszczaka nikt nie mógł znaleźć się w gronie solidarystycznych „negocjatorów”. Nie było już z naszej strony żadnej siły, żadnego autorytetu, żadnego ugrupowania, które mogłoby stawiać jakieś warunki przed przystąpieniem do rozmów. Owszem, mieliśmy świadomość fatalnej sytuacji gospodarczej kraju, co dyskredytowało tę władzę, jednak – oni wciąż byli górą. Mogliśmy się tylko pocieszać, że zostali zmuszeni do rozmów „czynnikami obiektywnymi”.

(...) ten cały strajk w 1988 roku był potrzebny nie tyle „Solidarności”, która po wieloletnim nękanu przez bezpiekę, była już na ostatnich nogach i nie była zdolna do żadnego poważniejszego naporu na władzę, co wywiadowi wojskowemu, dla stworzenia pozorów, że to niby musiał ustąpić pod naporem zagniewanego ludu. Którzy uczestnicy wspomnianego strajku wiedzieli, o co chodzi, a którzy myśleli, że to wszystko naprawdę – tego oczywiście nie wiem, ale myślę, że przypuszczenie, iż akurat bracia Kaczyńscy nie wiedzieli o co chodzi, byłoby niegrzeczne, zwłaszcza w sytuacji, gdy rok później Lech Kaczyński był przez generała Kiszczaka zaproszony do Magdaleny, gdzie rozmawiano w gronie osób zaufanych.⁸²

Stanisław Michalkiewicz

T. Karwowski uważa, że strajki w sierpniu 1988 r. miały autentyczny charakter, tzn. nie zostały zainspirowane przez tajne służby, i że to one zmusiły władzę do podjęcia rozmów z opozycją:

W sierpniu 1988 roku rozlała się po kraju fala strajków. Doszło do strajku w KWK „Andaluzja” w Piekarach Śląskich, gdzie mocno udzielali się bracia Leszek i Piotr Polmańscy oraz Kazimierz Świtoń. Następnie po kolei stawały prawie wszystkie kopalnie w Rybnickim Okręgu Węglowym (ROW). KPN bardzo czynnie włączył się w te protesty, praktycznie w każdej kopalni w ROW mieliśmy swoich działaczy, a wielu z nich stanęło na czele Komitetów Strajkowych. Stąd upolitycznienie strajków, w których po raz pierwszy od wielu lat pojawiły się postulaty i żądania polityczne, między innymi hasło relegalizacji Solidarności i przeprowadzenia wolnych wyborów.

Wśród naszych działaczy w kopalniach pierwszoplanową postacią był Andrzej Andrzejczak. Świetny kolega, dobry organizator, miał ogromny autorytet wśród górników. Andrzej wcześniej karany był za próbę wysadzenia pomnika sowieckiego czołgu w Żorach.

Gdy strajki górnicze rozlały się i zaczynały radykalizować się politycznie, wówczas do zakładów zaczęli zjeżdżać się przywódcy podziemnej Solidarności, najpierw Bogdan Lis, wieprzewodniczący związku z 1981 roku, a potem sam Lech Wałęsa. Przyjeżdżali wspierać strajki? Nie, zjeżdżali do nas po to, by je „wygaszać”! Nie wszyscy wtedy jeszcze orientowaliśmy się, że oni już byli z komuną po słowie, a właściwie (co można dziś oglądać w TV) po flaszce. Adam Michnik, Lech Wałęsa i inni z generałem Kiszczakiem w Magdalence przy kieliszku dopinali już Okrągły Stół. (...)

Ostatecznie strajk na KWK „Jastrzębie” opanowali i wygasili w końcu ksiądz oraz kobiety z dziećmi na rękach. W niedzielę rano pod pretekstem mszy świętej, ksiądz i kilkaset żon i dzieci weszło na teren kopalni. Po mszy było już po strajku; zostało nas gdzieś trzysta, czterysta osób. Nastrój ponury...

Nie przestraszyli nas czołgami, helikopterami czy ZOMO, to sprawę załatwiły zatrwożone o los mężów kobiety. Zresztą Okrągły Stół był już gotów, karty poznaczone i rozdane. Nasz upór, wysiłek i poświęcenie nie były już w stanie niczego zmienić...

⁸² <http://www.michalkiewicz.pl/tekst.php?tekst=4299>

POCZĄTKI KAPITALIZMU

Sytuacja gospodarcza, warunkująca poziom życia narodu, była fatalna. Gen. W. Jaruzelski cały czas deklarował niezłomną wolę obrony „zdobyczy socjalizmu”, ale nie wiedział, jak się do tego zabrać. Ogłosił przeprowadzenie tzw. „przeгляdu kadr” z zamiarem odchudzenia biurokracji. Zamiar jak najbardziej słuszny, ale, jak się okazało, nie do zrealizowania. W całej Polsce podczas tego przeglądu nie znaleziono ani jednego stanowiska (!), które należałoby zlikwidować, choć ja sam w „Metalchemie” potrafiłbym wskazać takich kilka, dobrze płatnych, podobnie jak w „Energoprojekcie”, a wcześniej w kopalniach. Każdy miał setki argumentów, że właśnie jego stanowisko jest nieodzowne dla sprawnego funkcjonowania zakładu, a on sam jest jak najbardziej właściwym człowiekiem na właściwym miejscu.

Chyba zrozumieli, że tędy się nie da i poszli przeciwną drogą. Pod koniec 1988 r. – podobno pod naciskiem strajkujących robotników, w co trudno mi uwierzyć – wprowadzono ustawę liberalizującą działalność gospodarczą, znaną od nazwiska jej autora, ministra przemysłu, jako Ustawa Mieczysława Wilczka. Można było odtąd handlować bez pozwolenia, podejmować produkcję większości towarów bez pozwolenia itd. Przyjęto zasadę, że „co nie jest zakazane, jest dozwolone”.

Ustawa otworzyła szeroko furtkę do przejmowania państwowych zasobów przez osoby prywatne. Z plotek dowiadywałem się, jak to wyglądało w na-

szym zakładzie. Poprzedni dyrektor naczelny założył prywatne biuro konstrukcyjne, projektujące dokładnie tę samą aparaturę co nasze biuro zakładowe. Zarejestrował je na swoją żonę. Kiedy zgłaszali się kontrahenci ze zleceniem na określoną aparaturę, odsyłał ich do żony, mówiąc, że, niestety, zakładowe biuro jest zbyt obciążone. Z czasem przejął całość projektów, a w następnym etapie – już za rządów Leszka Balcerowicza – wykonanie aparatury zlecał, tzn. zlecała jego żona, w naszym zakładzie, na naszych maszynach, po godzinach. Robotnicy brali się do tego chętnie, bo mogli dorobić.

Komisja Przekształceń Własnościowych

Włosy dęba stają na głowie, kiedy czyta się stenogramy pierwszych posiedzeń sejmowej Komisji Przekształceń Własnościowych. Co to jest Sejm? Sejm to zgromadzenie reprezentantów narodu, którego zadaniem jest stanowienie prawa. A prawo to – państwo. Możemy postawić znak tożsamości. Jeśli chcemy być precyzyjni, możemy powiedzieć, że – prawo to podstawa istnienia państwa.

Wydawałoby się, że posłowie, ci najlepsi z najlepszych, najmądrzejsi z najmądrzejszych, wybierani w wyborach powszechnych to elita narodu, każdy z nich dysponuje lepszym niż zwykli śmiertelnicy rozumieniem spraw państwowych, lepszą wizją, jak powinno funkcjonować państwo. Wydawałoby się, że tam, na forum sejmowym, a szczególnie w komisjach sejmowych toczą się bogate koncepcyjnie spory o kształt państwa,

Cała transformacja została zaplanowana właśnie przez tegoż Sorosa, który w dniu 8 maja 1988 r. przyjechał do Polski i spotkał się z kierownictwem komunistycznej partii, tzw. Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i przedstawił im program przejścia na gospodarkę kapitalistyczną przy jednoczesnych zyskach, bo przy takim przejściu są możliwości zawłaszczenia dużej części przedsiębiorstw przez nomenklaturę. I tak się stało (...) I ten George Soros przysłał tegoż Jeffreya Sachsa i go finansuje - poprzez Fundację Stefana Batorego, która z kolei jest finansowana przez Sorosa (...). 23 grudnia Biuro Polityczne komunistycznej partii, PZPR jednogłośnie zgodziło się na to, żeby wprowadzić ustroj kapitalistyczny w Polsce, gospodarkę rynkową. I to jest data zmiany ustroju – nie żaden tam czwarty, czy inny, ale 23 grudnia 1988 r., kiedy system gospodarki planowej został przekształcony w gospodarkę rynkową według kodeksu handlowego z 1934 r. I natychmiast, jeszcze w grudniu był przygotowany plan stworzenia dziewięciu banków komercyjnych, które udzielały kredytów. Kolejną sprawą była reprywatyzacja. Ale tego Balcerowicz nie zrobił. Reprywatyzacja, tzn. Wedel dostaje Wedla, Habermusch dostaje swoją fabrykę. A myśmy Wedla sprzedali i zapłaciliśmy odszkodowanie za sprzedaż jego marki.

Witold Kiezuń

Za: <http://wpolityce.pl/gospodarka/199530-prof-kiezun-odslania-kulisy-poczatkow-polskiej-transformacji-sachs-byl-niezwykle-sprawnym-lobbysta-i-marketingowcem-on-wszystkich-oszolomil-nasz-wywiad>

o kształt naszych relacji społecznych, o optymalne rozwiązania ustrojowe.

Nic z tych rzeczy nie znajdujemy na zebraniach Komisji Przekształceń Własnościowych Sejmu X kadencji, znanego jako Sejm Kontraktowy. Zero – sporów, zero – polemik, zero – własnych koncepcji, zero – obrony interesów narodu. Nikt, ani jeden z posłów nie zaprotestował przeciwko pomysłem kandydata na ministra przekształceń własnościowych Waldemara Kuczyńskiego, który zdominował całą komisję. Siedzieli i słuchali jak barany przeznaczone na rzeź, przepraszam, być może bardziej adekwatne byłoby – owce przeznaczone na rzeź.

Oto tezy W. Kuczyńskiego:

– *Uważam, że należy stworzyć instytucje i strukturę własności, która istnieje na Zachodzie, aby stworzyć warunki do czynnego kontaktu pomiędzy gospodarkami.*

– *Studiowałem na Uniwersytecie Warszawskim, skończyłem wydział ekonomii politycznej. Na uczelni tej pracowałem do 1966 r. (...) ponieważ od 1962 r. byłem związany z ruchem Kuronia i Modzelewskiego, wyrzucono mnie z pracy. (...) Po wprowadzeniu stanu wojennego zostałem internowany (...) Po wyjściu z interny wyjechałem za granicę. (...) Po roku pobytu we Francji znalazłem zatrudnienie w Szkole Wyższych Studiów Społecznych.*

– *Jestem przeciwny rozdawaniu majątku załogom.*

– *Jaka wizja prywatyzacji? (...) powinna ukształtować się struktura własności i instytucje zbliżone do zachodnich. Jest to warunek zrośnięcia się gospodarki polskiej z tą częścią kontynentu.*

– *(...) prywatyzacja powinna odbyć się tak szybko, jak to jest możliwe.*

– *Za najważniejszy cel uważam ukształtowanie w dotychczasowych przedsiębiorstwach państwowych prawdziwych właścicieli. Własność państwowa jest własnością niczyją. (...) Chodzi przede wszystkim o to, aby byli właściciele zainteresowani przedsiębiorstwem.*

– *(...) opowiadam się za dopuszczeniem kapitału zagranicznego. W krajach zachodnich funkcjonują te same firmy. Nie ma powodu, żeby Polska stała się skansenem, odgradzając się od napływu tego kapitału.*

– *Aby proces prywatyzacji przebiegał szybko, (...) należy stworzyć formułę rozdysponowania części majątku. Mają być wprowadzone bony prywatyzacyjne.*

– *W Polsce istnieje duża koncentracja gospodarki. 200 wielkich przedsiębiorstw stanowi*

wprawdzie 7 proc. ogółu przedsiębiorstw przemysłowych, ale dostarczają one połowę produkcji sprzedanej (...) te przedsiębiorstwa powinny być przede wszystkim sprywatyzowane.

– *Państwowe gospodarstwa rolne są jednymi z tych działów gospodarki, które powinny być podane procesowi prywatyzacji.*

– *Polska powinna być otwarta na dopływ kapitału zagranicznego, przy zachowaniu niezbędnych ograniczeń.*

– *Rząd przygotowuje liberalizację przepisów dotyczących transferu zysków.*

– *Uwolnienie przedsiębiorstw od tzw. popiwku, ale tylko tych, które zostały sprywatyzowane, jest zgodne z logiką, którą obrał ten rząd.*

Kolonizatorzy, kupujący w Afryce całe połacie ziemi za skrzynię paciorków, też przekonywali lokalnych kacyków, że terytorium plemienia, wody, lasy, góry i grunty uprawne to ziemia niczyja, że ziemia musi mieć właściciela.

W całym wystąpieniu W. Kuczyńskiego nie pada ani jedno słowo o gospodarce rynkowej, bo wtedy musiałby wspomnieć o wolnorynkowej konkurencji i powiedzieć, jak przygotować polskie przedsiębiorstwa do konkurencji na wolnym rynku. Przeciwnie, aby zażegnać zagrożenie powstania mocnych polskich firm, od razu zaczął mówić o antymonopolowym ustawodawstwie.

Dostosowanie polskiej gospodarki do Zachodniego systemu gospodarki to było jak podniesienie białej flagi ze słowami „róbcie z nami, co chcecie”, bez ambicji wniesienia własnych rozwiązań. Neokolonializm.

B. Wilk wysiadł z pociągi „samorządność pracownicza” na przystanku „przekształcenia własnościowe”. Nie on jeden i nie pierwszy.

Pamiętam z 1980 r. wykład prof. Stefana Kurowskiego (albo kogoś, kto referował jego poglądy, bo na 100 proc. nie jestem pewny) w pałacyku przy ul. Stalmacha, gdzie miał swoją siedzibę MKZ Katowice. Mówił, jaki system gospodarczy byłby najlepszy dla Polski. Pamiętam, bo mnie zbulwersował. Twierdził, że najlepsza będzie gospodarka oparta na własności prywatnej. Nie potrafiłem sobie tego wyobrazić.

I pamiętam, że prelegent budował swoją argumentację polemizując z tezami partyjnego doktryniera, zwolennika gospodarki planowej, pracownika naukowego Instytutu Podstawowych Problemów Marksizmu-Leninizmu przy KC PZPR niejakiego Leszka Balcerowicza. Po 1989 r. prof. St. Kurowski krytykował reformę L. Balcerowicza. Nie tak – zdaniem prof. Stefana Kurowskiego miała przebiegać prywatyzacja.

Wydaje się, że warto zwrócić uwagę na przeszłość głównych macherów reformy gospodarczej w Polsce. Waldemar Kuczyński został wyrzucony z pracy, ponieważ był *związany z ruchem Kuronia i Modzelewskiego*. Słynny „List otwarty do Partii” z roku 1965 r. obu tych komunistycznych działaczy był krytyką Systemu z pozycji „prawdziwego komunizmu”. Postulowali pełne zniesienie prywatnej własności środków produkcji, m.in. prywatnej własności gospodarstw chłopskich, i wprowadzenie „demokracji robotniczej” przez oddanie zakładów pracy w ręce rad robotniczych.

Musiał W. Kuczyński przesiąść się z pociągu „prawdziwy komunizm” do pociągi pospiesznego „gospodarka prywatna” w czasie pracy na Zachodzie. No, bo kiedy? W każdym razie, przesiadł się.

Dla mnie pozostaje zagadką, co spowodowało otumanienie i ubezwłasnowolnienie posłów. Czy sytuacja gospodarcza Polski była aż tak tragiczna, że trzeba było oddać ją w pacht zachodnim grandziarzom finansowym? Wygląda, jakby oni wszyscy, kandydując w wyborach, podpisywali jakieś zobowiązanie do przyjęcia, w razie uzyskania mandatu poselskiego, skrajnie liberalnej koncepcji gospodarki. Czyżby Lech Wałęsa, zanim udzielił im namaszczenia na kandydata na posła z ramienia Komitetu Obywatelskiego, podsuwał im do podpisania jakieś zobowiązanie?

Ale przecież kandydaci Komitetu Obywatelskiego stanowili w Sejmie Kontraktowym tylko 35 procent składu! Wychodzi na to, że przyjęcie skrajnie liberalnego modelu gospodarki uzgodniono w rozmowach między rządem a opozycją przy Okrągłym Stole albo jeszcze wcześniej – w Magdalence.

Jeszcze jednym wyjaśnieniem może być swoiste zaczadzenie umysłowe tej, pożałujmy, „elity narodu”. Przeglądali bezkrytycznie pomysły Jeffrey’a Sachsa, mentora L. Balcerowicza, i wszystkie koncepcje i pojęcia suflowane nam w tym okresie przez zachodnią propagandę i zachodnie ośrodki wywiadowcze, bo – samodzielnie nie nauczyli się myśleć.

Budowano opinię, że Zachód sprzyja Polakom, że Zachód wspiera walkę Polaków o wolność i posiada plany pomocy Polsce. Pisano w mediach, że Polsce potrzebny jest kapitał, a kapitał nie ma narodowości, wszystko co prywatne jest lepsze niż państwowe, egoistyczne dążenie do osobistej zamożności jest źródłem bogactwa narodów, że trzeba dbać o swoje a „niewidzialna ręka wolnego rynku” sama wszystko ułoży z korzyścią dla ogółu itd. itp.

Ja miałem swoje osobiste doświadczenia i swoje osobiste przemyślenia życiowe zupełnie odmienne od tych, na które dali się nabrać ci, pożałujmy, reprezentanci narodu. Wiedziałem, że życie jest walką, że nikt nikomu tu na tym świecie nie pomoże, jeśli sam czegoś z tego nie będzie miał, choćby tylko satysfakcji i poczucia, że jest się człowiekiem dobrym. Przyznawałem rację Franciszkowi de La Rochefoucauld, że *Własna korzyść przemawia wszystkimi językami i odgrywa wszystkie role, włącznie z rolą bezinteresowności*.

Wiedziałem, i wiem, że nie ma czegoś takiego jak bezinteresowna pomoc, zwłaszcza na szczeblu międzynarodowym, że zachodnie państwa nie otworzą granic na robotników z Europy Wschodniej, jeśli nie będą potrzebowały taniej siły roboczej, wiedziałem, że biznesmeni z Europy Zachodniej handlowali kiedyś niewolnikami i bez moralnych oporów kupowali całe połacie afrykańskiej ziemi za skrzynie paciorków.

Wiedziałem, że w relacjach z mieszkańcami Europy Zachodniej nie ma sensu odwoływać się do racji moralnych, bo oni już dawno utracili sumienia. Wiedziałem, że wszystkich nas, Mieszkańców krajów Europy Wschodniej traktują z góry, jako niższy gatunek człowieka. Ci nasi reprezentanci w Sejmie tego nie wiedzieli?

Najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem ówczesnej poselskiej niemocy wydaje się uczestnictwo w podziale narodowego majątku, jaki się wówczas dokonał. W biurze konstrukcyjnym ZACH Metalchem Opole siedziałem obok inż. Dancewicza, imienia nie pamiętam, który dużo zakładów zwiedził w czasie podróży służbowych i wiele widział, i wiele wiedział. Jego zdaniem, największymi beneficjentami „transformacji ustrojowej” nie byli funkcjonariusze partyjni, tzw. „aparatur partyjny”, ale kadra zarządzająca zakładów, dziś powiedzielibyśmy „kadra menedżerska”. Oni mieli możliwość, jeśli dobrze się zakrzętnęli, przejmować państwowe zakłady pracy, jedni mniejsze, jak dyrektorzy PGR-ów, inni większe, jak szefowie państwowych koncernów typu „Exbud”.

Nowy system gospodarczy i ustrojowy, który powstał na gruzach starego, posługiwał się nową ideologią, ale w istocie niewiele różnił się od starego.

Ze starej nomenklatury wyłoniła się warstwa „przedsiębiorców”, zajmujących się „montażem finansowym” w celu przejmowania dużych zakładów, oraz warstwa członków rad nadzorczych, kasujących duże pieniądze za nicnierobienie. Nie wiadomo, kto ich wyznacza ani na jakich zasadach. W państwowych firmach – ktoś w ministerstwie, w prywatnych spółkach akcyjnych niby akcjonariusze, ale... *statut spółki może zagwarantować*

konkretnym osobom fizycznym i prawnym, niezależnym od udziałowców, powoływanie i odwoływanie określonej w nim części członków rady nadzorczej⁸³. To są sprawy skrywane przed opinią publiczną. Gdyby je dobrze rozeznaczyć, dopiero dowiedzielibyśmy się, kto naprawdę rządzi III Rzeczypospolitą.

Dziś jasno widzę, jak bardzo aktualne stały się wtedy słowa księcia Bogusława Radziwiłła, skierowane do chorążego Andrzeja Kmicica. *Rzeczpospolita to postaw czerwonego sukna, za które ciągną (...) kto żyw naokoło. A my (...) powiedzieliśmy sobie, że z tego sukna musi się i nam tyle zostać w ręku, aby na płaszcz wystarczyło; dlatego nie tylko nie przeszkadzamy ciągnąć, ale i sami ciągniemy.*⁸⁴ Wystarczy tylko zamienić słowo *Rzeczpospolita* na *Majątek narodowy*, pozostały po PRL i pasuje jak ulał.

Kapitulacja Solidarności

Nie był to dla mnie radosny okres. Znajdowałem się na marginesie wydarzeń. Mocno nagłaśniany w mediach PRL-owskich Okrągły Stół, czyli negocjacje między stroną solidarnościową i rządową, na miłą cuchnął solidarnościową kapitulacją. Wprawdzie rozmowy zaproponował Lech Wałęsa, wprawdzie dawano do zrozumienia, że władza ugięła się na skutek strajków, które wybuchły na przełomie kwietnia i maja 1988 r., ale każdy trzeźwo myślący widział, że te strajki raczej obnażyły słabość Solidarności niż jej siłę. W społeczeństwie nie wywołały większego echa. Słyszałem, że jakieś tam zakłady zastrajkowały, ale nie interesowało mnie, jakie. W ogóle o nich nie rozmawiało się.

W listopadzie tego roku władza zezwoliła na przeprowadzenie debaty telewizyjnej Lecha Wałęsy z Alfredem Miodowiczem, przewodniczącym utworzonego w 1984 r., po delegalizacji NSZZ „Solidarność”, Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych. Wszyscy wokół tryumfowali z rzekomego zwycięstwa L. Wałęsy – ale mu dołożył – tymczasem ja odniosłem wrażenie, że to zwycięstwo było wyreżyserowane. A. Miodowicz dał L. Wałęsie wygrać, bo to było zaplanowane. Tyle już wtedy wiedziałem, że przystępując do negocjacji trzeba dysponować jakąś siłą, jakimiś „argumentami”. „Solidarność” wtedy żadnej siły nie miała, więc generał Czesław Kiszczak, który zaprosił „opozycję” do Okrągłego Stołu, dyktował warunki. Wyobraźnia moja nie sięgała tak daleko, żeby widzieć następstwa Okrągłego Stołu w postaci

wysprzedawanych „za złotówkę” państwowych zakładów pracy, naszych zakładów, wspólnych. Tego nie potrafiłem sobie wyobrazić, potrafiłem jednak odróżnić co w tej walce jest istotne od tego, co stanowi tylko propagandową zasłonę dymną.

Nadzieja w samorządności pracowniczej

Pragnąłem, żeby walka rozegrała się o powszechne uwłaszczenie, samorządność pracowniczą, akcjonariat pracowniczy i podmiotowość pracobiorców. Od czasu, kiedy z ust Adama Michnika usłyszałem określenie „podmiotowość”, bardzo je pokochałem. Na pozór oznacza ono to samo co – demokracja, jednak jeśli demokrację rozumieć jako „władzę ludu”, to w określeniu „podmiotowość społeczeństwa” zawiera się coś więcej. „Władza ludu” to władza ludu takiego, jaki jest, „podmiotowość” – oznacza, że jest to już społeczeństwo dojrzałe, zdolne do podejmowania odpowiedzialności.

Rady pracownicze powstawały w oparciu o Ustawę o przedsiębiorstwach państwowych, uchwaloną jeszcze za „Solidarności”, 25 września 1981 r., i przetrwały bez większych ograniczeń cały okres stanu wojennego. Dysponowały naprawdę sporymi możliwościami wpływania na działalność przedsiębiorstwa, włącznie z obsadą czołowych stanowisk. Ustawa stanowiła m.in., że wybory do organów samorządu mają być powszechne, bezpośrednie, równe i tajne, a każdy pracownik przedsiębiorstwa może zgłaszać kandydatów. Czynne prawo wyborcze mieli wszyscy pracownicy, a bierne – ci, którzy pracowali w przedsiębiorstwie co najmniej dwa lata z kilkoma wyjątkami, odnoszącymi się m.in. do dyrektora i jego zastępców. Samorząd pracowniczy miał bardzo szerokie kompetencje stanowiące, inicjatywne, opiniotwórcze i kontrolne.

Zawiedzione nadzieje w osobie B. Wilka

Wpływy samorządu pracowniczego zależały od aktywności pracowników i zdolności podejmowania wspólnych działań. To nie jest wcale takie łatwe. W większości zakładów dyrekcja potrafiła, zręcznie rozgrywając system awansów i podwyżek, ubezwłasnowolnić przedstawicieli załogi, a niekiedy wręcz owinać ich sobie wokół palca. Jak było w ZACH „Metalchem” Opole nie wiem, podejrzewam, że B. Wilk mógł stać za usunięciem poprzedniej ekipy, włącznie z dyrektorem ze starego PZPR-owskiego nadania, bo pani Janina N., która straciła stanowisko wice-dyrektorskie, ser-

⁸³ Wikipedia

⁸⁴ Sienkiewicz Henryk *Potop*

decznie go nienawidziła. Pomyślałem sobie wtedy: tak oto dokonała się w zakładzie zmiana pokoleniowa.

Doświadczenie B. Wilka w działalności samorządu pracowniczego, jego wysoka pozycja jako przewodniczącego rady pracowniczej ZACH Metalchem Opole i jednocześnie wiceprzewodniczącego Zarządu Głównego Stowarzyszenia Działaczy Samorządów Pracowniczych, dawały nadzieję na przynajmniej podjęcie walki o samorządność pracowniczą i – przy okazji albo równocześnie – wyartykułowanie jej celów. Powinien był – w moim przekonaniu – sformułować program walki o samorządność, a nawet stanąć na czele ruchu prosamorządowego. Zawiodłem się.

B. Wilk zakładał z kolegami radę pracowniczą ZACH Metalchem Opole jeszcze na początku stanu wojennego, gdyż, jak czytamy w jego biografii, był jej przewodniczącym od 1983 r. W tym czasie rada musiała zostać zarejestrowana. To był początkowy okres stanu wojennego, kiedy tysiące młodych ludzi, i nie tylko młodych, narażało się drukując i roznosząc ulotki, ścierając się w trakcie protestów ulicznych z bojówkarzami ZOMO, organizując podziemne struktury opozycyjne wobec Systemu.

Nie uważałem, żeby zakładanie rad pracowniczych w tym okresie sprzeniewierzało się jakoś ideałom „Solidarności”, zwłaszcza, że odbywało się w oparciu o wspomnianą ustawę, opracowaną w porozumieniu z „Solidarnością”. Tę drogę walki o niezależność uważałem nawet za sensowniejszą niż roznoszenie ulotek, gdyż dawała nadzieję na jakieś realne zmiany Systemu, czego o walce w podziemiu nie mogłem powiedzieć.

Nie miałem B. Wilkowi za złe nawet tego, że donosił do partii⁸⁵ na sędziego, który – w jego mniemaniu – utrudniał czy opóźniał rejestrację rady pracowniczej w ZACH Metalchem Opole. Zbulwersowało mnie w jego wypadku co innego. Kiedy tylko pojawiła się okazja zrobić karierę polityczną, porzucił samorządowy posterunek.

Opolski Komitet Obywatelski

W kwietniu 1989 r. kilkudziesięciu działaczy NSZZ „Solidarność” powołało Opolski Komitet Obywatelski „Solidarność”. B. Wilk został jednym z dwóch jego wiceprzewodniczących, obok Janusza Sanockiego z Nysy.

Stanowisko przewodniczącego objął Kazimierz Kobiałko, nauczyciel z Opola, były dyrektor Opolskiego Studium Kulturalno-Oświatowego.

Ten ostatni to ciekawa postać. W tamtym okresie nic ważnego w Opolu nie mogło się odbyć bez jego wiedzy i zgody. Rozdawał karty. Rozdzielał stanowiska. Lansowano go w mediach na autorytet moralny w mediach i środowiskach kościelnych. W województwie katowickim taką postacią przez kilka lat był redaktor naczelny „Gościa Niedzielnego” ks. Stanisław Tkocz. Michał Smolorz mówił, że redakcja „Gościa Niedzielnego” pełniła w tym okresie rolę Komitetu Wojewódzkiego partii. Każda ze znaczących osób, która w określonych celach przyjeżdżała do Katowic, pierwsze kroki kierowała do ks. St. Tkocza, w Opolu – do Kazimierza Kobiałki. Do dzisiaj nie wiem, kto te autorytety typował ani na jakiej zasadzie się to odbywało, ale wydaje się, że takie funkcjonowały w każdym województwie.

Opolski Komitet Obywatelski „Solidarność” pod przewodnictwem K. Kobiałki był już drugim w Opolu, pierwszy powołali dwa miesiące wcześniej Bogusław Bardon i Jakub Forystek na spotkaniu założycielskim w opolskiej siedzibie Wojewódzkiej Kolumny Transportu Sanitarnego. W spotkaniu wzięło udział około trzydziestu działaczy „Solidarności” z lat 1980-1981. Jednak ta inicjatywa nie zyskała poparcia ówczesnych władz opolskich struktur NSZZ „Solidarność” (na czele z Janem Całą).

Tu też napotykały się na zagadkową sprawę. Pierwszy Komitet powstał 3 lutego 1989 r., a obrady Okrągłego Stołu rozpoczęły się dopiero 3 dni później, 6 lutego. Skąd B. Bardon i J. Forystek mogli wiedzieć, czym one się skończą. Skąd wiedzieli, że będą powstawać Komitety Obywatelskie przy Lechu Wałęsie?

Opolski Komitet Obywatelski wytypował kandydatów z województwa opolskiego do parlamentu. Kandydatami na senatorów zostali Edmund Osmańczyk i prof. Józef Góralczyk, a kandydatami na posłów: Bronisław Wilk (Opole), Wojciech Solarewicz (Brzeg) oraz Stefan Kozłowski (Warszawa).

W czerwcu 1989 r. wszyscy oni zdobyli mandaty parlamentarne. Senat cały (z jednym wyjątkiem) przejęli kandydaci delegowani przez Komitety Obywatelskie, Sejm, w którym przedstawiciele Komitetów zajmowali tylko 35 proc. miejsc, nazwano – Sejmem Kontraktowym (wyłonionym na podstawie politycznego kontraktu).

⁸⁵ Mój informator nie pamięta już, czy B. Wilk skarżył się na sędziego w Komitecie Miejskim czy Wojewódzkim.

Wzlot i upadek B. Wilka

Ktoś mógłby powiedzieć, że będąc w Sejmie B. Wilk miał większe możliwości walki o swoje ideały. Rzecz w tym, że... on tam o prawa pracownicze i samorządność pracowniczą nie walczył. Został przewodniczącym Komisji Przekształceń Własnościowych, a te „przekształcenia własnościowe” to, jak powszechnie wiadomo, eufemizm na określenie prywatyzacji, czyli przejmowania państwowego, czyli naszego, majątku przez osoby prywatne lub koncerny zagraniczne.

Należy żałować, że samorząd pracowniczy o tak szerokich kompetencjach został praktycznie zlikwidowany przed wypracowaniem uczciwych zasad prywatyzacji przedsiębiorstw, bo stwarzał on realne szanse przeciwstawienia się rabunkowym przekształceniom w gospodarce narodowej, kosztem większości społeczeństwa. Warto przypomnieć, że dokonana transformacja była niezgodna z zasadami wynegocjowanymi w ramach porozumień zawartych przy Okrągłym Stole, które przewidywały znacznie większy udział załóg w przekształceniach. Pomysł tzw. komercjalizacji przedsiębiorstw i eliminacji samorządu pracowniczego powstał już po Okrągłym Stole w zaciszu ministerialnych gabinetów.

Za blogiem: „Pradziadek – pracujący emeryt, który jest coraz mniej naiwny”;

<https://www.salon24.pl/u/sbm/232091,samorząd-pracowniczy-lat-osiemdziesiątych>

Moje opowiadanie się za samorządnością pracowniczą miało wtedy charakter instynktowny. Uważałem, że skoro polscy robotnicy wywalczyli sobie w pewnym momencie podmiotowość i zachowali się przy tym względnie odpowiedzialnie, to należy tę podmiotowość ująć w formy instytucjonalne. Nie wystarczy związek zawodowy, broniący praw pracowniczych, należy robotnikom dać możliwości współdecydowania o przedsiębiorstwie.

Nie wiedziałem wtedy, że podobne idee są żywe również na Zachodzie. W Niemczech na przykład pod hasłem Mitbestimmung – współudział, współdecydowanie. Jak to ma konkretnie wyglądać, tego tam nie określa się, formy współdecydowania o przedsiębiorstwie mogą być różne, ważna jest idea podmiotowości pracowników. Decydują o przedsiębiorstwie, biorą odpowiedzialność za decyzje – godzą się ponosić koszty błędnych decyzji, ale też partycypują w zyskach, jeśli takie są.

Skąd się bierze bogactwo narodów

Bogactwo narodów bierze się przede wszystkim z pracy, potem ludzkiej kreatywności i zdolności organizacyjnych. W tej kolejności. Po to, aby je, wszystkie trzy, uruchomić i podnieść na wyższy poziom, trzeba wyzwolić niewolników – a za takich uważam również, przynajmniej w pewnym stopniu, pracowników najemnych – i uczynić ich właścicielami swoich warsztatów pracy.

Nie wystarczy własność w ogóle i dbanie tylko o własny interes, jak chce Adam Smith, chodzi o własność warsztatu pracy, tak jak u rolników i rzemieślników. W przypadku wielkich organizmów gospodarczych, takim uwłaszczeniem pracowników najemnych na ich „warsztacie pracy” byłoby rozszerzenie kompetencji samorządów pracowniczych w przypadku przedsiębiorstw państwowych, przekazanie części akcji przedsiębiorstwa pracownikom spółek Skarbu Państwa (te działają na rynku samodzielnie, nie muszą oglądać się na decyzje ministerstwa) oraz – najlepiej na podstawie jakiejś ustawy – w spółkach prywatnych.

Nie stanowi „własności warsztatu pracy” własność macherów od „montaży finansowych”, graczy giełdowych i w ogóle oligarchów. Zgrzytam zębami, kiedy słyszę o pozytywnej roli egoizmu i dbania wyłącznie o własny interes, o „niewidzialnej ręce wolnego rynku”, który z tego ewidentnego zła, jakim jest ludzki egoizm, potrafi rzekomo tworzyć wspólne dobro, nie dostrzegam nic pozytywnego w gromadzeniu dóbr bez oglądania się na innych. Przedsiębiorca, który swoje firmy traktuje tylko jako źródło zysków, nie liczy się z losem załogi w przypadku ich odsprzedaży lub likwidacji. On nie produkuje, nie tworzy, on kombinuje i pasozytuje.

Przeciwko koncepcji uwłaszczenia pracowników na majątku zakładów pracy podnoszone były dwa argumenty. Pierwszy, że będzie to niesprawiedliwe. Pracownicy Kombinatu Górniczo-Hutniczego (Miedzi) wzbogacą się nagle akcjami o wysokiej wartości, gdy na przykład załogi PGR-ów obejdą się ze smakiem.

Odpowiem: no i co z tego? Dzisiejszy system kapitału oligarchicznego jest sprawiedliwy? Dzisiaj nie ma nierówności? Przy uwłaszczeniu pracowników wzbogacą się przynajmniej szersze grupy ludności. Eksperyment z powszechnym uwłaszczeniem mieliśmy w roku 1995 i następnych. To był pomysł Janusza Lewandowskiego z powołaniem Narodowych Funduszy Inwestycyjnych. Wyszła z tego karykatura.

Fundusze miały zarabiać na dywidendy akcjonariuszy, okazało się, i to bardzo szybko, że nie tylko nie zarabiają, ale wręcz przeciwnie – przynoszą akcjonariuszom straty. Ta karykatura uwłaszczenia jeszcze bardziej oddalała właścicieli od ich warsztatów pracy, zamiast ich z nimi związać.

Drugi argument to twierdzenie, że pracownicy natychmiast po otrzymaniu akcji swojego zakładu pracy zaczęli ich się pozbywać, bo „lepszy wróbel w garści niż gołąbek na dachu”. Mając w ręku kasę, mogą sobie coś kupić, a akcje – mogą przynieść zyski, ale, równie dobrze, mogą stracić na wartości. Temu można w różny sposób zapobiec, na przykład

Albo i nie wypłacano, w przypadku braku zysków. Chodziło-by przede wszystkim o związanie pracowników z ich zakładem pracy i zmotywowanie do większych wysiłków albo nawet i wyrzeczeń na rzecz swojego zakładu pracy. Pewne jest, że pracownicy zakładu, będący jednocześnie jego akcjonariuszami, nie pozwoliliby na przerosty zatrudnienia i kosmiczne zarobki kadry zarządzającej.

W tym okresie gwałtownych przemian gospodarczych i politycznych B. Wilk zaszedł bardzo wysoko. Został pierwszym prezesem, powołanej w 1991 r. na podstawie porozumień międzyrządowych, Fundacji „Polsko-Niemieckie

Na przełomie lat 1989/90 ówczesne władze rozpoczęły przygotowania do przemian własnościowych w naszym kraju. Jednym z motywów tych posunięć był jeden z niepisanych punktów układu „okrągłego stołu”, polegający na oddaniu władzy politycznej „Solidarności” w zamian za uwłaszczenie nomenklatury partyjnej. Pierwszy krok stanowiło usamodzielnienie przedsiębiorstw państwowych, co oznaczało zdjęcie gwarancji władz, natomiast państwo przejęło długie zagraniczne tych zakładów. (Wówczas tylko państwo, a nie podmioty gospodarcze było zadłużone względem zagranicy.) W tym okresie pojawiły się trzy rodzaje własności: samodzielne przedsiębiorstwa używające jeszcze przymiotnika „państwowy”, własność Skarbu Państwa i własność prywatna. Przywrócono funkcjonowanie przedwojennego Kodeksu handlowego (nota bene nigdy nie został on formalnie uchylony), który zezwalał na powstawanie nowych podmiotów gospodarczych różnego rodzaju. Na początku lat 90. wyodrębniono czwarty rodzaj własności – własność komunalną..

Za tymi gwałtownymi zmianami nie nadążało jednak ustawodawstwo gospodarcze – w praktyce obowiązywało równoległe nowe i stare prawo. Zasypany pytaniami Sąd Najwyższy podjął uchwałę z dnia 12 grudnia 1989 roku nr III CRN 401/89 (nie publikowaną!), w której uzasadniał, że majątek państwowych zakładów jest ich własnością i nie stanowi własności Skarbu Państwa. Tym samym zakłady państwowe zostały uwłaszczone majątkiem od stycznia 1989 roku. Oznaczało to, że mogą one tworzyć spółki z innymi podmiotami gospodarczymi – głównie akcyjne i z ograniczoną odpowiedzialnością, bez uzyskiwania zgody branżowych ministrów. Na podstawie nowych regulacji prawnych w latach 1989 – 1990 zakłady stały się właścicielami gruntów i innych nieruchomości dotąd przez nie zarządzanymi w imieniu państwa. W 1993 roku Sąd Najwyższy inną uchwałą (tym razem opublikowaną) potwierdził rozróżnienie własności, formułując termin „Skarbu Państwa”.

Tak szybki proces przekształceń własnościowych stał się przyczyną majątkowego ataku na zadłużone zakłady ze strony różnych sił krajowych i zagranicznych oraz bankowych kredytodawców. Banki obejmując czy przejmując akcje lub udziały w nowych spółkach szybko zaczęły je rozparcelowywać, dzielić, likwidować i zbywać ich majątek o równowartości należności kredytowych czy akcji bądź udziałów. Częściowo również z winy banków nastąpił lawinowy proces upadłości, bankructw, likwidacji, sprzedaży i różnorodnych spekulacji majątkiem wypracowanym przez Naród w latach 1945 – 1989. Miało miejsce rażące marnotrawstwo majątku narodowego, przy zezwoleniu władz państwowych wszystkich szczebli. Co gorsza, już na początku realizowania doktryny prywatyzacyjnej odrzucono zasadę zachowania w rękach państwa pewnej liczby przedsiębiorstw o znaczeniu strategicznym.

Opisany tu bałagan wynikał nie tylko z braku doświadczenia czy też niechlujstwa. Przy braku jasnego, czytelnego prawa, nieprecyzyjnych zasadach wyceny (o czym poniżej), braku określenia, co powinno pozostać w ręku państwa lub pod jego kontrolą, można było za bezcen – ale za to za łapówki – wyprzedać zagranicznemu kapitałowi cały majątek narodowy.

Komentarz pod filmikiem na stronie: https://www.youtube.com/watch?v=6B93_3CCMacArgus625

dzieląc fundusz zakładowy na, nazwijmy to – inwestycyjny, z którego udziały wypłacano by pracownikowi tylko w przypadku przejścia na emeryturę, i fundusz – konsumpcyjny, z którego wypłacano by dywidendy na bieżąco.

Pojednanie”, zajmującej się rozdzieleniem pomocy dla ofiar niemieckich prześladowań z czasów wojny. Rząd Niemiec przyznał Polsce na ten cel pół miliarda marek. B. Wilk lokował te pieniądze – zanim trafiły do poszkodowanych – w bankach, żeby jeszcze procentowały, m.in. ulokował 5 mln zł

w znaj-dującym się w słabej kondycji Megabanku. Bank większość tych pieniędzy pożyczył pięciu spółkom i bez wiedzy fundacji lokatę uczynił zabezpieczeniem pożyczek. Kiedy spółki przestały spłacać kredyty, okazało się, że to fundacja ma przejąć na siebie spłaty. Do aresztu trafiły trzy osoby z za-rządu Megabanku. Ich zeznania obciążały B. Wilka i wkrótce również on trafił do aresztu. Aresztowany został jego kolega z Partii Chrześcijańskich Demo-kratów, współwłaściciel pięciu spółek zaciągają-cych kredyty.

Według organów ścigania mechanizm wyłudzenia kredytów był następujący: Wilk w zamian za łapówkę ulokował pieniądze fundacji w Mega-banku, zgadzając się, by lokata ta była zabezpieczeniem kredytów udzielonych pięciu spółkom, w których udziały miał jego kolega z PChD Eugeniusz S.⁸⁶

B. Wilk przesiedział w areszcie trzy miesiące. Po długim procesie i licznych odwołaniach w 2006 r. sąd uniewinnił go od prawie wszystkich zarzutów z wyjątkiem jednego, który się przedawnił i przyznał mu odszkodowanie w wysokości 39 tys. zł. B. Wilk żądał ponad 600 tys. zł, gdyż, jak słusznie utrzymywał, ta sprawa złamała mu karierę polityczną. Potem już nie podniósł się jako polityk.

Nowoczesny zakład na stracenie

Grupa młodych technokratów rządziła wtedy zakładem. Podejrzewam, że to oni stali za moim wyborem na przewodniczącego Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” gdzieś w połowie 1989 r. Dokładnej daty nie pamiętam. Kilka razy zabrałem głos na wiecach załogi. Mówiłem ostro i krytycznie, ale chyba nie o sprawach ważnych, bo dzisiaj już nie pamiętam, o czym. Kolega, którego nazwiska też już nie pamiętam – nie był nawet z biura konstrukcyjnego – zaproponował mi kandydowanie na stanowisko przewodniczącego, zgodziłem się i – ku mojemu zaskoczeniu – zostałem wybrany.

Postanowiłem sobie zrobić wszystko, aby postawić zakład na nogi, zrationalizować zatrudnienie i dać ludziom zarobić. Mocno przeceniłem swoje możliwości. Zakładu nie można było uratować. Prowadziłem długie rozmowy z dyrektorem naczelnym, zdaje się z nadania jeszcze władzy wojskowej, który był przeciwny prywatyzacji, ale on nie miał pomysłu. Jego zastępca, który w zakładzie pracował od samego początku, tłumaczył mi ciągle jedno – zakład nie będzie rentowny, ponieważ nie

(...) bardzo wiele upadłości firm jest reżyserowanych, czyli takich, kiedy celowo doprowadza się do bankructwa, żeby wąska grupa ludzi mogła się uwłaszczyć, a wierzyciele nie odzyskać swoich pieniędzy. Albo tworzy się spółki, żeby wyciągnąć majątek z firmy i pokazać później wierzycielom, że tych pieniędzy do spłaty nie ma.

Elżbieta Mączyńska

http://next.gazeta.pl/pieniadz/1,136157,1610367_4,_Przez_cztery_pierwsze_lata_wolnej_Polski_pozwolilismy.html#TRrelSST

jest ukończony. Został zaplanowany na dużą produkcję nowoczesnej aparatury chemicznej i dopóki nie produkuje tego, na co został zaplanowany, nie będzie przynosił zysków.

Można byłoby zaciągnąć kredyty na dokończenie inwestycji i potem je spłacać. Warunek był jednak jeden: musiałoby być zapotrzebowanie na nowoczesną aparaturę chemiczną, a ten nie mógł być spełniony w warunkach upadku polskiej gospodarki. Na sprzedaż na rynkach zewnętrznych nie można było liczyć, bo Związek Radziecki przeżywał w tym czasie podobny kolaps gospodarczy co my, a zachodni sąsiedzi widzieli w nas, w takich nowoczesnych zakładach jak ZACH Metalchem Opole, tylko konkurencję, którą za wszelką cenę należy zwalczać. Tam były zakłady, produkujące równie nowoczesną aparaturę i dla nich kluczową kwestią było utrzymanie rynków zbytu i ewentualnie zdobycie nowych. One były zainteresowane w upadku naszego zakładu, a nie jego rozwoju. Potem w Opolu mówiono, że ZACH Metalchem zbudowany był „na wyrost”. To zależy, jak się na to spojrzy. Czy ambitne planowanie i budowa zakładów przemysłowych obliczone na ambitny rozwój gospodarki jest czymś nagannym? Szkoda, że transformacją ustrojową nie zajęli się ludzie z przemysłu a nie ekonomiści ze szkoły Leszka Balcerowicza. Oni wiedzieliby, że w razie upadku takiego zakładu jak ZACH Metalchem tracimy nie tylko sam zakład, ale – w perspektywie – ogromne korzyści z jego produkcji, gdyby go ukończyć.

Początki prywatyzacji na przykładzie

Zastanawiam się teraz, dlaczego nie Zorganizowałem wtedy spotkania z radą pracowniczą, której przewodniczył, po odejściu B. Wilka, Adam Zadorożny. Chyba dlatego, ponieważ wtedy już uważałem radę za ideologicznego przeciwnika. Oni już wtedy zaczęli proces prywatyzacji zakładu. Odbывало się to pod hasłem „wyprowadzania

⁸⁶ Pszon Joanna, *Historia sprawy Wilka*, <https://archive.is/pBfv>

jednostek obciążających produkcję na zewnątrz zakładu”, po angielsku „outsourcing”.

Zaczęli jeszcze zanim zostałem szefem Komisji Zakładowej. Na pierwszym etapie sprywatyzowali ... sprzątaczkę (!). Doprowadziło mnie to do szewskiej pasji, bo uważałem to za podłe wobec tych kobiet, ale cóż mogłem zrobić?

Prywatyzować można, sądziłem, jeśli istnieją ku temu racjonalne, ekonomicznie uzasadnione przesłanki, takie jak duże oszczędności lub niemożność wyprodukowania czegoś lub opracowania czegoś przez zakład. Co u nas, w ZACH Metalchem, nie miało bezpośredniego powiązania z produkcją? Wydawałoby się oczywiste, że należało zacząć od substancji mieszkaniowej. Po co Zakładowi Aparatury Chemicznej mieszkania? Myślałem wtedy nawet, że byłaby to dla mnie, dla mojej rodziny, szansa na uzyskanie własnego lokum na zasadzie na przykład jakiegoś wykupu rozłożonego na wieloletnie raty. Nikt o tym nawet nie napomknął. Nie potrafię sobie wyjaśnić – dlaczego? Bo utraciono by cennych fachowców? Przecież można by ich wtedy zatrzymać po prostu podnosząc im pensje.

Mieszkania ostatecznie przekazano lokatorom po preferencyjnych cenach po upadku zakładu, kiedy mnie tam już nie było. Część niezasiedlonych jeszcze przejęło w ramach rozliczeń Opolskie Przedsiębiorstwo Budowlane (OPB) – jednookobowa spółka Skarbu Państwa, która niedługo później też zbankrutowała. Najbardziej opłacalne działy, jak stolarnia, przejęli członkowie dawnego kierownictwa firmy.

Do sprywatyzowania nadawał się – moim zdaniem – zakładowy ośrodek obliczeniowy. Mieścił się on w dużym, a właściwie – długim budynku, skrywającym długi szereg wielkich maszyn obliczeniowych. Jeśli dobrze pamiętam, nazywało się to Odra. Dane do obliczeń wprowadzało się tam za pomocą sztywnych karteluszków z wydrukowanymi wcześniej otworami. Potem ta maszyna, pierwowzór komputera „liczył” przez kilka dni albo tygodni zanim podał wyniki. Można było ten dział zlikwidować, a obliczenia zlecać gdzie indziej. Dlaczego tego nie zrobiono, nie wiem.

Można było sprywatyzować nasze biuro konstrukcyjne. Z pewnością dałoby się zaoszczędzić kilka etatów, ale czy wyszłoby to taniej niż projektowanie przez własny zespół konstruktorów, nie wiem. W biurach projektowych i konstrukcyjnych kwestią rozstrzygającą o ich znaczeniu i dochodach jest *know-how*, czyli wiedza i doświadczenie, w praktyce – dorobek zawarty we wcześniejszych opracowaniach. W kolejnych projektach wprowadza się modyfikacje i tak, co projekt to lepszy,

prostszy, bardziej przejrzysty. Dorobek biura projektowego czy konstrukcyjnego przechowywany w postaci rysunków technicznych był jego najcenniejszym składnikiem, oprócz fachowej, doświadczonej kadry, oczywiście. Po tym czasie jednak, kiedy pracowałem w Biurze Konstrukcyjnym ZACH Metalchem Opole, zaczęła się już upowszechniać w obliczeniach naprężeń metoda „elementów skończonych”, dająca o wiele bardziej dokładne wyniki niż wszystkie stosowane wcześniej. Potrzebne były tylko mocne komputery do obliczeń, a te już pojawiły się na rynku. Za chwilę można było zlecać obliczenia zewnętrznym biurom obliczeniowym, a na miejscu, w zakładzie pracować tylko nad ustaleniem (danych) do obliczeń.

Wybrano do sprywatyzowania sprzątaczkę, co kłóciło się z sensem racjonalizacji pracy, gdyż pomiędzy kierownika działu gospodarczego, tak się to chyba wtedy nazywało, a pracownice wprowadzano dodatkowy podmiot, jakim był właściciel firmy sprzątającej. Gdyby jeszcze zlecono prace porządkowe w zakładzie jakiejś firmie zewnętrznej doświadczonej w tego typu pracach i oferującej niższe ceny usług, mógłbym to zrozumieć, ale przekazania całego zespołu sprzątaczek wraz ze zleceniem usług czyszczących jakiemuś facetowi – tego już zrozumieć nie mogłem. Nawet jeśli to wychodziło taniej, to nie mogły to być wielkie oszczędności i musiały się odbyć kosztem zarobków pań sprzątających.

Skazani na upadek

Wiedziałem, że redelegalizowana „Solidarność” to nie jest już ta siła, co w 1980 i 1981 r., która zdolna była obalić System. Obecnie system sam się przekształcał, a kierunek temu nadawały zachodnie mocarstwa. Reforma gospodarcza Leszka Balcerowicza była zaprzeczeniem ideałów pierwszej „Solidarności”. Odpuszczono sobie troskę o „ludzi pracy”, odpuszczono sobie samą solidarność, która wg ks. Józefa Tischnera sprowadza się do ewangelicznej zasady „Jedni drugich brzemiona noście”, wprowadzono „wolny rynek”, czyli stan znany kiedyś pod nazwą „wyścigu szczurów”, albo „wolnej amerykanki”. Podniesiono do rangi naczelnej zasadę „co nie jest zakazane, jest dozwolone”.

Sądziłem, że mając – jako przewodniczący Komisji Zakładowej – czas na rozmowy z decydentami, zrozumieć, na czym polega chwyt, obezwładniający naszą gospodarkę i znaleźć jakieś wyjście. Niestety, to czego się dowiedziałem, nie pozwalało na żaden manewr. ZACH Metalchem w Opolu



Ruiny Huty Kościusko w Chorzowie; zdj. fotopolska.eu

budowany był jako zakład duży i nowoczesny, nastawiony na unikalną wielkogabarytową aparaturę. Ponieważ nie został dokończony, koszty produkcji wciąż przekraczały zyski, gdyż do kosztów wliczano podatki za zajmowany teren, amortyzację nowoczesnych maszyn, które nie produkowały aparatury, do której były przewidziane, przeciążenie kosztami administracyjnymi itd.

Drugą przyczyną naszej niewydolności był ogólny upadek polskiej gospodarki. Nie byliśmy gotowi na konkurencję na rynkach światowych, nawet by nas tam nie dopuszczono, a na rynku wewnątrzkrajowym nie było zbytu, takiego zbytu, który zapewniłby nam rentowność. Nie byłem przeciwko zachodnim firmom, ale wyobrażałem sobie, że będą u nas inwestować, konkurować z krajowymi, państwowymi firmami, przyniosą do nas swoje *know-how* w zakresie produkcji, a oni zamiast budować nowe zakłady, kupowali za bezcen nasze, już produkujące, część z nich zamykali, bo potrzebowali tylko polskiego rynku zbytu dla własnych towarów, część unowocześniali i redukowali zatrudnienie. Tadeusz Ryśnik, szef Komisji Zakładowej „Solidarności” z Cementowni Górażdże poruszał niebo i ziemię, aby nie dopuścić do jej prywatyzacji. Nie mogłem mu pomóc. Bo jak?

T. Ryśnik tak o tym pisał w „Tygodniku Solidarność”: *Prof. K. Poznański stwierdził, że nasze zakłady sprzedawano średnio za jedną piątą ich wartości. Kolejnym negatywnym czynnikiem — z punktu widzenia interesu narodowego — była*

ustawa wspierająca inwestycje zagraniczne. Przewidywała ona możliwość zwolnień podatkowych do kwoty zapłaconej za dane przedsiębiorstwo. W trakcie przeprowadzania prywatyzacji cementowni Górażdże minister Janusz Lewandowski odmówił jej sprzedaży podmiotowi polskiemu (w obecności autora tego artykułu), ponieważ oferował on cenę niższą niż podmiot zagraniczny. Na pozór wydawało się to słuszne. Ale następca Lewandowskiego dokonał zwolnienia podatkowego w wysokości kwoty zapłaconej przez inwestora zagranicznego. Podmiot polski takiego zwolnienia nie mógł otrzymać. Ostateczny rachunek ekonomiczny jest prosty — w praktyce dokonano darowizny naszego przedsiębiorstwa na rzecz inwestora

zagranicznego. Każdy zdrowo myślący obywatel dopatrzy się w tym działaniu bezsensownego przehandlowywania majątku narodowego.

Nie mogłem pojąć, jak to możliwe, że solidarnościowy, jak by nie było, rząd realizuje taką antynarodową i antyspołeczną politykę. Opisywałem szeroko, co się dzieje, w listach do Tomka Sobczaka, kolegi jeszcze z „Tygodnika Katowickiego”, ale i on tłumaczył mi, że tak trzeba, że nie ma innej, trzeciej, drogi w gospodarce. Socjalistyczna gospodarka padła, kapitalistyczna sprawdziła się, trzeba więc wszystko prywatyzować.

Wszystkie prawie media, nawet te kościelne, nawet księża na ambonach zaczęli powtarzać, że bogactwo jest czymś dobrym, że trzeba dążyć do bogactwa, bo dobrobyt jest warunkiem zakorzenienia w narodzie cech chrześcijańskich, a nawet, że egoizm (mieszczący się na przeciwległym biegunie międzyludzkiej solidarności) jest źródłem bogactwa narodów. Widziałem to inaczej. Marna mi to pociecha, że Jacek Kuroń, jeden z macherów kapitalistycznej transformacji, po latach przyznał się do błędu.

– *Spółki pracownicze – powiedział – toczyły bój o swoje miejsce. One toczyły bój, one ten bój przegrały. To na to trzeba było postawić a nie na ten zwariowany amerykański kapitalizm.*⁸⁷

⁸⁷ Titkow Andrzej reż., *Na podobieństwo Jacka Kuronia*, <https://www.cda.pl/video/132362411> (ok. 46 min)

T. KARWOWSKI WALCZY NADAL

T. Karwowski z kolegami z Konfederacji Polski Niepodległej walczyli nadal, aż do obrad Okrągłego Stołu i przełomu ustrojowego 1989 r., a nawet dłużej. Przez cały okres stanu wojennego pod okiem milicji drukowali i roznosili ulotki, wypisywali hasła na murach, brali udział w ulicznych protestach. T. Karwowski nie ugiął karku ani w pracy, ani na przesłuchaniach SB. Ale... kto o tym słyszał, kto go dziś pamięta? Coraz mniej liczna grupa zdeklarowanych wrogów Systemu, albo raczej – hardych dziewczyn i chłopaków demonstrowała – głównie samemu sobie – swoją niezłomność. Mam dla nich ogromnie dużo szacunku, gdyż dla mnie również najważniejsze są honor i odwaga, ale... uważam też, że przed walką szanse należy przekalkulować. T. Karwowski droczył się z tropiącą go policją, wielokrotnie wyprowadzał ją w pole, ale – szans na zwycięstwo nie miał żadnych, znajdował się pod kontrolą.

Takich jak on było więcej, ale walczyli samotnie, bez nadziei na zwycięstwo. Ich działalności nie nagłaśniały zachodnie media, z tej właśnie przyczyny, że nie rokowały szans na zwycięstwo. Górnik Andrzej Pokorski w 1982 r. wysadził w Wodzisławiu Śląskim pomnik ku czci ZSRR. W stanie wojennym nic o tym nie słyszałem, a jestem przekonany, że nawet gdyby w samym tylko Wodzisławiu mieszkańcy wiedzieli, że to w ramach walki z radziecką okupacją, prędzej czy później wieść o tym by do nas dotarła. Tajne służby postarały się skutecznie nałożyć na jego czyn blokadą informacyjną. O wysadzeniu pomnika dowiedziałem się, gdy w Internecie przeczytałem, że odważny górnik zmarł w zapomnieniu na emigracji. Nie było szans na zwycięstwo, bo ludzie, naród nie chcieli takiej walki.

Oddajmy jednak głos Tomaszowi Karwowskiemu:

Organizujemy podziemie

Rok 1985 upłynął mi na organizowaniu poligrafii, kolportażu ulotek i wydawnictw antykomunistycznych. KPN gdzieś zapadł się pod ziemię i nie mogłem nawiązać z organizacją bezpośredniej łączności. Wreszcie na Sielcu, po jednym ze spotkań, Krzysiek Laga (późniejszy nasz poseł i wiceminister MSWiA) zapytał mnie, czy nie chciałbym

znów pracować w strukturze KPN. Oczywiście zgadzam się, czekałem przecież na takie spotkanie. Pojechałem do Adama Słomki, wówczas szefa KPN na Śląsku, po nową legitymację KPN.

Wcześniejsze struktury organizacji prawie rozbito w latach 1982-1985, biegały więc tylko takie „luźne elektrony” jak ja. Niestety okazało się, że kilku przywódców ze Śląska i Krakowa było współpracownikami czy nawet oficerami SB.

Po 1982 roku struktury KPN zaczął najpierw organizować młody student z Chorzowa – Sławomir Skrzypek – dziś szef NBP. [Sławomir Skrzypek zginął w katastrofie smoleńskiej. – PM] Powstała struktura, wydawali nawet jakieś pismo, lecz chyba w 1984 roku Adam Słomka miał, według kilku osób, wytłumaczyć Marii Moczulskiej, że Skrzypek to najprawdopodobniej agent SB i sam – po usunięciu Skrzypka – objął kierownictwo KPN na Śląsku. W 1986 roku cała struktura Konfederacji na Śląsku i Zagłębiu liczyła zaledwie kilkadziesiąt, głównie młodych, osób.

Szykany

(...) Od 1987 roku zacząłem odpowiadać za poligrafię KPN na Górnym i Dolnym Śląsku. Sam drukowałem na powielaczu. Szkoliłem również innych (...) w 1986 roku zostałem w biały dzień porwany spod sklepu na mojej ulicy. Paru cywili i kilku funkcjonariuszy MO wrzuciło mnie do suki milicyjnej i wywiozło do nieznanego mi lasu. Tam bili mnie na przemian, wykrzykując: wybijemy ci KPN z d...py i głowy.

Najpierw jednak położyli mnie na schodkach nyski, bijąc pałkami po ścięgnach z tyłu kolan oraz po łydkach. A później bili w kilku już po całym ciele używając długich szturmowych pał ZOMO-wskich. Ich „zabawa” trwała z piętnaście minut, a potem kazali mi biec do lasu. Pomyślałem, że mnie zastrzelą, potem utopią na pobliskich, widocznych mokradłach. W pewnym momencie krzyknęli, abym uciekał zygakiem, bo będą strzelać.

Biegłem na oślep, nie oglądając się za siebie. Przewracałem się i podnosiłem, biegłem zataczając się, aż obolałe od bicia nogi po około piętnastu minutach tego koszmarnego biegu, odmówiły posłuszeństwa. Zatrzymałem się; doprowadzony do ostateczności, zaszczuty, gotów byłem zginąć na miejscu, niż biec dalej. Obejrzałem się za siebie, byłem w lesie sam. (...)

Tymczasem struktura KPN rozrastała się szybko, byłem już zastępcą szefa Okręgu Śląskiego oraz szefem poligrafii na osiem województw. W tym czasie mieliśmy zlot działaczy KPN z południa Polski u księdza Adolfa Chojnackiego w parafii w Jusz-

czynię. Było nas z trzydziestu, może czterdziestu młodych ludzi. Spędziliśmy tam dwa dni; spaliliśmy w stodole, rozmawialiśmy, paliliśmy ogniska. Piękne góry i widoki w okolicach Makowa Podhalańskiego; wreszcie poczułem przedsmak partyzantki. Tak, wtedy wiele myślałem o Ojcu.

Tymczasem Daniela znów aresztowali; złapali go w Krakowie z dużą ilością druków i poszedł siedzieć. Przychodziłem z jego Mamą pod Katowickie więzienie, tym razem z drugiej strony. Wiedzieliśmy, w której siedzi celi, komunikowaliśmy się przez ten mur.

Trzydziestu pięciu radykałów

Praca w podziemiu była ryzykowna, robota konspiracyjna wymagała wysiłku i wielu poświęceń. (...) W 1986 roku zaczęliśmy jako KPN z Kaziem Świtoniem zakładać „Komitet Budowy Pomnika Górników Poległych na KWK Wujek”. Co roku organizowaliśmy 16 grudnia manifestację patriotyczną pod „Wujkiem”. Od 1986 roku razem ze Świtoniem, Dolniakiem i Danielem byliśmy czynnymi działaczami GR KK NSZZ „Solidarność”.

Jeździliśmy po całej Polsce na spotkania konspiracyjne; raz w Szczecinie, innym razem w Bydgoszczy, Łodzi, Warszawie. To była grupa „jastrzębi” i radykałów wewnątrz, podziemnej jeszcze, NSZZ „Solidarność”.

Nie godziliśmy się na żadną formę ugody z komunistyczną władzą. Marian Jurczyk, Andrzej Słowik, Andrzej Gwiazda, Stanisław Wądołowski, Seweryn Jaworski, Romuald Szeremietiew i wielu innych – to były nazwiska szefów regionów i największych antykomunistów w tamtych latach. Było nas około trzydziestu pięciu działaczy podziemia, a w tym gronie my – Daniel i ja – młode wilki ze Śląska i Zagłębia. Zaostrzaliśmy swoimi działaniami kurs Solidarność na bardziej nieprzejednany, antykomunistyczny, bezkompromisowy.

Wysuwaliśmy nie tylko związkowe postulaty, ale również hasła polityczne. Po zwycięstwie chcieliśmy w pełni wolnych wyborów. To była wielka konkurencja dla Tymczasowej Komisji Wykonawczej wokół Lecha Wałęsy, która była naszym zdaniem, zbyt ugodowa.

Reaktywacja NSZZ „Solidarność”

(...) Nadszedł rok 1988 rok, czas rzeczywistego przełomu w walce z komunistycznym systemem. Tak naprawdę już wtedy komuniści przegrali, nie rok później. Nasilały się masowe akcje opozycji i władza komunistyczna w obliczu kryzysu zaufania, stawała się coraz bardziej bezbronna. Na nowy

stan wojenny nie mogli sobie pozwolić, a w ZSRR trwała pierestrojka Gorbaczowa.

(...) Tymczasem w kraju powstał pomysł, aby odrębnie każdą Komisję Zakładową rejestrować w Sądach Wojewódzkich indywidualnie jako Komitety Założycielskie NSZZ „Solidarność”. W województwie katowickim poszedłem jako jeden z pierwszych do sądu, aby rejestrować naszą Komisję Zakładową w SP „Technomont”. Ponad 80 na około 100 pracowników podpisało dokumenty założycielskie i wybrano mnie przewodniczącym. Mały zakład, a taka jawna demonstracja. Zatem nasiliła się na mnie w pracy nagonka SB – praca bez premii, zakaz zebrania w zakładzie, zmuszanie do pracy w delegacjach trzysta, czterysta kilometrów od domu, straszenie prezesa firmy.

Przejmujemy maszynę poligraficzną z Tychów

W tym czasie przejąłem superwydajną maszynę poligraficzną od nieużywającej jej struktury Solidarności. (...) Koledzy z MKS Solidarności w Tychach mieli powielacz ukryty, od wprowadzenia stanu wojennego, w piwnicy jednego z bloków. Nie był używany przez całe sześć lat. (...) po prostu nie umieli go poprawnie uruchomić. (...) sporych rozmiarów, wspinały, elektryczny „Gestetner”. Cud techniki, ogromna wydajność, bardzo dobra jakość druku. (...) Powielacz nadrukował nam kilkaset tysięcy druków w ciągu prawie trzech lat.

Janek Górny wpadł

(...) Aresztowano w Gliwicach Janka Górnego. To jedno z najdziwniejszych aresztowań w podziemiu, bo zatrzymano go w konspiracyjnym mieszkaniu w obecności Jerzego Buzka, przyszłego premiera rządów solidarnościowych, a dziś szefa Parlamentu Europejskiego (...)

Janek Górny to jedna z legend podziemia antykomunistycznego. Bardzo ważna postać konspiracji; był przywódcą podziemia Solidarności Śląsko-Dąbrowskiej oraz członkiem podziemnych władz krajowych (TKK). Wcześniej pracował w HK i od 1981 roku był wiceprzewodniczącym Solidarności w Zarządzie Regionu. Ukrywał się od wprowadzenia stanu wojennego (13.12.1981) i był poszukiwany (wówczas) od 6 lat listami gończymi wydanymi przez Prokuraturę Wojskową.

Po aresztowaniu Janka postanowiliśmy właśnie w Dąbrowie Górniczej, gdzie wcześniej pracował i mieszkał, przeprowadzić dwie spektakularne akcje propagandowe pod hasłem „Uwolnić Górnego”. W biały dzień, w godzinach szczytu w centrum

miasta powiesiliśmy w najbardziej widocznym miejscu transparent wielkości kilkunastu metrów – „UWOLNIĆ GÓRNEGO – KPN”. (...)

Msza „Za Ojczyznę” u ks. J. Siemińskiego

W marcu 1988 roku w Gliwicach, w kościele księdza Siemińskiego, duszpasterza świata ludzi pracy, odbywała się jak co miesiąc msza „Za Ojczyznę”. Po niej zaplanowaliśmy demonstrację i przemarsz drogą około dwóch kilometrów do pomnika Adama Mickiewicza w centrum miasta. W kościele ludzi więcej niż zwykle, widać transparenty.

Ściągnąłem tego dnia trochę działaczy KPN, był Tadek Jedynek, lider Solidarności na Śląsku, był i Michał Luty. Wiadomo, że po mszy „coś” nastąpi. Wychodzimy przed kościół, a naprzeciw w Głogowskiej MO i SB, bo przecież też wiedzą, że pójdziemy do centrum. Sporo ich i to wyraźnie peszy demonstrantów. Dyskutują, naradzają się, rozkładają. Jedynek chce iść, a widać, że Luty nie za bardzo się pali. Ludzie zdeorientowani powoli rozchodzą się nieco.

Szybko rzucam działaczom KPN polecenie: Idziemy i zaczynamy rozdawać ulotki i rozwijać transparenty. Formujemy pochód, stajemy z Tadekiem Jedynakiem na czele. Luty gdzieś zniknął, widocznie miał inne zadania. Jest nas gdzieś około ośmiuset ludzi, ruszamy śpiewając „Rotę”. Udaje się nam przejść chyba czterysta metrów, gdy w czoło manifestacji wjeżdżają milicyjne suki, a cywilni funkcjonariusze SB uderzają wylapując przywódców. Rzucamy się trochę z Jedynakiem, ale po krótkiej szarpaninie wloką nas do samochodów i wiozą na sygnale na Komendę.

A tu istny kabaret! Przesłuchiowano mnie chyba w trzech czy czterech pokojach, a pomiędzy nimi każdorazowo lekarz pytający bito czy nie?. Pierwszy raz zetknąłem się z taką troskliwością. (...) Nasza demonstracja miała swój finał w Kolegium ds. Wykroczeń miasta Gliwice. Stałem przed tym Kolegium, które postanowiło mnie przykładowo ukarać za to nielegalne zgromadzenie. Wlepiono mi pięćdziesiąt tysięcy grzywny (około dwóch, trzech pensji) ale najbardziej oryginalne było uzasadnienie wyroku: „Tomasz Karwowski od lat znany jest w woj. katowickim i poza nim z wrogich działań antysocjalistycznych. Organizowania nielegalnych wystąpień oraz zebrań i zgromadzeń mających wydźwięk antykomunistyczny oraz godzących w nasze sojusze wojskowe i gospodarcze”. I na koniec perełka – „Wyrok szczególnie uzasadnia fakt, iż zarówno w przeszłości jak i aktualnie przejawia on

negatywny stosunek do rzeczywistości społeczno-politycznej. Kwiecień 1988”.

Ale równie ważne było to, że wyrok podpisała w imieniu Kolegium jego Przewodnicząca Ewa Jakaś Tam, która już za rok została wiceprezydentem miasta Gliwice z poparcia Komitetu Obywatelskiego Solidarność. Cóż, taka była i jest ta nasza rzeczywistość. (...)

Manipulacje przed rozmowami Okrągłego Stołu

Ilustracją tego stanu rzeczy [zmanipulowania rozmów z opozycją] był między innymi półlegalny Zjazd Śląsko-Dąbrowskiej Solidarności w Ustroniu, koło Wisły z przełomu lat 1988-89. Podczas zjazdu chciano wyłonić nowe władze związku. Obecnie już oczywiste jest to, że korowscy doradcy Wałęsy i agenci SB wewnątrz władz krajowych Solidarności z premedytacją (tuż przed oficjalnym rozpoczęciem Okrągłego Stołu) dążyli do wyborów, jako wręcz nominacji wskazanych przez siebie kandydatów we wszystkich regionach i w dużych zakładach pracy. I robili to według klucza, a dotyczyło to zarówno władz odradzającej się Solidarności jak i delegatów na zjazdy w tych regionach, gdzie one się odbywały. (...) Proces ten doprowadził do wyłonienia ludzi bez szerszej wizji lub po prostu karierowiczów. (...) Byłem delegatem na Zjazd Regionalny mojej komisji zakładowej. Daniel Podrzycki miał mandat z jednej z większych komisji zakładowych z Zagłębia. Niestety, wspomniany już wcześniej Michał Luty (człowiek KOR, dziś wiceprezydent Katowic) postanowił dobierać delegatów według własnego klucza. I tak sterował wejściem delegatów, aby część spośród nich po prostu nie wpuścić na zjazd. No i udało mu się. Nie wpuścił między innymi Daniela i jego delegatów z Zagłębia, których bał się jak diabeł święconej wody. (...)

Zjazd podziemnej „Solidarności”

Zjazd odbywał się w budowanym jeszcze kościele, w warunkach tak zwanej konspiracji i trwał dwa dni. Wpuszczono około dziewięćdziesięciu delegatów. Byłem w grupie dopuszczonych, a wielu z delegatów to byli moi znajomi ze struktur, którzy nie chcieli podporządkować się ugodowej, niejasnej linii władz Solidarności. Część z nich nawet chciała opuścić Zjazd na znak protestu przeciwko potraktowaniu Daniela i wielu innych niedopuszczonych delegatów. Obliczyłem naszą siłę i nie było tak źle: około dwudziestu, dwudziestu pięciu działaczy KPN (tutaj – delegatów terenowych komisji Solidarności głównie z kopalń ROW) oraz dwanaście osób z

Huty Katowice i Koksowni Przyjaźń . Czyli w sumie około trzydziestu pięciu głosów na zjeździe. Proszę zatem zdenerwowanych delegatów o pozostanie, postanawiam bowiem jednak powalczyć na miejscu z manipulacjami Lutego i KOR.

W nocy razem z, nazwijmy to, moimi działaczami z KPN liczymy głosy i zawiązujemy koalicję na rzecz wyboru na Przewodniczącego Regionu Janka Górnego. A także tworzymy listę kandydatów do Regionalnej Komisji Wykonawczej. Rozmawiam z Jankiem Górnym, informuję go o koalicji i rozkładzie sił. Korowcy i ich środowisko z Lutym na czele oraz tak zwana inteligencja wewnątrz Solidarności, czyli Jerzy Buzek i paru innych, których nikt nigdy wcześniej nie widział, preferują swojego kandydata, równie nieznanego Mariana Krzaklewskiego, który był wtedy chyba adiunktem na Politechnice Gliwickiej. Trzecim poważnym kandydatem ma być Alojzy Pietrzyk działacz Solidarności z Jastrzębia, górnik o dość radykalnych poglądach, z którymi raczej bliżej mu do KPN niż do KOR. Rozpoczyna się zgłaszanie kandydatur. Padają nazwiska Krzaklewskiego i Pietrzyka...

Wtedy wstaje nasz delegat zgłaszając Górnego. Jednak ten wstaje i odmawia kandydowania! Przecieram oczy ze zdziwienia, wśród wielu delegatów dezorientacja. Prosimy o przerwę i po ciężkich bojach udaje się ją wywalczyć. Pytam więc Górnego: co się właściwie stało? A on oświadcza mi, że z tymi sk...mi nie chce mieć nic wspólnego,

bo to gnój i agentura. I dalej wyjaśnia mi całą sytuację. Otóż tuż przed zgłaszaniem kandydatur – mówi – podszedł do mnie jeden z ludzi od Lutego. Pyta mnie, czy pamiętam te cztery magnetowidy dla Duszpasterstwa w Gliwicach w 84 roku, i te dwadzieścia tysięcy dolarów, które przywiozłem z Gdańska w 85 roku. A także trzydzieści tysięcy dolarów, które przesłano nam ze Szwajcarii. Oczywiście, wszystko to pamiętałem. A on mi na to – relacjonuje dalej roztrzęsiony Janek – że jeśli nie masz na to wszystko pokwitowań, to może lepiej nie kandyduj! Zamurowało mnie...

To ja ukrywałem się sześć lat, przepadła mi rodzina, wsadzili mnie do więzienia pod idiotycznymi zarzutami o alimenty, poświęciłem te ostatnie osiem lat wyłącznie Solidarności, a te gnojki chcą ze mnie złodzieja teraz zrobić? Szantażują mnie agenciki jakieś! Nie, Tomku, ja już wysiadam z tego pociągu, dalej nie jadę! Wycofuję się z działalności, wyjadę, założę nową rodzinę. Ty jesteś młodszy, chcesz, to walcz z tym szambem, ale ja już nie mam sił! To bezpieka przecież dookoła, zdradzili mnie i zdradzą wszystko i wszystkich – zdradzą całą Solidarność.

Stawiamy na Alojzego Pietrzyka

(...) Podjąłem decyzję, że głosujemy na Pietrzyka. Przynajmniej porządnym, znany w środowisku górnik, a Krzaklewski to przecież człowiek znikąd.



Uczestnicy podziemnego zjazdu NSZZ Solidarność w Ustroniu – zarząd. Od lewej: 1. Adam Giera, 2. Kazimierz Świotoń, 3. Wiktor Ostrowski, 4. Danuta Skorenko, 5. Grzegorz Kolosa, 6. Alojzy Pietrzyk, 7. Marian Kubic, 8. Adam Kowalczyk, 9. Marian Krzaklewski, 10. Waldemar Kapłon, 11. Michał Luty. Zdjęcie krąży w Internecie bez podpisu, nie udało się ustalić autora.

Wygrywa Pietrzyk przygniatającą przewagą głosów. Koalicja moich delegatów i górników od Pietrzyka ma znaczną większość. (...) Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że osiągnęliśmy nawet więcej niż można było, bo przewróciliśmy do góry nogami całą misterną układankę KOR i SB!

Po zjeździe Luty podobno przez tydzień cały pił na umór i strasznie na mnie pomstował, że to wszystko przez tego sk...syna z KPN. Krzyczał, że to niby ja zmanipulowałem wybory, a chyba po prostu biedak nie wykonał czyjegoś zlecenia i zapewne strasznie się bał gniewu zleciodawcy... Potem wyjechał bodajże do Szwecji i zniknął na wiele lat. A później wrócił, by zostać wiceprezydentem Katowic, o dziwo z PiS... Ale cóż, sam Kaczyński też przecież chodził na zebrania KOR, a dziś jest guru PiS.

(...) To nie MO i SB, czy ZOMO i PZPR, zabili Solidarność, bo nie byli w stanie tego zrobić! To „nasi” ją zniszczyli, zaprzepaszcżając dorobek i legendę ludzkiej solidarności lat 1980-81.(...) Ustroń, ostatni półkonspiracyjny, półjawny Zjazd Śląsko-Dąbrowskiej NSZZ „Solidarności” pokazywał już na wstępie tak zwanych przemian, do czego są zdolni ci, którzy postanowili zawłaszczyć Solidarność i ją dla własnych celów i potrzeb wykorzystać.

(...) W takiej atmosferze rozpoczął się tzw. Okrągły Stół. Solidarność wypłukana z ideałów Sierpnia 1980 roku, ubezwłasnowolniona przez ekspertów o rodowodzie PZPR, a później KOR-u, zasiadła do rozmów o przyszłości Polski z kierownictwem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Solidarność zmanipulowana do prywatnych celów przez grupkę cwaniaków i agentów bezpieki.(...) Paru budzących jako takie nadzieje jak Alojzy Pietrzyk na Śląsku czy Jacek Smagacz w Małopolsce, to było zbyt mało, aby mogła powrócić nasza Solidarność. (...)

Po wygranych przez nową „Solidarność” wyborach T. Karwowski z kolegami podjęli okupację redakcji kilku gazet, chcąc wymusić przyznanie choć jednej Konfederacji Polski Niepodległej.

Siła złego na jednego

Dość szybko zorientowałem się, że moja rola jako szefa komisji zakładowej „Solidarności” sprowadza się do udziału w zebraniach dotyczących rozdziału premii. Wyglądało to tak, że jeśli w jednym miesiącu albo przez dwa kolejne miesiące przyznawaliśmy z jakichś powodów wyższe premie jednemu wydziałowi, to na następnym

zebraniu pozostałe wydziały zgłaszały pretensje argumentując, że – oni w ostatnich miesiącach są sekowani i to jest niesprawiedliwe. I tak w kółko.

Postanowiłem sobie walczyć, na ile będę miał możliwości, o sanację, przynajmniej organizacyjną, zakładu. Dość szybko zorientowałem się, że moje możliwości w tym zakresie są nikłe albo wręcz żadne. Przegrywałem nawet w sferze ideowej. W tym okresie zaczęło się budowanie propagandowej osłony dla przemian ustrojowych z wykorzystaniem dorobku moralnego „Solidarności”. *Wygraliśmy! 4 czerwca 1989 r. skończył się w Polsce komunizm. Budujemy drugą Japonię* itd. Organizowano Biegi Solidarności i Rajdy Solidarności, w sklepach pojawiły się bombonierki „Solidarność”, czekoladki „Solidarność”. Doprowadzało mnie to do szewskiej pasji, gdyż ja traktowałem „Solidarność” poważnie, ona stała się częścią mojego życia.

Na tym tle doszło do mocnego konfliktu z kilkoma członkami komisji zakładowej. Kiedy zaop nowałem przeciwko angażowaniu się w jakiś tam bieg „Solidarności” mówiąc, że mamy ważniejsze sprawy na głowie, że powinniśmy zajmować się sytuacją zakładu i załogi, rzucił się na mnie Czesław Tomalik ze słowami: *Wszyscy tu myślą i postępują zgodnie, tylko jedna czarna owca zawsze ma coś przeciw.* Tą czarną owcą byłem ja.

Uznałem wtedy, że już nic nie jestem w stanie zrobić i zacząłem rozglądać się za nową pracą. Zarabiałem niewiele, więc pieniądze to nie była kwestia podstawowa ale mieszkanie zakładowe. Jak tylko trafiła się okazja lepszych zarobków i wynajęcia zapuszczonego domu zaryzykowaliśmy z żoną. Swoje obowiązki szefa Komisji Zakładowej przekazałem zastępcy.

.....

Okrągły Stół był próbą przezwyciężenia podziałów w narodzie. Jednak przy jego pomocy pod parasolem Solidarności, tej z dużej litery, Przyspieszył proces destrukcji solidarności jako wartości etycznej i spoiwa wspólnoty narodowej. Nie mogło być inaczej, kiedy oficjalnie rzucono hasło: bogacie się i równocześnie otwarto szeroko wrota do rozszabrowania majątku narodowego. Solidarność międzyludzka, którą ks. prof. J. Tischner definiował jako realizację biblijnego polecenia: *”Jedni drugim brzemiona noście”*, zniszczona została przez nobilitację egoizmu. Wziął w tym udział również Kościół katolicki. W tygodniku arcybiskupa katowickiego „Gość Niedzielny” idee liberalne propagował Robert Gwiazdowski, prezes Instytutu Adama Smitha. Otwartym tekstem pisał, że ludzki egoizm jest źródłem bogactwa narodów. Pod patronatem Kościoła wypuszczono demony z butelki.



zd. Józef Zak

ISBN 978-83-945276-

